

Edward St Aubyn

Melrose

MLEKO MATKI

W KOŃCU

yd **w** **ab** **two**
wnic

Edward St Aubyn

PATRICK MELROSE

Mleko matki

W końcu

przełożył Łukasz Witczak



Tytuł oryginału: *Mother's Milk; At Last*
Copyright: *Mother's Milk* © Edward St Aubyn, 2005; *At Last* © Edward St Aubyn, 2011
Copyright © for the Polish edition by Grupa Wydawnicza Foksal, MMXVII
Copyright © for the Polish translation by Łukasz Witczak, MMXVII
Utwór *Innisfree, wyspa na jeziorze* Williama Butlera Yeatsa: Copyright © for the Polish translation by
Leszek Engelking, MMXVII
Wydanie I
Warszawa MMXVII

Spis treści

Mleko matki

1. Sierpień 2000

2

3

4

5

6. Sierpień 2001

7

8

9

10. Sierpień 2002

11

12

13. Sierpień 2003

14

15

16

W końcu

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

[11](#)

[12](#)

[13](#)

[14](#)

[Przypisy](#)

Mleko matki

Sierpień 2000

1

Dlaczego kiedy się rodził, udawali, że chcą go zabić? Przez kilka dni nie dawali mu spać, walili jego głową o zamkniętą szyjkę macicy; próbowali go udusić pępowiną; rozpruli brzuch matki zimnymi nożycami; szarpali go za głowę, wyginając szyję na boki; wywlekli go z jego domu, uderzyli; świecili mu latarką po oczach i robili eksperymenty; zabrali go od leżącej na stole, ledwo żywej matki. Może chodziło im o to, żeby zabić w nim nostalgię za starym światem. Najpierw ciasne więzienie, żeby zatęsknił za przestrzenią, a potem udawane zabójstwo, żeby się nią cieszył, tą głośną pustynią, otoczony już tylko bandażami matczynych ramion, nigdy więcej tamtym ciepłem, które było wszędzie i które było wszystkim.

Zasłony wdychały światło do szpitalnej sali. Nadymały się gorącym popołudniem i opadały na wysokie okna, łagodząc oślepiający blask.

Ktoś otworzył drzwi i zasłony poderwały się do góry, falując na brzegach; zaszeleściły poruszone wiatrem papiery, pokój pobiełał, drżący huk robót drogowych lekko się wzmógł. Potem drzwi zamknęły się z głuchym odgłosem, zasłony cicho odetchnęły i znów zrobiło się ciemniej.

– O nie, tylko nie kolejne kwiaty – powiedziała matka.

Widział wszystko zza przezroczystej ścianki swojego akwariowego łóżeczka. Czuwało nad nim lepkie oko rozwartej lilii. Czasem przeciąg owiewał go pieprznym zapachem frezji i chciało mu się kichać. Na koszuli matki plamy krwi mieszały się ze smużkami ciemnopomarańczowego pyłku.

– Ludzie są tacy mili... – Śmiała się w bezsilnej frustracji. – Czy jest jeszcze miejsce w wannie?

– Nie bardzo, tam już są róże i inne rzeczy.

– Boże, nie wytrzymam. Setki kwiatów ścięto i upchano do tych białych wazonów tylko po to, żeby sprawić nam przyjemność. – Nie mogła przestać się śmiać. Łzy ciekły jej po twarzy. – Powinny zostać tam, gdzie były, w ogrodach.

Pielęgniarka spojrzała na jej kartę.

– Pora na woltaren – powiedziała. – Trzeba utrzymywać ból pod kontrolą.

Potem popatrzyła na Roberta, który przyłgnał wzrokiem do jej oczu, błękitnych w gęstniejącym półmroku.

– Jest bardzo czujny. Naprawdę mi się przygląda.

– Wszystko będzie dobrze, prawda? – spytała matka w przypiływie strachu.

Roberta również ogarnął strach. Nie byli już razem jak przedtem, ale wciąż łączyła ich wspólna bezsilność. Byli rozbitkami na dzikiej plaży. Nie mieli siły się po niej czołgać, mogli tylko leżeć wśród huku i blasku życia. Trzeba jednak było spojrzeć prawdzie w oczy: rozdzielono ich. Pojął teraz, że matka od początku była na zewnątrz. Dla niej ta dzika plaża była nową rolą, dla niego – nowym światem.

O dziwo, miał wrażenie, że już tu kiedyś był. Od początku wiedział, że istnieje jakieś „na zewnątrz”. Dawniej sądził, że to cichy wodny świat, a on znajduje się w samym jego środku. Teraz, gdy ściany runęły, zrozumiał, w jakim tkwił błędzie. Jak miał się ustrzec podobnych

błądów w tym ogłuszająco jasnym miejscu? Jak miał wierzgać nogami i obracać się wkoło w tej ciężkiej atmosferze pełnej szczypiącego powietrza?

Wczoraj myślał, że umiera. Może naprawdę umarł, a to był dalszy ciąg. Niczego nie mógł być pewien, wiedział tylko, że rozłączono go z matką. Teraz, kiedy rozumiał, że jest między nimi różnica, kochał matkę z nową ostrością. Przedtem był blisko niej. Teraz pragnął być blisko niej. To pierwsze uczucie tęsknoty to było coś najsmutniejszego na świecie.

– Ojejciu, co się stało? – odezwała się pielęgniarka. – Jestem głodny czy tylko chcę się poprzytulać?

Wyjęła go z łóżeczka akwarium, przeniosła nad szczeliną dzielącą je od łóżka i umieściła w posiniaczonych ramionach matki.

– Proszę spróbować przystawić go na chwilę do piersi, a potem niech pani spróbuje odpocząć. To były dla was bardzo ciężkie dni.

Robert był kłębkim nerwów. Nie mógł żyć w takiej niepewności, w takim natężeniu. Zwymiotował siarę na brzuch matki; w chwili półprzytomnej pustki, która potem nastąpiła, spostrzegł nabrzmiałe światłem zasłony. Przykuły jego uwagę. A więc tak to tutaj działa. Pokazują człowiekowi fascynujące rzeczy, żeby zapomniał o rozłące.

Z drugiej strony nie chciał wyolbrzymiać swojego upadku. W starym świecie robiło się już ciasnawo. Pod koniec marzył o tym, żeby się wydostać, tylko że inaczej to sobie wyobrażał: jako powrót do bezkresnego oceanu swojej młodości, a nie wypędzenie do tej surowej krainy. Gdyby nie rozpięta między nim a przeszłością zasłona przemocy, pewnie mógłby odwiedzać ten ocean w snach.

Odpląwał ku lepkiemu jak syrop obrzeżom snu, nie wiedząc, czy po drugiej stronie czeka go wodny świat, czy rzeźnia sali porodowej.

– Biedny Baba, pewnie miał zły sen – odezwała się matka i zaczęła go głaskać. Jego płacz się przerywał, aż wreszcie ucichł.

Kiedy całowała go w czoło, uświadomił sobie, że choć nie są już jednym ciałem, wciąż mają takie same myśli i uczucia. Z dreszczem ulgi zapatrzył się w światło sączące się przez zasłony.

Chyba na chwilę przysnął, bo nie zauważył pojawienia się ojca. Już o czymś mówił, usta mu się nie zamykały.

– Obejrzałem dzisiaj jeszcze kilka mieszkań i powiem ci, że czarno to widzę. Rynek nieruchomości w Londynie to jakiś obłąd. Zaczynam się skłaniać ku planowi C.

– A jaki jest plan C? Bo zapomniałam.

– Zostajemy w naszym mieszkaniu i wykrawamy z kuchni jeszcze jeden pokój. Dzielimy ją na pół, ze schowka na odkurzacz robimy schowek na zabawki, w miejscu lodówki stawiamy łóżko.

– A gdzie wstawiamy odkurzacz?

– Nie wiem. Gdzieś.

– A lodówkę?

– Na przykład do szafki obok pralki.

– Nie zmieści się.

– Skąd wiesz?

– Bo wiem.

– Tak czy siak... coś wykombinujemy. Staram się po prostu myśleć praktycznie. Dziecko zawsze wywraca wszystko do góry nogami.

Ojciec nachylił się i szepnął:

– Zawsze zostaje Szkocja.

Po to przyszedł: żeby myśleć praktycznie. Wiedział, że jego żona i syn toną w kałuży zamętu i rozchwiania, i chciał ich uratować. Robert to wyczuwał.

– Boże, on ma takie malutkie rączki – powiedział ojciec. – To nawet lepiej.

Małym palcem uniósł dłoń Roberta i ją pocałował.

– Mogę go potrzymać?

Matka podniosła Roberta.

– Uważaj na główkę, żeby nie opadała. Musisz ją podpierać.

Wszyscy troje byli zdenerwowani.

– Tak dobrze? – Dłoń ojca przesunęła się po jego plecach w stronę szyi. Robert starał się zachować spokój. Nie chciał dokładać rodzicom zmartwień.

– Chyba tak. Sama nie wiem, jak to się robi.

– Ach... jak to możliwe, że wolno nam to robić bez żadnego specjalnego zezwolenia? Nawet na budowę domu i hodowlę zwierząt trzeba mieć zezwolenie. Może nasza opiekunka nas nauczy. Jak jej było na imię?

– Margaret.

– Swoją drogą, gdzie ona będzie spała w tę jedną noc przed wyjazdem?

– Powiedziała, że nie ma nic przeciwko spaniu na sofie.

– Ciekawe, czy sofa jest tego samego zdania.

– Nie bądź złośliwy. Margaret jest na ekspresowej diecie.

– Wspaniale. Nie myślałem o niej w ten sposób.

– Ma bogate doświadczenie.

– A kto z nas nie ma?

– Z dziećmi.

– Ach, z dziećmi. – Ojciec podrapał Roberta po policzku zarostem i zrobił mu głośne „cmok” koło ucha.

– My go uwielbiamy – powiedziała matka ze łzami w oczach. – To nie wystarczy?

– Bycie uwielbianym przez dwoje początkujących rodziców w za małym mieszkaniu? Całe szczęście, że Robert może jeszcze liczyć na jedną babcię, która non stop się wczasuje, i drugą, która ma fioła na punkcie ratowania planety i raczej nie będzie zachwycona, że matce ziemi przybył dodatkowy ciężar. W domu mojej matki jest już tyle szamańskich grzechotek, „zwierząt mocy” i „wewnętrznych dzieci”, że może nie starczyć miejsca na coś tak dorosłego jak prawdziwe dziecko.

– Poradzimy sobie – odparła matka. – Nie jesteśmy już dziećmi, tylko rodzicami.

– Jesteśmy jednymi i drugimi – powiedział ojciec. – W tym sęk. Wiesz, co mi parę dni temu powiedziała moja matka? Że dziecko urodzone w kraju rozwiniętym zużyje dwieście czterdzieści razy więcej zasobów niż dziecko urodzone w Bangladeszu. Gdybyśmy się opamiętali i spółdzili dwieście trzydzieścioro dziewięcioro dzieci bangladeskich, przyjęłaby to cieplej, ale ten nienasycony człowiek Zachodu, który samymi pampersami zapełni kilka hektarów wysypiska, a niedługo jeszcze zacznie się domagać własnego komputera o mocy umożliwiającej wysłanie promu na Marsa, żeby móc grać w kółko i krzyżyk z wirtualnym przyjacielem z Dubrownika, raczej nie spotka się z jej aprobatą. – Ojciec zamilkł. – Wszystko z tobą w porządku?

– Nigdy nie byłam szczęśliwsza – odparła matka, ocierając wierzchem dłoni lśniącej policzki.

– Po prostu czuję się taka pusta.

Przysunęła główkę synka do sutka i Robert się przyssał. Cienki strumyczek z poprzedniego domu wypełnił mu usta i znowu byli razem. Czuł bicie jej serca. Spokój, który ich otoczył, był

jak nowe łono. Może to miejsce wcale nie jest takie złe, tylko trudno się tu przedostać.

Mniej więcej tyle Robert zapamiętał z pierwszych dni życia. Wspomnienia odżyły w zeszłym miesiącu po narodzinach brata. Możliwe, że niektóre z tych słów padły właśnie wtedy, ale nawet jeśli tak było, przypominały mu o jego własnym pobycie w szpitalu, a więc były to jego wspomnienia.

Robert fascynował się swoją przeszłością. Miał teraz pięć lat. Nie był dzidziusiem jak Thomas. Czuł, że jego dzieciństwo się rozpada, i wśród gromkich gratulacji towarzyszących każdemu kroczkowi w stronę pełnoletności słyszał szept skargi. Coś zaczęło się z nim dziać, odkąd stał się istotą mówiącą. Wczesne wspomnienia odrywały się niczym płaskie fragmenty rudych klifów za jego plecami i wpadały do zachłannego morza, które, gdy próbował w nie wejrzeć, tylko błyskało złowrogo. Dorastanie oznaczało zagładę jego dzieciństwa. Chciał je odzyskać, inaczej Thomas będzie miał je tylko dla siebie.

Zostawił w tyle rodziców, braciszka i Margaret i szedł chwiejnym krokiem po skałach w stronę stukoczących kamieni na skraju wody, trzymając w jednej z szeroko rozpostartych rąk odrapane plastikowe wiaderko z podobizną skaczących delfinów. Nie nabierał się już na błyszczące kamyki, które traciły swój blask, gdy biegł je pokazać rodzicom. Teraz wypatrywał gładkich i tępych kawałków szkła przypominających kolorowe żelki, ukrytych na brzegu pod lawiną czarnego i złotego żwiru. Te nawet po wyschnięciu miały lekko wytarty połysk. Ojciec mu powiedział, że szkło robi się z piasku, więc w pewnym sensie wróciły tam, skąd się wzięły.

Robert dotarł nad brzeg. Zostawił wiaderko na wysokim kamieniu i zaczął się rozglądać za wylizanym przez fale szkłem. Woda pieniała mu się wokół kostek, a kiedy odpływała, przeczesywał wzrokiem pokryty bąbelkami piasek. Niespodziewanie dostrzegł coś już pod pierwszą falą, i nie był to jeden z tych bladozielonych albo mlecznych paciorków, ale rzadki klejnot żółtego koloru. Wyciągnął go z piasku, obmył w kolejnej fali i podniósł do światła, jak chwyconą w dwa palce malutką bursztynową nerkę. Spojrzał w głąb plaży, chcąc się podzielić swoją radością, lecz rodzice klęczeli nad dzidziusiem, a Margaret grzebała w torbie.

Teraz gdy Margaret znowu z nimi mieszkała, pamiętał ją bardzo dobrze. Opiekowała się nim, kiedy był malutki. Wtedy było inaczej, bo jego mama nie miała innego dziecka. Margaret lubiła o sobie mówić, że jest „ogólną gadułą”, ale jej ulubionym tematem była ona sama. Ojciec mówił, że jest ekspertką od „teorii odchudzania”. Robert nie do końca rozumiał, co to znaczy, ale chyba przez to była bardzo gruba. Tym razem jego rodzice mieli nie brać opiekunki, bo to duży wydatek, ale zmienili zdanie tuż przed wyjazdem do Francji. Niewiele brakowało, a zmieniliby je po raz drugi, kiedy się okazało, że tylko Margaret jest do wzięcia od zaraz. Matka powiedziała: „Zawsze to dodatkowa para rąk”. A ojciec: „Szkoda tylko, że w zestawie z dodatkowymi ustami”.

Robert pierwszy raz zetknął się z Margaret, kiedy przyjechał z matką do domu ze szpitala. Obudził się w kuchni rodziców, podskakując w jej ramionach.

- Zmieniłam Jego Królewskiej Mości pieluszkę, żeby miał suchutki tyłeczek.
- A – powiedziała matka. – Dziękuję.

Robert od razu wyczuł, że Margaret jest inna niż matka. Słowa uciekały z niej jak woda z odkorkowanej wanny. Matka nie lubiła dużo mówić, ale kiedy się odzywała, jej słowa były jak dotyk.

- Podoba mu się w łóżeczku? – spytała Margaret.

- Nie mam pojęcia, zeszłej nocy spał z nami.
Z gardła Margaret wydobył się cichy pomruk.
- Hmm. Złe nawyki.
- Nie chciał się uspokoić w łóżeczku.
- Dziecko nigdy się nie nauczy, jeśli będziesz je brała do łóżka.
- „Nigdy” to dość długa perspektywa. Jeszcze w środę wieczorem był u mnie w brzuchu; instynkt mi podpowiada, żeby przez jakiś czas mieć go przy sobie. Wszystko w swoim czasie.
- Nie chciałabym kwestionować twojego instynktu, kochana – Margaret wypluła to słowo, gdy tylko pojawiło się na jej języku – ale mam czterdzieści lat doświadczenia i nie wiem, ile razy matki dziękowały mi, że nauczyłam je zostawiać dziecko na noc w łóżeczku. Parę dni temu zadzwoniła do mnie jedna Arabka, nawet miła kobieta, i powiedziała: „Margaret, żałuję, że cię nie posłuchałam i brałam Dżasminę do łóżka, teraz nic z nią nie mogę zrobić”. Chciała mnie znów zatrudnić, ale powiedziałam: „Przykro mi, kochana, od przyszłego tygodnia mam nowego dzieciaczka i lecę na południe Francji, będę mieszkała u jego babci”.
- Margaret zadarła podbródek i zaczęła defilować po kuchni, łaskocząc Roberta po twarzy deszczem okruszków. Matka nic nie odpowiedziała, lecz niańka i tak mówiła dalej.
- Zresztą uważam, że to nie fair wobec dziecka, maluszki lubią mieć swoje łóżeczko. Oczywiście jestem przyzwyczajona, że nikt mi się nie wtrąca. Zwykle to do mnie należy opieka nad dzieckiem w nocy.
- Ojciec wszedł do pokoju i pocałował Roberta w czoło.
- Dzień dobry, Margaret. Mam nadzieję, że przynajmniej ty się wyspałaś, bo my nie za bardzo.
- Tak, dziękuję, sofa jest nawet wygodna. Choć nie pogardzę własnym pokojem w domu twojej matki.
- Mam nadzieję. Jesteś spakowana i gotowa do wyjścia? Taksówka przyjedzie lada moment.
- Nie bardzo miałam czas, żeby się rozpakować, nieprawdaż? Wyjęłam tylko kapelusz od słońca. Na wszelki wypadek, gdyby na miejscu prażyło.
- Na miejscu zawsze praży. Dzięki temu moja matka ani na chwilę nie zapomina o katastrofalnych skutkach globalnego ocieplenia.
- Hmm, w Botley nikt by się nie obraził na lekkie globalne ocieplenie.
- Lepiej tego nie mów, jeśli chcesz dostać dobry pokój w Fundacji.
- W czym, złociutki?
- Moja matka założyła Fundację Transpersonalną.
- Czy to znaczy, że ten dom nie będzie twój?
- Nie będzie.
- Czy ty to słyszysz? – Blade jak wosk oblicze niańki zawisło nad Robertem, jeszcze obficiej prosząc mu w twarz drobinami kruchego ciastka.
- Robert wyczuwał irytację ojca.
- On jest stoikiem, jego to nie rusza – odezwała się matka.
- Wszyscy zakrzętnęli się jednocześnie. Margaret w kapeluszu ruszyła przodem, rodzice Roberta za nią, wlokąc walizki. Wynieśli go na zewnątrz, tam skąd bierze się światło. Był zachwycony. Świat był salą porodową pełną rozkrzyczanego życia. Pnące się gałęzie, migotliwe liście, sunące po niebie kłębiaste góry o zawiniętych brzegach topniejących w słonecznym blasku. Czuł, co myśli matka, co myśli ojciec, co myśli Margaret.
- On uwielbia chmury – powiedziała matka.

– On nie widzi chmur, kochana – orzekła Margaret. – Dzieci w tym wieku niewiele widzą.
– Może widzi je inaczej niż my, ale to nie znaczy, że nie może na nie patrzeć – stwierdził ojciec.

Margaret chrząknęła i wsiadła do warczącej taksówki.

Leżał spokojnie u matki na kolanach, ale za oknami ziemia i niebo się przesuwały. Kiedy się mocno wpatrywał w ten ruchomy obraz, wydawało mu się, że sam też się porusza. Okna domów błyskały światłem, wszystko dookoła drżało, nagle kanion budynków urwał się i na twarz Roberta padł trójkąt słonecznego blasku, nadając jego powiekom pomarańczowo-różowy kolor.

Jechali do babci, do jej domu, w którym byli teraz, tydzień po narodzinach jego brata.

Robert siedział na parapecie w swoim pokoju i bawił się znalezionymi na plaży kamyczkami. Układał je na wszystkie możliwe sposoby. Za moskitierą (z opatrunkiem na rozcięciu) widać było gęszcz dojrzałych liści rosnącego na tarasie wielkiego platana. Kiedy wiał wiatr, liście wydawały odgłos podobny do mlaskania. W razie pożaru Robert mógłby się wydostać przez okno i zejść na dół po tych zbawiennych gałęziach. Z drugiej strony, mógłby się po nich wspiąć na górę porywacz. Kiedyś Robert nigdy nie myślał o drugiej stronie; teraz myślał o niej bez przerwy. Matka mówiła, że kiedy był malutki, uwielbiał leżeć w łóżeczku pod tym platanem. Teraz leżał tam Thomas, otoczony przez rodziców.

Margaret wyjeżdżała jutro – Bogu dzięki, jak powiedział ojciec. Rodzice dali jej na koniec dzień wolnego, ale już wróciła z miasteczka i bombardowała ich wiadomościami. Robert począł przez środek pokoju, udając, że jest nią, i wrócił do okna. Wszyscy mówili, że świetnie naśladuje ludzi; jego nauczyciel powiedział nawet, że to „dość przerażający talent i lepiej, żeby nauczył się robić z niego konstruktywny użytek”. Prawdą było, że kiedy intrygowała go jakaś sytuacja, na przykład ponowne pojawienie się Margaret w jego rodzinie, chłonał wszystko jak gąbka. Przywarł do moskitiery, żeby lepiej widzieć.

– Och, ależ gorąc – rzekła Margaret, wachlując się magazynem o robótkach ręcznych. – Nie mogłam dostać w Bandol serka wiejskiego. W supermarkecie nie rozumieją ani w ząb po angielsku. Mówię kobiecie: „Serek wiejski” i pokazuję za okno. „Wiejski, rozumie pani, wieś, jak miasteczko, tylko że mniejsze”, a ona patrzy się na mnie jak wół na malowane wrota.

– Musiała być strasznie głupia – odrzekł ojciec. – Trudno o lepszą podpowiedź.

– Hmm. W końcu wzięłam trochę tych francuskich serów – oznajmiła Margaret, siadając z westchnieniem na murku. – Jak się miewa dzieciątko?

– Chyba jest bardzo zmęczony – powiedziała matka.

– Nie dziwię się, w tym upale – odparła opiekunka. – Jak Boga kocham, chyba dostałam udaru słonecznego na morzu. Spaliłam się na raka. Trzeba mu dawać mnóstwo wody, kochanie. One w tym wieku się nie pocą. To jedyny sposób, żeby go ochłodzić.

– Kolejne zdumiewające niedopatrzenie – orzekł ojciec. – Nie pocą się, nie chodzą, nie mówią, nie czytają, nie umieją prowadzić samochodu ani wypisać czeku. Żrebaki kilka godzin po urodzeniu stoją o własnych siłach. Gdyby konie interesowały się usługami bankowymi, w tydzień miałyby otwartą linię kredytową.

– Konie nie potrzebują usług bankowych – zauważyła Margaret.

– To prawda – przyznał wyczerpany ojciec.

Ekstacycznie rozśpiewane cykady na moment zagłuszyły Margaret, a Robertowi wydało się, że doskonale pamięta, jak to było, kiedy sam leżał w tym łóżeczku, w chłodnym zielonym cieniu platanów, i słuchał, jak ściana owadziego śpiewu rozpada się na pojedyncze głosy, a potem znów rośnie w suchej gorączce. Dźwięki, widoki, wrażenia – nasiąkał nimi jak ziemia deszczem. W tamtym chłodnym zielonym cieniu miał poczucie harmonii, nie dlatego, że rozumiał, jak wszystko działa, lecz dlatego, że znał swoje myśli i emocje i nie musiał ich wyjaśniać. Jeżeli miał ochotę bawić się swoimi myślami, nikt mu tego nie mógł zabronić. Kiedy leżał sobie w łóżeczku, nie byli w stanie stwierdzić, czy robi coś niebezpiecznego. Czasem sobie wyobrażał, że jest tym, na co patrzy, a czasem – że przestrzenią pomiędzy, ale najlepiej było, kiedy po

prostu patrzył, nie będąc nikiem konkretnym ani nie patrząc na nic konkretnego, a potem odpływał w tym spojrzeniu, jak wiatr, który żeby wiać, nie potrzebuje dmuchających policzków ani żadnego konkretnego celu.

Teraz braciszek w jego starym łóżeczku też pewnie odpływał. Dorośli tego nie rozumieli. To był cały problem z dorosłymi: zawsze chcieli być w centrum uwagi, ze swoimi taranami jedzenia, rozkładem drzemek i obsesją, że powinien się nauczyć tego, co oni wiedzą, i zapomnieć to, co oni zapomnieli. Robert bał się snu. Mógł coś przegapić: plażę pełną żółtych błyskotek albo skrzydełka pasikoników jak iskry przyskające spod nóg, kiedy szedł przez suchą trawę.

Uwielbiał wczasy w domu babci. Przyjeżdżali tu tylko raz w roku, ale każdego lata, odkąd się urodził. Dom babci był siedzibą Fundacji Transpersonalnej. Nie wiedział, co to znaczy, zresztą nikt chyba tego nie wiedział, nawet Seamus Dourke, który nią kierował.

– Twoja babcia to wspinała kobieta – powiedział kiedyś Robertowi z mglistym błyskiem w oku. – Pomogła wielu ludziom nawiązać łączność.

– Z czym? – spytał Robert.

– Z inną rzeczywistością.

Czasem nie dopytywał dorosłych, co mają na myśli, bo nie chciał wyjść na głupiego, a czasem po prostu wiedział, że sami wygadują głupoty. Tym razem jedno i drugie było prawdą. Myślał o tym, co powiedział Seamus, i nie rozumiał, jak może istnieć więcej niż jedna rzeczywistość. Potrafił sobie tylko wyobrazić różne stany świadomości, które rzeczywistość może pomieścić. Kiedy powiedział to matce, odparła: „Jesteś taki mądry, skarbie”, ale nie słuchała jego teorii z taką uwagą jak dawniej. Teraz nigdy nie miała czasu. Oni nie rozumieli, że naprawdę chciał poznać odpowiedź.

Pod platanem braciszek zaczął się wydzierać. Robert czekał, aż ktoś go uciszy. Poczuł, że niemowlęctwo brata eksploduje w jego pamięci niczym bomba głębinowa. Wrzaski Thomasa przypominały mu jego własną bezradność: ból gołych dziąseł, mimowolne drgania kończyn, miękkość ciemiączka, o dźgnięcie palcem od rosnącego mózgu. Pamiętał zasypujący go od rana do wieczora grad przedmiotów bez nazw i nazw bez przedmiotów, lecz było coś jeszcze, co przypominał sobie tylko mgliście: świat sprzed dzikiej banalności dzieciństwa, kiedy jeszcze nie musiał pierwszy wybiegać na dwór i psuć śniegu, zanim nawet stał się obserwatorem podziwiającym biały pejzaż z okna pokoju, kiedy jego umysł był na równi z polami bezgłośnych kryształków, wciąż nieskalany pierwszą opadłą jagodą.

Widział, jak oczy Thomasa wyrażają stany, których nie mógłby sobie wymyślić. Wyrastały na jałowej pustyni jego doświadczenia podobne do nietrwałych piramid. Skąd się brały? Raz był posapującym zwierzątkiem, a chwilę później emanował sędziwym spokojem. Robert był pewien, że nie zmyśla sobie tych skomplikowanych stanów i że Thomas też nie. Po prostu Thomas, żeby wiedzieć to, co on już wiedział, musiałby najpierw sam sobie opowiedzieć, co się z nim dzieje. A że był niemowlakiem, nie umiał się jeszcze wystarczająco skoncentrować. Robert przez jakiś czas będzie musiał to robić za niego. Od czego jest starszy brat? Robert i tak już dawno wpadł w pętlę opowiadania, więc dlaczego nie miałyby zabrać braciszka ze sobą. Tym bardziej że Thomas na swój sposób pomagał Robertowi poskładać jego historię.

Na zewnątrz Margaret znów usiłowała przekrzyczeć cykady i nawet dobrze jej to szło.

– Kobieta karmiąca piersią musi być dobrze odżywiona – zaczęła całkiem rozsądnie. – Nie macie żadnych ciastek pełnoziarnistych? Albo herbatników? Od razu mogłybyśmy kilka zjeść. Potem porządny lunch z mnóstwem węglowodanów. Nie za dużo warzyw, bo maluszek dostanie

wiatrów. Najlepiej kawał pieczeni wołowej z yorkshire puddingiem, do tego pieczone ziemniaczki, a później na podwieczorek troszkę biszkopta.

– Boże drogi, nie sądzę, żebym to wszystko zmieściła. W książce, którą czytam, zalecają grillowane ryby i grillowane warzywa – odparła jego zmęczona, chuda, elegancka matka.

– *Niektóre* warzywa owszem – mruknęła Margaret. – Ale na pewno nie cebula ani czosnek, ani nic ostrego. Jedna matka pod moją nieobecność zjadła curry! Kiedy wróciłam, dziecko wyło jak opętane. „Ratuj mnie, Margaret! Mamusia podpaliła mi układ pokarmowy!” Ja zawsze powtarzam: „Zjem trochę mięska i dwa warzywka, ale te warzywka nie są takie ważne”.

Robert paradował z T-shirtem wypchanym poduszką, udając Margaret. Czasem cudze słowa zapychały mu głowę i musiał je z siebie wyrzucić. Pochłonięty swoją rolą, nie zauważył ojca, który wszedł do pokoju.

– Co robisz? – spytał ojciec, choć się domyślił.

– Udawałem Margaret.

– Jeszcze tego nam trzeba: drugiej Margaret. Zejdź na dół na podwieczorek.

– Zaraz pęknę – odparł Robert, poklepując poduszkę. – Tato, jak Margaret wyjedzie, ja sam będę dawał mamie głupie rady, jak się opiekować dzieckiem. Za darmo.

– Coraz lepiej – rzekł ojciec i wyciągnął rękę, żeby go podnieść. Robert stęknął, przeszedł parę kroków, ślaniając się na nogach, i obaj zeszli na dół, potajemnie rozbawieni.

Po podwieczorku Robert postanowił, że nie pójdzie z rodzicami na dwór. Oni w kółko rozmawiali o jego bracie, próbowali zgadywać, jak się czuje. Wchodząc po schodach, czuł, że jego postanowienie słabnie z każdym krokiem; na półpiętrze usiadł i spoglądał w dół przez balustradę, zastanawiając się, czy rodzice w końcu zauważą, że odszedł smutny i urażony.

W holu kanciaste bloki wieczornego światła kładły się krzywo na podłodze i wpełzały na ściany. Jeden promień, odbity w lustrze, oderwał się od reszty i drżał na suficie. Thomas próbował to skomentować. Matka, która czytała w jego myślach, podeszła z nim do lustra i pokazała mu, że światło odbija się od szkła.

Ojciec wszedł do holu i podał Margaret intensywnie czerwony napój.

– Oo, ja dziękuję – odmówiła. – Po tym udarze nie chcę się doprawić alkoholem. Właściwie to czuję się jak na wczasach, a nie w pracy, tyle robicie przy małym. O, patrz, jak się przegląda w lustrze. – Nachyliła ku Thomasowi różowo błyszczącą twarz. – Nie wiesz, gdzie jesteś, co? Tu czy tam.

– Myślę, że jednak wie, że jest w swoim ciele, a nie w tafli szkła – odezwał się ojciec Roberta.

– Jeszcze nie czytał eseju Lacana o fazie lustra, wtedy dopiero zaczniesz sobie łamać głowę.

– Oj, w takim razie może lepiej zostać przy Piotrusiu Króliku – zaśmiała się Margaret i upiła trochę czerwonego napoju.

– Bardzo bym chciał pobyć z wami na powietrzu – rzekł ojciec – ale muszę odpisać na milion ważnych listów.

– Ooo, tatuś będzie odpisywał na ważne listy – powiedziała opiekunka, zionąc Thomasowi w twarz czerwonym zapachem. – Muszą ci wystarczyć mamusia i Margaret.

Ruszyła rozkołysanym krokiem w stronę drzwi frontowych. Romb światła zniknął z sufitu i znów się pojawił. Rodzice spoglądali na siebie w milczeniu.

Kiedy wyszli na dwór, Robert wyobraził sobie, jak Thomas odczuwa ogrom przestrzeni wokół siebie. Zszedł po cichu do połowy schodów i spojrział przez drzwi. Żółte światło znaczyło wierzchołki sosen i białe jak kość kamienie w gaju oliwnym. Matka, wciąż bosa, przeszła po trawie i usiadła pod ich ulubionym drzewem pieprzowym. Skrzyżowała nogi, lekko unosząc

kolana, i umieściła braciszka w hamaku utworzonym przez spódnicę, przytrzymując go jedną ręką i głaszcząc po boku drugą. Powiewające jasne listki cętkowały jej twarz cieniem.

Robert, nie mogąc znaleźć swojego miejsca, z ociąganiem wyszedł na zewnątrz. Ponieważ nikt go nie zawołał, skręcił za róg domu, jakby od początku zamierzał pójść nad staw i popatrzeć na złote rybki. Obejrzawszy się za siebie, zobaczył kijek z brokatowymi kółkami, który Margaret kupiła jego bratu na karuzeli w Lacoste. Tkwił w ziemi obok drzewa pieprzowego, złote, różowe, niebieskie i zielone kółka kręciły się na wietrze. „Kolor i ruch – powiedziała Margaret, kiedy go kupiła – one to uwielbiają”. Robert porwał kijek z wózka brata i biegał dookoła karuzeli, żeby kółka się obracały. Wymachując nim w powietrzu, niechcący złamał kijek i wszyscy się zezłościли w imieniu braciszka, który nie zdążył się nacieszyć swoim błyszczącym wiatraczkiem. Ojciec zadawał Robertowi mnóstwo pytań, a właściwie jedno pytanie na wiele różnych sposobów, jak gdyby Robert powinien dla własnego dobra przyznać, że zepsuł zabawkę umyślnie. A może jesteś zazdrosny? A może jesteś zły, że Thomas jest w centrum uwagi i ma tyle nowych zabawek? A może to? A może tamto? Jak myślisz? Przecież powiedział, że to było niechcący. Bo zrobił to niechcący, mimo że nienawidził brata, choć wcale nie chciał go nienawidzić. Czy jego rodzice zapomnieli, jak to było, kiedy byli we trójkę? Kochali się tak mocno, że kiedy jedno wychodziło z pokoju, pozostałym robiło się przykro. Dlaczego nie mogli mieć jednego dziecka? Nie wystarczył im? Coś z nim było nie tak? Pamiętał, jak siadali razem na trawie, tam gdzie teraz był jego brat, i rzucali sobie czerwoną piłkę (ukrył ją; przynajmniej tego mu Thomas nie odbierze), i nieważne, czy ją złapał, czy upuścił, i tak wszyscy się śmiali i było cudownie. Jak mogli chcieć to popsuć?

Może był za duży. Może niemowlaki były fajniejsze. Niemowlaki wszystkim się zachwycały. Na przykład stawem, do którego wrzucał kamyki. Widział, jak matka zanosi Thomasa nad brzeg, pokazuje palcem rybę i mówi: „Ryba”. Na Robertcie to by nie zrobiło wrażenia. Zastanawiał się zresztą, skąd jego brat ma wiedzieć, czy chodzi o staw, o wodę, o wodorosty, o chmury odbite w wodzie, czy o ryby, o ile w ogóle je widział. I skąd miał wiedzieć, że „ryba” to rzecz, a nie kolor albo coś, co się robi?

Kiedy znało się już słowa, mogło się wydawać, że świat jest wszystkim, co daje się opisać, ale świat to były też rzeczy, których nie da się opisać. W pewnym sensie najlepiej było wtedy, kiedy nic nie dawało się opisać. Po narodzinach brata Robert zaczął się zastanawiać, jak to było, kiedy miał tylko swoje myśli i nic więcej. Człowiek, który wpadł w język, mógł już tylko tasować zatłuszczonej talię kilku tysięcy słów, z której korzystały wcześniej miliony ludzi. Czasem zdarzały się powiewy świeżości, nie dlatego, że udało się uchwycić życie, jakim ono jest, lecz kiedy z całego tego myślenia powstawało nowe życie. Tyle że jeszcze zanim myśli wymieszały się ze słowami, niebo jego uwagi bez przerwy eksplodowało jasnymi rozbłyskami zachwyty.

Nagle usłyszał krzyk matki.

– Coś ty mu zrobiła?

Popędził za róg tarasu i zobaczył ojca wybiegającego z domu. Margaret leżała na trawniku z Thomasem na piersiach.

– Spokojnie, kochana, nic się nie stało – powiedziała. – Zobacz, już nawet nie płacze. To był kontrolowany upadek na pupę, wzięłam cały ciężar na siebie, mam to przećwiczone. Nie wiem, czy nie złamałam sobie palca, ale nie szkodzi, nie ma co żałować starej głupiej Margaret, ważne, że dziecko jest całe.

– Pierwszy raz powiedziałaś coś mądrego – rzekła matka, która nigdy nie była niemą. Wzięła Thomasa z rąk Margaret i pocałowała go kilka razy w czoło. Była cała sztywna ze złości, ale

czułość pocałunków szybko zagłuszyła w niej gniew.

– Nic mu nie jest? – spytał Robert.

– Chyba nic – odparła.

– Nie chcę, żeby stała mu się krzywda – powiedział Robert i poszli razem w stronę domu, zostawiając Margaret na ziemi, gadającą do siebie.

Na drugi dzień rano wszyscy schowali się przed Margaret w sypialni rodziców. Po południu ojciec miał ją odwieźć na samolot.

– Chyba powinniśmy zejść na dół – powiedziała matka. Zapięła Thomasowi pajacyk i wzięła małego na ręce.

– Nie – jęknął głośno ojciec i rzucił się na łóżko.

– Nie bądź dzieckiem.

– Od posiadania dzieci się dziecinnieje, nie zauważyłaś?

– Nie mam czasu dziecinnieć, to przywilej ojców.

– Znalazłabyś czas, gdybyś mogła liczyć na fachową pomoc.

– No, chodź. – Matka wyciągnęła w stronę ojca wolną rękę.

Chwycił ją lekko, ale nie wstawał.

– Nie mogę się zdecydować, co jest gorsze – powiedział. – Rozmowa z Margaret czy słuchanie jej.

– Słuchanie – zagłosował Robert. – I dlatego jak sobie pojedzie, będę cały czas ją udawał.

– Wielkie dzięki – powiedziała matka. – Zobacz, twój pomysł jest tak zwariowany, że nawet Thomas się uśmiecha.

– To nie uśmiech, kochana – zachnął się Robert – to wiatry rozdymają mu jego małe jelitka.

Wszyscy się roześmiali.

– Cśśś, bo usłyszysz – szepnęła matka, lecz było za późno, Robert postanowił ich rozbawić. Podszedł do matki rozkołysanym krokiem ułatwiającym chód.

– Nie próbuj mydlić mi oczu wiedzą naukową, kochana. To mleko w proszku, które mu dajesz, może pochodzić nawet od organicznych kóz, ale ja widzę, że mu szkodzi. Kiedy byłam w Arabii Saudyjskiej – w domu księżniczki, nawiasem mówiąc – powiedziałam: „Nie mogę pracować z takim mlekiem, muszę mieć Cow and Gate Gold Standard!”, a oni na to: „Margaret, ufamy całkowicie twojemu doświadczeniu”, i natychmiast sprowadzili mleko z Anglii prywatnym odrzutowcem.

– Jak ty to wszystko zapamiętujesz? – zdziwiła się matka. – Przerażasz mnie. Powiedziałam jej kiedyś, że nie mamy prywatnego odrzutowca.

– Dla nich pieniądze w ogóle nie były tematem – ciągnął dalej Robert, dumnie zadzierając podbródek. – Któregoś dnia rzuciłam zupełnie *mimochodem*, że księżniczka ma ładne pantofle. I co? Ani się obejrzałam, a identyczne czekały na mnie w pokoju. Tak samo było z aparatem fotograficznym księcia. Bardzo mnie to kłopotowało, prawdę mówiąc. Za każdym razem powtarzałam sobie: „Margaret, musisz się nauczyć trzymać język za zębami”. – Robert pokiwał palcem, usiadł z ciężkim westchnieniem obok ojca na łóżku i mówił dalej: – Ale potem samo mi się wyrwało: „Och, jaki piękny szal, kochana; jaki cudowny mięciutki materiał”, i oczywiście wieczorem znajdowałam taki sam na swoim łóżku. Skończyło się na tym, że musiałam kupić nową walizkę.

Rodzice starali się być cicho, ale nie mogli przestać chichotać. Kiedy się przed nimi

popisywał, prawie nie zwracali uwagi na Thomasa.

– Teraz jeszcze trudniej będzie nam zejść na dół – powiedziała matka, dołączając do nich na łóżku.

– Obawiam się, że to niemożliwe – rzekł ojciec. – Drzwi są otoczone polem siłowym.

Robert podbiegł do drzwi i udał, że odbija się od niewidzialnej przeszkody.

– Ach – zawołał – to pole Margaret. Nie przedostaniemy się przez nie, kapitanie.

Turlał się chwilę po ziemi, po czym wdrapał się z powrotem na łóżko.

– Jesteśmy jak ci goście w *Aniele zagłady* – zauważył ojciec. – Może utkniemy tu na kilka dni. Może będzie nas musiało uratować wojsko.

– Musimy się wziąć w garść – powiedziała matka. – Postarajmy się, żeby jej pobyt dobiegł końca w miłej atmosferze.

Nikt się nie ruszył.

– Jak myślisz, dlaczego tak trudno nam stąd wyjść? – spytał ojciec. – Myślisz, że robimy z Margaret kozła ofiarnego? Czujemy się winni, że nie potrafimy uchronić Thomasa przed cierpieniem, jakie niesie ze sobą życie, więc udajemy, że to Margaret jest przyczyną; coś w tym stylu.

– Nie komplikuj, skarbie – odparła matka. – To najnudniejsza osoba, jaką znamy, i nie sprawdza się jako opiekunka Thomasa. Dlatego nie chcemy jej oglądać.

Cisza. Thomas zasnął, więc wszyscy rozumieli, że trzeba być cicho. Rozłożyli się wygodnie na łóżku. Robert się wyciągnął, oparł głowę na złożonych dłoniach i przyglądał się belkom stropu. Jego wzrok wydobywał z drewna znajome wzory plam i sęków. Profil mężczyzny ze spiczastym nosem, w hełmie, z początku ukazywał mu się, tylko kiedy Robert sobie tego życzył, lecz po którymś razie nie chciał się już wtopić z powrotem w słoje, policzki mu się zapadły, a spojrzenie stało się dzikie. Robert dobrze znał ten sufit, bo często pod nim leżał, kiedy jeszcze był to pokój babci. Rodzice przenieśli się tutaj, kiedy babcię zabrano do domu opieki. Pamiętał stare zdjęcie w srebrnej ramce, które stało na jej biurku. Ciekawiło go, bo zrobiono je, kiedy babcia miała kilka dni. Niemowlę na fotografii tonęło w futrach, satynie i koronkach, a na głowie miało związany turban ozdobiony mnóstwem paciorków. Jej oczka spoglądały z jakimś fanatycznym natężeniem, jakby w panice, że matka pogrzebała ją pod stertą zakupów.

– Trzymam to zdjęcie tutaj – wyjaśniła mu – żeby mi przypominało tamte chwile, kiedy dopiero co przyszłam na świat i byłam bliżej źródła.

– Jakiego źródła? – spytał.

– Bliżej Boga – odparła wstydliwie.

– Ale nie wyglądasz na bardzo szczęśliwą.

– Myślę, że wyglądam, jakbym jeszcze nie zapomniała. Ale masz trochę racji, chyba nigdy do końca się nie zadomowiłam na planie materialnym.

– Na jakim planie materialnym?

– Na Ziemi – wyjaśniła.

– Wołałabyś mieszkać na Księżycu?

Uśmiechnęła się i pogłaskała go po policzku.

– Kiedyś zrozumiesz.

Teraz zamiast zdjęcia na biurku leżał przewijak, a obok niego sterta pieluch i miseczka z wodą.

Robert nadal kochał babcię, mimo że nie chciała im zostawić domu. Jej twarz była pajęczyną zmarszczek od starania się, by być dobrą, od troski o bardzo ważne sprawy, takie jak planeta

albo wszechświat, albo miliony cierpiących ludzi, których nie znała, albo oczekiwania Boga wobec niej. Wiedział, że ojciec wcale nie uważa jej za dobrą osobę, a to, że bardzo chciała nią być, niewiele dla niego znaczyło. Powtarzał Robertowi, że muszą kochać babcię „mimo wszystko”. Stąd Robert wiedział, że ojciec już jej nie kocha.

– Czy on zapamięta ten upadek na całe życie? – spytał zapatrzony w sufit.

– Oczywiście, że nie – odparł ojciec. – Nikt nie pamięta, co mu się przydarzyło, kiedy miał kilka tygodni.

– Ja pamiętam.

– Wszyscy musimy go teraz uspokoić – odezwała się matka, zmieniając temat, jakby nie chciała wytykać Robertowi kłamstwa. Ale Robert nie kłamał.

– Nie trzeba go uspokajać – powiedział ojciec. – Nie stała mu się żadna krzywda, więc nie wie, że nie powinien lądować na niezdarnym cielsku Margaret. To my się najedliśmy strachu, bo wiemy, czym to groziło.

– I dlatego trzeba go uspokoić – odparła – bo on wyczuwa, kiedy jesteśmy zdenerwowani.

– Zgoda, do pewnego stopnia – przyznał ojciec – ale generalnie dzieci żyją w demokracji obcości. Co chwila coś się dzieje po raz pierwszy. Niespodzianką jest to, że pewne rzeczy się powtarzają.

Niemowlaki są super, pomyślał Robert. Można o nich mówić, co tylko się chce, bo nie zaprzeczają.

– Już dwunasta – westchnął ojciec.

Walczyli ze swoim zniechęceniem, lecz próby opuszczenia pokoju wciągały ich tylko głębiej w ruchome piaski materaca. Robert chciał ich zatrzymać jeszcze na chwilę.

– Nieraz – zaczął marzycielsko, naśladowując ton Margaret – kiedy mam przerwę w zatrudnieniu i przez kilka tygodni siedzę w domu, zaczynam nerwowo przebierać palcami. Tak bardzo mam ochotę dorwać się do kolejnego dziecka. – Chwycił Thomasa za nóżkę i zaczął wydawać odgłosy chrupania.

– Delikatnie – zwróciła uwagę matka.

– Ale Robert ma rację – stwierdził ojciec. – Ona jest uzależniona od niemowląt. Potrzebuje ich bardziej niż one jej. Niemowlęta mają prawo być nieświadome i zachłanne, więc się nimi zasłania.

Zmuszenie się do spędzenia kolejnej godziny życia w towarzystwie Margaret kosztowało ich tyle trudu, że poczuli się oszukani, nie zastawszy jej na dole. Matka poszła do kuchni, a Robert usiadł z ojcem i Thomasem na kanapie. Leżący pośrodku Thomas wpatrywał się milcząco w obraz na ścianie bezpośrednio nad sofą. Robert położył głowę obok głowy brata i okazało się, że pod tym kątem nie widać samego obrazu, bo jest za szkłem. Pamiętał, że jego też to fascynowało, kiedy był niemowlakiem. Patrząc na odbicie w szkle, zanurzał się w przestrzeni, którą miał za sobą. Widział tam doskonałą, olśniewająco jasną miniaturę drzwi, a za drzwiami jeszcze mniejszy, choć tak naprawdę większy, krzew oleandrowy o kwiatach, które na szkle wyglądały jak punkciki różowego światła. Zawęził swoją uwagę do jednego punktu na horyzoncie między gałązkami oleandra, a potem jego wyobraźnia przeniknęła dalej, w prawdziwe niebo, tak że jego umysł przypominał dwa stożki stykające się czubkami. Był tam razem z Thomasem, a właściwie Thomas był tam razem z nim, lecieli na tej plamce światła ku nieskończoności. Potem kwiaty zniknęły i jakiś nowy obraz wypełnił otwór drzwi.

– Przyszła Margaret – rzekł Robert.

Ojciec się odwrócił, a Robert patrzył, jak opiekunka toczy się ku nim ciężko i smutnie.

Zatrzymała się w odległości paru kroków.

- Nic się nie stało – ni to zapytała, ni to oznajmiła.
 - Chyba nie – potwierdził ojciec.
 - To nie będzie miało wpływu na moje referencje, prawda?
 - Jakie referencje? – spytał ojciec.
 - Aha, rozumiem – powiedziała Margaret, trochę zraniona, trochę zła i pełna godności.
 - Zjemy lunch? – zaproponował ojciec.
 - Dziękuję, nie będę nic jadła.
- Podeszła do schodów i rozpoczęła mozolną wspinaczkę.
Nagle Robert nie mógł tego dużej znieść.
- Biedna Margaret – powiedział.
 - Biedna Margaret – powtórzył za nim ojciec. – Co my bez niej zrobimy?

Robert patrzył, jak na kamiennym stole mrówka znika za spotniałą butelką białego wina. Skroplona wilgoć spłynęła nagle po ściance butelki, zostawiając gładki ślad na zroszonym szkłe. Mrówka pojawiła się znowu, powiększona przez jasnozielone szkło, przebierała nogami, próbując błyszczącego ziarenka cukru, który Julia rozsypała, słodząc kawę po lunchu. Dookoła granie cykad rozbrzmiewało coraz głośniejsze, wpadając i wypadając z rytmu łopotania markizy.

Matka i Thomas mieli sjęstę, a Lucy oglądała film na wideo, ale Robert został na zewnątrz, mimo że Julia prawie go zmusiła, żeby dołączył do Lucy.

– Większość ludzi czeka na śmierć rodziców z mieszaniną ogromnego smutku i radości na myśl o nowym basenie – mówił ojciec do Julii. – A ponieważ ja nie mam szans na basen, pomyślałem, że smutek też mogę sobie darować.

– A gdybyś udawał, że jesteś szamanem? Może wtedy byś odziedziczył ten dom.

– Niestety, jestem jedną z niewielu osób na tej planecie pozbawionych jakichkolwiek mocy uzdrawiających. Wiem, że cała reszta właśnie odkrywa w sobie szamana, ale ja pozostaję niewolnikiem materialistycznej koncepcji wszechświata.

– A słyszałeś o czymś takim jak hipokryzja? Koło mnie jest taki sklep, nazywa się Tęczowa Droga, mogę ci kupić bęben i trochę piór.

– Już czuję dziwne mrowienie w koniuszkach palców – odparł ojciec. – Ja też mam wyjątkowy dar, który mogę ofiarować plemieniu. Wcześniej nie zdawałem sobie sprawy ze swoich niezwykłych zdolności mediumicznych.

– No widzisz – rzekła Julia. – Ani się obejrzyysz, a zostaniesz szefem.

– Samo zajmowanie się rodziną sprawia mi wystarczająco dużo trudności, a ty chcesz, żebym jeszcze zbawiał świat.

– Opieka nad dziećmi bywa rodzajem kapitulacji – stwierdziła Julia, uśmiechając się surowo w stronę Roberta. – Dzieci stają się tymi zdrowymi, tymi normalnymi, odroczeniem szczęścia, tymi, które nie będą za dużo piły, poddawały się, rozwodziły, chorowały psychicznie. Ta część człowieka, która walczyła z upadkiem i depresją, przestawia się na chronienie przed upadkiem i depresją jego dzieci. A tymczasem on sam pogrąża się w upadku i depresji.

– Nie zgadzam się. Kiedy walczysz tylko o siebie, stajesz się zacięta.

– To bardzo przydatna cecha – przerwała mu Julia. – Dlatego ważne jest, aby nie być zbyt dobrym dla swoich dzieci, bo wtedy nie poradzą sobie w prawdziwym świecie. Jeżeli chcesz, żeby twoje dzieci zostały, dajmy na to, producentami telewizyjnymi albo dyrektorami dużych firm, nie ma sensu napychać im głów mrzonkami o zaufaniu, prawdomówności i dotrzymywaniu słowa. Bo wtedy zostaną czyjąś sekretarką.

Robert postanowił, że spyta matkę, czy to prawda, czy po prostu Julia była, hm, sobą. Co roku przyjeżdżała do nich z Lucy, swoją dość nadętą córką, o rok starszą od niego. Wiedział, że matka nie przepada za Julią, bo Julia była kiedyś dziewczyną taty. Matka była o nią troszkę zazdrosna, a trochę nią znudzona. Julia nie umiała przestać chcieć, żeby ludzie myśleli, że jest mądra. „Ludzie naprawdę mądrzy po prostu myślą na głos – powiedziała mu matka. – A Julia myśli o tym, czy to, co mówi, brzmi mądrze”.

Julia zawsze chciała, żeby Robert i Lucy robili wszystko razem. Wczoraj Lucy próbowała go pocałować. Dlatego teraz Robert nie miał ochoty oglądać z nią filmu. Bał się, że jego przednie

zęby nie wytrzymają drugiego takiego zderzenia. Teoria, według której powinien spędzać dużo czasu z dziećmi w swoim wieku, nawet jeśli ich nie lubi, natrafiła na przeszkodę. Czy ojciec zaprosiłby kobietę na podwieczorek tylko dlatego, że miała czterdzieści dwa lata?

Julia znów bawiła się cukrem, przesypywała go łyżeczką w cukiernicze.

– Odkąd się rozwiodłam z Richardem – powiedziała – miewam okropne zawroty głowy. Nagle czuję się tak, jakbym nie istniała.

– Ja też tak mam! – zawołał Robert, podekscytowany, że wybrali temat, na który miał coś do powiedzenia.

– W twoim wieku – odparła Julia – to bardzo pretensjonalne. Może tylko słyszałeś, jak dorośli o tym rozmawiali?

– Nie – oznajmił urażony do żywego. – Naprawdę tak mam.

– To krzywdzące, co powiedziałaś – rzekł ojciec do Julii. – Robert zawsze był nad wiek wyczulony na grozę. Co nie przeszkadza mu być szczęśliwym dzieckiem.

– Trochę jednak przeszkadza – poprawił go Robert – kiedy to się dzieje.

– Aha, kiedy się dzieje – ustąpił ojciec z łagodnym uśmiechem.

– Rozumiem – zapewniła Julia, kładąc swoją dłoń na dłoni Roberta. – Skoro tak, to witaj w klubie, skarbie.

Robert nie chciał być w jednym klubie z Julią. Czuł gęsią skórę na całym ciele, bo marzył, żeby zabrać rękę, ale nie chciał być niegrzeczny.

– Zawsze uważałam, że dzieci są prostsze niż my – oznajmiła Julia, przynosząc dłoń na przedramię jego ojca. – My jesteśmy jak lodolamacze torujące sobie drogę ku kolejnym obiektom naszego pragnienia.

– Czy może być coś prostszego niż torowanie sobie drogi ku kolejnym obiektom pragnienia?

– Nietorowanie sobie drogi.

– To wyrzeczenie. Wcale nie takie proste, jak się wydaje.

– Żeby to było wyrzeczeniem, trzeba najpierw czegoś pragnąć.

– Dzieci pragną wielu rzeczy – zauważył ojciec – ale chyba masz rację, tak naprawdę liczy się dla nich jedno: być blisko tych, których kochają.

– Normalne dzieci chcą jeszcze oglądać *Poszukiwaczy zaginionej arki* – dodała Julia.

– My się łatwiej rozpraszamy – ciągnął dalej ojciec, ignorując jej wtrącenie – jesteśmy bardziej oswojeni z kulturą substytucji, łatwiej nam zwątpić w to, kogo właściwie kochamy.

– Naprawdę? – odparła z uśmiechem Julia. – No proszę.

– Do pewnego stopnia – rzekł ojciec.

Robert nie bardzo wiedział, o czym teraz rozmawiają, lecz Julia jakby poweselała. Substytucja musi być czymś fajnym, pomyślał. Zanim zdążył zapytać, co to słowo oznacza, rozległ się czyjś głos, ciepły i irlandzki.

– Halo? Dzień dobry?

– O Boże – wymamrotał ojciec. – Idzie szef.

– Patrick! – zawołał serdecznie Seamus. Zbliżał się do nich w koszuli w palmy i tęcze. – Robert! – przywitał się z nim, energicznie czochrając mu włosy. – Miło mi poznać – zwrócił się do Julii, mocno ściskając jej dłoń i obrzucając ją szczerym spojrzeniem błękitnych oczu. Na pewno nie można mu było zarzucić, że jest niemły.

– Ach, uwielbiam to miejsce – powiedział – jest po prostu śliczne. Czasem tu siadamy po sesji, kiedy wszyscy śmieją się albo płaczą, albo po prostu chcą pobyć sami ze sobą. To punkt mocy, bez dwóch zdań, oczyszczające miejsce. O tak – westchnął, jakby zgadzał się z czyimś

trafnym spostrzeżeniem. – Byłem świadkiem, jak ludzie pozbywali się tutaj ogromnego balastu.

– À propos pozbywania się balastu. – Ojciec zwrócił mi to określenie, trzymając je za rożek niczym cudzą chusteczkę. – Otworłem szufladę mojego stolika nocnego i nie miałem gdzie wcisnąć paszportu, tyle tam było broszur o „uzdawianiu bębniem”. Poza tym mam w szafie kilkaset egzemplarzy *Drogi szamana*. W tym wypadku jest to prosta droga do bałaganu w pokoju. Jak myślisz – ciągnął chłodno i szybko – czy te ślady działalności instytucjonalnej mogłyby zniknąć przed naszym przyjazdem? W końcu moja matka życzy sobie, aby w sierpniu dom wracał do swojego poprzedniego wcielenia i służył rodzinie.

– Naturalnie, naturalnie – rzekł Seamus. – Przepraszam cię, Patricku. To pewnie Kevin i Anette. Przed wyjazdem do Irlandii weszli w bardzo głęboki proces osobisty i najwyraźniej nie zachowali należytej staranności, robiąc porządki.

– Ty też się wybierasz do Irlandii?

– Nie, będę w chatce przez cały sierpień. Pegasus Press poprosiło mnie o napisanie krótkiej książki o pracy szamana.

– Naprawdę? – włączyła się Julia. – To fascynujące. Sam jesteś szamanem?

– Zająłem do tej książki, która blokuje mi szafę – powiedział ojciec – i nasuwa mi się kilka oczywistych pytań. Czy przez dwadzieścia lat byłeś uczniem syberyjskiej wiedźmy-uzdrowicielki? Czy w trakcie krótkiego lata zbierałeś rzadkie rośliny przy blasku księżyca w pełni? Czy zostałeś pogrzebany żywcem i umarłeś dla świata? Czy w gryzącym dymie z ognisk mamrotałeś modlitwy do duchów, prosząc je o pomoc w ratowaniu umierającego człowieka? Czy piłeś mocz karibu jedzących czerwone muchomory i wyprawiałeś się do innych światów, by rozwiązać zagadkę trudnej diagnozy? A może czerpałeś nauki od *ayahuasceros* w dorzeczu Amazonki?

– Otóż – odparł Seamus – uczyłem się na pielęgniarskiej służbie zdrowia.

– To pewnie z grubsza odpowiada zakopaniu żywcem – skomentował ojciec.

– Pracowałem przez wiele lat w domu opieki, wykonywałem tam najbardziej podstawowe czynności: myłem pacjentów umazanych własnym kałem i moczem, karmiłem łyżeczką starców, którzy nie byli już w stanie jeść samodzielnie.

– Błagam – odezwała się Julia. – Dopiero co skończyliśmy lunch.

– Tak wyglądała moja codzienność. Czasem się zastanawiałem, czemu nie poszedłem na studia, nie zrobiłem dyplomu lekarza, ale teraz, patrząc z perspektywy czasu, doceniam te wszystkie lata w domu opieki. Mam dzięki nim lepszy kontakt z rzeczywistością. Kiedy odkryłem Oddychanie Holotropowe i pojechałem do Kalifornii na warsztaty ze Stanem Grofem, poznałem kilka mocno ekscentrycznych osób. Pamiętam zwłaszcza jedną staruszkę; miała sukienkę w kolorze zachodzącego słońca, wstała i powiedziała: „Jestem Tamara z układu Vega, przybyłam na Ziemię uzdrawiać i nauczać”. Pomyślałem wtedy o tych wszystkich starych ludziach w domu opieki w Irlandii i byłem im wdzięczny, że nauczyli mnie twardo stąpać po ziemi.

– Czy to oddychanie holo... jak je tam nazwałeś, to jakaś technika szamańska? – zaciekała się Julia.

– Niezupełnie. To było jeszcze, zanim wszedłem w szamanizm, ale wszystko się ze sobą łączy. Chodzi o kontakt człowieka z niewidzialnym światem, z innym wymiarem. Taki kontakt potrafi być początkiem radykalnej zmiany życiowej.

– Nie rozumiem tylko – odparła Julia – dlaczego to się liczy jako działalność dobroczynna. Ludzie, którzy tu przyjeżdżają, płacą za swój pobyt, prawda?

– Płacą, owszem – przyznał Seamus – ale cały zysk idzie na dalszą działalność, na przykład na stypendia dla uczniów, takich jak Kevin i Anette, którzy uczą się praktyk szamanistycznych. Zaczęli nawet przywozić tutaj grupki młodzieży z biednych osiedli w Dublinie. Pozwalamy im odbywać kursy za darmo. To wspaniałe uczucie, obserwować ich przemianę. Są zachwyceni transową muzyką i bębnieniem. Podchodzą do mnie i mówią: „Seamus, to jest niesamowite, jak odlot po narkotykach, tylko bez narkotyków”, a potem wracają z tym przesłaniem do siebie i zakładają własne grupy szamanistyczne.

– Czy potrzebujemy organizacji zajmujących się dostarczaniem doświadczeń psychodelicznych? – odezwał się ojciec. – Tyle mamy problemów na świecie. To, że ten i ów nie miewa halucynacji, wydaje mi się mało palącą kwestią. Poza tym, jeśli ludzie chcą mieć odlot, czy nie lepiej, zamiast walić w bębny, dać im porządną dawkę kwasu?

– Od razu widać, że jest prawnikiem – rzekł pogodnie Seamus.

– Nie mam nic przeciwko temu, żeby ludzie mieli różne zainteresowania – dodał ojciec. – Uważam tylko, że powinni je pogłębiać w zaciszu własnych domów.

– Niestety, Patricku – odparł Seamus – nie wszystkie domy są zaciszne.

– Wiem coś o tym. To co, możemy wynieść część tych książek, reklam, broszur i tak dalej?

– Pewnie, pewnie.

Ojciec i Seamus wstali i Robert zrozumiał, że zostanie sam z Julią.

– Ja wam pomogę! – zawołał, ruszając za nimi przez taras. Ojciec pierwszy wszedł do holu i prawie natychmiast się zatrzymał.

– Te powiewające ulotki reklamujące inne centra, instytuty, kółka uzdrowicielskie i kursy gry na bębnach to raczej nie jest oferta, którą ja i moja rodzina bylibyśmy zainteresowani. Właściwie cała ta tablica ogłoszeniowa – mówił dalej, zdejmując ją ze ściany – mimo ładnej korkowej powierzchni i kolorowych pinezek nie wydaje mi się tutaj niezbędna.

– Nie ma problemu. – Seamus wziął tablicę w ramiona.

Robert czuł, że choć na zewnątrz ojciec zachowuje idealny spokój, to jednak w środku zatruwają go wściekłość i pogarda. Z przejrzeniem Seamusa było trudniej, otaczała go jakaś chmura, lecz w końcu, brnąc po omacku, Robert doszedł do strasznego wniosku: Seamus współczuł ojcu. Zdawał sobie sprawę ze swojej władzy i dlatego mógł sobie pozwolić na to, by pobłażać furii zdradzonego dziecka. Ta obrzydliwa litość chroniła go przed wściekłością Patricka. Robert natomiast miał wrażenie, jakby znalazł się między rękawicą a workiem treningowym. Wystraszony i niepotrzebny, wymknął się frontowymi drzwiami, podczas gdy ojciec prowadził Seamusa ku jego kolejnym grzechom.

Na dworze cień domu sięgał rabat kwiatowych na skraju tarasu, co jakaś podświadoma część jego umysłu automatycznie odczytała jako znak, że jest już po trzeciej. Cykady trzeszczały nadal. Robert widział bez patrzenia, słyszał bez słuchania; nie myślał i zdawał sobie z tego sprawę. Jego uwaga, zwykle przeskakująca z jednego przedmiotu na drugi, odpoczywała. Testował jej opór, ale niezbyt mocno, wiedząc, że gdyby zechciał, pewnie znów mógłby latać jak kula bilardowa. Jego umysł był lustrzaną taflą stawu, która leniwie powtarza wzory, w jakie układają się chmury.

Ciekawe, że wyobrażając sobie staw, zaczął burzyć trans, który do niego porównywał. Miał teraz ochotę pójść nad staw u szczytu schodów, na końcu podjazdu, gdzie w kamiennym półokręgu, pod osłoną refleksów, chowały się złote rybki. Właśnie tak; zamiast chodzić po domu z ojcem i Seamusem wolał rzucać okruszki do wody i czekać, aż wiatraczek śliskich pomarańczowych rybek zburzy jej powierzchnię. Pobiegł do kuchni, chwycił kawałek starego

chleba i popędził po schodach na górę.

Ojciec mówił, że zimą źródło tryska z rury i spada z hukiem między pierzchające ryby; woda się przelewa i spływa do stawów położonych niżej, a na końcu – do strumienia biegnącego w bruździe wzdłuż doliny. Robert bardzo chciał to kiedyś zobaczyć. W sierpniu staw był już tylko w połowie pełny. Z rury obrośniętej brodą z glonów kapało do zielonkawej wody. Nad jej ciepłą, zakurzoną powierzchnię zlatywały się osy, szerszenie i ważki, siadały na liściach nenufarów, z których bezpieczniej piło się wodę. Złote rybki były niewidzialne, dopóki nie zwabiło się ich jedzeniem. Najlepsza metoda polegała na pocieraniu dwóch kawałków czerstwego chleba, aż rozpadały się na drobne suche okruszki. Kulki chleba tonęły, ale okruszki unosiły się na powierzchni jak kurz. Najpiękniejsze rybki, te, które najbardziej chciał zobaczyć, miały czerwone i białe plamki. Pozostałe były w różnych odcieniach pomarańczowego, z wyjątkiem kilku małych czarnych, które później musiały albo zmieniać kolor na pomarańczowy, albo umierać, bo dużych czarnych nie było wcale.

Rozłamał chleb i pocierał jeden kawałek o drugi, patrząc, jak deszcz okruszków ląduje i rozprasza się na wodzie. I nic.

Prawda była taka, że tylko raz widział kłębiącą się chmurę rybek; od tamtej pory albo nic się nie działo, albo do kołyszących się tonących okruszków podpływała leniwie jedna rybka.

– Rybki! Rybki! Cip-cip! Rybki! Rybki!

– Przyzywasz swoje zwierzęta mocy? – odezwał się ktoś za jego plecami.

Robert zamilkł i prędko się odwrócił. Seamus stał przed nim z dobrotliwym uśmiechem na twarzy, jego tropikalna koszula płonęła w słońcu.

– Rybki! Rybki! – zawołał.

– Właśnie je karmiłem – wymamrotał Robert.

– Czujesz, że masz z nimi szczególną więź? – zapytał Seamus, nachylając się bliżej. – Tym właśnie jest zwierzę mocy. Pomaga ci w twojej wędrówce przez życie.

– Mnie wystarczy, że są po prostu rybami – oświadczył Robert. – Nie muszą mi w niczym pomagać.

– Ryby, na przykład, przynoszą nam wiadomości z głębin, spod powierzchni rzeczy. – Seamus wykonał falujący ruch dłonią. – Ach, to naprawdę magiczna okolica. – Cofnęła zgięte w łokciach ramiona i zamknawszy oczy, pokręcił głową na boki. – Mój własny punkt mocy jest o, tam, w lasku, koło wanienki dla ptaków. Znasz to miejsce? Pokazała mi je twoja babcia, dla niej też było szczególne. To właśnie tam odbyłem moją pierwszą wędrówkę, połączyłem się z niezwykłą rzeczywistością.

Robert nagle uświadomił sobie, że nie cierpi Seamusa, i w tej samej chwili zrozumiał, że nie mogło być inaczej.

Seamus otoczył usta dłońmi i ryknął:

– Rybki! Rybki!

Robert chciał go zabić. Gdyby miał samochód, toby go rozjechał. Gdyby miał siekiere, toby go zarąbał.

Usłyszał, że ktoś otwiera górne drzwi, potem skrzypnęły drzwi z moskitierą i wyszła z nich matka z Thomasem na rękach.

– A, to ty. Cześć, Seamus – powiedziała uprzejmie. – Usłyszałam cię w półśnie i bardzo się zdziwiłam, skąd się wziął pod naszym oknem sprzedawca ryb.

– Próbowaliśmy je przywołać – wyjaśnił Seamus.

Robert podbiegł do matki. Usiadła z nim na murku na brzegu stawu, w pewnej odległości od

Seamusa, i przechyliła Thomasa, pokazując mu wodę. Robert miał wielką nadzieję, że ryby nie wypłyną właśnie teraz, bo Seamus pewnie by pomyślał, że to zasługa jego niezwykłych mocy. Biedny Thomas, może nigdy nie zobaczy pomarańczowej chmary ani dużych rybek z czerwonymi i białymi plamkami. Seamus zabierze mu staw, las, wanienkę dla ptaków i cały ten krajobraz. Jak się nad tym zastanowić, to niestety Thomas od chwili narodzin był atakowany przez własną babcię. W ogóle nie była dla niego babcią, prędzej macochą z bajki, rzucającą zły czar na dziecko w kołysce. Jak mogła pokazać Seamusowi wanienkę dla ptaków w lasku? Poklepał Thomasa opiekuńczo po głowie. Thomas się zaśmiał tym swoim zaskakująco głębokim, gardłowym śmiechem i Robert zdał sobie sprawę, że jego brat nie ma pojęcia o rzeczach, które jego doprowadzają do szału, i że wcale nie musi się o nich dowiedzieć, chyba że Robert mu powie.

Josh Packer, kolega z klasy, postanowił (nie pytając Roberta o zdanie), że będą przyjaciółmi. Nikt poza nim nie rozumiał, dlaczego stali się nierozłączni, a już na pewno nie Robert. Gdyby mógł się choć na chwilę uwolnić od Josha, pewnie zaprzyjaźniłby się z kimś innym, ale Josh chodził za nim jak cień na placu zabaw, przepisywał od niego dyktanda i zaciągał go do siebie na podwieczorki. Po lekcjach Josh oglądał telewizję i nie robił nic innego. Miał sześćdziesiąt pięć kanałów, podczas gdy Robert tylko te darmowe. Rodzice Josha byli bardzo, bardzo bogaci, więc Josh często dostawał niesamowite zabawki, zanim ktokolwiek o nich usłyszał. Na ostatnie urodziny kupili mu prawdziwego elektrycznego jeepa z odtwarzaczem DVD i małym telewizorkiem. Jeździł nim po ogrodzie, niszcząc kwiaty i usiłując rozjechać Arniego, swojego psa. W końcu wpadł w krzaki i siedzieli razem w deszczu, oglądając film na telewizorku. Kiedy odwiedził Roberta w jego mieszkaniu, krytykował jego żałosne zabawki i narzekał, że się nudzi. Robert próbował z nim wymyślać zabawy, ale Josh nie umiał niczego wymyślać. Potrafił tylko udawać przez trzy sekundy postać z telewizji, a potem przewracał się i wołał: „Umarłem!”.

Wczoraj Jilly, matka Josha, zadzwoniła i powiedziała, że wynajęli z Jimem na cały sierpień fantastyczny dom w Saint-Tropez, więc może Robert wpadnie do nich z rodziną na jeden dzień, będzie wesoło. Rodzice uznali, że dobrze mu zrobi dzień zabawy z rówieśnikiem. I że dla nich to też przygoda, bo rodziców Josha widzieli tylko raz, na szkolnych zawodach sportowych. Nawet wtedy sobie nie porozmawiali, bo Jim i Jilly byli zajęci nagrywaniem konkurencyjnych filmików z biegów Josha. Jilly pokazała im później, że na jej kamerze można puścić nagranie w zwolnionym tempie, nie wiadomo po co, bo Josh i tak przybiegł ostatni.

Teraz, w drodze, ojciec strasznie psioczył za kierownicą. Po wyjeździe Julii zrobił się o wiele bardziej marudny. Nie mógł uwierzyć, że spędzają cenny dzień wakacji w korku, w upale, na wjeździe do tego „słynnego na cały świat pseudomiasta”.

Robert siedział obok Thomasa, który podróżował w jego starym foteliku, zwrócony w złym kierunku, tak że widział tylko poplamione oparcie tylnego siedzenia. Robert czekał i wspinał się po nodze Thomasa małym pluszowym pieskiem. Thomas w ogóle się nie zainteresował. Dlaczego miałby go interesować pies? – pomyślał Robert. Nigdy nie widział prawdziwego. Chociaż gdyby nadal ciekawiły go tylko rzeczy, które już kiedyś widział, wciąż wirowałyby mu przed oczami światła sali porodowej.

Kiedy wreszcie odnaleźli właściwą ulicę, Robert pierwszy zauważył rustykalny kafelek z pochyłym napisem *Les Mimosas*. Dudniąc po karbowanym betonie, dotarli na parking niemal całkiem zastawiony przez prywatną wystawę motoryzacyjną Jima: czarny range rover, czerwone ferrari, stary kremowy kabriolet z popękana skórzaną tapicerką i wielkimi chromowanymi zderzakami. Ojciec zaparkował ich peugeota obok wielgachnego kaktusa, który wytykał na wszystkie strony swoje ząbkowane języki.

– Neoromańska willa udekorowana przez wielbicielkę schyłkowego, syfilitycznego Gauguina – orzekł ojciec. – Czego chcesz więcej? – Zaczął naśladować aksamitny głos lektora reklamowego: – „Położony w najbardziej prestiżowym grodzonym osiedlu San Trope, zaledwie sześć godzin drogi od legendarnego zwierzęcego cmentarza Brigitte Bardot...”.

– Skarbie – przerwała mu matka.

Ktoś zapukał w szybę.

– Jim! – serdecznym tonem zawołał ojciec, otwierając okno.

– Właśnie jedziemy kupić trochę nadmuchiwanych rzeczy do basenu – powiedział Jim, opuszczając kamerę, którą filmował ich przyjazd. – Może Robert chciałby pojechać z nami?

Robert spojrział na Josha, rozwalonego na tylnym siedzeniu range rovera. Prawie na pewno grał w grę na game boyu.

– Nie, dziękuję – odparł. – Pomogę rozpakować auto.

– No, no, ładnie go wyszkoliliście! – rzekł Jim. – Jilly wygrzewa się koło basenu. Ścieżką w ogrodzie do samego końca.

Przeszli przez białą kolumnadę upstrzoną pacyficznymi malowidłami, a potem po gąbczastym trawniku w stronę basenu, doskonale ukrytego pod flotyllą dmuchanych żyraf, wozów strażackich, piłek, samochodów wyścigowych, hamburgerów, myszek Miki, myszek Minnie oraz psów Goofy, ojciec skrzywiony od ciężaru fotelika, w którym Thomas nadal smacznie spał, matka objuczona torbami jak muł. Jilly leżała w stuporze na biało-żółtym leżaku między dwójką lśniących nieznajomych, wszyscy troje mieli na głowach peruki z kabli od walkmanów i telefonów komórkowych. Ocknęła się, kiedy ojciec rzucił cień na jej spieczoną twarz.

– O, cześć! – zawołała, wyjmując słuchawki z uszu. – Przepraszam, byłam we własnym świecie.

Wstała się przywitać, lecz na widok Thomasa zatoczyła się do tyłu, przyciskając rozcapierzoną dłoń do piersi.

– O mój Boże – jęknęła – ale wasz nowy dzidziulek jest piękny. Wybacz, Robertcie – wpiła się długimi błyszczącymi paznokciami w jego ramiona, jakby się bała, że Robert się przewróci – nie chcę podsycać rywalizacji między rodzeństwem, ale twój braciszek jest naprawdę wyjątkowy. Prawda, że jesteś wyjątkowy? – zagruchała, zawisając nad Thomasem. – Będziesz o niego śmiertelnie zazdrosna – ostrzegła matkę. – Wszystkie dziewczyny będą mu się rzucały do stóp. I te rzesy! Planujecie kolejne? Gdyby mój tak wyglądał, miałabym co najmniej szóstkę. Chyba jestem trochę zachłanna, co? Ale nic na to nie poradzę, jest śliczny. Aż zapomniałam was przedstawić Christine i Rogerowi. Nie żeby mieli o to żal. Patrzcie, oni są we własnym świecie. Hej, wstawać! – Udała, że kopie Rogera. – Roger jest partnerem biznesowym Jima – wyjaśniła – a Christine pochodzi z Australii. Jest w czwartym miesiącu ciąży.

Potrząsnęła Christine.

– O, hej. Przyjechali już?

Jilly przedstawiła ich sobie.

– Właśnie mówiłam, że jesteś w ciąży.

– A, tak. Chociaż ciągle nie chce nam się wierzyć – rzekła Christine. – Czuję się po prostu troszkę cięższa, jakbym wypila cztery litry wody mineralnej. Nie mam nawet porannych mdłości. Parę dni temu Roger pyta mnie: „Chcesz pojechać w styczniu na narty? I tak muszę być wtedy w Szwajcarii służbowo”, a ja: „Pewnie, czemu nie”. Oboje zapomnieliśmy, że mam wtedy termin porodu!

Jilly zawyła ze śmiechu i przewróciła oczami.

– Sama nie wiem, czy to roztargnienie, czy coś więcej – powiedziała Christine. – Swoją drogą, ciąża naprawdę psuje mózg.

– Spójrz na nich – rzekła Jilly, wskazując na ojca i matkę Roberta – aż zaniemówili. Są kochającymi rodzicami.

– My też! – zaprotestowała Christine. – Przecież wiesz, jakiego mamy fioła na punkcie

Megan. To nasza dwuletnia córka – wyjaśniła gościom. – Zostawiliśmy ją u mamy Rogera. Właśnie odkryła wściekłość; wiecie, jak to jest, dziecko odkrywa nową emocję, wyciska z niej wszystko, co się da, i bierze się za kolejną.

– To ciekawe – powiedział ojciec. – Czyli twoim zdaniem emocje nie mają związku z samopoczuciem dziecka, są jak warstwy na wykopalisku archeologicznym. Kiedy dzieci odkrywają radość?

– Kiedy zabierasz je do Legolandu – odparła Christine.

Roger zbudził się lekko nieprzytomny i położył rękę na słuchawce w uchu.

– O, cześć. Przepraszam, ktoś do mnie dzwoni.

Wstał i zaczął przemierzać trawnik.

– Przywieźliście swoją nianię? – spytała Jilly.

– Nie mamy niani – odparła matka.

– Odważnie. Nie wiem, co bym zrobiła bez Jo. Jest z nami dopiero tydzień, a już stała się częścią rodziny. Może się zająć waszymi, jest wspaniała.

– Bardzo lubimy sami się nimi zajmować – rzekła matka.

– Jo! – zawołała Jilly. – Jooo!

– Powiedz im, że to mieszany portfel akcji branży wypoczynkowej – mówił Roger. – Na tym etapie nie podawaj im więcej szczegółów.

– Jo! – powtórzyła Jilly. – Leniwa suka. Nic nie robi, tylko przegląda kolorowe gazety i obżera się lodami Ben & Jerry. Trochę jak jej pracodawczyni, he, he, tylko że mnie to kosztuje fortunę, a ona dostaje za to pieniądze!

– Nie obchodzi mnie, co powiedzieli Nigelowi – zachnął się Roger. – Nic im do tego. Niech nie wtykają nosa w nie swoje sprawy.

Zjawił się Jim; kroczył dumnie po trawniku rozpromieniony po udanych zakupach. Klocowaty Josh szedł za nim, powłócząc nogami. Jim wyjął nożną pompkę i rozwinął na płaskich kamieniach obok basenu plastikową skórę kolejnej nadmuchiwanej zabawki.

– Co mu kupiłeś? – spytała Jilly, spoglądając wściekle w stronę domu.

– Tego loda, którego tak bardzo chciał, pamiętasz – odparł Jim, pompując truskawkowy rożek. – I Króla Lwa.

– I karabin maszynowy – dodał pedantycznie Josh.

Jim ruchem brody wskazał Rogera.

– Kontrola skarbowa – powiedział do ojca Roberta. – Nie dają mu spokoju. Nie zdziw się, jak przy lunchu poprosi cię o poradę prawną.

– Nie pracuję na urlopie – odparł ojciec.

– Nie na urlopie też niewiele pracujesz – zauważyła matka.

– Oj, czyżby konflikt w małżeństwie? – rzucił Jim, filmując znikające zmarszczki na truskawkowym rożku.

– Jo! – wrzasnęła Jilly.

– Idę – odpowiedziała, wychodząc z domu, duża piegowata dziewczyna w szortach khaki. Szła po trawie sprężystym krokiem, na jej T-shircie podskakiwał napis „Gotowa na wszystko”.

Thomas obudził się z głośnym płaczem. Nic dziwnego. Kiedy zasypiał, był w samochodzie ze swoją kochaną rodziną, a teraz otaczali go hałaśliwi nieznajomi z wielkimi czarnymi plamami zamiast oczu; nerwowe stado lśniących potworów rozpychało się w chlorowanym powietrzu, a kolejny nadymał się u jego stóp. Robert też nie mógł tego znieść.

– Kto jest głodnym chłopczykiem? – Jo pochyliła się nad Thomasem. – Ach, jaki on śliczny –

zwróciła się do matki Roberta. – Wygląda mi na starą duszę.

– Posadź tych dwóch przed telewizorem i puść im jakiś film – powiedziała Jilly – żebyśmy mieli trochę ciszy i spokoju. I przyślij Gastona z butelką różowego. Pokochasz Gastona – rzekła do matki Roberta. – To geniusz. Prawdziwy francuski szef kuchni w starym stylu. Od przyjazdu przytyłam jakieś dwadzieścia kilo, a to było tydzień temu! Ale nie szkodzi. Po południu przyjedzie nam na ratunek Heinrich, mój osobisty trener, kawał Niemca, daje solidny wycisk. Może ze mną poćwiczysz? To dobry sposób na odzyskanie figury po ciąży. Chociaż wyglądasz świetnie.

– Masz ochotę obejrzeć film? – spytała Roberta matka.

– Pewnie – odparł, chcąc być wszędzie, tylko nie tutaj.

– Pływanie – zauważył ojciec – i tak chyba odpada, biorąc pod uwagę ilość nadmuchanego jedzenia w basenie.

– No, chodźcie! – Jo wyciągnęła ramiona, jakby oczekiwała, że Josh i Robert chwycą ją za ręce i ruszą w podskokach przez łąkę. – Nikt mi nie da ręki? – zanosła się udawanym szlochem.

Josh podał jej swoją pulchną dłoń, lecz Robert zdołał obronić swoją wolność i szedł w niewielkiej odległości za Jo, zafascynowany jej pękatym zadem w kolorze khaki.

– Wkraczamy do jaskini filmowej – oznajmiła Jo i zaczęła wydawać przerażające odgłosy. – No dobrze! Co chcecie obejrzeć? Tylko bez kłótni.

– *Przygody Sindbada Żeglarza!* – zawołał Josh.

– Znowu! Chryste! – westchnęła Jo i Robert nie mógł się z nią nie zgodzić. Lubił oglądać dobre filmy pięć albo sześć razy, ale kiedy znał już na pamięć wszystkie dialogi i każda scena była jak szuflada pełna identycznych skarpetek, zaczynał się zniechęcać. Josh był inny. Do nowych filmów pchał go jakiś ponury głód i dopiero po mniej więcej dwudziestu obejrzeniach zaczynał odczuwać prawdziwy entuzjazm. Miłość, uczucie, którym gospodarował oszczędnie, była zarezerwowana dla *Przygód Sindbada Żeglarza*, które widział już ponad sto razy, w tym wiele, zbyt wiele razy z Robertem. Filmy były jego marzeniami, a marzeniem Roberta była samotność. Jak mógł się wydostać z jaskini wideo? Kiedy jest się dzieckiem, nie da się być samemu. Gdyby teraz uciekł, zorganizowano by poszukiwania, znaleźliby go i zabawili na śmierć. Może po prostu poleży i pomyśli, a pożyczona wyobraźnia Josha niech sobie miga na ścianie. Szum przewijanej taśmy zaczął zwalniać, Josh usiadł ciężko we wgnieceniu, które zrobił, oglądając film do śniadania, i zaczął chrupać rozrzucone na stoliku jaskrawopomarańczowe serowe chrupki. Jo włączyła film, zgasiła światło i po cichu wyszła. Josh nie był wandalą przewijaczem: ostrzeżenia przed piractwem, zwiastuny filmów, które już widział, reklamy zabawek, które dawno wyrzucił, informacje o ograniczeniach wiekowych, wszystko to nie przemykało w przyspieszonym tempie jak niezliczone brzydkie przedmięcia, zanim pociąg zanurzy się w krowią melancholię prawdziwej wsi, lecz otrzymywało należną porcję uwagi, nie odmawiano im godności, co Robertowi ani trochę nie przeszkadzało – zbyt dobrze znał te bzdury, które wylewały się z ekranu, by cokolwiek mogło go teraz rozproszyć.

Zamknął oczy i pozwolił zniknąć piekielnym scenom znad basenu. Po kilku godzinach z innymi ludźmi musiał w taki czy inny sposób pozbyć się spiętrzonych wrażeń: udając różne osoby, starając się zrozumieć mechanizmy rządzące światem albo zwyczajnie próbując opróżnić umysł. W przeciwnym razie wrażenia osiągały masę krytyczną i Robert czuł się, jakby miał eksplodować.

Czasem, kiedy leżał w łóżku, pojedyncze słowo, jak „strach” albo „nieskończoność”, zrywało dach z domu i wysało go w głąb nocy, poza gwiazdy powyginane w niedźwiedzice i wozy,

w zupełny mrok, gdzie nie było niczego, tylko uczucie nicości. Malutka kapsuła jego intelektu rozpadała się, lecz nadal czuł jej płonące krawędzie, jej pękający kadłub, a kiedy całkiem się rozleciała, był tymi rozlatującymi się kawałkami, a kiedy one rozpadły się na atomy, był samym rozlatywaniem się i zamiast słabnąć, rósł w siłę, niczym jakaś przewrotna zła energia karmiąca się pustką, aż cały kosmos stawał się jednym wielkim napędzanym pustką ruchem i nie było w nim miejsca na ludzki umysł; a mimo to on wciąż tam był, wciąż czuł.

Potem na nogach jak z waty i ze ściśniętym gardłem biegł do sypialni rodziców. Zrobiłby wszystko, żeby to się nie powtórzyło, podpisałby każdy cyrograf, złożył każdą przysięgę, ale wiedział, że to na nic, wiedział, że zobaczył coś prawdziwego i że nie może tego zmienić, może to tylko chwilowo zignorować, wypłakać się w ramionach matki, która z powrotem nałoży dach i nauczy go miłszych słów.

To nie tak, że był nieszczęśliwy. Po prostu coś zobaczył i czasem to coś wydawało mu się prawdziwsze niż cała reszta. Pierwszy raz to zobaczył, kiedy jego babcia dostała wylewu. Nie chciał jej opuszczać, a ponieważ prawie w ogóle nie była w stanie mówić, przez większość czasu próbował sobie wyobrazić, co ona czuje. Wszyscy mówili, że trzeba być lojalnym, więc starał się nie zniechęcać. Długo trzymał ją za rękę, a ona ścisnęła jego dłoń. Nie podobało mu się to, ale jej nie puścił. Widział, że jest wystraszona. Oczy miała przyćmione. Jakaś część jej duszy czuła ulgę: zawsze miała kłopot z porozumiewaniem się, a teraz nikt tego od niej nie wymagał. Jakaś jej część już odeszła, może wróciła do źródła, w każdym razie była daleko od planu materialnego, któremu nigdy nie ufała. Robert mógł się jednak wczuć w tę część, która została i zastanawiała się, czy naprawdę dba o te wszystkie sekrety, teraz, kiedy już nie może ich wyjawiać. Pod wpływem choroby babcia rozsypała się jak dmuchawiec na wietrze. Zastanawiał się, czy jego też to czeka, czy zostanie z niego kilka ziarenek na złamanej łydźce.

– To mój ulubiony fragment – powiedział oczarowany Josh. Piraci wdzierali się na pokład statku Sindbada. Okrętowa papuga zaatakowała twarz najokrutniejszego z piratów. Zatoczył się, nie wiedząc, co się dzieje, a ludzie Sindbada bez trudu wypchnęli go za burtę. Radośnie skrzecząca papuga na chwilę wypełniła ekran.

– Hmm – powiedział Robert. – Słuchaj, wróć za minutę.

Josh w ogóle nie zauważył jego wyjścia. Na korytarzu Robert rozejrzał się za Jo, ale nigdzie jej nie było. Wrócił tą samą drogą, którą przyszli, a kiedy stanął przed drzwiami do ogrodu, zobaczył, że dorosłych nie ma już przy basenie. Wyślizgnął się na dwór i skręcił za róg, na tyły domu. Zadbany trawnik kończył się dywanem sosnowych igieł i kilkoma kubłami na śmieci. Robert usiadł niepilnowany przez nikogo i oparł plecy o pofałdowaną korę sosny.

Zastanawiał się, kto marnuje najwięcej czasu w gościnie u Packersów, nie licząc samych Packersów, którzy zawsze marnowali więcej czasu niż ktokolwiek inny i mieli na to dowody w postaci filmów. Thomas miał dopiero sześćdziesiąt dni, więc dla niego była to największa strata czasu, ponieważ jeden dzień stanowił jedną sześćdziesiątą jego życia, podczas gdy ojciec, który miał czterdzieści dwa lata, marnował tutaj najmniejszy kawałek swojego życia. Robert próbował obliczyć, ile to jest jeden dzień w życiu każdego z nich. Trudno było to policzyć w pamięci, dlatego wyobraził sobie różnej wielkości kółka w zegarze. Potem zaczął się zastanawiać, w jaki sposób uwzględnić odwrotny fakt: to, że Thomas miał całe życie przed sobą, a rodzice sporą jego część za sobą, przez co jeden dzień był dla Thomasa mniejszym marnotrawstwem, ponieważ jemu zostało więcej dni. Wymagało to wprowadzenia nowego zestawu kółek, już nie srebrnych, ale czerwonych; kółko taty kręciło się bez przerwy, a kółko Thomasa cykało statecznie raz na jakiś czas. Trzeba było jeszcze uwzględnić osobno dla

każdego różne rodzaje cierpień i korzyści, ale to niesamowicie komplikowało cały mechanizm, stwierdził więc, za jednym zbawiennym zamachem, że wszyscy cierpią po równo i że nikt nie ma z tego żadnej przyjemności, a co za tym idzie, wartość tego dnia wynosi okrągłe zero. Odetchnąwszy z ulgą, zaczął wyobrażać sobie połączenia między tymi dwoma zestawami kółek. Całość wyglądała prawie jak wielka lokomotywa z Muzeum Nauki, z tą różnicą, że po jednej stronie wysuwał się papier z wykresem marnowania. Wynikało z niego, że on, Robert, marnuje najwięcej czasu ze wszystkich. Przeraziło go to i zarazem sprawiło mu pewną satysfakcję. Zaraz potem usłyszał straszny głos Jo wykrzykujący jego imię.

Na chwilę zastygł nieruchomo. Sęk w tym, że chowanie się tylko zwiększało gorączkową determinację szukających. Postanowił zachowywać się jak gdyby nigdy nic i wyszedł zza rogu akurat w chwili, kiedy Jo po raz drugi ryknęła: „Robert!”.

– Cześć – powiedział.

– Gdzieś ty był? Wszędzie cię szukałam.

– Niemożliwe, bobyś mnie znalazła.

– Nie wymądrzaj się, młody człowieku. Pokłóciłeś się z Joshem?

– Nie wiem, czy w ogóle można się pokłócić z tą kluchą.

– Josh nie jest kluchą. To twój przyjaciel.

– Wcale nie.

– Pokłóciliście się.

– Wcale nie.

– Tak czy siak, nie wolno ci tak znikać.

– Dlaczego?

– Bo wszyscy się o ciebie martwimy.

– Ja się martwię o rodziców, kiedy znikają, ale to ich nie powstrzymuje – zauważył. – I bardzo dobrze.

Był zdecydowanie górą w tej rozmowie. Mógłby zastępować ojca na sali rozpraw w razie nagłej konieczności. Wyobraził sobie, jak w peruce przekonuje sędziów do swojego punktu widzenia, lecz wtedy Jo kucnęła przed nim i zajrzała mu głęboko w oczy.

– Twoi rodzice często cię zostawiają? – spytała.

– Raczej rzadko – odparł, ale zanim zdążył dodać, że najdłużej oboje byli poza domem może trzy godziny, porwała go w ramiona i przycisnęła do napisu „Gotowa na wszystko”, nie do końca dla niego zrozumiałego. Musiał z powrotem wetknąć koszulkę w spodnie, bo wyciągnęła mu ją, głaszcząc go czule po plecach.

– Co to znaczy „Gotowa na wszystko”? – zapytał, kiedy udało mu się złapać oddech.

– Nieważne – odparła, robiąc wielkie oczy. – Chodź! Pora na lunch!

Wprowadziła go do środka. Teraz, kiedy byli już praktycznie kochankami, nie mógł się wymigać od chodzenia za rękę.

Przy stole lunchowym stał mężczyzna w fartuchu.

– Gaston, ależ ty nas rozpieszczasz – powiedziała z wyrzutem Jilly. – Od samego patrzenia na te tarty przybieram pięć kilo. Powinieneś mieć swój program w telewizji. Vous sur le television, Gaston, zarobisz beaucoup de monnaie. Fantastique!

Na stole tłoczyły się butelki różowego wina, w tym dwie puste, oraz rozmaite custardowe tarty: tarta z kawałkami szynki; tarta z kawałkami cebuli; tarta pokryta rulonikami pomidorów; tarta pokryta rulonikami cukinii.

Tylko karmiony piersią Thomas mógł się czuć bezpieczny.

– A więc udało ci się przygonić zgubę – rzekła Jilly. Machnęła ręką jak batem i zaczęła śpiewać piosenkę: – Biczem strzel! W stado gnaj! Trzask-prask!¹

Roberta przeszły ciarki zażenowania. Bycie Jilly musiało być smutne.

– On jest chyba przyzwyczajony do samotności? – zwróciła się Jo do jego matki.

– Bywa sam, kiedy ma na to ochotę – odparła matka, nie wiedząc, że w mniemaniu Jo jej syn właściwie kwalifikuje się do sierocińca.

– Właśnie mówiłam twoim rodzicom, że powinni cię zabrać do prawdziwego Świętego Mikołaja – oznajmiła Jilly, nakładając jedzenie. – Rano concord z Gatwick do Laponii, przesiadka do podstawionych skuterów śnieżnych i ziuu, po dwudziestu minutach zajeżdżacie pod grotę Świętego Mikołaja. Dzieci dostają od niego prezent, wracacie concordem i jesteście w domu przed kolacją. Laponia leży na kole podbiegunowym, więc Mikołaj z Harrodsa może się schować.

– To na pewno bardzo pouczająca wycieczka – przyznał ojciec – ale obawiam się, że pierwszeństwo ma chesne.

– Josh chyba by nas zamordował, gdybyśmy go nie zabrali – rzekł Jim.

– Wcale mnie to nie dziwi – odparł ojciec.

Josh wydał odgłos potężnego wybuchu i uderzył pięścią w powietrze.

– Przebijam się przez barierę dźwięku! – wykrzyknął.

– Na którą tartę masz ochotę? – spytała Roberta Jilly.

Wszystkie wyglądały tak samo nieapetycznie.

Spojrzał na matkę, której miedziane włosy opadały spiralą ku ssącemu pierś Thomasowi, i poczuł, że matka i brat łączą się ze sobą jak mokra glina.

– Chcę to samo co Thomas – odpowiedział. Wcale nie zamierzał powiedzieć tego na głos, ale jakoś tak wyszło.

Jim, Jilly, Roger, Christine, Jo i Josh zaczęli rzeć jak stado osłów. Roger, kiedy się śmiał, wyglądał jeszcze groźniej.

– Dla mnie mleko z piersi, raz – rzuciła Jilly, po pijacku wznosząc swoją szklankę.

Rodzice uśmiechali się do niego współczująco.

– Obawiam się, staruszkule, że to już nie wróci – rzekł ojciec. – Ja też chciałbym być młodszy, ale nie sądziłem, że u ciebie to się zacznie tak wcześnie. W twoim wieku człowiek zwykle chce być starszy.

Matka posadziła go na brzegu swojego krzesła i pocałowała w czoło.

– To całkiem normalne – zapewniła ich Jo, pamiętając, że nie mają bladego pojęcia o dzieciach. – Tylko one rzadko kiedy mówią o tym wprost. – Pozwoliła sobie na ostatnie rozbawione czknięcie.

Robert wyłączył się i patrzył na brata. Buzia Thomasa pracowała, nieruchomiła i znów zaczynała pracować, wyciskając mleko z piersi matki. Robert chciał się tam znaleźć, zwinąć się w kłębek zmysłów, zanim posiądzie wiedzę o rzeczach, których nie widział na własne oczy – długość Nilu, rozmiary Księżyca, przepisowe stroje na herbatce bostońskiej – zanim dorośli zaczną go bombardować swoją propagandą, zanim sam zacznie mierzyć nią własne doświadczenie. Chciał się tam znaleźć, ale chciał, żeby towarzyszyło mu tym razem poczucie własnego ja, ten ukradkowy świadek czegoś, co nie miało świadków. Thomas nie był świadkiem robionych przez siebie rzeczy, on je tylko robił. Dołączenie do niego w tej chwili było zadaniem równie niemożliwym jak zrobienie fikołka bez poruszania się. Często się nad tym zastanawiał i choć nigdy nie doszedł do wniosku, że mogłoby to zrobić, to jednak poczucie niemożliwości

słabło, kiedy napręzał mięśnie wyobraźni, jak skoczek na skraju trampoliny tuż przed skokiem. Tylko tyle mógł: zanurzyć się w atmosferze wokół Thomasa, obmyć się z chęci obserwacji, zbliżając się do ziemi, na której żył Thomas i na której on też kiedyś żył. Teraz było to jednak trudne, bo Jilly znów się go uczepiła.

– Może zostaniesz z nami, Robert? – zaproponowała. – Jo mogłaby cię jutro odwiedzić. Lepiej, żebyś pobawił się z Joshem, niż wracał do siebie i był zazdrosny o braciszka.

Robert rozpaczliwie ścisnął nogę matki.

W końcu zjawiał się Gaston, odciągając uwagę Jilly deserem: górą śluzowatego budyniu w kałuży karmelu.

– Gaston, ty nas zrujnujesz – jęknęła Jilly i trzepnęła go w ten jego niepoprawny nadgarstek, który tylko by ubijał jajka.

Robert nachylił się bliżej matki.

– Wracajmy już, *blagam* – szepnął jej do ucha.

– Zaraz po lunchu – odszepnęła.

– Pewnie cię błaga? – spytała gospodyni, marszcząc nos.

– Owszem.

– Pozwólcie mu zostać do jutra – nalegała Jilly.

– Będzie miał tu dobrą opiekę – dodała Jo, jakby to była dla niego nowość.

– Niestety nie możemy. Musimy odwiedzić jego babcię w domu opieki – odparła matka. Nie wspomniała, że wybierają się tam dopiero za trzy dni.

– To ciekawe – wtrąciła Christine – ale Megan jak na razie w ogóle nie sprawia wrażenia zazdrosnej.

– Trzeba dać jej czas – rzekł ojciec. – Odkryła dopiero wściekłość.

– No tak – zaśmiała się Christine. – Może to dlatego, że nie do końca przyznaję się do ciąży.

– To na pewno pomaga – odparł ojciec z westchnieniem. Widać było, że jest okropnie znudzony. Zaraz po lunchu wyjechali od Packersów z pośpiechem rzadko spotykanym poza remizą strażacką.

– Umieram z głodu – oświadczył Robert, gdy samochód wspinał się w górę podjazdu.

Wszyscy się roześmiali.

– Nie to, żeby cię krytykował za wybór przyjaciół – rzekł ojciec – ale może po prostu kupmy wideo?

– Ja go nie wybrałem – zaprotestował Robert. – Sam się do mnie przykleił.

Wypatrzyli przydrożną restaurację i zjedli w niej późny lunch złożony z doskonałej pizzy, sałatek i soku pomarańczowego. Biedny Thomas znów musiał ssać pierś. Nigdy nie dostawał nic innego, tylko mleko, mleko, mleko.

– Najbardziej podobała mi się opowieść o domu w Londynie – powiedział ojciec. Przybrał idiotyczny ton, niezbyt podobny do głosu Jilly, ale dobrze oddający jej sposób bycia. – „Kiedy go kupiliśmy, wydawał nam się ogromny, ale jak urządziliśmy apartament dla gości, pokój do ćwiczeń, saunę, gabinet i salkę kinową, okazało się, że wcale nie ma tam aż tyle przestrzeni”. Na co im ta przestrzeń? Chyba na przestrzeń. To taki specjalny rodzaj przestrzeni. Jak wrócimy do Londynu i pójdziemy spać do szafy, wisząc na wieszakach jak rodzina nietoperzy, pamiętajmy, że tym, co nas dzieli od prawdziwej cywilizacji, nie jest kilka dodatkowych pokoi, ale przestrzeń na przestrzeń. „Mówię Jimowi – wrócił do naśladowana Jilly – mam nadzieję, że nas na to stać, bo lubię nasz styl życia, restauracje, wczasy, zakupy, i nie zamierzam z tego rezygnować. Ale Jim zapewnia mnie, że stać nas na jedno i drugie”. A to mnie zabiło: „On dobrze wie, że jeśli nie

będzie nas stać, to się z nim rozwiodę”. Co za niewiarygodna kobieta. Ona nawet nie jest atrakcyjna.

– Jilly jest super – powiedziała matka. – Ale Christine i Roger jako aktorzy drugoplanowi też byli niczego sobie. Mówię, że w ciąży mówiłam do swoich dzieci, a Christine na to – tu matka przybrała piskliwy australijski akcent: – „Zaraz, zaraz! Dziecko jest dzieckiem, jak się urodzi. Nie będę mówiła do mojej ciąży. Roger zawiózłby mnie do wariatkowa”.

Robert wyobraził sobie, jak matka mówiła do niego, kiedy był w jej łonie. Oczywiście nie rozumiał sensu kryjącego się za tymi niewyraźnymi sylabami, ale na pewno czuł przepływający między nimi prąd, skurcz strachu, napiętą gotowość. Thomas wciąż był blisko tych transfuzji uczuć; Robert dostawał już tylko wyjaśnienia. Thomas nadal rozumiał ten cichy język, który Robert prawie całkiem utracił, odkąd dzikie obrzeża jego umysłu znalazły się we władaniu imperium słów. Tylko czekać, aż brat zacznie z radosnym krzykiem zbiegać z tego wzgórza, na którym stał, nabierać prędkości, nabierać wzrostu, nabierać coraz więcej słów i coraz to więcej wyjaśnień. Myśląc o nim, Robert oglądał się za siebie, opuszczał na chwilę miecz i dostrzegał wszystko to, co sam stracił. Tak się dał porwać budowaniu zdań, że prawie zapomniał o tamtych barbarzyńskich dniach, kiedy myślenie było jak lądujący na kartce kolorowy kleks. Patrząc wstecz, nadal to widział: te pełne życia chwile, które teraz będą się wydawały przerwami – kiedy pierwszy raz rozsuwa się zasłony i wszędzie jest śnieg, a człowiek nabiera powietrza i na chwilę wstrzymuje oddech. Nie dało się już tego odzyskać, ale można było przynajmniej zwolnić, można było przysiąść i podziwiać widok.

– Uciekajmy z tego smutnego miasta – rzekł ojciec, wychylając filiżankę kawy.

– Muszę go najpierw przewinąć – odparła matka, podnosząc wypchaną torbę w błękitne króliczki.

Robert spojrział z góry na Thomasa, który leżał wciśnięty w fotelik, gapiąc się na rysunek żaglówki, nie wiedząc, co to rysunek ani co to żaglówka, i poczuł dramat bycia olbrzymem uwięzionym w małym, nieudolnym ciele.

Szli długimi, łatwymi do mycia korytarzami domu opieki; wśród pisku gumowych podeszew pielęgniarki milczenie jego rodziny wydawało się bardziej komiczne, niż było. Minęli otwarte drzwi świetlicy, gdzie ryczący telewizor maskował innego rodzaju ciszę. Zmięci, bladzi jak papier pensjonariusze siedzieli w rzędach. Gdzie ta śmierć, ile można czekać? Jedni wyglądali na bardziej wystraszonych niż znużonych, drudzy na bardziej znużonych niż wystraszonych. Z pierwszych odwiedzin Robert pamiętał jasne figury geometryczne na ścianach. Pamiętał, jak sobie wyobrażał, że wierzchołek podłużnego żółtego trójkąta wbija mu się w klatkę piersiową, a ostry brzeg czerwonego półokręgu przecina mu szyję.

W tym roku pierwszy raz przyjechali do babci z Thomasem. Babcia prawie nie mówiła, ale Thomas też nie. Może się jakoś dogadają.

Kiedy weszli do pokoju, babcia siedziała w fotelu przy oknie. Za szybą, zbyt blisko okna, wznosił się gruby pień lekko żółknącej topoli, a dalej – niebieskawy żywopłot z cyprysów, zasłaniający część parkingu. Na widok rodziny babcia ułożyła twarz w uśmiech, ale jej oczy, zastygłe w bólu i osłupieniu, nie brały w tym udziału. Kiedy rozwarła usta, Robert zobaczył poczerwiałe, połamane zęby. Nie wyglądały, jakby mogły cokolwiek pogryźć. Być może dlatego jej ciało tak zmizerniało od poprzedniej wizyty.

Wszyscy po kolei pocałowali babcię w miękki i trochę włochaty policzek. Potem matka zbliżyła do niej Thomasa, mówiąc:

– To jest Thomas.

Wyraz twarzy babci lawirował między uczuciem obcości a bliskości. Patrząc jej w oczy, Robert odnosił wrażenie, jakby mknęła po zasnutym niebie, od czasu do czasu pojawiając się w prześwicie, by po chwili zanurkować między gęstniejące woale i znów zniknąć w mlecznej zaćmie chmury. Nie znała Thomasa, a on nie znał jej, ale zdawała się mieć świadomość łączącej ich więzi. Ta świadomość jednak zanikała i babcia musiała się trudzić, żeby ją odzyskać. Kiedy próbowała coś powiedzieć, szukała odpowiednich słów z wysiłkiem, który ją wykańczał. Nie pamiętała, kim jest w stosunku do poszczególnych osób w pokoju. Nawet upór już nie pomagał; im mocniej próbowała się chwycić jakiejś myśli, tym szybciej ta myśl od niej uciekała.

Wreszcie, pełna wahania, objęła coś palcami, spojrzała na ojca i spytała:

– Czy... on... mnie lubi?

– Tak – natychmiast odpowiedziała matka, jakby to było najnormalniejsze pytanie na świecie.

– Tak – powtórzyła babcia i sadzawki rozpaczły w jej oczach znów rozlały się na resztę twarzy. To nie było pytanie, które zamierzała zadać, lecz pytanie, które się przedarło. Odchyliła się na oparcie fotela.

Po tym, co usłyszał rano, Robert był zdziwiony jej pytaniem – i tym, że najwyraźniej było skierowane do ojca. Z drugiej strony, w ogóle go nie dziwiło, że matka odpowiedziała za niego.

Rano, gdy matka pakowała torbę Thomasa w sypialni na górze, Robert bawił się w kuchni. Nie zauważył, że elektroniczna niania jest włączona, dopóki nie usłyszał kwilenia budzącego się Thomasa. Matka weszła do pokoju i zaczęła do niego gruchać. Zanim Robert zdążył ocenić, czy pod jego nieobecność jest dla jego brata jeszcze czulsza niż zwykle, z odbiornika ryknął głos ojca.

– Ten list to jakaś kpina!

– Jaki list? – spytała matka.

– Ten łotr Seamus Dourke zabiega o to, żeby Eleanor jeszcze za życia ostatecznie zrzekła się posiadłości. Na razie posiadłość jest zabezpieczeniem długu. W testamencie Eleanor jest zapis o umorzeniu długu i przekazaniu domu na własność fundacji, ale dopóki ona żyje, fundacja jest wobec niej zadłużona na wartość nieruchomości, więc gdyby Eleanor zażądała spłaty, dom wróciłby do niej. Zgodziła się na takie rozwiązanie, bo ją przekonałem, że jeśli zachoruje, może potrzebować tych pieniędzy, ale oczywiście liczyłem też na to, że się opamięta i zrozumie, że ta niedorzeczna fundacja bardzo nam szkodzi, a nikomu nie jest potrzebna, może poza Seamusem. To się nazywa irlandzkie szczęście. Jeszcze niedawno zmieniał baseny pacjentom w państwowym domu starców, aż tu nagle moja matka ewakuuje go ze Szmaragdowej Wyspy i robi jedynym spadkobiercą ogromnych, wolnych od podatku dochodów z newage’owego hotelu udającego organizację dobroczynną. Niedobrze mi się robi.

Ojciec od pewnego czasu krzyczał.

– Skarbie, uspokój się – powiedziała matka. – Thomas się denerwuje.

– Jak mam być spokojny? Właśnie przeczytałem ten list. Zawsze była fatalną matką, ale myślałem, że pod koniec życia zrobi sobie przerwę, uzna, że dość już osiągnęła w dziedzinie zdrady i zaniedbania, i że może czas na zmianę, na zabawę z wnukami, na zostawienie nam domu, coś w tym stylu. Najbardziej przeraża mnie to, jak bardzo jej nie cierpię. Czytając ten list, próbowałem sobie poluzować kołnierzyk, żeby mi się łatwiej oddychało, aż dotarło do mnie, że już jest poluzowany, po prostu czułem, jakby mi się na szyi zaciskała pętla, pętla nienawiści.

– To stara i zagubiona kobieta – powiedziała matka.

– Wiem.

– I jedziemy ją dzisiaj odwiedzić.

– Wiem. – Ojciec mówił teraz dużo ciszej, ledwie go było słyszeć. – A najbardziej nienawidzę tej trucizny skapującej z pokolenia na pokolenie. Moja matka czuła się wydziedziczona, bo jej ojczym zagarnął cały majątek jej matki, a teraz, po trzydziestu latach warsztatów pogłębiania świadomości i kursów rozwoju osobistego znalazła sobie nowego ojczyma w osobie Seamusa Dourke’a. Ten człowiek to ni mniej, ni więcej, tylko niezwykle posłuszne narzędzie jej nieświadomości. Do szału mnie doprowadza ta monotonia. Prędzej podciąłbym sobie gardło, niż zafundował to samo własnym dzieciom.

– Przestań – odparła matka.

– Jeżeli można sobie wyobrazić...

Robert pochylił się nad odbiornikiem, próbując zrozumieć cichnące słowa ojca, które po chwili rozbrzmiały głośniejsz na schodach za jego plecami.

– ...to rezultatem byłyby Eleanor Melrose.

– Król Lear i pani Jellyby – zaśmiała się matka.

– Szybki numer na wrzosowisku – rzekł ojciec. – Słabowity tyran i fanatyczna filantropka.

Robert wybiegł z kuchni, bo nie chciał, żeby rodzice wiedzieli, że podsłuchiwał ich rozmowę przez elektroniczną nianię. Przez cały rano nie pisał nikomu ani słowa, ale kiedy babcia utkwiała wzrok w ojcu, jakby mówiła o nim, i spytała: „Czy on mnie lubi?”, nie mógł się oprzeć szalonej myśli, że ona też podsłuchiwała.

Nie wszystko z tego, co ojciec wtedy powiedział, było dla niego zrozumiałe, ale rozumiał dość, by poczuć, jak ziemia się rozstępuje. A teraz, w milczeniu, jakie zapadło po trafnym, choć niezamierzonym pytaniu, czuł nieszczęście babci, tak jak w matce wyczuwał pragnienie harmonii, a w powściągliwości ojca – nerwowe napięcie. Chciał zrobić coś, co by wszystko

między nimi naprawiło.

Babcia mówiła przez pół godziny, żeby zadać jedno pytanie: czy Thomas został już ochrzczony?

– Nie – odparła matka – nie planujemy oficjalnych chrzcin. Problem polega na tym, że nie uważamy, że dzieci są skażone grzechem, a duża część tej uroczystości opiera się na założeniu, że to upadłe istoty, które trzeba zbawić.

– Tak – powiedziała babcia. – Nie.

Thomas zaczął potrząsać maleńkimi srebrnymi hantlami, które odnalazł w zakamarku fotelika. Wydawały dziwny wysoki dźwięk, kiedy wymachiwał nimi koło głowy. Nie trzeba było długo czekać, by uderzył się w czoło. Po chwili wahania, w czasie której próbował zrozumieć, co się stało, zapłakał.

– On nie wie, czy sam się uderzył, czy uderzyły go hantle – stwierdził ojciec.

Matka wzięła stronę dziecka.

– Niedobre hantelki – powiedziała i pocałowała Thomasa w czoło.

Robert uderzył się otwartą dłonią w bok głowy i spadł teatralnie z łóżka babci. Thomasa to jednak nie rozbawiło.

Babcia wyciągnęła ręce we współczująco-błagalnym geście, jakby Thomas wyrażał coś, co sama czuła, a o czym wolała, żeby jej nie przypominano. Matka ostrożnie przeniosła niemowlę na kolana babci. Urzeczony nową sytuacją Thomas przestał płakać i przyglądał się badawczo babci. Można było odnieść wrażenie, że jego bliskość ją uspokaja. Spoczywał na jej kolanach, dając staruszce to, czego potrzebowała; oboje pograżyli się w solidarnym milczeniu. Reszta rodziny także ucichła, nie chcąc zawstydzać milczków. Robert czuł, że ojciec wisi nad babcią, powstrzymując się, żeby nie powiedzieć tego, co mu leży na sercu. W końcu to ona odezwała się pierwsza, niezbyt płynnie, ale i tak znacznie wyraźniej niż przedtem, jak gdyby jej mowa, porzucając beznadziejnie zakorkowaną drogę tęsknoty, wykradła się pod osłoną ciemności i ciszy.

– Chcę, żebyście wiedzieli – powiedziała – że bardzo mi... smutno... że nie mogę się komunikować.

Matka wyciągnęła rękę i dotknęła jej kolana.

– To musi być dla ciebie okropne – rzekł ojciec.

– Tak – odparła babcia ze spojrzeniem utkwionym gdzieś daleko w podłogę.

Robert nie wiedział, co robić. Jego ojciec nienawidził własnej matki. Nie mógł go poprzeć ani potępić. Babcia wyrządziła krzywdę rodzinie, ale strasznie cierpiała. Mógł tylko uciec myślami do prostszych czasów, sprzed cienia, jaki rzucało na wszystko rozczarowanie ojca. Do tamtych jasnych dni, kiedy miał po prostu kochać babcię; nie był pewien, czy kiedyś tak było, ale był pewien, że teraz tak nie jest. Zmawianie się przeciwko wystraszonej babci nie było w porządku, nawet jeśli zapisała dom Seamusowi.

Zeskoczył z łóżka i usiadł na poręczy fotela, wziął babcię za rękę, tak jak to robił w początkach jej choroby. Mogła dzięki temu komunikować się z nim bez słów, przesyłać mu swoje myśli w postaci obrazów.

Mosty były spalone i wszystko, co babcia chciała powiedzieć, piętrzyło się po jednej stronie wąwozu, bezkształtne i nieruchome. Czuła wieczną presję, drapanie za gałką oczną, jakby pies skomlał, żeby go wpuścić, pełność, która znajdowała upust jedynie w łzach, westchnieniach i szarpanych gestach.

Pod siniakiem uczucia tętnił brutalny instynkt przetrwania, jak rozjechany wąż rzucający się

na rozgrzanej szosie, albo jak ślepe korzenie pompujące soki do krwawiącego kikuta.

Dlaczego ją torturują? Zaszylili ją w worku, z nogami oplecionymi łańcuchem, i rzucili na dno łodzi. Musiała zrobić coś bardzo złego, skoro wioślarze tak jej dokuczają, wypływając z nią na wody zatoki. Coś bardzo złego, czego nie mogła sobie przypomnieć.

Robert miał dość. Nie puścił jej ręki, tylko próbował się zamknąć w sobie, ale nie potrafił całkiem zerwać połączenia.

Zauważył, że babcia płacze. Ścisnęła jego dłoń.

– Jestem... nie.

Nie udało jej się wysławić. Starannie nawleczona myśl zsunęła się z nitki i rozsypała po podłodze. Już jej nie odzyska. Coś nieprzejrzystego przywarło do niej i nie chciało się odkleić. Głowę miała zamkniętą w brudnej plastikowej torbie; próbowała ją zerwać, ale miała związane ręce.

– Jestem... – spróbowała znowu. – Dzielna. Tak.

Wieczne słońce zachodziło po drugiej stronie budynku, w pokoju było coraz ciemniej. Nikt nie znajdował słów, tylko Thomas w ogóle ich nie szukał. Oparty w ramionach babci spoglądał na nią z chłodnym obiektywizmem. Jego przykład przywracał równowagę. Siedzieli w gasnącym świetle prawie spokojni, współczujący i odrobinę znudzeni. Babcia pogrążyła się teraz w cichszym cierpieniu, jak ktoś, kto zapadł się głęboko w połamane sprężyny fotela i patrzy na piaskową burzę pokrywającą wszystko warstwą szarego pyłu.

Zapukawszy, ale nie czekając na odpowiedź, weszła z piskiem butów pielęgniarzka, pchając wózek z jedzeniem. Z trzaskiem zsunęła tacę na stolik na kółkach obok łóżka. Matka wzięła Roberta na ręce, a ojciec przysunął stolik i zdjął wypukłą blaszaną pokrywę z głównego dania. Spocona szara ryba i wodnista ratatujka odebrałyby apetyt niejednemu łakomczuchowi, ale babcia, która najchętniej zagłodziłaby się na śmierć, o każdym jedzeniu myślała z taką samą niechęcią. Ostatni raz ścisnęła Robertowi dłoń, po czym zerwała połączenie, przez które dostało się do jego umysłu tyle gwałtownych obrazów, i z apatycznym posłuszeństwem osoby zrozpaczonej sięgnęła po widelec. Nabrała nim kawałek ryby i zaczęła go unosić do ust. Zatrzymała się jednak, a po chwili opuściła widelec, wpatrzona w ojca.

– Nie mogę... znaleźć ust – powiedziała z nadzwyczajną precyzją.

Ojciec spojrział bezradnie, jakby Eleanor znalazła chytry sposób na to, by go udobruchać, lecz matka natychmiast podniosła widelec i zupełnie naturalnym tonem spytała:

– Mogę ci pomóc?

Babcia, widząc, do czego już doszło, jeszcze bardziej wtuliła głowę w ramiona. Potaknęła i matka zaczęła ją karmić, wciąż trzymając Thomasa na drugiej ręce. Ojciec otrząsnął się z chwilowego odrętwienia i wziął od niej dziecko.

Po przełknięciu kilku kęsów babcia pokręciła głową.

– Nie – rzekła i wyczerpana osunęła się na oparcie. W zaległej ciszy ojciec podał Thomasa matce i usiadł obok babci.

– Waham się, czy ci o tym mówić – zaczął, wyjmując list.

– I całkiem słusznie – wtrąciła prędko matka.

– Ale nie mogę się dłużej wahać – mruknął do niej, po czym zwrócił się znowu do babci: – Napisali do mnie z Brown and Stone. Podobno zamierzasz ostatecznie przekazać Saint-Nazaire fundacji jako dar. Chcę tylko powiedzieć, że to bardzo nierozsądne w twojej sytuacji. Ledwie cię stać na pobyt tutaj. Gdybyś potrzebowała dodatkowej opieki lekarskiej, bardzo szybko zostaniesz bez grosza.

Robert nie sądził, że babcia może wyglądać jeszcze nieszczęśliwiej, ale jakimś cudem w jej rysach odbiło się przerażenie, którego tam wcześniej nie było.

– Ja... naprawdę... ja... naprawdę... nie.

Zakryła twarz dłońmi i krzyknęła.

– Ja naprawdę się nie zgadzam – zaszlochała.

Matka, w ogóle nie patrząc na ojca, objęła ją ramieniem. Ojciec schował list z powrotem do kieszeni i patrzył na swoje buty z wyrazem absolutnej pogardy.

– Już dobrze – rzekła matka. – Patrick chce ci tylko pomóc, martwi się, że oddasz za dużo za szybko, ale nikt nie podważa tego, że wolno ci zrobić z fundacją, co zechcesz. Prawnicy go powiadomili, bo wcześniej prosiłaś go o pomoc.

– Muszę... odpocząć – powiedziała babcia.

– W takim razie już sobie pójdziemy.

– Tak.

– Przepraszam, że cię zdenerwowałem – westchnął ojciec. – Po prostu nie rozumiem, skąd ten pośpiech. I tak zapisałaś Saint-Nazaire fundacji w testamencie.

– Nie ciągnijmy już tego tematu – zasugerowała matka.

– Dobrze.

Babcia pozwoliła się pocałować wszystkim po kolei. Robert pożegnał się z nią ostatni.

– Nie zos... tawiaj mnie – powiedziała.

– Teraz? – spytał zdziwiony.

– Nie... nie zos... nie.

Poddała się.

– Nie zostawię – obiecał.

Rozmowa o odwiedzinach u babci wydawała się zbyt ryzykowna, więc ruszyli w drogę powrotną w ciszy. W końcu jednak w ojcu zwyciężyła potrzeba mówienia. Starał się mówić ogólnie, unikając tematu swojej matki.

– Szpitale to wstrząsające miejsca – rzekł – pełne biednych naiwniaków, którzy nie szukają taniej sławy ani nieprzyzwoitego bogactwa, bo wydaje im się, że celem życia jest pomaganie innym. Skąd im się to bierze? Trzeba ich wysłać na weekendowe warsztaty przebojowości do Packersów.

Matka się uśmiechnęła.

– Myślę, że Seamus też mógłby takie zrobić, zaproponować bardziej szamańskie spojrzenie – mówił dalej ojciec, zbaczając nieuchronnie ze swojej orbity. – Muszę jednak powiedzieć, że choć szpitale są pełne uśmiechniętych aniołów, wolałbym sobie palnąć w łeb niż doświadczyć takiej umysłowej erozji, jakiej byliśmy dzisiaj świadkami.

– Uważam, że Eleanor bardzo dobrze sobie radziła – rzekła matka. – Wzruszyłam się, kiedy powiedziała, że jest dzielna.

– Można oszaleć, kiedy człowiek jest zmuszany do emocji, których nie wolno mu mieć – oznajmił ojciec. – Zdrada matki zmuszała mnie do złości, ale potem jej choroba zmusiła mnie do litości. Teraz jej lekkomyślność znów mnie rozwściecza, ale ponieważ jest dzielna, mam w sobie stłumić gniew i ją podziwiać. Otóż jestem prostym człowiekiem i tak się składa, że *nadal jestem wkurwiony!* – wykrzyknął, waląc dłonią w kierownicę.

– Kto to jest król Lear? – spytał Robert z tylnego siedzenia.

– Słyszałeś naszą rozmowę rano? – zareagowała matka.

– Tak.

– Gumowe ucho – rzucił ojciec.
– Nieprawda – zaprotestował Robert. – Zostawiliście włączoną nianię.
– Faktycznie – przyznała matka. – Tak było. Ale w tej chwili to chyba nieistotne, prawda, skarbie? – miłym tonem zwróciła się do ojca. – Teraz, kiedy drzesz się na całe gardło, że *jesteś wkurwiony*.
– Król Lear – odparł ojciec – to zgorzkniały tyran z dramatu Szekspira, który najpierw rozdaje wszystkie swoje dobra, a potem się dziwi, że Goneryla i Regana, albo Seamus Dourke, jak lubię sobie wyobrażać, odmawiają mu opieki, której wymaga, i dają mu kopa.
– A kto to jest pani Jellybean?
– Jellyby. Kobieta z obsesją na punkcie czynienia dobra, która pisze pełne oburzenia listy w sprawie sierot w Afryce, podczas gdy na drugim końcu pokoju jej własne dzieci wpadają do ognia.
– A co to znaczy „szybki numer”?
– Hm, chodzi o to, że z połączenia tych dwóch postaci powstałby ktoś w rodzaju Eleanor.
– Aha – rzekł Robert. – To dosyć skomplikowane.
– Owszem – przyznał ojciec. – Problem polega na tym, że Eleanor, przekazując swój majątek „organizacji dobroczynnej”, próbuje sobie kupić dobre miejsce w niebie, ale jak widzisz, tak naprawdę kupiła sobie bilet do piekła.
– Nie wiem, czy to takie mądre, nastawiać Roberta przeciwko babci – odezwała się matka.
– Nie wiem, czy to było takie mądre z jej strony, nie zostawić mi innego wyjścia.
– To ty się czujesz zdradzony. To twoja matka.
– Okłamała nas wszystkich – upierał się ojciec. – Na każdym kroku powtarzała, że to i to przeznaczy dla Roberta, ale wszystkie te drobne ukłony w stronę rodzinnych więzi zostały jeden po drugim wyrwane z cokołów i wessane przez czarną dziurę fundacji.
Matka przez pewien czas milczała, potem rzekła:
– Przynajmniej w tym roku nie przyjechała moja matka.
– Racja – zgodził się ojciec. – Trzeba umieć się cieszyć z małych rzeczy.
Po tej chwili harmonii atmosfera nieco zelżała. Wspinali się drogą w stronę domu. Tego wieczora zachód słońca był prosty, bez chmur układających się w góry, komnaty i schody, ot, różowa poświata nad szczytami wzgórz i ostrze księżyca zawieszona wśród ciemniejszego nieba. Kiedy auto wtaczało się głośno po nierównym podjeździe, Robert poczuł, że jest w domu, lecz wiedział, że musi się od niego odzwyczaić. Dlaczego babcia tak bardzo komplikuje im życie? Cena za dobre miejsce w niebie wydawała się strasznie wysoka. Spojrzał na Thomasa w foteliku i zastanawiał się, czy on jest bliżej „źródła” niż reszta rodziny i czy to dobrze. Niecierpliwość, z jaką babcia oczekiwała ponownego wchłonięcia przez anonimową jasność, wywołała u niego nagle całkiem odwrotne pragnienie: aby żyć jak najwyraziściej, zanim czas przykuje go do szpitalnego łóżka i obetnie mu język.

Sierpień 2001

6

Kiedy za dnia słyszał echo szczekania nieszczęśliwego psa z drugiego końca doliny, wyobrażał sobie, że kudłaty wilczur sąsiadów biega wzdłuż trzcinowego ogrodzenia na podwórku, na którym był uwięziony; teraz, w środku nocy, myślał o wielkiej przestrzeni, po której rozchodziło się i cichło wycie i skomlenie. Dom pełen ludzi kompresował jego samotność. Nie miał do kogo pójść, no chyba że, ale tylko teoretycznie (choć kto wie), do Julii, tak jak rok temu.

Jak zwykle był zbyt zmęczony, żeby czytać, i zbyt pobudzony, żeby spać. Wieża książek na stoliku nocnym zdawała się uwzględniać każdy możliwy nastrój z wyjątkiem niespokojnej rozpaczy, która towarzyszyła mu niemal bez przerwy. *Piękno wszechświata* przepełniało go lękiem. Nie miał ochoty czytać o zakrzywieniu przestrzeni, wystarczało, że sufit przesuwają się i wygina pod jego wyczerpanym spojrzeniem. Nie chciał myśleć o neutrinach przenikających jego ciało, które i bez tego wydawało mu się delikatne i odsłonięte. Zaczął, lecz był zmuszony przerwać lekturę *Wyznań* Rousseau. Miał dość własnej manii prześladowczej i nie potrzebował cudzej. Powieść udająca dziennik jednego z oficerów kapitana Cooka z pierwszej wyprawy na Hawaje była zbyt naszpikowana wiedzą, by mogła uchodzić za kawałek prawdziwego życia. Patricka głęboko znużyły opisy drobnych różnic między emblematami na przydziałowych herbatnikach Komisji ds. Zaprowiantowania, a kiedy druga opowieść, pisana przez potomka pierwszego narratora, żyjącego w dwudziestym pierwszym wieku mieszkańca Plymouth wypoczywającego na wczasach w Honolulu, stworzyła dla pierwszej ludyczny kontrpunkt, myślał, że oszaleje. Dwa tomy historyczne, jeden poświęcony historii soli, a drugi dziejom całego świata po tysiąc pięćsetnym roku, rywalizowały o miejsce na spodzie sterty.

Mary, jak zwykle, położyła się spać z Thomasem, przygotowując Patricka o sprzeczne uczucia podziwu i porzucenia. Była ofiarną matką, bo wiedziała, jak to jest wychowywać się bez matki. Patrick też wiedział, jak to jest, a ponieważ jeszcze niedawno sam korzystał z macierzyńskiej hiperaktywności Mary, musiał sobie teraz przypominać, że nie jest już małym dzieckiem i że są w tym domu prawdziwe dzieci, które nie potrafią jeszcze same radzić sobie ze strachem; czasami musiał dać sobie porządną burę. Mimo to próżno wypatrywał u siebie oznak dojrzałości spowodowanej rodzicielstwem. Przebywając z dziećmi, zbliżał się tylko jeszcze bardziej do własnej dziecinności. Czuł się jak ktoś, kto boi się opuścić przystań, bo wie, że pod pokładem imponującego jachtu znajduje się tylko mały, brudny, dwusuwowy silnik: strach i pragnienie, strach i pragnienie.

Kettle, matka Mary, przyleciała po południu i, jak zwykle, udało jej się natychmiast zetrzeć z córką.

– Jak ci minęła podróż? – spytała uprzejmie Mary.

– Koszmarnie – odparła Kettle. – Siedziałam obok strasznej kobiety, która była okropnie dumna ze swoich piersi i wpychała je dziecku w twarz.

– To się nazywa karmienie, mamó – zauważyła Mary.

– Dziękuję, skarbie. Wiem, że teraz to jest szalenie modne, ale kiedy ja rodziłam dzieci, mówiło się przede wszystkim o odzyskiwaniu figury. W tamtych czasach uznanie budziły kobiety, które chodziły na przyjęcia i nie było po nich widać, że kiedykolwiek były w ciąży,

a nie takie, które paradowały z piersiami na wierzchu, no, chyba że miały ku temu jakiś lepszy powód.

Jak zwykle, na jego stoliku nocnym koczowała buteleczka temazepamu. Patrick niewątpliwie miał problem z temazepamem, mianowicie był on dla niego za słaby. Skutki uboczne, utrata pamięci, odwodnienie, kac, koszmar odstawienia, wszystko to działało bez zarzutu. Tylko sen nie przychodził. Mimo to Patrick dalej łykał tabletki, bojąc się objawów abstynencji. Pamiętał, że kiedyś dawno przeczytał na ulotce, że nie należy zażywać temazepamu dłużej niż trzydzieści dni. On zażywał go co wieczór od trzech lat, w coraz większych dawkach. „Bardzo chętnie” – jak mawiają ludzie, kiedy myślą dokładnie odwrotnie – odcierpiałby swoje, lecz nigdy nie mógł znaleźć na to czasu. Albo któreś z dzieci miało urodziny, albo musiał się stawić w sądzie, zwykle na kacu, albo jakiś inny ważny obowiązek wykluczał halucynacje i napady lękowe. Jutro, na przykład, jego matka miała do nich przyjechać na lunch. Obie matki naraz: to nie był dobry moment, żeby fundować sobie dodatkową psychozę.

A jednak wciąż miło wspominał dni, kiedy dodatkowa psychoza była jego ulubioną rozrywką. Przez cały drugi rok w Oksfordzie przyglądał się obrotom pulsujących kwiatów. To właśnie tamtego lata pełnego zatrważających eksperymentów poznał Julię. Była młodszą siostrą nudnego kolegi z akademika w Trinity College, który zaprosił go na herbatę. Patrick, który chwilę wcześniej wziął grzyby i był już na lekkim haju, zaczął się pospiesznie wymawiać, gdy nagle przez uchylone drzwi dojrzał piorunująco ładną dziewczynę: siedziała na szerokim parapecie, obejmując ramionami kolana. Zgodził się na „szybką filiżankę” i przez następne dwie godziny wpatrywał się jak idiota w nieprzyzwoicie śliczną Julię o różanych policzkach i ciemnoniebieskich oczach. Miała na sobie malinowy T-shirt, pod którym rysowały się wyraźnie sutki, oraz sprane niebieskie dżinsy z rozdarciami nad prawym kolaniem i kilka cali pod lewą tylną kieszenią. Przysiękł sobie, że kiedy dorośnie, to ją uwiedzie, lecz uprzedziła jego nieśmiałe postanowienie, uwodząc go jeszcze tego samego wieczora. Uprawiali karalną (ona dopiero za tydzień kończyła szesnaście lat) miłość w przyspieszonym i zwolnionym tempie. Spadali do góry, znikali w króliczych norach, patrzyli na cofające się zegary, uciekali przed policją, która ich nie ścigała. Kiedy lecieli do Grecji, pomógł jej schować kwas w swojej ulubionej skrytce: między jej nogami. Przyszłość jawiła mu się wtedy jako kaskada coraz to nowych przygód; teraz tamta rozjąkana dzikość młodzieńczej miłości, ta cudowna wolność zdawały się częścią jakiegoś utraconego świata. Później nic już nie miało takiej spontanicznej intymności, a już na pewno, powtarzał sobie, nie rozmowa z twardszą i bardziej oschłą Julią, która teraz u nich gościła. Lecz mimo wszystko – była tam, na drugim końcu korytarza, poobijana przez życie, ale wciąż ładna. Pójść do niej czy nie pójść? Zaryzykować? Urządzić wspólną retrospektywę? Czy kiedy ich ciała się spleją, powróci dawna intensywność? Pomysł był szalony. Musiałby przejść obok Roberta, nocnego marka i obsesyjnego obserwatora, obok srogiej Kettle, obok Mary, która unosiła się jak ważka nad powierzchnią snu, bojąc się przegapić najmniejszy sygnał, że dziecku coś dolega, i wreszcie wejść do pokoju Julii (narożnik drzwi szurał o podłogę), do którego pewnie i tak zdążyła się już wprosić jej córka Lucy. Paraliżowały go, jak zwykle, równoważne i przeciwstawne siły.

Wszystko było jak zwykle. Na tym polegała depresja: tkwiło się w miejscu, w przestarzałej wersji siebie. Za dnia, kiedy bawił się z dziećmi, prawie mu się udawało być tym, kim się wydawał, czyli ojcem bawiącym się z dziećmi, ale w nocy albo rozdzierała go nostalgia, albo skręcał się z niechęci do samego siebie. Jego młodość uciekła w najkach air max (tylko młodość Kettle wciąż nosiła skrzydlate sandały), zostawiając tuman kurzu i zbiór pseudoantyków.

Próbował sobie przypomnieć, jaka właściwie była ta młodość, ale pamiętał tylko mnóstwo seksu i poczucie wielkich możliwości, zastąpione, gdy wracał myślami do tu i teraz, przez brak seksu i poczucie zmarnowanego potencjału. Strach i pragnienie, strach i pragnienie. Może powinien wziąć drugie dwadzieścia miligramów temazepamu. Czterdzieści miligramów, o ile przedtem wypił dużo czerwonego wina do kolacji, dawało mu czasem kilka godzin snu; nie tego cudownego zapomnienia, którego pragnął, lecz burzliwego, spoconego snu z domieszką koszmarów. Sen był w istocie ostatnią rzeczą, jakiej pragnął, jeżeli miał oznaczać sny, w których siedział przywiązany do krzesła w kącie pokoju i patrzył na tortury zadawane jego dzieciom, wrzeszcząc przekleństwa na kata lub błagając go, żeby przestał. Koszmar ten miał też wersję *light*: w niej Patrick w ostatniej chwili zasłaniał synów własnym ciałem, które dziurawiły pociski albo rozdzierały na strzepy pędzące samochody. Gdy nie budziły go te wstrząsające obrazy, drzemał bez snów, by po kilku minutach poderwać się bez tchu. Ceną, jaką płacił za farmakologiczne uspokojenie, bez którego nie mógł zasnąć, były przerwy w oddychaniu, kończące się tym, że oddział ratunkowy w tylnej części jego mózgu wysyłał ambulans na sygnale do przednich płatów i gwałtownie przywracał Patricka do przytomności.

Jego snom, wystarczająco straszonym samym w sobie, prawie zawsze towarzyszył obronny epilog o charakterze analitycznym. Johnny, jego przyjaciel i psycholog dziecięcy, nazywał to „świadomym śnieniem”, w którym śniący zdaje sobie sprawę z tego, że śni. Przed czym bronił swoje dzieci? Przed własnym uczuciem bycia torturowanym, rzecz jasna. Te senne seminaria o śnie zawsze kończyły się takimi zdroworozsądkowymi wnioskami.

Istotnie, myślał obsesyjnie o tym, jak zatrzymać przepływ trucizny z pokolenia do pokolenia, ale już teraz czuł, że przegrał. Robił, co mógł, żeby uchronić swoje dzieci przed przyczynami własnego cierpienia, jednak nie mógł ich uchronić przed jego skutkami. Własnego ojca pochował dwadzieścia lat temu i rzadko kiedy go wspominał. David nawet w chwilach największej dobroci był obcesowy, zimny, sarkastyczny i szybko się nudził; miał odruch podnoszenia poprzeczki w ostatniej chwili, żeby Patrick koniecznie rozbił sobie o nią kolana. Byłoby zbyt banalne, gdyby Patrick stał się fatalnym ojcem albo się rozwiódł, albo wydziedziczył swoje dzieci; zamiast tego musiały one żyć ze wściekłym i cierpiącym na bezsenność owocem tych nieszczęść. Wiedział, że Robert odziedziczył jego nocny niepokój, lecz nie wierzył, że stało się tak za sprawą jakiegoś genu nocnego niepokoju. Pamiętał, że opowiadał bez ustanku o swojej bezsenności, kiedy Robert usiłował go we wszystkim naśladować. Dostrzegał również – z mieszaniną wyrzutów sumienia, satysfakcji oraz wyrzutów sumienia z powodu satysfakcji – że Robert stopniowo przechodzi od empatii i lojalności do pogardy i nienawiści wobec Eleanor i jej okrutnej filantropii.

Przynajmniej nie spotkają się w tym roku z Packersami. Josh opuścił trzy tygodnie szkoły i odzwyczaił się od udawania, że on i Robert są najlepszymi przyjaciółmi. W tamtym okresie oszołomienia wolnością Robert i Patrick wpadli przypadkiem na Jilly w Holland Parku i dowiedzieli się, że wystąpiła o rozwód.

– Brylant przestał błyszczeć – przyznała. – Ale przynajmniej nie muszę go oddawać – dodała z cichym „juhu!”. – To okropne, że Roger trafił do więzienia. Nie słyszeliście? To zakład otwarty, jeden z bardziej luksusowych. No ale mimo wszystko. Przyskrzynili go za oszustwa i niepłacenie podatków. Czyli za to, że robił to, co wszyscy, tylko że dał się złapać. Christine jest załamana, wiadomo, dwójka dzieci i w ogóle. Nie stać jej nawet na nianię. Powiedziałam jej: „Rozwiedź się, od razu poczujesz się lepiej”. Zapomniałam tylko, że ona nie dostanie kupy forsy. A nie wiem, czy bez tego można się poczuć lepiej. Strasznie to zabrzmiało, prawda? Ale

trzeba być realistką. Lekarz przepisał mi takie tabletki i teraz nie mogę przestać mówić. Lepiej już sobie idźcie, bo inaczej będę wam nawijać do wieczora. Swoją drogą, czy to nie zabawne, że jeszcze w zeszłym roku siedzieliśmy wszyscy wokół basenu w St Trop i świetnie się bawiliśmy, a teraz każdy idzie w swoją stronę. Ale przynajmniej wciąż mamy dzieci, prawda? To najważniejsze. Nie zapominaj, że Josh nadal jest twoim przyjacielem – zawołała do Roberta, kiedy odchodzili.

Thomas w ciągu ostatniego roku zaczął mówić. Jego pierwszym słowem była „lampa”, a drugim „nie”. Atmosfera tamtych dni bezpowrotnie minęła, podobnie jak wielu późniejszych, i trudno było przypomnieć sobie początki, kiedy mówił nie po to, żeby coś opowiedzieć, ale żeby się przekonać, jak to jest wynurzyć się z ciszy. Zdziwienie powoli ustępowało pragnieniu. Zachwycało go już nie samo widzenie, lecz widzenie tego, co chciał zobaczyć. Na ulicy dostrzegł miotłę z odległości stu metrów, zanim reszta zauważyła odbłaskową kamizelkę zamiatacza. Odkurzacze na próżno chowały się za drzwiami; kiedy mu zależało, Thomas widział przez ściany. Nie dało się przy nim nosić paska: był on rekwirowany na potrzeby niejasnej gry, Thomas robił poważną minę i wymachiwał nim, bucząc jak maszyna. Gdy zdołali się jakimś cudem wyrwać z Londynu, rodzice wachali kwiaty i podziwiali krajobraz, Robert szukał drzew, na które można się wspiąć, a Thomas, który nie oddalił się jeszcze od natury na tyle, aby otoczyć ją kultem, pędził ku martwym zwojom ogrodowego węża, ledwie widocznym wśród nieskoszonej trawy.

Na przyjęciu z okazji swoich pierwszych urodzin Thomas został pierwszy raz w życiu zaatakowany. Chłopiec imieniem Eliot, rozrabiaka z placu zabaw, przewrócił go, kiedy szedł chwiejnie z drewnianym królikiem na sznurku, i wyrwał mu zabawkę z ręki. Thomas krzyknął oburzony i się rozplakał. Mały zbój oddalił się triumfalnie, a królik, terkocząc, chybotął się za nim na krzywych kółkach.

Mary zanurkowała i podniosła Thomasa z ziemi. Robert, zanim ruszył na odsiecz królikowi, podszedł zobaczyć, czy jego bratu nic się nie stało.

Thomas na kolanach u Mary szybko przestał płakać. Wyglądał na zamyślonego, jakby próbował wpisać to nowe doświadczenie w swój system odniesień. Potem wywinął się matce i opuścił stopy na podłogę.

– Co to było za straszne dziecko? – spytał Patrick. – W życiu nie widziałem bardziej ponurej twarzy. Wygląda jak przewodniczący Mao na sterydach.

Zanim Mary zdążyła odpowiedzieć, podeszła do nich matka zbója.

– Przepraszam za Eliota. On tak lubi rywalizację, zupełnie jak jego ojciec. Nie chcę go karać za to, że rozpiera go energia.

– Pewnie liczysz, że zrobi to za ciebie wymiar sprawiedliwości – rzucił Patrick.

– Niech spróbuje mnie przewrócić – odezwał się Robert, ćwicząc ciosy karate.

– Nie eskalujmy – rzekł Patrick.

– Eliot – powiedziała matka zbója specjalnym na takie okazje nieszczerym tonem – oddaj Thomasowi króliczka.

– Nie – warknął Eliot.

– Ojejku – westchnęła matka, zachwycona jego nieustępliwością.

Uwaga Thomasa skupiła się już na czymś innym: hałaśliwie wyciągał z wiaderka szczypce do drewna kominkowego. Eliot, uznawszy, że ukradł niewłaściwy przedmiot, porzucił królika i ruszył po szczypce. Mary podniosła sznurek od króliczka i podała go Thomasowi. Eliot obracał się w miejscu, nie mogąc się zdecydować, o co walczyć. Kiedy Thomas zaoferował mu sznurek

od królika, pokręcił głową i żałośnie kwękając, począł do swojej mamy.

– Nie chcesz szczypiec? – spytała go podjudzająco.

Patrick miał nadzieję, że przy Thomasie nie powtórzy błędów popełnionych przy Robercie, nie zaszczepi mu swoich własnych obaw i niepokojów. Poprzeczki zawsze podnoszono w ostatniej chwili. Był strasznie zmęczony. Poprzeczki zawsze podnoszono... oczywiście... pomyślałby, że... Kręcił się teraz w kółko... na drugim końcu doliny szczekał pies... światy wewnętrzny i zewnętrzny wpadały na siebie... prawie zasypiał... usnąć może, spać i śnić...? Chrzanić. Usiadł prosto i dokończył myśl. Tak, nawet najbardziej oświecona troska kryła w sobie cień. Nawet Johnny (który co prawda był psychologiem dziecięcym) wyrzucał sobie, że daje swoim dzieciom odczuć, że naprawdę je rozumie; że wie, co czują, jeszcze zanim one same się na tym poznają; że umie odczytywać ich nieświadome impulsy. Żyły w panoptycznym więzieniu jego współczucia i wszechwiedzy. Skradł im ich życie wewnętrzne. Może Patrick najlepiej by zrobił, rozbijając swoją rodzinę, fundując dzieciom solidną, ordynarną katastrofę. Wszystkie dzieci prędzej lub później muszą się wybić na wolność. Dlaczego nie dać im twardej ściany, od której mogłyby się odbić, trampoliny, odskoczni? Chryste, naprawdę powinien odpocząć.

Po północy jego myśli regularnie nawiedzał cudowny dr Zemblarow. Ten przyjmujący w pobliskim miasteczku Bułgar mówił po angielsku bardzo szybko i z bardzo silnym akcentem. „W naszej kulturze mamy tylko to – oznajmiał, podpisując długaśną receptę – *la pharmacologie*. Gdybyśmy mieszkali w rejonie *Pacifique*, pewnie moglibyśmy tańczyć, ale tutaj mamy tylko manipulacje chemiczne. Kiedy na przykład jadę do Bułgarii, biorę *l'amphetamine*. Jadę, jadę, jadę, widzę się z rodziną, jadę, jadę, jadę i wracam do Lacoste”. Gdy ostatnim razem Patrick z wahaniem poprosił o więcej temazepamu, dr Zemblarow zganił go za nieśmiałość. „*Mais il faut toujours demander*. Sam biorę w podróży. *L'administration* nie chce, żeby pacjent brał dłużej niż trzydzieści dni, więc napiszę «jedna wieczorem i jedna w nocy», co jest oczywiście nieprawdą, ale nie będzie pan musiał tak często przychodzić. Zapiszę panu jeszcze stilnox, to lek z innej rodziny: środków nasennych! Mamy też rodzinę barbituranów” – dodał z błogim uśmiechem, a jego długopis zawisł nad papierem.

Nic dziwnego, że Patrick był wiecznie zmęczony, a jego opieka nad dziećmi przybierała postać krótkich zrywów. Dzisiaj Thomas był nieszczęśliwy. Nowe zęby rozpychały się w obolałych dziąsłach, policzki miał czerwone i obrzmiałe i nie mógł usiedzieć w miejscu. Pod wieczór Patrick w końcu zaoferował się z krótką wycieczką po domu. Pierwszym przystankiem było gniazdko w ścianie pod lustrem. Thomas spojrzał na nie tęsknym wzrokiem i zanim ojciec zdążył cokolwiek powiedzieć, zaczął powtarzać: „Nie, nie, nie, nie, nie”. Gorliwie potrząsał głową, odgradzając się od kontaktu jak największą liczbą zaprzeczeń, lecz po chwili wezbrane pragnienie zmioło niską tamę sumienia i rzucił się ku gniazdku, układając wilgotne paluszki w coś na kształt wtyczki. Patrick porwał go na ręce i przeniósł w głąb korytarza. Thomas głośno zaprotestował i wymierzył ojcu kilka soczystych kopniaków w jądra.

– Chodź, obejrzymy drabinę – jęknął Patrick, uznając, że byłoby nie w porządku zaproponować synowi w zamian coś dużo mniej niebezpiecznego niż porażenie prądem. Thomas rozpoznał znajome słowo i natychmiast się uspokoił; wiedział, że rozchwierutana, brudna od farby aluminiowa drabina w kotłowni również stwarza zagrożenie dla życia i zdrowia. Patrick przytrzymał go lekko w pasie, a mały piął się po szczeblach jak małpka, omal nie przewracając drabiny na siebie i ojca. Opuszczony z powrotem na ziemię, puścił się pijackim zygzakiem w kierunku kotła. Patrick złapał go, zanim zdążył przydzwonić głową o zbiornik

z wodą. Był już całkiem wycieńczony. Miał dość. Nikt mu teraz nie powie, że nie pomógł w opiece nad dzieckiem. Potrzebował urlopu. Wrócił do salonu chwiejnym krokiem, niosąc wyrrywającego się syna.

– Jak tam? – spytała Mary.

– Jestem wykończony.

– Nie dziwię się, w końcu spędziłeś z nim półtorej minuty.

Thomas popędził do matki, lecz w ostatniej chwili stracił równowagę. Mary złapała go, zanim gruchnął głową o podłogę, i postawiła na nogi.

– Nie wiem, jak wy sobie radzicie bez niani – odezwała się Julia.

– Nie wiem, jak bym sobie poradziła z nianią. Zawsze chciałam sama zajmować się dziećmi.

– Niektóre matki tak mają – przyznała Julia. – U mnie było inaczej. No, ale ja urodziłam Lucy bardzo młodo.

Aby pokazać, że ona również oszalała w prażącym słońcu południa, Kettle zeszła na kolację w turkusowym jedwabnym żakiecie i lnianych spodniach w kolorze cytryny. Reszta domowników, wciąż w tych samych zapoconych koszulkach i spodniach khaki, umożliwiła jej bycie tym, kim chciała być: samotną męczennicą w imię własnych wygórowanych standardów.

Gdy weszła, Thomas zakrył buzię rączkami.

– Och, jakie to słodkie – rzekła Kettle. – Co on robi?

– Chowa się – wyjaśniła Mary.

Thomas nagłym ruchem rozsunął dłonie i przyglądał się pozostałym z rozdziawioną buzią. Patrick zatoczył się do tyłu, jakby rażony gromem. Była to nowa zabawa Thomasa. Patrickowi wydawała się najstarszą zabawą świata.

– Jak to dobrze, że chowa się na widoku – zauważył. – Boję się dnia, kiedy stwierdzi, że musi wyjść z pokoju.

– Myśli, że skoro nas nie widzi, to my jego też nie widzimy – powiedziała Mary.

– Muszę powiedzieć, że trochę go rozumiem – wtrąciła Kettle. – Ja bym wolała, żeby ludzie widzieli wszystko tak jak ja.

– Ale ty wiesz, że tak nie jest – przypomniała Mary.

– Nie zawsze, skarbie.

– Nie wiem, czy to przypadek egocentrycznego dziecka i przystosowanych dorosłych. – Patrick nieopatrznie zaczął teoretyzować. – Thomas wie, że my widzimy inaczej niż on, w przeciwnym razie by się nie śmiał. Cały żart polega na zmianie perspektywy. On oczekuje, że kiedy zasłoni twarz, przyjmujemy jego punkt widzenia, a kiedy ją odsłoni, wrócimy do swojego. To my tu jesteśmy mało elastyczni.

– Patrick, jak Boga kocham, ty zawsze wszystko nadmiernie komplikujesz – jęknęła Kettle. – To tylko chłopiec bawiący się w grę. À propos zabawy w chowanego – powiedziała w taki sposób, jakby zmieniała za kierownicą pijanego kierowcę. – Pamiętam, jak pojechałam z twoim tatą do Wenecji, zanim się pobraliśmy. Nikomu nie mówiliśmy, bo w tamtych czasach obowiązywały surowsze zasady. I oczywiście na dzień dobry wpadliśmy na lotnisku na Cynthię i Luda. Postanowiliśmy, że zachowamy się jak Thomas i będziemy udawać, że skoro na nich nie patrzymy, to nas nie widzą.

– Udało się? – spytał Patrick.

– Skąd. Zaczęli nas wołać po imieniu z drugiego końca hali. Wydawało mi się, że to oczywiście, że nie chcemy, żeby nas zauważono, ale takt nigdy nie był mocną stroną Luda. No ale oczywiście robiliśmy dobrą minę.

- Ale Thomas chce być zauważony, właśnie o to mu chodzi – powiedziała Mary.
- Nie twierdzę, że to jest dokładnie taka sama sytuacja – odparła Kettle, prychnąwszy z irytacją.
- Co to znaczy „dobra mina”? – spytał Patricka Robert, kiedy szli na kolację.
- To taka mina, którą robi babcia – odparł, trochę licząc na to, że Kettle go usłyszy.

Nie pomagało, że Julia jest niemiła dla Mary (nie żeby to coś zmieniło, gdyby nie była). Tu w ogóle nie chodziło o jego lojalność wobec Mary (a może chodziło?); tu chodziło o to, czy zdoła wytrzymać kolejną sekundę bez seksu. W przeciwieństwie do wyuzdanych żądz okresu dojrzewania jego obecny głód był zabarwiony tragizmem, był głodem żądy, metaślodem, pragnieniem pragnienia. Dziś pytanie brzmiało, czy uda mu się utrzymać erekcję, a nie czy zdoła się jej kiedykolwiek pozbyć. Jednocześnie ten głód musiał udawać prostotę, musiał zniknąć w obiekcie pożądania, by ukryć swoją tragiczną naturę. Nie był głodem rzeczy, które można osiągnąć, lecz możliwości, których już się nie odzyska. Co zrobi, jeśli posiadzie Julię? Przeprosi, że tak się zmachał, ma się rozumieć. Przeprosi, że jest zajęty. Przeżywał (zrzuć to z serca, skarbie, to ci dobrze robi) kryzys wieku średniego i zarazem go nie przeżywał, bo kryzys wieku średniego był kliszą, werbalnym tamazepamem, który miał uśpić doświadczenie, a jego doświadczenie wciąż było rozbudzone – o pierdolonej wpół do czwartej nad ranem.

Nie godził się na żadną z tych rzeczy: na zwężone horyzonty i słabnący umysł. Nie zamierzał kupować okularów denek, o jakie dopraszał się jego wzrok. Nienawidził tego gryba, który wdierał mu się do krwiobiegu i wszystko przytępiał. Wrażenie ostrości, jakie czasem jeszcze sprawiał na zewnątrz, było symulacją. Jego mowa była układanką, którą ułożył tysiąc razy; przypominał sobie tylko to, co już kiedyś zrobił. Nie tworzył nowych połączeń. To się dawno skończyło.

Z głębi korytarza dobiegł płacz Thomasa. Działał mu na nerwy jak papier ścierny. Chciał pocieszyć syna. Chciał być pocieszony przez Julię. Chciał, żeby Mary się ukoila, pocieszając Thomasa. Chciał, żeby wszystkim było dobrze. Nie mógł tego dłużej znieść. Odrzucił kołdrę i zaczął chodzić tam i z powrotem.

Thomas niebawem się uspokoił, ale jego płacz uruchomił reakcję, nad którą Patrick nie miał już kontroli. Pójdzie do pokoju Julii. Zmieni wąską działkę swojego życia w pole płonących maków. Pomału otworzył drzwi, unosząc je na zawiasach, żeby nie skrzypiały. Zamykając je za sobą, przyciskał klamkę do dołu, żeby nie szcęknęły. Ostrożnie wsunął zasuwkę w otwór futryny. Na korytarzu paliło się światło dla dzieci. Było tu jasno jak na dziedzińcu więzienia. Patrick przeszedł drobnymi kroczkami na sam koniec, do uchylonych drzwi pokoju Lucy. Wolał najpierw sprawdzić, czy mała śpi u siebie. Spała. Doskonale. Zawrócił ku drzwiom Julii. Serce mu waliło. Bał się, ale czuł, że żyje. Zbliżył ucho do drzwi.

Co teraz zrobi? Co zrobi Julia, jeśli do niej wejdzie? Zadzzwoni na policję? Wciągnie go do łóżka i spyta, dlaczego kazał jej tak długo na siebie czekać? Czy budzenie jej o czwartej nad ranem nie było trochę nietaktowne? Może powinien się z nią umówić na wieczór. Stopy marzły mu na sześciokątnych płytkach.

– Tato.

Odwrócił się i ujrzał Roberta: stał blady w drzwiach swojego pokoju i marszczył brwi.

– Cześć – szepnął Patrick.

– Co robisz?

– Dobre pytanie. Usłyszałem, że Thomas płacze... – To jeszcze było prawdą. – I chciałem się upewnić, czy wszystko w porządku.

– Ale dlaczego stoisz pod drzwiami Julii?

– Nie chciałem zbudzić Thomasa, skoro zasnął – wyjaśnił Patrick. Robert był zbyt bystry, aby nabrać się na te bzdury, ale chyba jeszcze odrobinę za młody, żeby Patrick wyznał mu prawdę. Za kilka lat poczęstuje syna cygarem i oznajmi: „Obawiam się, że przeżywam lekki kryzys, *mezzo del camin*, rozumiesz, i muszę się pokrzepić szybkim romanssem”, a Robert poklepie go po plecach, mówiąc: „Jasne, rozumiem, staruszkule. Powodzenia i udanych łowów”. Na razie jednak miał sześć lat i trzeba było ukrywać przed nim to i owo.

Jak gdyby chcąc wyratować Patricka z opresji, Thomas znów boleśnie zapłakał.

– Lepiej tam zajrzyć. Biedna mama całą noc nie śpi. – Uśmiechnął się stoicko. – A ty lepiej się połóż – powiedział i pocałował Roberta w czoło.

Robert wrócił do siebie nieprzekonany.

W zagrożonym pokoju Thomasa świecąca zaślepka do gniazdka rozjaśniała podłogę mdłym pomarańczowym blaskiem. Patrick ruszył ostrożnie w stronę łóżka, do którego Mary co noc brała Thomasa, wyjąwszy go ze znienawidzonego łóżeczka. Usiadł na materacu i zsunął z niego pół tuzina pluszowych zabawek. Thomas wiał się i wiercił, próbując znaleźć wygodną pozycję. Patrick położył się na boku, balansując na krawędzi łóżka. W tej puszczy sardynek zawieszonych nad przepaścią nie mogło być mowy o zaśnięciu, ale jeśli puści myśli samopas, może uda mu się trochę odpocząć; gdyby zdołał osiągnąć mglistość snów bez popadania w ich tyranie, byłoby to już coś. Po prostu zapomni o incydencie z Julią. O jakim incydencie z Julią?

Może Thomas nie stanie się ludzkim wrakiem, kiedy dorośnie. Czego więcej można jeszcze chcieć?

Zaczął bujać w półmyślach... ćwierćmyślach... coraz mniejszych... coraz mniejszych.

Nagle dostał potężnego kopniaka w twarz. Ciepła, metaliczna struga krwi zalała mu nos i podniebienie.

– Jezus Maria – powiedział. – Chyba leci mi krew z nosa.

– Biedaku – wymamrotała Mary.

– Lepiej wróć do siebie – szepnął i stoczył się na podłogę. Odłożył na swoje miejsce pluszowych ochroniarzy Thomasa i dźwignął się na nogi. Bolały go kolana. Pewnie miał artretyzm. W zasadzie mógłby od razu zamieszkać z matką w domu opieki. Ależ byłoby milusio.

Zgarbiony, przyciskając nozdrze kłykiem, powłókł się korytarzem. Miał plamy krwi na piżamie: nie o takie pole maków mu chodziło. Była piąta rano, za późno dla jednej połowy życia, za wcześnie dla drugiej. Zero szans na sen. Równie dobrze może zejść na dół, wypić galon zdrowej, organicznej kawy i popłacić rachunki.

Kettle, w ciemnych okularach i ogromnym słomkowym kapeluszu, siedziała już przy kamiennym stole. Używając jako zakładki starej karty pokładowej, zamknęła biografię królowej Marii Jamesa Pope'a-Hennessy'ego i położyła ją obok swojego talerza.

– To prawie jak sen – rzekł Patrick, dosuwając do stołu matkę na wózku inwalidzkim – mieć tu was obie naraz.

– Jak... sen – powtórzyła z roztargnieniem Eleanor.

– Jak się czujesz, moja droga? – spytała Kettle, całą sobą wyrażając obojętność.

– Bardzo...

Wysiłek, z jakim Eleanor wydobyła z siebie, po dłuższej chwili, piskliwe „dobrze”, sugerował coś zgoła innego, jakby zmierzała raczej w stronę słowa „chora” albo „nieszczęśliwa” i dopiero w ostatniej chwili zrobiła gwałtowny unik. Promienny uśmiech odsłaniał zębowe pobojowisko. Patrick wiele razy prosił ją, żeby coś z tym zrobiła, lecz nadaremnie: dopóki kołatał się w niej dobroczynny duch, Eleanor nie zamierzała trwonić pieniędzy na własne potrzeby. Resztkę wolnego dochodu odkładała na komory deprywacyjne Seamusa. Sama zaś doświadczała teraz deprywacji potrzeb żywieniowych. Jej język wił się wśród połamanych skał, rozpaczliwie poszukując jednego całego zęba. Było tam kilka wrażliwych miejsc, do których jedzenie nie miało prawa wstępu.

– Pomogę ci z lunchem – rzekł z żalem i poczuciem obowiązku Patrick, uciekając przez trawnik w tempie pływaka, któremu śpieszno wrócić na powierzchnię po zbyt głębokim skoku.

Wiedział, że nie od matki potrzebuje się uwolnić, ale od trującej mieszaniny nudy i złości, jaką odczuwał na myśl o niej. Tego jednak nie dało się zrobić w jeden dzień. „Nawet jedno życie może nie wystarczyć” – ostrzegł się tonem czułego politowania. W krótkiej perspektywie kilku najbliższych minut potrzebował nabrać do matki jak największego dystansu w całkiem dosłownym znaczeniu tego słowa. Rano, w domu opieki, zastał ją siedzącą przy drzwiach z torbą na kolanach, jakby od wielu godzin była gotowa. Wręczyła mu kartkę zapisaną bladym ołówkiem. Wynikało z niej, że pragnie, aby Saint-Nazaire zostało przekazane Fundacji niezwłocznie, a nie dopiero po jej śmierci. W zeszłym roku zdołał to przeciągnąć, ale czy uda mu się tym razem? Eleanor pisała, że zależy jej na „domknięciu” i że liczy na jego pomoc i „błogosławieństwo”. Te wyrażenia pachniały na kilometr retoryką Seamusa. Na pewno miał już przygotowany jakiś rytuał domknięcia, indiański transowy taniec, który domknie własne domknięcie makrokosmicznym i mikrokosmicznym, symbolicznym i rzeczywistym, natychmiastowym i wiecznym wykopaniem Patricka i jego rodziny z Saint-Nazaire. Wśród szarpaniny sprzecznych emocji Patrickowi mignęła nieraz tęsknota, by pozbyć się tego cholernego miejsca. Prędzej lub później będzie musiał dać sobie spokój, wrócić do Saint-Nazaire na weekend uzdrawiania bębnami, poprosić Seamusa o pomoc w rozstaniu z domem swojego dzieciństwa, w dodaniu „trans” do czegoś, co wydawało mu się bardzo personalne.

Przechodząc z tarasu do gaju oliwnego, Patrick wyobraził sobie, że opiewa przed grupką neoszamanów i neoszamanek słusność, trudność i – „nigdy bym się tego nie spodziewał, ale muszę użyć tego słowa, *piękno* powrotu w to miejsce, żeby osiągnąć poczucie domknięcia w procesie wyzwolenia” (aprobujące westchnienia). „Był taki czas, że miałem żal do Seamusa, a nawet, tak, muszę to przyznać, nienawidziłem jego, Fundacji i własnej matki, ale moja pogarda

została w cudowny sposób przemieniona we wdzięczność i mogę uczciwie powiedzieć (lekkie drżenie głosu), że Seamus jest nie tylko wspianiałym mentorem i nauczycielem gry na bębnie, ale także moim najprawdziwszym przyjacielem” (oklaski, grzechotanie grzechotek).

Patrick przerwał swoją fantazję sarkastycznym jękiem i usiadł na ziemi tyłem do domu, opierając się o sękaty szary pień starego rozwidlonego drzewa oliwnego, które przez całe życie służyło mu za kryjówkę i miejsce rozmyślań. Musiał sobie bez przerwy przypominać, że Seamus nie jest zwyczajnym oszustem, który oskubał starszą panią. Eleanor i Seamus nawzajem się korumpowali nadmiarem dobrych intencji. Seamus mógłby dalej robić coś względnie pożytecznego, zmieniając baseny pacjentom w Navan – jedynym mieście w Irlandii, którego nazwę można czytać wspak – a Eleanor mogłaby się żywić żytnimi sucharami i przekazywać swój dochód niewidomym albo na bezpłatne badania medyczne, albo ofiarom tortur; woleli jednak wspólnymi siłami wznieść pomnik pretensji i zdrady. Zamierzali razem zbawić świat. Zamierzali pogłębiać świadomość, ogłupiać i tak już niebezpiecznie głupi elektorat. To, co było dobre w Seamusie, niszczyła patologiczna szczodrość Eleanor, a to, co było dobre w Eleanor, niszczyła pomyłona wizja Seamusa.

Co uczyniło Eleanor taką świętoszką? Patrick czuł, że u źródeł jej syzyfowego altruizmu tkwiła pogarda dla własnej matki. Opowiedziała mu kiedyś o tym, jak poszła z nią na pierwsze duże przyjęcie. Działo się to w Rzymie tuż po drugiej wojnie światowej. Eleanor była wtedy piętnastoletnią dziewczyną i właśnie wróciła na wakacje ze szkoły z internatem w Szwajcarii. Jej matka, bogata Amerykanka i zawzięta snobka, rozwiodła się z rozpustnym, uroczym i pozbawionym tytułów ojcem Eleanor i poślubiła karzełkowatego francuskiego księcia i choleryka Jeana de Valencay, obsesjonata rangi i genealogii. Na zrujnowanej arenie prawie komunistycznej Republiki subsydiowany w stu procentach przez nową żonę i jej przemysłową fortunę książę tym gorliwiej upierał się przy swoim prastarym rodowodzie. Wieczorem w dniu przyjęcia Eleanor siedziała w ogromnej hispano-suizie matki, zaparkowanej obok budynku zniszczonego przez bomby; rozświetlone okna domu księżnej Colonna znajdowały się za rogiem. Ojczym zachorował, ale spoczawszy w bogato zdobionym renesansowym łożu, które należało do jego rodziny, odkąd żona kupiła mu je w zeszłym miesiącu, kazał jej przysiąc, że nie wejdzie do domu księżnej przed duchessą di Dino, od której stała wyżej w hierarchii. W tym wypadku, jak się okazało, hierarchia wymagała od matki, aby się spóźniła. Czekwały w samochodzie. Z przodu, obok szofera, siedział lokaj, który co jakiś czas szedł sprawdzić, czy podrzędna duchessa już się pojawiła. Eleanor była nieśmiałą idealistką, wolała rozmowę z kucharzem od rozmowy z gośćmi, dla których szykowano potrawy, lecz mimo to wyczekiwała przyjęcia z niecierpliwą ciekawością.

– Błagam, chodźmy już. Przecież nawet nie jesteśmy Włoszkami.

– Jean by mnie zabił – odparła matka.

– Nie stać go na to – zauważyła Eleanor.

Matka zaniemówiła z wściekłości. Eleanor żałowała swoich słów, ale była też po nastoletniemu dumna z siebie, że powiedziała prawdę na głos. Wyjrzała ze szklanej klatki matczynego samochodu i zobaczyła idącego chwiejnym krokiem w ich stronę włóczęgę w brązowych łachmanach. Gdy się zbliżył, dostrzegła szkieletową ostrość jego rysów i wielki głód w oczach. Powłócząc nogami, zatrzymał się przy samochodzie i zapukał w szybę, wskazał błagalnie usta, uniósł ręce jak do modlitwy, po czym znowu wskazał usta.

Eleanor spojrzała na matkę. Patrzyła prosto przed siebie, oczekując przeprosin.

– Musimy mu coś dać – rzekła Eleanor. – Umiera z głodu.

– To tak jak ja – odparła matka, nie obracając głowy. – Jeżeli ta Włoszka się zaraz nie zjawi, to chyba zwariuję.

Zapukała w szybę oddzielającą tylne siedzenie od przednich i niecierpliwym gestem ponagliła lokaja.

Wreszcie weszły do środka i Eleanor spędziła przyjęcie, zmagając się z pierwszym w życiu atakiem filantropijnej gorączki. Odrzucenie wartości matki w połączeniu z jej własnym idealizmem zaowocowało upojną wizją siebie jako bosonogiej świętej: odda się pomocy innym, byle tylko nie byli z nią spokrewnieni. Kilka lat później matka pomogła Eleanor uczynić kolejny krok na tej drodze, dając się zmusić na łożu śmierci, gdy umierała na raka, do zapisania niemal całej swojej olbrzymiej fortuny jej ojczymowi, kiedy ten z oburzeniem oznajmił, że pierwotny testament, nadający mu jedynie dożywotnie prawo dysponowania jej majątkiem, godzi w jego honor, ponieważ sugeruje, iż mógłby chcieć wydziedziczyć pasierbice. Później złamał słowo dane umierającej żonie i zostawił swój łup bratankowi. Eleanor tkwiła już wtedy zbyt głęboko w sferze duchowej, aby przyznać, jak dużym szokiem była dla niej utrata tych pieniędzy. Swój żal przekazała później Patrickowi, starannie zakonserwowany niczym jeden z antyków, które Jean z lubością kolekcjonował na koszt żony. Matka gustowała w książkach, Eleanor – w szamanach, lecz abstrahując od degradacji społecznej, formuła zasadniczo pozostała niezmienną: orznąć własne dzieci w imię wypieszczonego obrazu samej siebie, bądź to wielkiej damy, bądź to świętej głuptaski. Eleanor przerzuciła na syna te części swojego doświadczenia, których pragnęła się pozbyć: rozwód, zdrada, nienawiść do matki, wydziedziczenie; jednocześnie trzymała się kurczowo myśli, że sama jest częścią planu zbawienia świata, ery Wodnika, powrotu do prymitywnego chrześcijaństwa, odrodzenia szamanizmu – pojęcia zmieniały się z biegiem lat, ale rola Eleanor pozostawała taka sama: heroizm, optymizm, wizjonerstwo, duma z własnej pokory. Skutkiem tego psychicznego apartheidu było zamrożenie obu części osobowości, tej odrzuconej i tej, do której aspirowała. Owego wieczora na rzymskim przyjęciu Eleanor pożyczyła trochę pieniędzy od przyjaciela rodziny i wybiegła na ulicę, aby odszukać włóczęgę i uratować go przed śmiercią głodową. Kilka przecznic dalej dotarło do niej, że włoska ulica nie otrząsnęła się tak szybko po sześciu latach wojny jak uczestnicy opuszczonej przez nią zabawy. Czuła, że rzuca się w oczy wśród szcurków i gruzów, ubrana w błękitną suknię balową, ściskając w niecierplivej dłoni wielki banknot. Jakiś cień poruszył się w drzwiach i ogarnięta nagłym strachem pobiegła na drżących nogach z powrotem do samochodu matki.

Pięćdziesiąt pięć lat później Eleanor wciąż nie znalazła realistycznego sposobu na to, aby czynić dobro. Uczta wciąż toczyła się bez niej, a głodni dalej głodowali. Kiedy coś szło nie tak, czyli zawsze, nie pozwalała, by złe doświadczenia studziły jej nastoletni zapał; wyrzucała je natychmiast na rosnącą hałdę złych doświadczeń. Sekretna połowa Eleanor stawiała się coraz bardziej zgorzkniała i podejrzliwa, aby jej widoczna połowa mogła zachować naiwność i entuzjazm. Seamus był ostatnim w długiej procesji sprzymierzeńców. Eleanor z pełnym zaufaniem wręczała im klucze do swojego życia, by potem nagle, niekiedy w parę godzin po ostatniej chwili sielanki, odrzucić ich i nigdy więcej o nich nie wspomnieć. Pod wpływem choroby dwie jaźnie, które z takim trudem separowała, zlewały się przerażająco. Patrick był ciekaw, czy ten cykl zaufania i odrzucenia znów się powtórzy. W końcu gdyby Seamus przeszedł na ciemną stronę, Eleanor mogłaby zapragnąć rozwiązania Fundacji równie gorąco, jak wcześniej pragnęła jej powołania. A nuż uda mu się to wszystko odwlec o kolejny rok. No i proszę, wciąż się łudził, że nie straci tego domu.

Pamiętał, jak włóczył się po pokojach i ogrodach sześciu pokazowych domów swojej babki. Światowej klasy majątek na jego oczach spadł do rangi umiarkowanego bogactwa, które jego matka oraz ciotka Nancy zawdzięczały stosunkowo niewielkiej schedzie, jaką otrzymały, zanim ich matka uległa kłamstwom i groźbom drugiego męża. Eleanor i Nancy mogły się niektórym wydawać zamożne, mieszkały pod dobrymi adresami, jedna w Londynie, druga w Nowym Jorku, obie miały domy na wsi, żadna nie musiała pracować, nie musiały nawet robić zakupów, sprzątać, zajmować się ogrodem ani gotować, lecz z punktu widzenia historii rodziny zostały im tylko drobniaki. Nancy, która nadal żyła w Nowym Jorku, obsesyjnie przeczesała katalogi domów aukcyjnych z całego świata, szukając na zdjęciach przedmiotów, które powinny należeć do niej. Ostatnim razem, kiedy Patrick odwiedził ją w jej domu przy Sześćdziesiątej Dziewiątej Ulicy, ledwie zaproponowawszy mu herbatę, od razu wyciągnęła błyszczący czarny katalog genewskiego Christie's. Właśnie dostała go pocztą, w środku znajdowało się zdjęcie dwóch ołowianych żardinier ozdobionych złotymi pszczołami – prawie było słychać, jak bzyczą wśród kwitnących srebrnych gałązek. Obie żardinierki wykonano dla Napoleona.

– Nawet ich nie komentowałyśmy – wspominała z goryczą Nancy. – Wiesz, o czym mówię? Tyle było pięknych rzeczy. Po prostu stały sobie na tarasie w deszczu. Półtora miliona dolarów, tyle brataneczek dostał za donice ogrodowe mamy. No sam powiedz, czy nie chciałbyś, żeby część tych rzeczy była twoja, żebyś mógł je kiedyś przekazać swoim dzieciom? – spytała, niosąc nowy stosik albumów zdjęciowych i katalogów, by synkopować zaniżone ceny sentymentalną wartością utraconych przedmiotów.

I przez kolejne dwie godziny przelewała w Patricka swój trujący żal.

– To było trzydzieści lat temu – zauważał od czasu do czasu.

– Kiedy brataneczek co tydzień sprzedaje coś, co należało do mamusi! – broniła zaciekle swojej obsesji.

Ten ciągły teatr, brak szczerości wobec siebie i innych, wpędzał Patricka w ostrą depresję. Prawdziwe szczęście poczuł dopiero wtedy, kiedy Thomas pierwszy raz powitał go wybuchem nieskomplikowanej miłości. Wcześniej tego ranka Patrick nosił go na rękach po tarasie i szukali gekonów pod okiennicami. Thomas chwycił każdą okiennicę, a Patrick otwierał ją ze skrzypieniem. Czasem odsłaniał gekona, który pierzchał po ścianie do góry i chował się pod okiennicą na piętrze. Thomas pokazywał jaszczurkę palcem, zaokrąglając w zdumieniu usta. Tak naprawdę nie liczył się gekon, ale chwila wspólnej radości. Patrick przechylał głowę, by mieć oczy na równi z oczami Thomasa, i nazywał rzeczy, które mijali: „Waleriana... Pigwowiec... Figowiec”. Thomas długo milczał, w końcu zawołał: „Glabie!”. Patrick próbował sobie wyobrazić świat z jego perspektywy, ale były to próby skazane na klęskę. Najczęściej nie umiał sobie wyobrazić nawet świata z własnej perspektywy. Dopiero noc zderzała go z prawdziwą rozpaczą, którą podszyte były szare, płytkie dni z wysepkami przyjemności. Thomas był jego antydepresantem, który jednak szybko przestawał działać, gdy Patricka zaczynały boleć plecy i ogarniał go przemożny lęk, że umrze młodo, osierocając dzieci, zanim dorosną i usamodzielnia się materialnie i emocjonalnie. Nie miał żadnych powodów, by spodziewać się przedwczesnej śmierci; był to po prostu największy i najmniej zależny od jego woli zawód, jaki mógł sprawić swoim dzieciom. Thomas stał się wielkim symbolem nadziei, do tego stopnia, że dla innych nic już nie zostało.

Całe szczęście, że miał przyjechać Johnny. Patrick był przekonany, że coś mu umyka i że Johnny pomoże mu wejrzeć w siebie. Łatwo było dostrzec chorobę, o wiele trudniej – zrozumieć, co znaczy być zdrowym.

– Patrick!

Już go szukali. To Julia wołała go po imieniu. Może by na chwilę dołączyła do niego pod drzewkiem oliwnym, zrobiła mu szybką laskę, żeby usiadł do lunchu trochę spokojniejszy, bardziej odprężony? Wspaniały pomysł. Stanie pod jej drzwiami zeszłej nocy. Gmatwanina wstydu i frustracji. Dźwignął się na nogi. Drżące kolana. Starość i śmierć. Rak. Z prywatnej przestrzeni w chaos towarzystwa albo z chaosu prywatnej przestrzeni w pełną swady łatwość interakcji z innymi. Nigdy nie wiedział, jak to się potoczy.

– Julia. Tutaj jestem.

– Przysłano mnie po ciebie – rzekła Julia, stąpając ostrożnie po nierównej ziemi gaju oliwnego. – Chowasz się?

– Nie przed tobą – odparł. – Chodź, usiądź ze mną na chwilę.

Usiadła obok i też oparła się plecami o rozwidlony pień.

– Miło tu – powiedziała.

– Chowam się tutaj od dziecka. Aż dziwne, że nie ma wgłębienia w ziemi.

Przez chwilę milczał, zastanawiając się, czy jej powiedzieć.

– Dzisiaj o czwartej nad ranem stałem pod twoimi drzwiami.

– Dlaczego nie wszedłeś?

– A ucieszyłabyś się?

– Oczywiście. – Nachyliła się i pocałowała go krótko w usta.

Poczuł falę podniecenia. Wyobraził sobie, jak udaje, że jest młody, tarza się wśród ostrych kamyków i opadłych gałązek, śmieje męskim śmiechem, obojętny na komary pasące się na jego nagim ciele.

– Co cię powstrzymało? – spytała.

– Robert. Nakrył mnie na korytarzu, jak się wahałem.

– Następnym razem lepiej się nie wahaj.

– A będzie następny raz?

– Czemu nie? Ty jesteś znudzony i samotny; ja jestem znudzona i samotna.

– Boże – powiedział – razem to będzie ogromna ilość nudy i samotności w jednym łóżku.

– A może to są przeciwne ładunki, które nawzajem się zniwelują?

– Jesteś znudzona dodatnio czy ujemnie?

– Dodatnio – odparła. – Jak dwa plus dwa równa się cztery.

– W takim razie może i masz rację – uśmiechnął się. – Moja nuda ma w sobie coś bardzo negatywnego. Będziemy musieli przeprowadzić eksperyment w kontrolowanych warunkach, żeby ustalić, czy całkiem wyeliminujemy nudę, czy pomnożymy samotność.

– Lepiej daj się zaciągnąć na lunch – rzekła Julia – albo wszyscy pomyślą, że mamy romans.

Pocałowali się. Z językiem. Zapomniał o całowaniu z językiem. Poczuł się jak nastolatek, chował się za drzewem i ćwiczył prawdziwe pocałunki. Oszłamiające, prawie bolesne, było to uczucie bycia żywym. Tłamszona tęsknota za bliskością pulsowała mu w dłoni, którą położył delikatnie na brzuchu Julii.

– Nie rób mi teraz ochoty – powiedziała. – To nie fair.

Oboje stęknęli, wstając na nogi.

– Kiedy szłam cię szukać, akurat przyszedł Seamus. – Julia otrzepała spódniczkę z kurzu. – Opowiada teraz Kettle, co się tutaj dzieje przez resztę roku.

– I co ona na to?

– Wydaje mi się, że postanowiła go polubić na złość tobie i Mary.

– No tak, to oczywiste. Sam bym się domyślił, gdyby nie to, że mnie skołowałaś.

Ruszyli w stronę kamiennego stołu, starając się ani za bardzo nie uśmiechać, ani nie wyglądać zbyt poważnie. Patrick czuł, że wsuwa się z powrotem pod mikroskop rodzinnej uwagi. Mary uśmiechnęła się do niego. Thomas wyciągnął ręce na powitanie. Robert przyglądał mu się onieśmielająco przenikliwym wzrokiem. Patrick podniósł Thomasa i uśmiechnął się do Mary. „Można nosić na ustach uśmiech i być łotrem” – pomyślał. Siadając koło Roberta, czuł się jak wtedy, kiedy bronił klienta, którego wina była bezsporna, przed sędzią znanym z surowości. Robert widział wszystko. Patrick podziwiał jego inteligencję, lecz Robert nie tylko nie pozwalał mu, inaczej niż Thomas, zapomnieć o depresji, ale na dodatek uświadamiał Patrickowi subtelną uporczywość destrukcyjnego wpływu rodziców na dzieci – jego wpływu na dzieci. Co z tego, że był czułym ojcem, co z tego, że nie popełniał rażących błędów, jakie mieli na sumieniu jego rodzice, skoro czujność, jaką w to wkładał, wytwarzała kolejny poziom napięcia, które Robert świetnie wyczuwał. Dla Thomasa będzie inny – bardziej swobodny i wyluzowany, o ile można być swobodnym i wyluzowanym, wcale się tak nie czując. Beznadziejna sprawa. Naprawdę powinien się porządnie wyspać. Nalał sobie kieliszek czerwonego wina.

– Dobrze cię widzieć, Patricku – rzekł Seamus, poklepując go po plecach.

Patrick miał ochotę mu przyłożyć.

– Seamus opowiadał mi o warsztatach – odezwała się Kettle. – Muszę powiedzieć, że brzmi to fascynująco.

– Może się zapiszesz? – zasugerował Patrick. – To jedyny sposób, żeby odwiedzić to miejsce w sezonie na czereśnie.

– Ach, czereśnie – podchwycił Seamus. – Są naprawdę wyjątkowe. Zawsze urządzamy rytuał związany z czereśniami. To owoce życia.

– Czy czereśnie smakują wtedy lepiej, niż kiedy myśli się o nich jak o owocach drzewa czereśni? – spytał Patrick.

– Czereśnie... – odezwała się Eleanor. – Tak... nie... – Starła swoją myśl w dłoniach, pocierając nimi energicznie.

– Eleanor uwielbia czereśnie. Są doskonałe, prawda? – Seamus zamknął dłoń Eleanor w kojącym uścisku. – Zawsze zawożę jej miskę świeżo zerwanych.

– Sowity czynsz – skomentował Patrick, opróżniając kieliszek.

– Nie – wystraszyła się Eleanor. – Bez czynszu.

Patrick zrozumiał, że zdenerwował matkę. Nie wolno mu było nawet uciekać w sarkazm. Odcięto mu wszystkie drogi. Dolał sobie wina. Kiedyś będzie musiał dać sobie spokój, ale tymczasem jeszcze trochę powalczy; to było silniejsze od niego. Tylko jaka broń mu została? Gdyby nie dołożył tylu starań, żeby nadać szaleństwu matki moc prawną... Powierzyła mu, nie widząc w tym żadnej ironii, zadanie wydziedziczenia samego siebie, a on wywiązał się z niego wzorowo. Chodziło mu czasem po głowie, żeby umieścić w fundamentach jakąś ukrytą wadę. Odbywał narady z udziałem *notaires* i prawników francuskich i brytyjskich, omawiał z nimi sposoby obejścia prawa spadkowego z Kodeksu Napoleona, najlepszy sposób na utworzenie fundacji dobroczynnej, kwestie podatkowe i rachunkowe, kierując się tylko jednym: chęcią udoskonalenia i usprawnienia planu. Jedyным wyjściem była gumka długu, którą Eleanor zamierzała teraz przeciąć. Naprawdę umieścił ten zapis z myślą o niej. Próbował nie dopuszczać do siebie nadziei, że Eleanor z niego skorzysta – i dopiero teraz, kiedy miał ową nadzieję stracić, dotarło do niego, że przez cały ten czas żywił ją potajemnie, że służyła mu ona do tego, by utrzymywać niewielki, lecz mimo wszystko zgubny dystans do prawdy. Saint-Nazaire miało

niebawem przepaść bezpowrotnie i nic już nie dało się zrobić. Jego matka była niemaczną idiotką, a żona porzuciła go dla Thomasa. Został mu jeden przyjaciel, na którym mógł polegać, zapłakał w duchu, znów dolewając sobie czerwonego wina. Na sto procent się upije i zacznie obrażać Seamusa, albo i nie. Koniec końców trudniej było się zachowywać źle niż dobrze. W tym cały problem, gdy się nie jest psychopatą. Wszystkie drogi odcięte.

Wokół niego bez wątpienia rozgrywała się jakaś scenka, lecz był tak głęboko zatopiony w sobie, że nie wiedział, co się dzieje. Czy zresztą warto było wdrapywać się po śliskiej ścianie studni, żeby się przekonać, że Kettle zachwala metody wychowawcze królowej Marii, a Seamus emanuje celtycką charyzmą? Patrick powiódł wzrokiem w głąb doliny i wpadł w szpaler wspomnień i skojarzeń. Pośrodku pejzażu sterczał brzydki dom Mauduitów, na podwórzu wciąż stały tam dwie wielkie akacje. Jako dziecko bawił się często z gamoniowatym Marcelem Mauduitem. Robili dzidy z jasnozielonych bambusów porastających brzegi strumienia na dnie doliny. Rzucali nimi w małe ptaszki, które pierzchały na kilka minut przed tym, zanim bambus wylądował z trzaskiem na pustej gałęzi. Kiedy Patrick miał sześć lat, Marcel zaprosił go do siebie, żeby mu pokazać, jak jego ojciec obcina głowę kurczakowi. Nie ma nic dziwniejszego i śmieszniejszego, wyjaśniał, niż widok kurczaka, który biega w kółko, szukając własnej głowy. Trzeba to zobaczyć na własne oczy. Chłopcy czekali w cieniu akacji. Stara siekiera tkwiła pod wygodnym kątem wśród krzyżujących się nacięć w burym pniaku płatanu. Marcel tańczył jak Indianin z tomahawkim, udając, że obcina głowy swoim wrogom. Z odległego kurnika dobiegła przeraźliwa wrzawa. Kiedy wreszcie nadszedł ojciec Marcela, trzymając za szyję kurę, daremnie bijącą skrzydłami w jego brzuszysko, Patrick zaczął jej w duchu kibicować. Chciał, żeby przynajmniej ta ocalała. Widać było po niej, że wie, co ją czeka. Monsieur Mauduit położył ją na boku, przyciskając jej szyję do brzegu pniaka. Gdy opuścił siekierę, głowa upadła miękko u jego stóp. Szybko postawił resztę kury na ziemi i lekkim klepnięciem zachęcił ją do rozpaczliwej ucieczki. Marcel śmiał się głośno i wyciągał przed siebie palec. Tymczasem oczy kury wpatrywały się w niebo, a Patrick wpatrywał się w te oczy.

Przy czwartym kieliszku wina Patrick poczuł, że jego wyobraźnia skręca w stronę wiktoriańskiego melodramatu. Mroczne sceny formowały się same, lecz nie robił nic, by temu zapobiec. Stało mu przed oczami wzdęte ciało Seamusa płynące z prądem Tamizy. Wózek inwalidzki matki wymknął się spod kontroli i pędził w podskokach ścieżką opadającą ku wysokim klifom Dorset. Kiedy Eleanor runęła w dół z krawędzi urwiska, Patrick zwrócił uwagę na piękne tło parku krajobrazowego. Kiedyś naprawdę będzie musiał dać sobie spokój, oprzytomnieć, stawic czoło faktom, ale teraz jeszcze przez chwilę powyobraza sobie, że czytuje sfałszowany testament, a Julia siedzi na brzegu jego biurka i rozprasza go skomplikowaną bielizną, którą ma na sobie.

Thomas na kolanach Mary pochylił się do przodu, a ona z charakterystycznie bezbłędną intuicją podała mu herbatnik. Thomas znów oparł się o jej piersi, po raz setny tego dnia utwierdzony w przekonaniu, że nigdy niczego mu nie zabraknie. Patrick wejrzał w siebie, szukając zazdrości, ale jej nie znalazł. Było tam wiele złych emocji, ale nie uważał syna za swojego rywala. Kluczem była ogromna niechęć do własnej matki, niepozostawiająca miejsca dla zazdrości o solidne oparcie, jakie otrzymywał Thomas, a którego tak bardzo brakowało jego ojcu. Thomas znów się pochylił i mrużąc pytająco, wyciągnął herbatnik w stronę Julii, chcąc ją poczęstować. Skrzywiła się na widok rozmiękłego ciasteczka.

– Fuj – powiedziała. – Nie, dziękuję.

Patrick nagle uświadomił sobie, że nie mógłby się kochać z kimś, kto tak głęboko nie

zrozumiał szlachetnego odruchu Thomasa. Czy jednak mógłby? Ta żądza, która gnała do przodu mimo wstrętu, miała w sobie coś z bezgłowego kurczaka. Osiągnął pijacki niby-dystans, mały pagórek przed bagnami rozczulenia nad sobą i zaników pamięci. Zrozumiał, że naprawdę musi się wyleczyć, nie może tak dłużej. Kiedyś rzuci to wszystko, ale najpierw musi poczuć, że jest gotowy, a na to nie miał wpływu. Mógł się natomiast przygotować do bycia gotowym. Odchylił się na oparcie krzesła i zgodził się sam ze sobą, że przynajmniej tyle zrobi: przez resztę miesiąca będzie się przygotowywał do bycia gotowym.

– Jak się miewasz? – spytał Johnny, zapalając tanie cygaro.

Błysk zapalniczki rzucił plamę koloru na rozjaśniony księżycowym blaskiem czarno-biały krajobraz. Wyszli we dwójkę na dwór po kolacji, żeby porozmawiać. Patrick spojrzał najpierw na szarą trawę, potem na niebo wyprane z gwiazd przemocą księżyca. Nie wiedział, od czego zacząć. Zeszłego wieczora udało mu się jakoś wznieść ponad incydent z rozmoczoną herbatnikiem, zakradł się do pokoju Julii tuż po północy i został u niej do piątej. Spał z nią w chmurze zamyślenia nierozproszonej nawet przez swoją impulsywną żądzę. Był tak skupiony na tym, jak smakuje cudzołóstwo, że ledwie zwrócił uwagę na to, jak smakuje Julia. Myślał o tym, co to znaczy być znowu w kobiecie, która – pomijając relatywnie wątpliwą rzeczywistość skóry i kończyn – jest przede wszystkim siedliskiem nostalgii. Na pewno nie był to przypadek Czasu Odnalezionego. Bycie świnia w korycie brudnych emocji nie dorównywało spontanicznej beczasowości mimowolnych wspomnień i skojarzeń. Gdzie były jego kocie łby, srebrne łyżeczki i srebrne dzwonki? Czy gdyby je znalazł, pojawiłyby się pływające mosty, tak dziwnie niezawisłe, nienależące do oryginału ani do powtórzenia, do przeszłości ani do ulotnej terażniejszości, lecz do jakiejś innej, wzbogaconej terażniejszości, zdolnej przełamać linearność czasu? Nie miał powodów, żeby tak sądzić. Czuł się pozbawiony nie tylko zwykłej magii wzmożonej wyobraźni, ale nawet jeszcze zwyczajniejszej magii zanurzenia we własnych doznaniach fizycznych. Nie zamierzał się chlostać za brak drobiazgowości w doświadczaniu rozkoszy seksualnej. Seks zawsze był prostytutką dla obojga uczestników, niekoniecznie w sensie handlowym, ale w głębszym, etymologicznym sensie zastępowania czegoś innego. To, że nieraz wszystko przebiegało tak sprawnie, iż tygodniami albo miesiącami obiekt pożądania i osoba, z którą akurat było się w łóżku, wydawały się jednym i tym samym, nie zmieniało faktu, że tamten ukryty wzorzec pożądania zaczyna się, prędzej lub później, oddalać od swojej iluzorycznej siedziby. Przypadek Julii był o tyle osobliwy, że zastępowała samą siebie sprzed dwudziestu lat.

– Czasami cygaro jest po prostu cygarem – rzekł Johnny, zrozumiałwszy, że Patrick nie chce odpowiedzieć na zadane pytanie.

– Kiedy? – spytał Patrick.

– Zanim je zapalisz. Potem staje się symbolem fiksacji oralnej.

– Nie paliłbym tego cygara, gdyby nie to, że od jakiegoś czasu nie palę – powiedział Patrick. – Chcę, żeby to było jasne.

– Absolutnie rozumiem.

– To jest minus bycia psychologiem dziecięcym – zauważył Patrick. – Kiedy pytasz kogoś, jak się miewa, dostajesz odpowiedź. Zamiast powiedzieć, że dobrze, muszę ci powiedzieć prawdę: niedobrze.

– Niedobrze?

– Źle. Przeraża mnie chaos w mojej głowie. Moje życie uczuciowe, w którą stronę by się nie zwróciło, rozbija się o milczenie, i nie tylko dlatego, że Thomas jeszcze nie mówi, a Eleanor już przestała, ale też wewnątrz; to, nad czym panuję, jest kruche i otoczone przez ogrom tego, nad czym nie panuję. To bardzo pierwotne i bardzo silne uczucie. Jakby skończyło mi się drewno na ognisko, które odstrasza dzikie zwierzęta, coś w tym rodzaju. Tylko że sprawa jest bardziej

skomplikowana, bo dzikie zwierzęta to część mnie, która bierze górę nad resztą. Niszczą mnie, a ja nie mogę ich powstrzymać, bo musiałbym je zniszczyć, a nie mogę tego zrobić, nie niszcząc siebie. Chociaż nawet ten opis jest zbyt poukładany. To bardziej coś jak walka kotów w kreskówce: wirujące czarne kłębowisko, z którego wylatują wykrzykniki.

– Wygląda na to, że dobrze rozumiesz, co się z tobą dzieje.

– To powinno być atutem, ale ponieważ próbuję ci uzmysłwić, jak słabo nad tym wszystkim panuję, jest raczej przeszkodą.

– Nie przeszkadza ci w opowiadaniu o tym chaosie. Staje się przeszkodą, dopiero gdy próbujesz go zademonstrować.

– Może i chcę go zademonstrować, żeby przybrał jakąś konkretną formę, a nie był tylko przytłaczającym stanem umysłu.

– Na pewno przybiera jakąś konkretną formę.

– Hmm...

Patrick przeleciał myślą po tych konkretnych formach: bezsenność, pijaństwo, napady obżarstwa, ustawiczna tęsknota za samotnością, która po zniszczeniu przeradzała się w rozpaczliwe pragnienie towarzystwa, nie wspominając o nocnym epizodzie pozamażeńskim (a może powinien o nim wspomnieć? Johnny roztaczał wokół siebie silne pole grawitacyjne spowiedzi).

Pamiętał, jak zaledwie przed kilkoma godzinami doszedł do wniosku, że to był błąd, i zaczął sobie wyobrażać poważną rozmowę, którą odbędzie z Julią. Teraz, gdy znowu wzbierał w nim alkohol, utwierdzał się w coraz silniejszym przekonaniu, że po prostu poszedł do niej ze złym nastawieniem. Musi się bardziej postarać.

– Muszę się bardziej postarać – rzekł.

– W jakim sensie? – spytał Johnny.

– Tak ogólnie.

Ani mu się śniło mówić Johnny’emu, który zaraz osadziłby jego rozpaloną żądzę w jakimś patologicznym kontekście albo, co gorsza, w programie terapeutycznym. Z drugiej strony, jaki sens miała przyjaźń z Johnnym, jeżeli nie opierała się na szczerości? Przyjaźnili się od trzydziestu lat. Ich rodzice się znali. Jeden wiedział o drugim prawie wszystko. Gdyby Patrick nie mógł się zdecydować, gdzie popełnić samobójstwo, zapytałby o zdanie Johnny’ego. Może tak pokieruje rozmową, żeby przejść od swojego zdrowia psychicznego do jednego z ich ulubionych tematów: jak czas miazdzy ich pokolenie. Między sobą nazywali ten proces „odwrotem spod Moskwy” – obaj mieli w głowach sugestywny obraz pokrwawionych niedobitków armii napoleońskiej wlokących się kulawo i boso przez krajobraz usiany zamrożonymi końmi i konającymi ludźmi. Johnny z zawodowej ciekawości wybrał się ostatnio na kolację ze szkolnymi kolegami i koleżankami ze swojego rocznika. Zdał później Patrickowi relację. Kapitan drużyny krykieta został kokainistą. Najzdolniejszy uczeń w klasie utknął na średnim szczeblu służby cywilnej. Gareth Williams nie mógł przyjść, bo przebywał w szpitalu psychiatrycznym. Największy „sukces” w życiu odniósł szef banku inwestycyjnego, który według Johnny’ego „w ogóle nie łąpał się na wykres autentyczności”. Był to jedyny wykres, który obchodził Johnny’ego, i to od niego zależało, czy Johnny, we własnych oczach, wyląduje na manowcach.

– Przykro mi słyszeć, że nie czujesz się dobrze – uprzedził go Johnny, zanim Patrick zdążył przeskoczyć na bezpieczny grunt zbiorowego rozczarowania, porzuconych ideałów i uczucia pustki.

- Wczoraj w nocy przespałem się z Julią.
- I co, poczułeś się lepiej?
- Zacząłem się zastanawiać, czy czuję się lepiej. Chyba trochę to przeintelektualizowałem.
- To dlatego musisz się bardziej postarać.
- Tak. Nie wiedziałem, czy ci o tym mówić. Bałem się, że jeśli to dokładnie przeanalizujemy, będę musiał przestać.
- Już to przeanalizowałeś.
- Do pewnego stopnia. Wiem, że pod wpływem Thomasa cofam się do własnego wczesnego dzieciństwa. Z Robertem tak nie było. Może to obecność tego starego rekwizytu, matki, której trzeba matkować, przydał temu powrotowi takiego autentyzmu. Tak czy inaczej, w nocy dopada mnie głębsza genealogiczna chandra i dlatego wolę spędzić ten czas z Julią, która zamiast pierwotnego chaosu, jaki odczuwam, kiedy jestem sam, ofiaruje mi względnie nieszkodliwą śmierć młodości.
- To wszystko brzmi bardzo alegorycznie: Pierwotny Chaos i Śmierć Młodości. Czasem kobieta jest po prostu kobietą.
- Zanim się ją zapali?
- Nie, nie, to cygaro.
- Naprawdę nie ma łatwych odpowiedzi. Przez chwilę wydaje ci się, że zaczynasz coś rozumieć...

Patrick usłyszał w prawym uchu bzyczenie komara. Obrócił głowę i wydmuchnął dym w jego kierunku. Bzyczenie ustało.

– Oczywiście, że bardzo bym sobie życzył prawdziwych, namacalnych, głęboko odczuwanych doświadczeń, zwłaszcza seksualnych – kontynuował – ale jak sam zauważyłeś, uciekam do sfery alegorycznej, w której wszystko wyraża jakiś dobrze znany syndrom albo konflikt. Pamiętam, że skarżyłem się lekarzowi na efekty uboczne rybawiryny, którą mi przepisał. „A tak, to jest znane”, powiedział mi z jakimś ogromnym, niezaraźliwym spokojem. Ale kiedy wspomniałem o efekcie ubocznym, który nie jest znany, zbył mnie, mówiąc: „Pierwszy raz słyszę o czymś takim”. Ja chyba staram się być jak on, uodpornić się na doświadczenie, skupiając się na fenomenach. Wciąż myślę: „To jest znane”, gdy tymczasem czuję coś odwrotnego: że to jest obce, groźne i niebezpieczne.

Patrick poczuł ostre ukłucie.

- Pieprzone komary – syknął, uderzając się za mocno w kark. – Zjadają mnie żywcem.
- Pierwszy raz słyszę o czymś takim – odparł z powątpiewaniem Johnny.
- O, to jest znane – zapewnił go Patrick. – I całkiem normalne wśród górskich plemion Papui-Nowej Gwinei. Jedyne pytanie brzmi, czy zmuszają człowieka, żeby sam zjadł się żywcem.

Johnny pozwolił, by ta wizja rozplynęła się w ciszy.

– Słuchaj – podjął na nowo Patrick, nachylając się i mówiąc szybciej niż przedtem. – Nie mam poważniejszych wątpliwości, że wszystko, przez co w tej chwili przechodzę, jest w jakiś sposób związane z fakturą mojego wczesnego dzieciństwa. Jestem pewien, że moje nocne niepokoje odpowiadają jakiemuś atakowi paniki w łóżeczku, kiedy rodzice dla mojego własnego dobra, chcąc mnie uchronić przed zamienieniem się w strasznego małego manipulatora, robili to, co było im najbardziej na rękę, czyli mnie ignorowali. Jak wiesz, moja matka brukuje drogę do piekła samymi dobrymi chęciami, możemy więc przyjąć, że to ojciec był zwolennikiem budowania charakteru poprzez łamanie woli. Ale skąd mam wiedzieć na pewno i co by mi to dało, gdybym się dowiedział?

– Zaczniemy od tego, że nie będziesz używał swojej mocy perswazji, żeby odciągać Mary od Thomasa. Bez jakiegokolwiek poczucia związku z własnym dzieciństwem prawie na pewno byś to robił. To prawda, że najtrudniej nakreślić najwcześniejsze mapy, te z pierwszych dwóch lat. Możemy tylko dedukować. Gdyby, dajmy na to, ktoś bardzo źle reagował na sytuację, w której inni każą mu na siebie czekać, odczuwał stale głód, a po najedzeniu się do syta wpadał w głębokie przygnębienie, i cierpiał na hiperczułość, która nie dawałaby mu spać...

– Dość! Dość! – zaszlochał Patrick. – To wszystko prawda.

– To by wskazywało na określony charakter wczesnej opieki – ciągnął Johnny – bardzo różny od urojonego świata onnipotencji, który Eleanor próbuje podtrzymać za pomocą „rzeczywistości niezwykłej” i „zwierząt mocy”. Zawsze jesteśmy „zasłonami, które zasłaniają nam nas samych”, ale wczesne dzieciństwo, bez wspomnień i bez wyraźnego poczucia własnego ja, składa się z samych zasłon. Może i czegoś nam brakowało, ale nie było tam nikogo, kto mógłby to sobie uświadomić. To kwestia wzmocnienia najlepszego fałszywego ja, jakie uda ci się skonstruować – pal sześć autentyzm. Ale to nie twój przypadek. Myślę, że ty możesz sobie pozwolić na utratę kontroli, na swobodne spadanie. Gdyby przeszłość miała cię zniszczyć, już dawno by to zrobiła.

– Niekoniecznie. Może czeka na odpowiedni moment? Przeszłość ma mnóstwo czasu. To przeszłości jest coraz mniej.

Wlał sobie do kieliszka resztę wina z butelki.

– Przyszłości i wina.

– To co – rzekł Johnny – zamierzasz dzisiaj bardziej się postarać?

– Tak. Moje sumienie buntuje się słabiej, niż przypuszczałem. Idąc do łóżka z Julią, nie próbuję ukarać Mary, po prostu szukam odrobiny czułości. Uważam, że Mary poniekąd by ulżyło, gdyby się dowiedziała. Dla kogoś takiego jak ona to ciężar nie móc dać mi tego, czego potrzebuję.

– Tak naprawdę wyświadczasz jej przysługę.

– Owszem. Nie chcę się z tym obnosić, ale jej pomagam. Nie będzie musiała czuć się winna, że mnie porzuciła.

– Gdyby wszyscy byli tacy wielkoduszni jak ty – rozmarzył się Johnny.

– Myślę, że takich ludzi jest całkiem sporo – odparł Patrick. – W każdym razie moje odruchy filantropijne to cecha rodzinna.

– Chciałbym tylko powiedzieć – rzekł Johnny – że twoje swobodne spadanie nie będzie miało sensu, jeżeli nie pomoże ci lepiej zrozumieć siebie. Dla Thomasa to powinien być czas budowania bezpiecznej więzi. Byłoby wspaniale, gdybyś przynajmniej do jego trzecich urodzin nie zniszczył swojego małżeństwa ani nie wpędził Mary w depresję. Robert ma już chyba solidne fundamenty. Poza tym on ma niezwykły talent do naśladowania ludzi i rozbraja w ten sposób swoje niepokoje.

Zanim Patrick zdążył odpowiedzieć, usłyszał, jak drzwi z siatką przeciw owadom otwierają się, a po chwili zamykają na magnes. Czekali w milczeniu, nie wiedząc, kto idzie.

– Julia – zawołał Patrick, gdy im się ukazała, szeleszcząc w szarej trawie. – Chodź do nas.

– Zastanawialiśmy się wszyscy, co robicie – powiedziała. – Wyjście do księżycy czy rozmyślacie o sensie życia?

– Ani to, ani to – odrzekł Patrick. – Wycia w tej dolinie jest za dużo, a sens życia odkryliśmy lata temu: „Trzymaj głowę wysoko i pluj na groby nieprzyjaciół”. Tak to szło?

– Nie, inaczej – powiedział Johnny. – „Kochaj bliźniego swego jak siebie samego”.

– Ach, przy mojej miłości do siebie to na jedno wychodzi.
– Och, skarbie. – Julia położyła mu dłonie na ramionach. – Czyżbyś był swoim najgorszym wrogiem?
– Mam nadzieję – odparł Patrick. – Boję się myśleć, co by się stało, gdyby się okazało, że ktoś jest w tym lepszy ode mnie.
Johnny zgasił w popielniczce skwierczące, pęknięte cygaro.
– To wy się zdecydуйте, na czyj grób będziecie pluć – powiedział – a ja pójdę już spać.
– Ene, due, like, fake – zaczął wyliczać Patrick.
– A wiesz, że w pokoleniu Lucy nie mówi się już „złap Murzynka za paluszek”, tylko „złap tygrysa za paluszek”? Czy to nie słodkie?
– A „Lulajże, koteczku, na wysokim drzewie” też napisali od nowa? Czy kołyska jednak spada na ziemię? – spytał Patrick. – Rety – dodał, spoglądając na Johnny’ego – to musi być męczące, słuchać kogoś i widzieć, jak w każdym zdaniu przebija jego nieświadomość.
– Na urlopie staram się tego nie słyszeć – odparł Johnny.
– Ale ci się nie udaje.
– Niestety. – Johnny się uśmiechnął.
– Wszyscy poszli już spać? – zapytał Patrick.
– Wszyscy oprócz Kettle – odparła Julia. – Zapragnęła porozmawiać od serca z Seamusem. Chyba się w nim zakochała. Od dwóch dni chadza do niego na podwieczorki.
– Słucham? – zdziwił się Patrick.
– Przestała opowiadać o wdowieństwie królowej Marii, teraz mówi o „odkrywaniu pełni swojego potencjału”.
– A to sukinsyn. Teraz próbuje wydziedziczyć Mary. Będę musiał go zabić.
– A nie lepiej zabić Kettle, zanim zmieni testament? – zasugerowała Julia.
– Słuszna uwaga – przyznał Patrick. – Emocje zaćmiły mi rozum.
– Co tu się odbywa? – odezwał się Johnny. – Wieczór z Makbetami? Nie lepiej po prostu pozwolić jej odkryć pełnię swojego potencjału?
– Chryste – rzekł Patrick – co ty ostatnio czytasz? Myślałem, że jesteś realistą, a nie szajbusem od ludzkiego potencjału, który widzi eldorado kreatywności w każdej kompozycji kwiatowej. Nawet w rękach geniusza psychoterapii szczytem możliwości Kettle byłoby zapisanie się na lekcje tanga w Cheltenham. Seamus może ją co najwyżej potencjalnie oskubać.
– Potencjał, którego Kettle nie zrealizowała, i nie tylko ona – powiedział Johnny – nie ma nic wspólnego z hobby ani nawet osiągnięciami. Chodzi raczej o to, żeby umieć czerpać dowolną przyjemność z życia.
– Ach, ten potencjał masz na myśli – odparł Patrick. – Oczywiście, masz rację, wszyscy musimy nad tym popracować.
Julia dyskretnie musnęła paznokciami jego udo. Patrick poczuł, że dostaje połowicznej erekcji; sposób, w jaki się ułożyła w skotłowanych bokserkach, był nader niefortunny. Nie chcąc szamotać się ze spodniami w obecności Johnny’ego, poczekał spokojnie, aż problem sam zniknie. Nie musiał czekać długo.
Johnny wstał i życzył Patrickowi i Julii dobrej nocy.
– Wyśpijcie się – rzucił na odchodnym.
– Nie wiem, czy nie będę zbyt zajęty odkrywaniem pełni swojego potencjału – powiedział Patrick głosem Kettle z domieszką rubasznej pikanterii.
Kiedy usłyszeli, że Johnny wszedł do domu, Julia usiadła okrakiem na kolanach Patricka,

twarzą do niego, z dłońmi lekko zwieszonymi za jego barkami.

– On wie?

– Tak.

– Czy to dobry pomysł?

– Nikomu nie powie.

– Być może, ale my już nie możemy nikomu nie powiedzieć. To niewiarygodne, że już rozmawiamy o tym, kto co wie. Dopiero co się ze sobą przespaliśmy, a już pojawił się problem wiedzy.

– Nie da się uciec od problemu wiedzy.

– Dlaczego?

– No wiesz, bo był ten ogród, nie? I ta jabłoń...

– Och, błagam, to nie ma nic do rzeczy. To inny rodzaj wiedzy.

– One się połączyły. W obliczu braku Boga pozostaje nam wszechwiedząca plotka i zastanawianie się, kto co wie.

– Tak naprawdę nie obchodzi mnie, co kto wie. Obchodzą mnie nasze uczucia względem siebie. Myślę, że ty wolisz to sprowadzać do wiedzy, bo żyjesz bardziej w swojej głowie niż w swoim sercu. Tak czy inaczej, nie musiałeś mówić Johnny'emu.

– Cokolwiek – odparł Patrick; nagle odeszła mu wszelka ochota, by dowieść swojej racji i wygrać spór. – Nieraz sobie myślę, że mógłby się tak nazywać jakiś superbohater: Cokolwiekman. Nie miałyby nic wspólnego ze Spider-Manem ani Supermanem, bo tamci są bohaterami czynu, a ten byłby bohaterem bezczynu, bohaterem apatii.

– Czy między „cokolwiek” a „man” jest przecinek?

– Tylko jeśli Cokolwiekman zechce otworzyć usta, a wierz mi, że to nie zdarza się zbyt często. Gdy ktoś krzyczy: „W naszą stronę zmierza meteor! Życie na Ziemi czeka zagłada!”, Cokolwiekman odpowiada: „Cokolwiek, man”. Ale kiedy zostaje przywołany podczas ludobójstwa lub napadu paranoidalnej schizofrenii, wtedy to jest jedno słowo: „Oto zadanie dla Cokolwiekmana”.

– A czy ma pelerynę?

– Ależ skąd. Nosi w kółko te same stare jeansy i T-shirt.

– I cała ta fantazja służy jedynie temu, żebyś nie musiał przyznać, że popełniłeś błąd, mówiąc Johnny'emu.

– Najwidoczniej popełniłem błąd, skoro cię to złości – rzekł Patrick. – Ale kiedy mój najstarszy przyjaciel spytał mnie, co u mnie słychać, głupio mi było pominąć najważniejszą rzecz.

– Biedaczysko, jesteś po prostu zbyt...

– Autentyczny – dokończył za nią. – To mój odwieczny problem.

– Może weźmiesz trochę tego autentyzmu ze sobą na górę? – zasugerowała i pochylając się do przodu, pocałowała go długo i powoli.

Był jej wdzięczny, że uniemożliwiła mu odpowiedź na zadane przez siebie pytanie. Nie wiedziałyby, co powiedzieć. Czy to była drwina z jego powierzchownej obecności zeszłej nocy? A może wcale nie zauważyła? Problem innych umysłów. Chryste, znów się zaczyna. Pocałunek. Skup się na tym. Wyobraził sobie, że się skupia. Nie, nie sam obraz – to coś! Cokolwiek to było. Kto powiedział, że autentyzm polega na wyłączeniu w sobie refleksji? Spekulacja była częścią jego natury. Dlaczego miał ją tłamsić w imię czegoś, co koniec końców było jedynie obrazem autentyzmu, kliszą bycia „tu i teraz”?

– Gdzie się podziałeś? – spytała.

– Trochę się zamyśliłem – przyznał. – Chyba zabiłaś mi ćwieka, mówiąc, że bym wziął swój autentyzm na górę. Tyle tego jest, że nie wiem, czy się zabiorę.

– Pomogę ci.

Rozpletli objęcia i ruszyli w stronę domu, trzymając się za ręce jak para otumaniałych nastolatków.

Weszli na piętro i już mieli się wślizgnąć do pokoju Julii, kiedy zza drzwi Lucy dobiegł najpierw stłumiony chichot, a potem seria coraz głośniejszych uciszań.

Przemienieni w jednej chwili z sekretnych kochanków w zatroskanych rodziców, ruszyli spoważniałym krokiem w głąb korytarza. Julia delikatnie zapukała do drzwi i otworzyła je, nie czekając na odpowiedź. W pokoju było ciemno, ale światło z korytarza padło na zatłoczone łóżko. Na kapie, porozrzucane w różnych dziwnych pozach, leżały wszystkie nieodłączne pluszowe maskotki Lucy: biały królik, niebieskooki pies, a nawet, w co już trudno było uwierzyć, wiewiórka, którą wytrwale obgryzała od trzecich urodzin. Ich miejsce w łóżku zajął żywy chłopiec.

– Skarbie? – odezwała się Julia.

Dzieci nie wydały żadnego dźwięku.

– Nie ma co udawać, że śpicie. Słyszeliśmy was z drugiego końca korytarza.

– Ale przecież – oznajmiła Lucy, błyskawicznie siadając – my nie robimy nic złego.

– Niczego takiego nie powiedziałam.

– Co za niewiarygodny wątek poboczny – rzekł Patrick. – Z drugiej strony, nie widzę powodu, dla którego nie mieliby spać razem, skoro chcą.

– Co to jest wątek poboczny? – spytał Robert.

– To część większej historii – odparł Patrick – w mniej lub bardziej klarowny sposób ją odzwierciedlająca.

– Dlaczego jesteśmy wątkiem bocznym?

– Nie jesteście. Jesteście pełnoprawnym wątkiem.

– Jest tyle rzeczy, o których chcemy porozmawiać – oznajmiła Lucy – że nie mogliśmy czekać do jutra.

– Wy też dlatego nie śpicie? – chciał wiedzieć Robert. – Bo chcecie porozmawiać? I dlatego powiedziałeś, że jesteśmy wątkiem bocznym?

– Cofam to, co powiedziałem – odrzekł Patrick. – Wszyscy jesteśmy wątkami bocznymi dla siebie nawzajem – dodał, usiłując zamieszać Robertowi w głowie.

– Jak Księżyc krążący wokół Ziemi – powiedział Robert.

– Właśnie tak. Wszyscy myślą, że są na ziemi, nawet kiedy są na czymś księżycu.

– Ale Ziemia krąży wokół Słońca – zauważył Robert. – Kto jest na Słońcu?

– Słońce jest niezamieszkane – odparł Patrick, zadowolony, że oddalili się o lata świetlne od pierwotnego sensu jego słów. – Ono jest po to, żebyśmy się obracali w kółko.

Robert marszczył czoło. Już miał zadać kolejne pytanie, kiedy wtrąciła się Julia.

– Czy możemy na chwilę wrócić na naszą planetę? Możecie spać razem, jeżeli wam zależy, ale pamiętajcie, że jutro jedziemy do Aqualandu, więc macie zaraz spać.

– A co mielibyśmy robić? – zachichotała Lucy. – Cmokać się?

Oboje z Robertem zaczęli wydawać pełne ostentacji odgłosy obrzydzenia, po czym runęli na łóżko, tarzając się i wyjąc ze śmiechu.

Patrick zamówił drugie podwójne espresso. Patrzył, jak kelnerka przemyka wśród stolików, i tylko przez chwilę wyobrażał ją sobie na jednym z nich, uczepioną mocno brzegów blatu, podczas gdy on rżnie ją od tyłu. Zamierzał dochować wierności dziewczynie w czarnym bikini, o której fantazjował do tej pory; siedziała w drugim końcu kawiarni, miała zamknięte oczy i lekko rozchylone nogi, chłonęła promienie porannego słońca nieruchomo jak jaszczurka. Patrick bał się, że nigdy nie dojdzie do siebie po tym, jak parę minut wcześniej przyglądała się nabożnie swojej linii bikini. Zwykła kobieta zachowałaby to spojrzenie dla lustra w łazience, ale ona była wcieleniem egocentryzmu, wodziła palcem po wewnętrznej krawędzi majtek, unosząc je i jeszcze bardziej odsuwając, aby w jak najmniejszym stopniu kolidowały z całkowitą nagością, która była jej prawdziwym celem. Tłum wczasowiczów na Promenade Rose, wlokących się noga za nogą, by zająć dla siebie upragniony skrawek plaży wielkości trumny, jakby w ogóle dla niej nie istniał; była zbyt zafascynowana stanem swojej opalenizny, swoją wydepilowaną pachwiną, swoją talią, zbyt zakochana w sobie, by dostrzec innych ludzi. On też był w niej zakochany. Umrze, jeśli jej nie zdobędzie. Skoro już miał się zagubić, a wszystko na to wskazywało, to chciał się zagubić w niej, chciał się pogrążyć w małym basenie jej miłości własnej – o ile wystarczy dla niego miejsca.

O nie, tylko nie to. Litości. Jakiś ożywiony sportowy manekin właśnie podszedł do jej stolika, położył swoją paczkę czerwonych marlboro i komórkę obok jej komórki i paczki marlboro light, pocałował ją w usta i usiadł, o ile to właściwe określenie na taniec mięśni, z jakim w końcu zajął krzesło obok niej. Rozpacz. Odraza. Wściekłość. Patrick prześlizgnął się nad wzburzoną taflą instynktownych uczuć i wzbiał się pod melancholijne niebo rezygnacji. Oczywiście, że była po stokroć zajęta. W gruncie rzeczy to nawet lepiej. Nie mogło być prawdziwego dialogu między tymi, którzy nadal wierzą, że Czas jest po ich stronie, a tymi, którzy zdali sobie sprawę, że wiszą na wpół pożarci u jego paszczy, niczym dzieci Saturna. Pożarci. Naprawdę to czuł: niespieszną wydajność, z jaką modliszka zdiera płaty ciała z żywej mszycy chwyconej w przednie odnóża; koliste kuśtykanie antylopy gnu, która nie chce lec na ziemi z wczepionym w szyję lwem. Upadek, kurzawa, ostatni podryg.

Tak, w gruncie rzeczy to lepiej, że Dziewczyna w Bikini jest zajęta. Brakowało mu cierpliwości pedagoga i szczególnego rodzaju próżności, który pozwoliłby mu pójść na łatwiznę i zostać wampirem młodości. To Julia w ciągu dwóch tygodni swojego pobytu przyzwyczała go do seksu i to w jej sponiewieranym pokoleniu uchodźców przed tyranią czasu musiał teraz szukać sobie nowej kochanki. No, mógłby, oczywiście, zrobić wyjątek dla kelnerki, która właśnie w tej chwili przemykała z powrotem ku niemu. W tej sfatygowanej szczerości jej uśmiechu było coś, co trafiało w jego nastrój. A może to jednak te zalotnie wydęte wargi, w które układał się dzins jej spodni? Czy powinien zamówić kieliszek brandy i dolać ją sobie do espresso? Było dopiero wpół do jedenastej rano, ale wśród okrągłych stolików płonęło już kilka zamglonych szklanek z piwem. Do końca wakacji zostały mu tylko dwa dni. Niech będą chociaż rozpustne. Zamówił brandy. Przynajmniej kelnerka niedługo wróci. Podobało mu się, że przemyka tam i z powrotem z jego powodu, niestrudzenie asystując mu w jego nieporadnych poszukiwaniach ulgi.

Zwrócił się ku morzu, lecz oślepił go ostry blask wody; osłaniając oczy przed słońcem,

wyobraził sobie nagle, że wszystkich ludzi na tej napakowanej ciałami wstędze jasnożółtego piasku, połyskujących emulsją z filtrem, odbijających piłeczki drewnianymi paletkami, podskakujących w spokojnych wodach zatoki, czytających na ręcznikach i materacach, zmiata gwałtowny wiatr, że spowija ich cienkim całunem błyszczącego piasku, a rojny gwar, nad który wybijały się co głośniejsze okrzyki i piski, stopniowo cichnie.

Musi biec na plażę i osłonić Mary i dzieci próchniejącą tarczą własnego ciała, przedłużyć ich życie choć o parę sekund. Tyle wysiłku kosztowało go wyjście z ról ojca i męża, a kiedy wreszcie mu się to udało, natychmiast za nimi zatęsknił. Nie było lepszego antidotum na poczucie bezsensu niż ogromne poczucie sensu, z jakim jego synowie przystępowali do najbardziej bezsensownych czynności, takich jak zalewanie dołków w piasku morską wodą z wiaderka. Zanim zdołał się odłączyć od rodziny, wyobrażał sobie z lubością, że kiedy w końcu będzie sam, zmieni się w otwarte pole uwagi, albo w samotnego obserwatora kierującego lornetką na jakiś rzadki okaz autorefleksji, ginący na co dzień w masie obowiązków falujących niczym chmara rozświergotanych szpaków. W rzeczywistości samotność także generowała role, niewynikające z obowiązku, lecz z głodu. Zamieniał się w pijanego pożądanym kawiarnianego voyeura, ewentualnie w maszynę liczącą, która obsesyjnie sumowała swoje niewystarczające dochody.

Czy istniała w ogóle jakaś czynność, która z miejsca nie stawała się rolą? Czy mógł słuchać, nie będąc słuchaczem, myśleć, nie będąc myślicielem? To prawda, że istniał jeszcze płynny świat imiesłowów – słuchając, myśląc – mknących wartko obok, lecz jego zaprawiona ponurą alegorycznością umysłowość kazała mu siedzieć tyłem do tego połyskliwego potoku i wpatrywać się w świat z kamienia. Nawet romans z Julią miał na cokole wyryty napis „Gorycze cudzołóstwa”. Zamiast poczuć dreszczyk emocji na myśl o swojej brawurze, Patrick uzmysłowił sobie tylko, jak niewiele mu zostało. Gdy zaczęli ze sobą sypiać, spędzał dni rozwalony na leżaku koło basenu, opędzając się od swoich uroczych dzieci, tak jak człowiek leżący w przydrożnym rowie studzi zapędy rozochoconych szczurów. Jego napędzane poczuciem winy sporadyczne umizgi do Mary raziły nie mniej niż prowokowane przez niego kłótnie. Margines wolności, jaki dała mu Julia, szybko wypełnił się betonem kolejnej roli. Ona była jego kochanką, on był jej żonatym mężczyzną. Ona usiłowała go zagarnąć dla siebie, on usiłował ją zatrzymać w roli kochanki, nie rozbijając swojej rodziny. Już tkwili w doskonale schematycznej sytuacji, a ich interesy, patrząc długofalowo, były przeciwstawne. Ich walutą było kłamstwo: oszukiwali Mary, siebie nawzajem i siebie samych. Jedyną płaszczyzną, na jakiej się spotykali, był doraźny głód łóżka. Patrick nie mógł się nadziwić, jak szybko romans z Julią obrósł poczuciem porażki i niewygody. Najrozsądniej byłoby natychmiast go zakończyć, uznać za wakacyjną przygodę zamiast próbować go przekształcić w coś bardziej stałego. Cały problem polegał na tym, że Patrick już nad tym nie panował. Było mu dobrze tylko w łóżku z nią, tylko w niej, tylko kiedy w niej szczytował. I jeszcze kiedy klęczał na podłodze, a ona siedziała w fotelu z uniesionymi kolanami i rozsuniętymi udami. Albo tamtej nocy podczas burzy, kiedy powietrze było pełne jonów, ona stała w oknie, patrząc na błyskawice i wydając bezgłośnie okrzyki, a on stał za nią i... i oto jego brandy, Bogu dzięki.

Uśmiechnął się do kelnerki. Jak to będzie po francusku: „Masz ochotę, kotku?”. Coś tam, coś tam, *chérie*. Lepiej zostać przy sprawdzonym „Jeszcze raz to samo”. Tak, był zgubiony, bo wszystko mu się w Julii podobało: nikotynowy oddech, smak jej krwi miesięcznej. Nie czuł żadnego wstrętu, który pomógłby mu się uwolnić. Była życzliwa, ostrożna, bezproblemowa. Mógł jedynie czekać, aż wykończy ich maszyna sytuacji, a wiedział, że tak się stanie.

– *Encore la même chose* – kręcąc palcem po brzegu pustej szklanki, zawołał do kelnerki, kiedy ta zdejmowała zawartość tacy na sąsiedni stolik. Skinęła głową.

Czuł atmosferę *fin de saison*, znużenie plaż i restauracji, nastrój powrotu do szkoły i do pracy, do dużego miasta; a wśród miejscowych – ulgę, że tłumy rzedną, że słabnie upał. Wszyscy jego goście opuścili już Saint-Nazaire. Kettle wyjechała w poczuciu triumfu, wiedząc, że wróci tu pierwsza. Zapisła się u Seamusa na warsztaty szamanizmu dla początkujących, a potem, jakby w przystępie zakupowej euforii, postanowiła jeszcze zostać na kurs qigong, prowadzony przez uczesanego w kucyk instruktora sztuk walki, którego co chwila ostentacyjnie podziwiała na zdjęciu. Seamus podarował jej książkę *Potęga terażniejszości*, która odtąd zawsze leżała grzbietem do góry koło jej leżaka, oczywiście nie w charakterze lektury, ale jako dowód lojalności wobec potęgi, która zawładnęła Saint-Nazaire. Zaprzyjaźniła się z nim z prostego powodu: było to najbardziej irytujące, co mogła zrobić. Rozmową z Seamusem umilała sobie przerwy w krytykowaniu Mary za sposób wychowywania dzieci. Mary nauczyła się od niej uciekać, znikać na pół dnia. Kettle początkowo nie wiedziała, co począć z tym martwym czasem, aż w końcu została sympatyczką Fundacji Transpersonalnej. *Potęga terażniejszości* zniknęła, dopiero kiedy Anne Whitling, stara znajoma Kettle w ogromnym słomkowym kapeluszu i długasnej, wlokącej się niebezpiecznie chuście w stylu Isadory Duncan, zjechała z trajkotem z jednego z modnych kurortów. Głęboka niezdolność tej kobiety do słuchania kogokolwiek poza sobą była w niej nieszczęśliwie pożeniona z histeryczną troską o to, co inni sądzą na jej temat. Gdy Thomas zaczął w podnieceniu gulgotać o wężu, który leżał zwinięty koło domku przy basenie, Anne zawołała: „Co on mówi? Co on mówi? Jeżeli powiedział, że sypie mi się wąż, to chyba sobie palnę”. Ten uroczy skrót, z którym Patrick nigdy wcześniej się nie zetknął, podsunął mu obrazy zachlapanych krwią historyjek o ludziach, którzy palnęli jakieś głupstwo. Czy jego głupstwem był romans? A może małżeństwo? Czy powinien sobie palnąć?

Czy można było czuć się tak okropnie bez końca? Czy można było jakoś przestać? Jedno, co mógł zrobić, żeby poprawić sobie humor, to wykraść otepiałej matce obraz. Ostatnimi cennymi obrazami w jej posiadaniu była para Boudinów, dwa uzupełniające się widoki plaży w Deauville o łącznej wartości około dwustu tysięcy funtów. Patrick musiał się trzepnąć po łapach za oczekiwanie, że odziedziczy Boudiny „normalną koleją rzeczy”. Zaledwie trzy dni temu, wkrótce po tym, jak z radością pomachał odjeżdżającej Kettle, doręczono mu kolejny nakreślony żmudnie bladym ołówkiem liścik od Eleanor, w którym prosiła, by obrazy sprzedano, a otrzymane za nie pieniądze przeznaczone na budowę komory deprywacyjnej zgodnie z planem Seamusa. Najwyraźniej według Kubilaj-chana umysłowych pustkowi sprawy szły naprzód zbyt wolno.

Oczywiście wyobraźni widział siebie w odległej przeszłości, myślącego, że należy „pozostawić Boudiny w rodzinie”, patrzącego z czułością na te zwały chmur, atmosferę utraconego i zarazem żywo obecnego świata, wątki kulturowe przeświecające z tych normandzkich plaż. Teraz te obrazy były jak dwa bankomaty w ścianie domu opieki. Jeżeli przyjdzie mu opuścić Saint-Nazaire, z pewnością będzie mu nieco różnie ze świadomością, że sprzedaż Boudinów, sprzedaż mieszkania w Londynie i gotowość do przeprowadzki do Queen’s Park pozwolą mu wybawić Thomasa od przerobionej szafy, w której teraz sypiał, i zaoferować synowi zwykłych rozmiarów pokój dziecięcy w domu z tarasem przy głównej ulicy, nie dalej niż dwie godziny stania w korku od szkoły jego brata. Zresztą ostatnią rzeczą, jakiej potrzebował, był widok plaży na drugim końcu Francji, kiedy mógł bez trudu podziwiać rakotwórcze piekło Les Lecques przez bursztynową soczewkę drugiej szklaneczki koniaku. „Dziękuję, monsieur Boudin, ale tutaj niebo

także styka się z morzem” – wymamrotał pod nosem, już lekko podchmielony.

Czy Seamus wiedział o najnowszym liściku? Czy sam go napisał? O ile prośbę Eleanor, aby jeszcze za jej życia ostatecznie podarować Saint-Nazaire Fundacji, Patrick zamierzał po prostu zignorować, o tyle w przypadku Boudinów jego niezgoda będzie miała bardziej drastyczny charakter: postanowił je ukraść. Zakładając, że Seamus nie ma pisemnego dowodu na to, że Eleanor chciała przekazać obrazy Fundacji, ewentualny spór byłby jego słowem przeciwko słowu Seamusa. Na szczęście podarowy podpis Eleanor wyglądał jak nieudolny falsyfikat. Patrick był pewien zwycięstwa nad irlandzkim wizjonerem w pojedynku prawnym, mimo że nie zdołał go pokonać w konkursie popularności, w którym sędzią była jego własna matka. Tak naprawdę, rzekł sobie w duchu, zamówiwszy żwawo „*dernier cognac*”, jakby miał lepsze rzeczy do roboty niż upijanie się przed lunchem, tak naprawdę cały problem sprowadzał się do tego, jak odpiąć te dwa olejne bankomaty od ściany.

Światło na Promenade Rose padało na niego deszczem gorących igieł. Oczy bolały go nawet za ciemnymi szklami okularów. Był trochę... ta kawa i brandy... gwizd silnika odrzutowego. *Walking on the beaches / Lookin' at the peaches / Na, na-na, na-na-na-na-na*². Czyje to było? Wciśnij „Znajdź”. Nic, jak zwykle. Gerard Manley Hopkins? Zaniósł się rechetem.

Musi zapalić cygaro. Naprawdę musi. Kiedy cygaro jest tylko cygarem? Dopóki człowiek nie musi zapalić.

Przy odrobinie szczęścia wróci na Plage de Tahiti w samą porę na (irlandzki akcent) syfilisowaną putelkę fina.

– Boże, błogosław Seamusa – dodał pobożnie, naśladowując odgłosy wymiotów u stóp krepcej latarni z brązu. Kalambury: symptom osobowości schizoidalnej.

O, jest *tabac*. Czerwony szyld. Ups. *Pardon, Madame*. O co chodzi z tymi wielkimi, opalonymi, pomarszczonymi Francuzkami o jasnorudych włosach, z masywną złotą biżuterią i pudłami w kolorze karmelu? Były *wszędzie*. Otwieranie gabloty. *Celui-là*, wskazując palcem Hoyo de Monterey. Gilotynka. Ciach. Czy ma pani coś większego na zapleczu? *Un vrai guillotine. Non, non, Madame, pas pour les cigars, pour les clients!* Ciach.

Znów gorące igły. Czmych w następny skrawek sosnowego cienia. Może powinien wypić jedną maluteńką brandy, zanim wróci do rodziny. Mary i chłopcy, tak bardzo ich kochał, że chciało mu się płakać.

Zahaczył o Le Dauphin. Kawa, koniak, cygaro. Lepiej od razu mieć to z głowy i móc się cieszyć resztą dnia. Zapalił cygaro i kiedy z ust zaczął mu się sączyć dym, poczuł, że ukazuje mu się jakiś wzór, jakby rozwijano przed nim dywan w sklepie z dywanami. Wziął sobie Mary, dobrą kobietę, i uczynił z niej narzędzie tortur, dziwne odbicie Eleanor sprzed czterdziestu lat: zawsze niedostępna, zawsze wyczerpana swoim zaangażowaniem w altruistyczny projekt, który jego nie obejmował. Osiągnął to paradoksalnym sposobem, odrzucając pewien rodzaj kobiet, które, tak jak Eleanor, byłyby złą matką, i wybierając matkę tak dobrą, że niezdolną uronić ani kropli miłości przeznaczonej dla dzieci. Docierało do niego, że obsesja na punkcie braku pieniędzy jest jedynie materialnym odbiciem niedostatków jego życia uczuciowego. Wiedział o tych rzeczach od lat, ale w tej chwili poczuł, że rozumie to wyjątkowo jasno i precyzyjnie, co z kolei dawało mu wrażenie pełnego panowania nad sytuacją. Druga porcja ciężkiego kubańskiego dymu wzbijała się w powietrze. Fascynujące było to uczucie bezpiecznego dystansu, jakby uwolnił się dzięki intuicyjnej mądrości, jak morski ptak, który podrywa się do lotu na chwilę przed tym, zanim fala rozbije się o skałę.

To uczucie minęło. W pustym żołądku – na śniadanie wypił tylko szklankę soku

pomarańczowego – cztery szklaneczki brandy urządzały karczemną awanturę. Co on wyprawia? Przecież rzucił palenie. Cisnął cygaro w stronę rynsztoła. Ups. *Pardon, Madame*. Boże, to była ta sama kobieta, albo prawie ta sama. O mało nie podpalił jej pudła. Strach pomyśleć o nagłówkach w gazetach... *Anglais intoxiqué... incendie de caniche...*

Musi zadzwonić do Julii. Może bez niej żyć, ale musi wiedzieć, że ona nie może bez niego. Taka była umowa, jaką ludzie wściekle słabi zawierali między swoim ustawicznym rozczarowaniem a chwilowym pocieszeniem. Myślał o tym z pewnym wstrętem, ale wiedział, że i tak podpisze. Musi mieć pewność, że Julia na niego czeka, że tęskni za nim i spodziewa się go u siebie w poniedziałek wieczorem.

Najbliższa budka telefoniczna, pachnący moczem kosz na śmieci bez drzwi, żarzyła się w pełnym słońcu na rogu ulicy. Niebieski plastik parzył mu dłoń, kiedy wybierał numer.

– Nie mogę teraz odebrać, proszę o zostawienie wiadomości...

– Halo? Halo? Tu Patrick. Chowasz się za automatyczną sekretarką...? Dobra, zadzwonię jutro. Kocham cię. – Prawie zapomniał jej to powiedzieć.

A więc nie ma jej w domu. No, chyba że leży w łóżku z innym mężczyzną, naśmiewając się z jego nieśmiałej wiadomości. Gdyby miał udzielić światu tylko jednej rady, powiedziała by: nigdy, nigdy nie decydujcie się na dziecko, jeżeli nie macie sprawdzonej kochanki. I nie dajcie się zwieść fałszywym horyzontom – „jak skończę karmić piersią; jak zacznę przesypiać noc we własnym łóżku; jak pójdzie na studia”. Te puste obietnice były jak konie, które poniosły, wlokły człowieka po kamieniach i kaktusach, a on modlił się, by splątane cugle w końcu pękły. Tak, małżeństwo było już tylko powinnością i obowiązkiem, nigdy ukojeniem. Usiadł ciężko na pierwszej z brzegu ławce, potrzebował chwili wytchnienia, zanim wróci do rodziny. Widoczne z daleka błękitne domki i parasole plaży Tahiti drążyły głębokie tunele w jego pamięci. Był w wieku Thomasa, kiedy pierwszy raz odwiedził to miejsce, a najbardziej wyraziste wspomnienia pochodziły z okresu, kiedy miał tyle lat co Robert: przejażdżki rowerem wodnym (czy wylądują na afrykańskiej plaży?); skakanie po zamkach z piasku, które pracownicy wznosiły dla niego zagraniczne opiekunki; i ten pierwszy raz, kiedy mógł sam zamówić napoje i lody, bo sięgał brodą ponad ladę. Jako nastolatek chodził na plażę z książkami. Zakrywał nimi wypukłe kąpielówki, obserwując zza ciasno przylegających okularów przeciwsłonecznych pierwszą falę opalania toples, jaka przetaczała się wtedy przez blade piaski Les Lecques. W kolejnych latach plaża stawała się coraz węższa, aż w końcu morze pochłonęło ją niemal w całości. Mając dwadzieścia parę lat, patrzył, jak lokalne władze ją odbudowują, używając tysięcy ton importowanych kamyków. Co roku około Wielkiejnocy wydobywano z zatoki piasek i rozprowadzano go spycharkami po sztucznej plaży i co roku zimowe sztormy zagarniały go z powrotem do morza.

Patrick pochylił się do przodu i wsparł brodę na dłoniach. Kop po kawie i brandy mijał, została po nim już tylko gasnąca nerwowa energia, jak rzucony płasko kamyk, który kilka razy odbija się od powierzchni wody, zanim pójdzie na dno. Patrzył znużony na to symulakrum pierwotnej plaży, o ile słowo „pierwotna” było właściwym określeniem plaży z czasów, kiedy miał tyle lat, ile jego dzieci teraz. Pozwolił, by ta żałośnie lokalna definicja rozplynęła się jak mgła, i zanurkował w otchłań czasu geologicznego, ku doskonałej nudzie pierwszej plaży z jej pustymi skalnymi sadzawkami i prostymi molekułami, które przez biliony lat nie wiedziały, co ze sobą zrobić. Ma ktoś jakiś pomysł, co by tu jeszcze można porobić zamiast wciąż odbijać się jedna od drugiej? Konsternacja na twarzach, jakby w niedzielny wieczór poprosić grupkę starych znajomych o zasugerowanie nowej restauracji. Z perspektywy tego pierwotnego brzegu istnienie

człowieka nasuwało porównania z *Tratwą Meduzy* Géricaulta: zielonawe zjawy tonące w lodowatym oceanie czasu.

Naprawdę potrzebował jeszcze jednej szklaneczki, żeby uciec przed chaosem swojej wyobraźni. I czegoś na ząb. I seksu. Potrzebował stanąć twardo na ziemi, jak powiedziałyby Seamus. Dołączyć do swojego gatunku, do stada bekających zwierząt na plaży, których tylko cienka żyłtka lub plaster z woskiem dzieliły od kosmatej sierści, zwierząt okupujących ciężkim bólem pleców swoje pretensje do pionowej postury i zarazem potajemnie pragnących kuśtykać po małpiemu z kłykciami w piachu, piszczeć, chrząkać, bić się i pieprzyć. Tak, czas wrócić na ziemię – a raczej na drzewo. Tylko przez wzgląd na białowłosą staruszkę o spuchniętych kostkach na drugim końcu ławki Patrick nie spuścił gradu ciosów na swoją naprężoną pierś i nie ryknął terytorialnie. No i jeszcze, rzecz jasna, przez wzmagające się uczucie toksycznej chandry i okołopołudniowego kaca.

Dźwignął się i szurając nogami, zaczął przemierzać ostatnie kilkaset metrów do Tahiti. Rozkołysanym krokiem zbliżała się do niego po równym różowym betonie prawie naga dziewczyna o zniewalająco doskonałych piersiach, z brylantem w pępku; spojrzała mu w oczy i uśmiechając się, uniosła ramiona, na pozór aby zawiązać długie blond włosy w luźny kok na głowie, lecz tak naprawdę pokazywała, jak by wyglądała, leżąc na łóżku z rękoma odrzuconymi do tyłu. Boże, dlaczego świat jest tak źle urządzone? Dlaczego Patrick nie może jej zwyczajnie posadzić na rozgrzanej masce samochodu i zedrzeć z niej tego turkusowego paseczka udającego dół od bikini? Ona tego chciała i on tego chciał. W każdym razie on tego chciał. Ona prawdopodobnie chciała tego, co miała: mocy wytrącania z równowagi wszystkich heteroseksualnych mężczyzn – no i nie zapominajmy o naszych koleżankach lesbijkach, dodał z burmistrzowskim patosem – których przeszywała na wskroś, spacerując między swoim smutnym chłopakiem a małym zrywnym samochodem. Minęła go z okrutną obojętnością. Równie dobrze mogłaby mu odrąbać genitalia i rzucić je w piach. Czuł krew spływającą po nogach, słyszał, jak psy kłóć się o łakomy kasek. Pragnął znów usiąść, położyć się, zakopać głęboko pod ziemią. Był skończony jako mężczyzna. Zazdrościł samcom pajaków zjadanym natychmiast po zapłodnieniu samicy, a nie po trochu, jak ich ludzkie odpowiedniki.

Przystanął u szczytu szerokiej białej drabiny schodzącej na plażę Tahiti. Widział, jak Robert biega w tę i we w tę z wiaderkiem, usiłując napełnić nieszczelną fosę. Thomas leżał w ramionach matki, ssał kciuk, tulił poszetkę i obserwował Roberta tym swoim dziwnym obiektywnym spojrzeniem. Obaj byli szczęśliwi, bo mieli niepodzielną uwagę matki, a on, Patrick, był nieszczęśliwy, bo miał jej niepodzielną nieuwagę. Taki był w każdym razie lokalny powód, niezwiązany z pierwotną plażą jego nieszczęścia. Patrick musiał teraz na nią zejść i być ojcem.

– Cześć, skarbie – powiedziała Mary z tym swoim wiecznie zmęczonym uśmiechem, w którym nie uczestniczyły jej oczy. One zamieszkiwały surowszy świat, w którym starała się przetrwać mimo bezustannych żądań synów i destrukcyjnego wpływu całych lat bez chwili samotności na jej samotniczą naturę.

– Cześć – odparł Patrick. – Zjemy lunch?

– Thomas chyba zaraz zaśnie.

– No tak – rzekł Patrick, opadając na leżak. Zawsze był jakiś dobry powód, żeby nie zrobić tego, na co miał ochotę.

– Zobacz. – Robert pokazał Patrickowi spuchniętą powiekę. – Komar mnie ugryzł.

– Komary nie są takie złe – westchnął Patrick. – Tylko ciężarne komarzyce brzęczą nad uchem, w przeciwieństwie do kobiet, które nigdy nie przestają, nawet po urodzeniu kilkorga

dzieci.

Dlaczego to powiedział? Przepęłniała go dzisiaj zoologiczna mizoginia. To raczej on brzęczał. Na pewno nie Mary. To z niego wylewała się nieufność wobec kobiet. Jego synowie nie mieli żadnych powodów, żeby ją podzielać. Musi się wziąć w garść. Powinien przynajmniej okiełznać swoją depresję.

– Przepraszam. Nie wiem, dlaczego to powiedziałem. Jestem okropnie zmęczony.

Roztoczył dookoła przepaszający uśmiech.

– Chyba potrzebujesz pomocy z tą fosą – zwrócił się do Roberta i sięgnął po drugie wiaderko. Chodzili tam i z powrotem, lejąc morską wodę w piasek, aż Thomas zasnął w objęciach matki.

Z dmuchanego basenu, w którym przed chwilą bawił się w najlepsze, Thomas wyskoczył nagle na piasek i zaczął uciekać, spoglądając przez ramię, czy jest ścigany. Mary zerwała się z krzesła i popędziła za nim. Był taki szybki, coraz szybszy z każdym dniem. Już wdrapał się po schodach i tylko Promenade Rose dzieliła go od ulicy, po której jeździły samochody. Przeskakując po trzy stopnie, Mary wbiegła na górę i złapała synka przy zaparkowanym aucie, które kryło go przed wzrokiem kierowców sunących wzdłuż wybrzeża. Uniesiony w powietrze, szarpał się i wierzgał.

– Nigdy tak nie rób – powiedziała ze łzami w oczach. – Nigdy tak nie rób. To bardzo niebezpieczne.

Thomas śmiał się wesołym, gardłowym śmiechem. Odkrył tę nową zabawę wczoraj, podczas pierwszej w tym roku wycieczki na plażę Tahiti. W poprzednie wakacje nie odstępował matki na dwa metry.

Kiedy Mary niosła go z powrotem pod parasol, przeszedł w inny tryb: zaczął ssać palec i poklepywał ją czule po twarzy.

– Wszystko w porządku, mamó?

– Zdenerwowałam się, bo wybiegłeś na ulicę.

– Zrobię coś bardzo niebezpiecznego – oświadczył z dumą. – O tak.

Mary uśmiechnęła się wbrew sobie. Thomas był taki uroczy.

Jak mogła twierdzić, że jest smutna, skoro chwilę później była szczęśliwa? Jak mogła twierdzić, że jest szczęśliwa, skoro po minucie chciało jej się krzyczeć? Nie miała kiedy narysować drzewa genealogicznego wszystkich emocji, które przez nią przemykały. Zbyt wiele czasu spędzała w stanie destrukcyjnej empatii, dostrojona do zmiennych humorów swoich dzieci. Chwilami zdawało się jej, że lada moment zapomni, że w ogóle istnieje. Musiała płakać, żeby odzyskać siebie. Ci, którzy nie rozumieli, sądzili, że jej łzy są wynikiem długo tłumionej prozaicznej katastrofy, śmiertelnego wyczerpania, ogromnego debetu na koncie albo niewierności męża, tymczasem były one intensywnym kursem niezbędnego egotyzmu osoby, która musiała odzyskać własne ja, by móc je znów poświęcić. Zawsze taka była. W dzieciństwie wystarczyło, że jakiś ptak przysiadł na gałęzi, by poczuła dzikie bicie jego serca zamiast swojego. Czasem się zastanawiała, czy ten alterocentryzm jest darem, czy patologią. Na to pytanie również nie miała jednej odpowiedzi. To Patrick funkcjonował w świecie, w którym sądy i opinie trzeba wyrażać z przekonaniem.

Posadziła Thomasa na jego miejscu przy stole, na stercie plastikowych krzeseł powkładanych jedno w drugie.

– Nie, mamó, ja nie chcę siedzieć na podwójnych krzesłach – zaprotestował. Zgramolił się na dół i psośnie się uśmiechając, znów ruszył ku schodom. Mary natychmiast go przechwyciła i wsadziła z powrotem na krzesła.

– Nie, mamó, nie podnoś mnie, to nie do zniesienia.

– Kto cię nauczył tak mówić? – spytała Mary ze śmiechem.

Michelle, właścicielka, podeszła z grillowaną doradą i spojrzała z naganą na Thomasa.

– *C'est dangereux, ça.*

Wczoraj Michelle oznajmiła, że ona swoim dzieciom dałaby klapsa za wybieganie na ulicę. Mary zawsze dostawała beużyteczne rady. Za nic w świecie nie podniosłaby ręki na Thomasa. Pomijając fakt, że na samą myśl robiło jej się niedobrze, uważała, że taka kara tylko przesłania lekcję będącą jej celem: dziecko zapamiętywało tylko przemoc, zastępując zrozumiały stres rodzica swoim własnym.

Prawdziwą kopalnią beużytecznych porad była Kettle, która czerpała z głębokich zasobów własnej matczynej beużyteczności. Zawsze próbowała tłamsić w Mary niezależną tożsamość. Traktowała córkę nie tyle jak lalkę – sama nią była – ile jak fundusz inwestycyjny wysokiego ryzyka: początkowo bezwartościowy, ale mogący kiedyś przynieść zysk, jeżeli Mary dobrze wyjdzie za mąż. Dawała jasno do zrozumienia, że ślub z adwokatem, który lada moment utraci średniej wielkości dom za granicą, nie jest bonanzą, na którą liczyła. Jej rozczarowanie dorosłą Mary stanowiło jedynie dalszy ciąg rozczarowania, jakie poczuła, kiedy ją urodziła. Mary nie była chłopcem. Dziewczynki niebędące chłopcami rozczarowywały. Kettle udawała, że ojcu Mary bardzo zależało na chłopcu, ale tak naprawdę zależało na nim ojcu Kettle, żołnierzowi, który od kobiecego towarzystwa wolał wszystko, nawet wojnę okopową, a ograniczone do niezbędnego minimum kontakty ze słabszą płcią utrzymywał wyłącznie w celu spłodzenia męskiego potomka. Po trzech córkach skapitulował i przestał opuszczać swój gabinet.

Ojciec Mary natomiast uwielbiał ją taką, jaka była. Jego nieśmiałość zazębiała się z jej nieśmiałością w taki sposób, że oboje czuli się swobodnie. Mary, która przez pierwsze dwadzieścia lat życia prawie się nie odzywała, kochała go za to, że nigdy nie dał jej odczuć, że jej milczenie sprawia mu zawód. Rozumiał, że bierze się ono ze swoistej nadintensywności, nadmiaru impresji. Przepaść między jej życiem wewnętrznym a towarzyskim konwenansem była nie do przebycia. On w młodości też taki był, ale z czasem nauczył się udawać przed światem kogoś, z kim nie do końca się utożsamiał. Bezkompromisowy autentyzm Mary przypominał mu, kim jest naprawdę.

Mary pamiętała go wyraźnie, ale jej wspomnienia zakrzepły z chwilą jego wczesnej śmierci. Miała czternaście lat, kiedy zmarł na raka. „Chroniono” ją przed jego chorobą, utrzymując ją nieudolnie w tajemnicy, przez co Mary tylko jeszcze bardziej się martwiła. Owa tajemnica była inicjatywą Kettle, jej substytutem współczucia. Po śmierci Henry’ego powiedziała córce, że „musi być dzielna”. Bycie dzielną polegało na nieoczekiwaniu współczucia również teraz. Inna sprawa, że takie oczekiwanie mijałoby się z celem. Ich doświadczenie straty było zasadniczo różne. Mary pogrzyżała się bez reszty w żalu, w rozmyślanii o cierpieniach ojca, w szaleństwie, w jakie wpędzała ją świadomość, że tylko on zrozumiałby, co czuła w związku z jego odejściem. Z drugiej strony, paradoksalnie, była tak przyzwyczajona do ich milczącej bliskości, że nie widziała powodu, dla którego nie miałyby ona trwać dalej. Kettle tylko na pozór podzielała jej żalobę. W istocie przeżywała kolejny epizod nieuchronnego rozczarowania. Świat był taki niesprawiedliwy. Czuła się za młoda, by zostać wdową, i za stara, by sensownie ułożyć sobie życie od nowa. To właśnie po śmierci ojca Mary przekonała się ponad wszelką wątpliwość o emocjonalnym wyjałowieniu matki i nauczyła się nią gardzić. Skorupa litości, jaką wykształciła od tamtej pory, stała się cieńsza po tym, jak sama została matką, i kolejne wybuchy złości mogły ją w każdej chwili rozsadzić.

Ostatnio Kettle przeproszała, że nie kupiła Thomasowi prezentu na drugie urodziny. „Poruszyła niebo i ziemię” (czytaj: zadzwoniła do Harrodsa) w poszukiwaniu „takich kapitalnych szelek ze smyczą, jakie miałaś, kiedy byłaś mała”. Zawiódłszy się na ofercie Harrodsa, nie miała już siły szukać gdzie indziej. „Na pewno prędzej czy później wrócą do

mody” – oznajmiła, jakby gotowa była sprezentować Thomasowi parę, kiedy będzie miał dwadzieścia lub trzydzieści lat, czy kiedy tam świat pójdzie po rozum do głowy i zacznie zamawiać szelki ze smyczą.

– Pewnie jesteś bardzo rozczarowany, że babcia nie kupiła ci szelek – zwróciła się do Thomasa.

– Nie, ja nie chcę szelek – odparł Thomas, który od pewnego czasu rytualnie zaprzeczał wszystkiemu, co usłyszał. Kettle, nie wiedząc o tym, była zdumiona.

– Niania bardzo je zachwalała.

– A ja bardzo je przeklinałam – wtrąciła Mary.

– Otóż nieprawda – rzekła Kettle. – Tobie, w przeciwieństwie do Thomasa, nie pozwalano kłać jak pijany dorożkarz.

To prawda, że kiedy ostatnim razem odwiedzili Kettle w Londynie, Thomas powiedział: „Kurwa mać, pralka znów się włączyła”, po czym udał, że ją wyłącza, wciskając nieczynny dzwonek przy kominku Kettle. Kilka godzin wcześniej Patrick krzyknął „kurwa mać” w reakcji na treść listu z domu aukcyjnego. Okazało się, że Boudiny są imitacjami.

– Tyle wysiłku moralnego na nic – stwierdził.

– Nieprawda. Przecież nie wiedziałeś, że to imitacje, kiedy postanowiłeś, że ich nie ukradniesz.

– W tym rzecz: gdybym wiedział, decyzja byłaby prosta. Mógłbym od razu zagrmieć: „Okraść własną matkę? Nigdy!”, zamiast przez rok łamać sobie głowę, czy powinienem zostać międzypokoleniowym Robin Hoodem, który swoim szlachetnym występkiem wyrównuje rachunek krzywd. Matce udało się sprawić, że znienawidziłem siebie za swoją uczciwość – dodał, chwytając się oburącz za głowę. – I na co mi było to całe wewnętrzne rozdarcie?

– O czym tata mówi? – spytał Thomas.

– O podrabianych obrazach twojej cholernej babci.

– Nie, to nie jest moja cholerna babcia – zaprzeczył Thomas, kręcąc uroczyście głową.

– Seamus nie jest pierwszym, który wyłudził od niej pieniądze po *mojej* cholernej babci. Trzydzieści lat temu ta łatwa sztuka udała się jakiemuś paryskiemu marszandowi.

– Nie, to nie jest twoja cholerna babcia. To moja cholerna babcia. – Własność była kolejnym nowym zainteresowaniem Thomasa. Jeszcze nie tak dawno w ogóle nie miał poczucia własności, a teraz wszystko należało do niego.

Mary przez pierwszy tydzień sierpnia była z nim sama. Patricia zatrzymała w Londynie jakąś trudną sprawą. Była skłonna podejrzewać, że chodzi o sprawę „Julia przeciwko Mary”, ale udawała, że jest inaczej. Jak mogła twierdzić, że jest zazdrosna o Julię, skoro chwilę później nie była? Czasem nawet czuła wobec niej wdzięczność. Nie chciała stracić Patricia i raczej nie musiała się tego obawiać. Była z natury zazdrosna i z natury pobłażliwa, lecz obie te strony jej charakteru zawarły taktyczny sojusz polegający na pielęgnowaniu pobłażliwości. Dzięki temu Patrick nigdy nie chciał naprawdę od niej odejść, a więc i jej zazdrość była zaspokojona. W tym schludnym i klarownym schemacie występowały jednak dwie komplikacje. Po pierwsze, zdarzało się, że ogarniała ją nostalgia za życiem erotycznym sprzed macierzyństwa. Szczyt jej pożądania przypadł oczywiście na czas, kiedy kręciło ono sznur na własną szyję, czyli w okresie starań o dziecko. Po drugie, złościła się, gdy miała wrażenie, że Patrick rozmyślnie psuje ich relacje, by ożywić swój romans. Prosta sprawa: on potrzebuje seksu, a ona nie może mu go zapewnić, więc będzie szukał gdzie indziej. Niewierność była drobiazgiem, lecz brak lojalności rodził fundamentalną wątpliwość, atmosferę końca.

Robert pierwszy raz spędzał poza domem więcej niż jedną noc. Pierwszego wieczora u swojego kolegi Jeremy'ego wydał jej się przez telefon druzgocąco zrelaksowany. Oczywiście, że ją to cieszyło, oczywiście, że był to dowód jego niezachwianej wiary w miłość rodziców, skoro czuł ją nawet na odległość. A mimo to dziwnie się czuła bez niego. Pamiętała, jak był w wieku Thomasa i uciekał po to, żeby go złapano, chował się po to, żeby go znaleziono. Już wtedy był bardziej introwertyczny niż Thomas, bardziej zamyślony. Z jednej strony był mieszkańcem dziewiczego rajku, którego Thomas nigdy nie zaznał, z drugiej – prototypem. Thomas miał rodziców mądrzejszych o popełnione błędy i posiadających bardziej precyzyjne oczekiwania.

– Mam tego dość – oznajmił teraz i zaczął schodzić z krzesła.

Mary skinęła na Michelle, ale ta właśnie obsługiwała innego klienta. Wciąż nie pokazała Thomasowi talerza z frytkami. Gdyby zobaczył je wcześniej, nie zjadłby ryby, a jeśli zobaczy je teraz, Mary zyska pięć minut spokoju. Nie udało jej się przykuć uwagi Michelle, a Thomas uparcie gramolił się na dół.

– Chcesz frytek, skarbie?

– Nie chcę. Tak, chcę frytek – poprawił się.

Stracił równowagę i uderzył brodą o blat.

– Mama weź cię na rączki – powiedział, wyciągając do niej ramiona.

Wzięła go, posadziła na kolanach i delikatnie kołysała. Zawsze kiedy przydarzała mu się jakaś krzywda, cofał się na chwilę w rozwoju i znów mówił o sobie „ty”, mimo że od pół roku potrafił prawidłowo używać pierwszej osoby liczby pojedynczej. Wcześniej mówił o sobie „ty”, skądinąd całkiem logicznie, bo wszyscy tak się do niego zwracali. Innych, w myśl tej samej logiki, nazywał „ja”. Aż któregoś dnia „ty” zmieniło się w „ja”. Wszystko, co teraz robił – fascynacja niebezpieczeństwem, podkreślanie własności, rytualne zaprzeczanie, chęć robienia rzeczy samemu – miało związek z tym gwałtownym przejściem od „ty” do „ja”; od widzenia siebie oczami rodziców do patrzenia własnymi oczami. Chwilowa regresja sprawiła jednak, że znów chciał być „tobą”, stworzeniem swojej matki.

– Strasznie to jest trudne, bo przecież wola jest człowiekowi niezbędna w życiu – powiedziała zeszłego wieczora Sally. – Skąd się w ogóle wziął ten pomysł, że należy łamać wolę dziecka? Nasze matki próbowały to robić. Dobre dziecko to było takie, które zostało złamane.

W Sally, zaprzyjaźnionej Amerykance, Mary znajdowała największego sprzymierzeńca; ona także była matką zasypywaną beużytecznymi radami, gotową bezwarunkowo wspierać swoje dzieci, zdeterminowaną, by usunąć im z drogi ogromny kamień własnego wychowania. Staraniom tym towarzyszyły krytyczne komentarze: nie daj się popychać; nie bądź niewolnicą własnych dzieci; odzyskaj figurę; zadbaj, żeby twój mąż był szczęśliwy; nie zamykaj się w domu; idź na imprezę, oszalejesz od przebywania non stop z dziećmi; dowartościuj się, oddając dzieci komuś pod opiekę i pisząc artykuł o tym, że kobiety nie powinny mieć wyrzutów sumienia, że oddają dzieci komuś pod opiekę; nie rozpieszczaj dzieci spełnianiem ich zachcianek; nie reaguj na płacz, te małe tyranki prędzej lub później same zasną, a jak zrozumieją, że płacz nic nie daje, to przestaną płakać; poza tym dzieci uwielbiają granice. Kolejną warstwę stanowiły dezorientujące pogłoski: nigdy nie stosuj paracetamolu, zawsze stosuj paracetamol, paracetamol osłabia działanie leków homeopatycznych, leki homeopatyczne nie działają, leki homeopatyczne działają na niektóre schorzenia, a na inne nie; naszyjnik z bursztynów pomaga na ból zębów u dzieci; wysypka może być oznaką alergii na mleko krowie, może oznaczać alergię na pszenicę, może oznaczać alergię na zanieczyszczone

powietrze. Zanieczyszczenie powietrza w Londynie wzrosło pięciokrotnie w ciągu ostatnich dziesięciu lat; właściwie to nie wiadomo, pewnie samo minie. I wreszcie krzywdzące porównania oraz jawne kłamstwa: moja córka przesypia całą noc; nie nosi pieluszek, odkąd skończyła trzy tygodnie; matka karmiła go piersią do piątego roku życia; upiekło nam się, oboje mają zagwarantowane miejsca w Acorn; jej najlepszą koleżanką ze szkoły jest wnuczka Cillii Black.

Kiedy udawało jej się ignorować te wszystkie dystrakcje, Mary próbowała się przebić przez balast własnych uwarunkowań, przez kompensację, przez wyczerpanie, irytację i strach, przez napięcie między zależnością a niezależnością, które istniało nie tylko w jej dzieciach, ale także w niej samej, i które musiała uznać, ale nie miała kiedy się nim zająć; próbowała się przebić przez to wszystko i cofnąć, powiedzmy, do samego źródła instynktu miłości, spróbować tam zostać i stamtąd kierować sobą.

Czuła, że Sally wspina się po tym samym urwistym klifie co ona i że mogą na sobie nawzajem polegać. Zeszłego wieczora Sally przefaksowała jej list, ale Mary nie miała czasu go przeczytać. Wyrwała go z faksu i wcisnęła do plecaka. Może kiedy Thomas będzie spał – „kiedy Thomas będzie spał”, ten moment, w którym trzeba było sprawnie upchnąć resztę życia. Kiedy wreszcie nadchodził, zazwyczaj sama była zbyt senna, by wyjść z dziecięcego rytmu i zrobić cokolwiek innego.

Frytki straciły już swoją moc i Thomas znów zląził na dół. Mary chwyciła go za rączkę i zaprowadziła z powrotem ku schodom, po których niedawno sam wbiegł. Spacerowali teraz za rękę po Promenade Rose.

– Ale miło i gładko w stopy – rzekł Thomas. – O! – Zatrzymał się nagle przed szeregiem uwiedzionych kaktusów. – Jak to się nazywa?

– To jakiś rodzaj kaktusów, skarbie. Nie znam dokładnej nazwy.

– Ale ja chcę wiedzieć dokładną nazwę.

– Jak wrócimy do domu, to zajrzemy do mojego atlasu.

– Tak, mam, zaj... O! Co robi ten chłopiec?

– Ma pistolet na wodę.

– Do podlewania kwiatów.

– Hm, to byłby dobry pomysł.

– To pistolet do podlewania kwiatów – poinformował ją.

Rozluźnił uścisk dłoni i wyprzedził matkę o krok. Mimo że byli nierozłączni, często przez długie godziny nie miała kiedy mu się przyjrzeć. Albo był za blisko, żeby objęła go wzrokiem, albo tak bardzo skupiała się na potencjalnych zagrożeniach, że wszystko inne schodziło na dalszy plan. Teraz widziała go całego i mogła się zrelaksować, wyglądał uroczo, idąc dziarsko w koszulce w poprzeczne niebieskie paski i spodniach khaki. Jego buzia była zdumiewająco piękna. Mary martwiła się nieraz, czy nie będzie przyciągała nadmiernej uwagi, czy Thomas zanadto się nie przyzwyczai do wrażeń, jakie robi. Pamiętała, jak pierwszy raz otworzył oczka w szpitalu. Biła z nich jakaś tajemnicza determinacja: chęć zrozumienia świata, znalezienia domu dla innego rodzaju wiedzy, którą już posiadał. Robert, gdy się urodził, miał w sobie coś innego, jakieś emocjonalne natężenie, jakby problem do rozwiązania.

– O! – Thomas wskazał palcem. – Co robi ten dziwny pan?

– Zakłada maskę z rurką.

– To moja maska z rurką.

– W takim razie to bardzo miło z twojej strony, że mu pożyczyłeś.

- Pożyczyłem mu – potwierdził Thomas. – Może zanurkować, mamó.
- Dziękuję, skarbie.

Pomaszerował dalej. Był teraz wspaniałomyślny, lecz Mary wiedziała, że najdalej za kwadrans zabraknie mu energii i nie będzie już tak sielsko.

- Wrócimy na plażę troszeczkę odpocząć?

– Nie chcę troszeczkę odpocząć. Chcę na plac zabaw. Uwielbiam plac zabaw – dodał i zaczął biec.

O tej porze dnia na placu zabaw nie dało się wytrzymać. Po niebezpiecznych drabinkach wchodziło się na metalową zjeżdżalnię tak rozgrzaną, że można by na niej usmażyć jajko. Obok plastikowy kucyk skrzypiał nieznośnie na sprężynie. Mary otworzyła Thomasowi drewnianą furtkę.

- Nie, mamó, ja sam – zawył żałośnie.
- Dobrze, dobrze.
- Nie, ja sam.

Thomas nie bez trudu odciągnął furtkę obciążoną metalową tablicą z regulaminem, na który składało się osiem punktów, dwa razy więcej, niż było zabawek. Weszli na różową nawierzchnię z gumy udającej asfalt. Thomas wspinał się po wykrzywionych prętach na platformę zjeżdżalni, po czym ruszył w stronę drugiego otworu, wychodzącego na rurę strażacką, po której na pewno nie zdołaliby zjechać samodzielnie. Mary w pośpiechu obiegła drabinki. Czy naprawdę zamierza zeskoczyć? Aż tak przecenia swoje możliwości? A może to ona widzi niebezpieczeństwo tam, gdzie powinno się widzieć przede wszystkim zabawę? Czy to instynkt każe jej spodziewać się najgorszego, czy może jest najmniej wyluzowaną matką na świecie? Czy warto udawać wyluzowaną, czy jednak udawanie zawsze jest złe? Kiedy już stała przy rurze strażackiej, Thomas wrócił do zjeżdżalni i prędko się po niej zsunął. Na dole przewrócił się do tyłu, uderzając głową o krawędź. Szok pomieszany z wyczerpaniem sprawiły, że przez chwilę milczał; buzia mu poczerwieniała i wydał przeciągły wrzask, różowy języczek drżał w rozdziawionych ustach, oczy mocno zaszklily się łzami. Mary jak zwykle poczuła się tak, jakby przebito jej pierś oszczepem. Wzięła syna na ręce i przytuliła, żeby uspokoić i jego, i siebie.

– Chusteczka z metką – zaszlochał. Wręczyła mu poszetkę z Harringtona z nieoderwaną metką. Chusteczki bez metki nie tylko nie przynosiły Thomasowi ukojenia, ale doprowadzały go do jeszcze głębszej rozpaczki z uwagi na złudne podobieństwo do tych z metkami.

Niosąc Thomasa na rękach, wróciła szybkim krokiem na plażę. Wciąż drżał, ale płacz ucichł, ssał kciuk ręki, w której ścisnął chusteczkę. Przygoda się skończyła, wyprawa odkrywczą osiągnęła swój kres, a jej niezamierzony finał mógł być tylko jeden. Mary położyła go na materacu pod parasolem, zwinęła się przy nim w kłębek, zamknęła oczy i leżała całkiem nieruchomo. Odgłos ssania kciuka rozlegał się teraz intensywniej i niebawem, wsłuchując się w oddech synka, stwierdziła, że usnął. Otworzyła oczy.

Miała teraz godzinę, może dwie, żeby odpowiedzieć na listy, zapłacić podatki, odezwać się do znajomych, rozruszać swój intelekt, pobiegać, wymyślić genialny sposób na zarobienie mnóstwa pieniędzy, poćwiczyć jogę, zapisać się do osteopaty, odwiedzić dentystę i trochę odespać. No tak, sen... Kiedyś to słowo było jak wielki udziec, sześcio-, ośmio-, dziewięciogodzinny kawał nieświadomości; teraz walczyła o dwudziestominutowe ochłapy niespokojnego odpoczynku, odpoczynku, który jej przypominał, że jest wykończona. Zeszłej nocy nie dawał jej usnąć strach, że jeśli zaśnie, Thomasowi stanie się jakaś krzywda. Całą noc przeleżała sztywno jak wartownik,

który wie, że nie wolno mu zmrzyć oka, bo grozi za to śmierć. Teraz naprawdę potrzebowała tej zamulającej drzemki jak na kacu, zanurzonej w nieprzyjemnych snach, ale najpierw przeczyta faks od Sally, aby zaznaczyć swoją niezależność, choć zdawało jej się nieraz, że jest niezależna w jeszcze mniejszym stopniu niż Thomas, który mógł przynajmniej do woli testować granice swojej samodzielności. Sally uprzedziła ją, że wiadomość ma charakter organizacyjny, podawała w niej datę i godzinę swojego przyjazdu do Saint-Nazaire, na koniec jednak dodała: „Znalazłam wczoraj taki cytat z Aleksandra Hercena: «Sądzymy, że celem dziecka jest dojrzałość, ponieważ z biegiem czasu staje się ono człowiekiem dojrzałym, a przecież celem jego jest raczej bawić się, zaznawać przyjemności, być właśnie dzieckiem. Rozpatrując rzecz od końca, będziemy musieli stwierdzić, że celem wszystkiego, co żyje, jest śmierć»”.

Tak, właśnie to miała ochotę powiedzieć Patrickowi, kiedy byli jeszcze sami z Robertem. Tak bardzo się przejmował kształtowaniem jego umysłu, wszczepianiem mu swojego sceptycyzmu, że czasem zapominał zostawić mu przestrzeń na zabawę i bycie dzieckiem. Thomasowi dawał więcej swobody, po części dlatego, że był zajęty walką o własne psychiczne przetrwanie, ale również dlatego, że głód wiedzy u Thomasa przerastał wszelkie rodzicielskie ambicje. W jego przypadku, pomyślała, zamykając oczy po tym, jak ostatni raz zerknęła na pogrążoną we śnie twarz syna, było jasne, że zabawa i poznawanie świata to jedno i to samo.

– Gdzie jest mój siusiak? – spytał Thomas, leżąc po kąpeli na swoim niebieskim ręczniku.

– Zniknął – odparła Mary.

– O! Tu jest, mamó – zawołał, rozsuwając nogi.

– Uff, co za ulga.

– Tak, wielka ulga.

Po zabawie w wannie niechętnie wracał do miękkiej celi pieluchy. Piżama, ten ponury znak, że trzeba iść spać, musiała nieraz czekać, aż Thomas zaśnie, bo wcześniej nie dawał sobie jej założyć. Kiedy wyczuwał u Mary choćby cień pośpiechu, wszystko trwało dwa razy dłużej.

– O nie! Mój siusiak znowu zniknął! Bardzo mi się to nie podoba.

– Naprawdę, skarbie? – spytała Mary, widząc, że Thomas eksperymentuje z wyrażeniem, którego użyła poprzedniego dnia, kiedy rzucił szklankę na podłogę.

– Tak, mamó. Zaraz oszaleję.

– Gdzie on się mógł podziać?

– Niewiarygodne – oświadczył i zamilkł na chwilę, żeby jej uprzytomnić, jak poważnej doznał straty. – O, tu jest! – zawołał, bezbłędnie naśladowując radosną ulgę, z jaką Mary odnajdowała butelkę na mleko albo zagubiony but.

Zaczął podskakiwać, w końcu przewrócił się na łóżko i poturlał.

– Uważaj – powiedziała Mary, widząc, że zbliżył się niebezpiecznie do metalowej barierki na brzegu łóżka.

Ciężko było trwać w stanie ciągłej gotowości do ofiarnej robinsonady, bezustannie wypatrywać ostrych kantów i twardych krawędzi, pozwalać mu testować granice przygody. Marzyła o tym, żeby się położyć, ale nie wolno jej było pokazać, że jej cierpliwość jest na wyczerpaniu.

– Jestem akrobatą w cyrku – powiedział Thomas, próbując zrobić fikołka do przodu, ale przewrócił się na bok. – Mamó, powiedz: „Uważaj, małpko”.

– Uważaj, małpko – posłusznie powtórzyła swoją kwestię. Trzeba mu będzie kupić krzesło reżyserskie i megafon. Zawsze musiał wykonywać polecenia, teraz przyszła kolej na nią.

Mary czuła się wyczerpana długim dniem, a zwłaszcza odwiedzinami w domu opieki u Eleanor. Kiedy stanęła z Thomasem w drzwiach jej pokoju, próbowała zamaskować szok, jakiego doznała na jej widok. Po jednej stronie u góry Eleanor nie miała już ani jednego zęba, po drugiej wisiały tylko trzy, podobne do czarnych stalaktytów. Z włosów, które dawniej zwykła myć co drugi dzień, został bezładny tłusty kłęb przyklejony do guzowatej czaszki. Kiedy Mary schyliła się, żeby pocałować teściową, uderzył ją taki smród, że omal nie sięgnęła po podkład do przewijania, który nosiła w plecaku. Musiała okiełznać swój matczyzny zapał, zwłaszcza w obecności kobiety, która osiągnęła mistrzostwo w hamowaniu macierzyńskich popędów.

Fizyczny upadek Eleanor tym bardziej rzucał się w oczy, że nie była już na tym samym poziomie co Thomas. W zeszłym roku oboje nie potrafili się wysłowić, oboje chodzili chwiejnym krokiem; Eleanor zostało mniej więcej tyle zębów, ile małemu zdążyło się wyrznąć; żadne z nich nie potrafiło się obejść bez pieluch. Od tamtego czasu wiele się zmieniło. Thomas był coraz bliżej odstawienia pieluch, Eleanor potrzebowała ich bardziej niż kiedykolwiek; jemu brakowało jedynie tylnych zębów trzonowych, jej trzonowce miały niebawem stać się ostatnimi

zębami, jakie jej pozostały; Thomas był tak szybki, że matka ledwie za nim nadążała, Eleanor nie nadążała już za nikim i było tylko kwestią czasu, kiedy zalegnie w łóżku na stałe. Mary z wahaniem patrzyła w dół na oblodzony stok potencjalnej konwersacji. I tak już mocno naciągane założenie, że ją i Eleanor łączy radość z postępów Thomasa, wydawało się teraz zakamuflowanym szyderstwem. Nie było też sensu przypominać Eleanor o Robercie, jej niegdysiejszym sprzymierzeńcu, a dziś wiernym uczniu ojcowskiego nieprzejednania.

– O nie! – powiedział Thomas do Eleanor. – Alabala ukradł moje halumalum.

Ponieważ rozmawiając z dorosłymi, często utykał w gigantycznym korku niezrozumiałych sylab, odpowiadał niekiedy własnym prywatnym językiem. Mary była przyzwyczajona do tej słodkiej zemsty i jednocześnie zaintrygowana Alabalą, najnowszym wytworem jego wyobraźni, postacią, którą Thomas obsadził w klasycznej roli sprawcy złych uczynków – dla niego albo wbrew niemu. Alabali zwykle towarzyszyło jego sumienie, niejaki Felan. Chłopiec popatrzył na Eleanor z uśmiechem – nieodwzajemnionym. Eleanor spoglądała na Thomasa z trwogą i podejrzliwością. Zamiast przejawu dziecięcej fantazji dostrzegła w jego słowach potwierdzenie swoich najgorszych obaw: że wkrótce nie tylko nikt jej nie zrozumie, ale także ona nie będzie w stanie nikogo zrozumieć. Mary zainterweniowała.

– Nie zawsze mówi od rzeczy. Ostatnio jedno z jego ulubionych wyrażen, jestem pewna, że dostrzeżesz tu wpływ Patricka – zaryzykowała kolejny porozumiewawczy uśmiech – to „absolutnie nie do zniesienia”.

Eleanor pochyliła się gwałtownie do przodu. Zaciśnęła dłonie na drewnianych poręczach fotela i wpatrywała się w Mary ze wściekłym skupieniem.

– Absolutnie nie do zniesienia – wycedziła i opadła z powrotem na oparcie, dodając słabe, cienie „tak”.

Zwróciła się ponownie ku Thomasowi, tym razem patrząc na niego z jakąś łapczywością w oczach. Jeszcze przed chwilą wydawał się zwiastunem fali bełkotu, która niebawem odetnie ją od świata, teraz jednak podsunął jej wyrażenie, które doskonale rozumiała, na które sama by nie wpadła, a które opisywało dokładnie to, co czuła.

Podobnie rzecz się miała, gdy Mary czytała na głos listę audiobooków, które według niej mogły zainteresować Eleanor. Teściowa dokonywała spośród nich wyboru w sposób na pierwszy rzut oka niemający związku z autorem czy gatunkiem. Monotonnie recytowane przez Mary tytuły dzieł Jane Austen i Prousta, Jeffreya Archera i Jilly Cooper nie wzbudziły żadnych oznak zaciekawienia. Kiedy przeczytała na głos tytuł *Próba niewinności*, Eleanor zaczęła kiwać głową i zachłannie wymachiwać dłońmi, jakby chlapała się wodą. Identyczne podniecenie wywołał u niej *Pylisty plon*. Pobudzona tą niespodziewaną komunikacją Eleanor przypomniała sobie o napisanej wcześniej wiadomości i podała ją Mary w drżącej dłoni pokrytej plamami wątrobianymi.

Mary odczytała blade drukowane pismo ołówkiem: „DLACZEGO SEAMUS NIE PRZYJEŻDŻA?”.

Domyślała się przyczyny i zarazem nie mogła w nią uwierzyć. Nie sądziła, że Seamus porzuci wszelkie pozory. Przedtem jego oportunistyczny wydawał się zmieszany z autentycznym przeświadczeniem, że jest dobrym człowiekiem, a przynajmniej z mocnym pragnieniem uchodzenia za takiego. I oto zaledwie w dwa tygodnie po ostatecznym przekazaniu Saint-Nazaire w ręce Fundacji ten sam Seamus ciska swoją dobrodziejkę w kąt.

Przypomniała sobie, co powiedział Patrick, kiedy w końcu użył pełnomocnictwa udzielonego mu przez matkę i przepisał nieruchomości: „Tych, którzy chcą do wrót się śmierci lżejszą czołgać

nogą, spotyka gorzki zawód. Dzieciństwo jest tylko jedno, nie można być nieodpowiedzialnym w nieskończoność”. Potem upił się do nieprzytomności.

Spojrzała w twarz Eleanor. Była naznaczona cierpieniem. Zasnute mgłą oczy przypominały oczy niedawno zdechłej ryby, ale w jej przypadku ta niewyrazistość wynikała z wysiłku, by pozostać oderwaną od rzeczywistości. Mary zrozumiała, że brak zębów był w istocie gestem samobójczym, zarazem biernym i gwałtownym, jak strajk głodowy. Mogłaby je z łatwością zastąpić nowymi, trzeba było wielkiego uporu, aby trwać w tej spirali zaniedbania tydzień po tygodniu, w miarę jak wypadali, jeden po drugim, ignorując lekarzy, antydepresanty, dom opieki i resztki własnej woli życia.

Poczucie tragizmu przeszło Mary na wskroś. Oto miała przed sobą kobietę, która porzuciła rodzinę dla wizji i dla mężczyzny, a teraz mężczyzna i wizja porzuciły ją. Pamiętała, jak Eleanor opowiadała jej, kiedy jeszcze potrafiła się wysłowić, że ona i Seamus znali się „w poprzednich życiach”. Scenerią jednego z owych poprzednich żyć był „skelig”, coś w rodzaju skalistej wysepki u wybrzeży Irlandii, na którą Seamus zabrał Eleanor w początkach swoich finansowych umizgów; wtedy to, w pamiętny, wietrzny dzień, wziął ją za rękę i powiedział: „Irlandia cię potrzebuje”. Uświadomiwszy sobie – w „przebłyску z innego wcielenia” – że mieszkała na tym samym skeligu jako żona Seamusa w głębokim średniowieczu, gdy Irlandia była światłem chrześcijaństwa w mrocznej dobie grabieży i wędrowek, zaczęła powoli tracić z oczu najbliższą rodzinę, z którą łączyła ją stosunkowo krótka historia. Z kolei Seamus, odwiedzwszy Saint-Nazaire, uświadomił sobie, że Francja potrzebuje go jeszcze bardziej niż Irlandia Eleanor. W siedemnastym wieku w domu mieścił się żeński klasztor, a Eleanor, jak wykazał kolejny „przebłysek z innego wcielenia” – teraz wszystko układało się w sensowną całość – była jego przeoryszą. Seamus, co za zbieg okoliczności, dokładnie w tym samym czasie stał na czele pobliskiego opactwa. Tak więc los znów ich połączył, tym razem „przyjaźnią duchową”, która została opacznie rozumiana i wywołała niemały skandal w okolicy.

Kiedy Eleanor opowiadała jej to wszystko w rozmowie będącej nużącą parodią babskich zwierzeń, Mary postanowiła nie wdawać się z nią w dyskusję. Eleanor wierzyła z grubsza we wszystko, co nie było prawdą. Dawanie wiary temu, co niewiarygodne, leżało w jej szlachetnej naturze, było jak niesienie pomocy ofiarom klęsk. Najwyraźniej musiała zaludniać te powieści historyczne, żeby wynagrodzić sobie niedosyt związany z namiętnością, która nie miała wstępu do sypialni (była na to zbyt rozwinięta), za to świetnie się czuła w wydziale ksiąg wieczystych. Wtedy to wszystko wydawało się Mary niedorzeczne; teraz żałowała, że nie może przykleić odlepiającej się tapety jej łatwowierności. Spod strasznej szczerości tamtego pierwszego wyznania wyzierała potrzeba bycia potrzebną, którą Mary świetnie znała.

– Zapytam – rzekła, delikatnie nakrywając dłoń Eleanor swoją dłonią. Choć jeszcze się z nim nie widziała, była pewna, że Seamus przebywa w swojej chatce. – Może zachorował albo poleciał do Irlandii.

– Irlandii – szepnęła Eleanor.

Kiedy wracali do samochodu, Thomas zatrzymał się i pokręcił głową.

– Jejku – powiedział. – Eleanor źle się czuje.

Mary kochała w nim to proste współczucie dla ludzkich cierpień. Nie nauczył się jeszcze udawać, że ich nie dostrzega, ani obarczać winą osoby, która cierpi. Ponieważ usnął w samochodzie, postanowiła, że pojedzie od razu do Seamusa.

– Och, to straszne – powiedział Seamus. – Myślałem, że skoro rodzina jest na miejscu, Eleanor nie będzie zależało, żebym tak często ją odwiedzał. Zresztą nie będę cię okłamywał,

Mary, czuję na karku oddech wydawcy. Chcą umieścić moją książkę w katalogu wiosennym. Mam tyle pomysłów, że zaczęli się martwić. Który tytuł podoba ci się bardziej: *Bęben mojego serca* czy *Serce mojego bębna*?

– Nie wiem – odparła Mary. – To chyba zależy od tego, czy masz na myśli to pierwsze, czy to drugie.

– Słuszna uwaga. A skoro mowa o bębnach, bardzo nas cieszą postępy twojej matki. Czuje się w kwestii odzyskiwania duszy jak ryba w wodzie. Właśnie dostałem od niej maila, pisze, że chce przyjechać na intensywny kurs jesienny.

– No proszę.

Mary stresowała się, że elektroniczna niania nie zadziała. Zielone światełko mrugało jak zawsze, ale jeszcze nigdy nie używała jej w samochodzie.

– Myślę, że Eleanor też by na tym bardzo skorzystała. Tak sobie teraz myślę na głos. – Seamus zakręcił się entuzjastycznie w fotelu, przesłaniając Mary ekran komputera, z którego promieniował wizerunek pobrużdżonej innuickiej staruszki ze zwisającą fajką w ustach. – Gdyby na przykład twoja matka poprowadziła ceremonię z Eleanor pośrodku koła, to by mogło przynieść potężny skutek, biorąc pod uwagę te wszystkie połączenia, rozumiesz. – Rozcapierzył palce obu dłoni i delikatnie je ze sobą splótł.

Biedny Seamus, pomyślała Mary, wbrew pozorom nie jest złym człowiekiem, a jedynie skończonym idiotą. Czasem troszkę rywalizowała z Patrickiem o to, czyja matka jest bardziej denerwująca. Kettle nie oddawała niczego, Eleanor – wszystko; konsekwencje z punktu widzenia rodziny były identyczne, jedyna różnica polegała na tym, że Mary miała pewne „nadzieje”, albo raczej mrzonki, zważywszy na końskie zdrowie pieczołowicie samolubnej matki, która myślała wyłącznie o własnej wygodzie, biegła do lekarza po każdym kichnięciu i raz w miesiącu „szarpała się” na wczasy, aby osłodzić sobie rozczarowanie poprzednimi. Patrick za sprawą swojego wydziedziczenia wysforował się na czoło wyścigu, lecz kto wie, czy Seamus nie zamierzał zniwelować tej przewagi, zagarniając również pieniądze Kettle. Może jednak jest złym człowiekiem genialnie udającym idiotę? Trudno orzec. Związki między głupotą i złem były strasznie zagmatwane.

– Widzę coraz więcej połączeń. – Seamus przeplatał palce. – Szczerze mówiąc, Mary, myślę, że to będzie jedyna książka, jaką napiszę. Można od tego zwariować.

– Wyobrażam sobie – potaknęła Mary. – Ja bym się nawet nie odważyła zacząć.

– Akurat początek już mam – rzekł Seamus. – Właściwie to napisałem kilka początków. Może każda książka co chwila zaczyna się od nowa? Jeśli rozumiesz, co mam na myśli.

– Z każdym uderzeniem serca – dodała Mary. – Albo bębna.

– Właśnie. Otóż to.

Z głośnika elektronicznej niani buchnął płacz Thomasa. Mary odetchnęła: nie straciła zasięgu.

– Ojej. Obawiam się, że muszę lecieć.

– Na pewno postaram się odwiedzić Eleanor w ciągu najbliższych kilku dni – oświadczył Seamus, odprowadzając ją do drzwi chatki. – Jestem ci bardzo wdzięczny za to, co powiedziałaś o uderzeniu serca i życiu chwilą terażniejszą, to mi dało do myślenia.

Kiedy otworzył drzwi, rozdzwoniły się dzwoneczki. Mary podniosła wzrok i ujrzała skupione wokół mosiężnego drążka trzy chińskie piktogramy.

– Szczęście, Spokój i Dobrobyt – wyjaśnił Seamus. – Są nierozłączne.

– Szkoda – odparła Mary. – Liczyłam przynajmniej na pierwsze dwa.

– Ach, ale czym jest dobrobyt? – rzekł Seamus, odprowadzając ją do samochodu. –

Ostatecznie chodzi o to, żeby mieć co zjeść, gdy jest się głodnym. Tak rozumiany dobrobyt nie był dany Irlandii w latach czterdziestych dziewiętnastego wieku i do dziś nie jest dany milionom ludzi na całym świecie.

– O rany – powiedziała Mary. – Dla dziewiętnastowiecznych Irlandczyków niewiele mogę zrobić. Ale mogę przynajmniej dać taki dobrobyt Thomasowi, chociaż wolałabym pozostać przy słowie „lunch”.

Seamus odrzucił głowę do tyłu i wybuchnął serdecznym śmiechem.

– Tak chyba będzie prościej – przyznał i Mary poczuła na plecach jego nieproszoną dłoń.

Otworzyła drzwi i wyjęła Thomasa z fotelika.

– Jak się miewa mały?

– Bardzo dobrze – odparła. – Wspaniale się tu czuje.

– Na pewno duża w tym zasługa twojej troskliwej opieki – stwierdził Seamus. Jego ręka zaczynała wypalać jej dziurę w T-shircie. – Chociaż muszę dodać, że w przypadku pracy nad duszą niezwykle ważną rzeczą jest stworzenie bezpiecznego otoczenia. Właśnie tym się tutaj zajmujemy. I może Thomas to wyczuwa, na jakimś poziomie.

– Zapewne – powiedziała Mary. Trudno jej było odtrącić komplement pod adresem Thomasa, nawet jeśli Seamus tak naprawdę adresował go do siebie. – On wyczuwa mnóstwo rzeczy.

Trzymając syna w ramionach, zdołała stanąć poza zasięgiem Seamusa.

– Ach. – Seamus uczynił oburącz gest, jakby brał Mary i Thomasa w duży okrągły nawias. – Archetyp matki z dzieckiem. Aż przypomniała mi się moja matka. Miała nas ośmioro na głowie. Z tego, co pamiętam, różnymi sztuczkami usiłowałam sprawić, żeby poświęcała mi najwięcej uwagi. – Zaśmiała się pobłaźliwie na myśl o swoim młodszym, mniej oświeconym ja. – Na pewno w mojej rodzinie był silny element rywalizacji; ale patrząc na to z perspektywy czasu, nie mogę się nadziwić, że ona nigdy nie przestawała dawać. I wiesz, Mary, doszedłem do wniosku, że czerpała z uniwersalnego źródła, z tej archetypicznej matczynej energii. Rozumiesz, co chcę powiedzieć? Zamierzam to poruszyć w mojej książce. To wszystko się łączy z pracą szamana – na pewnym poziomie. Muszę to tylko przelać na papier. Ciekaw jestem różnych przemyśleń na ten temat: może miewałaś w życiu takie chwile, kiedy czułaś wsparcie czegoś, co wykraczało poza, rozumiesz, osobiste poświęcenie?

– Zastanowię się – obiecała Mary, nagle zdając sobie sprawę, gdzie Seamus nauczył się różnych sztuczek, za pomocą których wyciągał od matek wszystko, co chciał. – Ale teraz naprawdę muszę przygotować Thomasowi coś do zjedzenia.

– Oczywiście, oczywiście. Wspaniale było z tobą porozmawiać, Mary. Mam poczucie, że naprawdę nawiązaliśmy dziś łączność.

– Ja też się dużo dowiedziałam.

Wiedziała, na przykład, że jego zdawkowa obietnica, że „postara się odwiedzić Eleanor w ciągu najbliższych kilku dni” oznaczała, iż nie odwiedzi jej ani dzisiaj, ani jutro, ani pojutrze. Po co miałby trwonić swoje sztuczki na kobietę, której nie zostało nic prócz dwóch podrobionych Boudinów?

Zaniosła Thomasa do kuchni i posadziła go na blacie. Wyjął kciuk z buzi i spojrzał na nią z subtelną miną gdzieś w pół drogi między rozbawieniem a powagą.

– Seamus jest bardzo śmieszny, mamó.

Mary parsknęła śmiechem.

- Niewątpliwie – odparła i pocałowała syna w czoło.
- Niewątpliwie jest bardzo śmieszny! – Thomas zaraził się od niej śmiechem. Zacisnęła powieki, żeby śmiać się poważniej.

Nic dziwnego, że była zmęczona, skoro widziała się jednego dnia z Eleanor i Seamusem, nic dziwnego, że trudno jej było wykrzesać z obolałego ciała i wypranego umysłu jeszcze odrobinę czujności. Coś się dzisiaj wydarzyło; nie do końca rozumiała co, ale było to jedno z tych nagłych przerwaniał tamy, którymi kończyły się u niej długie okresy konfliktu. Nie miała kiedy tego przeanalizować, bo rozebrany do naga Thomas wciąż podskakiwał na środku łóżka.

– To był bardzo duży skok – oznajmił, po raz kolejny wstając. – Niewątpliwie jesteś pod wrażeniem, mammo.

– Tak, skarbie. Co byś chciał dzisiaj poczytać?

Thomas znieruchomiał skupiony na trudnym zadaniu.

– Porozmawiajmy rzeczowo o lizakach – zacytował zdanie ze starej książki Patricka, która została w Saint-Nazaire.

– Doktor Upping i Doktor Downing?

– Nie, mammo, nie chcę tego.

Mary zdjęła z półki *Babara i profesora Grifitona* i wgramoliła się przez barierkę do łóżka. Mieli swój rytuał polegający na podsumowywaniu dnia, rzuciła więc to samo co zawsze pytanie: „Co dzisiaj robiliśmy?”. Tak jak przewidywała, Thomas przestał podskakiwać.

Uroczyście pokręcił głową i rzekł zniżonym głosem:

– Piotruś Królik podjada moje winogrona.

– Nie! – zawołała wstrząśnięta Mary.

– Pan McGregor bardzo się pogniewa na Seamusa.

– Dlaczego na Seamusa? Myślałam, że to Piotruś Królik podjada ci winogrona.

– Nie, mammo, to Seamus.

Thomas istotnie coś wyczuł, lecz wcale nie owo „bezpieczne otoczenie” do „pracy nad duszą”, którym szczycił się Seamus. Tym czymś była atmosfera kradzieży. Skoro Seamus obchodził się bezceremonialnie z Eleanor, dzięki której tak dźwięcznie rozbrzmiał w jego życiu dzwoneczek dobrobytu, dlaczego miałyby honorować obietnice złożone przez nią jego pokonanym konkurentom? Wyobraźnię miał pełną rywalizującego rodzeństwa i w takiej też roli obsadził Patricka i Mary, aby móc następnie zwyciężyć w archaicznej walce, w której bił ich na głowę doświadczeniem bojowym. Dlaczego miałyby okazywać względy starszeczce, której nie stać było nawet na komorę deprivacyjną? Albo jej potomkom, którzy przez cały sierpień płatali mu się pod nogami w jego Fundacji?

– Ale nie rozumiem – powiedział Robert, patrząc, jak Mary się pakuje. – Dlaczego musimy wyjechać?

– Wiesz dlaczego – odparła.

Siedział na brzegu łóżka, kuląc ramiona, z dłońmi wetkniętymi pod uda. Gdyby był na to czas, usiadłaby obok, przytuliła go i pozwoliła mu się wypłakać, ale musiała się pospieszyć z pakowaniem, dopóki Thomas spał.

Sama nie spała od dwóch dni; atmosfera straty dręczyła ją na równi z pragnieniem wyjazdu. Domy, obrazy, drzewa, zęby Eleanor, dzieciństwo Patricka i wczasy jej dzieci: w jej zmęczonym umyśle wszystkie te rzeczy piętrzyły się bezładnie jak szczątki budynków zmiecionych przez powódź. Przez ostatnie siedem lat patrzyła na dzieciństwo Patricka jak na linę, która milimetr po milimetrze wysuwa mu się z zaciśniętych rąk. Teraz chciała jak najprędzej stąd uciec. Było już za późno, by uchronić Roberta przed identyfikacją z poczuciem krzywdy Patricka, lecz wciąż mogła zapobiec wplątaniu Thomasa w dramat wydziedziczenia. Ich rodzina była coraz bardziej podzielona i tylko wyjazd mógł ją skleić.

Patrick pojechał pożegnać się z Eleanor. Obiecał nie wygłaszać żadnych nieodwołalnych gorzkich tyrad, na wypadek gdyby widział się z nią po raz ostatni. Jeżeli zostanie odpowiednio wcześniej uprzedzony o jej śmieci, z pewnością wsiądzie w samolot i przyleci potrzymać matkę za rękę, ale trudno było zakładać, że cała rodzina zamelduje się w Grand Hôtel des Bains i będzie czuć przy jej łóżu w domu opieki. Mary musiała przyznać, że nie może się doczekać, aż Eleanor całkiem zniknie z ich życia.

– Czy gdybyśmy zabili Seamusa, dostalibyśmy dom z powrotem? – spytał Robert.

– Nie, przejąłby go następny dyrektor Fundacji.

– To niesprawiedliwe – stwierdził Robert. – No, chyba że to ja zostanę dyrektorem. Tak! Jestem geniuszem!

– Tylko że wtedy musiałbyś kierować Fundacją.

– A, no tak. W takim razie może jednak Seamus uderzy się w pierś. – Robert przybrał silny irlandzki akcent. – Mogę cię tylko przeprosić, Mary. Nie wiem, co we mnie wstąpiło, że chciałem odebrać ten dom tobie i twoim pociechom, ale przejrzałem na oczy i chcę, żebyś wiedziała, że nawet jeśli zdołasz mi wybaczyć wszystkie cierpienia, na które was naraziłem, to ja i tak nigdy sobie nie wybaczę. – To rzekłszy, zaniósł się szlochem.

Mary wiedziała, że ten udawany płacz ma w sobie coś z prawdziwego. Pierwszy raz od czasu narodzin Thomasa poczuła, że Robert potrzebuje jej bardziej. Jego wielką siłą było to, że wolał raczej obracać to, co się działo, w żart, niż próbować nad tym zapanować – choć w to również wkładał немало energii. W ostatnich dniach ta jego żartobliwość zniknęła, ustępując miejsca uczuciom tęsknoty i żalu. Teraz pojawiła się znowu. To, jak Robert budował swoje aktorskie kreacje z rzeczy, które usłyszał, nie przestawało jej zadziwiać. Ostatnio miał obsesję na punkcie Seamusa i trudno się było dziwić. Nie mając siły na nic więcej, posłała synowi zmęczony uśmiech i zwinęła jego kąpielówki, które niespełna tydzień temu wypakowała z walizki. Wszystko stało się tak szybko. Patrick w dniu, w którym przyjechał z Robertem, zastał list z pytaniem, czy w domu znajdzie się „trochę przestrzeni” dla Kevina i Anette. Nazajutrz w porze śniadania Seamus przyszedł po odpowiedź.

- Mam nadzieję, że nie przeszkadzam! – zawołał.
 - Wcale – odparł Patrick. – Dobrze, że nie zwlekałeś. Napijesz się kawy?
 - Nie, dziękuję, Patricku. Ostatnio strasznie nadużywam kofeiny, żeby pomóc sobie z pisaniem.
 - W takim razie pozwól, że naduję jej sam.
 - Czuj się jak u siebie.
 - Ach, czyli nie jestem u siebie? – rzucił się Patrick jak chart spuszczonej smyczy. – A może jednak przez ten jeden miesiąc w roku to ty jesteś moim gościem, a nie odwrotnie? Bo właśnie w tym tkwi sedno sprawy. Znasz przecież warunki, na jakich Fundacja otrzymała dom: mamy prawo z niego korzystać przez cały sierpień i nie życzymy sobie, żebyś dokwaterowywał nam swoich przyjaciół.
 - Och, „warunki” to chyba nieco zbyt legalistyczne ujęcie sprawy – odparł Seamus. – Nigdzie nie jest napisane, że Fundacja ma obowiązek zapewnić wam darmowe wczasy. Wiem, że nie było ci łatwo pogodzić się z wolą twojej matki. Dlatego cierpliwie przysmykałem oko na twoje negatywne emocje.
 - Nie rozmawiamy o moim stosunku do jej woli, tylko o twoim. Nie zbaczajmy z tematu.
 - To są nierozdzielne sprawy.
 - Kretynowi wszystko wydaje się nierozdzielne.
 - Po co te osobiste wycieczki? Te sprawy są nierozdzielne, bo w gruncie rzeczy chodzi o to, czego Eleanor naprawdę chciała.
 - To przecież nie ulega żadnej wątpliwości. Jedyna wątpliwość dotyczy tego, czy potrafisz się pogodzić z fragmentem, który ci nie odpowiada.
 - Ja to widzę trochę szerzej, Patricku. Podchodzę do sprawy holistycznie. Myślę, że musimy razem znaleźć rozwiązanie, ty z rodziną, Kevin, Anette i ja. Co byś powiedział na to, żebyśmy urządzili rytuał, który pozwoli nam wyrazić, co wnosimy do tej wspólnoty, a czego od niej oczekujemy?
 - O nie, tylko nie kolejny rytuał. Co wy macie za obsesję z tymi rytuałami? Dlaczego nie możemy porozmawiać jak ludzie? Kiedy jako nastolatek mieszkałem w twojej chatce, były tam dwie sypialnie. Dlaczego nie weźmiesz przyjaciół pod własny dach?
 - Teraz w drugim pokoju mam pracownię. Potrzebuję przestrzeni do pracy.
 - Oczywiście, twoja prywatna przestrzeń jest święta.
- Thomas wyślizgnął się z ramion Mary i zaczął buszować. Jego potrzeba ruchu jeszcze bardziej podkreśliła paraliż, w jakim trwała reszta rodziny. Patrick, zastygły jakby w jesieni swojego dojrzewania, nie przedstawiał miłego widoku: zawzięty i pełen sarkazmu, pogniewany na matkę, wciąż skrycie myślał o chatce Seamusa jak o swojej nastoletniej pieczarze, w której spędził wiele letnich miesięcy na skraju samodzielności. Tylko Thomas, nie mając akurat na tej mapie żadnych punktów odniesienia, mógł zeskoczyć na ziemię i pozwolić, by myśli wiodły go, dokąd zechcą. Widząc, jak się oddala, Mary nabrała pewnego dystansu do sceny rozgrywającej się między Patrickiem a Seamusem, choć nie uszło jej uwagi, że charakterystyczna dla Seamusa tępa życzliwość coraz wyraźniej ustępuje miejsca ponurej gwałtowności.
- Czy wiesz – Patrick znów zwracał się do Seamusa – że w pasterskich plemionach Laponii najwyższy szaman ma prawo wypić mocz karibu, który zjadł halucynogenne grzyby, po czym zastępca najwyższego szamana wypija jego mocz, i tak dalej, aż do ostatnich z ostatnich, którzy tarzają się w śniegu, walcząc o kapkę mocno rozcieńczonych reniferzych sików?
 - Nie wiedziałem – przyznał beznamiętnie Seamus.

– Myślałem, że to dziedzina twoich zainteresowań – zdziwił się Patrick. – Tak czy inaczej, paradoks polega na tym, że *premier cru*, pierwsza porcja, jest zarazem najbardziej toksyczna. Biedny najwyższy szaman siania się na nogach, leje się z niego pot, organizm walczy z trucizną, podczas gdy kilka uszkodzonych wątrób później mocz nie czyni już żadnej szkody, zachowując przy tym swoje właściwości halucynogenne. Ludziom tak zależy na statusie, że chętnie poświęcą spokój ducha i swój drogocenny czas, żeby przebrnąć przez to bardzo niezdrowe, jak się okazuje, doświadczenie.

– Bardzo to wszystko ciekawe – rzekł Seamus – ale nie rozumiem, co to ma wspólnego z naszą sytuacją.

– Tylko tyle, że moja duma, nie boję się do tego przyznać, nie pozwala mi przyjąć miejsca na samym dole hierarchii sikania w tej „wspólnocie”.

– Jeśli nie chcesz być częścią wspólnoty, nikt cię tu nie trzyma – odparł cicho Seamus.

Nastąpiła krótka cisza.

– Dobrze – odezwał się Patrick. – Przynajmniej wiemy, czego naprawdę chcesz.

– Sam się stąd wynieś! – krzyknął Robert. – I zostaw nas w spokoju. To jest dom mojej babci, mamy większe prawo tu być niż ty.

– Spokojnie. – Mary położyła mu dłoń na ramieniu. – Nie wyjedziemy w połowie wczasów z dziećmi, niezależnie od tego, czy wrócimy tutaj za rok. Być może jakoś się dogadamy w sprawie twoich przyjaciół. Jeżeli pozwolisz im przez tydzień pomieszkać w swojej pracowni, weźmiemy ich do siebie na ostatni tydzień naszego pobytu. To chyba uczciwe.

W Seamusie rozhuśtana złość ścierała się z pragnieniem, by zachować pozór rozsądku.

– Będę musiał się zastanowić – odparł. – Szczerze mówiąc, muszę najpierw uporać się z pewnymi negatywnymi emocjami, które w tej chwili odczuwam, dopiero wtedy podejmę decyzję.

– Ależ proszę bardzo. – Patrick wstał, dając do zrozumienia, że uważa rozmowę za skończoną. – Czuj się jak u siebie. Zrób sobie rytuał.

Okrążył stół i rozpostarł ramiona, jakby zaganiając Seamusa na dwór, zaraz jednak znieruchomiał.

– Swoją drogą – nachylił się ku niemu – Mary powiedziała mi, że zdążyłeś już zapomnieć o Eleanor. Czy to prawda? Po tym wszystkim, co dla ciebie zrobiła, mógłbyś ją czasem odwiedzić.

– Nie musisz mnie pouczać o znaczeniu mojej przyjaźni z Eleanor.

– Wiem, że nie jest najciekawszą rozmówczynią – ciągnął Patrick – ale to przecież jedna z wielu rzeczy, które was łączą.

– Mam już serdecznie dość twojej wrogości – odparł Seamus, czerwieniejąc na twarzy. – Próbowałem być cierpliwy...

– Cierpliwy? – przerwał mu Patrick. – Próbowałeś zwalić nam na głowę swoich przydupasów, a Eleanor wyrzuciłeś na śmietnik, bo wycisnąłeś z niej wszystko, co się dało. Człowiek, który uważa, że odpowiednim słowem na takie zachowanie jest „cierpliwość”, powinien brać lekcje angielskiego zamiast pisać książki.

– Nie zamierzam dłużej słuchać tych obelg – oznajmił Seamus. – Stworzyłem tę Fundację razem z Eleanor i wiem, że nie chciałyby, żeby cokolwiek torpedowało jej działalność. Moim zdaniem najtragiczniejsze jest to, że nie rozumiesz, jak ważną rolę odgrywa Fundacja w dziele życia twojej matki, ani nie zdajesz sobie sprawy, jaka to niezwykła kobieta.

– Bardzo się mylisz – odrzekł Patrick. – Nie znam drugiej tak niezwykłej matki.

– Chyba wiadomo, dokąd to zmierza – wtrąciła się Mary. – Dajmy sobie trochę czasu na ochłonięcie. Te złośliwości niczemu nie służą.

– Kiedy złośliwość to jedyne, co nam zostało, skarbie.

Na pewno jedyne, co jemu zostało. Mary wiedziała, że to ona będzie musiała ratować ich wczasy, naprawiać to, co zepsuł swoją pogardą. Oczekiwanie, że będzie zawsze pełna pomysłów i zarazem pełna zrozumienia dla niego, było oczekiwaniem, którego nie mogła tolerować i którego nie mogła zawieść.

Biorąc Thomasa na ręce, znowu poczuła, jak bardzo macierzyństwo zniszczyło jej samotność. Jako dwudziestolatka długo mieszkała w pojedynkę; z własnego mieszkania zrezygnowała dopiero po zajściu w pierwszą ciążę. Odczuwała przemożną potrzebę ucieczki przed zalewem innych ludzi. Teraz bardzo rzadko bywała sama, zresztą nawet wtedy jej myśli krążyły wokół obowiązków rodzinnych. Lekceważone znaczenia piętrzyły się jak nieotwarte listy. Wiedziała, co się w nich kryje: coraz groźniejsze napomnienia, że powinna uważniej przyjrzeć się własnemu życiu.

Na razie musiała dzielić swoją samotność z Thomasem. Pamiętała przywołany kiedyś w rozmowie przez Johnny’ego cytat o tym, że małe dziecko potrafi „być samo w obecności matki”. Zapadło jej to w pamięć; teraz siedziała z Thomasem po kłótni Patricka z Seamusem, Thomas bawił się swoim ulubionym gumowym węzłem, kierował go w bok i patrzył, jak srebrzysty łuk wody rozpryskuje się o ziemię, a ona czuła, że powinna go zachęcić do jakiegoś pożyteczniejszego zajęcia, niech podleje rośliny i nie ochlapuje sobie nogawek błotem, lecz nie poddała się temu impulsowi, dostrzegając w bezużytecznej zabawie pewien rodzaj wolności. Nie miał w niej żadnego celu, nie próbował nic osiągnąć, po prostu lubił patrzeć na strumień wody.

Teraz, kiedy wyjazd, za którym tęskniła od jakiegoś czasu, wydawał się nieuchronny, teoretycznie powinna zrobić miejsce dla uczucia nostalgii, tymczasem patrzyła chłodnym okiem na ogród, na pejzaż i na bezchmurne niebo. Czas stąd wyjechać.

Wróciła do pokoju, żeby chwilę odpocząć, i zastała tam Patricka; leżał rozwalony na łóżku z kieliszkiem wina przy udzie.

– Nie byłaś zbyt przyjazna przy śniadaniu.

– Jak to? – odparła. – Nie byłam nieprzyjazna. A ciebie pochłonęła kłótnia z Seamusem.

– Już mi przechodzi ten termopilski trans.

Mary usiadła na skraju łóżka i roztargnionym ruchem pogłaskała Patricka po dłoni.

– Pamiętasz, jak za Dawnych Czasów szliśmy po południu razem do łóżka? – spytał.

– Thomas dopiero co zasnął.

– Przecież wiesz, że nie to jest prawdziwym powodem. To nie tak, że zaciskamy zęby i obiecujemy sobie, że wskoczmy do łóżka, jak tylko nadarzy się okazja: w ogóle nie ma takiej możliwości. – Patrick zamknął oczy. – Czuję się, jakbyśmy pędzili lśniącym białym tunelem...

– To było wczoraj, po drodze z lotniska – zauważyła Mary.

– Środkiem kości, z której wyssano szpik – ciągnął niezrażony Patrick. – Nic już nie jest *tym samym*, choćbyś nie wiem ile razy powtarzała to zakłęcie kelnerce w koktajlbarze.

– Czyli zero, w moim przypadku.

– Gratuluję – powiedział i zamilkł nagle, wciąż nie otwierając oczu.

Czy była nie dość współczująca? Czy powinna z litości zrobić mu laskę? Miała wrażenie, że Patrick specjalnie domaga się uwagi w najmniej sprzyjających momentach, żeby móc ją z czystym sumieniem dalej zdradzać. Gdyby zaczęła się z nim kochać, byłby przerażony. Byłby czy nie? Jak miała się przekonać, skoro była niezdolna do zrobienia pierwszego kroku? Dla niej

seks się skończył i nie mogła zrzucić winy na jego romans. To się stało z chwilą narodzin Thomasa. Nie mogła się nadziwić temu, jak silna była ta cezura. Jakiś instynkt przekierował jej energię z wyczerpanego, osłabionego, psychicznie okaleczonego Patricka ku nowemu dziecku z całym jego ekscytującym potencjałem. Podobnie było z Robertem, ale tylko przez kilka miesięcy. Tym razem bliska więź z Thomasem wchłonęła jej życie erotyczne. Związek z Patrickiem był martwy, w ostatniej drodze towarzyszyły mu obowiązki i wyrzuty sumienia. Opadła ciężko na łóżko obok niego, przez kilka sekund z pustą intensywnością wpatrywała się w sufit, po czym sama zamknęła oczy. Leżeli tak we dwoje, unosząc się na powierzchni snu.

– Boże – zawołała Mary w stronę Roberta, wstając z podłogi, na której klęczała obok otwartej walizki. – Nie powiedziałam babci i Sally.

– Nie ukrywam, że jestem potwornie rozczarowana – odparł Robert głosem Kettle.

– Sprawdźmy – rzekła Mary, siadając obok niego i wybierając numer matki.

– No cóż, nie ukrywam, że jestem rozczarowana – oznajmiła Kettle.

Mary, z trudem tłumiąc śmiech, musiała zakryć słuchawkę.

– Bingo – szepnęła do Roberta, który uniósł ręce w triumfalnym geście.

– Ale może przyjeżdż tak czy siak? – kontynuowała rozmowę z matką. – Seamus uwielbia twoje towarzystwo chyba jeszcze bardziej niż my. Jakkolwiek nieprawdopodobnie to zabrzmie – dodała po zbyt długiej pauzie.

Sally oświadczyła, że w takim razie odwiedzi ich wkrótce w Londynie, po czym wyraziła przekonanie, że to „świetna wiadomość”.

– Dla kogoś z zewnątrz to miejsce wygląda jak piękny klosz bez dopływu powietrza. Trzeba stamtąd uciec, bo inaczej człowiek eksploduje.

– Sally się cieszy – powiedziała Mary.

– Ojej, naprawdę? – rzekł Robert. – Mam nadzieję, że ona też straci dom, żebyśmy mogli się cieszyć razem z nią.

Wróciwszy, Patrick położył kartkę na walizce, której Mary nie była w stanie domknąć, i usiadł ciężko na krześle przy drzwiach. Sięgnęła po kartkę i zobaczyła, że to jedna z pisanych ołówkiem wiadomości od Eleanor.

Zrobiłam, co miałam. Chcę wrócić do domu.

Znajdź mi proszę dom opieki w Kensington?

Podawała ją Robertowi.

– Nie mogę się zdecydować, które zdanie sprawiło mi najwięcej przyjemności – rzekł Patrick. – Jeżeli przeniesie się do Kensington, jej skromny nieszamański kapitał w kilka miesięcy zmaleje do zera. A jeśli do tego czasu nie zechce łaskawie umrzeć, zgadnij, kto będzie musiał finansować jej wegetację w królewskiej dzielnicy?

– Podoba mi się ten znak zapytania – powiedziała Mary.

– Eleanor jest prawdziwą mistrzynią w zderzaniu ze sobą naszych impulsów moralnych i uczuciowych. Nie wiem, który już raz sprawia, że nienawidzę siebie za to, że postępuję słusznie; nagle cnota staje się karą.

– Chyba powinniśmy ją chronić przed straszną prawdą, że Seamusowi tak naprawdę zależało tylko na jej pieniądzach.

– Dlaczego? – włączył się Robert. – Niech ma za swoje.

– Posłuchaj – odpowiedział mu Patrick. – Zobaczyłem dzisiaj kobietę, która jest przerażona. Przerażona, że umrze w osamotnieniu. Że rodzina ją porzuci, tak jak to zrobił Seamus. Że wszystko spięrzyła, że mimowolnie kopiowała zachowanie swojej matki. Przerażona bezsilnością swoich przekonań w obliczu prawdziwego cierpienia, przerażona wszystkim. Jeżeli spełnimy jej prośbę, będzie mogła przestawić się z filantropii na rodzinę. W gruncie rzeczy ani jedno, ani drugie już nie działa, ale może ta zmiana przyniesie jej odrobinę ulgi, zanim znowu pogrąży się w piekło.

Nikt się nie odzywał.

– Miejmy nadzieję, że to jednak będzie czyściec – rzekła Mary.

– Nie znam się na tych rzeczach – odparł Patrick – ale jeśli czyściec ma być miejscem, w którym cierpienie uszlachetnia zamiast poniżać, to nie bardzo to widzę.

– Może przynajmniej dla nas to będzie czyściec.

– Nie rozumiem – powiedział Robert. – Czy babcia zamieszka razem z nami?

– Nie w naszym mieszkaniu – wyjaśniła Mary. – W domu opieki.

– I będziemy musieli za niego płacić?

– Jeszcze nie teraz – odparła.

– Ale wtedy Seamus wygra – stwierdził Robert. – On będzie miał dom, a my kalekę.

– Nie kalekę – poprawiła go Mary – tylko inwalidkę.

– A, przepraszam. To wszystko zmienia. Uff, ale nam się upiekło. – Przybrał ton konferansjera. – Dzisiejszymi zwycięzcami jest rodzina Melrose'ów z Londynu, która zabierze do domu naszą fantastyczną pierwszą nagrodę. Ta oto wspaniała *inwalidka* nie tylko nie mówi i nie chodzi, ale także nie panuje nad wypróżnianiem! – Robert przez chwilę naśladował odgłosy fanatycznego aplauzu, po czym przeszedł w ton smutno-pocieszający. – Cóż, Seamusie, tym razem się nie udało – powiedział, obejmując ramieniem wyimaginowanego uczestnika. – Walczyłeś dzielnie, ale pokonali cię w doliczonym czasie. Nie odjedziesz jednak z pustymi rękami, ponieważ dostaniesz od nas wiejską posiadłość na południu Francji, trzydzieści akrów cudownego lasu, ogromny basen i ogrody z mnóstwem przestrzeni do dziecięcych zabaw...

– Niesamowite – powiedziała z uznaniem Mary. – Skąd to wytrzasnąłeś?

– Seamus chyba jeszcze nie wie – rzekł Patrick. – Kazała mi przeczytać kartkę od niego, napisał, że odwiedzi ją po naszym wyjeździe. A więc jeszcze się z nią nie widział.

– A czy wyglądała, jakby to mogło ją skłonić do zmiany zdania?

– Nie – odparł Patrick. – Uśmiechała się, wręczając mi tę kartkę.

– Którym uśmiechem? Mechanicznym czy promiennym?

– Promiennym.

– W takim razie jest gorzej, niż sądziliśmy – stwierdziła Mary. – Nie tylko ucieka przed prawdą o motywach Seamusa, ale jeszcze składa kolejną ofiarę. Ostatnią rzeczą, jaką może mu podarować, jest jej nieobecność. To wyraz bezwarunkowej miłości, zwykle zarezerwowanej dla własnych dzieci, choć nie wszyscy potrafią się na nią zdobyć. W przypadku Eleanor to dzieci są ofiarą.

– Nie mówiąc o tym, że cały ten cyrk śmierdzi na kilometr chrześcijaństwem – powiedział Patrick. – Jak poczuć się pożyteczną i jednocześnie podkreślić swoją marność, a wszystko w służbie zranionej dumy. Gdyby tu została, musiałaby stawić czoło zdradzie Seamusa, a tak to my będziemy tymi, których zdradzono. Niewiarygodny jest ten jej upór. Nic tak człowieka nie betonuje jak wiara, że wypełnia wolę bożą.

- Nie mówi ani nie chodzi, a mimo to jaką ma władzę – zauważyła Mary.
- Tak – zgodził się Patrick. – Żadne gadanie, które się wydarza pomiędzy, nie może się równać z płaczem i jękiem na obu krańcach życia. Zawsze żyjemy w niewoli jakiegoś niemego tyrana, można oszaleć.
- A gdzie pojedziemy na wakacje za rok? – spytał Robert.
- W dowolne miejsce – odparł Patrick. – Nie jesteśmy już więźniami tej prowansalskiej pastorałki. Wskakujemy z pocztówki, ruszamy w nieznane. – Usiadł na łóżku obok Roberta. – Bogota! Blackpool! Rwanda! Daj się porwać fantazji. Wyobraź sobie ulotne alaskańskie lato wśród dziurawej tundry. Tierra del Fuego jest ładna o tej porze roku. Nic nie może się równać z tamtejszymi plażami, chyba tylko te komicznie spalone lwy morskie. Wystarczy już przewidywalnych przyjemności Morza Śródziemnego, tych rowerów wodnych i *pizzas au feu de bois*. Świat otwiera się przed nami jak ostryga.
- Nie cierpię ostryg – powiedział Robert.
- Tak, wiem, trafiłem kulą w płot.
- No to dokąd chcesz pojechać? – spytała Mary. – Możesz wybrać dowolne miejsce.
- Do Ameryki – odparł Robert. – Chcę do Ameryki.
- Czemu nie? – podchwycił Patrick. – To właśnie tam zawsze udawali się Europejczycy, których skądś wygnano.
- Nie nazwałabym tego wygnaniem – powiedziała Mary – tylko upragnioną wolnością.

Sierpień 2003

13

Czy Ameryka będzie taka, jak ją sobie wyobrażał? Robertowi, tak jak reszcie świata, większość dotychczasowego życia upłynęła w powodzi amerykańskich obrazów. Może to miejsce zostało już wyobrażone za niego i nie będzie w stanie niczego tam zobaczyć.

Pierwszym wrażeniem, jeszcze na płycie lotniska Heathrow, było wrażenie absurdalnej miękkości. W korytarzu samolotu utworzył się zator spowodowany przez rudą kobietę, której nogi uginały się pod jej własnym ciężarem.

– Nie wejdę tam. Nie wejdę – powtarzała zasapana. – Linda chce, żebym siedziała przy oknie, ale się nie zmieszczę.

– Linda, usiądź tam – rozkazał ogromny ojciec rodziny.

– Tato! – zawołała Linda, której rozmiary mówiły za siebie.

Był to niewątpliwie przejaw czegoś, co widywał wcześniej w pobliżu atrakcji turystycznych Londynu: szczególnie rodzaj pulchnej amerykańskiej otyłości; nie ciężko wywalczony tłuszcz smakosza, nie zwaliste ciało kierowcy ciężarówki, lecz bojaźliwa tusza ludzi, którzy w niebezpiecznym świecie postanowili sami być sobie poduszką powietrzną. Co, jeśli ich autobus zostanie porwany przez psychopatę, który nie wziął ze sobą żadnych orzeszków? Lepiej trochę zjeść zawczasu. Gdyby przyszło im stać się zakładnikami, niech przynajmniej nie będą głodni.

Rodzina Poduszkopowietrznych wreszcie wgniotła się w fotele. Robert jeszcze nigdy nie widział twarzy tak dalece pozbawionych wyrazu, jakby od niechcenia naszkicowanych na szczytach wielkich cielsk. Nawet stosunkowo wydatne rysy ojca przypominały resztkę stopionej świecy. Sadowiąc się na swoim miejscu, pani Poduszkopowietrzna popatrzyła na długą kolejkę pasażerów wodnistym spojrzeniem orzechowych oczu, dwóch brązowych plam zmęczenia.

– Dziękuję państwu za cierpliwość – stęknęła.

– To urocze, że podziękowała nam za coś, czego nie dostała – zauważył ojciec Roberta. – Może powinienem jej podziękować za zwinność.

Matka Roberta posłała mu ostrzegawcze spojrzenie. Okazało się, że ich miejsca są tuż za Poduszkopowietrznymi.

– Na czas startu trzeba opuścić podłokietniki – zwrócił się do Lindy jej ojciec.

– Mama i ja mamy wspólne miejsce – zachichotała Linda. – Nasze pupy się rozszerzają.

Robert zerknął w szparę między fotelami. Bardzo był ciekaw, jak sobie poradzą z opuszczeniem podłokietników.

Po spotkaniu z Poduszkopowietrznymi wrażenie miękkości rozlało się na wszystkie strony. Nawet twardość niektórych twarzy, które widział w to ciepłe, woskowe popołudnie w obsypanych flagami skalnych rozpadlinach środkowego Manhattanu, wydawała się Robertowi gniewną miękkością zawiedzionego dziecka, któremu mówiono, że może mieć wszystko. Ci, którzy byli gotowi dać się pocieszyć, zawsze mogli liczyć na coś do zjedzenia: stragan z preclami, wózek z lodami, obiady z dostawą do domu, miska orzeszków na ladzie, automat z przekąskami na końcu korytarza. Czuł presję, by poddać się mentalności wypasanego bydła, nie takiego zwykłego, lecz uprzemysłowionego, które ani nie musi czekać, ani mu się na to nie

pozwała.

W Oak Bar widział rząddek mężczyzn bladych i gąbczastych jak grzyby, stojących na szerokich trzonkach spodni khaki przed gablotą z cygarami. Wyglądali, jakby się bawili w dorosłych. Podśmiewali się i szeptali między sobą jak uczniacy, którzy spodziewają się, że zostaną przyłapani i będą musieli wyjąć poduszki, którymi powypychali sobie pastelowe koszule z kołnierzykami na guziki, zdjęć plastikowe czepki udające łysinę. Robert poczuł się przy nich bardzo dojrzały. Przy sąsiednim stoliku starsza pani ułożyła przypudrowane wargi na brzegu kieliszka z koktajlem i wprawnie wciągnęła różowy płyn do ust. Wyglądała jak wielbłąd starający się ukryć aparat ortodontyczny. W wypukłym zwierciadle czarnej ceramicznej miski na oknie Robert widział przechodniów, przyływy i odpływy żółtych taksówek, kręcące się koła parkowych dorożek, malejące do rozmiarów kółek w zegarku na rękę i znikające w oddali.

Park był jasny i ciepły, pełen sukienek bez rękawów i marynarek zarzuconych na ramię. Robert czuł, że jego wzmożona czujność przybysza słabnie pod wpływem zmęczenia, a poczucie nowości ustępuje wrażeniu, że widział to nowe miejsce już tysiąc razy. O ile znane mu londyńskie parki stawiały głównie na przyrodę, o tyle Central Park stawiał na rekreację. Każdy skrawek miał dostarczać przyjemności. Żułowe ścieżki zataczały pętle wśród pagórków, mijały zoo i tor wrotkarski, strefy ciszy, boiska sportowe i niezliczone place zabaw. Rolkarze w słuchawkach jechali w rytmie prywatnej muzyki. Nastolatki wdrapywały się na sterty szarobrazowych głazów. Wijąca się wężowato melodia flecisty odbijała się wilgotnym echem od łuku mostu. Słyszał ją jeszcze przez chwilę za plecami, potem zastąpił ją ostry mechaniczny gwizd karuzeli.

– Zobacz, mamó, karuzela! – zawołał Thomas. – Chcę się przejechać. Nie mogę się powstrzymać!

– Dobrze – rzekł ojciec z westchnieniem człowieka, który nie chce ryzykować awantury.

Robert został oddelegowany jako opiekun, usiadł z Thomasem na jednym koniku i przypiął brata skórzanym pasem.

– Czy to prawdziwy koń? – spytał Thomas.

– Tak. Wielki dziki amerykański koń.

– Ty bądź Alabala i powiedz, że to dziki amerykański koń.

Robert wykonał polecenie.

– Nie, Alabalo – zaprotestował Thomas, kiwając palcem. – To jest koń karuzelowy.

– Aha, to przepraszam – odparł Robert w chwili, gdy karuzela ruszyła.

Wkrótce potem kręciła się szybko, prawie za szybko. Przejażdżki karuzelą w Lacoste nie przygotowały go na te stające dęba prychające konie z nozdrzami pomalowanymi na czerwono i grubymi szyjami wygiętymi ambitnie w stronę parku. Był na innym kontynencie. Przeróżliwie głośna muzyka wpędzała w obłęd klaunów na centralnym słupie, w górze zamiast malowanego nieba z mnóstwem światełek wirowały pręty pokryte gęstym smarem. Ta obnażona maszyna oraz gwałtowność jazdy wydały mu się typowo amerykańskie. Nie do końca wiedział dlaczego. Może wszystko w Ameryce będzie mu się z miejsca wydawało typowe. Tak jak jego ciało dało się nabrać na drugie popołudnie, tak samo za każdą niespodzianką podążało jak cień wrażenie typowości.

Niedługo po zejściu z karuzeli napotkali na swej drodze pełną wigoru kobietę w średnim wieku pochyloną nad swoim pieskiem.

– Chcesz cappuccino? – spytała, jakby to musiała być dla niego wielka pokusa. – Gotowy na cappuccino? No dalej! – Klasnęła z entuzjazmem w dłoń.

Lecz pies ciągnął za smycz, jakby chciał powiedzieć: „Jestem terrierem Dandie Dinmont. Nie pijam cappuccino”.

– To chyba znaczy „nie” – rzekł ojciec Roberta.

– Cśś – powiedział Robert.

– W sensie – odezwał się Thomas, wyjmując kciuk z ust i rozpierając się w spacerówce – to chyba znaczy „nie”. W sensie, to nie do wiary. Pieseczek nie chce cappuccino! – Wsadził kciuk z powrotem do buzi i zaczął się bawić gładką metką poszetki.

Pięć minut później rodzice byli gotowi wracać do hotelu, ale Robert spostrzegł wodę i pobiegł w tamtą stronę.

– Patrzcie, jezioro.

Rzeźba terenu sprawiała, że na drugim końcu woda zdawała się pluskać o cokół drapacza chmur o dwóch wieżach na West Side. Pod okiem tego perforowanego klifu mężczyźni w T-shirtach przeciągali metalowe łodzie przez wysepki trzciny, roześmiane dziewczęta robiły sobie zdjęcia wśród wioseł, a dzieci tkwiły nieruchomo w spuchniętych niebieskich kapokach.

– Patrzcie – powiedział Robert, nie do końca umiejąc wyrazić, jak niewiarygodnie typowe wydawało się to wszystko.

– Ja chcę na jezioro – oznajmił Thomas.

– Nie dzisiaj – odparł ojciec.

– Ale ja chcę! – wrzasnął, a powieki natychmiast zrosiły mu się łzami.

– Przebiegnijmy się – zaproponował ojciec. Złapał za spacerówkę i popędził aleją posągów z brązu. Protesty Thomasa stopniowo przeszły w okrzyki „szybciej!”.

Kiedy ich dogonili, zasapany ojciec stał zgięty w pół nad rączkami wózka.

– Jury oceniające projekty musiało być z Edynburga. – Wskazał ruchem głowy wielkie pomniki Roberta Burnsa i Waltera Scotta, zgarbione pod ciężarem ich geniuszu. Nieco dalej dużo mniejszy dziarski Szekspir prezentował się w kostiumie z epoki.

W Hotelu Churchill, w którym się zatrzymali, nie można było zamawiać jedzenia do pokoju, więc ojciec wyszedł kupić czajnik i „jakiś prowiant”. Kiedy wrócił, Robert poczuł od niego świeżą whisky.

– Chryste. – Wyłowił z torby na zakupy pudełko. – Człowiek idzie po czajnik, a wraca z Kompaktowym Urządzeniem do Przyrządzania Gorących Napojów.

Podobnie jak nieokiełznane pupy Lindy i jej mamy, słowa zachowywały się tak, jakby wolno im było zająć dowolną przestrzeń. Robert patrzył, jak ojciec wypakowuje z brązowej papierowej torby herbatę, kawę i butelkę whisky. Ta ostatnia była napoczęta.

– Popatrzcie na te brudne zasłony – rzekł ojciec, widząc, że Robert oblicza, w ilu procentach butelka jest pełna. – Wiecie, dlaczego reszta Nowego Jorku oddycha wspaniałym czystym powietrzem? Dlatego że mamy w naszym pokoju zainstalowane specjalne filtry zanieczyszczeń, które zasysają cały syf z atmosfery. Sally mówiła, że wystrój tego miejsca „ma w sobie coś, co zostaje z tobą na długo” – właśnie tego się obawiam. Starajcie się nie dotykać żadnych powierzchni.

Robert, którego ekscytował każdy pobyt w hotelu, nieważne jakim, zaczął przyglądać się otoczeniu z większą podejrzliwością. Chiński dywan różowy jak mysie podbrzusze, z ujętym w medalion piktogramem pośrodku, przechodził w zatłuszczoną rokokową tapicerkę kanapy i fotela. Nad kanapą, na ścianach w jaskry, indiański gobelin z kobietami tańczącymi sztywno przy studni, z krowami na pierwszym planie, wisiał naprzeciwko dużego obrazu przedstawiającego dwie baleriny, jedną w cytrynowej, drugą w różowej spódniczce. Usiana

kraterami wanna przypominała powierzchnię Księżyca. Chromowane krany dawno zszarzały, glazura straszyla zaciekami. Człowiek prawdopodobnie wychodził z niej tylko brudniejszy. Niedomykające się okno w pokoju rodziców, gdzie Thomas podskakiwał na łóżku, krzycząc: „Patrzcie! Jestem astronautą!”, wychodziło na warczący półtora metra w dole zardzewiały klimatyzator. Z salonu, w którym Robert miał spać na rozkładanej kanapie z Thomasem (albo, znając Thomasa, z ojcem, który będzie musiał zwolnić dla niego miejsce w łóżku mamy), można było podziwiać w całej okazałości gipsowe płyty pokrywające sąsiedni wieżowiec.

– To jak mieszkanie w kamieniołomie. – Ojciec nalał sobie do szklanki whisky na trzy palce. Podszedł do okna i zaciągnął szarą plastikową roletę. Drażek, na którym się trzymała, runął z głuchym brzdękiem na wewnętrzną jednostkę klimatyzatora.

– Niech to szlag.

Matka wybuchnęła śmiechem.

– To tylko kilka nocy – powiedziała. – Chodźmy coś zjeść. Thomas nieprędko znowu zaśnie. W samolocie drzemał przez trzy godziny. A ty, skarbie? – zwróciła się do Roberta.

– Ja chcę jeszcze trochę pozasuwać. Mogę się napić coca-coli?

– Nie, jesteś już wystarczająco pobudzony.

– O smaku jabłek i cynamonu – mamrotał ojciec, rozpakowując resztę zakupów. – Nie znalazłem żadnych płatków owsianych o smaku owsa ani jabłek o smaku jabłek, tylko płatki owsiane o smaku jabłek. I cynamonu, ma się rozumieć, żeby pasowały do pasty do zębów. Ktoś mniej trzeźwy mógłby przez pomyłkę umyć zęby owsem albo zjeść na śniadanie miseczkę pasty i nawet się nie zorientować. Można oszaleć. Jeżeli nie ma żadnych dodatków, też się tym chwala. Widziałem opakowanie rumianku z napisem: „Bez kofeiny”. Dlaczego rumianek miałby zawierać kofeinę? – Wyjął z torby ostatnią paczkę.

– Morning Thunder – przeczytała matka. – Nie rozumiem, po co ci jeszcze jeden poranny grzmot. Thomas ci nie wystarcza?

– Na tym polega twój problem, skarbie, tobie się wydaje, że Thomas może zastąpić wszystko: herbatę, kawę, pracę, życie towarzyskie... – Dokończył listę w milczeniu, po czym prędko przykrył tę uwagę bardziej ogólnym komentarzem. – Morning Thunder jest bardzo literacki, jedynym dodatkiem są cytaty. – Odchrząknął i zaczął czytać na głos: – „Urodzony często pod innym niebem, rzucony przez los w środek ruchliwej scenerii zdarzeń, sam pchany naprzód niepowstrzymanym prądem, który porywa wszystko dookoła, Amerykanin nie ma kiedy związać się z czymkolwiek, przywyka jedynie do zmiany, którą uważa za naturalny żywioł człowieka. Jest mu ona potrzebna, więcej: kocha ją, zmienność bowiem nie oznacza dla niego katastrofy, lecz jawi mu się jako źródło coraz to nowych cudów – Alexis de Tocqueville”.

– Sama widzisz – powiedział, czochrając Robertowi włosy – że potrzeba zasuwania doskonale odpowiada stanowi ducha tego kraju, przynajmniej na rok 1840 albo jakoś tak.

Thomas wdrapał się na stół, którego okrągła szklana osłona była o stopę węższa od samego blatu, tak że morwowy obrus z poliestru wystawał spod niej na krawędziach.

– Chodźmy do restauracji – zaproponowała matka, biorąc go delikatnie na rękę.

W windzie panowała cisza, która miała w sobie coś z przemocy; składały się na nią nie tylko rzeczy, których nie mówili sobie rodzice, ale także aura choroby psychicznej roztaczana przez gruzłowatego windziarza, który poinformował ich z dumą, zamiast oczekiwanych przeprosin, że winda pochodzi z roku tysiąc dziewięćset dwudziestego szóstego. Robert nie miał nic przeciwko temu, żeby niektóre rzeczy były stare – na przykład dinozaury albo planety – ale zdecydowanie wolał nowe windy. Całą jego rodzinę rozpierało pragnienie wydostania się z tej czerwonej

pluszowej klatki. W pobliżu parteru obłąkaniec zaczął przesuwać mosiężną wajchę to w jedną, to w drugą stronę, aż w końcu szarpiąca się winda stanęła zaledwie dwa cale poniżej holu.

W gasnącym świetle dnia szli po błyszczących chodnikach, wśród kłębow pary ze studzienek i ogromnych kratownic zastępujących betonowe płyty na przerażająco długich odcinkach. Robert nie omijał ich tchórzliwie, ale stąpał po nich bez entuzjazmu, starając się być jak najlżejszy. Jeszcze nigdy siła ciężenia nie ciążyła mu tak bardzo jak teraz.

– Dlaczego chodniki się błyszczą? – spytał.

– Któż to wie – odparł ojciec. – Pewnie dodano do nich żelazo albo pokruszone cytaty. A może po prostu pozbawiono je kofeiny.

Nie licząc kilku wywieszonych w oknie poślódkłych artykułów z gazet oraz odręcznego napisu BOŻE BŁOGOSŁAW NASZE WOJSKO, pizzeria Venus w żaden sposób nie ostrzegęła przed okropnym jedzeniem przyrządzanym w jej wnętrzach. Składniki sałatek i pizz wpisywały się w bezmyślną ekspansję, którą Robert obserwował od Heathrow. Zaczynało się niewinnie, od fety i pomidorów, a kończyło na serze szwajcarskim i ananasach, daleko za granicą dobrego smaku. Wędzony kurczak wprosił się na kongres owoców morza. „Wszystkie wyżej wymienione pizze” podawano w zestawie z frytkami i cebulowymi krążkami.

– To bardziej przypomina policyjny raport z przeszukania czyjegoś kubła na śmieci niż potrawę – narzekał ojciec. – Podejrzany musiał mieć fioła na punkcie tropikalnych owoców i dużą słabość do skorupiaków i sera brie – wymamrotał z amerykańskim akcentem.

– Myślałem, że Amerykanie zamiast „frytki francuskie” mówią teraz „frytki wolności”.

– Taniej napisać BOŻE BŁOGOSŁAW NASZE WOJSKO niż wydrukować od nowa sto kart – powiedział ojciec. – Dobrze, że Hiszpania przystąpiła do koalicji chętnych, inaczej mówilibyśmy: „Poproszę omlet konstytucyjny z frytkami wolności”. Bułeczki angielskie pewnie przetrwają tę czystkę, ale nie pytałbym o kawę po turecku po tym, jak się zachowała Turcja. Przepraszam – odchylił się na oparcie – kochałem się kiedyś w Ameryce i chyba czuję się zdradzony przez jej obecne wcielenie. Oczywiście to ogromne i złożone społeczeństwo i wierzę głęboko w jego zdolność do samonaprawy. Ale co się z nią stało? Gdzie się podziały zamieszki uliczne? Satyra? Sceptycyzm?

– Cześć! – Kelnerka miała plakietkę z napisem KAREN. – Wybraliście już coś dla siebie? Och – westchnęła na widok Thomasa – ale z ciebie słodziak.

Robert był zafascynowany jej dziwną, płytką serdecznością. Chciał ją zwolnić z obowiązku bycia wesołą. Wiedział, że tak naprawdę marzy o tym, żeby pójść do domu.

Matka uśmiechnęła się do niej.

– Czy możemy poprosić o pizzę vesuvio bez kawałków ananasa i wędzonego indyka i... – Roześmiała się mimo woli. – Przepraszam...

– Mamo! – zawołał Robert, również się śmiejąc.

Thomas zmrużył oczy i kołysał się do przodu i do tyłu, chcąc zaznaczyć swoją obecność.

– Ej, to niesamowite.

– Może powinniśmy podejść do tego inaczej – zaproponował ojciec. – Poprosimy pizzę z pomidorami, anchois i czarnymi oliwkami.

– Jak w Les Lecques – zauważył Robert.

– To się okaże.

Zdziwiona ubóstwem pizzy Karen starała się zapanować nad swoim zdumieniem.

– I z mozzarellą?

– Nie trzeba.

- Może kapka oliwy z bazylią?
- Bez kapki, dziękujemy.
- Dobrze – powiedziała, zmrożona ich zatwardziałym uporem.

Robert osunął się na laminowany stolik i oparł głowę bokiem na poduszce z ramienia. Miał wrażenie, że cały dzień toczy spór z własnym ciałem: najpierw musiał siedzieć nieruchomo w samolocie, kiedy miał ochotę biegać, a teraz musiał biegać zamiast leżeć w łóżku. W rogu telewizor ściszony na tyle, żeby nie dało się nic zrozumieć, ale nie na tyle, żeby nie było go słycać, promieniował w poprzek sali. Robert nigdy wcześniej nie widział meczu baseballu, oglądał za to filmy, w których na boisku baseballowym ludzki duch brał górę nad przeciwnościami. Pamiętał niewyraźnie taki, w którym gangsterzy próbowali namówić uczciwą gwiazdę baseballu do podłożenia się rywalom, lecz w ostatniej chwili, kiedy bohater miał już wszystko rzucić, a jęki zawiedzionej widowni zdawały się wyrażać ogólne rozczarowanie światem, w którym nie zostało już nic, w co by można wierzyć, wpadł nagle w trans i przypomniał sobie, jak pierwszy raz odbił piłkę hen daleko, posyłając ją na środek pola pszenicy w sercu Ameryki. Nie mógł zdradzić tamtego niezwykłego dziecięcego uczucia, kiedy piłka w zwolnionym tempie wznosiła się ku niebu, i nie mógł zawieść matki, która zawsze chodziła w fartuchu i powtarzała, że nie wolno kłamać, więc wybił piłkę poza stadion, a gangsterzy mieli miny jak Karen przyjmująca zamówienie, tylko bardziej złowrogie, ale jego dziewczyna wyglądała na dumną, mimo że stała między gangsterami, bo w gruncie rzeczy była jak jego matka, tylko że w dużo droższych brzoskwiniowych ciuszkach, a tłum oszalał z radości, bo znów miał w co wierzyć. Potem był jeszcze pościg samochodowy i ostatecznie gangsterzy, którzy nie mieli refleksu, jaki wyrabia się przez lata treningów, na decydującym zakręcie okazali się nie tylko złymi ludźmi, ale także złymi kierowcami, rozbili swoje auto i zginęli w płomieniach.

W meczu pokazywanym w telewizji gangsterom szło chyba dużo lepiej, bo pałkarze prawie w ogóle nie trafiali w piłkę. Co kilka minut grę przerywały reklamy i na ekranie pojawiały się znikąd wirujące złote litery, układające się w ogromny błyszczący napis WORLD SERIES.

- Gdzie nasze wino? – spytał ojciec.
- Twoje wino – poprawiła go matka.

Robert zauważył, że ojciec chciał coś odpowiedzieć, ale ugryzł się w język. Gdy Karen przyniosła butelkę czerwonego, pił łąpczywie, jakby tamta niewypowiedziana uwaga stanęła mu w gardle. Robert i Thomas dostali od kelnerki dwie wielkie szklanki lodu z odrobiną soku żurawinowego. Robert niespokojnie sączył swój napój. Ten dzień był niemożliwie długi. Nie tylko bladożółta monotonia kabiny ciśnieniowej, ale również formalności paszportowe. Ojciec, który wcześniej żartował, że przedstawi się kontrolerom jako „międzynarodowy turysta”, bo tak prezydent Bush wymawia słowa „międzynarodowy terrorysta”, zdołał się oprzeć pokusie. Mimo to czarnoskóra urzędniczka, przybiwszy mu pieczętkę w paszporcie, zaprosiła go do niewielkiego pokoiku.

– Nie mogła zrozumieć, dlaczego angielski prawnik urodził się we Francji – opowiadał później w taksówce. – Złapała się za głowę i powiedziała: „Próbuję tylko lepiej zrozumieć, kim pan jest”. Powiedziałem jej, że ja też próbuję i że jeśli kiedyś napiszę autobiografię, przyślę jej egzemplarz.

- Aha – odparła matka – a więc dlatego czekaliśmy pół godziny.
- Wiesz, jak to jest. Kiedy człowiek nienawidzi biurokracji, to albo kładzie uszy po sobie, albo zaczyna być lekceważący.

– Następnym razem spróbuj tego pierwszego, tak będzie szybciej.

Kiedy w końcu przyniesiono im pizze, Robert od razu wiedział, że są do niczego. Były grube jak pieluchy, w ogóle nie wzięto pod uwagę dziewięćdziesięcioprocentowej redukcji składników. Robert zdrapał wszystkie pomidory, oliwki i anchois w jeden róg, uzyskując w ten sposób dwa kęsy miniaturowej pizzy. Nie miała ona nic wspólnego z pyszną, cienką, lekko przypaloną pizzą z Les Lecques, ale po cichu na to licząc, otworzył niechcący zapadnię do bezpowrotnie minionych wakacji.

– Co się stało? – spytała matka.

– Chcę taką pizzę, jaką jedliśmy w Les Lecques. – Ogarnęła go rozpacz i poczucie niesprawiedliwości. Naprawdę nie chciał się rozpłakać.

– Och, skarbie, doskonale cię rozumiem – powiedziała, dotykając jego dłoni. – Wiem, że trudno w to uwierzyć, siedząc w tej idiotycznej restauracji, ale to będą wspaniałe amerykańskie wczasy.

– Dlaczego Bobby płacze? – zainteresował się Thomas.

– Jest mu smutno.

– Ale ja nie chcę, żeby płakał. Nie chcę! – krzyknął i sam zaczął płakać.

– Cholera – rzucił ojciec. – Wiedziałem, że trzeba było jechać do Ramsgate.

W drodze powrotnej do hotelu Thomas zasnął w spacerówce.

– Ustalmy to może od razu – powiedział ojciec – zamiast udawać, że będziemy spać razem. Ty bierzesz chłopców do sypialni, ja śpię na kanapie.

– Dobrze – odparła matka – skoro tego chcesz.

– Nie ma sensu wprowadzać takich podniecających słów jak „chcę”. Realistycznie przewiduję.

Robert zasnął błyskawicznie, ale obudził się, gdy czerwone cyfry na zegarku przy łóżku pokazywały 2:11. Matka i Thomas spali, za to z salonu dobiegały jakieś przytłumione odgłosy. Zajrzał tam i zastał ojca na podłodze przed telewizorem.

– Zrobiłem sobie coś w plecy, rozkładając tę cholerną kanapę – wyjaśnił, robiąc pompki bez odrywania bioder od ziemi.

Na szklanym stole opróżniona w trzech czwartych butelka whisky stała obok zmaltretowanego listka tabletek przeciwbólowych Codis.

– Przepraszam za tę pizzerię – powiedział. – Po tej kolacji, zakupach w Carnegie Foods i oglądaniu przez kilka godzin tej haniebnej telewizji dochodzę do wniosku, że powinniśmy chyba pościć do końca wczasów. Chów przemysłowy nie kończy się w ubojni, ostatnim przystankiem jest nasz krwiobieg, smakowite bomby Henry’ego Forda wylatują z klatek wprost do naszych otwartych ust i cała ta genetycznie modyfikowana pasza i hormony wzrostu przenikają do naszych coraz bardziej osłabionych organizmów. Nawet jeśli jedzenie nie jest „szybkie”, rachunek dostajemy natychmiast i próżnujący konsument wraca na ulice rojące się od przekąsek. Koniec końców jedziemy na tej samej taśmie co oskubane i rażone prądem kurczaki.

Ojciec wydawał się trochę straszny z przekrwionymi oczami i plamami potu na koszuli, wściekle obracający korkociąg swojej mowy. Robert wiedział, że ojciec nie tyle mówi do niego, ile ćwiczy w jego obecności swoje wywody. Kiedy on spał, ojciec przez cały czas przemierzał tam i z powrotem mentalną salę rozpraw i oskarżał.

– Podobało mi się w parku – rzekł Robert.

– Park jest niczego sobie – przyznał ojciec – ale poza tym cały ten kraj to ludzie w ogromnych autach zastanawiający się, co by tu jeszcze zjeść. Kiedy wypożyczymy samochód, przekonasz

się, że to tak naprawdę jadalnia na kółkach z mnóstwem blatów i uchwytów na kubki. To naród głodnych dzieci z prawdziwą bronią. Albo rozsadzi cię bomba, albo pizza vesuvio. Przeróżające.

– Proszę, przestań.

– Przepraszam. Po prostu... – Ojciec nagle wydał się zagubiony. – Nie mogę spać. Park jest super. Miasto zapiera dech. To we mnie jest problem.

– Czy post będzie obejmował whisky?

– Niestety – odparł ojciec, naśladowując figlarny ton, z jakim zwykł wymawiać to słowo Thomas – whisky jest czymś bardzo czystym, a zatem wojna z zepsuciem siłą rzeczy nie może jej dotyczyć.

– Aha.

– Oni tutaj uwielbiają wytaczać wojny. Wojna z terrorem, wojna z przestępczością, wojna z narkotykami. Kto chce być pacyfistą w Ameryce, musi chyba toczyć wojnę z wojną, inaczej nikt nie zwróci na niego uwagi.

– Tato – przystopował go Robert.

– Przepraszam. Przepraszam. – Chwycił za pilota. – Wyłączmy to ogłupiające gównem i poczytajmy coś na głos.

– Super – powiedział Robert i wskoczył na kanapę. Miał wrażenie, że udaje weselszego, niż jest naprawdę, trochę jak Karen. Może to było zaraźliwe, a może to wina tutejszego jedzenia.

– Och, Patricku, dlaczego nikt nam nie powiedział, że to cudowne życie się skończy? – westchnęła ciotka Nancy, przewracając strony w albumie ze zdjęciami.

– Nikt ci nie powiedział? Faktycznie skandal. Z drugiej strony, dla osób, które mogły ci powiedzieć, ono się nigdy nie skończyło. Stało się tak, jak się stało, bo twoja matka zaufała twojemu ojczymowi.

– Wiesz, co było najgorsze w tym, nie zawaham się użyć tego słowa, złym...

– Ostatnio wszyscy go używają – wymamrotał Patrick.

– ...człowieku? – dokończyła Nancy, zamykając na chwilę powieki, żeby nie dać się rozproszyć wtrąceniu Patricka. – Obmacywał mnie na tylnym siedzeniu samochodu mamusi, kiedy ona leżała w domu i umierała na raka. Miał już wtedy parkinsona i mało pewny chwyt, jeśli wiesz, o czym mówię. Po śmierci mamusi zapytał mnie nawet, czy za niego wyjdę. Dasz wiarę? Tylko się wtedy roześmiałam, ale czasem sobie myślę, że powinnam była się zgodzić. Żył jeszcze tylko dwa lata, i przynajmniej nie musiałabym patrzeć, jak tragarze jego bratanka w dniu śmierci Jeana wynoszą moją toaletkę z sypialni, nie czekając nawet, aż wstanę z łóżka. Powiedziałam tym zwierzętom w niebieskich kombinezonach: „Co wy robicie? To są moje szczotki!”. A on mi odburknął, że mają zabrać wszystko, i wyrzucili mnie z łóżka, żeby móc je załadować do ciężarówki.

– Nie wiadomo, czy ślub z kimś, kto budził w tobie psychiczną i fizyczną odrazę, nie byłby jeszcze gorszą traumą.

– O, spójrz – Nancy przewróciła stronę w albumie – to jest w Fairley, spędziłyśmy tam początek wojny, kiedy mamusia utknęła we Francji. Najbardziej boski dom na Long Island. Wiesz, że wuj Bill miał sto pięćdziesiąt akrów ogrodu? Nie wspominam o lasach i polach, których także nie brakowało. Teraz ludziom się wydaje, że są nie wiadomo kim, bo mają dziesięć akrów ogrodu na Long Island. Pamiętam przepiękny tron z różowego marmuru pośrodku ogrodu rzeźby roślinnej, w którym bawiliśmy się w raz, dwa, trzy, Baba Jaga patrzy. Należał do cesarza bizantyńskiego... – Westchnęła. – Wszystko stracone, wszystkie te cudowne rzeczy.

– Rzeczy mają to do siebie – powiedział Patrick. – Najpierw cesarz stracił tron, a potem wuj Bill ogrodowy mebel.

– Dzieci wuja Billa przynajmniej mogły sprzedać Fairley – wybuchnęła Nancy. – Nikt ich nie okradł.

– Wierz mi, że rozumiem twój ból. Po tym, co zrobiła Eleanor, jesteśmy pod względem finansowym najbardziej uschniętą gałęzią rodziny. Jak długo byliście rozłączone z matką? – spytał Patrick, jakby chcąc zmienić temat na lżejszy.

– Cztery lata.

– Cztery lata!

– No tak, bo wyjechałyśmy do Ameryki na dwa lata przed wojną. Mamusia została w Europie, żeby pozbierać to co najlepsze z Francji, Anglii i Włoch, i dołączyła do nas dopiero w dwa lata po niemieckiej inwazji. Razem z Jeanem uciekli przez Portugalię i pamiętam, że kiedy dotarli na miejsce, kufer z butami wypadł jej za burtę łodzi, którą wynajęli, żeby przedostać się do Nowego Jorku. Pomyślałam sobie wtedy, że ktoś, kto uciekając przed Niemcami, gubi tylko jeden kufer,

w którym nie ma nic prócz butów, może mówić o szczęśliwej wojnie.

– Ale jak się czułaś, nie widząc się z nią tyle czasu?

– A wiesz, na kilka lat przed udarem Eleanor miałam z nią przedziwną rozmowę. Powiedziała mi, że kiedy mamusia i Jean przybyli do Fairley, wypłynęła łódką na środek jeziora i nie chciała z nimi rozmawiać, tak się gniewała na mamusię, że nas opuściła na cztery lata. Byłam w szoku, bo zupełnie tego nie pamiętałam. A przecież to coś, co powinno zapaść w pamięć młodej dziewczynie. Ale pamiętam tylko, że mamusia po drodze zgubiła buty.

– Pewnie każdy pamięta to, co dla niego istotne – stwierdził Patrick.

– Powiedziała, że nienawidziła mamusi – mówiła dalej Nancy. – Nie wiedziałam, że to w ogóle *genetycznie* możliwe.

– Jej geny były pewnie zbyt przerażone, żeby móc zainterweniować. Mnie Eleanor zawsze opowiadała, że nienawidziła swojej matki za to, że odprawiła dwie osoby, które ona kochała i darzyła zaufaniem: waszego ojca i nianię.

– Kiedy przyjechali po nianię, przywiązałam się do samochodu – oświadczyła ambicjonalnie Nancy.

– No więc sama widzisz. Czy nie poczułaś wtedy jakiegoś buntu przeciwko swoim genom...

– Nie! Winiłam Jeana. To on wmówił mamusi, że jesteśmy za duże, żeby mieć nianię.

– A wasz ojciec?

– Mamusia twierdziła, że nie stać jej na to, żeby go dłużej utrzymywać. Nie było tygodnia, żeby nie doprowadził jej do szału swoją rozrzutnością. Raz przed wyścigami w Ascot zamiast jednego konia kupił całą stajnię. Wyobrażasz sobie?

– To były czasy – rzekł Patrick. – Chciałbym móc się złościć na Mary, że kupiła kilka tuzinów koni wyścigowych, zamiast wpadać w panikę za każdym razem, kiedy trzeba kupić Thomasowi nową parę butów.

– Przesadzasz.

– To jedyna przesada, na jaką mogę sobie pozwolić.

Dzwoniący telefon wezwał Nancy do sąsiadującego z biblioteką gabinetu i Patrick został sam na miękkiej sofie, lekko wgniecionej przez ciężki, oprawny w czerwoną skórę album z wytłoczonym złotymi cyframi na grzbiecie rokiem 1940.

Wizja Eleanor wypływającej łódką na środek jeziora i niechcącej z nikim rozmawiać złała się w jego wyobraźni z jej obecnym stanem przykucia do łóżka i odcięcia od reszty świata.

Nazajutrz po tym, jak wprowadziła się do swojego przegrzanego, wysłanego grubą wykładziną grobu opieki w Kensington, Patrick odebrał telefon od kierownika.

– Matka chciałaby pana jak najszybciej zobaczyć. Twierdzi, że dzisiaj umrze.

– Czy są powody, żeby sądzić, że ma rację?

– Nie istnieje żaden powód stricte medyczny, ale pańska matka bardzo nalega.

Patrick wy dostał się z kancelarii i pojechał się zobaczyć z Eleanor. Kiedy wszedł, płakała z niewysłowionej frustracji, że ma coś niezmiernie ważnego do powiedzenia. Po półgodzinie wreszcie urodziła dwa słowa: „Umrę dzisiaj”, wypowiedziane tonem oszołomienia pierwszymi chwilami macierzyństwa. Od tamtej pory nie było dnia bez obietnicy śmierci okupionej półgodziną płaczliwych i bełkotliwych wysiłków.

Kiedy Patrick poskarżył się Kathleen, dziarskiej irlandzkiej pielęgniarki odpowiedzialnej za piętro Eleanor, złapała go za przedramię i wesoło zapięła:

– Ona pewnie przeżyje nas wszystkich. Na przykład taki doktor MacDougal z góry. Miał siedemdziesiąt lat, jak wziął sobie dwa razy młodszą żonę, urocza kobieta, strasznie miła. No

i rok później, tragedia, okazało się, że ma alzheimera, i trafił do nas. Żona była mu niezwykle oddana, przychodziła codziennie. I pewnie dalej by przychodziła, gdyby po roku nie zachorowała na raka piersi. Zmarła trzy lata po ślubie, a on wciąż u nas mieszka i *trzyma się mocno*.

Roześmiała się po raz ostatni, po czym zostawiła Patricka samego w dusznym korytarzu obok zamkniętego na klucz magazynu leków.

Tym, co przygnębiało go jeszcze bardziej niż zawodność prognoz Eleanor, był upór, z jakim trwała w zakłamaniu i duchowej próżności. Przeświadczenie, że jakiś szósty zmysł podpowie jej dokładną datę śmierci, było charakterystyczne dla fantazji rządzących jej życiem. Dopiero kiedy w czerwcu przewróciła się i złamała biodro, zaczęła realistyczniej oceniać swój wpływ na to, kiedy umrze.

Po upadku Patrick odwiedził ją w szpitalu Chelsea and Westminster.

Mimo morfiny, którą podano jej przy śniadaniu, była niespokojna jak zawsze. Rozpacзлиwa potrzeba wstania z łóżka, kilkakrotnie przyplacona upadkiem, czarno-fioletowym sińcem na prawej skroni, opuchniętym i czerwonym nosem, żółtą plamą na prawej powiece i wreszcie pęknięciem kości biodrowej, sprawiła, że nawet teraz sięgnęła ręką drążka z boku łóżka marki Evans Nesbit Jubilee i spróbowała się unieść na wiotkich białych ramionach z siniakami po świeżych nakłuciach, których Patrick w głębi duszy jej zazdrościł. Kilka wyraźnych słów wyłoniło się niczym pacyficzne wyspy z szemrzącego, jęczącego oceanu bezsensownych sylab.

– Mam spotkanie – oznajmiła i znów gwałtownie spróbowała zbliżyć się do krawędzi łóżka.

– Nie wiem z kim – odparł Patrick – ale domyślam się, że ten ktoś wie, że nie możesz się ruszać, i przyjdzie tutaj.

– Tak. – Eleanor na chwilę opadła na poplamione krwią poduszki, zaraz jednak poderwała się i powtórzyła żałośnie: – Mam spotkanie.

Nie mając dość siły, by długo wytrzymać w pozycji siedzącej, znów legła na łóżku i znów długo wiła się w niespokojnej, bełkotliwej jękaninie. A potem, znienacka, padły dwa samotne słowa: „Już dość”. Sfrustrowana Eleanor przesunęła dłońmi w dół twarzy; wyglądało to tak, jakby chciała się rozpłakać, ale ciało zawiodło ją również w tej kwestii.

W końcu odnalazła swój głos.

– Chcę, żebyś mnie zabił – powiedziała, ściskając jego dłoń z niespodziewaną siłą.

– Chętnie bym ci pomógł – odparł – ale niestety prawo na to nie zezwala.

– Już dość.

– Robimy, co w naszej mocy – stwierdził wymijająco.

Szukając pociechy w bardziej przyziemnych czynnościach, spróbował podać jej sok ananasowy stojący na stoliku przy łóżku. Wsunął rękę pod poduszkę Eleanor, uniósł jej głowę i delikatnie nachylił plastikową szklankę ku spierzchniętym ustom. Wykonując ten czuły gest, miał wrażenie, że staje się innym człowiekiem. Nie przypominał sobie, żeby kiedykolwiek obchodził się tak ostrożnie z kimkolwiek poza własnymi dziećmi. Bieg pokoleń został odwrócony i oto trzymał swoją beznadziejną, zdradziecką i zagubioną matkę z uczuciem przejmującej troski. Jak podnieść jej głowę, jak sprawić, żeby się nie zachłysnęła. Patrzył, jak obraca sok w ustach z nieobecną, zaniepokojoną miną, i chciał, żeby jej się udało, żeby jej gardło przypomniawszy sobie, jak się przełyka.

Biedna Eleanor, biedna mała Eleanor, nie było z nią dobrze, potrzebowała pomocy, potrzebowała ochrony. Jego pragnienie, żeby jej pomóc, nie natrafiało na żadną przeszkodę, żadną wątpliwość. Zdumiewające, jak bezsilny był jego rozczarowany, polemiczny umysł wobec

jednego fizycznego gestu. Pochylił się nad matką i pocałował ją w czoło.

Weszła pielęgniarka.

– Dawał jej pan thicken up? – spytała na widok szklanki w jego dłoni.

– Czy co dawałem?

– Thicken up – powtórzyła i stuknęła palcem w puszkę napoju o tej nazwie.

– To coś na wzmocnienie? Myślę, że matka wolałaby coś na osłabienie.

Pielęgniarka była w szoku, lecz Eleanor się uśmiechnęła.

– Sła-enie – powtórzyła.

– Dzisiaj rano dużo zjadła – upierała się pielęgniarka.

– Usili – powiedziała Eleanor.

– Wmusili? – zgadł Patrick.

Zwróciła ku niemu swoje dzikie spojrzenie i potwierdziła:

– Tak.

– Jak wrócisz do domu opieki, będziesz mogła w każdej chwili przestać jeść. Będziesz miała większą kontrolę nad swoim losem.

– Tak – szepnęła z uśmiechem.

Wydało mu się, że pierwszy raz się odprężyła. I on również. Zamierzał chronić matkę przed przedłużaniem tego straszego życia wbrew jej woli. Nareszcie odnalazł się w roli dobrego syna.

Patrick popatrzył na pozostałe albumy fotograficzne Nancy: przeszło sto identycznych tomów w czerwonej skórce, datowanych od 1919 do 2001 roku, ustawionych jeden przy drugim na regałach na wprost niego. Reszta ścian była zastawiona ozdobnymi blokami książek w skórzanych oprawkach i, na dolnych półkach, ilustrowanymi książkami o sztuce dekoratorskiej. Nawet dwoje drzwi, jedno prowadzące do holu, drugie do gabinetu, w którym Nancy rozmawiała przez telefon, nie psuło tego bibliotecznego wystroju. Pokrywały je udawane grzbiety książek na iluzorycznych półkach umieszczonych na równi z prawdziwymi, tak że przy zamkniętych drzwiach pokój robił niesłychanie klaustrofobiczne wrażenie. Bijące od Nancy resentment i nostalgia nie zelżały ani trochę od czasu ich ostatniego spotkania sprzed ośmiu lat, co tylko utwierdziło Patricka w przekonaniu, że sam nie chce żyć w krainie tego, co było, zakłętej w ścianie albumów, ani tym bardziej w krainie tego, co mogło być, jeszcze silniej rozpalającej wyobraźnię Nancy. Nie było raczej sensu próbować ją przekonywać do zalet życia tu i teraz, skoro trzymała się kurczowo nawet nie przeszłości jako takiej, lecz jej osobliwej wersji, oczyszczonej z krzywdy, która ją spotkała przed blisko czterdziestu laty. Te plutokratyczne powidoki wydawały mu się równie atrakcyjne jak sterta brudnych naczyń w zlewie po wystawnej kolacji. Coś umarło i ta śmierć była związana z czułością, jaką poczuł w stosunku do Eleanor, kiedy w szpitalu pomógł jej napić się soku ananasowego.

Zobaczywszy ciotkę po latach, znów nie mógł się nadziwić, jak bardzo jest różna od swojej siostry. A przecież te ich sprzeczne charaktery, skrajna światowość i skrajna nieświatowość, miały jedno źródło: poczucie matczynej zdrady i zawiedzionych nadziei finansowych. Nancy przeniosła winę na ojczyma, Eleanor próbowała przelać swoje poczucie zdrady na Patricka. Bezskutecznie, jak lubił sobie teraz w duchu powtarzać, aczkolwiek parę godzin w towarzystwie ciotki wystarczyło, by poczuł się jak wychodzący z nałogu alkoholik, któremu podarowano na urodziny shaker.

Wysokie przejrzyste okna wychodziły na rozległy trawnik, opadający w stronę ozdobnego stawu i spięty drewnianym japońskim mostkiem. Z miejsca, w którym siedział, Patrick widział, jak Thomas, subtelnie powściągany przez Mary, próbuje przewiesić się przez balustradę mostu,

jednocześnie pokazując palcem egzotyczną kaczkę, która marszczyła lśniący medal wody. A może to karpie koi przydawały głębi japońskiej stylizacji? Albo samurajska zbroja połyskująca wśród błota. Niebezpiecznie było lekceważyć dekoratorską pieczołowitość Nancy. Robert siedział w maleńkiej pagodzie nad brzegiem stawu i pisał swój pamiętnik.

Kilka półek nieprawdziwej klasyki odsunęło się ze skrzypieniem od ściany i Nancy weszła z powrotem.

– Dzwonił nasz bogaty kuzyn – oznajmiła wyraźnie ożywiona kontaktem z pieniędzmi.

– Który?

– Henry. Powiedział, że wybieracie się za tydzień do niego na wyspę.

– Owszem. Jesteśmy białą biedotą zwalającą się na głowę amerykańskiej rodzinie i żerującą na jej dobroci.

– Pytał, czy twoje dzieci umieją się zachować. Powiedziałam, że jeszcze niczego nie zepsuły. Spytał, jak długo tu jesteście. Kiedy odparłam, że przyjechaliście dwie godziny temu, powiedział: „Na litość boską, Nancy, co ty możesz o nich wiedzieć po dwóch godzinach? Zadzwoń jutro po pełne sprawozdanie”. No cóż, nie każdy może się pochwalić najważniejszą na świecie kolekcją figurek miśnieńskich.

– Coś mi mówi, że po wizycie Thomasa Henry też nie będzie mógł.

– Nie mów tak! Sama zaczynam się martwić.

– Kiedy Henry zrobił się taki napuszony? Nie widziałem go ze dwadzieścia lat; to bardzo miłe z jego strony, że nas do siebie zaprosił. Jako nastolatek był typem zadowolonego z siebie buntownika. Pewnie buntownik przegrał z armią figurek miśnieńskich. Trudno mieć do niego pretensje, że skapitulował. Wyobraź sobie tylko tę lśniącą hordę porcelanowych dojarek wysypującą się zza graniastego grzbietu i zalewającą misę doliny, a naprzeciw nich biednego Henry’ego, uzbrojonego jedynie w wyciąg z konta.

– Masz okropnie bujną wyobraźnię – stwierdziła Nancy.

– Przepraszam. Od trzech tygodni nie byłem na sali rozpraw. Przemowy się we mnie piętrzą...

– No cóż. Twoja sędziwa ciotka uda się teraz na spoczynek. Na podwieczorek jedziemy do Waltera i Beth, muszą być w dobrej formie. Nie pozwalaj dzieciom chodzić boso po trawie ani zapuszczać się do lasu. Obawiam się, że ta część Connecticut jest ogniskiem boreliozy, a w tym roku kleszcze są straszne. Ogrodnik robi, co może, żeby wyplenić trujący bluszcz z ogrodu, ale nic nie poradzi na to, co się dzieje w lasach. Borelioza jest okropna. Nawraca i nieleczona może zrujnować człowiekowi życie. Tutaj w miasteczku mieszka taki chłopiec, naprawdę jest z nim źle. Ma napady psychotyczne i tym podobne. Beth na wszelki wypadek codziennie bierze antybiotyki. Mówi, że sama jest swoim lekarzem. I że najbezpieczniej przyjąć, że nigdy nie jest się bezpiecznym.

– To prosta droga do permanentnej wojny – stwierdził Patrick. – *Tout ce qu’il y a de plus chic.*

– Skoro tak to chcesz nazwać.

– Chyba chcę. Niekoniecznie w rozmowie z nią.

– Koniecznie nie w rozmowie z nią! – zagotowała się Nancy. – To jedna z moich najstarszych przyjaciółek, a poza tym najbardziej wpływowa kobieta na Park Avenue. Nie chcesz jej się narażać.

– Ani mi w głowie – odparł Patrick.

Kiedy wyszła, podszedł do tacy z alkoholami i nie chcąc zostawiać brudnej szklanki, upił kilka łyków bourbona prosto z butelki Maker’s Mark. Wrócił na fotel i utkwiał wzrok za oknem. Nieprzebyty krajobraz Nowej Anglii mógł się wydawać ładny, lecz w istocie czyhało tam na

człowieka więcej niebezpieczeństw niż na kambodżańskich bagnach. Mary dostała już kilka ulotek na temat boreliozy – nieprzypadkowo zwanej chorobą z Lyme, które to miasteczko leżało kilka mil stąd – więc Patrick nie musiał w pośpiechu zbiegać na dół, by ostrzec rodzinę.

„Bezpiecznej przyjąć, że nigdy się nie jest bezpiecznym”. Jakiś tik językowy próbował go zmusić do powiedzenia na głos: „Bezpiecznej przyjąć, że jest się bezpiecznym, chyba że się nie jest”, lecz ostatecznie przekonała go ta paranoja. On w każdym razie czuł się ostatnio bez przerwy zagrożony. Groziła mu marskość wątroby, rozpad małżeństwa, śmiertelny strach. Od uczuć nikt jeszcze nie umarł, powtarzał sobie, nie wierząc w to ani trochę, kiedy mokry od potu zmagął się z uczuciem, że umiera ze strachu. Ludzie bez przerwy umierali od uczuć, zmaterializowanych uprzednio w postaci guzów, butelek i kul z pistoletu. Ktoś o jego typie organizacji psychicznej, z chwiejnymi fundamentami, dość silnie rozwiniętym intelektem i prawie niczym pomiędzy, rozpaczliwie potrzebował tego brakującego środka. Bez niego rozdawał się na czujny umysł dzienny, podobny do kołującego nad ziemią drapieżnego ptaka, i bezsilny umysł nocny, galaretowatą meduzę rozpląszczoną na pokładzie statku. *Orzeł i meduza*, bajka, której Ezopowi nie chciało się napisać. Wybuchnął nagłym, nieco obłąkańczym śmiechem i wstał, żeby pociągnąć jeszcze łyk bourbona. Tak, brakujący środek był w tej chwili wypełniony alkoholem. Pierwsza szklanka przywracała Patrickowi równowagę na jakieś dwadzieścia minut, kolejne już wywoływały jego umysł nocny, sunący po ziemi jak ciemne ostrze zaćmienia.

Wszystko to, wiedział, było upokarzającym odegraniem dramatu Edypa. Mimo powierzchownej rewolucji w jego stosunkach z Eleanor, chwilowego zwycięstwa współczucia nad pogardą, zasadniczy wpływ, jaki wywarła na jego życie, pozostał niezmienny. Istotą jego istnienia było jakby wieczne spadanie w przepaść, bezkresny strach, klaustrofobiczna agorafobia. Strach niewątpliwie miał w sobie coś uniwersalnego. Jego synowie, mimo troskliwej matczynej opieki, miewali momenty strachu, lecz były one tylko chwilową dolegliwością, podczas gdy Patrick miał wrażenie, że strach jest ziemią pod jego stopami, pustką, w którą się zapada, i wiązał to przekonanie z absolutną niezdolnością jego matki do skupienia się na drugim człowieku. Musiał sobie przypominać, że główną cechą określającą życie Eleanor była jej nieudolność. Zapragnęła dziecka i została beznadziejną matką; zapragnęła pisać opowiadania dla dzieci i została beznadziejną pisarką; zapragnęła być filantropką i oddała swój majątek wyrachowanemu szarlatanowi. Teraz pragnęła umrzeć i to również ją przerosło. Umiała się tylko porozumiewać z ludźmi, którzy przedstawiali się jako wrota do bombastycznych uogólnień, jak „ludzkość” albo „zbawienie”, do czego miauczący i wymiotujący Patrick z pewnością nie był zdolny. Jednym z problemów małego dziecka była trudność w odróżnianiu złej woli od nieudolności, trudność, która wracała do niego czasem w środku pijanej nocy. Teraz ta sama trudność zaczęła się wdzierać w jego ocenę Mary.

Mary była troskliwą matką dla Roberta, lecz po absorbującym pierwszym roku macierzyństwa odrodziła się jako żona, choćby tylko dlatego, że chciała mieć drugie dziecko. W przypadku Thomasa, być może dlatego, że wiedziała, że to jej ostatnie, zamknęła się w polu Madonny z Dzieciątkiem, zachowując obszar czystości, w tym również odkrytego na nowo dziewictwa. Patrickowi w tym permanentnym Betlejem przypadła niewdzięczna rola Józefa. Mary zupełnie przestała się nim interesować, a im bardziej domagał się od niej uwagi, tym silniej jawił się jako uzurpatorski rywal swojego młodszego syna. Zaczął szukać ukojenia gdzie indziej, najpierw u Julii, a gdy ich romans się rozsypał – w znieczulających objęciach alkoholu. Musi przestać. W jego wieku człowiek może albo przystąpić do ruchu oporu, albo kolaborować ze śmiercią. Tam, gdzie prysło młodzieńcze złudzenie niezniszczalności, nie ma miejsca na zabawę

w autodestrukcyjnej.

O rany, trochę zbyt dobrze mu idzie to picie. Najrozsądniej byłoby wziąć butelkę na górę i przelać resztę zawartości do uszczuplonej butelki bourbona ukrytej w plecaku, a potem wyskoczyć do miasteczka i kupić nową w miejsce tamtej. Oczywiście będzie musiał ją przekonująco napocząć, żeby przypominała starą, zanim prawie ją opróżnił. Praktycznie wszystko było bardziej skomplikowane niż bycie alkoholikiem. Zrzucanie bomb na kraje Trzeciego Świata – oto zajęcie dla człowieka, który nie musi pracować.

– Niektórzy to mają dobrze – mamrotał, idąc zygzakiem przez pokój. Niewykluczone, że jest odrobinę zbyt pijany jak na tę porę dnia. Jego myśli się rozklejały, traciły płynność, co chwila przebijane tu, zanim zdążył wziąć lewę.

Sprawdzić, czy rodzina jest w ogrodzie. Sprawdzić, czy na korytarzu cisza. Bieg po schodach, zamknij drzwi, weź plecak, przelej bourbona – nie po ręce! Pusta butelka hop na szafkę. Kluczyki do auta. Na dół i do wyjścia. Powiedzieć rodzinie? Tak. Nie. Tak. Nie! Wsiadaj do samochodu. Ding ding ding. Pierdolona amerykańska obsesja bezpieczeństwa ding ding. Najbezpieczniej założyć nagłą śmierć. Czmych po chrupiącym, pożywnym żwirze. Tempomat, alkomat. Sugestywne sugestie. Wyskoczyć z kolein, uciec z wielkiego zderzacza sylab w słoneczną pułapkę zielonej prowincji. Lepiej to wszystko wybetonować. Ponure oddziały zwykłych obywateli z piłami łańcuchowymi i betoniarkami. „Dość życia w ciągłym strachu! Mamy prawo chronić naszych bliskich! W Biblii napisano: dzicz będzie ujarzmiona i ludzie zapanują nad kleszczami”.

Sunął srebrzystoniebieskim buickiem lesabre i krzyczał z akcentem wieśniaka spod Appalachów. Nie mógł przestać. Niczego nie kontrolował: samochodu, picia, Ku Kleszcz Klanu. Czerwony znak stopu mignął mu z boku, gdy wjeżdżał po cichu na drogę do miasta. Zaparkował pod sklepem *Vino Veritas*. Samochód po drodze sam się zamknął, tak na wszelki wypadek. Ding ding ding. Kluczyk w stacyjce. Wygiął plecy, aby ulżyć bolącemu krzyżowi. Osłabiony kręgosłup? Wodonercze?

– Trzeba się uwolnić od myślowych schematów i tradycyjnych dychotomii – rzekł aksamitnym głosem jak z poradnikowej taśmy. – To nie jest *albo* problem z kręgiem, *albo* z nerką, ale jedno i drugie! Wyjdź poza schemat! Bądź kreatywny!

I proszę, oto miał przed sobą, na boiskach po drugiej stronie torów kolejowych, kolejną sytuację z gatunku „jedno i drugie”. Z jednej strony rozbuchany sentymentalizm amerykańskiego życia rodzinnego wśród kolorowych rur, zjeżdżalni i huśtawek, z miękkimi lądowaniami na trocinach; z drugiej strony, na rozległym trawniku za ogrodzeniem z metalowej siatki, dwóch brzuchatych policjantów tresowało wilczura do rozszarpywania na strzępy zwyrodnialców, którym przyjdzie do głowy zakłócać spokój i dobrobyt mieszkańców *New Milton*. Jeden z policjantów trzymał psa za obrozę, drugi stał kilka metrów dalej z ogromnym rękawem ochronnym. Wilczur przemknął po trawie, rzucił się na rękaw i potrząsał wściekle łbem, jego warczenie niesło się w wilgotnym powietrzu, przebijając przez dziecięce okrzyki i uporczywe dźwiękowe napomnienia przezornego samochodu. Czy te dzieci czuły się bezpieczniej, czy tylko czuły, że bezpieczniej jest przyjąć, że nigdy nie jest się bezpiecznym? Tęga rodzina jak z obrazów *Botera*, zjadająca miękkie bułeczki przy piknikowym stoliku o zaokrąglonych rogach, patrzyła, jak pierwszy policjant podbiega do kolegi i usiłuje odczepić zaciekłego wilczura od jego ramienia. Pozorant klęczał na trawie i starał się przekonać psa, że tak naprawdę wcale nie jest zwyrodnialcem.

Vino Veritas miało bourbona *Maker's Mark* w trzech rozmiarach. Nie mogąc sobie

przypomnieć, jakiego rozmiaru była butelka u Nancy, Patrick kupił wszystkie trzy.

– Przeworny zawsze ubezpieczony – wyjaśnił ekspedientowi.

– Żebyś wiedział – odparł tamten z ferworem, który wypchnął Patricka z powrotem na parking.

Był już w kolejnej fazie upojenia. Powolnej, posępnej i potliwej. Trzeba mu było więcej bourbona i mnóstwa kawy, jeżeli miał ustać na nogach u Waltera i Beth, albo gdziekolwiek indziej. Właściwie to był pewien – po co się oszukiwać? – że najmniejsza butelka Maker's Mark nie jest tą, którą musiał odkupić. Po prostu bez tej małej rodzina w jego torbie nie byłaby kompletna. Ding ding ding. Zerwał kapturek udający wosk i odkorkował butelkę. Wlewając w siebie alkohol, wyobraził sobie ognisty promień, który przebija stropy i podłogi domu, siejąc niszczycielską pożogę. Odetchnął z ulgą.

Kawiarnia Lepiej Późno Niż Wcale spełniła irytującą obietnicę zawartą w tej nazwie. Patrick bez mrugnięcia okiem podziękował za duże dietetyczne waniliowe frappuccino z karmelem w przezroczystym plastikowym kubku, z mnóstwem rozpływającego się w ustach lodu oraz truskawkowej bitej śmietany, i zamówił czarną kawę. Przesunął się wzdłuż taśmy produkcyjnej.

– Cudownego dnia! – rzucił Pete, ofartuszona blond bestia z wydatną szczęką, stawiając kawę na ladzie.

U Patricka, dość starego, aby pamiętać pojawienie się zwrotu „miłego dnia”, taka hiperinflacja mogła wzbudzić tylko zaniepokojenie. Czym się skończy ten Weimar agresywnego entuzjazmu?

– Głębokiego i treściwego dnia – mamlął pod nosem, niosąc niepewnie swój ogromny kubek do stolika. – Rozkosznego dnia – burknął, siadając. – Niech twój dzień będzie jak fantastyczny orgazm – szepnął – który trwa i trwa. – Bo jesteś tego wart. Bo jesteś to sobie winien. Bo jesteś wyjątkowy. Koniec końców, czego można było oczekiwać od kubka kawy i niejadalnego muffina? Pete mógłby się chociaż ograniczyć do realistycznych życzeń. „Zimnego prysznic”. „Nie rozbij się o drzewo”.

Zapalczywa, obłąkańcza nietrzeźwość, która opuściła go na rozgrzanym parkingu, teraz wróciła. Tak, tak, tak. Po kilku galonach kawy nic go nie zatrzyma. Pod ścianą ponętnej studentki medycyny w różowym rozpinanym sweterku i spranych dżinsach pracowała na komputerze. Jej komórka leżała na łupkowej półce kominka, obok walkmana i skomplikowanego napoju. Siedziała na krześle z uniesionymi kolanami szeroko rozstawionych nóg, jakby przed chwilą urodziła swój laptop HP. Luźne kartki z notatkami na skraju stolika przycisnęła *Patologią choroby*. Musi ją mieć, musi, musi. Urzekła go jej swobodna, leniwa poza. Wpatrywał się w nią, w końcu spojrzała na niego spokojnym, pewnym siebie wzrokiem. Uśmiechnęła się. Nie do wiary, jaka ona jest doskonała. Spuścił oczy i uśmiechnął się wstydliwie do swojej rzepki. Nie mógł znieść tego przyjaznego spojrzenia. Chciało mu się płakać. W zasadzie była lekarką, pewnie mogłaby go uratować. Synowie na początku by za nim tęsknili, ale z czasem by przywykli. Zresztą mogliby go odwiedzać. Miał przed sobą niezwykle ciepłą i czułą kobietę, bez dwóch zdań.

Edypowy wir porывał go jak uschnięty liść, kręcił się w nim bezwolnie, łaknąc coraz to nowych pocieszeń. Inne języki rozdzielały pragnienie i brak, lecz angielszczyzna zamykała je w nagiej bliskości pojedynczej sylaby: *want*. Pragnienie miłości, która zaspokoi brak miłości. Wojna z brakiem, która wzmaga pragnienie. Whisky nie opiekowała się nim lepiej niż jego matka, niż jego żona, niż zrobiłaby to młoda lekarka, gdyby teraz rzucił się do jej stóp i błagał ją, żeby się nad nim zlitowała. Dlaczego tego pragnie? Gdzie się podziewa Orzeł? Dlaczego nie rejestruje chłodno tego pożądanego, nie wiąże go z jego obecnym stanem umysłu, albo idąc

jeszcze dalej, z prostym faktem istnienia? Po co naiwnie rzucać się w stronę obiektów swoich myśli, skoro można pozostać u ich źródła? Zamknął oczy i osunął się na krzesło.

I oto znów znajdował się we wspaniałej sferze wewnętrznej, nie gonił za różowymi sweterkami ani bursztynowymi butelkami, tylko patrzył, jak myśli otwierają się niczym wachlarze w dusznej zatłoczonej sali. Nie wskakiwał już do malowanych scen, tylko zwracał uwagę na te wachlarze, na ten zaduch, na to, że kiedy się upija, w jego na co dzień werbalnym umyśle zaczynają przeważać obrazy, i że celem, do którego dąży, nie jest zapomnienie i orgazm, lecz wiedza i wgląd w siebie. Sęk w tym, że nawet gdy zmieniał się obiekt poszukiwań, ból poszukiwania nie mijał. Okazywało się, że Patrick biegnie w stronę próżni zamiast od niej uciekać. Też coś. Właściwie więcej sensu miała pogoń za słodkim mirażem pieprznej przygody. Otworzył oczy. Dziewczyna zniknęła. Brak i pragnienie, pragnienie i brak. Cały wszechświat pragnienia. Nieskończona melancholia.

Szuranie krzesła. Późno. Rodzina. Podwieczorek. Staraj się nie myśleć. Myśl: nie myśl. Obłąd. Ding ding ding. Tempomat, alkomat. Błagam, przestań myśleć. Kto prosi? Kto jest proszony?

Kiedy zajechał pod dom, Reszta stała wokół samochodu Nancy, układając się w obrazek pretensji i zniecierpliwienia.

– Nie uwierzycie, co mi się przytrafiło w New Milton – oznajmił, zastanawiając się, co odpowie, jeżeli ktoś zapyta.

– Mieliśmy jechać bez ciebie – rzekła Nancy. – Beth nie znosi niepunktualności; spóźnialskich od razu wykreśla ze swojego notesu.

– Rzężąca myśl – odparł Patrick. – To znaczy trzeźwiąca – poprawił się. Obie wersje zginęły wśród chrzęstu żwiru i trzasku zamykanych drzwi. Wsiadł na tylne siedzenie samochodu Nancy i rozparł się wygodnie obok Thomasa, żałując, że jedzie na podwieczorek bez małej buteleczki Maker's Mark. W drodze lekko przysypiał, dopóki nie poczuł, że samochód zwalnia i staje. Wysiadłszy, ujrzał wokół siebie nieprzerwany las. Wzgórza Berkshire wznosiły się i opadały we wszystkich kierunkach jak wzburzony zielonożółty ocean z białą szalowaną arką Waltera i Beth na szczycie najbliższej fali. Patrick doznał jednocześnie uczucia choroby morskiej i bycia uwięzionym na lądzie.

– Niewiarygodne – wymamrotał.

– Prawda? – zgodziła się Nancy. – Jak okiem sięgnąć wszystko ich.

Przebieg podwieczorku Patrick obserwował z niepewnego półdystansu. Raz czuł się szklany jak akwarium w telewizorze, to znów miał wrażenie, że tonie. Jednakowo ubrane służące w butach tak białych, że bolały oczy. Niski kamerdyner Latynos. Słodka mrożona herbata z nutką cynamonu. Ploteczki z Park Avenue. Śmiech z czegoś, co Henry Kissinger powiedział w czwartek przy obiedzie.

Potem było zwiedzanie ogrodu. Walter kroczył przodem, czasem puszczał Nancy, z którą szedł pod rękę, i przycinał jakiś zuchwały pęd sekatorem trzymany w dłoni w zamszowej rękawiczce. Z pewnością nie pielęgnowałby tak swojego ogrodu, gdyby nie był on już wypielęgowany. Z ogrodnictwem łączyło go tyle, co burmistrza z osiedlem mieszkaniowym, na którym uroczyście przecina wstęgę. Beth szła razem z Mary i dziećmi. Mówiła o ogrodzie z uporczywą skromnością, a niekiedy nawet z otwartym niezadowoleniem. Kiedy zbliżyli się do bukszpanowego jelenia, stojącego na skraju kwiatowej rabaty, oznajmiła:

– Nienawidzę go! Wygląda jak kangur. Polewam go octem, żeby szczeł. Tutejszy klimat jest niemożliwy: do połowy maja brniemy w śniegu do pasa, a po dwóch tygodniach można

pomyśleć, że mieszkamy w Wietnamie.

Patrick włókł się z tyłu i udawał zahipnotyzowanego pięknem ogrodu, pochylony wpatrywał się tępo w bezimienne kwiaty z nadzieją, że wygląda jak cień Andrew Marvella, a nie jak wczorajszy pijak, który boi się wciągnięcia w rozmowę. Ogromny trawnik przeszedł w bukszpanowy labirynt, potem w bukszpanowe zoo (w którym zabrakło miejsca dla nieszczęsnego kangura), wreszcie w lipowy zagajnik.

– Tato, patrz! *Sanglier*! – zawołał Thomas, pokazując palcem dzika z brązu, o kręconych kudłach, potężnym ryju i nogach na pozór zbyt smukłych, by mogły udźwignąć obwisłe brzuszysko i masywną głowę z kłami.

– Tak, skarbie – odparł.

Dziki zawsze były dla Patricka francuskie i teraz krajało mu się serce na myśl, że są francuskie również dla Thomasa. Jak to możliwe, że pamiętał to słowo sprzed roku? Czy pomyślał o dzikach z Saint-Nazaire, truchtających po tamtejszym ogrodzie, zjadających leżące na ziemi figi, węszących nocą wśród winorośli w poszukiwaniu dojrzałych winogron? Nie. *Sanglier* było po prostu słowem oznaczającym zwierzę, które przedstawiała rzeźba. Thomas już o niej zapomniał, biegł teraz szpalerem lip, udając samolot. Patrick smucił się z własnego powodu, choć i ten smutek był pusty w środku. Nie czuł już destrukcyjnej nostalgii za Saint-Nazaire; utrata tego miejsca uzmysłowiła mu tylko jego prawdziwą porażkę: że nie potrafi być takim ojcem, jakim chciał, człowiekiem, który wzniósł się ponad swój dziedziczny zamęt i obdarzył swoje dzieci miłością nieobciążoną żadnym bagażem. Wydostał się z czegoś, co nazywał „pierwszą strefą”, w której rodzic mimo woli naraża własne dziecko na to, czego sam w swoim życiu najbardziej nienawidził, ale wciąż tkwił w drugiej strefie, w której, nadmiernie skupiony na unikaniu pierwszej strefy, nie dostrzegał innych swoich błędów. W drugiej strefie dawanie było ściśle związane z brakami dającego. Nic tak nie wyczerpywało jak ten podszyty deficytem kompensacyjny zapal. Marzyła mu się trzecia strefa. Wyczuwał jej istnienie, ukrywała się za kolejnym wzgórzem, była jak pogłoska o żyznej dolinie. Być może chaos, w jakim się obecnie znalazł, stanowił ostateczne odrzucenie sposobu funkcjonowania, którego na dłuższą metę i tak nie dałoby się utrzymać. Musi przestać pić, nie jutro, ale jeszcze dzisiaj, kiedy tylko nadarzy się okazja.

Dziwnie podekscytowany tym przebłyskiem nadziei, trzymał się nadal z tyłu. Wycieczka sunęła dalej. Na końcu zagajnika kamienna Diana polowała w nieskończoność na brązowego dzika, którego widzieli chwilę wcześniej. Za domem ścieżka wysypana korą wiała się żwawo przez wymuskany lasek. Plamki słońca drgały na gołej ziemi między grubymi pniami dębów i buków. Za laskiem minęli hangar, w którym zimą ogromne wentylatory, pożerające tyle energii co niewielkie miasteczko, zapewniały odpowiednią temperaturę agapantom. Obok stał kurnik nieco większy od londyńskiego lokum Patricka i tak zdumiewająco nieskazitelny, jakby mieszkała w nim jakaś genetycznie modyfikowana odmiana kur, skrzyżowanych z ogórkiem, aby nic z siebie nie wydały. Beth przeszła po świeżych trocinach pod czerwone lampy grzewcze i znalazła w skrzynkach trzy nakrapiane brązowe jajka. Każdy talerz jajeczniczy musiał ją kosztować kilka tysięcy dolarów. Prawda była taka, że Patrick nienawidził ludzi bardzo zamożnych, zwłaszcza że nie miał szans kiedykolwiek stać się jednym z nich. Bardzo często byli oni jedynie hałaśliwą kulką w gwizdku swoich bogactw. Ich pragnienia, wyzwolone spod redaktorskiej kontroli zwrotu „móc sobie pozwolić”, rozwlekały się jak najgorsi nudziarze, którzy zawsze mówią mimochodem i nigdy nie kończą. Potrafili nadawać pozór wielkoduszności najróżniejszym rodzajom emocjonalnego sknerstwa: „Z przyjemnością użyczymy wam naszego

czwartego domu, który jest nam całkiem niepotrzebny. Nas tam nie będzie, ale Carmen i Alfonso się wami zajmą. Nie, naprawdę, to żaden kłopot, już najwyższy czas, żeby ci dwoje do czegoś się przydali. Płacimy im majątek praktycznie za nic”.

– Co tam mruyczysz pod nosem? – spytała Nancy, wyraźnie poirytowana, że Patrick niezbyt się przykłada do swej roli zachwyconego gościa.

– Och, nic.

– Powiedz, czy ten kurnik nie jest boski?

– Byłbym zaszczycony, mogąc w nim zamieszkać – odparł Patrick, jakby nagle przypomniał sobie o swoich powinnościach towarzyskich.

Spacer zakończył się darem jajek i był to zarazem koniec wizyty. W drodze powrotnej Patrick musiał stawić czoło swojej decyzji o zaprzestaniu picia. Łatwo było postanowić, że nie tknie się więcej alkoholu, kiedy nie miało się wyboru, ale za kilka minut będzie mógł wstąpić do swojego prywatnego sklepu monopolowego marki Buick. Co za różnica, czy zacznie przestawać już dziś, czy od jutra? Z jakiegoś powodu różnica była zasadnicza. Jeżeli teraz będzie pił dalej, rano obudzi się skacowany i nowy dzień rozpocznie się trującą pozostałością poprzedniego. Przede wszystkim jednak chciał ocalić w sobie tę wątłą nadzieję, którą poczuł w ogrodzie. Jeżeli przestanie od jutra, uczyni to z powodu przebranej miary wstydu, a to brzydsza i bardziej zawodna motywacja. Ale czym właściwie była trzecia strefa? Napięcie czopowało mu umysł: nie potrafił odtworzyć tamtej nadziei.

Znalazszy się znowu w bibliotece Nancy, zapatrzył się w okno, czując, że jemu przypatruje się butelka bourbona, którą odstawił na tacę z alkoholami. W zasadzie wypadałoby ją opróżnić do poziomu, z którego zaczynał tę pustą. Już miał ulec, kiedy do pokoju weszła Nancy i teatralnie wzdychając, opadła na fotel naprzeciwko.

– Mam poczucie, że w ogóle nie porozmawialiśmy o Eleanor – oznajmiła. – Chyba boję się o nią pytać, bo ostatnim razem, kiedy ją zobaczyłam, byłam w szoku.

– Wiesz o jej upadku?

– Nie!

– Trafiła do szpitala z pękniętym biodrem. Kiedy pojechałem ją odwiedzić, zaczęła mnie prosić, żebym ją zabił. Od tamtej pory prosi o to za każdym razem...

– Och, przestań – powiedziała Nancy. – To naprawdę nie w porządku. Robi się z tego grecka tragedia. Na pewno są jakieś specjalne Erynie ścigające dzieci, które zabiły rodziców.

– Tak – odparł Patrick. – Wsadzają do więzień o zastrzonym rygorze.

– Boże. – Nancy wierciła się w fotelu. – Strasznie to skomplikowane. To znaczy, ja też bym nie chciała żyć, gdybym nie mogła mówić, poruszać się, poczytać ani obejrzeć filmu.

– Nie mam wątpliwości, że pomoc w przyspieszeniu jej śmierci byłaby aktem największej miłości.

– Hm. Nie chcę, żebyś mnie źle zrozumiał, ale może powinniśmy wynająć ambulans i zawieźć ją do Holandii.

– Od samego pobytu w Holandii nikt jeszcze nie umarł.

– Och, błagam, nie mówmy o tym dłużej. To zbyt przykre. Nie zniosłabym takiego zakończenia.

– Napijesz się czegoś? – zaproponował Patrick.

– O nie, ja nie piję. Nie wiesz? Widziałam, jak picie zniszczyło życie tacie. Ale ty zrób sobie dobrze, jeśli masz ochotę.

Patrick wyobraził sobie, że któryś z jego synów mówi: „Widziałem, jak picie zniszczyło życie

tacie”. Zdał sobie sprawę, że pochyla się do przodu na krześle.

– Chyba zrobię sobie dobrze, nie pijąc – powiedział i zamykając oczy, odchylił się na oparcie.

Mary nie mogła uwierzyć, że Patrick i Robert są w jednym motelowym pokoju z cienką wykładziną, a ona i Thomas w drugim, z plastikowymi kubkami w plastikowych foliach, opaskami Toaleta Zdezynfekowana Dla Twojego Bezpieczeństwa na plastikowych sedesach i maszyną na korytarzu, której gwałtowne wyrzuty lodu przypominały nieproszone o stanie jej małżeństwa. Słyszała, jak miarowy szum autostrady wzmaga się wraz z nastaniem świtu. Był to idealny soundtrack do wartkiego nurtu jej niepokoju. Koło godziny czwartej, niczym metronom, którego nie miała siły wstać wyłączyć, zaczęły jej tykać w głowie słowa: „Autostrada – autozdrada, autostrada – autozdrada”. Bezsensowność była wylęgarnią tych sardonicznych harmonii; maszyna do lodu – małżeństwo; autostrada – autozdrada. Można zwariować. A może na odwrót, dzięki nim można nie zwariować? Szukanie powiązań. Nie mogła uwierzyć, że jej rodzina trwoni pieniądze, by męczyć się na tym przelotowym pustkowiu. Tyle mil drogi, a tak niewiele miejsc, tyle poufałości, a tak mało bliskości, tyle smaków, a tak mało smaku. Najchętniej zabrałyby dzieci z powrotem do Londynu, z dala od płytkiej euforii Ameryki, z powrotem w gęstą materię zwyczajnego życia.

To się już stawało tradycją: znów przez Patricka musieli opuścić bajeczne miejsce na długo przed końcem wczasów. W zeszłym roku Saint-Nazaire, teraz wyspę Henry’ego. Oczywiście bardzo ją cieszyło, że przestał pić, lecz skutek był taki, że przez pierwszy tydzień zachowywał się jak inni ludzie, kiedy są całkiem pijani: na zmianę wybuchał gniewem i nurzał się w rozpacz. Przecięto mu wszystkie czyraki naraz, tacki chirurgiczne się przelewały. Henry, owszem, wygadywał straszne rzeczy, ale jednak był krewnym, a przede wszystkim gospodarzem, u którego dzieci miały wszystko: własną przystań, plażę, jachty i motorówki, a także, ku niekończącemu się zdumieniu Thomasa, własną stację benzynową.

– To nie do wiary. Henry ma własną stację benzynową! – powtarzał Thomas kilka razy dziennie, otwierając dłonie i kręcąc głową. Roberta ogarnął amok statystyczny na punkcie liczby pokojów i akrów, kalkulował ogrom tych włości, ale co najważniejsze, obaj chłopcy świetnie się bawili: a to wskakiwali na chwilę do lodowatej wody, a to wypływali na morze motorówką i podążali spienionym śladem dużych promów obsługujących ogólnodostępne wyspy.

Jeżeli coś było nie tak, to wszystko inne. W czasie pierwszego lunchu Henry poprosił Mary, żeby wyprowadziła Thomasa z jadalni po tym, jak chłopiec udając dystrybutor paliwa, przerwał jego monolog o moralnej konieczności wzmocnienia izraelskiego potencjału nuklearnego.

- Syryjczycy robią teraz w spodnie ze strachu i mają rację... – perorował wesoło Henry.
- Bwwww – odezwał się Thomas. – Bwwww.
- Na pewno znacie takie powiedzenie: „Dzieci powinno się widzieć, a nie słyszeć”.
- Każdy je zna – odparła Mary.
- Zawsze wydawało mi się ono zbyt pobłażliwe – oświadczył Henry, podkreślając swój *bon mot* wyciągnięciem szyi.

– To znaczy, że wolałbyś go nie widzieć? – spytała Mary z nagłą złością. Wzięła Thomasa na rękę i prędko wyniosła go z jadalni, podczas gdy monolog Henry’ego toczył się dalej bez przeszkód.

– Kiedy admirał Yamamoto zakończył swój atak na Pearl Harbour, słusznie wystrzegął się triumfalizmu. „Panowie – powiedział – obudziliśmy śpiącego smoka”. Podobny lęk powinni dziś

odczuwać międzynarodowi terroryści oraz wspierające ich kraje. Dysponując arsenałem taktycznej broni nuklearnej, a nie tylko tarczą odstraszącą, Izrael wysłał czytelny sygnał do państw regionu, że stoi ramię w ramię...

Wychodząc stanowczym krokiem na trawnik przed domem, Mary wyobraziła sobie, że Henry jest rozwiązanym balonem, na jakie Thomas lubił patrzeć, gdy latały od ściany do ściany, a potem nagle spadały na ziemię, zmarszczone i wyczerpane.

- Uwaga, mam, puszczam balon – powiedział Thomas, kręcąc dłonią ciasne kółka.
- Skąd wiedziałeś, że myślę o balonie?
- Wiedziałem – odparł z uśmiechem, przekrzywiając głowę.

Takie momenty jedności zdarzyły się często i Mary zdążyła się do nich przyzwyczaić, ale nie przestawała jej zadziwiać ich precyzja.

W milczącym porozumieniu ruszyli ku niewielkiej kamienistej plaży u podnóża trawnika. Mary usiadła na skrawku srebrzyście białego piasku wśród kamieni przystrojonych czarnymi wodorostami.

- Będziesz się mną długo opiekować? – spytał Thomas.
- Tak, skarbie.
- Aż skończę czternaście lat.

– Tak długo, jak zechcesz. Tak długo, jak będę mogła... – dodała. Parę dni wcześniej spytał ją, czy umrze, na co odpowiedziała: „Tak, ale jeszcze nieprędko, mam nadzieję”. Odkrycie przez niego jej śmiertelności zdmuchnęło kurz, którym ta groźba obrosła w jej umyśle, sprawiając, że rozblęsnęła na nowo z całą swoją pierwotną straszliwością. Nienawidziła śmierci, bo przez nią musiała go zawieść. Dlaczego nie mógł jeszcze trochę się pobawić? Dlaczego nie mógł trochę dłużej czuć się bezpieczny? Do pewnego stopnia odzyskała już równowagę, tłumacząc sobie jego zainteresowanie śmiercią przejściem od wczesnego do średniego dzieciństwa; a jednocześnie zastanawiała się, czy to przejście nie zostało przyspieszone przez Patricka i jego niecierpliwość. Robert podobny kryzys przeszedł w wieku pięciu lat; Thomas miał dopiero trzy.

Usiadł jej teraz na kolanach i ssał kciuk, drugą ręką pocierając gładką metkę poszetki. Od snu dzieliły go minuty. Mary usiadła na piętach i uspokoiła nerwy. Dla Thomasa była zdolna do rzeczy, do których nie była zdolna dla nikogo innego, nawet dla Roberta. Thomas potrzebował jej, żeby go chronić, to całkiem oczywiste, ale ona potrzebowała go, żeby dobrze o sobie myśleć. Kiedy była smutna, przy nim chciało jej się być wesołą, kiedy była wycieńczona, odnajdowała w sobie ukryte zapasy energii, kiedy była zirytowana, zdobywała się na głębszą cierpliwość. Siedziała teraz nieruchoma jak skały wokół niej i czekała, aż Thomas usnie.

Niezależnie od upałów tutejsze morze było lodówką, od której wiała sceptyczna bryza. Mary lubiła to poczucie, że Maine jest w istocie niegościnną ziemią, która prędzej czy później strząśnie z siebie, jak pies na plaży, letnich odwiedzających. W wąskim prześwicie między dwiema zimami zorza polarna lśniła zachłannie. Wyobrażała ją sobie rozciągniętą jak wychudzony święty u El Greca. Pod wpływem tej myśli zapagnęła znów malować. Chciała się znowu kochać. Chciała znowu myśleć, skoro już robiła listę, ale jakoś tak się stało, że straciła niezależność. Jej istnienie było teraz nierozdzielnie związane z istnieniem Thomasa. Czuli się tak, jakby skradziono jej ubranie pozostawione na brzegu i nie wiedziała, jak teraz wyjść z tego pięknego, męczącego basenu.

Odczekawszy pięć minut po zaśnięciu Thomasa, mogła wreszcie zmienić pozycję na wygodniejszą. Usiadła pod skarpą u podnóża trawnika, układając syna między nogami, jakby dopiero się rodził, obrócony głową w niewłaściwą stronę. Z poszetki utworzyła daszek, aby

osłonić go od słońca, oparła się o skarpe i próbowała odpocząć, ale jej myśli się zapętlały, raz po raz wracały do Kettle, do rezerwy, z jaką traktowała własne dziecko, i jak to wpłynęło na to, że ona, Mary, jest fanatycznie ofiarną matką. Pomyślała o swojej niani, serdecznej i oddanej, rozwiązującej jeden po drugim kolejne drobne problemy, zamieszkującej dziecięcy świat, w którym nie było seksu ani sztuki, używek ani konwersacji, tylko jedzenie i codzienna dobroć. Oczywiście, że opiekując się dzieckiem, czuła się jak niania, która opiekowała się nią, kiedy była mała. I oczywiście, że nie chciała być jak Kettle, która nie miała dla niej czasu. Osobowość wydała jej się czymś zarazem absurdalnym i wszechmocnym: nadal ją więziła, mimo że Mary przejrzała ją na wskroś. Jej myśli o matkach i macierzyństwie krążyły po nitce zaplątanej w supeł, którego nie mogły rozwiązać.

Z jakiegoś powodu, siedząc nad tym czarnym morzem z jego chłodną bryzą, miała poczucie, że widzi wszystko bardzo wyraźnie. Thomas spał, nikt nie wiedział, dokąd poszła. Pierwszy raz od miesiący nikt nie mógł od niej niczego żądać i, nagle uwolniona od presji, zdała sobie w pełni sprawę z panującą w jej rodzinie tropikalnej atmosfery nierozwikłanej zależności. Eleanor była chorym dzieckiem błagającym Patricka, żeby „przestało boleć”; Thomas – sportowym sędzią rozdzielającym rodziców za każdym razem, kiedy Patrick usiłował się zbliżyć do jej obojętnego ciała; Robert pisał swój dziennik i się nie wtrącał. Ona sama znajdowała się w spokojnym oku cyklonu, jej potrzeba bycia potrzebną sprawiała, że wydawała się bardziej samodzielna, niż była naprawdę. W rzeczywistości potrzebowała czegoś więcej niż chwały, jaka płynęła z zaspokajania cudzych zachcianek. Jej zapał do poświęceń sprawiał, że czuła się nieraz jak więzień posłusznie kopiący dół przed własną egzekucją. Patrick potrzebował buntu przeciwko tyranii zależności, a ona – przeciwko tyranii własnego poświęcenia. Choć była przeciążona i zawłaszczona, każdy apel do jej szlachetnych odruchów wypychał ją jeszcze głębiej w potrzask. Protestował nie Robert, po którym można by się spodziewać rywalizacji z bratem, ale stosunkowo mniej zrównoważony Patrick. Pech chciał, że wszelkie, najmniejsze nawet oznaki, że Patrick jest w potrzebie, zaczęły ją od niego odpychać akurat wtedy, kiedy Thomas i Eleanor wpędzali go w coraz większe poczucie bezsilności. Patrick oskarżał ją o nadmierne dogadzanie Thomasowi, ale skoro Thomas był gotów obejść się bez pewnych matczynych wygód, to Patrick chyba tym bardziej. Może nie był już dojrzały, ale zepsuty. Może wdała się u niego psychiczna gangrena i to zapach zgnilizny budził w Mary taki wstręt.

Tamtego dnia wymówiła się od kolacji i poszła z Thomasem na górę, zostawiając Patricka i Roberta na pastwę zbudzonego smoka gadulstwa Henry’ego. Już przed kolacją, siedząc na spleśniałych różowych poduszkach w wykuszowym oknie, którego szyby krwawiły i połyskiwały w odbitym od morza wieczornym świetle, kiedy dzieci zachowywały się wzorowo, a Patrick uśmiechał się znad szklaki wody mineralnej, wiedziała, że nie zniesie więcej niż kilku minut orędzia Henry’ego do narodu. Wsiadł na karuzelę polityki zagranicznej, z Izraela udał się na wschód, przez Afganistan i byłe demoludy ku Chinom. Miała ponure przecucie, że przed pójściem spać zamierza jeszcze zahaczyć o Koreę Północną. Z pewnością miał chytry plan zrzucenia bomby atomowej na Koreę Północną, zanim ta zrzuci ją na Koreę Południową i Japonię. Mary nie chciała tego słuchać.

Kiedy po kąpieli Thomas chciał wejść do jej łóżka, nie miała serca mu odmówić. Umościli się jedno przy drugim i czytali *O czym szumią wierzby*. Thomas zasnął, kiedy Szczur i Kret po skończonym pikniku spłynęli w dół rzeki. Gdy wszedł Patrick, Mary uświadomiła sobie, że sama przysnęła z książką na kolanach i okularami na nosie.

– Prawie doszło między nami do rękoczynów – oznajmił, wpadając do pokoju; jego zaciśnięte

pięści wciąż szukały celu.

– O rety, o co poszło tym razem?

Patrick zawsze powtarzał, że ich życie erotyczne, konwersacyjne i towarzyskie jest skończone, że stali się biurokratami od wychowywania dzieci. No więc proszę bardzo, była padnięta i wyrwana ze snu, ale gotowa na żywą rozmowę.

– O Koreę Północną.

– Wiedziałam.

– Ty zawsze wszystko wiesz. Nic dziwnego, że uznałaś, że możesz sobie darować kolację.

Cokolwiek by powiedziała, wszystko było złe. Nieważne, jak bardzo się starała, Patrick zawsze czuł się porzucony. Spróbowała jeszcze raz.

– Po prostu przed kolacją miałam przecucie, że następna będzie Korea.

– Henry tak uważa: następna będzie Korea. Powinniście zawrzeć koalicję.

– Pokłóciłeś się z nim czy się nie udało i teraz będziesz musiał pokłócić się ze mną?

– Zgodziliśmy się, że się nie zgadzamy, nie wiem, co byśmy zrobili bez tego cudu demokracji. Henry nienawidzi wolności słowa, między innymi dlatego nie wolno mu się do tego przyznać. Nawijał, jacy to z nas szczęściarze, że nie żyjemy w kraju, w którym rozstrzeliwuje się ludzi za niewłaściwe poglądy.

– Chce cię zastrzelić.

– Owszem.

– Cudownie. To sprawi, że nasze wakacje będą jeszcze bardziej udane.

– Bardziej? Żeby coś było jeszcze bardziej udane, musi być najpierw choć trochę udane, nieprawdaż?

– Myślę, że dzieci są zadowolone.

– Ach, no tak, to jedyne, co się liczy – odparł sztywno Patrick. – Dałem Henry’emu do zrozumienia – mówił dalej, chodząc w tę i w tę przy nogach łóżka – że moim zdaniem polityka zagraniczna obecnej administracji opiera się na projekcji. Że to Ameryka jest państwem bandyckim z prezydentem fundamentalistą i tysiąc razy większym arsenałem broni masowego rażenia niż wszystkie inne kraje razem wzięte, et cetera, et cetera.

– I jak to przyjął? – Mary chciała, żeby się nakręcał, żeby jego agresja wyładowała się na polityce.

– Z niedowierzającym śmiechem. I wyciąganiem szyi. I sztucznymi uśmiechami. Przypomniał mi o „pewnym wydarzeniu, które wywarło niemały wpływ na życie mieszkańców tego kraju”. Odparłem, że jedenasty września to jedna z najbardziej wstrząsających tragedii w dziejach, ale jej wykorzystywanie, coś, co nazywam „dwunastym września”, jest na swój sposób równie szokujące. Zaczęło się od użycia na drugi dzień słowa „wojna”. Wojna to coś, co wybucha między państwami. Słowo, którego rząd brytyjski starannie unikał przez trzydzieści lat walki z IRA. Po co podnosić do rangi państwa kilkuset samobójczych fanatyków? No chyba że zamierza się ich wykorzystać jako pretekst do wszczęcia wojny z prawdziwymi państwami. A Henry na to: „Obawiam się, że takie rozróżnienie byłoby mało czytelne dla przeciętnego żłopacza piwa. Musieliśmy jakoś sprzedać tę wojnę opinii publicznej”. I na tym właśnie polega cały problem: moje oskarżenia są jego założeniami, sprzedawanie wojny opinii publicznej, testowanie nowych broni, stymulowanie kompleksu wojskowo-przemysłowego, używanie publicznych pieniędzy do zniszczenia kraju, na którego odbudowie zarobią ulubione korporacje obecnego rządu, i tak dalej. Jemu się to wszystko bardzo podoba, więc trudno, żeby nieszczercze przeproszał.

– A Robert jak się w tym odnalazł?

– Był doskonałym współoskarżycielem. Przytoczył argument o braku przekonujących dowodów i całkiem zręcznie posługiwał się pojęciem „niewinnych istnień”. Spytał Henry’ego, czy Amerykanie mają wyłączność na niewinność. Ale znowu: sęk w tym, że Henry naprawdę uważa, że właśnie tak jest, więc trudno zepchnąć go do defensywy. Nawet nie próbował zachowywać pozorów, może tylko w kwestii wolności słowa.

– Jak odpowiedział Robertowi?

– Tylko tyle, że widzi, że go „wyszkoliłem”. Z równowagi wytrącił go mój ostatni nalot dywanowy, kiedy powiedziałem, że kraj naprawdę „rozwinęty”, a nie tylko potężny, zadałby sobie pytanie o skutki sytuacji, w której dwa procent światowej populacji zużywa pięćdziesiąt procent światowych zasobów, a wszystkie rodzaje kultury nieamerykańskiej wymierają w gwałtownym tempie, i tak dalej. Trochę mnie poniosło i na koniec stwierdziłem, że śmierć przyrody to wygórowana cena za to, żeby bogaczom żyło się jeszcze wygodniej.

– Dziwne, że nas nie wyrzucił – powiedziała Mary.

– Nie martw się, jutro spróbuję znowu. W końcu mi się uda. Teraz już wiem, co go porusza do żywego. Polityka to ekscytująca gra, ale pieniądze to świętość.

Wiedziała, że Patrick nie żartuje. Czuł w sobie tak wielkie napięcie, że musiał coś zniszczyć – ale tym razem nie siebie samego.

– Czy mógłbyś się postarać, żeby jeszcze przez kilka dni nas stąd nie wyrzucono? Dopiero co skończyłam się rozpakowywać. – Mary usiłowała nadać głosowi wesoły ton.

– No i jak zwykle uwiłaś sobie ciepłe gniazdko ze swoim kochankiem.

– Boże, jak na mężczyznę, który twierdzi, że nie jest zazdrosny...

– Nie jestem zazdrosny. Jestem wściekły. To coś bardziej fundamentalnego. Strata najpierw rodzi gniew, a dopiero później zaborczość.

– Przed wściekłością jest niepokój – odparła, czując, że wie, o czym mówi. – Tak czy inaczej, uważam, że poruszasz się między wszystkimi trzema, nawet jeśli jedno na ogół przeważa. To nie są zakupy, nie możesz tak po prostu wybrać sobie wściekłości.

– Zdziwiłabyś się.

– Wiem, że wolisz gniew, bo wydaje ci się mniej upokarzający.

– Nie wolę gniewu! – krzyknął Patrick. – Co nie zmienia faktu, że go czuję.

– Chodzi mi o to, że wolisz gniew niż sąsiednie emocje.

Thomas, zbudzony krzykiem Patricka, poruszył się w łóżku i zamamrotał coś pod nosem.

– Odchodzisz od sedna – powiedział ciszej Patrick. – Jak zwykle nie możemy spać razem, bo jesteś w łóżku z naszym trzyletnim synem.

– Możemy spać razem – westchnęła. – Przesunę go na bok.

– Chcę się kochać z kobietą, a nie ze wzdychającą, zrezygnowaną kłodą dręczoną wyrzutami sumienia – syknął Patrick niezbyt udanym szeptem.

Thomas usiadł półprzytomnie.

– Nie, tato, przestań pleść bzdury! – krzyknął. – A ty, mammo, nie denerwuj taty!

Runął na poduszkę i zasnął z poczuciem spełnionego obowiązku. Zapadła cisza, którą pierwszy przerwał Patrick.

– Nie plotłem bzdur...

– Na miłość boską – zachnęła się Mary. – Jego też musisz pokonać w dyskusji? Nie rozumiesz, o co mu chodzi? On chce, żebyśmy przestali się kłócić, a nie żebyś zaczęła się kłócić z nim.

– Pewnie – odparł Patrick nagle znudzony. – Położę się w jego łóżku, chociaż nie wiem, dlaczego tak je nazywam. Powinienem przestać się oszukiwać i nazywać je swoim łóżkiem.

– Nie musisz...

– Nieprawda, muszę – uciął i wyszedł.

Porzucił ją nagle, ale nie zdołał przelać na nią swojego uczucia porzucenia. Czuła ulgę, złość, wyrzuty sumienia, żal. Niebo jej życia emocjonalnego zmieniało się w takim tempie, że dziwiła się, a czasem nawet zazdrościła ludziom, którzy „nie mają kontaktu z własnymi uczuciami”. Jak oni to robią? Chętnie by się dowiedziała.

Z jej sypialni wychodziło się na taras zbudowany nad wykuszowym oknem salonu, w którym siedziała przed kolacją. Podeszła do balkonowych okien, wyobrażając sobie, że otwiera je na oścież, wpatruje się w gwiazdy i doznaje olśnienia.

Nic takiego nie mogło się zdarzyć. Jej ciało zaczęło się już osuwać w stronę snu. Ostatni raz spojrzała za okno i pożałowała, że to zrobiła. Cienka smużka chmury przecinająca księżyc przypominała jej *Psa andaluzyjskiego* i przeskok między takim samym obrazem a gałką oczną rozcinaną żyłką. Wizja utraty wizji. Czy oślepiało ją coś, czego nie widziała, czy coś, co widziała, a czego nie mogła znieść? Była zbyt zmęczona, by dojść do jakichkolwiek wniosków. Jej myśli były ledwie groźbami, sen – rumowiskiem czuwania.

Weszła do łóżka i dała się spowić rzadkiej mgiełce niespokojnego odpoczynku. Wkrótce się ocknęła, słysząc, że Patrick wkłada się z powrotem do pokoju. Czuła na sobie jego wzrok, patrzył, czy zasnęła. Udawała, że śpi. W końcu położył się po drugiej stronie Thomasa, który leżał pośrodku jak miecz rozdzielający nieślubną parę w średniowiecznym łożu. Dlaczego nie potrafi wyciągnąć do niego ręki? Dlaczego nie może umościć Thomasa wśród poduszek po jednej stronie łóżka i spać z Patrickiem po drugiej? Nie miała już dla niego serca. W rzeczy samej po raz pierwszy, odkąd się pobrali, potrafiła sobie wyobrazić, że mieszka sama z dziećmi, a Patrick ze swoim nieszczęściem jest gdzie indziej, wszystko jedno gdzie.

Na drugi dzień była zszokowana swoim chłodem, lecz niebawem się do niego przyzwyczaiła.

Zawsze wiedziała, że ona istnieje, ta alternatywa wobec ciepła, które wszystkim wydawało się takie dla niej charakterystyczne. Wybrała ją teraz jak pustelnik wprowadzający się do grotty. Bez trudu opierała się falom nerwowej czułości Patricka. Ciągłe podążanie to do przodu, to w tył za chaotycznym rytmem jego nastrojów było zbyt męczące. Wolała stać w miejscu. Patrick zamierzał zrujnować im wczasy, a przedtem jeszcze chciał jej wmówić, że kłótnie z Henrym są wyrazem szlachetnego pryncypializmu, a nie wylewającej się irytacji. Nie poszła na to. Wieczorem było jasne, że ich, Patricka i Henry'ego, zgoda na niezgodę jest zagrożona.

– Trudno będzie nam porozmawiać, jeżeli nie przestaniesz atakować wszystkiego, co mówię – stwierdził rzeczowo Henry. – Skupmy się może na rodzinie.

– O tak, to sprawdzony sposób na zgodę i jedność – odparł Patrick z krótkim, szorstkim śmiechem.

– Ty jesteś jak Jasir Arafat – oznajmił Henry. – Wydaje ci się, że pokój równa się porażce. Próbuję tylko okazać trochę gościnności. Nie musisz jej przyjmować, jeżeli masz z tym kłopot z powodów ideologicznych. – Zaśmiał się przy tym ostatnim słowie, w którym dostrzegał jakiś nieodłączny komizm, jak rozdokazywany czterolatek w słowie „kupa”.

– Racja – rzekł Patrick – nie musimy.

– Ale chcemy – wtrąciła pospiesznie Mary.

– Mów za siebie.

– Mówię – odparła – i w przeciwieństwie do ciebie staram się również mówić w imieniu

dzieci.

– Czyżby? Jeszcze dziś rano Thomas twierdził, że Henry to „bardzo śmieszny człowiek”, a Robert, jak wiesz, nazywa go Hitlerem. Podejrzewam, że nie mówisz nawet w swoim imieniu, zważywszy, że wczoraj podczas lunchu wyproszo cię za drzwi.

To przelało kielich. Wyjechali nazajutrz rano. Mary spodziewała się po Patricku uporu, dumy i destrukcji, ale na razie nie potrafiła mu wybaczyć tego, że w swoją ostatnią szarżę wplątał dzieci.

Za cienką ścianą maszyna z lodem na motelowym korytarzu znowu się zatrzęsła. Komarzy brzęk autostrady zmienił się w buczenie szerszenia. Thomas zbudził się koło niej i jak zwykle bez zbędnej zwłoki rozpoczął festiwal żądań:

– Chcę, żebyś mi poczytała.

Mary posłusznie wzięła do ręki *O czym szumią wierzby*, które zaczęli w Maine.

– Pamiętasz, gdzie skończyliśmy?

– Szczurek powiedział Krecikowi, że jest zwyczajną świnią – odparł Thomas, robiąc okrągłe oczy. – A przecież jest szczurem.

– Zgadza się – przytaknęła Mary ze śmiechem. Szczur i Kret wracali na Wybrzeże w gęstniejącym zmierzchu grudniowego popołudnia. Kret poczuł zapach dawnego domu i zalała go fala nostalgicznej tęsknoty. Szczur sunął dalej w stronę Wybrzeża, czyli własnego domu, przekonany, że Kret również pragnie się tam znaleźć. W końcu Kret się rozpłakał i opowiedział Szczurowi o swojej tęsknocie. Mary przeczytała zdanie, na którym skończyli poprzedniego wieczora.

– Szczur patrzył przed siebie i klepał Kreta łagodnie po ramieniu. Po pewnym czasie mruknął ponuro: „Teraz rozumiem wszystko. Postąpiłem po świńsku! Jestem świnią, zwyczajna świnią!”.

– W sensie... – zaczął Thomas.

Rozległo się pukanie do drzwi. Mary odłożyła książkę i spytała kto tam.

– Bobby! – zawołał Thomas. – Wiedziałem, że to ty, bo... bo to ty!

Robert usiadł zgarbiony na łóżku, ignorując rozumowanie brata.

– Tu jest okropnie – rzekł.

– Wiem – powiedziała Mary – ale już niedługo ruszamy dalej.

– Znowu – jęknął Robert. – Od kiedy musieliśmy się wynieść z tej cudownej wyspy, byliśmy już w trzech motelach. Może powinniśmy sobie kupić dom na kółkach.

– Po śniadaniu zadzwonię do Sally i spytam, czy moglibyśmy przyjechać na Long Island kilka dni wcześniej.

– Krecik poczuł zapach domu i tęskni – rzekł Thomas, pochylając się do przodu, by udzielić poparcia bratu.

Uzgodnili, że jeśli nie będą mogli pojechać prosto na Long Island, powiedzą Patrickowi, że chcą wracać do Anglii.

– Tylko błagam, nie jedźmy znowu w siną dal – powiedział Robert.

Kiedy Mary zadzwoniła na Long Island, nikt nie odebrał. W końcu złapała Sally pod telefonem w Nowym Jorku.

– Musieliśmy wrócić do miasta, bo wybuchnął nam zbiornik z wodą i zalał sąsiadów z dołu. Pozywają nas, więc my pozywamy hydraulików, którzy dopiero co w zeszłym roku instalowali ten zbiornik. Hydraulicy pozywają producenta za wady konstrukcyjne. A mieszkańcy, mimo że wszyscy są na wczasach, pozywają budynek, bo przerwa w dostawie wody trwała dwa dni zamiast dwóch godzin i kosztowało ich to wiele stresu w Toskanii i na Nantucket.

- Rety – powiedziała Mary – a nie wystarczy posprzątać i kupić nowy zbiornik?
- Ach, to takie angielskie – odparła Sally rozczulona jej staroświeckim stoicyzmem.
- Przy śniadaniu Mary wyjaśniła, że w mieszkaniu w Nowym Jorku w zasadzie nie ma dla nich miejsca, ale Sally i tak ich zaprasza, jakoś się wszyscy pomieszczą.
- Może nie sprawdzajmy – zaproponował Robert – tylko od razu lećmy do domu?
- Siedzimy w samolocie – powiedział Thomas, rozkładając ramiona jak skrzydła – a pilotuje Alabala!
- O-o, lepiej złapmy następny.
- Następny też on pilotuje – odparł Thomas, nie mniej niż inni zaskoczony zaradnością Alabali.
- Jak mu się to udało? – spytał Robert.
- Thomas zerknął w bok, szukając wyjaśnienia tej zagadki.
- Katapultował się – oznajmił, naśladując odgłos katapultowania. – A potem Felan zatrzymał następny samolot i Alabala do niego wsiadł.
- Jest pewien drobiazg, nasze bilety nie podlegają zwrotowi – przypomniał Patrick.
- Mogliśmy kupić nowe za pieniądze, które wydaliśmy na te wstrętne motele – zauważył Robert.
- Nauczyłeś go dyskusowania, to teraz masz – powiedziała Mary.
- Ale przecież nie ma z kim dyskutować, prawda? Chyba wszyscy mamy już po uszy Ameryki.

Nieustanne błagania o śmierć, formułowane przez Eleanor od czasu jej upadku, zmusiły Patricka do bliższego przyjrzenia się prawnym aspektom eutanazji i samobójstwa wspomaganego. Kolejny raz, tak jak w przypadku własnego wydziedziczenia, stał się realizatorem odpychających żądań swojej matki. Pozbycie się Eleanor mogło się w pierwszej chwili wydawać bardziej atrakcyjne niż utrata Saint-Nazaire, lecz okropność czynu, do którego usiłowała go namówić, szybko przebiła się przez palisadę praktykaliów z wigorem godnym sztuki Middletona. Choć dom opieki nie był raczej typową scenerią *Tragedii mściciela*, groźba uzurpacji boskiego monopolu na zemstę działała na wyobraźnię Patricka równie silnie jak w katakumbach włoskiego zamku. Próbował się wziąć w garść, przyrzeć się dokładnie swoim pobudkom. Umarli nie są aż tak zawzięci, żeby nawiedzać żywych, którzy niczym nie zawinili. Jego matka była jak głaz blokujący górską przełęcz. Może i był w stanie go usunąć, ale jeśli powodował nim zbrodniczy zamiar, jej duch będzie tam straszył na zawsze.

Postanowił, że nie przyłoży ręki do jej śmierci. Ta prośba o pomoc w odejściu była ostatnią i najbrzydszą zagrywką kobiety, która zawsze, odkąd się narodził, utrzymywała, że to ją trzeba pocieszać. Ale potem jechał odwiedzić Eleanor i uświadamiał sobie, że najokrutniejszą rzeczą, jaką może zrobić, jest pozostawienie jej w obecnym stanie. Usiłował podsycać w sobie gniew, żeby łatwiej mu było odmówić jej pomocy, ale dręczyło go również współczucie. Współczucie było znacznie trudniejsze do zniesienia i zaczął myśleć o swojej mściwości jak o relatywnie błażej słabostce.

– Dla własnego dobra znajdź w sobie żądzę mordu – mamrotał do siebie, wybierając numer Stowarzyszenia Dobrowolnej Eutanazji.

Przed wycieczką do Stanów utrzymywał swoje dochodzenie w tajemnicy. Nie powiedział Mary, bo każda ich rozmowa o czymkolwiek ważnym kończyła się kłótnią. Nie powiedział Julii, bo ich romans już dogorywał. Poza tym w kraju, w którym za pomoc w umieraniu groziło czternaście lat więzienia, ostrożność była niezbędną. Czytał w gazetach o pielęgniarzach, które za humanitarny zastrzyk trafiały za kraty. Stowarzyszenie Dobrowolnej Eutanazji, mimo obiecującej nazwy, nie było w stanie pomóc. Lobbowało jedynie na rzecz zmiany prawa. Patrick przypomniał sobie, że czytał kiedyś o Arthurze Koestlerze i jego żonie, którzy udusili się w swoim domu przy Montpelier Square, używając plastikowych worków od Exit International. Kobieta ze Stowarzyszenia Dobrowolnej Eutanazji, z którą rozmawiał, nic nie wiedziała o organizacji pod nazwą Exit. Nie mogła nawet udzielić odpowiedzi na większość jego pytań, gdyż mogłoby to zostać potraktowane jako „doradztwo”, podpadające pod ten sam paragraf co pomoc w samobójstwie. Nie słyszała też nigdy o organizacji Dignitas i nie wiedziała, jak można się z nią skontaktować. Nie tylko Wiekuisty „swój zakaz zwrócił przeciw samobójstwu”, nasunęło się Patrickowi pod koniec tej bezowocnej rozmowy. Parę minut później informacja telefoniczna, obojętna na skutki prawne, podała mu numer do Dignitas.

Z walącym tętnem zadzwonił do Szwajcarii. W słuchawce odezwał się po niemiecku spokojny głos mężczyzny, który, jak się zaraz okazało, mówił też po angielsku. Zgodził się przesłać Patrickowi materiały informacyjne. Przyciśnięty w kwestiach prawnych, powiedział, że nie chodzi o eutanazję, którą wykonuje lekarz, ale o wspomaganie samobójstwa, dokonywane przez pacjenta. Szwajcarski lekarz przepisze barbituran, jeżeli znajdzie uzasadnienie i dojdzie do

wniosku, że samobójstwo jest w pełni dobrowolne. Jeżeli Patrick w oczekiwaniu na formularze członkowskie chciałby posunąć sprawę naprzód, niech zdobędzie pisemną zgodę od Eleanor oraz raport lekarski na temat stanu jej zdrowia. Patrick odparł, że jego matka nie potrafi już pisać, wyraził też wątpliwość, czy zdołałaby sama wykonać zastrzyk.

- Czy jest w stanie się podpisać?
- Ledwie.
- A przełykać?
- Ledwie.
- W takim razie może uda nam się pomóc.

Po telefonie do Szwajcarii Patricka ogarnęła fala podniecenia. Podpisać i przełknąć, oto klucze do królestwa, kod odpalający raketę. Zostało niewiele czasu, zanim Eleanor je straci. Przeraziła go wizja cennego barbituranu ściekającego bezproduktywnie po jej błyszczącej brodzie. Jej podpis wyglądał obecnie jak zarys alpejskich szczytów i przypominał wczesne pisarskie próby Thomasa. Patrick chodził tam i z powrotem po salonie swojego mieszkania. Dziś „pracował w domu”; poczekał, aż Robert pójdzie do szkoły, a Mary zabierze Thomasa do Holland Park, po czym przystąpił do swojej tajnej kwerendy. Miał teraz całe mieszkanie dla siebie, mógł się po nim tłuc do woli; nie musiał się dla nikogo starać ani być miły. I całe szczęście, bo nie mógł przestać chodzić, nie mógł przestać powtarzać: „Podpisać i przełknąć, podpisać i przełknąć”, niczym papuga na łańcuchu w kącie zapełnionego pokoju. Czuł coraz silniejsze napięcie, co chwila przystawał i powoli wydychał powietrze, żeby nie zemdleć. Jego podniecenie miało w sobie coś złowieszczonego, coś z ostrzenia noża. Zamierzał dać Eleanor dokładnie to, czego pragnęła. Tylko czy jemu wypadało pragnąć tego równie mocno?

Rozpoznał piętno swoich morderczych tęsknot i poczuł słuszne zakłopotanie. Tym, co wydawało się nowe, a co tak naprawdę towarzyszyło mu od początku, było jego własne pragnienie wypicia szklanki barbituranu. „Chcę szesnając o północy bez męki konania” – po niewielkiej modyfikacji brzmiało to prawie jak chemiczna nazwa tego pożegnalnego napoju: scepobezmekonan.

– O rety! Masz butelkę scepobezmekonanu! Mogę się poczęstować? – zawołał piskliwie, zawracając na końcu korytarza i ruszając z powrotem. Jego myśli pierzchały na wszystkie strony, albo raczej przyciągały wszystko w jedno miejsce. Wyobrazil sobie skromny marsz protestacyjny, zaczynający się w Hampstead od paru wrażliwców dążących do zakazania niepotrzebnych cierpień, szybko zwiększający swoją liczebność po drodze do Swiss Cottage, aż w końcu wszystkie sklepy się zamknęły, restauracje opustoszały, pociągi stanęły w miejscu, ze stacji benzynowych zniknęła obsługa, i cała ludność Londynu sunęła ku Whitehall, Trafalgar Square i Parliament Square, przeklinając niepotrzebne cierpienie i domagając się głośno scepobezmekonanu.

– Dlaczego psu, kotu wolno umrzeć – zawył ze sceny – a ona... – Zmusił się do milczenia. – Weź się zamknij – rzucił i runął na kanapę.

– Staram się tylko pomóc mojej starej mamie – próbował się udobruchać nowym głosem. – Jest już troszkę przeterminowana, co tu dużo mówić. Nie ma już takiej przyjemności z życia jak dawniej. Nie może nawet oglądać telewizji. Oczy już nie te. Czytanie jej na głos też mija się z celem, tylko się denerwuje. Wszystko ją przeraża, nawet jej własne szczęśliwe wspomnienia. Okropna sytuacja, naprawdę.

Kto to mówił? Do kogo? Patrick nie czuł się sobą.

Odetchnął powoli. Strasznie był spięty. Jeszcze nabawi się zawału, niechący wykończy

niewłaściwą osobę. Na własnych oczach rozpadał się na kawałki, ponieważ prostota jego sytuacji – syn poproszony o zabicie matki – była nie do zniesienia; a prostota jej sytuacji – człowiek przerażony każdą sekundą swojego istnienia – była jeszcze gorsza. Usiłował pozostać myślami przy tym, o czym nie dało się myśleć: przy doświadczeniu Eleanor. Czuł, jak matka wije się w łóżku, błagając o śmierć. Nagle, wyczerpawszy wszystkie wykręty, zalał się łzami.

Tamtego ranka w jego mieszkaniu zakończyła się rywalizacja między zemstą a współczuciem, pozostawiając mniej zagmatwaną tęsknotę, aby wszyscy członkowie jego rodziny, włącznie z matką, byli wolni. Postanowił zdobyć raport lekarski jeszcze przed wylotem do Ameryki. Nie było sensu zwracać się w tej sprawie do lekarza z domu opieki, którego jedyną misją było utrzymanie pensjonariuszy przy życiu wbrew ich tęsknocie za śmiertelnym zastrzykiem. Z kolei lekarz rodzinny Patricka, doktor Fenelon, nie opiekował się wcześniej Eleanor. Był to sympatyczny, inteligentny człowiek, któremu katolicyzm nie przeszkadzał do tej pory w wystawianiu przydatnych recept i umawianiu Patricka na pilne wizyty u specjalistów. Patrick zawsze myślał o nim jak o dorosłym i bardzo się zdziwił, kiedy tamten zaczął wspominać zajęcia z etyki w Ampleforth; to było tak, jakby pozwolił księdzu spryskać swój nastoletni szkic rzeczywistości dogmatycznym utrwalaczem.

– Wciąż uważam, że samobójstwo jest grzechem – oznajmił doktor Fenelon – ale już nie uważam, że ludzie, którzy chcą odebrać sobie życie, są kuszeni przez diabła, bo teraz wiemy, że cierpią na chorobę zwaną depresją.

– Coś panu powiem – odrzekł Patrick, starając się jak najdyskretniej dojść do siebie po tym, jak ujrzał diabła na liście gości. – Kiedy nie może się pan ruszać, mówić, czytać, i wie pan, że traci kontrolę nad własnym umysłem, depresja nie jest chorobą, tylko jedyną rozsądną reakcją. To właśnie dobry nastrój byłby czymś dziwnym i domagającym się wytłumaczenia dysfunkcją tarczycy albo wpływem sił nadprzyrodzonych.

– Kiedy ludzie mają depresję, podajemy im antydepresanty – bronił się doktor Fenelon.

– Ona już je bierze. Faktem jest, że dzięki nim nienawidzi swojego życia z większym entuzjazmem. Zanim zaczęła je zażywać, nie prosiła mnie, żebym ją zabił.

– Praca z umieraniem potrafi dać ogromną satysfakcję...

– Nie sądzę, żeby moja matka była zdolna do jakiegokolwiek pracy – przerwał mu Patrick. – Nie potrafi nawet wstać z łóżka. A jeżeli ma pan na myśli swoją własną satysfakcję, to nie ukrywam, że jej szczęście leży mi na sercu bardziej niż pańskie.

– Chodzi mi o to – odparł lekarz z większym spokojem, niż wydawał się na to zasługiwać sarkastyczny ton Patricka – że cierpienie może człowieka odmienić. Stykam się z ludźmi, którzy po ciężkiej walce osiągają duchowy spokój, jakiego nigdy przedtem nie zaznali.

– Do odczuwania takiego spokoju niezbędne jest poczucie własnego ja, czyli coś, co moja matka posiada w coraz mniejszym stopniu.

Doktor Fenelon skinął współczująco głową i odchylił się na oparcie pikowanego fotela, odsłaniając krucyfiks na półce za swoimi plecami. Nie był to pierwszy raz, kiedy ten krucyfiks rzucił się Patrickowi w oczy, teraz jednak zdawał się z niego drwić tą swoją genialną inwersją chwały i cierpienia, robiąc z czegoś, co budzi naturalną odrazę, centralny sens życia, nie ten przyziemny sens, jakim był coraz to głębszy namysł, ale na wskroś tajemniczy sens zbawienia świata wskutek wejścia przez Jezusa w konflikt z prawem dwa tysiące lat temu. Co to znaczy, że świat został zbawiony od grzechu? Na pewno grzechu nie jest teraz mniej. Jak zresztą tamta perwersyjna egzekucja Chrystusa mogła doprowadzić do tego zbawienia, które wedle wszelkich oznak wcale nie nastąpiło? Dotychczas Patrick uświadamiał sobie tylko nieistotność

chrześcijaństwa w kontekście własnego życia, teraz jednak poczuł nienawiść do tej religii, która chciała oszustwem pozbawić Eleanor prawa do śmierci we właściwym momencie. Po paru kolejnych wspomnieniach z lat szkolnych doktor Fenelon zgodził się sporządzić raport na temat stanu zdrowia Eleanor. Jak on zostanie wykorzystany, to już nie jego sprawa, przekonywał głośno sam siebie. Umówił się z Patrickiem na spotkanie w domu opieki za dwa dni.

Patrick pojechał zawieźć matce dobrą nowinę i przygotować ją na wizytę lekarza.

– Chcę... – jęknęła w odpowiedzi, a pół godziny później dodała: – Sz waj... carii.

Wyczuwając jej zniecierpliwienie, Patrick uzbroił się w cierpliwość.

– Wszystko zmierza w dobrym kierunku – zapewnił ją gładko.

– Wy... łą... dasz... jak... mój... syn – wymęczyła w końcu Eleanor.

– Da się to łatwo wyjaśnić – odrzekł. – Jestem twoim synem.

– Nie! – Eleanor wreszcie poczuła mocny grunt pod nogami.

Patrick wyszedł od niej utwierdzony w przekonaniu, że wkrótce matka będzie zbyt schorowana, by wyrazić zgodę.

Kiedy nazajutrz wprowadził doktora Fenelona do cuchnącego pokoju Eleanor, zastali ją w stanie histerycznej wesołości, jakiej nigdy przedtem u niej nie widział, ale którą natychmiast zrozumiał. Eleanor myślała, że musi się zaprezentować z jak najlepszej strony, aby zjednać sobie przychylność lekarza, pokazać, że jest grzeczną dziewczynką, która zasługuje na zlitowanie. Przyglądała mu się z uwielbieniem. Był jej wybawicielem, jej aniołem śmierci. Doktor Fenelon poprosił Patricka, żeby został i pomógł mu zrozumieć jej nieskładną mowę. Był pod wrażeniem jej refleksu, braku odleżyn i ogólnego stanu skóry. Patrick odwrócił wzrok od zmarszczonej białej połaci jej brzucha, czując, że nie powinien oglądać matki półnagiej, a już na pewno nie miał na to ochoty. Jej ożywienie doprowadzało go do szału. Dlaczego nie mogła uzewnętrznic nieszczęścia, które on przez tydzień z takim trudem ubierał w słowa? Była niezmordowana w sprawianiu mu jednego zawodu po drugim. Już sobie wyobrażał ten nieznośnie optymistyczny raport, który doktor Fenelon podyktuje w przychodni. Wieczorem napisał oświadczenie woli, ale nie mógł się zmusić, by od razu pojechać do matki. A ponieważ raport Fenelona i tak nie miał być gotowy przed ich wyjazdem do Ameryki, postanowił, że wróci do tego po wczasach.

W Ameryce starał się nie zaprzętać sobie głowy sprawą, której i tak na razie nie mógł przyspieszyć. Mimo to czuł, że tajemnica tego makabrycznego projektu alienuje go z rodziny. Po odstawieniu alkoholu trzymał się kurczowo niezbyt trzeźwej wizji trzeciej strefy z ogrodu Waltera i Beth. Kiedy próbował ją zdefiniować, przychodziła mu do głowy jedynie dobroć niewynikająca z kompensacji ani z obowiązku. Choć wymykała się ona dokładniejszemu opisowi, chwycił się tej kruchej intuicji, tak jak chory chwycił się nadziei na wyzdrowienie.

Dopiero w samolocie do Anglii powiedział Mary, co się dzieje. Thomas spał, a Robert oglądał film. W pierwszej chwili Mary nic nie odparła, wyraziła tylko współczucie dla sytuacji, w jakiej się znalazł. Wahała się, czy powinna wypowiedzieć na głos przypuszczenie, że Patrick, zajęty analizowaniem własnych pobudek, chyba niedostatecznie przyjrzał się pobudkom Eleanor. Każdy czasem chce umrzeć, ale czym innym jest chcieć, a czym innym umrzeć. Prośby Eleanor o pomoc nie były propozycją usunięcia się z ich życia, lecz ostatnim sposobem na pozostanie w centrum uwagi rodziny. I czy na pewno zdawała sobie sprawę, że nikt nie robi tego za nią? Mary była przekonana, że Eleanor wyobraża sobie nieskończenie mądrego lekarza o spojrzeniu głębokim jak górskie jezioro, który pochyla się nad nią, by złożyć na jej czole śmiertelny pocałunek na dobranoc; raczej nie myślała o szklance gorzkich barbituranów, którą trzeba samemu podnieść do ust. Eleanor była najbardziej dziecinną osobą, jaką Mary знаła, nie

wyłaczając Thomasa.

– Ona tego nie zrobi – rzekła w końcu do Patricka. – Nie połknij tego. Załatwisz transport medyczny do Szwajcarii, zawieziesz ją do lekarzy, zdobędziesz receptę, a potem ona się rozmyśli.

– Jeżeli się okaże, że wiozłem ją do Szwajcarii na darmo, to ją zabiję.

– Myślę, że to by ją urządziło – zauważyła Mary. – Ona chce, żeby ktoś ją wyręczył.

– Cokolwiek – rzucił Patrick z niecierpliwym westchnieniem. – Nie mogę nie traktować poważnie jedynej rzeczy, którą jest w stanie powiedzieć.

– Nie wątpię, że naprawdę chce umrzeć – odparła Mary. – Ale nie sądzę, żeby wystarczyło jej odwagi.

Robert, odcięty od świata w swoich słuchawkach, wyczuł, że rodzice toczą ożywioną dyskusję. Zdjął słuchawki i spytał, o czym rozmawiają.

– O babci. Jak możemy jej pomóc – wyjaśniła Mary.

Robert z powrotem włożył słuchawki. Z jego punktu widzenia Eleanor była po prostu kimś, kto jeszcze nie umarł. Rodzice już go do niej nie zabierali, Thomasa też nie, twierdzili, że to zbyt przykry widok. Musiał się wysilić, żeby sobie przypomnieć, że dawniej, wieki temu, była dla niego kimś bliskim, ale czuł, że nie warto się wysilać. Czasem w obecności drugiej babci jego chłód wobec Eleanor ustępował, jakby zaskoczony, i wracała wtedy do niego, w kontraście do ciasnego supła egoizmu Kettle, jej miękkość, wielki tkliwy siniak dobrych intencji. Potem przypominał sobie, jakie to niesprawiedliwe, że Eleanor pozbawiła ich domu w Saint-Nazaire, i jakie to niesprawiedliwe wobec samej Eleanor, że jest sobą – i nie chodziło tylko o stan jej zdrowia, ale w ogóle o bycie nią. Zresztą to samo można było powiedzieć o wszystkich ludziach, bo każdy był sobą i nie mógł być nikim innym. Nie żeby on chciał być kimś innym, ale przerażała go myśl, że w razie czego by nie mógł. Znowu zdjął słuchawki, jakby to one go ograniczały. Komedia o gadającym psie, który został prezydentem Stanów Zjednoczonych, trochę go znudziła. Przełączył ekran w tryb mapy. Według niej samolot znajdował się nad irlandzkim wybrzeżem na południe od Cork. Po chwili ukazała się większa mapa, obejmująca Londyn, Paryż i Zatokę Biskajską. Na kolejnej widać było Casablanca, Dżibuti i Warszawę. Jak długo jeszcze potrwa ta informacyjna ucztą? Jakie było ich położenie względem Księżyca? W końcu wyświetliła się jedyna rzecz, która kogokolwiek interesowała: 52 minuty do lądowania. Lecieli przez siedem grubych godzin wypełnionych ciemniejącymi strefami czasowymi. Prędkość; wysokość; temperatura; aktualna godzina w Nowym Jorku; aktualna godzina w Londynie. Jedyne, czego nie podawano, to aktualna godzina w samolocie. Po prostu zegarki nie nadążały za tymi zakrzywionymi, wzbogaconymi minutami. Powinny obrócić swoje wskazówki i pokazywać „TERAZ”, dopóki nie wrócą na ziemię i nie będą mogły zacząć od nowa precyzyjnie odmierzać czasu.

On też chciał już wylądować, chciał już być w Londynie. Po utracie Saint-Nazaire nie miał innego domu. Słyszał kiedyś o dzieciach, które udają, że je adoptowano i że ich prawdziwi rodzice są o wiele ciekawszy niż ci nudni ludzie, z którymi mieszkają. On miał podobnie z Saint-Nazaire, udawał, że to jest prawdziwy dom. Po szoku, jakim była jego utrata, z czasem oswoił się z myślą, że w rzeczywistości jego miejsce jest wśród rozmokłych billboardów i ogromnych platanów miasta, w którym się urodził. W porównaniu z gęstym Nowym Jorkiem Londyn ze swoją tęsknotą za wsią i mnóstwem cichych zakamarków wydawał się przeciwieństwem miejskości, a jednak Robertowi brakowało tego czarnego błota w parkach, pustych deszczowych placów zabaw, padoków z dywanem uschniętych liści, widoku gryzącego szkolnego mundurka

w lustrze w przedpokoju, trzasku drzwi w samochodzie przed odjazdem do szkoły. Nic nie wydawało mu się bardziej egzotyczne niż głębia tych wrażeń.

Stewardessa poprosiła Mary, żeby obudziła Thomasa przed lądowaniem. Kiedy się zbudził, Mary podała mu butelkę mleka. Pił przez chwilę, potem nagle odjął butelkę od ust i oznajmił:

– Alabala jest w kabinie pilota!

Spojrzał okrągłymi oczyma na brata.

– Alabala będzie lądował!

– O-o – powiedział Robert. – No to jesteśmy w tarapatach.

– Kapitan mówi: „Nie, Alabalo, tobie nie wolno wylądować”. – Thomas klepnął się w udo. – „Ale Felanowi wolno”.

– Felan też tam jest?

– Tak. Jest drugim pilotem.

– Naprawdę? A kto jest pierwszym?

– Scott Tracy.

– A więc to jest samolot ratunkowy?

– Tak. Musimy uratować pentatentona.

– Co to jest pentatenton?

– Właściwie to jeża. Wpadł do rzeki!

– Do Tamizy?

– Tak! I nie umie pływać, więc Gordon Tracy musi go uratować łodzią podwodną.

Thomas wyciągnął rękę i zaczął prowadzić łódź podwodną przez mętne wody Tamizy.

Robert zanucił melodię z *Thunderbirds*, bębniąc w dzielący ich podłokietnik.

– Może ty ją poprosisz o podpisanie zgody – odezwał się Patrick.

– Dobrze – odparła Mary.

– Przynajmniej wszystko będzie gotowe...

– Co będzie gotowe? – spytał Robert.

– Nieważne – ucięła Mary. – Patrz, zaraz lądujemy – dodała, próbując tchnąć w błyszczące pola, zakorkowane drogi i gromadki rudawych domków entuzjasm, którego same raczej by nie wzbudziły.

Jeszcze tego samego dnia ze sterty listów w przedpokoju wyłoniły się formularz członkowski organizacji Dignitas i raport doktora Fenelona. Patrick wyciągnął się zmęczony na czarnej kanapie i zaczął przeglądać broszury z Dignitas.

– Przytaczają same przypadki osób śmiertelnie chorych i bardzo cierpiących albo mogących poruszać tylko powieką – oznajmił. – Martwię się, że Eleanor może nie być wystarczająco schorowana.

– Zbierzmy wszystko i zobaczymy, co powiedzą o jej przypadku.

Patrick dał jej oświadczenie woli napisane przed wylotem do Stanów i Mary pojechała z nim do domu opieki. W korytarzu na piętrze sprzątaczkę zaklinowały wszystkie drzwi, żeby przewietrzyć pokoje. Zza progu Eleanor wyglądała na całkiem spokojną – dopóki nie spostrzegła, że ktoś wchodzi, i nie spojrzała w tamtą stronę z czymś w rodzaju wściekłego rozkojarzenia. Kiedy Mary wypowiedziała swoje imię, Eleanor chwyciła się barierki łóżka i wydając rozpaczliwy bełkot, próbowała się podnieść. Mary miała wrażenie, że wyrwała ją ze stanu komunii z jakimś innym światem, w którym sprawy miały się dużo lepiej niż na planecie Ziemia. Nagle dotarło do niej, że obydwie krańce życia są absolutnie przerażające. A ponieważ to, co się rozpościerało pomiędzy, samo w sobie było dość straszne, nic dziwnego, że ludzie

stawali na głowie, żeby się uwolnić.

Nie było sensu pytać Eleanor, jak się miewa, nie było sensu próbować z nią rozmawiać, toteż Mary z marszu streściła, co się działo u nich. Eleanor wydawała się przerażona tym zanurzeniem w życie własnej rodziny. Mary prędko przeszła do sedna; zaproponowała, że przeczyta oświadczenie na głos.

– Jeżeli uznasz, że to jest to, co chciałabyś powiedzieć, będziesz mogła się podpisać.

Eleanor skinęła głową.

Mary wstała i zamknęła drzwi, wyjrzawszy na korytarz, czy nie zbliża się żadna pielęgniarka. Przysunęła krzeselko bliżej łóżka Eleanor i oparła brodę na barierce, trzymając list po wewnętrznej stronie. Zaczęła czytać ze zdenerwowaniem, które zaskoczyło ją samą:

W ostatnich latach doznałam kilku udarów, po każdym z nich stawałam się coraz gorszym wrakiem człowieka. Prawie nie mogę się ruszać i prawie nie mówię. Jestem przykuta do łóżka i nie kontroluję swoich czynności fizjologicznych. Moje życie to nieprzerwane pasmo udręki, strachu i frustracji. Nie mam żadnych perspektyw na poprawę, czeka mnie tylko postępująca demencja, której obawiam się najbardziej. Już teraz czuję, że zawodzą mnie władze umysłowe. O śmierci myślę nie z trwogą, ale z utęsknieniem. Tylko ona może mnie uwolnić od codziennej męki istnienia. Bardzo proszę, aby mi Państwo pomogli, jeśli to możliwe.

Z wyrazami szacunku...

– Czy tak jest dobrze? – spytała Mary, starając się nie rozpłakać.

– Nie... ak – odparła Eleanor z wielkim trudem.

– To znaczy, czy ten opis jest dobry.

– Ak.

Przez chwilę w milczeniu trzymały się za ręce. Eleanor utkwiała w niej głodne spojrzenie suchych oczu.

– Chcesz podpisać?

– Tak – odparła Eleanor, ciężko przełykając ślinę.

Kiedy Mary wypadła z bramy na ulicę, oprócz fizycznej ulgi, że uciekła od zapachu moczu i gotowanej kapusty, a także od atmosfery poczekalni, w której opóźnionym pociągiem jest śmierć, czuła też satysfakcję, że udało jej się przez chwilę skomunikować z Eleanor. W tamtym uścisku dłoni poczuła nie tylko prośbę, ale determinację, która kazała jej powtórnie się zastanowić, czy miała rację, powątpiewając w gotowość Eleanor do popełnienia samobójstwa. A jednak było w Eleanor coś z gruntu straconego, jakby nie angażowała się ani w prozaiczną sferę rodziny, przyjaźni, polityki i własności, ani w sferę kontemplacji i duchowego spełnienia; po prostu poświęcała jedno dla drugiego. Jeżeli należała do tych ludzi, którzy słyszą syrenę alarmową za każdym razem, kiedy mają sobie zamknąć jakąś furtkę, to z całą pewnością zapragnie żyć dalej, gdy tylko jej samobójstwo zostanie dopięte na ostatni guzik. Wybawienie zawsze będzie gdzie indziej. Nagle uświadomi sobie, że bardziej się uduchowi, pozostając przy życiu – ucząc się cierpliwości, trwając w uszlachetniającym ogniu cierpienia, cokolwiek. A kiedy doświadczy jeszcze większych mąk, prędzej lub później dojdzie do wniosku, że jednak, z duchowego punktu widzenia, lepiej byłoby umrzeć – powrócić do źródła, przestać być ciężarem, spotkać Jezusa na końcu tunelu, cokolwiek. Duchowość, ponieważ Eleanor traktowała ją, tak jak i całą resztę życia, z dużą swobodą, podlegała ciągłej metamorfozie, nie tracąc przy

tym swojej teoretycznej centralności.

Kiedy Mary weszła do domu, Thomas przybiegł ją powitać w przedpokoju. Objął matkę za udo, nie bez pewnych kłopotów ze względu na sferę Hobermana, składany kolorowy dwunastościan, który zacisnął sobie wokół szyi, udając, że to kolczasty hełm. Na dłoniach miał parę skarpetek, w jednej kręcił choinkowymi lampkami, pamiątką z wizyty w Narodowym Cyrku Chińskim w Blackheath.

– Jesteśmy na Ziemi, prawda, mamó?

– Większość z nas – odparła Mary, przypominając sobie wyraz twarzy Eleanor, który dostrzegła przez otwarte drzwi jej pokoju.

– Tak, wiedziałem to – rzekł mądrze Thomas. – Oprócz astronautów, oni są w kosmosie. Unoszą się w powietrzu, bo tam nie ma grawitacji!

– Podpisała? – spytał Patrick, stając w drzwiach.

– Tak.

Mary wręczyła mu jej oświadczenie.

Patrick wysłał je razem z deklaracją członkowską i raportem lekarskim do Szwajcarii, odczekał kilka dni, po czym zadzwonił, żeby się dowiedzieć, czy wniosek jego matki ma szansę na pozytywne rozpatrzenie.

„W tym wypadku chyba będziemy mogli pomóc” – usłyszał. Z uporem ignorował swoje emocje: panika, euforia i powaga dobiegały się do jego drzwi, a on spoglądał ukradkiem zza firanek, udając, że nie ma go w domu. Z odsieczą przyszła mu lawina praktycznych kwestii, która zasypała jego rodzinę na cały kolejny tydzień. Eleanor przyjęła przekazane jej przez Mary wieści z promiennym uśmiechem. Patrick zarezerwował bilety na samolot w następny czwartek. Poinformowali dom opieki, że Eleanor się przeprowadza, nie precyzując dokąd. Umówili Eleanor na konsultację lekarską w Zurychu.

– Moglibyśmy w środę pojechać do niej wszyscy razem, żeby się pożegnać – zasugerował Patrick.

– Nie z Thomasem – odparła Mary. – Zbyt długo jej nie widział, a ostatnim razem wyraźnie się zdenerwował. Robert pamięta ją z czasów, kiedy była zdrowa.

Żadna z przyjaciółek Mary nie mogła się zaopiekować Thomasem w środowe popołudnie i w końcu Mary była zmuszona zwrócić się o pomoc do matki.

– Oczywiście, zrobię, co w mojej mocy – oznajmiła Kettle, czując, że kiedy jak kiedy, ale tym razem naprawdę wypada powiedzieć to, co wypada. – Może podrzucisz go w porze lunchu? Amparo usmaży mu pyszne paluszki rybne, a kiedy już pożegnacie biedną pocziwą Eleanor, możecie wstąpić na podwieczorek.

W środę zgodnie z umową Mary zawiozła Thomasa do Kettle.

– Pani mamy nie ma w domu – poinformowała ją Amparo.

– O – rzekła Mary, zdziwiona i zarazem zdziwiona, że ją to zdziwiło.

– Poszła kupić ciasto na podwieczorek.

– Ale zaraz wróci...

– Zje lunch z przyjaciółką i zaraz wróci, ale pani się nie martwi, ja się zajmę chłopczykiem.

Amparo zachłannie wyciągnęła dłonie. Thomas widział ją drugi raz w życiu i Mary powierzała go jej opiece z pewną niechęcią, przede wszystkim jednak z uczuciem śmiertelnego znużenia. Już nigdy, przenigdy nie poprosi matki o pomoc. Była to decyzja spóźniona i nieodwracalna, jak odłam klifu spadający do morza. Uśmiechnęła się do Amparo i przekazała jej Thomasa, nie pocieszając go zanadto, bo jeszcze gotów by pomyśleć, że ma powody do

niepokoję.

Trzeba zrobić to, co trzeba zrobić, pomyślał Thomas, udając się w stronę odłączonego dzwoneka koło kominka w salonie. Lubił stawać na krzeselku i wciskać dzwonek, a potem wpuszczać tego, kto czekał za drzwiami kominka. Kiedy Amparo, pożegnawszy Mary, weszła do salonu, witał już gościa.

– To Borsuk! – oznajmił.

– Kto to ten Borsuk? – spytała przezornie Amparo.

– Pan Borsuk nie ma zwyczaju palić papierosów – odparł Thomas – ponieważ rośnie od tego i się kurczy. Dlatego pali cygara!

– O nie, skarbie, tobie nie wolno palić! To bardzo niezdrowe.

Thomas wspiął się na krzeselko i ponownie wcisnął dzwonek.

– Słyszysz? – powiedział. – Ktoś przyszedł.

Zeskoczył i okrążył stół.

– Biegnę otworzyć! – zawołał, wracając do kominka.

– Ostrożnie.

– To lady Penelope! Ty będziesz lady Penelope.

– Pomożesz mi odkurzać? – spytała Amparo.

– Tak, proszę pani – odparł Thomas głosem Aloysiusa Parkera. – W pudełku na kapelusze znajdzie pani termos z gorącą czekoladą. – Zapiał radośnie i rzucił się na wymoszczoną poduszkami sofę.

– Boże święty, ja przed chwilą sprzątać – jęknęła Amparo.

– Zbuduj mi domek – zawołał Thomas, zrzucając poduszki na ziemię. – Zbuduj mi domek! – powtórzył, odkładając je z powrotem na miejsce. Opuścił głowę i nasrożył brwi. – Zobacz, Amparo, to moja nadąsana mina.

Amparo uległa jego żądaniom i Thomas wczłogał się w przestrzeń pomiędzy dwiema poduszkami zadaszonymi trzecią.

– Niestety – odezwał się z wnętrza domku – Beatrix Potter umarła dawno temu.

– Bardzo mi przykro, skarbie.

Thomas miał nadzieję, że jego rodzice będą żyli bardzo długo. Chciał, żeby stali się nieśmiertelni. Nauczył się tego słowa, czytając *Mity greckie dla dzieci*. Dionizos uczynił Ariadnę nieśmiertelną, zmieniając ją w gwiazdę. To znaczy, że żyła wiecznie – tylko że była gwiazdą. Thomas nie chciał, żeby jego rodzice zmienili się w gwiazdy. No bo po co? Tylko by mrugali. Albo – siuu! – spadali.

– Siuu – powiedział melancholijnie.

– Boże drogi, szybko chodź z Amparo do łazienki.

Nie rozumiał, dlaczego Amparo postawiła go obok ubikacji i próbuje zsunąć mu spodnie.

– Nie chcę siku – oznajmił rzeczowo i skierował się do drzwi. Prawda była taka, że z Amparo trudno się rozmawiało. Niczego nie rozumiała. Postanowił wyruszyć na ekspedycję. Poszła za nim, gładząc mu nad uchem.

– Nie, Amparo – zdenerwował się. – Zostaw mnie!

– Nie mogę cię zostawić, skarbie. Musisz być z dorosłym.

– Nie! Przestań! Irytujesz mnie!

Amparo zgięła się ze śmiechu.

– Boże drogi, znasz bardzo dużo słów.

– Muszę mówić, bo inaczej buzia mi się zapycha kawałkami słów.

- Ile masz lat, skarbie?
- Trzy. A myślałaś, że ile mam?
- Myślałam, że pięć albo więcej, taki jesteś mądry.
- Hm.

Wiedział, że nie ma szans, żeby się od niej uwolnić, więc postanowił ją traktować tak, jak traktowali go rodzice, kiedy próbowali nad nim zapanować.

- Mam ci opowiedzieć historyjkę o Alabali?

Wrócili do salonu. Posadził Amparo w fotelu i wpełznął do swojej groty z poduszek.

– Dawno, dawno temu – zaczął – Alabala był w Kalifornii, jechał autem z mamą i wydarzyło się trzęsienie ziemi!

- Mam nadzieję, że ta historia kończy się szczęśliwie – wtrąciła Amparo.

– Nie! Nie wolno mi przerywać! – Thomas westchnął i podjął na nowo: – Ziemia się rozstąpiła i Kalifornia wpadła do morza, co nie było zbyt przyjemne, jak się domyślasz. I nadeszła ogromna fala, i Alabala powiedział do mamy: „Możemy dopłynąć na niej do Australii!”. I tak zrobili, a mama pozwoliła Alabali usiąść za kierownicą. – Spojrzał na sufit w poszukiwaniu inspiracji, po czym dodał, zupełnie jak ktoś, kto nagle sobie coś przypomniał: – I kiedy wylądowali na plaży w Australii, był tam akurat koncert Alana Razora.

- Kto to jest Alan Razor? – spytała Amparo, kompletnie zagubiona.

– To kompozytor – wyjaśnił Thomas. – Ma helikoptery, skrzypce, trąbki i wiertarki, i Alabala grał razem z nim.

- Na czym grał?

- Właściwie to na odkurzaczu.

Gdy Kettle wróciła z lunchu, Amparo trzymała się za boki, myśląc, że skręca się ze śmiechu na myśl o grze na odkurzaczu, tak naprawdę jednak popadła w ten histeryczny stan, ponieważ Thomas wyrzucił do góry nogami jej wyobrażenie o małych dzieciach.

- Ojejku – wysapała – cudowny z niego chłopiec.

Teraz, kiedy obie kobiety starały się nim nie zajmować, Thomas miał wreszcie trochę czasu dla siebie. Postanowił, że nigdy nie będzie dorosły. Dorosli średnio mu się podobali. A poza tym, gdyby stał się dorosłym, co by się stało z jego rodzicami? Byliby starzy, jak Eleanor i Kettle.

Na dźwięk domofonu skoczył na nogi.

- Ja odbiorę!

- Nie dosięgniesz – powiedziała Kettle.

- Ale ja chcę!

Kettle zignorowała go i wpuściła resztę rodziny do budynku. W tle rozlegały się wrzaski Thomasa.

- Co to był za krzyk? – spytała Mary po wejściu do mieszkania.

- Babcia nie pozwoliła mi nacisnąć.

- To nie jest zabawka – oznajmiła Kettle.

– Ale Thomas jest dzieckiem i lubi się bawić. Dlaczego nie może wcisnąć guzika w domofonie?

Kettle przeszło przez myśl, żeby wznieść się ponad kłótniwy ton jej córki, ale wybrała inaczej.

– Wszystko robię źle – rzekła – więc może po prostu założymy, że nigdy nie mam racji. Nie będziesz musiała mi tego za każdym razem wytykać. Dopiero co weszłam, więc obawiam się, że podwieczorek jeszcze niegotowy. Przybiegłam prosto z lunchu, od którego nie mogłam się wymówić.

– Tak – zaśmiała się Mary. – Szukając miejsca do zaparkowania, widzieliśmy, jak oglądasz witryny sklepów. Nie martw się, już więcej cię nie poproszę o pomoc z dziećmi.

– Ja przygotuję podwieczorek – odezwała się Amparo, dając Kettle możliwość spędzenia czasu z rodziną.

– Nie trzeba – rzuciła Kettle. – Potrafię jeszcze zaparzyć herbatę.

Thomas podszedł do ojca.

– Czy ja jestem dziecinny?

– Nie – odparł Patrick. – Jesteś dzieckiem. Tylko dorośli mogą być dziecinni i wierz mi, że chętnie skorzystamy z tego przywileju.

– Rozumiem – powiedział Thomas z uczonym skinieniem.

Robert zaległ posępnie w fotelu. Miał już po dziurki w nosie obu swoich babć.

Kettle weszła ciężko i postawiła tacę z westchnieniem ulgi.

– Jak się czuje twoja mama? – spytała Patricka.

– Powiedziała tylko trzy słowa.

– Dało się ją zrozumieć?

– O tak. Powiedziała: „Nie rób nic”.

– Czy to znaczy, że ona jednak nie chce... lecieć do Szwajcarii? – spytała Kettle z naciskiem na część zdania zaszyfrowaną przed dziećmi.

– Zgadza się.

– A to ci ambaras – stwierdziła Kettle.

Mary słyszała w jej głosie wysiłek, z jakim uniknęła swojego ulubionego słowa: „rozczarowanie”.

– W tej sprawie wszyscy mamy prawo do ambiwalentnych odczuć – rzekł Patrick. – Mary przewidziała taki rozwój wypadków. Pewnie patrzyła na to chłodniejszym okiem, albo po prostu bardziej wnikliwym. W każdym razie zamierzam potraktować ostatnie polecenie mojej matki bardzo poważnie. Nie zrobię nic.

– Nie zrobisz nic? – włączył się Thomas. – Skoro nie zrobisz *nic*, to chyba zrobisz *coś*, prawda?

Patrick roześmiał się. Podniósł Thomasa, posadził go na kolanie i pocałował w czubek głowy.

– Nie będę jej więcej odwiedzał – oznajmił. – Nie ze złości, tylko z wdzięczności. Zrobiła nam prezent i niegrzecznie byłoby go nie przyjąć.

– Prezent? – zdziwiła się Kettle. – Czy aby nie doszukujesz się w jej słowach czegoś, czego tam nie ma?

– A co innego mamy robić, jeśli nie doszukiwać się rzeczy, których nie ma? – odparł żywo Patrick. – Nasz świat byłby ubogi i nudny, gdybyśmy tego nie robili. Zresztą czy w ogóle tak się da? Znaczenia zawsze pchają się drzwiami i oknami.

Kettle zastygła w kilku rodzajach oburzenia naraz, ale ciszę wypełnił Thomas; zeskoczył z kolana ojca i krzycząc: „Nie zrobię nic! Nie zrobię nic!”, zaczął biegać wokół stołu zastawionego ciastem i herbatą.

W końcu

– Nie spodziewałeś się mnie? – spytał Nicholas Pratt, stawiając laseczkę na wykładzinie krematorium i obrzucając Patricka raczej bezcelowo wyzywającym spojrzeniem, który to nawyk, choć już nieprzydatny, zbyt mocno wszedł mu w krew, by się go pozbyć. – Ostatnio snuję się po stypach. W moim wieku to nieuniknione. Na pewno lepsze niż siedzenie w domu i chichotanie z ignoranckich pomyłek młodzieńców piszących nekrologi albo oddawanie się monotonnym rozrywkom, takim jak obliczanie dziennej normy zgonów rówieśników. Nie! Trzeba „opiewać życie”: w szkole puszczała się na potęgę; mówili, że miał udaną wojnę, ale ja wiem lepiej! – rozumiesz, nadawać sukcesom właściwą miarę. Chociaż nie zrozum mnie źle, wcale nie twierdzę, że to wszystko nie jest wzruszające. Człowiekowi w tych ostatnich dniach towarzyszą jakby narastające dźwięki orkiestry. No i, rzecz jasna, wielki strach. Drepcząc co dzień w tę i w tę między szpitalem a domem pogrzebowym, myślę o tankowcach, które kiedyś raz na dwa tygodnie rozbiły się o skały, i o stadach ptaków umierających z posklejanymi skrzydłami, o ich mrugających zdziwionych żółtych oczach.

Zajrzał w głąb sali.

– Ludzi tyle co kot napłakał – wymamrotał, jakby szykując opis dla kogoś innego. – Czy to religijni znajomi twojej matki? Niesamowite. Jak byś nazwał kolor tamtego garnituru? Oberżynowy? *Aubergine à la crème d’oursin*? Muszę sobie taki obstałować w Huntsmanie. Jak to nie macie oberżynowego? U Eleanor Melrose wszyscy takie mieli. Natychmiast zamówcie miłą takiego materiału!

Twoja ciotka pewnie zjawi się lada chwila. Będzie aż nazbyt znajomą twarzą wśród tych Bakłażanów. Widziałem się z nią w zeszłym tygodniu w Nowym Jorku i muszę z satysfakcją odnotować, że pierwszy przekazałem jej tragiczne wieści o twojej matce. Rozpłakała się i zamówiła *croque monsieur*, żeby mieć czym zagryźć drugą porcję tabletek odchudzających. Zrobiło mi się jej żal i wprosiłem ją na kolację do Blandów. Znasz Freddiego Blanda? Najmniejszy żyjący miliarder. Jego rodzice byli praktycznie karłami, jak państwo generałostwo Tomciowie Paluchowie. Zawsze wchodzili z wielką pompą, po czym znikali pod konsolą. Baby Bland ostatnio spoważniała, jak to się niektórym zdarza, gdy na starość dzieciennieją. Postanowiła napisać książkę o kubizmie, spośród wszystkich absurdalnych tematów. Przypuszczam, że tak naprawdę chodzi o bycie idealną żoną. Wiedziała, jak bardzo Freddie za każdym razem stresował się jej urodzinami, a teraz dzięki jej nowemu hobby po prostu wpada do Sotheby’s, pakują mu jakiś obrzydliwy obraz tego hochsztaplera Picassa, jakąś kobietę z kawałkiem arbuza zamiast twarzy, i może być spokojny, że Baby będzie wniebowzięta. Wiesz, co mi powiedziała? Przy śniadaniu, wyobraź sobie, kiedy byłem prawie bezbronny. – Nicholas przybrał afektowany ton: – „Te boskie ptaki u późnego Braque’a są tylko pretekstem dla nieba”. „Znakomity pretekst”, mówię, krztusząc się pierwszym łykiem kawy, „o ileż lepszy niż kosiarka czy para chodaków. To świadczy o doskonałym panowaniu nad materiałem”. Poważne sprawy, rozumiesz. Zamierzam się bronić przed tym losem do ostatniego skrawka rozumu, no chyba że Herr Doktor Alzheimer mnie ubezwłasnowolni, wtedy będę musiał napisać książkę o sztuce islamskiej, żeby wykazać, że turbaniaści zawsze byli o wiele bardziej cywilizowani od nas, albo popełnić gruby tom o tym, jak mało wiemy o matce Shakespeare’a i jej utrzymywanym w ścisłej tajemnicy katolicyzmie. Coś poważnego. W każdym razie ciotka Nancy wypadła u Blandów

cokolwiek blado. To z pewnością trudne: być jednocześnie osobą wybitnie towarzyską i całkiem pozbawioną przyjaciół. Biedactwo. Ale wiesz, co mnie uderzyło, nie licząc żywego żalu nad sobą, bezczelnie udającego żalobę? Uderzyło mnie, że obie te dziewczyny, twoja matka i ciotka, są – były – moje życie to balansowanie między czasem terażniejszym a przeszłym – na wskroś amerykańskie. Związek ich ojca ze Szkocją był, powiedzmy sobie szczerze, bardzo płynny, a po tym, jak twoja babka wyrzuciła go z domu, właściwie zanikł. Wojnę spędził u tych tępaków Windsorów w Nassau; po wojnie najpierw było Monte Carlo, potem utonął w barze w White's. Wśród plemina ludzi, którzy przez całe życie dzień w dzień, od lunchu do nocy, chodzą zalani w drobny mak, trudno byłoby znaleźć drugą tak czarującą postać, ale jako ojciec musiał być raczej irytujący. Przy tak ciężkim pijaństwie to coś w rodzaju obejmowania tonącego. Sporadyczne wybuchy pijackiej tkliwości, trwającej zwykle około kwadransa, nie mogły zastąpić stałej gotowości do poświęcenia, jaką pielęgnowałem w sobie ja, będąc ojcem. Z różnym skutkiem, przyznaję. Jak na pewno wiesz, Amanda od piętnastu lat nie zamieniła ze mną ani słowa. Obwiniam o to psychoanalityka, który napchał tę jej niezbyt mądrą główkę freudowskimi uprzedzeniami do kochającego tatka.

Gładka wymowa Nicholasa przechodziła w coraz bardziej wyteżony szept, kłykcie pokrytych niebieskimi żyłami dłoni bieleły od wysiłku, z jakim utrzymywał się w pozycji stojącej.

– No, mój drogi – rzekł – pogadamy jeszcze po uroczystości. Bardzo się cieszę, że widzę cię w tak dobrej formie. Moje kondolencje i tak dalej, choć jeśli śmierć była dla kogoś wybawieniem, to chyba właśnie dla twojej biednej matki. Na starość stałem się kimś w rodzaju Florence Nightingale, ale nawet Dama z Lampą musiała zrejterować w obliczu tak strasznej ruiny. Ten epizod pewnie troszkę opóźni moją kanonizację, ale cóż, wolę składać wizyty ludziom, którzy nadal cenią sobie odrobinę złośliwości i kieliszek szampana.

Już zabierał się do odejścia, ale zawrócił.

– Nie przejmuj się za bardzo pieniędzmi. Paru moich znajomych, którzy zaniedbali te sprawy, umierało w publicznych szpitalach i muszę powiedzieć, że byłem pod wrażeniem: personel złożony głównie z obcokrajowców traktował ich naprawdę po ludzku. Choć z drugiej strony, po co są pieniądze, jeśli nie po to, żeby je wydawać, kiedy się je ma, i żeby kwaśnieć, kiedy się ich nie ma? To bardzo limitowane dobro, w które ludzie inwestują nieprawdopodobne emocje. Tak naprawdę chyba próbuję ci powiedzieć, żebyś był kwaśny o te pieniądze; to jedna z niewielu rzeczy, które pieniądze potrafią: można sobie upuścić nadmiar zółci. Życzliwi nieraz mi wytykają, że mam zbyt wiele *bêtes noires*, ale one są mi potrzebne, żebym mógł się pozbyć własnego *noire* i przenieść je na *bêtes*. Zresztą ta strona twojej rodziny miała niezłą passę. Ile to już? Sześć pokoleń, w których każdy potomek, nie tylko najstarszy syn, w zasadzie nie musiał nic robić. Może i znajdowali sobie pracę dla niepoznaki, zwłaszcza w Ameryce, gdzie każdy musi mieć gabinet, choćby tylko po to, żeby przez pół godziny przed lunchem obracać się na krześle i trzymać nogi na biurku, ale nie robili tego z konieczności. Mogę się tylko domyślać, jakie to musi być ekscytujące dla ciebie i twoich dzieci, włączyć się do rywalizacji, z której tak długo byliście zwolnieni. Bóg jeden wie, co bym zrobił ze swoim życiem, gdybym nie dzielił czasu między miasto i wieś, kraj i zagranicę, żony i kochanki. Czas podzieliłem, teraz czas mnie dzieli, co³? Muszę się bliżej przyjrzeć tym religijnym fanatykom, którymi otoczyła się twoja matka.

Nicholas pokuśtykał dalej, nie udając, że oczekuje innej reakcji niż pełne podziwu milczenie.

Na myśl o tym, jak choroba i umieranie obeszły się z ulotnymi szamanistycznymi fantazjami Eleanor, ci „religijni fanatycy”, jak ich określił Nicholas, wydali się Patrickowi raczej kimś

w rodzaju naiwnych dekonników. Pod koniec życia Eleanor, uzbrojona tylko w grzechotkę i „zwierzę mocy”, przeszła intensywny i brutalny kurs samowiedzy. Pozostała jej najtrudniejsza ze wszystkich praktyk: żadnych rozmów, żadnego ruchu, żadnego seksu, żadnych narkotyków, żadnych podróży, żadnych wydatków, prawie żadnego jedzenia; tylko samotna kontemplacja własnych myśli. O ile kontemplacja była odpowiednim słowem; być może Eleanor czuła się tak, jakby to jej myśli kontemplowały ją, niczym głodne drapieżniki.

– Myślisz o niej? – spytał cichy irlandzki głos. Anette położyła Patrickowi na przedramieniu swoją dłoń uzdrowicielki i współczująco przechyliła głowę.

– Myślałem o tym, że życie jest tylko długim ciągiem rzeczy, które zajmują naszą uwagę – odparł. – Reszta to opakowanie.

– Och, moim zdaniem to zbyt surowa perspektywa. Maya Angelou twierdzi, że sens naszego życia zawiera się w tym, jaki mamy wpływ na innych: czy czują się dobrze w naszym towarzystwie. Przy Eleanor ludzie zawsze czuli się dobrze, to był jeden z darów, jakie ofiarowała światu. O – dodała z nagłym przejęciem, ściskając Patricka za rękę – dopiero wchodząc tutaj, zdałam sobie z tego sprawę: żegnamy Eleanor w krematorium w Mortlake, a zgadnij, co wzięłam, żeby jej poczytać, kiedy ostatni raz u niej byłam? Nigdy byś nie zgadł. *Panią jeziora*⁴. To taki arturiański kryminał, niezbyt dobry, jeśli mam być szczerą. Ale ten tytuł mówi wszystko, prawda? *Pani jeziora* – Mortlake. Zwłaszcza że Eleanor czuła się związana z wodą i uwielbiała legendy arturiańskie.

Wiara Anette w kojącą moc tych słów zdumiewała Patricka. Czuł, że irytacja przegrywa w nim z rozpaczą. Pomyśleć, że jego matka wybrała życie wśród tych niezachwianych głupców. Co to była za wiedza, której tak bardzo się bała?

– Kto wie, skąd się biorą podobieństwa między nazwami krematoriów a tytułami kiepskich powieści? – odrzekł. – Kusząca jest ta perspektywa wypuszczenia się tak daleko poza obszar rozumu. Powiem ci, komu na pewno spodobałoby się takie spojrzenie na sprawę: widzisz tego starszego pana z laską? Koniecznie mu o tym opowiedz. To są jego klimaty. Na imię mu Nick. – Patrick mgliście kojarzył, że Nicholas nie cierpi tego zdrobnienia.

– Seamus kazał cię pozdrowić – oznajmiła Anette, wesoło pogodzona z tym, że Patrick ją spławia.

– Dziękuję. – Patrick lekko się uklonił, starając się panować nad swoją przesadną uprzejmością.

Co on wyprawia? Dałby już sobie spokój. Wojna z Seamusem i fundacją matki dawno się skończyła. Teraz, gdy został sierotą, wszystko było w jak najlepszym porządku. Jak gdyby przez całe życie czekał na to poczucie pełni. Oliverowie Twistowie tego świata może i mieli łatwiej, od początku cieszyli się statusem, który on osiągnął po czterdziestu pięciu latach, ale względny komfort dorastania pod opieką Bumble’ów i Faginów, a nie Davida i Eleanor Melrose’ów, z pewnością nie sprzyjał hartowaniu charakteru. Wytrwałe znoszenie potencjalnie zabójczych wpływów uczyniło go tym, kim był dziś, człowiekiem mieszkającym samotnie w kawalerce, który jeszcze rok temu przebywał na obserwacji w izolatce dla pacjentów o skłonnościach samobójczych na oddziale chorych na depresję w Priory. Doświadczając delirium tremens, osuwając się, po buntowniczej, narkotykowej młodości, w straszliwy banał alkoholu, oddawał niejako hołd swoim przodkom. Odkąd został prawnikiem, miał opory, żeby się zabić w sposób niezgodny z prawem. Alkohol dawał poczucie głębokiego zanurzenia, szumiał w skroniach kojącym szumem rodzowego drzewa. Pamiętał, jak miał pięć lat i jeździł na osiołku wśród palm i gęstych czerwono-białych klombów w ogrodach kasyna Monte Carlo, a jego dziadek siedział

na zielonej ławeczce, przyszpilony przez słońce, nie mogąc opanować drżenia, z rosnącą w oczach plamą na perłowoszarych spodniach idealnie skrojonego garnituru.

Nie mając polisy ubezpieczeniowej, Patrick musiał sam zapłacić za swój pobyt w Priory – stawiając niejako wszystkie pieniądze na to, że wyrwie się z nałogu w trzydzieści dni. Miesiąc był czasem dalece niesatysfakcjonującym z psychiatrycznego punktu widzenia, lecz wystarczającym, aby gwałtownie zadurzyć się w dwudziestoletniej pacjentce imieniem Becky. Wyglądała jak Wenus Botticellego o szczupłych białych rękach upiększonych krwawym treżajem szram po żyletkach. Gdy ujrzał ją po raz pierwszy w świetlicy oddziału depresyjnego, emanujący z niej smutek niczym płonąca strzała przeszył beczkę z prochem jego frustracji i pustki.

– Jestem autoagresywną lekoodporną depresantką – oznajmiła. – Zapisali mi osiem różnych rodzajów tabletek.

– Osiem – powtórzył Patrick z podziwem. Sam brał już tylko trzy: antydepresant na dzień, antydepresant na noc i trzydzieści dwie tabletki oxazepamu dziennie, aby poradzić sobie z delirium tremens.

W takim stopniu, w jakim można w ogóle myśleć przy tak dużych dawkach oxazepamu, Patrick myślał tamtego dnia wyłącznie o Becky. Nazajutrz zwłókł się ze skrzypiącego materaca i poczłapał na spotkanie grupy wsparcia chorych na depresję, licząc, że ją tam spotka. Nie spotkał, ale nie było już odwrotu od rozmowy w gronie depresantów w dresach. Opadając na pierwsze z brzegu wolne krzesło, westchnął: „Sport niech uprawiają za nas nasze ubrania”.

Amerikanin imieniem Gary zaczął od słów: „Wyobraźcie sobie taki scenariusz: powiedzmy, że wysłano was do pracy do Niemiec, i powiedzmy, że zadzwonił do was przyjaciel albo przyjaciółka, z którą długo nie mieliście kontaktu, i że ta osoba przyjeżdża do was w odwiedziny ze Stanów...”. Dalej nastąpiła opowieść o strasznym wyzysku i niewdzięczności, po czym Gary spytał grupę, co powinien powiedzieć tej osobie.

– Wyrzuc ją ze swojego życia – odezwał się zgorzkniały i szorstki Terry. – Lepiej mieć wrogów niż takich przyjaciół.

– Okej – rzekł Gary, napawając się chwilą. – A gdybym wam powiedział, że tą przyjaciółką była moja matka, co byście wtedy powiedzieli? Czy to coś zmienia?

Zapadła konsternacja. Jakiś mężczyzna, który był „w cudownym nastroju” po tym, jak w niedzielę odwiedziła go matka i zabrała na zakupy po nowe dżinsy, powiedział, że Gary w żadnym razie nie powinien wyrzekać się swojej matki. Innego zdania była niejaka Jill, mająca za sobą „długi spacer nad rzeką, z którego miałam nie wrócić – powiem tak: wróciłam z niego bardzo mokra i powiedziałam doktorowi Pagazziemu, którego ubóstwiam, że moim zdaniem to miało jakiś związek z moją matką, a on mi na to, że w ogóle nie będziemy się tam zapuszczać”. Jill uważała, że Gary, podobnie jak ona, powinien zerwać wszelkie kontakty z matką. Pod koniec sesji roztropny moderator, Szkot, spróbował powstrzymać tę lawinę egocentrycznych rad.

– Ktoś mnie kiedyś zapytał, dlaczego matki są takie dobre w graniu na różnych naszych czułych strunach. Odparłem: ponieważ to one je ponaciągały!

Wszyscy pośepnie kiwali głowami, a Patrick, nie po raz pierwszy, za to z nową desperacją, zadał sobie pytanie, jak by to było być wolnym, żyć poza tyranią nałogu, uwarunkowania i urazy.

Po spotkaniu spostrzegł Becky; zgarbiona, paląc ukradkiem papierosa, schodziła boso po schodach koło pralni. Ruszył za nią i zastał ją skuloną na stopniach; jej ogromne źrenice tonęły we łzach.

– Nienawidzę tego miejsca – powiedziała. – Chcą mnie wyrzucić, bo twierdzą, że mam złe nastawienie. A ja nie wychodziłam z łóżka tylko dlatego, że jestem w ciężkiej depresji. Nie wiem, gdzie się podzieję, na pewno nie wrócę do rodziców.

Wołała o ratunek. Może by tak uciec z nią do kawalerki? Należała do wąskiego grona żywych ludzi o silniejszych skłonnościach samobójczych niż on. Leżeliby sobie razem w łóżku, uchodźcy z Priory, jedno wiłoby się w konwulsjach, a drugie się chlastało. Może zabierze ją ze sobą, żeby dokończyła za niego mokrą robotę? Masz tu moje niebieskie żyłki, możesz je bandażować, moje blednące usta, możesz je całować. Nie, nie, nie, nie, nie. Był na to zbyt zdrowy, a już na pewno zbyt stary.

Teraz, po roku, musiał się wysilić, żeby sobie przypomnieć Becky. Często patrzył, jak różne obsesje oblewają go jak rumieniec, i nic z nimi nie robiąc, obserwował, jak odpływają. Sieroctwo było prądem termicznym, na którym nowe uczucie wolności mogłoby się wznieść jeszcze wyżej, gdyby tylko miał odwagę nie czuć się winny z powodu nadarzającej się okazji.

Patrick zbliżył się do Nicholasa i Anette, ciekaw, co wynikło z jego swatów.

– Stajesz nad grobem albo koło pieca – instruował Nicholas – i powtarzasz: „Żegnaj, staruszkule. Któryś z nas musiał umrzeć pierwszy i cieszę się, że to byłeś ty!”. Oto moja praktyka duchowa. Jeżeli masz ochotę dodać ją do swojej pociesznej „duchowej skrzynki z narzędziami”, nie krępuj się.

– Twój przyjaciel jest przezabawny – oznajmiła Anette na widok Patricka. – Ale nie zdaje sobie sprawy z tego, że otacza nas kochający wszechświat. Ciebie też kocha, Nick – zapewniła Nicholasa, kładąc mu dłoń na cofającym się ramieniu.

– Nieraz cytowałem Bibesca – odparował Nicholas – i zacytuję go znowu: „Dla człowieka światowego wszechświat jest przedmieściem”.

– On ma na wszystko odpowiedź! – zaśmiała się Anette. – Pewnie wkupi się do nieba dowcipem. Święty Piotr ma słabość do ludzi z poczuciem humoru.

– Doprawdy? – odparł Nicholas, niespodziewanie ułagodzony. – To najlepsza rzecz, jaką słyszałem o tym nieudolnym sekretarzyni. Szczerze wątpię, by Istota Najwyższa miała ochotę spędzać wieczność w towarzystwie zakonnic, biedaków i przypieczonych misjonarzy. Na jej miejscu wolałbym słuchać niebiańskich koncertów, a nie grzechotania duchowych skrzynek z narzędziami i okrzyków wiernych przechwalających się śmiercią na krzyżu! Co za ulga, że konsjerż u bram rajy otrzymał wreszcie oświecony rozkaz: „Na miłość boską, przyślij mi tu kogoś, z kim można inteligentnie porozmawiać!”.

Anette spoglądała na Nicholasa z wesołym wyrzutem.

– Ach – zwrócił się teraz do Patricka – nigdy nie sądziłem, że tak się ucieszę na widok twojej nieznośnej ciotki. – Machnął laską w kierunku Nancy. Stała w drzwiach i wydawała się zmęczona własną wyniosłością, jak gdyby jej uniesione brwi miały lada moment opaść z wycieńczenia.

– Pomocy! – rzekła do Nicholasa. – Co to za dziwni ludzie?

– Zeloci, mooniści, szamani, potencjalni terroryści, różnej maści szaleńcy religijni – wyjaśnił Nicholas, podając jej ramię. – Unikaj kontaktu wzrokowego, trzymaj się blisko mnie, a może uda ci się przeżyć.

Na widok Patricka Nancy się nasrożyła.

– Ze wszystkich złych dni na pogrzeb akurat dziś!

– Dlaczego? – spytał skonsternowany.

– Dziś jest ślub księcia Karola. Wszyscy, którzy mogliby się tu pojawić, pojechali do Windsoru.

– Ty też na pewno byś pojechała, gdyby cię zaproszono – odpowiedział Patrick. – Jeśli uważasz, że będziesz się tam lepiej bawić, nie wahaj się ani chwili, bierz flagę, tekturowy peryskop i jedź.

– Kiedy myślę o tym, jak się wychowywałyśmy... – biadoliła Nancy, wieszając się Nicholasowi na ramieniu. – Nie mogę uwierzyć w to, co moja siostra zrobiła z... – Zabrakło jej słów.

– Ze złotym notesem adresowym – odpowiedział miękko Nicholas, ściskając mocniej laskę, by utrzymać swój i jej ciężar.

– Tak – powiedziała – ze złotym notesem adresowym.

Nancy patrzyła, jak jej ogromnie irytujący siostrzeniec zbliża się niespiesznie do trumny matki. Patrick nigdy nie zrozumie, jakie bajeczne miały dzieciństwo, ona i Eleanor. Później Eleanor głupio się przeciw niemu zbuntowała, a jej, Nancy, wydarto to wszystko z dłoni splecionych jak do modlitwy.

– Złoty notes adresowy – westchnęła znowu, biorąc pod rękę Nicholasa. – Mamusia, dajmy na to, miała w całym życiu jeden wypadek samochodowy, ale nawet wtedy, wisząc do góry nogami w pogniętym wraku, wisiała w towarzystwie hiszpańskiej infantki.

– Imponująca przezorność – rzekł Nicholas. – Wypadek samochodowy to loteria, człowiek może się znaleźć w bardzo różnym towarzystwie. Wyobraźcie sobie zamieszanie w heroldii, gdyby kropla czyjejś krwi wylądowała na desce rozdzielczej ciężarówki i wymieszała się z płynami ustrojowymi jakiegoś prostaka, który roztrzaskał sobie głowę o kierownicę.

– Czy ty zawsze musisz być taki niepoważny? – zachnęła się Nancy.

– Staram się – odparł Nicholas. – Ale nie powiesz mi, że twoja matka była wielbicieleką pospólstwa. Czy aby nie kupiła całej wiejskiej ulicy wzdłuż muru Pavillon Colombe, żeby móc go rozebrać i powiększyć ogród? Ile to było domów?

– Dwadzieścia siedem – powiedziała Nancy, weselejąc. – Ale nie wszystkie wyburzono. Z niektórych zrobiono ruiny w stylu komponującym się z domem. Były wieże i grotty, postawiono też replikę głównego domu, tylko że pięćdziesiąt razy mniejszą. Jadaliśmy tam podwieczorki, to było jak z *Alicji w krainie czarów*. – Czoło Nancy spowiła chmura. – Jeden paskudny starzec nie chciał sprzedać swojej ziemi, mimo że mamusia zaoferowała mu o wiele za dużo za tę jego klitkę, więc ogród był w jednym miejscu wkleśnięty po linii starego muru, jeżeli wiesz, co chcę powiedzieć.

– Nie ma rajy bez węża – zauważył Nicholas.

– To była czysta złośliwość z jego strony. Wywiesił na dachu francuską flagę i całymi dniami puszczał Edith Piaf. Musieliśmy go wytłumić roślinnością.

– Może lubił Edith Piaf.

– Och, wolne żarty! Nie da się lubić Edith Piaf przy tylu decybelach.

Jak na przeczulone ucho Nancy, przez Nicholasa przemawiała gorycz. Co w tym złego, że mamusia nie chciała się czuć osaczona przez zwykłych ludzi? Trudno jej się dziwić, skoro wszystko inne było takie boskie. Fragonard namalował w tym ogrodzie *Les Demoiselles Colombe*, stąd konieczność posiadania Fragonardów w domu. Pierwotni właściciele powiesili w salonie parę wielkich Guardich, dlatego musiały wrócić na swoje miejsce.

Nancy nie mogła przestać myśleć o świetności i upadku rodziny matki. Kiedyś napisze książkę o matce i ciotkach, legendarnych siostrach Jonson. Od lat zbierała do niej materiały, różne fascynujące drobiazgi, które należało tylko uporządkować. Dopiero co zrezygnowała z usług kolejnego beznadziejnego młodego zbieracza materiałów – był to już dziesiąty egocentryk domagający się zaliczki – ale przedtem ostatni niewolnik zdążył odkryć kopię aktu urodzenia jej babki. Według tego uroczo staroświeckiego dokumentu babka Nancy przyszła na świat „w kraju Indian”. Czy córka młodego oficera, urodzona pod tak osobliwym adresem, mogła przypuszczać, stąpając wśród skrzypiących prycz i niespokojnych koni w forcie z suszonej cegły na zachodnich rubieżach, że jej własne córki będą stąpać po korytarzach

europijskich zamków i wypełniać swoje domy pozostałościami po upadłych dynastiach – pluskać się w czarnej marmurowej wannie Marii Antoniny, podczas gdy ich biszkoptowe labradory drzemały na dywanach z sali tronowej pałacu cesarskiego w Pekinie? Nawet ołowiane żardyniery na tarasie Pavillon Colombe zrobiono dla Napoleona. Żółte pszczoły wśród srebrnych kwiatów, ociekające deszczem. Zawsze sądziła, że Jean kazał mamusi kupić te żardyniery, żeby się odegrać na Napoleonie, który nazwał jego przodka, wielkiego księcia de Valençay, „gównem w jedwabnej pończosze”. Mamusia lubiła powtarzać, że Jean godnie kontynuuje rodzinną tradycję, tylko że bez jedwabnej pończochy. Nancy jeszcze mocniej ścisnęła Nicholasa za ramię, jakby w obawie, że jej okropny ojczym może spróbować ukraść i jego.

Ach, gdyby mamusia nie rozwiodła się z tatkiem. Mieli takie wspaniałe życie w Sunninghill Park, gdzie ona i Eleanor dorastały. Księżę Walii co chwila wpadał z wizytą, w domu zawsze gościło co najmniej dwadzieścia osób i wszyscy świetnie się bawili. Prawdą było, że tatko miał niedobry zwyczaj kupowania mamusi horrendalnie drogich prezentów, za które sama musiała płacić. Kiedy mówiła: „Och, skarbie, nie powinieneś”, naprawdę tak uważała. Bała się komentować cokolwiek w ogrodzie. Wystarczyło, że napomknęła, że któraś bordiura potrzebuje więcej niebieskiego koloru, i zaraz tatko sprowadzał jakiś nieprawdopodobny okaz z Tybetu, kwitnący przez trzy minuty, a kosztujący tyle co dom. Ale zanim wpadł w szpony alkoholu, był przystojny, serdeczny i zarażał wszystkich dobrym humorem, tak że kiedy podawano do stołu, potrawy tańczyły na półmiskach, bo lokaje tak się zaśmiewali, że nie byli w stanie utrzymać ich nieruchomo.

Kiedy nastał krach, z Ameryki przylecieli prawnicy i kazali się Craigm zastanowić, bez czego mogą się obejść. Głowili się nad tym bardzo długo. Nie mogli, rzecz jasna, sprzedać Sunninghill Park. Musieli przecież podejmować przyjaciół i znajomych. Zwolnienie części służby byłoby zbyt wielkim okrucieństwem i niedogodnością. Dom przy Bruton Street był im niezbędny podczas kilkudniowych pobytów w Londynie. Potrzebowali dwóch rolls-royce'ów i dwóch szoferów, ponieważ tatko był niepoprawnie punktualny, a mamusia niepoprawnie spóźnialska. Ostatecznie zrezygnowali z jednej z sześciu gazet, które każdy z gości otrzymywał do śniadania. Prawnicy ustąpili. Złoża pieniędzy Jonsonów były zbyt głębokie, by udawać, że trwa kryzys; nie byli przecież spekulantami giełdowymi, lecz przemysłowcami i właścicielami wielkich połaci miejskiej Ameryki. Ludzie zawsze będą potrzebować utwardzonych tłuszczów, płynów do prania chemicznego i dachu nad głową.

Nawet jeśli tatko był zbyt rozrzutny, to jednak małżeństwo mamusi z Jeanem było szaleństwem, które można było wytłumaczyć jedynie uzyskanym w ten sposób tytułem – pewnie pozazdrościła ciotce Gerty, która wyszła za wielkiego księcia. Rola, jaką w historii Jonsonów miał odegrać Jean, była haniebną rolą kłamcy, złodzieja, lubieżnego ojczyma i tyrańskiego męża. Kiedy mamusia leżała umierająca w łóżku, Jean zrobił jej awanturę w swoim stylu, wykrzykiwał, że jej testament podaje w wątpliwość jego honor. Domy, obrazy i meble miały być jego, dopóki żyje, a później przejść na jej dzieci, jak gdyby mu nie ufała, że sam poczyni odpowiednie zapisy. Przecież on doskonale wie, że to majątek Jonsonów... i tak dalej, i tak dalej; morfina, ból, wrzaski, beczelne obietnice. Zmieniła testament, a Jean nie dotrzymał słowa i zapisał wszystko bratankowi.

Boże, jak bardzo Nancy nienawidziła Jeana! Minęło prawie czterdzieści lat od jego śmierci, ale nie było dnia, żeby nie miała ochoty go zabić. Okradł ją ze wszystkiego i zrujnował jej życie. Żałowała nawet utraty paru domów, których i tak by nie odziedziczyła, no, chyba że umarłoby mnóstwo osób, co byłoby tragedią, ale ona przynajmniej umiałaby w nich mieszkać jak należy,

czego nie dało się powiedzieć o paru innych osobach, które przychodziły jej do głowy.

– Te wszystkie cudne rzeczy, cudne domy – powiedziała. – Co się z nimi stało?

– Domy pewnie stoją tam, gdzie stały – odparł Nicholas – ale mieszkają w nich ludzie, którzy mogą sobie na to pozwolić.

– Właśnie o to mi chodzi: to ja powinnam móc sobie na to pozwolić!

– Nigdy nie mów o pieniądzach w trybie hipotetycznym.

Ten Nicholas jest doprawdy niemożliwy. Nie ma mowy, żeby wspomniała mu o swojej książce. Ernest Hemingway powiedział kiedyś tatkowi, że powinien koniecznie napisać książkę, bo jego anegdoty są strasznie zabawne. Kiedy tatko zaprotestował, że nie umie pisać, Hemingway przysłał mu magnetofon. Tatko zapomniał go podłączyć do prądu, wściekł się, że szpule nie chcą się obracać, i wyrzucił go przez okno. Na szczęście kobieta, której spadł na głowę, nie złożyła pozwu i tatko zyskał kolejną wspaniałą anegdotę, ale całe zdarzenie uprzedziło Nancy do magnetofonów. Może powinna zatrudnić autora widmo. Duch odprawiający egzorcyzmy! Oryginalny pomysł. Musiałaby jednak z grubsza wyjaśnić biednemu widmu, jak to sobie wyobraża. Można było podzielić książkę na tematy albo na dekady, ale takie ujęcie wydawało jej się nudziarskie i mało życiowe, dobre dla moli książkowych. Nancy chciała podzielić książkę na siostry; w końcu rywalizacja między nimi stanowiła potężną siłę napędową.

Gerty, najmłodsza i najpiękniejsza z trójki sióstr Jonson, była niewątpliwie tą, z którą mamusia konkurowała najbardziej. Poślubiła wielkiego księcia Włodzimierza, blisko spokrewnionego z ostatnim carem Rosji. „Wujek Vlad”, jak go nazywała Nancy, brał udział w zabójstwie Rasputina: pożyczył księciu Jusupowowi swój rewolwer do oddania śmiertelnego strzału, który co prawda okazał się jedynie pośrednim etapem pomiędzy otruciem dziarskiego mnicha arsenikiem a utopieniem go w Newie. Mimo licznych wstawiennictw car wygnał Włodzimierza z kraju za udział w spisku, przez co ominęły go rewolucja i wiele okazji, by zginąć od bagnetu, przez uduszenie lub rozstrzelanie z rozkazu nowych, bolszewickich władców Rosji. Na wygnaniu wujek Vlad sam wydał na siebie wyrok, wypijając codziennie przed obiadem dwadzieścia trzy kieliszki martini. Ze względu na osobliwy rosyjski zwyczaj tłuczenia opróżnionych kieliszków w domu rzadko przez dłuższy czas panowała cisza. Nancy miała odziedziczony po tatku egzemplarz zapomnianego pamiętnika siostry wujka Vlada, wielkiej księżnej Anny. Skreślona fioletowym atramentem dedykacja brzmiała: „Mojemu drogiemu szwagrowi”, mimo że tatko był w istocie mężem szwagierki jej brata. Nancy uznała to za swoisty przejaw szlachetnej inkluzywności, która pozwoliła tej niezwyklej rodzinie ogarnąć dwa kontynenty, od Kijowa po Władywostok. Przed ślubem wujka Vlada z Gerty w Biarritz jego siostra musiała udzielić błogosławieństwa tradycyjnie dawanego przez rodziców. Obawiali się tej chwili, bo przypominała o strasznych powodach nieobecności ich bliskich. W *Pałacu pamięci* wielka księżna opisała, co wtedy czuła:

Przez okno widziałam, jak wielkie fale biją w skały; słońce zaszło. Szary ocean wydał mi się w tamtej chwili równie bezwzględny i nieczuły jak los, a przy tym nieskończenie samotny.

Gdyby udało się znaleźć widmo, które umiało tak pisać, jej książka byłaby murowanym bestsellerem. Najstarsza z sióstr Jonson, władcza i praktyczna ciotka Edith, była zarazem najbogatsza. Podczas gdy jej młodsze siostry wskakiwały na karty ilustrowanych podręczników historii i trzymały się za ręce z niedobitkami najświetniejszych rodów, roztropna Edith, która

wolała antyki dostarczane w skrzyniach, postawiła na konsolidację majątku i wyszła za mąż za człowieka, którego ojciec, podobnie jak jej własny, figurował w tysiąc dziewięćsetnym roku na liście stu najbogatszych ludzi w Ameryce. Pierwsze dwa lata wojny Nancy spędziła u Edith; mamusia, zanim dołączyła do córek w Ameryce, próbowała oddać swoje najcenniejsze rzeczy na przechowanie do Szwajcarii. Mąż Edith, wujek Bill, był dość oryginalny, kupował bowiem żonie prezenty za własne pieniądze. Raz dostała od niego na urodziny domek, biały, szalowany deskami, o ciemnych okiennicach i dwóch łagodnie zakrzywionych skrzydłach, stojący na trawiastym brzegu jeziora, pośrodku dziesięciu tysięcy akrów plantacji. Edith była zachwycona. Ciekawe, że poradniki zatytułowane *Sztuka dawania* nigdy nie zawierają takich cennych wskazówek.

Patrick zerknął na swoją nieszczęśliwą ciotkę, która wciąż skarżyła się Nicholasowi przy wejściu. Przyszło mu do głowy ulubione powiedzenie moderatora z grupy wsparcia chorych na depresję: „Żywić urazę to jak wypić truciznę i liczyć na to, że umrze ktoś inny”. Wszyscy pacjenci przytaczali to zdanie przynajmniej raz dziennie, z mniej lub bardziej udanym szkockim akcentem.

Jeżeli stał teraz przy trumnie matki z kłopotliwym emocjonalnym dystansem, to nie dlatego, że wiele dla niego znaczył „złoty notes adresowy”. Z jego punktu widzenia przeszłość była trupem, którego należało skremować – i choć to życzenie miało się niebawem w całkiem dosłowny sposób ziścić w piecu oddalonym o kilka kroków od miejsca, w którym stał, trzeba było całkiem innego ognia, aby wypalić nawyki pokutujące w Nancy; psychologiczny wpływ odziedziczonej fortuny, dzikie pragnienie, żeby się jej pozbyć, i dzikie pragnienie, żeby jej nie stracić; demoralizujący efekt posiadania tego, co prawie wszyscy inni ludzie przez całe życie z takim poświęceniem usiłują zdobyć; mniej lub bardziej skrywane poczucie wyższości, mniej lub bardziej skrywany wstyd z powodu bogactwa oraz charakterystyczne dla nich przebrania: ucieczka w filantropię, ucieczka w alkohol, maska ekscentryzmu, szukanie zbawienia w doskonałym guście; pokonani, leniwi i niepoważni oraz ich przeciwnicy, niosący sztandary, wszyscy żyjący w świecie tak gęsto skrzącym się od alternatyw, że praca i miłość prawie do niego nie przenikają. Wartości te, jałowe same w sobie, wyglądały jeszcze bardziej absurdalnie po dwóch pokoleniach wydziedziczenia. Patrick chciał mieć jak najmniej wspólnego z ciotką, z jej natarczywą niedorzecznością, zarazem jednak była w rodzinie ze strony matki jakaś fascynacja statusem, którą musiał koniecznie zrozumieć.

Przypomniał sobie odwiedzin u Eleanor tuż po tym, jak uruchomiła swój ostatni filantropijny projekt, Fundację Transpersonalną. Postanowiła odrzucić frustrujący żywot Osoby na rzecz ekscytującej wizji przemiany w Transosobę; wyrzec się tego, kim jest – córką jednej zagubionej rodziny i matką drugiej – i utrzymywać, że jest kimś, kim nie jest – uzdrowicielką i świętą. Wpływ tego dziecinnego projektu na jej starzejące się ciało miał ją niebawem przyprawić o pierwszy z dziesięciu druzgocących udarów. Kiedy Patrick pojechał odwiedzić ją w Lacoste po tym pierwszym, wciąż jeszcze potrafiła w miarę płynnie się wysławiać, lecz stała się skrajnie podejrzliwa. Gdy tylko zostali sami w jej pokoju – wieczorna bryza nadymała postrzępione zasłony jak pełne żagle – ścisnęła go za ramię i syknęła:

– Nie mów nikomu, że moja matka była księżną.

Odpowiedział jej konspiracyjnym skinieniem głowy. Rozluźniła palce i zaczęła wodzić wzrokiem po suficie w poszukiwaniu kolejnego zmartwienia.

Instrukcje Nancy – niedające się łatwo usprawiedliwić udarem – z pewnością brzmiałyby zgoła odwrotnie. Nie mów nikomu? Mów wszystkim! Za kreskówkowymi kontrastami – światowość Nancy i zaświatowość Eleanor, zażywność jednej i chudość drugiej – kryła się wspólna sprawa, przeszłość, którą należało sfałszować, czy to poprzez stłumienie, czy to metodą selektywnej gloryfikacji. Skąd to się brało? Czy Eleanor i Nancy były w ogóle odrębnymi bytami, czy jedynie częścią charakterystycznych zgliszcz swojej klasy i rodziny?

Eleanor i Patrick odwiedzili ciotkę Edith na początku lat siedemdziesiątych, kiedy Patrick miał dwanaście lat. Podczas gdy reszta świata niepokoiła się kryzysem naftowym, stagflacją, nalotami dywanowymi i tym, czy skutki zażywania LSD są trwałe, wieczne czy chwilowe, Edith wiodła takie samo życie jak przed pięćdziesięciu laty, kiedy weszła w posiadanie Live Oak. Przy jej czterdziestu czarnoskórych służących niewolnicy z *Przeminęło z wiatrem* wyglądali jak filmowi statyści. Wieczorem w dniu przyjazdu Patricka i Eleanor jeden z lokajów, Moses, poprosił o wolne, żeby pójść na pogrzeb brata. Edith się nie zgodziła. Kolacja była dla czterech osób i Moses był potrzebny do podawania mamałygi. Patrick nie miałby nic przeciwko temu, żeby służący, który przyniósł przepiórkę, albo ten, który krążył z warzywami, podał też mamałygę, ale obowiązywał system i Edith nie zamierzała pozwolić, żeby ustalony porządek rzeczy uległ zakłóceniu. Moses, w białych rękawiczkach i białym fraku, podszedł cicho, ze łzami na policzkach, i Patrick pierwszy raz w życiu miał okazję spróbować mamałygi. Do dziś nie wiedział, czy by mu posmakowała.

Później, przy trzaskającym kominku w swoim pokoju, Eleanor pomstowała na okrucieństwo ciotki. Scena przy kolacji była dla niej aż nazbyt wymowna; nie umiała oddzielić smaku mamałygi od łez Mosesa, podobnie zresztą jak doskonałego smaku matki od własnych dziecięcych łez. Ponieważ czuła, że zawdzięcza własne zdrowie psychiczne dobroci służących, zawsze wzięłaby stronę Mosesa. Gdyby była elokwentna, ta lojalność mogłaby ją popchnąć ku polityce, a tak pchała ją ku filantropii. Najbardziej złościło ją, że za sprawą ciotki poczuła się, jakby wciąż miała dwanaście lat, tak jak na początku wojny, kiedy była wrażliwym, lecz milczącym gościem w Fairley, posiadłości Billa i Edith na Long Island. Hipnotyzowało ją wspomnienie czasu, kiedy była w wieku Patricka. Zatrzymany rozwój Eleanor jak cień towarzyszył jego własnym wysiłkom, żeby dorosnąć. Kiedy był mniejszy, matka dużo mówiła o tym, ile dla niej znaczyła jej niania, sama jednak niewiele uczyniła, by stać się dla niego podobnym symbolem ciepła i niezawodnego wsparcia.

Podnosząc wzrok znad trumny, Patrick spostrzegł, że Nancy i Nicholas zamierzają do niego dołączyć; instynktowne wyczucie hierarchii społecznej kazało im widzieć w synu zmarłej najważniejszą osobę na pogrzebie. Oparł dłoń o trumnę Eleanor, zawierając potajemny sojusz przeciwko niezrozumieniu.

– Mój drogi – rzekł Nicholas wyraźnie ożywiony jakąś ważną nowiną. – Nie zdawałem sobie sprawy, dopóki Nancy mnie nie oświeciła, jaką poważną imprezowiczką była twoja mama, zanim wzięła się za „dobre uczynki”. – Zrobił ruch laseczką, jakby odsuwał to określenie na bok, torując sobie drogę. – Ta nieśmiała, pobożna osóbką na balu u Beisteguiego! Nie znałem jej wtedy, inaczej czułbym się w obowiązku osłonić ją przed tą watahą wygłodniałych komediantów. – Artystycznie przesunął wolną dłoń w powietrzu. – To był magiczny wieczór, jak gdyby ktoś wypuścił złotych próżniaków z któregoś z obrazów Watteau i dał im końską dawkę sterydów oraz flotyllę motorówek.

– Och, wcale nie była taka nieśmiała, jeśli wiesz, co chcę powiedzieć – sprostowała Nancy. – Miała mnóstwo adoratorów. Dobrze wiesz, że mogła wspaniale wyjść za mąż.

– I oszczędzić mi trudu narodzin.

– Och, nie pleć głupstw. I tak byś się urodził.

– Niezupełnie.

– Myślę o tych wszystkich pozerach – podjął na nowo Nicholas – którzy utrzymują, że byli na tamtym legendarnym przyjęciu, i nie chce mi się wierzyć, że znałem kogoś, kto tam był i ani razu o tym nie wspomniał. A teraz jest już za późno, by pogratulować jej skromności. – Poklepał trumnę w taki sposób, w jaki właściciel poklepuje zwycięskiego konia. – Co dowodzi bezsensowności tej konkretnej afektacji.

Nancy spostrzegła nadchodzącego mężczyznę o białych włosach, ubranego w czarny prążkowany garnitur z czarnym jedwabnym krawatem.

– Henry! – Zatoczyła się teatralnie do tyłu. – Nareszcie jakieś posiłki z rodziny Jonsonów.

Nancy uwielbiała Henry’ego. Był taki bogaty. Wolałaby, żeby te pieniądze były jej, ale przynajmniej należały do osoby blisko z nią spokrewnionej.

– Jak się masz, gołąbku? – przywitała go.

Henry pocałował ją w policzek; nie wydawał się szczególnie zadowolony z „gołąbka”.

– Boże, nie spodziewałem się ciebie – rzekł Patrick. Ogarnęły go wyrzuty sumienia.

– Ja ciebie też nie – odparł Henry. – W tej rodzinie nikt się nie komunikuje. Przyleciałem na kilka dni, zatrzymałem się w Connaught i kiedy dzisiaj rano razem ze śniadaniem wjechał „Times”, zobaczyłem, że zmarła twoja matka i że dziś jest uroczystość. Na szczęście obsługa błyskawicznie zamówiła mi samochód i zdążyłem.

– Nie widziałem cię, odkąd ugościłeś nas na swojej wyspie. – Patrick postanowił skoczyć na głęboką wodę. – Zdaje się, że byłem wtedy okropny. Przepraszam.

– No cóż, nikt nie lubi być nieszczęśliwy – rzekł Henry. – To zawsze prędzej lub później wychodzi z człowieka. Ale nie pozwólmy, aby drobne nieporozumienia na temat polityki międzynarodowej przesłoniły nam to, co naprawdę ważne.

– Oczywiście – zgodził się Patrick, będąc pod wielkim wrażeniem jego życzliwości. – Bardzo się cieszę, że cię widzę. Eleanor bardzo cię lubiła.

– Uwielbiałem twoją matkę. Jak wiesz, przez parę pierwszych lat wojny mieszkała u nas w Fairley, więc naturalnie bardzo się ze sobą zżyliśmy. Miała w sobie taką czarującą niewinność, która jednocześnie przyciągała i nakazywała pewien dystans. Trudno to wyjaśnić, ale mam nadzieję, że niezależnie od tego, jak oceniasz matkę i tę jej organizację dobroczynną, zdajesz sobie sprawę, że była dobrym człowiekiem pełnym najlepszych chęci.

– Tak – odparł Patrick, chwilowo akceptując prostotę jego sentymentu. – Myślę, że „niewinność” to właściwe słowo. – Zadumał się nie po raz pierwszy nad siłą projekcji: jak wrogi wydawał mu się Henry, kiedy on sam był wrogo nastawiony do świata; i jaki ujmujący wydawał się teraz, kiedy Patrick nie toczył z nim żadnego sporu. Jak by to było, przestać przypisywać innym własne cechy? Czy to w ogóle możliwe?

Zbierając się do odejścia, Henry dotknął ramienia Patricka.

– Przykro mi z powodu twojej straty – oznajmił z powagą, w której przebijało wzruszenie. Skinął głową w stronę Nancy i Nicholasa.

– Wybaczcie – rzekł Patrick, oglądając się ku wejściu. – Muszę się przywitać z Johnnym Hallem.

– Kim on jest? – spytała Nancy, wietrząc niskie pochodzenie.

– Dobre pytanie – odparł z grymasem Nicholas. – Byłby nikim, gdyby nie był psychoanalitykiem mojej córki. A to czyni go diabłem.

Patrick odszedł od trumny matki z myślą, że jeśli natychmiast nie wróci, będzie to ostatni raz, kiedy przy niej stał. Zimną i wilgotną zawartość trumny obejrzał zeszłego wieczora w domu pogrzebowym Bunyon's. Przy wejściu powitała go ubrana w niebieski kostium miła kobieta z krótkimi białymi włosami.

– Witaj, kotku, usłyszałam taksówkę i domyśliłam się, że to ty.

Zaprowadziła go po schodach na dół. Różowo-brązowy dywan w romby, jak w barze jakiegoś hotelu w dawnej wiejskiej rezydencji. Dyskretne reklamy specjalnych usług. Na zdjęciu w ramce kobieta klęcząca obok czarnej skrzynki, z której wyfruwa skwapliwy gołąb. Wzlatuje ku niebu na rozmazanych białych skrzydłach. Czy powrócił do gołębnika i został wykorzystany powtórnie? O nie, znów ta czarna skrzynka! „W dniu pogrzebu istnieje możliwość wypuszczenia gołębia”. Za progiem domu pogrzebowego wszystkie litery wyginały się po gotycku, jakby śmierć była niemieckim miasteczkiem. Schody do piwnicy zdobiły elektrycznie podświetlone witraże.

– Zostawię cię z nią. Gdybyś czegoś potrzebował, nie krępuj się. Będę na górze.

– Dziękuję. – Patrick zaczekał, aż kobieta zniknie za rogiem, i dopiero wtedy przestąpił próg Kaplicy Wierzbowej.

Zamknął za sobą drzwi i zerknął przelotnie do trumny, jak ktoś, komu matka powtarzała, że niegrzecznie jest się gapić. Cokolwiek to było, co miał przed sobą, nie była to „ona”, którą mu przed chwilą obiecano z czułą powagą. Brak życia w tym znajomym ciele, zeszywniałe i wyprostowane rysy twarzy, którą znał dłużej niż swoją własną, wszystko zmieniały. Był to jakby obiekt przejściowy, tyle że na drugim krańcu życia. Zamiast pluszowej maskotki albo szmacianej lalki, którą dziecko przytula pod nieobecność matki, ofiarowano mu zwłoki, kościste palce zaciśnięte na sztucznej białej róży, której sztywne jedwabne płatki ułożono nad milczącym sercem. Był w tych zwłokach i sarkazm relikwii, i powaga metonimii. Równie przekonująco wyobrażały jego matkę, jak jej nieobecność. Tak czy inaczej, pokazywała się światu ostatni raz przed odejściem w ludzką pamięć.

Powinien spojrzeć jeszcze raz, dłużej, mniej teoretycznie, ale jak miał się skupić w tej irytującej piwnicy? Wszystko wskazywało na to, że Kaplica Wierzbowa znajduje się bezpośrednio pod ruchliwym chodnikiem, przez który przenikał stukot obcasów i emfaticzna raźność rozmów telefonicznych. Dudniąca taksówka wychynęła z jednostajnego szumu ulicy, chlapiąc wodą z kałuży na betonowe płyty gdzieś w dalekim rogu sufitu. Patrickowi przypominał się wiersz Tennysona, o którym nie myślał od wielu, wielu lat: „Trup, już trup, / Już trup! / Z mego serca pozostał sam proch, / Koła fur rozjeżdżają mój grób, / I boleśnie w nim drży każda kość, / Bo w zbyt płytki rzucono je loch, / Ledwie jard pod ulicą, / Konie biją kopytem o bruk, / Biją, biją kopytem o bruk, / Biją w mózg mój i nigdy im dość, / I nie kończy się korowód stóp”. Rozumiał, dlaczego kierownictwo domu pogrzebowego wołało nazwę Kaplica Wierzbowa od Płytkiego Lochu albo Schowka na Węgiel. „Witaj, kotku, twoja mama leży w Schowku na Węgiel – wymamrotał pod nosem. – Istnieje możliwość wypuszczenia gołębia w Płytkim Lochu, ale nie będzie miał jak się stamtąd wydostać”. Usiadł ze skrzyżowanymi ramionami i zaczął się kołysać w przód i w tył. Jego wnętrzości cierpiały mękę, odkąd trzy dni temu dotarła do niego wiadomość o śmierci matki. Nie potrzebował dziesięciu lat psychoanalizy, żeby wiedzieć, że

czuje „wewnętrzny zamęt”. Robił to, co zawsze, kiedy był pod presją, czyli obserwował wszystko, rozmawiał ze sobą różnymi głosami, krążył wokół wypieranych uczuć, które – tak się wygodnie składało – tkwiły w trumnie jego matki.

Eleanor opuszczała ten świat powoli, jakby z piskiem hamujących opon, cał po cał zeszliżując się w niebyt. Teraz ta cisza jej obecności wydała mu się w pierwszej chwili stosunkowo przyjemna, wkrótce jednak zdał sobie sprawę, że chwyta się dolatujących z góry odgłosów miasta, żeby nie dać się wciągnąć w ziejącą pośrodku sali czeluść milczenia. Musiał się jej dokładniej przyjrzeć, ale najpierw musiał przyćmić lampy świecące oślepiająco spomiędzy chromowanych ramek w niskim styropianowym suficie. Tłumiły one blask czterech grubych świec nabitych na mosiężne świeczniki, po jednej na każdy róg trumny. Ściemnił światła, częściowo przywracając świecom ich kościelną podniosłość. Pozostała jeszcze jedna rzecz: salkę przedzielała różowa aksamitna kotara. Musiał wiedzieć, co się za nią kryje, zanim zwróci swoją uwagę ku matce. Okazało się, że to schowek wypchany sprzętem; był tam szary metalowy wózek na sprytnych kółkach, trochę praktycznych gumowych rurek i ogromny złoty krucyfiks. Wszystko, czego potrzeba do zabalsamowania chrześcijanina. Eleanor spodziewała się po śmierci spotkać na końcu tunelu Jezusa. Biedaczyna był niewolnikiem swoich wielbicieli, czekał na tłumy rozanielonych nieboszczyków, żeby pokazać im neonową krainę po drugiej stronie kanału rodnego doczesnej zagłady. To musi być trudne, zostać wybranym do roli naczelnej kliszy optymizmu, Światła Na Końcu Tunelu, wodza migotliwej armii w połowie pełnych szklanek i jasnych stron medali.

Patrick bez pośpiechu opuścił kotarę, przyjmując do wiadomości, że skończyły mu się dystrakcje. Małymi kroczkami, jakby podchodził na skraj urwiska, zbliżył się do trumny. Przynajmniej miał pewność, że leży w niej ciało jego matki. Kiedy dwadzieścia lat temu w Nowym Jorku pojechał obejrzeć zwłoki ojca, wysłano go do niewłaściwej sali. „Pamięci Hermanna Newtona”. Wtedy robił, co mógł, żeby się wypisać z całej tej żałoby, tym razem wiedział, że nie ma od niej ucieczki. Część jego umysłu, którą cechowała chłodna ironia, usiłowała kieżnąć emocje wędzidłem aforyzmu, ale kłujący ból w dołku mieszał jej szyki i rozprzęgał jego mechanizmy obronne.

Zagładając do wnętrza trumny, poczuł zakradający się do serca nerwowy, zwierzęcy smutek. Chciał pobyc w niedowierzaniu przy tym ciele, okazać mu względy, jakich się domagało za życia: skinienie, dotyk, słowo, pytające spojrzenie. Wyciągnął dłoń, położył ją na klatce piersiowej Eleanor i poczuł jej wstrząsającą chudość. Pochylił się, pocałował ją w czoło i poczuł jego wstrząsające zimno. Te przenikliwe doznania uczyniły go jeszcze bardziej bezbronnym i nagle wezbrała w nim gwałtownie fala współczucia dla zniszczonej istoty ludzkiej, którą miał przed sobą. Potężne uczucie tkliwości na krótką chwilę przemieniło osobowość matki w nieliczący się szczegół, a jego relacje z nią – w szczegól wewnątrz szczegółu.

Znów usiadł i zaciskając złożone ramiona, zgiął się wpół, by choć trochę uśmierzyć ból brzucha. I wtedy nagle dostrzegł związek. Oczywiście, jakie to dziwne – jakie konsekwentne. Miał siedem lat i pierwszy raz pojechał sam z matką w zagraniczną podróż, kilka miesięcy po rozwodzie rodziców. Pierwszy przebłysk Włoch: białe tablice rejestracyjne, błękitna zatoka, kościoły w kolorze ochry. Zatrzymali się w Excelsiorze w Neapolu, przy nadbrzeżu, na którym brzęczały skutery i szumiały przepełnione tramwaje. Z balkonu ich wspaniałego pokoju matka pokazywała mu palcem uliczników przycupniętych na dachach albo uczepionych tramwaju. Patrick, który myślał, że jest z mamą na wczasach, zaniepokoił się na wieść, że Eleanor przyjechała do Neapolu, aby ratować te biedne dzieci. Był tam pewien wspaniały ksiądz, ojciec

Tortelli, który niestrudzenie wyławiał zagubionych neapolitańskich chłopców i zapewniał im dach nad głową w schronisku, które Eleanor finansowała z Londynu. Teraz miała je po raz pierwszy ujrzeć na własne oczy. Czy to nie szlachetne i ekscytujące? Pokazała Patrickowi zdjęcie ojca Tortellego: niewysoki, krzepki pięćdziesięciolatek w czarnej koszuli, jakby wyjęty z bokerskiego ringu. Jego niedźwiedzie łapska zaciskały się na drobnych, kanciastych ramionach dwóch opalonych chłopców w białych podkoszulkach. Ojciec Tortelli chronił ich przed ulicą, ale kto ich chronił przed ojcem Tortellim? Na pewno nie Eleanor. Ona dostarczała mu środki, dzięki którym zapełniał schronisko coraz większą liczbą sierot i uciekinierów. Tamtego dnia po lunchu Patrick dostał ostrych sensacji żołądkowych i matka, zamiast porzucić go wśród zbytku i pójść zatroszczyć się o inne dzieci, musiała z nim zostać i trzymać go za rękę, krzyczącego z bólu w zielonych marmurach łazienki.

Tym razem żaden ból brzucha nie był w stanie jej zatrzymać. Nie żeby Patrick chciał ją zatrzymać, lecz jego ciało miało własną pamięć i własną opowieść, niezależnie od jego aktualnych zapatrywań. Co takiego sprawiło, że Eleanor dostarczała dzieci najpierw mężowi, a potem ojcu Tortellemu, i dlaczego ten popęd był tak silny, że natychmiast po rozpadzie swojego małżeństwa zastąpiła ojca ojcem, doktora księdzem? Patrick nie wątpił, że jej motywy były nieświadomione, tak samo jak nieświadoma była pamięć somatyczna, która zawładnęła nim w ostatnich trzech dniach. Mógł tylko powyciągać te okruchy z mroku i przyznać się do nich.

Rozległo się ciche pukanie i chwilę później pracownica domu pogrzebowego zajrzała do środka.

– Tylko się upewniam, czy wszystko w porządku – szepnęła.

– Może i tak – odparł Patrick.

Podróż powrotna do domu miała w sobie coś z halucynacji, sunął przez deszczową noc we fluorescencyjnym autobusie, zalany powodzią silnych doznań i odległych wspomnień. Wśród jego współpasażerów było dwoje świadków Jehowy – czarnoskóry mężczyzna rozdający ulotki oraz czarnoskóra kobieta ewangelizująca na całe gardło:

– Wyrzeknijcie się grzechu i przyjmijcie Jezusa do swojego serca, bo kiedy umrzecie, będzie za późno na rachunek sumienia i pochłonie was ogień piekielny...

Jakiś Irlandczyk o czerwonych oczach, w znoszonej tweedowej marynarce, zaczął w kontrapunkcie do niej wykrzykiwać z tylnego siedzenia:

– Zamknij się, głupia suko. Idź, ssij pałę Szatanowi. To zabronione, nieważne, czy jesteś muzulmanką, chrześcijanką, czy satanistką.

Kiedy mężczyzna z ulotkami skierował się ku schodom na piętro, Irlandczyk krzyczał dalej, nadając swojemu głosowi sadystyczne nosowe brzmienie:

– Widzę cię, chłoptasiu. Ciekawe, jak byś wyglądał z głową pod pachą, chłoptasiu. Każ tej francy stulić pysk albo poprawię ci gębę.

– Weź sam stul pysk – warknął zirytowany współpasażer.

Patrick zdał sobie sprawę, że przestał go boleć brzuch. Patrzył, jak Irlandczyk kiwa się na siedzeniu, jego usta nadal sprzeczały się bezgłośnie ze świadkami Jehowy albo z jakimś jezuitą z młodości. Dajcie nam chłopca, który nie skończył siedmiu lat, a będzie nasz. Nie ja, pomyślał Patrick, ja nie będę wasz.

Autobus parł z przerwami ku swojemu celowi, a on wspominał tamte krótkie, ale decydujące o wszystkim noce w izolatce dla potencjalnych samobójców, kiedy raz po raz zdejmował koszulki nasiąknięte potem, zrzucał saunę pościeli i dygotał w zamrażarce jej braku; włączał

i wyłączał światło, udręczony jasnością i przerażony mrokiem; toksyczny ból głowy tłukł mu się po czaszce jak ziarenko w skaczącej fasolce. Nie wziął nic do czytania oprócz *Tybetańskiej księgi umarłych*, mając nadzieję, że jej egzotyczna ikonografia wyda mu się wystarczająco niedorzeczna, by oczyścić jego umysł z resztek wszelkich fantazji o trwaniu świadomości po śmierci. Stało się jednak inaczej, jego wyobraźnię uwiódł fragment ze wstępu do Bar-do Dharmaty: „Szlachetny synu! W chwili, gdy rozdzielają się twoje ciało i duch, ujrzysz czystą Dharmatę: jej zjawa jest niewielka, jaskrawo błyszcząca. Jej połysk wprawi cię w wielki, trwożny niepokój. Pojawi się ona przed tobą na kształt roziskrzonego mirażu ponad równiną w czas letniego skwaru. Nie bój się jej! Nie trwóż się nią! Nie wpadaj w panikę! Zrozum, że jest to tylko kształt własnej twojej Dharmaty”.

Psychodeliczna sugestywność tych słów brała górę nad wizją materialistycznej zagłady, w którą pragnął wierzyć. Próbował odzyskać wiarę w ostateczność śmierci, ale wciąż jawiła mu się ona jako przesąd wśród przesądów, nie bardziej orzeźwiająco racjonalny niż inne. Teoria, że życie pozagrobowe wymyślono, aby uspokoić ludzi, którzy nie potrafią się zmierzyć z ostatecznością śmierci, wcale nie była bardziej przekonująca od teorii, że ostateczność śmierci wymyślono, aby uspokoić ludzi, którzy nie potrafią się zmierzyć z koszmarem niekończącego się doświadczenia. Jego delirium tremens wespół z poetami księgi wprawiło go w stan gorączkowego zelektryzowania; pędzony do rzeźni snu, drżał na myśl o uboju swojego rozumu i o „czystej Dharmacie”, którą potem ujrzy.

Wspomnienia i zdania pojawiały się i znikwały jak strzępy mgły na wieczornej drodze. Myśli straszyły z daleka, lecz pierzchały, gdy się do nich zbliżał. „Zatopiony w myślach i marzący, żeby się to już skończyło”. Kto to powiedział? Cudze słowa. Czy już to kiedyś pomyślał? Jakaś rzecz najpierw zdawała się odległa, a chwilę później – oklepana. Czy to było jak mgła, czy bardziej jak ruchome piaski, coś, przez co brnął, jednocześnie starając się tego nie dotykać? Zimne i mokre, gorące i suche. Jak mogło być jednym i drugim? Jak mogło nie być jednym i drugim? Porównania przeciwstawieństw – kolejna fraza, która goniła samą siebie jak elektryczna kolejka na zapętłonym torze. Litości, niech ją ktoś zatrzyma.

W jego delirycznych myślach raz po raz wracała scena odwiedzin u filozofa Victora Eisena po tym, jak przeżył śmierć kliniczną. Niegdysiejszy sąsiad Patricka z Saint-Nazaire leżał podłączony do aparatury, która parę dni wcześniej zaczęła nagle wyświeślać płaską linię. Ręce Victora, żółte i wyschnięte, niemrawo wynurzały się z rękawów szpitalnego szlafroka, lecz kiedy opisywał, co się z nim działo, mówił szybko i dobitnie jak zawsze, tonem człowieka, który przez całe życie wypowiadał stanowcze sądy.

– Stanąłem nad brzegiem rzeki i zobaczyłem po drugiej stronie czerwone światło panujące nad wszechświatem. Po bokach stały dwie postacie i wiedziałem, że są to Pan Czasu i Pan Przestrzeni. Porozumiewali się ze mną bezpośrednio w myślach, nie używając mowy. Wyjaśnili, że materia Czaso-Przestrzeni została rozdarta i że muszę ją naprawić, że los wszechświata zależy ode mnie. Miałem ogromne poczucie wielkiej i pilnej misji, ale zanim zdążyłem ją spełnić, poczułem, że jestem wciągany z powrotem do ciała, i bardzo niechętnie zawróciłem.

Przez trzy tygodnie Victor pozostawał pod wrażeniem sugestywności tamtej wizji, potem jednak nawyki głoszonego publicznie ateizmu i strach przed obaleniem logicznych redukcji zawartych w jego pracach filozoficznych kazały mu wepchnąć tamto uczucie otwartości z powrotem w biologiczny kryzys, jaki mu się przydarzył. Doszedł do wniosku, że pilne zadanie powierzone mu przez siłę sprawującą kontrolę nad wszechświatem było alegorią niedotlenionego mózgu. Jego umysł wcale się nie rozszerzył, ale zwyczajnie zaniemógł.

Leżąc w tamtej wąskiej szpitalnej klitce, rozmyślając o Victorze i jego potrzebie rozstrzygnięcia sensu wszystkiego, Patrick zastanawiał się, czy byłby w stanie uczynić własne ego na tyle lekkim, aby móc się odprężyć i nie musieć ustalać sensu rzeczy. Jakie by to było uczucie?

Tymczasem okazało się, że pokój obserwacyjny dla potencjalnych samobójców w pełni zasługuje na swoją majestatyczną nazwę. To właśnie tutaj Patrick zaobserwował, że samobójstwo prawie od zawsze stanowi niekwestionowane tło dla jego istnienia. Nawet zanim zaczął nosić w kieszeni płaszcz *Mit Syzyfa*, którego pierwsze zdanie stało się dla niego mantrą w początkach dorosłości, Patrick witał każdy dzień zasadniczym pytaniem: „Czy ktokolwiek jest w stanie znaleźć jakikolwiek dobry powód, żeby się nie zabić?”. Ponieważ żył wtedy w teatralnej samotności, osaczony przez obłąkańcze i szydercze głosy, odpowiedź raczej nie mogła być twierdząca. Mógł co najwyżej grać na zwłokę – i ostatecznie nakaz mówienia okazał się silniejszy niż pragnienie śmierci. W ciągu kolejnych dwudziestu lat samobójcza paplanina ucichła i tylko czasem odzywała się szeptem na ścieżce wzdłuż morskiego brzegu albo w zaciszu apteki. Kiedy powróciła z pełną siłą, przybrała już nie formę surrealistycznego chóru, ale ponurego monologu. Względna prostota tego najnowszego ataku uświadomiła mu, że tylko powierzchownie kochał się w kojącej śmierci; o wiele głębsze było jego urzeczenie własną osobowością. Samobójstwo nosiło maskę odrzucenia siebie; w rzeczywistości jednak nikt nie traktował swojej osobowości poważniej niż człowiek zamierzający się zabić na jej rozkaz. Nikomu bardziej nie zależało na tym, aby za wszelką cenę pozostać panem sytuacji, wtłoczył najbardziej zagadkowy aspekt życia we własny wszechwładny plan zajęć.

Miesiąc spędzony w Priory był ważnym momentem w jego życiu, transformacją kryzysu, który spowodował rozpad jego małżeństwa i eskalację jego pijaństwa. Strach pomyśleć, jak niewiele zabrakło, by uciekł stamtąd za ledwie po trzech dniach, zwiedziony na pokuszenie przez Becky. Tuż przed wyjściem odnalazła go w świetlicy oddziału depresyjnego.

– Szukałam cię. Nie wolno mi z nikim rozmawiać – dodała scenicznym szeptem – bo mam zły wpływ na innych.

Wręczyła mu złożony liścik, pocałowała go lekko w usta i wybiegła.

To jest adres mojej siostry. Wyjechała do Stanów, więc będę tam sama, gdybyś miał ochotę uciec z tego pierdolnika i zrobić coś SZALONEGO. Ściskam, Becks.

Przypomniało mu się, jak w szkole, po wypaleniu jointa na porannej przerwie, rysował w zeszytach od chemii postrzępione litery układające się w słowo OBŁĘD. Nie ma mowy, żeby do niej pojechał, powtarzał sobie, dzwoniąc pod numer korporacji taksówkowej podany w budce telefonicznej pod tylnymi schodami. Czy właśnie to ludzie mieli na myśli, kiedy mówili „bezsilność”?

– Ani się waż! – wymamrotał, stanowczo zatrzasnąwszy drzwi taksówki, żeby podkreślić determinację, z jaką odmawia udziału w krwawym festiwalu dysfunkcji.

– Musi pan być zdrowy, skoro pana wypuścili – zagaił rażno kierowca.

– Sam się wypuściłem. Nie stać mnie na to.

– Trochę drogo, co?

Patrick nic nie odpowiedział, zamroczony pragnieniem i wewnętrznym konfliktem.

– Zna pan ten dowcip o facecie, który przychodzi do psychiatry? – spytał taksówkarz. Ruszył podjazdem i uśmiechnął się do lusterka wstecznego. – „Panie doktorze, to było straszne, przez

trzy lata myślałem, że jestem motylem, ale to jeszcze nic: przez ostatnie trzy miesiące myślałem, że jestem ćmą!”. Lekarz na to: „Boże drogi, to musiało być bardzo trudne. I co pana skłoniło, żeby tu przyjść i szukać pomocy?”. A tamten: „Wie pan, zobaczyłem światło w oknie i wleciałem do środka”.

– Dobrze – powiedział Patrick, zanurzając się coraz głębiej w wyobrażoną nagość Becky i jednocześnie kalkulując, kiedy przestanie działać ostatnia dawka oxazepamu. – Specjalizuje się pan w pacjentach Priory z racji swojego pogodnego usposobienia?

– Pan się śmieje – odparł kierowca – ale w zeszłym roku przez jakieś cztery miesiące dosłownie nie mogłem się zmusić do wstania z łóżka, dosłownie wszystko wydawało mi się bez sensu.

– Ojej, przepraszam.

Od Hammersmith Broadway do ronda Shepherd’s Bush rozmawiali o płaczu bez powodu, o fantazjach samobójczych, o nieznośnej powolności, bezsennych nocach i ospałych dniach. Kiedy dojechali do Bayswater, byli już kumplami; taksówkarz odwrócił się do Patricka i z powrotem wesoły ryknął:

– Za parę miesięcy spojrzysz na to z daleka i będziesz sobie zadawał pytanie: „O co mi w ogóle chodziło? O co było tyle hałasu i nerwów?”. Ja tak miałem.

Patrick znów utkwiał wzrok w liściku od Becky. Podpisała się marką piwa. Becks. Zaczął szeptać ochryplym głosem Vita Corleone w interpretacji Marlona Brando: „Ten, kto przychodzi do ciebie i prosi cię o spotkanie, a nazywa się tak samo jak popularna marka piwa... chce, żebyś znów się rozpił...”.

Tylko nie głosy, musi to uciąć, zanim się rozkręcą. „Zaczyna się od niewinnej parodii Marlona Brando – westchnęła pani Mop – i ani się człowiek obejrzy...”

– Zamknij się! – przerwał jej Patrick.

– Co?

– To nie było do ciebie. Przepraszam.

Skręcili w stronę dużego placu z ogrodem pośrodku. Kierowca podjechał do budynku pokrytego białym tynkiem. Patrick przechylił się i wyjrzał przez szybę. Becky była na trzecim piętrze, piękna, wolna i chora psychicznie.

Ach, te wszystkie rzeczy, które był gotów zrobić dla odrobiny bliskości; ziemia, którą przerzucał przez ramię, kopiąc własny grób. Były dobre kobiety, otaczające go troską, jakiej nigdy nie zaznał. Trzeba je było torturami zmuszać, żeby sprawiły mu zawód, udowodniły, że tak naprawdę nie można im ufać. I były złe kobiety, które oszczędzały jego czas, od samego początku nie budząc zaufania. Czerpał na przemian z tych dwóch szerokich kategorii, zauroczony taką czy inną odmianą ludził się za każdym razem, że obrona murszejacej twierdzy jego osobowości nie jest daremnym trudem i że twierdza lada moment ochoczo przeobrazi się w świątynię spokoju i spełnienia. Nadzieja i rozpacz, nadzieja i rozpacz. Kiedy zdobywał się na odrobinę dystansu, własne życie uczuciowe przypominało mu nakręcaną dziecięcą zabawkę, raz po raz stawianą na kuchennym stole i maszerującą ku przepaści. Romans był dla miłości największym zagrożeniem, a nie sytuacją, w której może ona znaleźć najdoskonalszy wyraz. Jeżeli kandydatka była wystarczająco beznadziejna, jak Becky, nabierała magnetyzmu osoby tragicznej. Żenujące było tak się oszukiwać, a jeszcze bardziej żenujące – reagować na tę iluzję, jak człowiek, który ucieka przed własnym cieniem.

– Wiem, że to zabrzmiało, jakbym *oszalał*, z braku lepszego słowa – rzekł Patrick z cichym parsknięciem – ale czy mógłbyś mnie odwieźć z powrotem? Nie jestem jeszcze gotowy.

– Z powrotem do Priory? – spytał kierowca, teraz już mniej wyrozumiały dla swojego pasażera. On nie chce wiedzieć o tych z nas, którzy muszą wrócić, pomyślał Patrick. Zamknął oczy i wyciągnął się na tylnym siedzeniu.

– Mowa by mówiła coraz to ukosem... coś tam, coś tam... Nie chcesz wariatkowa i tego wszystkiego. – Tego wszystkiego. *The whole thing there*. Cudowna niewymowność tej frazy, która groźnie się rozciąga, by zaraz gwałtownie i ostensywnie się skurczyć.

W drodze powrotnej Patrick zaczął odczuwać ból w klatce piersiowej, którego nie tłumaczyła nawet gwałtowność jego tęsknoty za patologiczną miłością. Trzęsły mu się ręce, na czoło wystąpił pot. Kiedy dotarł do gabinetu doktora Pagazziego, miał lekkie halucynacje i był uwięziony, tak mu się zdawało, w dwuwymiarowej przestrzeni, jak owad pełzający po szybie, usiłujący wydostać się na zewnątrz. Doktor Pagazzi zganił go za pominięcie dawki oxazepamu, którą powinien był zażyć o czwartej. Ostrzegł, że zbyt szybkie odstawienie leków może się dla niego skończyć atakiem serca. Patrick uniósł smutny plastikowy słoiczek i odrzucając głowę do tyłu, łyknął trzy tabletki.

Na drugi dzień „podzielili się” swoją historią z grupą wsparcia. Okazało się, że wszyscy kiedyś albo prawie uciekli, albo uciekli i wrócili, albo przynajmniej często rozmyślali o ucieczce. Owszem, było paru, którzy lękali się wyjścia na zewnątrz, ale różnica między jednymi a drugimi wydawała się powierzchowna: wszyscy zastanawiali się obsesyjnie, ile czasu minie, zanim będą mogli zacząć „normalne życie”. Patrick nie spodziewał się, że ta solidarność między pacjentami tak bardzo go ucieszy. Pielęgnowany latami odruch samotnictwa na krótko zniknął pod falą życzliwości, jaką poczuł do wszystkich członków grupy.

Johnny Hall usiadł daleko w tylnym rzędzie. Patrick obszedł koniec ławki, by dołączyć do starego przyjaciela.

– Jak się trzymasz? – spytał Johnny.

– Nieźle – odparł Patrick, przysiadając się. – Czuję dziwne podniecenie, do którego nie przyznałem się przed nikim poza tobą i Mary. Przez parę pierwszych dni chodziłem oszołomiony, ale potem doświadczyłem czegoś, co twoja dziedzina nazwałaby pewnie „wglądem w siebie”. Wczoraj wieczorem pojechałem do domu pogrzebowego i siedziałem przy zwłokach. Połączyłem... Później ci opowiem.

Johnny uśmiechnął się zachęcająco.

– Chryste – rzekł po chwili. – Nicholas Pratt. Nie spodziewałem się, że go tutaj spotkam.

– Ja też nie. Ty przynajmniej masz powód etyczny, żeby z nim nie rozmawiać.

– To chyba tak jak wszyscy?

– Istotnie.

– Pogadamy później w Onslow – powiedział Johnny, zostawiając Patricka z pracownikiem krematorium, który podszedł do niego i niecierpliwie czekał.

– Możemy zacząć, jak tylko będzie pan gotowy – oznajmił w taki sposób, że Patrick od razu zrozumiał aluzję do kolejki nieboszczyków, która groziła karambolem, jeżeli uroczystość natychmiast się nie rozpocznie.

Omiótł wzrokiem salę. W ławach naprzeciwko trumny Eleanor siedziało kilkadziesiąt osób.

– Dobrze – odparł – zacznijmy za dziesięć minut.

– Dziesięć minut? – powtórzył pracownik krematorium tonem dziecka, któremu powiedziano, że będzie mogło zrobić coś, na co ma ogromną ochotę, kiedy skończy dwadzieścia jeden lat.

– Tak, ludzie jeszcze przychodzą – wyjaśnił Patrick i w tej samej chwili zauważył stojącą w drzwiach Julię, eksplozję czerni na tle szarego poranka: czarna woalka, czarny kapelusz, sztywna czarna jedwabna sukienka i, to już sobie dopowiadał, miększy czarny jedwab pod spodem. Natychmiast poczuł oddziaływanie jej umysłu, tej głębokiej, ale wybiórczej wrażliwości. Julia była jak pajęcza sieć, drżąca przy najmniejszym poruszeniu, lecz obojętna na światło, które sprawia, że jej nitki lśnią wśród mokrej trawy. – W samą porę – rzekł, całując ją przez drapiącą woalkę.

– Chciałeś powiedzieć: jak zwykle spóźniona.

– Nie, w samą porę. Właśnie zaczynamy imprezę, jeżeli to jest to słowo, którego szukam.

– Raczej nie – powiedziała z krótkim, zachrypniętym śmiechem, do którego zawsze miała słabość.

Ostatni raz widzieli się we francuskim hotelu, w którym zakończył się ich romans. Mieli połączone pokoje, ale niewiele ich już wtedy łączyło. Jedli razem długie posiłki pod sztuczną kopułą nieba, na której namalowano zwiewne obłoki i girlandy róż, wpatrywali się w schody opadające ku prywatnej przystani, gdzie pluskały kile łodzi, a cumy skrzypiały na pachółkach zgryzionych rdzą; wszystko marzyło o ucieczce.

– Teraz kiedy nie jesteś z Mary, nie potrzebujesz mnie już. Byłam... strukturalna.

– Owszem.

Nagość tych dwóch sylab można było przelicytować jedynie ciszą. Julia wstała i odeszła bez komentarza. Mewa wystartowała z zapaskudzonej balustrady i klaszcząc skrzydłami, z przenikliwym krzykiem wleciała nad morze. Patrick chciał zawołać Julię, lecz jego impuls zginął gdzieś w grubym włosiu coraz dłuższej wykładziny między nimi.

Patrząc na niego teraz, na syna, który właśnie stracił matkę, Julia doszła do wniosku, że ma do Patricka stosunek całkiem obojętny, nie licząc pragnienia, by jej pragnął.

– Tyle czasu cię nie widziałem.

Spoglądał na jej usta, czerwone za czarną siatką woalki. Chcąc nie chcąc wciąż czuł pociąg do niemal wszystkich kobiet, z którymi kiedykolwiek był w łóżku, nawet gdy wszystko inne stanowczo przemawiało przeciwko odświeżaniu znajomości.

– Półtora roku – odparła Julia. – Czy to prawda, że przestałeś pić? Teraz pewnie jest ci wyjątkowo trudno.

– Wcale. Sytuacje kryzysowe wymagają bohaterstwa. Najbardziej zdradliwe są momenty, kiedy wszystko idzie dobrze, tak przynajmniej słyszałem.

– Skoro wiesz o tym jedynie ze słyszenia, to znaczy, że tak wiele znowu się u ciebie nie zmieniło.

– Może się zmieniło, ale musi jeszcze minąć trochę czasu, zanim to znajdzie odzwierciedlenie w moim języku.

– Nie mogę się doczekać.

– Jeżeli pojawia się okazja do ironii...

– To z niej korzystasz.

– To najgorszy ze wszystkich nałogów – oznajmił Patrick. – Heroina to pikuś. Spróbuj odstawić ironię, tę wewnętrzną potrzebę mówienia dwóch rzeczy naraz, bycia w dwóch miejscach naraz, unikania katastrofy jednoznaczności.

– Nie, błagam! – odparła Julia. – Wystarczy, że jednocześnie noszę plastry nikotynowe i palę papierosy. Nie zabieraj mi ironii – prosiła, uczepiwszy się go teatralnie. – Zostaw mi odrobinę sarkazmu.

- Sarkazm się nie liczy. Sarkazm oznacza tylko jedno: pogardę.
- Zawsze miałeś wyśrubowane standardy. Niektórzy lubią sarkazm.

Julia uzmysłowiła sobie, że bawi się z Patrickiem. Poczowała lekkie ukłucie nostalgii, zaraz jednak napomniała się surowo: bez niego jest szczęśliwsza. Poza tym miała teraz Gunthera, czarującego niemieckiego bankowca, który w środku tygodnia przylatywał do Londynu. I choć, podobnie jak Patrick, był żonaty, pod każdym innym względem stanowił jego przeciwieństwo: gładki, wysportowany, bogaty, z wewnętrzną dyscypliną. Bilety do opery, rezerwacje w knajpach z kawiozem, wstęp do klubów nocnych, wszystko organizowane przez osobistego asystenta. Czasem pozwalał sobie na odrobinę szaleństwa, wkładał wyprasowane dzinsy i zamszową kurtkę z suwakiem i zabierał Julię do klubów jazzowych w dziwnych miejscach, choć zawsze, ma się rozumieć, czekał na nich wielki, dodający otuchy, bezgłośny samochód, pozwalający w każdej chwili wrócić do Hays Mews, tuż za Berkeley Square, gdzie Gunther, tak jak wszyscy jego znajomi, budował sobie basen w piwnicy swojego przepastnego apartamentu w trzech połączonych kamieniczkach. Kolekcjonował ohydny sztukę współczesną z chaotyczną łatwowiernością człowieka, który ma przyjaciół w świecie sztuki. W jego garderobie wisiły artystyczne czarno-białe fotografie kobiecych sutków. Julia czuła się przy nim światowa, lecz nie miała ochoty się bawić. W towarzystwie Gunthera po prostu nie przyszłoby jej to do głowy. On nigdy nie próbował rzucić ironii. Wiedział, oczywiście, o jej istnieniu i silił się na nią z całą głupotą, na jaką było go stać.

– Lepiej usiądźmy – powiedział Patrick. – Nie do końca wiem, co się będzie działo; nie miałem nawet czasu spojrzeć na program uroczystości.

– Ale przecież chyba sam ją zorganizowałaś?

– Nie ja. Mary.

– Jakie to urocze! – rzekła. – Ona jest zawsze taka pomocna. Bardziej matczyna niż twoja matka.

Serce zabiło jej szybciej; być może posunęła się za daleko. Sama była zaskoczona, że jej dawna rywalizacja z tym uosobieniem ofiarności, tak bardzo przeterminowana, odżyła nagle z taką siłą.

– Była taka, dopóki sama nie urodziła dzieci – odparł z uśmiechem Patrick. – To mnie trochę zdemaskowało.

Julia, która jeszcze przed momentem bała się, że Patrick się na nią obrazi, teraz nagle zapragnęła, żeby przestał być tak nieznośnie spokojny.

Zamruczały organy.

– Tak czy owak, muszę spalić szczątki jedynej matki, jaką kiedykolwiek będę miał – powiedział i uśmiechnąwszy się do Julii, ruszył w stronę pierwszego rzędu, gdzie Mary trzymała dla niego miejsce.

Mary siedziała w pierwszej ławce wpatrzona w trumnę Eleanor i tłumiała w sobie odruch buntu. Przed sekundą, zastanawiając się, gdzie jest Patrick, spojrzęła przez ramię i zobaczyła, że w najlepsze flirtuje z Julią. Teraz, kiedy już nic ważnego nie zależało od jej wyuczonyj obojętności, serce w niej załomotało. Znow to samo, znow pomagała Patrickowi w jednym z bardziej zrozumiałych epizodów jego permanentnego kryzysu, podczas gdy on okazywał względy innej kobiecie.

Nie żeby pragnęła jego względów; chciała tylko, żeby stał się trochę bardziej wolny, trochę mniej przewidywalny. Uczciwie rzecz biorąc – dlaczego zawsze musi być taka uczciwa? – on sam też tego chciał. Musiała sobie powtórzyć, że separacja zbliżyła ich do siebie. Uwolnieni od automatycznych reakcji, które na zmianę pchały ich ku sobie i oddalały, od pewnego czasu krążyli po względnie stałych orbitach wokół dzieci i wokół siebie.

Jej irytacja osłabła jeszcze bardziej, kiedy drugie spojrzenie przez ramię zostało nagrodzone grobowym uśmiechem Erazma Price'a. Erazm był jej małym ustępstwem wobec pocięch cudzołóstwa. Ich romans zaczął się na południu Francji; Patrick na krótko przed ostatecznym rozpadem małżeństwa uparł się, żeby wynajęli tam dom, dzięki czemu mógł obsesyjnie wracać w okolice rodzinnej posiadłości w Saint-Nazaire. Mary na próżno sprzeciwiała się tej rozrzutności; Patrick był w ostatniej fazie nałogu, snuł się chwiejnie po labiryncie nieświadomości i nie dało się z nim rozmawiać.

Price'owie, których małżeństwo także się rozpadało, mieli synów mniej więcej w tym samym wieku co Robert i Thomas. Mimo tej obiecującej symetrii między obiema rodzinami nie było harmonii.

– Ludzie, którzy powtarzają, że „tydzień w polityce to bardzo długo” – stwierdził Patrick drugiego dnia – powinni kiedyś zaprosić do siebie Price'ów. Okazuje się, że tydzień to pieprzona wieczność. Wiesz, dlaczego on ma takie dziwne imię? Jego ojciec redagował dla Oxford University Press sześćdziesiąt pięć tomów *Dzieł zebranych* Erazma i żona przerwała mu, żeby powiedzieć, że urodziła syna. „Dajmy mu na imię Erazm – zawołał natchniony – albo Luter, którego ważny list do Erazma czytałem ponownie dziś rano”. No, kiedy ma się taki wybór...

Mary go zignorowała, dobrze wiedząc, że przygotowuje sobie tylko pretekst, by kolejny dzień pić na umór. Kiedy zasnął, a Emily Price poszła do łóżka, Mary siedziała do późna z Erazmem i słuchała o jego problemach.

– Niektórzy sądzą, że przyszłość to coś, co należy do nich i co mogą stracić – powiedział pierwszego wieczora zapatrzony w pociemniały od wina kieliszek – ale ja w ogóle nie mam takiego poczucia. Nawet gdy praca idzie dobrze, nie miałbym nic przeciwko nagłej i bezbolesnej śmierci.

Co ją pociągało w tych ponurych mężczyznach? Będąc filozofem, Erazm mógł przynajmniej, jak Schopenhauer, uczynić ze swojego pesymizmu światopogląd. Wzmianka o niemieckim filozofie trochę go rozweseliła.

– Mój ulubiony cytat z niego to rada, której udzielił umierającemu przyjacielowi: „Przestajesz być czymś, czym w ogóle nie należało się stawać”.

– Bardzo przydatna – zauważyła Mary.

– Prawdziwy młot na nostalgię – szepnęła z podziwem.

Erazm twierdził, że jego małżeństwo jest nie do naprawienia; Mary nie mogła się nadziwić, że ono w ogóle istnieje. Jako gość Emily Price miała trzy zasadnicze wady: nie umiała powiedzieć „proszę”, nie umiała powiedzieć „dziękuję” i nie umiała powiedzieć „przepraszam”, mimo że stwarzała zwiększone zapotrzebowanie na te wyrażenia. Kiedy widziała, jak Mary nakłada Thomasowi na blade sterczące łopatki emulsję do opalania, doskakiwała do niej i wyjmowała jej biały krem z dłoni, oznajmiając: „Jak to widzę, od razu chcę trochę dla siebie”. Przyznała, że podobna zachłanność ogarnęła ją, kiedy urodziła pierwszego syna: „Jak tylko go zobaczyłam, pomyślałam, że chcę jeszcze jednego”.

Emily narzekała na Cambridge, narzekała na męża i na synów, narzekała na swój dom, narzekała na Francję, na słońce i na chmury, na liście, na wiatr, na zakrętki do butelek. Nie potrafiła przestać; musiała wybierać wodę z tonącej szalupy swojego niezadowolenia. Nieraz w toku tych narzekań wyznaczała sobie fałszywe cele: Cambridge to piekło, Londyn jest wspaniały, ale kiedy Erazm złożył podanie o pracę na London University, kazała mu je wycofać. Wtedy twierdziła, że Erazm stchórzył, ale na wczasach z Melrose’ami wyznała prawdę: „Chciałam się przeprowadzić do Londynu po to, żeby móc narzekać na szkoły i jakość powietrza”.

Wyzwanie, jakim była osobowość Emily, na chwilę wyrwało Patricka ze stuporu.

– Ona by się nadawała na temat konferencji kleinowskiej: „Wokół złych piersi”. – Chichrał się spocony na łóżku, a Mary ćwiczyła cierpliwość. – Od małego miała w życiu pod górkę – westchnął. – W domu nie wolno jej było tykać długopisów, bo matka bała się, że skończy im się tusz. – Śmiejąc się, spadł z łóżka, uderzył głową o stolik nocny i musiał wziąć garść tabletek kodeiny, żeby uśmierzyć ból.

Kiedy Mary rezygnowała z pobłażliwości, robiła to bardzo stanowczo. Wyczuwała w Emily ukrytą frustrację, jak żar bijący z pieca, lecz z jakiegoś powodu postanowiła schować do kieszeni swoją charakterystyczną empatię i zamiast na smutnych przyczynach zachowania Emily skupić się na jego irytujących konsekwencjach, zwłaszcza po tym, jak drugiego wieczora niekończącej się rozmowy o małżeńskim niedopasowaniu Erazm wykonał dość niezdarny pierwszy ruch, a ona niezupełnie go odrzuciła. Przez tydzień unosili się razem na szczątkach swoich związków. Po powrocie do Anglii minęły dwa miesiące, zanim przyznali przed sobą, że nie uda im się sklecić romansu z tych rozmiękłych fragmentów – akurat tyle czasu, ile Mary potrzebowała, żeby przebrnąć lojalnie przez najnowsze dzieło Erazma, *Głową w mur. Osiągnięcia filozofii świadomości*. To właśnie obecność tej książki na stoliku nocnym naprowadziła Patricka na trop żmudnego romansu żony.

– Niemożliwe, żebyś czytała tę książkę, nie mając romansu z autorem – zgadł, patrząc zza przymkniętych powiek.

– Wierz mi, że nawet wtedy nie da się jej czytać.

Z ulgą opuścił ciężkie powieki do końca, na jego ustach migotał dziwny uśmiech. Mary uświadomiła sobie z lekkim wstrętem, że Patrick jest szczęśliwy, jakby ogromny ciężar jego niewierności zmniejszył się pod wpływem skromnej przewiny rzuconej przez nią na przeciwległą szalę.

Potem nastął okres, który jego matka nazwałaby „absolutnie upiornym”: Patrick wynurzał się ze swojej zaciemnionej kawalerki tylko po to, by pouczać albo przepytować Mary w zakresie studiów nad świadomością, niekiedy z powolną, sentencjonalną precyzją, a niekiedy z wizjonerskim zapałem, ale zawsze z pokrętną swadą człowieka przywykłego do publicznego wywodzenia swoich racji.

– Podmiot świadomości, aby wejść w sferę nauki, musi stać się przedmiotem świadomości, a nie może tego dokonać, ponieważ oko nie jest w stanie postrzegać siebie, nigdy nie wyskoczy z oczodołu na tyle szybko, żeby zdążyło się zobaczyć. Język doświadczenia i język eksperymentu są zawieszane jak olej i woda w tej samej próbowce, w ogóle się ze sobą nie mieszają, chyba że zmuszone przemocą filozofii. Przemoc filozofii. Zgodzisz się ze mną? Ups. Mniejsza o tę lampę, kupię ci nową.

– Ale pytam serio, jakie masz stanowisko w sprawie mikrotubuli? Jesteś Za czy Przeciw? Uważasz, że teoria rozszerzonego umysłu może znaleźć solidne oparcie w nielokalności kwantowej? Jak sądzisz, czy dwie splątane cząstki poczęte w ciepłym spiralnym kwantowym łonie mikrotubuli mogą dalej na siebie wpływać, pędząc przez bezkresne połączenie międzygwiazdnej ciemności, nadal się komunikować mimo pozornej lodowatej rozłąki? Jesteś Za czy Przeciw? I jakie to by miało znaczenie dla naszego doświadczenia, gdyby te cząstki dalej ze sobą rezonowały, skoro to nie cząstki są przedmiotem naszego doświadczenia?

– Kto nas uwolni od luki eksplanacyjnej? – wołał niczym Henryk II domagający się, aby ktoś zgładził kłopotliwego księdza. – I czy ta luka to jedynie wytwór naszego opacznego dyskursu? Czy rzeczywistość jest konsensualną halucynacją? – parł jak taran. – A załamanie nerwowe – sprzeciwem wobec konsensu? Śmiało, nie wstydz się, powiedz mi, co myślisz.

– A może pójdziesz do siebie i tam stracisz przytomność? Nie chcę, żeby dzieci oglądały cię w tym stanie.

– W jakim stanie? W stanie dociekania filozoficznego? Myślałem, że uznasz to za godne pochwały.

– Muszę jechać po chłopców. Proszę cię, wracaj do domu.

– Uroczę, że uważasz to miejsce za mój dom. Chciałbym móc powiedzieć to samo.

Potem wychodził, porzucając dyskusję o świadomości dla trzaśnięcia drzwiami. Nawet „głupia suka” miała w sobie mile widzianą prostotę po tym, jak pokrętnie używał abstrakcyjnych określeń w rodzaju „dualizmu własności”, żeby wyrazić utracone poczucie domu. Po każdym jego burzliwym wyjściu czuła się coraz mniej winna. Bała się, że Robert i Thomas będą ją pytać o zmienne nastroje taty, o jego pełne złości milczenie, deklamatorską introwersję, spektakl cierpienia i niezdarności. Na dobrą sprawę dzieci widywały go rzadko. Ostatnie dwa miesiące jego pijaństwa i miesiąc pobytu w Priory były oficjalnie „wyjazdem służbowym”. Mimo to Robert, ze swoim niezwykłym talentem naśladowczym, bez trudu odtwarzał problemy, które Erazm poruszał w książkach, a Patrick wykorzystywał do zawołanych ataków na żonę.

– Skąd się biorą myśli? – mamrotał, chodząc w zamyśleniu z kąta w kąt. – Zanim człowiek postanowi ruszyć dłonią, gdzie jest jego decyzja?

– Bobby, ja bym spytał Mózga – rzekł Thomas, cicho chichocząc. – On powinien wiedzieć.

– No cóż, panie Tracy – wydukał Robert, podskakując na wyimaginowanych sznurkach. – Kiedy porusza pan dłonią, pana... pana mózg mówi panu, żeby nią pan poruszył, ale co mówi pana mózgowi, żeby powiedział pana dłoni? To niezła zagadka, Mózgu – ciągnął, przedstawiając się na *basso profundo* pana Tracy’ego. – No, hm, cóż, panie Tracy – wrócił do udawania jękającego się naukowca. – Wynalazłem maszynę, która być może pozwoli rozwikłać tę zagadkę. Nazywa się Myślomat.

– Włącz ją, włącz! – zawołał Thomas, wymachując swoją poszetką.

Robert zaczął wydawać z siebie głośne buczenie, które z każdą chwilą brzmiało coraz groźniej.

– O nie! – wykrzyknął Thomas. – Myślomat zaraz wybuchnie!

Robert rzucił się na ziemię z odgłosem potężnej eksplozji.

– O rety, przepraszam pana, chyba przeciążyłem obwody pierwotne.

– Nie martw się, Mózgu – odrzekł wielkodusznie Thomas. – Na pewno ci się uda. Ale serio – zwrócił się do Mary – co to jest ta „debata o świadomości”, o którą tata się tak złości?

– O Boże. – Mary marzyła, by znaleźć się w towarzystwie kogoś, kto nie będzie chciał rozmawiać o świadomości. Postanowiła, że spróbuje zniechęcić Thomasa, przedstawiając to zagadnienie jako mało przystępne. – To taka filozoficzno-naukowa debata o tym, czy mózg i umysł to jedno i to samo.

– Oczywiście, że nie – stwierdził Thomas, wyjmując kciuk z ust i przewracając oczami. – Przecież mózg jest częścią ciała, a umysł to dusza zewnętrzna.

– Istotnie – odparła Mary z podziwem.

– Nie rozumiem czego innego – ciągnął Thomas. – Dlaczego rzeczy istnieją.

– To znaczy? Dlaczego zamiast niczego jest coś?

– Tak.

– Nie mam pojęcia, ale może lepiej się dziwić, niż wiedzieć.

– Ja się dziwię, mamo. Naprawdę.

Kiedy powtórzyła Erazmowi, co Thomas powiedział o umyśle – że to „dusza zewnętrzna” – nie zrobiło to na nim takiego wrażenia jak na niej.

– To dość staroświecki pogląd – skomentował – choć nowocześniejszy punkt widzenia, zgodnie z którym dusza jest umysłem wewnętrznym, też prowadzi nas donikąd, bo tylko odwraca relację między dwoma niejasnymi pojęciami.

– No tak – odparła Mary. – Ale czy nie uważasz, że to jednak niezwykle, że sześciolatnie dziecko wyraża się tak jasno w kwestii słynącej z zawichości?

– Dzieci często mówią rzeczy, które wydają nam się niezwykle, właśnie dlatego, że dla nich te wielkie pytania jeszcze nie słyną z zawichości. Oliver ma teraz obsesję na punkcie śmierci, a przecież też ma dopiero sześć lat. Nie może się pogodzić z jej istnieniem, nie stała się jeszcze częścią Naturalnej Kolei Rzeczy, dla niego to wciąż skandal, katastrofalny błąd w konstrukcji wszechświata, który wszystko niweczy. Dla nas śmierć jest oswojonym faktem, choć samo jej doświadczenie zawsze będzie czymś fundamentalnie dziwnym. On jeszcze nie wpadł na to, że można katowi nasunąć kaptur, ukryć doświadczenie za faktem. Nadal postrzega śmierć w kategoriach czystego doświadczenia. Ostatnio rozplakał się na widok martwej muchy leżącej na parapecie. Spytał mnie, dlaczego wszystko umiera. Mogłem mu tylko udzielić tautologicznej odpowiedzi: bo nic nie trwa wiecznie.

Ta jego potrzeba ogólnego i teoretycznego spojrzenia na każdą sytuację nieraz doprowadzała Mary do szału. Oczekiwała tylko drobnego komplementu pod adresem Thomasa. Nawet kiedy w końcu powiedziała Erazmowi, że według niej dalsze trwanie ich romansu nie ma sensu, przyjął jej punkt widzenia z obraźliwym spokojem, po czym wyznał, że „ostatnio flirtuje z panpsychizmem”, jak gdyby liczył na to, że odkrywając przed nią dziką stronę swojego intelektu, zdoła ją nakłonić do zmiany zdania.

Mary postanowiła nie brać dzieci na pogrzeb Eleanor, tylko zostawić je z matką. Thomas w ogóle nie pamiętał babci, a Robert tak bardzo przesiąkł ojcowskim poczuciem zdrady, że uroczyść prędzej rozbudziłaby w nim uśpioną wrogość, niż przyniosła ulgę w naturalnym smutku i żalu. Ostatni raz byli wszyscy razem jakieś dwa lata temu w Kew Gardens, kwitły wtedy hiacyny, a Eleanor dopiero co wróciła z Saint-Nazaire na stałe do Anglii. W drodze do Woodland Walk Mary pchała wózek Eleanor przez Dolinę Rododendronów, między

niewiarygodnie kolorowymi zбочzami. Patrick włócił się z tyłu, udając, że podziwia obfitość różowych albo pomarańczowych kwiatów, i od czasu do czasu wlewał w siebie z małej buteleczki Johnny'ego Walkera Black Label, a Robert i Thomas penetrowali rosnące szpalerem ogromne krzaki. Gdy na ścieżkę wyszedł złoty bażant – jego szafranowe i krwistoczerwone pióra lśniły jak emalia – zdumiona Mary zatrzymała wózek. Bażant przeszedł po rozgrzanym żużlu ze skocznym dostojenstwem ptasiego chodu, taka była cena połowicznego talentu, jak wysoko uniesiona głowa płynącego psa. Eleanor, zgarbiona, w starych jasnoniebieskich flanelowych spodniach i rozpinanym kasztanowym sweterku z wielkimi płaskimi guzikami i dziurawymi łokciami, wpatrywała się w ptaka z nerwowym niesmakiem, który na stałe zamieszkał w jej zastygłych rysach. Patrick, unikając jak ognia rozmowy z matką, przemknął obok, mamrocząc, że „lepiej pójdzie zerknąć na chłopców”.

Eleanor gorączkowym gestem dała znak Mary, żeby się zbliżyła, po czym wypowiedziała, co było u niej rzadkością, pełne zdanie:

– Nie mogę zapomnieć, że jest synem Davida.

– To raczej nie ojciec spędza mu ostatnio sen z powiek – odparła Mary, zaskoczona własną surowością.

– Sen... – powtórzyła Eleanor.

Mary zaczęła już pchać wózek po cętkowanych światłem wybojach, kiedy Eleanor znów odzyskała mowę.

– Jesteś... szczęśliwa?

Powtórzyła to pytanie kilka razy, z rosnącym przejęciem, ignorując mgiełkę hiacyntów przemieszanych z żółtymi łodygami dzikiego czosnku w roztańczonym cieniu dębów. Usiłowała uratować Mary przed Patrickiem, nie dlatego, że rozumiała jej sytuację, ale po to, by mocą jakiejś działającej wstecz magii uratować siebie przed Davidem. Mary próbowała odpowiedzieć twierdząco, co było dla Eleanor torturą, chciała bowiem usłyszeć: „Nie! Nie jestem szczęśliwa! Żyję w piekle z obłąkanym tyranem, tak jak kiedyś ty, biedactwo. Ale wierzę głęboko, że wszechświat nas ocali dzięki potężnej szamańskiej mocy zranionego uzdrowiciela, którym bez wątpienia jesteś”.

Nie wiedzieć czemu te słowa nie chciały przejść Mary przez gardło, lecz faktem było, że między nią a Eleanor istniała jakieś niepokojąca siostrzana wspólnota doświadczenia. Niektóre elementy wychowania Eleanor znała aż nazbyt dobrze: głęboką nieśmiałość, ważną nianię, kruche poczucie własnego ja, masochistyczną słabość do trudnych mężczyzn. Eleanor była żywą przestroga przed tymi siłami, przypominała o daremności poświęcania siebie, kiedy prawie nie ma czego poświęcać, i uciekania od zagubienia w jeszcze większe zagubienie. A przede wszystkim była dzieckiem, nie „dużym dzieckiem”, jak wielu dorosłych, lecz małym dzieckiem, doskonale zakonserwowanym w przestronnym weku wypełnionym pieniędzmi, alkoholem i mrzonkami.

Od tamtego kolorowego dnia w Kew Gardens żaden z chłopców ani razu nie odwiedził babci w domu opieki. Patrick też przestał do niej zaglądać po tym, jak dwa lata wcześniej podjęła wycieczający flirt ze wspomaganym samobójstwem. Tylko Mary wytrwale ją odwiedzała, czasem w odruchu sumienia, które przypominało jej, że Eleanor bądź co bądź jest jej teściową, a czasem pod wpływem bardziej mglistego przeświadczenia, że równowaga między Eleanor a jej rodziną uległa zachwianiu i że trzeba niezwłocznie spróbować ją przywrócić, niezależnie od tego, czy Eleanor jest w stanie w tym uczestniczyć. Było to niewątpliwie dziwne uczucie, miesiącami przemawiać w przestrzeń, łudząc się, że robi się coś dobrego, podczas gdy Eleanor

coraz sztywniej i obojętniej gapiła się w sufit. Przy braku jakiegokolwiek dialogu Mary często osiadała na mieliznie pogardy dla Eleanor za to, że nie ochroniła swojego dziecka.

Pamiętała, jak Eleanor opisywała pierwsze tygodnie po powrocie ze szpitala z nowo narodzonym Patrickiem. Płacz syna tak bardzo działał Davidowi na nerwy, że zażądał, aby Eleanor zamykała się z dzieckiem w najdalszym pokoiku na strychu. Eleanor już przedtem czuła się jak wygnaniec w jego ukochanej Kornwalii, na końcu cypla z widokiem na zatokę porośniętą na brzegach nieprzeniknionym lasem; kiedy wyrzucono ją nagle z własnej sypialni, tak że nie zdążyła nawet włożyć pantofli ani zabrać niemowlęcego kocyka, nie mogła uwierzyć, że istnieje jakieś gorsze zesłanie, mały zimny pokój w dużym zimnym domu. Cały budynek już wtedy był dla niej przesiąknięty melancholijną grozą. Poślubiła Davida w urzędzie stanu cywilnego w Truro, będąc w zaawansowanej ciąży z ich pierwszym dzieckiem. David, przeceniając swoje umiejętności lekarskie, namówił ją do rodzenia w domu. Bez inkubatora, którego potrzebowała, Georgina zmarła po dwóch dniach. David wypłynął jachtem na zatokę i pochował ją w morzu, a potem zniknął na trzy dni pijaństwa. Eleanor leżała w łóżku, krwawiąca i porzucona, i patrzyła na szarą wodę za wykuszowym oknem sypialni. Po śmierci Georginy nie chciała już sypiać z Davidem. Pewnego wieczora, kiedy szła na górę, podciął jej od tyłu kolana, wykręcił ręce i zgwałcił ją na schodach. I kiedy wreszcie przebrała się miara jej odrazy i Eleanor była gotowa odejść, okazało się, że znów jest w ciąży.

Na strychu, trzymając na rękach nowo narodzone dziecko z gwałtu, czuła histeryczną niepewność. Kiedy patrzyła na wąskie łóżko, ogarniał ją strach, że jeśli położą się na nim razem, we śnie przygniecie i udusi syna, dlatego wybrała drewniane krzesło w kącie, obok pustego kominka, i siedziała tam całą noc, tuląc go w ramionach. Podczas tych nocy na drewnianym krześle raz po raz wciągał ją sen, po czym budziła się nagle, czując, że niemowlę zsuwa się po jej nocnej koszuli ku urwisku kolan. Łapała go w ostatniej chwili, przerażona, że jego miękka główka zaraz huknie o twardą podłogę; nie mogła jednak zabrać go do łóżka, za którym oboje tęsknili, bo bała się, że go zmiażdży.

W dzień było trochę lepiej. Pomagała jej dojeżdżająca opiekunka, gosposia krzątała się w kuchni, a kiedy David pił pod żaglem, w domu panował nastrój płytkiej wesołości. Wszystkie trzy kobiety rozczulały się nad Patrickiem, a Eleanor, odpoczywając w sypialni, prawie zapomniała o tamtych strasznych nocach; prawie zapomniała o śmierci Georginy, kiedy zamykała oczy i nie widziała szarych odmetów za oknem, a gdy karmiła dziecko piersią i zasypiali razem, prawie zapomniała o przemocy, która sprowadziła go na świat.

Ale pewnego dnia, trzy tygodnie po powrocie ze szpitala, David został w domu. Od rana był w niebezpiecznym humorze, jego kawa pachniała brandy, z twarzy biła wściekła zazdrość. Do południa zranił wszystkich ostrymi docinkami, kobiety były niespokojne, gdy krążył po domu, szukając okazji, by je skrzywdzić i upokorzyć. Mimo to bardzo się zdziwiły, gdy wkroczył do kuchni ze zniszczoną skórzaną torbą, w źle dopasowanym zielonym lekarskim stroju. Kazał im zrobić miejsce na wytartym dębowym stole, rozłożył ręcznik, wyjął z torby drewnianą skrzynkę z narzędziami chirurgicznymi i otworzył ją obok ręcznika. Poprosił o garnek wrzącej wody, jakby wszystko zostało wcześniej ustalone i wszyscy wiedzieli, co się dzieje.

– Po co? – spytała gosposia, która pierwsza ocknęła się z transu.

– Żeby wyjałowić narzędzia – odparł tonem człowieka, który wyjaśnia coś bardzo oczywistego komuś bardzo głupiemu. – Nadszedł czas, aby dokonać obrzezania. Nie, śpieszę zaznaczyć – dodał, jakby chcąc rozwiać ich głęboko skrywane obawy – ze względów religijnych – pozwolił sobie na przelotny uśmiech – ale ze względów medycznych.

– Pięś – wypaliła Eleanor.

– Tylko kubeczek spirytusu lekarskiego – zażartował lekko, upojony perspektywą zabiegu, po czym zaraz dodał, już bez cienia humoru: – Przynieście chłopca.

– Czy to na pewno dobry pomysł? – spytała opiekunka.

– Proszę ze mną nie dyskutować – odparł David tonem, w którym było wszystko: starszy człowiek, lekarz, pracodawca, stulecia dominacji, a także paraliżujący pocisk przemożnej osobowości, która sprawiała, że wszelki sprzeciw zdawał się samobójstwem.

W to, że David jest zdolny do morderstwa, Eleanor nie wątpiła od dawna. Późnym wieczorem, kiedy wśród pustych butelek i rozgniecionych cygar pozostawała mu już tylko jedna słuchaczka, lubił jej opowiadać historię pewnego polowania na dzikie świnie w Indiach pod koniec lat dwudziestych. Podniecał go tamten niebezpieczny galop z włócznią przez wysoką trawę, gonitwa za dzikiem, którego kły mogły pokieroszować końskie nogi, zrzucić jeźdźca na ziemię i zakłuć go na śmierć. Przebiecie takiej szybkiej i groźnej świni ostrzem było wielką przyjemnością, bardziej angażującą niż zabijanie na odległość. Tylko jedno zdarzenie popsło nastrój wyprawy: pewien uczestnik polowania został ugryziony przez dzikiego psa i rozwinęła się u niego wścieklizna. Do najbliższego szpitala było trzy dni drogi, za daleko, by dało się go uratować, więc myśliwi zawinęli wierzgającego kompana w grubą sieć, która miała służyć do transportu martwych świń, i zawiesili nad ziemią, przywiązując rogi sieci do konarów dużej dzakarandy. Nawet tym twardym ludziom trudno było pogрузić się w głębokim relaksie, jaki następuje po dniu intensywnych łowów, kiedy z pobliskiego drzewa zwisał cierpiący kawał spienionego mięsa. Rząd latarń wzdłuż kolacyjnego stołu, matowy połysk srebra, wyszkoleni służący, triumf potężnej cywilizacji wśród dzikiego ogromu indyjskiej nocy, wszystko to stanęło jakby pod znakiem zapytania. David z trudem śledził zagłuszaną przez wrzaski wspaniałą opowieść Archiego Montcrieffa o tym, jak to wjechał na zaprzężonej w kuca dwukółce do sali balowej w pałacu namiestnika. Odziany w zaimprovizowaną togę, wznosił obsceniczne okrzyki w „osobliwej londyńskiej łacinie”, a kuc nawiózł posadzkę łajnem. Gdyby jego ojciec nie przyjaźnił się z namiestnikiem, być może Archie musiałby złożyć patent, a tak namiestnik przyznał, oczywiście na osobności, że Archie poprawił mu nastrój podczas „kolejnej nudnej jak flaki z olejem zabawy”.

Kiedy opowieść dobiegła końca, David wstał od stołu, mamrocząc: „Ten hałas jest nie do zniesienia” i udał się do namiotu po swój pistolet. Podeszedł do mężczyzny zarzonego wścieklizną i strzelił mu z bliska w głowę. Potem wrócił do stołu, przy którym wszyscy zaniemówili, najspokojniej w świecie usiadł i rzekł: „Trzeba mieć litość”. Słowo powoli rozeszło się wokół stołu: „Trzeba mieć litość”. Bogaci i potężni ludzie, nieraz piastujący wysokie funkcje w państwie, wśród nich jeden sędzia, musieli przyznać mu rację. Błoga cisza i kilka szklanek whisky z wodą sodową utwierdziły wszystkich w przekonaniu, że David wykazał się niezwykłą odwagą. David prawie się uśmiechał, opowiadając, jak zjednął sobie wszystkich przy stole, a czasem na koniec, w przypływie tkliwych uczuć, oznajmiał, że choć działo się to w czasach, kiedy nie miał jeszcze ani razu w ręku *Anatomii* Graya, to jednak myśli o tamtym strzale z pistoletu jak o początku swojej „przygody z medycyną”.

Wtedy w kuchni w Kornwalii Eleanor czuła, że nie może nie oddać mu dziecka. Niemowle wydzierało się wniebogłosy. Pomyślała, że na pewno gdzieś w promieniu stu mil jakieś psy skomlą teraz w budach, tak głośno i wysokie były te wrzaski. Kobiety zbiły się w gromadkę i płacząco błagały Davida, żeby tego nie robił, żeby był ostrożny i żeby podał dziecku znieczulenie miejscowe. Wiedziały, że to nie jest żaden zabieg, tylko atak wściekłego starca na

genitalia syna; lecz niczym chór w sztuce mogły tylko komentować i zawodzić, nie mając wpływu na bieg wydarzeń.

– Chciałam powiedzieć: „Zabiłeś już Georginę, a teraz chcesz zabić Patricka” – opowiadała Eleanor w rozmowie z Mary, aby jej uzmysłowić, jaka byłaby dzielna, gdyby rzeczywiście coś powiedziała. – Chciałam zadzwonić na policję!

To czemu tego nie zrobiłaś? – pytała ją w duchu Mary, sama milcząc. Kiwała tylko głową, jak przystało na kogoś, kto umie słuchać.

– To było jak... – mówiła Eleanor. – To było jak ten obraz Goi, na którym Saturn pożera własnego syna. – Wychowana wśród wspaniałych obrazów, przeżyła młodzieńczą fascynację historią sztuki, przerwana brutalnie wydziedziczeniem i zastąpiona upodobaniem do jaskrawych kleksów optymistycznego symbolizmu. Mimo to wciąż pamiętała, jakim wstrząsem była dla niej mroczna wyobraźnia późnego Goi podczas wizyty w Prado, kiedy mając dwadzieścia lat, objeżdżała Hiszpanię swoim pierwszym samochodem.

To porównanie uderzyło Mary, bo takie skojarzenia nie były w stylu Eleanor, ale również dlatego, że dobrze знаła ten obraz i potrafiła bez trudu przywołać tamte rozdziawione usta, wybałuszone oczy i strzępiaste białe włosy starego boga melancholii, rozwścieczonego zazdrością i strachem przed uzurpacją, zjadającego bezgłowe ciało swojego zakrwawionego dziecka. Widząc, jak Eleanor błaga o rozgrzeszenie, Mary uświadomiła sobie, że jej teściowa nie mogła nikogo chronić, za bardzo była pochłonięta własną bezbronnością, zbyt rozpaczliwie sama wyczekiwała ratunku. Później zresztą Eleanor zdołała sobie zapewnić ochronę policji. Działo się to w Saint-Nazaire zaraz po tym, jak dotarła do niej wiadomość o śmierci matki; nie znając jeszcze treści testamentu, Eleanor spodziewała się, że wejdzie w posiadanie niebotycznej fortuny. Tamtego ranka, tuż przed jej wylotem do Rzymu na pogrzeb, David siedział naprzeciw niej przy śniadaniu, rozmyślając ponuro o konsekwencjach, jakie może za sobą pociągnąć większa niezależność jego żony.

– Nie możesz się doczekać, aż dostaniesz te pieniądze – powiedział, okrążając stół. Eleanor wstała, przeczuwając niebezpieczeństwo. – Ale ich nie dostaniesz – dodał, chwytając ją zwinnym ruchem i wbijając kciuki w jej gardło – ponieważ cię zabiję.

Na wpół przytomna, zdołała resztkami sił kopnąć go kolanem w jądra. Puścił ją na moment i to wystarczyło, żeby przeskoczyła przez stół i wybiegła z domu. Gonił ją chwilę, ale różnica dwudziestu trzech lat zrobiła swoje i Eleanor uciekła do lasu. Przekonana, że David wyruszy w pościg samochodem, przedzierała się przez zarośla, aż dotarła do komisariatu, cała podrapana, zakrwawiona i we łzach. Dwaj żandarmi, którzy ją odwieźli, pilnowali dumnego i chmurnego Davida, podczas gdy ona pakowała walizkę na podróż do Rzymu. Opuściła dom z ulgą, lecz bez Patricka, któremu pozostała już tylko jedna wątpliwa tarcza w osobie kolejnej przerażonej opiekunki – wytrzymały średnio półtora miesiąca. Eleanor zdołała się wymknąć, ale David, wspaniałomyślnie podarowawszy niańce dzień wolny i odesławszy Yvette do domu, poprawił sobie humor, znęcając się nad synem, który nie mógł liczyć na pomoc żandarmerii.

Fakt, że Eleanor sprzeniewierzyła się instynktowi macierzyńskiemu, któremu Mary podporządkowała swoje życie, stanowił w ostatecznym rozrachunku nieprzekraczalną barierę dla sympatii, jaką teoretycznie mogłaby do niej czuć. Pamiętała własnych synów w wieku trzech tygodni: ich rozgrzane miękkie główki szukające schronienia w zakamarkach jej ciała, by złagodzić szok narodzin. Oddanie ich, ze skórą tak delikatną, że nawet wełna była dla nich zbyt szorstka, pod nóż okrutnemu człowiekowi, byłoby zdradą, od której ślepla jej wyobraźnia.

David zapewne długo szukał wśród głupich i potulnych tego świata, zanim znalazł kobietę,

która cierpliwie znosiła jego osobliwe upodobania; kiedy jednak stopień jego deprawacji ukazał się w całej pełni, jak Eleanor mogła uniknąć zarzutu zmysłu z sadystą i pedofilem? Zapraszała dzieci z innych rodzin na wczasy na południu Francji, gdzie, tak jak Patrick, były gwałcone i wprowadzane do mrocznej krainy wstydu i tajemnicy popartej przekonującą groźbą kary i śmierci. Na krótko przed pierwszym udarem Eleanor otrzymała list od pewnej dziewczyny, której całe dorosłe życie upłynęło pod znakiem bezsenności, samookaleczenia, oziębłości, rozwiązłości, ustawicznego niepokoju i prób samobójczych, a która w końcu, dzięki siedmioletniej terapii, zaczęła żyć normalnie i mogła wreszcie wybaczyć Eleanor, że nie uchroniła jej przed tym, co ją spotkało tamtego lata u Melrose'ów. Pokazując ten list Mary, Eleanor skarżyła się, jakie to niesprawiedliwe, że obarcza się ją winą za kategorię zachowań, której istnienia w ogóle nie podejrzewała, choć wszystko działo się w pokoju za ścianą.

Ale w jak głębokiej niewiedzy mogła tkwić, realnie rzecz biorąc? Rok przed nadejściem listu, który tak zabolął Eleanor, Patrick otrzymał list od Sophie, swojej dawnej au pair, która heroicznie przemieszkała z Melrose'ami ponad dwa lata, przeszło dwadzieścia razy dłużej, niż wytrzymywała większość zdeorientowanych młodych cudzoziemek przewijających się przez ich dom. W swoim liście Sophie przyznawała, że od lat dręczą ją wyrzuty sumienia w związku z okresem, kiedy opiekowała się Patrickiem. Słyszała krzyki niosące się korytarzem domu w Lacoste i wiedziała, że Patrick jest maltretowany, a nie tylko karany, lecz miała wtedy ledwie dziewiętnaście lat i bała się interweniować. Wyznała także, iż David ją przerażał i choć naprawdę lubiła Patricka i czuła pewną litość w stosunku do Eleanor, marzyła o ucieczce od tej potwornej rodziny.

Skoro nawet Sophie wiedziała, że dzieje się coś okropnego, jak Eleanor mogła o tym nie wiedzieć? Ludziom zdarza się czasem ignorować rzeczy na pozór nie do zignorowania, lecz Eleanor trwała w tej ślepotce z nadzwyczajną uporczywością. Uczestnicząc w niezliczonych kursach odkrywania siebie i szamańskiego uzdrawiania, unikała jak ognia przyznania się przed sobą do tego, że obsesyjnie unika prawdy. Mary podejrzewała, że gdyby Eleanor odkryła swoje prawdziwe „zwierzęta mocy”, okazałyby się nimi trzy małpy: Nic Nie Widzę, Nic Nie Słyszę, Nic Nie Mówię. Podejrzewała również, że któryś z udarów zabił tych trzech ponurych strażników, zalewając ją znieścacka fragmentami wiedzy, które wcześniej nie miały ze sobą kontaktu, niczym komórki tajnej organizacji. Było już wtedy za późno, by dało się je zespolić – to, co stworzyły, było jedynie parodią całości.

Przez ostatnie dwa lata życia Eleanor w ogóle nie opuszczała domu opieki i rzadko wstawała z łóżka. Przez pierwszy rok Mary sądziła, że jedną z nitek trzymających Eleanor przy jej udręczonym istnieniu jest troska o rodzinę i dlatego przy każdej okazji zapewniała ją, że wszyscy mają się dobrze. Później zaczęło do niej docierać, że tym, co ją pęta, nie jest siła jej więzi, ale ich słabość: ponieważ nie miała niczego konkretnego, czego mogłaby się „puścić”, pozostała jej tylko magma własnej winy i zagubienia. Częścią siebie pragnęła śmierci, ale nie mogła znaleźć na nią czasu; nie było ani chwili przerwy między mnożącymi się niepokojami; tęsknota za śmiercią natychmiast zderzała się ze strachem przed umieraniem, by po chwili odrodzić się na nowo, i tak bez końca.

Przez drugi rok Mary głównie milczała. Wchodziła do pokoju Eleanor i życzyła jej zdrowia. Co jeszcze mogła zrobić?

Ostatni raz odwiedziła teściową dwa tygodnie temu. Eleanor osiągnęła już wtedy spokój ducha, który niczym się nie różnił od całkowitej nieobecności. Jej mizerna, wyciągnięta twarz wydawała się niezdolna do jakiegokolwiek kontrolowanej zmiany. Mary pamiętała, jak Eleanor

podczas jednej z tych odstręczających sesji zwierzeń oznajmiła, że wie dokładnie, kiedy umrze. Tajemnicze źródło tej informacji (astrologia? kanałowanie? straszny guru? medytacja z bębniem? proroczy sen?) nie zostało ujawnione, a sama wiadomość – przedstawiona z lekko chępliwym spokojem właściwym czystej fantazji. Mary uważała pewność śmierci oraz niepewność jej czasu i sensu za nieodłączne składniki ludzkiego życia. Eleanor natomiast wiedziała dokładnie, kiedy umrze i że jej śmierć nie będzie ostateczna. U schyłku, tak się Mary zdawało, to przekonanie opuściło Eleanor wraz z wszystkimi innymi cechami jej osobowości, jakby przeszła przez nią burza piaskowa, równając z ziemią wszystkie oznaki komfortu, nie zostawiając nic prócz jałowej pustyni pod suchym i pustym niebem.

A jednak umarła w niedzielę wielkanocną i Mary nie miała wątpliwości, że byłaby zachwycona – gdyby o tym wiedziała. Może zresztą wiedziała, choć jej umysł zdawał się pogrążony w sferze oderwanej od rzeczy tak przyziemnych jak kalendarz. W każdym razie nie sposób było dociec, czy to był ten dzień, w którym spodziewała się umrzeć.

Mary poprawiła się w niewygodnej ławce kaplicy krematorium. Gdzie jest przekonująca i praktyczna teoria świadomości, kiedy człowiek najbardziej jej potrzebuje? Obejrzała się na siedzącego kilka rzędów za nią Erazma, który jednak najwyraźniej przysnął. Kiedy ponownie zwróciła się twarzą do stojącej parę kroków przed nią trumny, wszystkie jej spekulacje nagle runęły. Z wyrazistością, do jakiej nie była zdolna, kiedy to się działo, uprzytomniła sobie, co musiała czuć Eleanor przez te straszne ostatnie dwa lata, kiedy cząstka po cząstce, wspomnienie po wspomnieniu, ginęła bezpowrotnie jej indywidualność.

Oczy zaszyły jej łzami.

– Wszystko w porządku? – szepnął Patrick, siadając obok.

– Myślałam o twojej matce.

– Doskonały wybór – zamruczał tonem nadskakującego sprzedawcy.

Z jakiegoś powodu Mary parsknęła niepoohamowanym śmiechem i Patrick też się zaśmiał. Oboje musieli zagryzać wargi i powstrzymywać drżenie ramion.

Chcąc zapanować nad atakiem żałobnej wesołości, Patrick zrobił powolny wydech i skoncentrował się na monotonnym napięciu oczekiwania na początek ceremonii. Organy westchnęły, jakby znudzone poszukiwaniem przyzwoitego stroju, po czym z rezygnacją zaczęły meandrować. Musi wziąć się w garść: był tu po to, żeby opłakiwać śmierć matki, a to poważna sprawa.

Przeszkody były wielorakie. Przez długi czas wściekłość spowodowana utratą domu we Francji nie pozwalała mu zapomnieć o urazie do matki. Bez Saint-Nazaire jakaś prymitywna część jego osobowości była pozbawiona wyimaginowanej opieki, która w dzieciństwie chroniła go przed obłędem. Z pewnością był przywiązany do piękna tego miejsca, lecz jeszcze głębiej – do sekretnej ochrony, której nie chciał się wyrzekać w obawie, że bez niej czeka go całkowita zagłada. Dawniej dotrzymywały mu towarzystwa zmieniające się twarze ze szczelin, plam i wgłębień na wapiennej górze naprzeciwko domu. Szereg sosen na jej grzbiecie przypominał kolumnę żołnierzy przybywających z odsieczą. Były tam kryjówki, w których nikt nigdy go nie znalazł; były tarasy winnicy, z których zeskakiwał, i kiedy uciekał, wydawało mu się, że umie latać. Była niebezpieczna studnia, w której można było topić kamienie i bryły ziemi, samemu nie ryzykując utonięcia. Najbardziej heroiczna ze wszystkich więzi łączyła go z gekonem, który przygarnął jego duszę w chwili kryzysu i wymknął się z nią na dach, na bezpieczne wygnanie. Jak ten gekon miał go znaleźć, skoro Patricka już tam nie było?

Ostatniego wieczora, jaki spędził w Saint-Nazaire, szalała widowiskowa burza. Błyskawice migotały zza karbowanych zwałów chmur, ich jasny blask wstrząsał ciemną misą doliny. Najpierw zakurzona ziemię dziurawiły tłuste tropikalne krople, wkrótce potem woda zaczęła ściekać potokami po stromych ścieżkach, przelewała się małymi wodospadami przez stopnie tarasów. Patrick wyszedł na ten ciepły ulewny deszcz targany wściekłością. Wiedział, że musi zerwać swój magiczny pakt z tą malowniczą okolicą, lecz naelektryzowane powietrze i gwałtowne protesty burzy odnowiły w nim archaiczną umysłowość dziecka, tak jakby przez jego ciało i przez to miejsce przebiegały te same, uderzane gromem i ulewą, fortepianowe struny. Nie musiał płakać, kiedy woda spływała mu po twarzy, i nie musiał krzyczeć, kiedy niebo ryczało mu nad głową. Stał na podjeździe, wśród mętnych kałuż, szmeru nowych strumyków i zapachu mokrego rozmarynu, a potem osunął się na ziemię, przygnieciony ciężarem tego, z czego nie umiał zrezygnować, i siedział nieruchomo w zwirowym błocie. Rozwidlona błyskawica niczym poroże wylądowała na wapiennej górze. W tym nagłym błysku spostrzegł jakiś kształt na ziemi między sobą a murkiem podjazdu. Wpatrując się wyteżonym wzrokiem w półmrok, dojrzał ropuchę, która wypuściła się na ten mokry świat zza krzewów wawrzynu, gdzie zapewne przez całe lato czekała na deszcz, a teraz wylegiwała się na kawałku błotnistej ziemi między dwiema kałużami. Siedzieli naprzeciw siebie w idealnym bezruchu.

Patrickowi stanęły przed oczyma białe truchelka ropuch, które widywał każdej wiosny na dnie kamienistych stawów. Dookoła tych zgasłych ciał setki czarnych kijanek uczepiały się szarozielonych glonów na ścianach, przemykały przez szerokie wody zbiornika, wpadały do rynien, którymi woda płynęła od stawu do stawu między źródłem a strumieniem w zagłębieniu doliny. Niektóre kijanki pędziły bezwładnie w dół, inne rozpaczliwie brnęły pod prąd. Robert i Thomas w każdą Wielkanoc godzinami usuwali małe tamy, które tworzyły się w nocy, a gdy

zakryta część kanału zapychała się i woda zalewała trawę wokół dolnego stawu, ewakuowali kijanki w złączonych dłoniach. Patrick pamiętał, że jako dziecko robił to samo; pamiętał ogromne współczucie, które w nim wzbierało, gdy wypuszczał je przez rozchylone palce do bezpiecznej wody.

W tamtych czasach w wiosenne wieczory słychać było żabi chór, a za dnia przesiadujące na liściach lilii wielkie żaby nadymały się jak guma do żucia; lecz w systemie wyimaginowanej ochrony, jaką zapewniało mu kiedyś to miejsce, tak naprawdę liczyły się przede wszystkim przynoszące szczęście żabki drzewne. Kiedy udawało mu się dotknąć którejs, doznawał uczucia, że wszystko będzie dobrze. Niełatwo było je znaleźć. Dzięki okrągłym przyssawkom na podeszwach nóg mogły zawisnąć w dowolnym punkcie drzewa, zamaskowane jasną zielenią świeżego liścia lub niedojrzałej figi. Gdy spostrzegł którąś z tych malutkich żabek, uczeploną gładkiej szarej kory, ze lśniąco skóra ciasno opinającą ostry szkielet, zdawało mu się, że patrzy na pulsującą biżuterię. Wystawiał palec i dotykał jej delikatnie na szczęście. Niewykluczone, że zdarzyło się to raz, ale myślał o tym tysiąc razy.

Wspominając tamten wyteżony i nieśmiały gest, spoglądał teraz z niejakim sceptycyzmem na brodawkowaty łepiek zmokłej ropuchy. Jednocześnie przypomniał sobie *Króla Leara* w wydaniu Arden, które czytał w liceum, i przypis o klejnocie w głowie ropuchy, symbolu skarbu ukrytego w brzydkim, brudnym i odpychającym doświadczeniu. Kiedyś będzie żył bez przesądów, ale jeszcze nie dziś. Wyciągnął rękę i dotknął ropuszej głowy. Poczł coś z tamtego dziecinnego podziwu, lecz wspomnienie tego, co miał niebawem utracić, nadało temu uczuciu samounieważniającą intensywność. Szalona fuzja mitologii stworzyła nadmiar sensu, który jednak mógł w mgnieniu oka zmienić się w świat zupełnie sensu pozbawiony. Patrick cofnął się i niczym ktoś, kto po długiej egzotycznej podróży wraca do swojskiej ciasnoty miejskiego lokum, uprzytomnił sobie, że jest mężczyzną w średnim wieku, siedzącym ekscentrycznie na błotnistym podjeździe w czasie burzy i próbującym nawiązać łączność z ropuchą. Wstał sztywno i powlókł się do domu z realistycznym uczuciem nieszczęścia, kopiąc kałuże w proteście przeciwko swojej beznadziejnej dorosłości.

Eleanor oddała Saint-Nazaire, ale przynajmniej najpierw mu je podarowała, co prawda jako wielki substytut samej siebie, macierzystą krainę, która miała pokrywać jej braki. Cudowność tego miejsca była w pewnym sensie zdradliwą atrapą: wyciągnięte ku bezchmurnemu niebu gałęzie kwitnącego migdałowca, nieotwarte irysy, podobne do pędzli umoczonych w niebieskiej farbie, przezroczysta bursztynowa żywica brocząca ze stalowoszarej kory czereśni – wszystko to były atrapy, powinien przestać o nich myśleć. Dziecięca potrzeba bycia chronionym zbudowałyby sobie system z dowolnych materiałów będących pod ręką, choćby najbardziej dziwaczny i rytualny. Równie dobrze brzemieniem miłości i pocieszenia mógłby zostać obarczony pajak w schowku na miotły albo sąsiad widywany na klatce schodowej, albo liczba czerwonych samochodów po drodze z domu do szkoły. W tym przypadku rolę tę odegrało zbocze we Francji. Ażyl Patricka rozciągał się od ciemnego sosnowego lasu na szczycie wzgórza aż po jasne bambusy porastające strumień u stóp zbocza. Pomiędzy były tarasy, gdzie pędy wina wystrzeliwały z poskręcanych pni, które przez całą zimę wyglądały jak zardzewiałe żelazo, a drzewa oliwne, czesane wiatrem, w jednej chwili zmieniały kolor z zielonego na szary, z szarego na zielony. W połowie zbocza znajdowało się skupisko domów i cyprysów oraz sieć sadzawek, gdzie doświadczał największej grozy i wymyślał najbardziej nieprawdopodobne wybawienia. Nawet stromy stok góry naprzeciwko domu został skolonizowany przez jego wyobraźnię, i nie chodziło wyłącznie o armię drzew maszerujących po jej grzbiecie. To, jak góra

opierała się ludzkiej ekspansji, stało się później symbolem jego własnej, nie tak doskonałej izolacji od ludzi.

Nie da się nie tęsknić za miejscem, w którym spędziło się całe życie. Psychizacja krajobrazu, projekcje, substytucje, przemieszczenia były częścią nieuniknionej interakcji pomiędzy umysłem a jego stałym otoczeniem, lecz w przypadku Patricka patologiczna intensywność tych procesów sprawiła, że musiał zadać sobie trud ich dogłębnego zrozumienia. Jak by to było żyć bez pocieszenia albo bez potrzeby pocieszenia? Nigdy się tego nie dowie, jeśli nie wyrwie z korzeniami systemu pocieszeń, który narodził się na wzgórzu Saint-Nazaire i objął swoim zasięgiem każde łóżko, butelkę i szafkę na lekarstwa, z którymi Patrick miał później do czynienia; substytucja substytutów substytutami: system był zawsze ważniejszy niż jego zawartość, a jeszcze ważniejszy był akt mentalny. A gdyby tak wspomnienia były tylko wspomnieniami, pozbawionymi jakiegokolwiek mocy pocieszania lub prześladowania? Czy w ogóle by istniały, czy to zawsze presja uczuć wydobywała obrazy z nieprzebranej całości dotychczasowego doświadczenia? Nawet jeśli tak było, do poszukiwań wśród ciemnych, wypełnionych po brzegi regałów można by z pewnością zatrudnić lepszych bibliotekarzy niż panika, uraza i rozdzierająca nostalgia.

O ile zwyczajna szczodrość bierze się z chęci przekazania komuś czegoś, o tyle filantropia Eleanor wzięła się z chęci przekazania wszystkiego nikomu. Źródła tego odruchu były złożone. Przymus powtarzania traumy wydziedziczonej córki; odrzucenie materializmu i snobizmu świata matki; instynktowny wstyd, że w ogóle ma się jakieś pieniądze, i nieświadome dążenie do tego, by wartość jej własności i poczucie własnej wartości spotkały się w punkcie zerowym; ale poza tymi wszystkimi czynnikami negatywnymi – także inspirujący precedens jej praciotki Virginii Jonson. Z rzadkim u siebie entuzjazmem dla przodka Eleanor nieraz opowiadała Patrickowi o heroicznej skali działalności charytatywnej Virginii: ilu osobom odmieniła życie, demonstrując ten rodzaj żarliwej bezinteresowności, który często ma w sobie więcej uporu niż jawny egotyzm.

Kiedy w tysiąc dziewięćset pierwszym roku zmarł mąż Virginii, jej dwaj synowie już nie żyli. Przez następnych dwadzieścia pięć lat zniweczyła swoją żałobną filantropią połowę fortuny Jonsonów. W tysiąc dziewięćset trzecim założyła Fundację im. Thomasa J. Jonsona, przeznaczając dla niej dwadzieścia milionów dolarów. W swoim testamencie dorzuciła kolejne dwadzieścia pięć milionów – w czasach, w których takie zawrotne sumy były rzadkością, a nie typową premią świąteczną przeciętnego menedżera funduszu hedgingowego. Zbierała obrazy Tycjana, Rubensa, van Dycka, Rembrandta, Tintoretta, Bronzina, Lorenza di Credi, Murilla, Velázquez, Hals, Le Bruna, Gainsborough, Romneya i Botticellego, i utworzyła z nich Galerię im. Jonsona w Muzeum Sztuki w Cleveland. To dziedzictwo kulturowe interesowało Eleanor najmniej, zapewne z powodu zbyt silnych skojarzeń z prywatną manią kolekcjonerską w jej własnej odnodze rodziny. Najbardziej podziwiała Virginie za jej Dobre Uczynki, szpitale i placówki YMCA, a przede wszystkim za nowe miasto, które postawiła na czterystu akrach, a które miało zapewnić idealne warunki mieszkaniowe biedocie z Cleveland i położyć kres tamtejszym slumsom. Nazwano je Przyjaźń – od nazwy jej letniej rezydencji w Newport. Budowa została ukończona w tysiąc dziewięćset dwudziestym szóstym roku. Virginia powitała pierwszych mieszkańców na łamach „Kurierza Przyjaźni”:

Dzień dobry. Czy tu, w Przyjaźni, słońce świeci trochę jaśniej? Czy powietrze jest trochę świeższe? Czy dom wasz jest odrobinę przytulniejszy? Prace domowe – mniej uciążliwe? Czy

jesteście tu spokojniejsi o swoje dzieci? Czy mają one nieco bardziej rumiane buzie i mocniejsze nogi? Czy w Przyjaźni głośniej śmieją się i bawią? Jeśli tak, to jestem rada.

Eleanor zawsze widziała coś głęboko wzruszającego w tej królowej Wiktorii z Ohio, drobnej kobiecie o nalanej bladej twarzy, zawsze ubranej na czarno, zawsze skrytej, niepragnącej osobistej sławy w zamian za swoje miłosierne uczynki, kierującej się głęboką religijnością, do samego końca nadającej imiona zmarłych synów ulicom i budynkom – jej Albert miał swoją aleję, a Sheldon zaułek w bezpieczniejszej, przyjaznej dzieciom części Przyjaźni.

Zarazem chłód w stosunkach między siostrami Jonson a ich ciotką Virginią świadczył o tym, że według tych pierwszych ciotka źle wyważyła proporcje między poświęceniem dla ogółu a poświęceniem dla rodziny. Uważały, że jeśli ktoś miał prawo rozdawać majątek Jonsonów, to prędzej one niż córka ubogiego pastora, która wyszła za ich wujka Thomasa. Virginia zapisała każdej z nich sto tysięcy dolarów. Nawet jej znajomi dostali więcej. Ustanowiła fundusz w wysokości dwóch i pół miliona dolarów, z którego sześćdziesięcioro dziewięcioro przyjaciół miało do końca życia otrzymywać roczne renty. Patrick podejrzewał, że talent Virginii do irytowania matki i ciotek Eleanor stanowił nieuświadomione źródło podziwu Eleanor dla praciotki. Ona i Virginia wyłamywały się z dynastycznej żądzы bogactwa. Dla nich pieniądze były czymś powierzonym przez Boga dla zmiany świata na lepsze. Patrick miał nadzieję, że kiedy Eleanor gorączkowo milczała w domu opieki, oddawała się, przynajmniej czasami, marzeniom o poczesnym miejscu, jakie zajmie obok pierwszej wielkiej filantropki o nazwisku Jonson, Tej, Która Była Przed Nią.

Skąpstwo Virginii w stosunku do siostr Jonson było niewątpliwie podszyte przeświadczeniem, że jej szwagier zostawi każdej z nich ogromną fortunę. Tymczasem w nowym pokoleniu rozkosze bogactwa zostały przyćmione przez szok wydziedziczenia i paradoksy filantropii. Kryzys tysiąc dziewięćset dwudziestego dziewiątego roku nastąpił w dwa lata po śmierci Virginii. Biedni stali się nędzarzami, a mocno zubożała biała klasa średnia zamieniła śródmieście na szachulcową przytulność Przyjaźni, mimo że Virginia wybudowała to osiedle w hołdzie swojemu nieżyjącemu mężowi, „przyjacielowi murzyńskiej rasy”.

Eleanor swoją przyjaźnią obdarzyła coś zgoła bardziej nieokreślonego niż rasa murzyńska. Hasło odrodzenia celtyckiego szamanizmu dawało mniejsze nadzieje na konkretne osiągnięcia w dziedzinie postępu społecznego. Wcześniej, kiedy Patrick był dzieckiem, charytatywne zacięcie Eleanor znacznie bardziej przypominało Dobre Uczynki Virginii, z tą różnicą, że koncentrowało się prawie wyłącznie na dzieciach. Często zostawał sam z ojcem, bo matka jechała na zebranie fundacji Save the Children. Całkowite wyrugowanie ironii z prostodusznej osoby Eleanor stworzyło czarny rynek na ślepy sarkazm jej poczynań. Później celem jej wymijającego miłosierdzia stali się ojciec Tortelli i dzieci neapolitańskiej ulicy. Patrick nie mógł się oprzeć wrażeniu, że ten zapał do ratowania wszystkich dzieci świata był nieświadomym przyznaniem się do tego, że nie była w stanie uratować własnego syna. Biedna Eleanor, jak bardzo musiała się wtedy bać. Patrick nagle sam zapragnął ją ochronić.

Kiedy skończyło się jego dzieciństwo i ucichły niewyraźne echa jej dzieciństwa, Eleanor przestała wspierać organizacje pomocy dzieciom i po raz drugi wkroczyła w stadium dojrzewania, któremu tym razem towarzyszyło odkrywanie new age’u. Demonstrowała ten sam co wcześniej genialny zmysł generalizacji, lecz jej kryzys tożsamości miał teraz wymiar nie tylko globalny, ale również interplanetarny i kosmiczny, a wszystko to bez wniknięcia ani na

milimetr w oporną skałę samopoznania. „Energia wszechświata” nie miała przed nią tajemnic, lecz Eleanor wciąż miała tajemnice przed samą sobą. Patrick nie zamierzał udawać, że przekazanie przez matkę całego majątku na mniej kontrowersyjne cele charytatywne wzbudziłoby jego radość, ale skoro już musiała go komuś przekazać, tym większa szkoda, że wszystko przypadło Fundacji Transpersonalnej.

Ciotka Virginia także nie byłaby zadowolona. Jej pragnieniem było niesienie realnej pomocy bliźnim. Wpływ, jaki miała na Eleanor, był zapośredniczony, ale silny i, jak wszystkie inne silne wpływy, matriarchalny. Mężcy przedstawiciele rodziny Jonsonów przypominali nieraz Patrickowi malutkie samce pająka, które prędko spełniają swoją jedyną istotną powinność, po czym zostają natychmiast zjedzone przez znacznie większą samicę. Dwaj synowie założyciela pozostawili dwie wdowy: Virginie, wdowę dobrych uczynków, i babkę Eleanor, wdowę dobrych partii, której drugie małżeństwo z synem angielskiego hrabiego otworzyło trzem córkom drogę do olśniewających karier towarzyskich i matrymonialnych. Patrick wiedział, że Nancy od dwudziestu lat nosi się z zamiarem napisania książki o Jonsonach. Nie bawiąc się w żaden męczący teatrzyk fałszywej skromności, oznajmiła mu kiedyś: „Wierz mi, że to byłoby dużo lepsze niż Henry James, Edith Wharton i reszta, bo to się wydarzyło *naprawdę*”.

Mężczyźni wżenający się w rodzinę Jonsonów radzili sobie niewiele lepiej od synów założyciela. Ojciec Eleanor i jej wuj Vladimir byli obaj alkoholikami; zdobycie upragnionych, jak im się zdawało, dziedziczek okupili utratą poczucia męskości. Skończyło się na tym, że przesiadywali razem w barze klubu White’s i lizali swoje rany przy luksusowych drinkach; rozwiedzeni, odrzuceni, odcięci od dzieci. Dorastając, Eleanor zastanawiała się, jak dziedziczka może uniknąć zniszczenia poślubionego mężczyzny, chyba że byłby on zbyt zepsuty, aby dało się go zniszczyć, lub wystarczająco bogaty, żeby mu to nie groziło. Wychodząc za Davida, sięgnęła po mężczyznę z tej pierwszej kategorii, lecz nawet jego duma i złośliwość, same w sobie imponujących rozmiarów, olbrzymiały pod wpływem upokarzającej zależności od pieniędzy żony.

Patrick nie był jednym z tych kastratów, ale wiedział, co to znaczy urodzić się w matriarchalnym świecie, żyć za pieniądze babki, której prawie nie znał, i nie dostać ani grosza od matki, która mimo to oczekiwała od niego opieki. Psychicznemu wpływowi tych potężnych kobiet, szczodrych na odległość, zdradzieckich z bliska, zawdzięczał swój główny wzorzec tego, jak powinna wyglądać kobieta i jaka się prędzej lub później okaże. Obiektem pożądania zrodzonym z tego połączenia była Suso – suka z socjety – który to skrót wymyślił jego japoński znajomy. Suso musiała być wcieleniem którejś z sióstr Jonson: kobietą elegancką, bardzo towarzyską, nieskończenie bogatą w swoim dążeniu do przyjemności, opływającą w piękne przedmioty. Jak gdyby tego było mało, musiała być również nienasycona erotycznie i pogubiona moralnie. Jego pierwsza dziewczyna była zalążkową wersją tego typu. Czasem jeszcze wyobrażał sobie, że klęczy przed nią w kręgu światła rzucanym przez lampkę do czytania, wspominał błyszczące fałdy czarnej jedwabnej piżamy między jej szeroko rozstawionymi nogami, strużkę krwi na wyciągniętej ręce, jęk przyjemności, szept: „Jak dobrze, jak dobrze”, warstewkę potu na jej kościstej twarzy, strzykawkę w swojej dłoni; jej pierwsza działka kokainy. Starał się jak mógł ją uzależnić, lecz ona była wampirem innego rodzaju, żywiła się rozpacziwą obsesją mężczyzn, którzy ją otaczali, wpijała się w coraz to bardziej przebojowych towarzysko admiratorów z nadzieją, że przejmie od nich poczucie przynależności, które zresztą trywializowała w ich oczach, przedstawiając siebie jako jedyną rzecz, jaką warto mieć, a potem odchodząc.

Po trzydziestce jego kompulsywne dążenie do rozczarowania zgotowało mu Inez, Kaplicę Sykstyńską gatunku Suso. Upierała się, że każdy z jej kochanków, a miała ich całą furę, należał wyłącznie do niej; nie udało jej się tego wyegzekwować od męża, lecz skutecznie wymogła to na Patricku – porzucił stosunkowo zrównoważoną i szlachetną kobietę, z którą wtedy mieszkał, aby dać nura w zachłanną próżnię miłości Inez. Jej całkowita obojętność na uczucia kochanków czyniła z niej coś w rodzaju seksualnej przepaści. Klif, z którego spadł Patrick, okazał się równie płaski jak ten, na który zawiódł hrabiego Gloucester jego wierny syn: był to klif ślepoty, winy i wyobraźni, bez sterczących skał u podnóża. Ale ona o tym nie wiedziała i on też nie.

Kręcone blond włosy, szczupłe ręce i nogi, piękne stroje – Inez była w oczywisty sposób pociągająca, lecz nietrudno było zauważyć, że jej lekko wyłupiaste błękitne oczy są pustymi ekranami miłości własnej, na których migotało kilka starannie wybranych nieszczerych emocji. Dość chaotycznie udawała kogoś, kto ma prawdziwe relacje z innymi ludźmi. Te impresje, oparte na plotkach od jej pochlebców, hollywoodzkich filmach i projekcji własnych chytrych kalkulacji, raz były cliwe, a raz wredne, zawsze jednak wulgarne i melodramatyczne. Ponieważ w ogóle nie interesowała jej odpowiedź, lubiła pytać: „Jak się masz?” co najmniej pięć razy, z wielkim naciskiem i powagą. Często czuła zmęczenie na myśl o własnej wielkoduszności, lecz prawdziwym powodem tego zmęczenia był wysiłek, jaki wkładała w swój pieczołowity kamuflaż.

– Kupię królowej Hiszpanii na urodziny sześć ogierów czystej krwi arabskiej – oznajmiła któregoś dnia. – Powiedz, czy to nie znakomity pomysł?

– Czy sześć aby na pewno wystarczy? – spytał Patrick.

– Twoim zdaniem to za mało? Wiesz w ogóle, ile one kosztują?

Był zdumiony, kiedy się okazało, że naprawdę je kupiła, nieco mniej zaskoczony, kiedy postanowiła je zachować dla siebie, i znudzony, gdy w końcu odsprzedała je poprzedniemu właścicielowi. Jako przyjaciółka doprowadzała go nieraz do szału, dopiero w romantycznym ferworze jej talenty rozbłyskiwały z pełną mocą.

– Nigdy wcześniej się tak nie czułam – zwykła mawiać tonem głębokiego i zakłopotanego wyznania. – Pierwszy raz czuję się naprawdę rozumiana. Czy ty zdajesz sobie z tego sprawę? Wiesz, jaki jesteś dla mnie ważny? – Ze łzami w oczach, zniżając głos do cichego szeptu, mówiła: – Pierwszy raz czuję, że jestem na swoim miejscu – i wtulała się w jego silne męskie ramiona.

Niedługo potem Patrick czekał na nią, dzień za dniem, gdzieś w zagranicznym hotelu, w którym Inez ostatecznie w ogóle się nie pojawiła. Jej osobista sekretarka dzwoniła dwa razy dziennie, informując go o jej opóźnieniu i zapewniając, że teraz już Inez naprawdę jest w drodze. Inez wiedziała, że ponętna nieobecność to najlepszy sposób, aby sprawić, że będzie myślał tylko o niej, a jednocześnie móc robić to samo w bezpiecznej odległości. Kiedy leżała w jego ramionach i plotła głupoty, mógł odpłynąć myślami gdzie indziej, a kiedy czatował przy telefonie, trwoniąc pieniądze i zaniedbując wszystkie inne swoje obowiązki, musiał bezustannie o niej myśleć. Kiedy się wreszcie spotykali, natychmiast się skarżyła, jak wielką męką była dla niej ta rozłąka, tym samym całkiem zawłaszczając cierpienie wynikłe z jej wiecznie rozsypujących się planów.

Kto przy zdrowych zmysłach pozwalałby się unicestwiać komuś tak płytkiemu, gdyby nie głęboko zakodowany obraz beztroskiej kobiety szukający zewnętrznego odbicia? Przedłużające się oczekiwanie, zawód, tęsknota za nieosiągalnym: oto mechanizmy, które zmieniały potężny matriarchalny stymulant w potężny matczyzny depresant. Zwłaszcza to absurdałne oczekiwanie

przeniosło go w sam środek dziecięcej rozpaczki, kiedy na próżno siedział na schodach i wyglądał matki, przerażony, że umarła.

Nagle doświadczył tych starych emocji jako fizycznej opresji. Wsunął palce za kołnierz, upewniając się, czy nie ukrywa się tam jakaś zaciskająca się pętla. Nie mógł dłużej znieść pokusy rozczarowania, podobnie zresztą jak pokusy pocieszenia, jej syjamskiej bliźniaczki. Musi się jakoś uwolnić od jednej i drugiej, ale najpierw musi opłakać matkę. W pewnym sensie tęsknił za nią przez całe życie. Śmierć matki nie była końcem bliskości, lecz końcem tęsknoty za bliskością. Jakże daremna musiała być dla niego owa tęsknota, skoro rozproszył siebie po całym Saint-Nazaire. Kiedy próbował przeniknąć wyobraźnią głębiej, poza swój dawny dom, widział tylko siebie, jak tam stoi, wyężając wzrok, próbując dojrzeć coś ulotnego, osłaniając oczy wpatrzone w ważkę muskającą nagrzaną wodę albo w zawijas szpaków na tle zachodzącego słońca.

Docierało teraz do niego, że utrata Saint-Nazaire nie jest przeszkodą w opłakiwaniu matki, lecz jedynym możliwym sposobem, aby to się udało. Żegnając się na dobre z wymagowanym światem, który mu ją zastępował, Patrick uwalniał się od tamtej daremnej tęsknoty i doświadczał głębszego smutku. Mógł teraz spróbować sobie wyobrazić, jak przerażona musiała być Eleanor, kobieta o tylu dobrych chęciach, porzuciwszy pragnienie, by go kochać – bo nie wątpił, że tego pragnęła – i będąc zmuszoną przekazać mu zamiast miłości tyle strachu i niepokoju. W końcu mógł zacząć opłakiwać matkę samą w sobie, jako tragiczną postać, którą była.

Patrick nie wiedział, jak będzie wyglądać uroczystość. W chwili śmierci matki przebywał w nagłej sprawie w Ameryce; oświadczył, że nie da rady przygotować żadnego przemówienia ani fragmentów do przeczytania, zostawił wszystko na głowie Mary. Dopiero wczoraj wrócił z Nowego Jorku, ledwie zdążył pojechać do domu pogrzebowego, a teraz, siedząc w ławce obok Mary i po raz pierwszy zaglądając do programu, zdał sobie sprawę, jak bardzo jest niegotowy do tej podróży przez zagmatwane życie swojej matki. Na pierwszej stronie broszurki widniało zdjęcie Eleanor z lat sześćdziesiątych: rozpościerała na nim ramiona, jakby biorąc świat w objęcia, ciemne okulary mocno trzymały się na nosie, brak informacji na temat promili w wydychanym powietrzu. Wahał się, czy zajrzeć do środka; to był ten mętnik, ten karambol faktów i uczuć, który starał się omijać, odkąd dwa lata temu Eleanor zakończyła swój flirt ze wspomaganym samobójstwem. Umarła jako osoba, zanim umarło jej ciało, a Patrick próbował udawać, że jej życie dobiegło końca, zanim to się stało naprawdę, lecz prawdziwa śmierć to coś, na co nie sposób było się przygotować, i dlatego teraz, z mieszaniną wstydu, strachu i asekurancja, pochylił się do przodu i wsunął program z powrotem na półkę przed sobą. Wkrótce i tak się dowie, co zawiera.

Do Ameryki poleciał po otrzymaniu listu z kancelarii Brown and Stone, obsługującej firmę John. J. Jonson Corporation. Prawnicy pisali, że zostali „powiadomieni przez rodzinę” – Patrick domyślał się teraz, że źródłem tej informacji był Henry – że Eleanor Melrose nie jest w stanie samodzielnie prowadzić swoich spraw, a ponieważ jest beneficjentką funduszu powierniczego założonego przez jej dziadka, którego ostatecznym beneficjentem jest Patrick, należy podjąć kroki w celu ustanowienia dla niego pełnomocnictwa, które pozwoli mu zarządzać tymi pieniędzmi w imieniu matki. Patrick pierwszy raz o tym słyszał; matka znowu go zdumiała swoją skrytością. Był tak zdziwiony, że nie spytał nawet, o jaką sumę chodzi; wsiadając w samolot do Nowego Jorku, nie wiedział, czy może liczyć na dwadzieścia, czy na dwieście tysięcy dolarów.

Spotkanie z Joe Richem i Peterem Zirkovskym odbyło się przy owalnym stole w jednej z mniejszych przeszklonych sal konferencyjnych w siedzibie Brown and Stone na Lexington Avenue. Zamiast jadowicie żółtych bloczków papieru Patrick zobaczył kremowy liniowany papier z nazwą kancelarii elegancko nadrukowaną u góry. Asystent poszedł skserować jego paszport, a Joe uważnie przeczytał pismo od lekarza, poświadczające niezdolność Eleanor do czynności prawnych.

- Nie miałem pojęcia o istnieniu tego funduszu – przyznał Patrick.
- Widocznie matka chciała panu zrobić miłą niespodziankę – odparł Peter z szerokim, leniwym uśmiechem.
- Być może – rzekł Patrick pobłaźliwie. – Gdzie trafia dochód?
- Obecnie przelewamy go na konto... – Peter przewrócił kartkę. – Association Transpersonel w Banque Populaire de la Côte d’Azur w Lacoste we Francji.
- W takim razie możecie natychmiast przestać.
- Zaraz, zaraz, nie tak prędko – powiedział Joe. – Najpierw musimy panu załatwić pełnomocnictwo.
- To dlatego nic mi nie powiedziała – stwierdził Patrick. – Bo dalej finansuje swojego

dobroczywnego pieśczochoa we Francji, podczas gdy ja muszę opłacać jej pobyt w domu opieki w Londynie.

– Może nie zdążyła zmienić instrukcji – zauważył Peter, któremu najwyraźniej zależało, żeby Patrick miał kochającą matkę.

– Pismo od lekarza jest w porządku – orzekł Joe. – Będzie pan musiał podpisać kilka dokumentów i poświadczyć je notarialnie.

– O jakiej kwocie mówimy? – spytał Patrick.

– To jeden z mniejszych funduszy Jonsonów, no i ucierpiał wskutek niedawnej korekty na giełdzie.

– Cierpienia małych funduszy są najsmutniejsze – powiedział Patrick.

– Według ostatniej wyceny – rzekł Peter, zaglądając do swoich notatek – jest wart dwa miliony trzysta tysięcy dolarów, co daje szacunkowy dochód w wysokości osiemdziesięciu tysięcy dolarów.

– No cóż, zawsze to parę groszy. – Patrick próbował udawać lekko rozczarowanego.

– Wystarczy na domek na wsi! – powiedział Peter, w absurdalny sposób przedrzeźniając angielski akcent. – Słyszałem, że nieruchomości są u was obłędnie drogie.

– Wystarczy na drugi pokój – odparł Patrick, na co Peter zareagował uprzejmym parsknięciem, choć Patrick istotnie chyba o niczym tak nie marzył jak o osobnej sypialni.

Idąc Lexington Avenue w stronę hotelu w Gramercy Park, zaczął się oswajać ze swoim dziwnym farterem. Długie ramię pradziadka, który zmarł ponad pół wieku przed jego narodzinami, wyciągnie go wkrótce z ciasnej kawalerki i umieści w jakimś przestronniejszym lokum, w którym będzie można nocować dzieci i podejmować gości. Tymczasem zaś opłaci za niego pobyt matki w domu opieki. Zadziwiające, że ten całkiem obcy mu człowiek miał wywrzeć tak ogromny wpływ na jego życie. Nawet jego dobroczyńca odziedziczył swoje pieniądze. To jego ojciec w tysiąc osiemset trzydziestym drugim roku w Cleveland założył Jonson Candle Company. Po trzynastu latach należała ona do najbardziej dochodowych firm produkujących świece. Założyciel tłumaczył ten sukces w mało porywający sposób: „Mieliśmy nową technologię ekstrakcji tanich tłuszczów. Nasi konkurenci używali drogiego łożu i smalcu. Świece były wysokie i przez wiele lat notowaliśmy wysokie zyski”. Z czasem fabryka świec poszerzyła swoją ofertę o parafinę, obróbkę olejów i procesy utwardzania, a także opracowała i opatentowała związek, który stał się nieodzownym składnikiem w pralniach chemicznych na całym świecie. Jonsonowie kupowali też budowle i place budowy w San Francisco, Denver, Kansas City, Toledo, Indianapolis, Chicago, Nowym Jorku, Trynidadzie i Portoryko, lecz pierwotna fortuna opierała się na trzeźwym realizmie założyciela, który zginął w pracy, wpadłszy do luku w jednej ze swoich fabryk, oraz na „tanich tłuszczach”, które w sto siedemdziesiąt lat po ich odkryciu wciąż oliwiły tryby życia jednego z potomków.

John J. Jonson junior, dziadek Eleanor, ożenił się w późnym wieku sześćdziesięciu lat. Wcześniej długo jeździł po świecie, reprezentując kwitnące interesy swojej rodziny, i dopiero śmierć bratanka, Sheldona, w wypadku na sankach w St Paul's School ściągnęła go z powrotem do kraju. Jego starszy bratanek Albert rok wcześniej zmarł na zapalenie płuc podczas studiów na Harvardzie. W obliczu braku dziedzica rodzinnej fortuny pogrążony w żałobie ojciec Sheldona, Thomas, oznajmił bratu, że jego powinnością jest znaleźć sobie żonę. John pogodził się z losem i po krótkich umizgach do generalskiej córki wziął z nią ślub, a następnie przeniósł się do Nowego Jorku. Spłodził w krótkich odstępach trzy córki, po czym wyzionął ducha, przedtem jednak ustanowił mnóstwo różnych funduszy, a jeden z nich, jak się okazało tego popołudnia,

spłynął krętym strumyczkiem aż do Patricka.

Co znaczyła ta dalekosiężna życzliwość, co mówiła o umowie społecznej, która pozwala bogatemu człowiekowi zwolnić wszystkich swoich potomków z konieczności pracy na okres prawie dwustu lat? Było coś wstydlwego w byciu ratowanym przez coraz dalszych przodków. Ledwie skończyły mu się pieniądze od babki, której prawie nie znał, zaraz pojawiały się pieniądze od pradziadka, którego znać nie mógł. Pozostawała mu tylko abstrakcyjna wdzięczność wobec człowieka, którego twarzy nie rozpoznałby wśród sterty sepiowych dagerotypów. Paradoxy ambicji dynastycznej były równie wielkie jak paradoxy filantropijnej działalności Eleanor albo jej praciotki Virginii. Niewątpliwie i babka Patricka, i jego pradziadek liczyli na to, że wywindują jakiegoś senatora, powiększą wspaniałe zbiory sztuki albo przyczynią się do olśniewającego małżeństwa, tymczasem finansowali głównie próżniactwo, pijaństwo, zdradę i rozwody. Czy paradoks podatków – zbierano pieniądze na szkoły, szpitale, drogi i mosty, a wydawano na wysadzanie szkół, szpitali, dróg i mostów podczas przeciwnie skutecznych wojen – był choć trochę lepszy? Niełatwy to wybór spośród tylu różnych absurdalnych metod transferu bogactwa; Patrick postanowił chwilowo poddać się przyjemnemu uczuciu, że skorzystał na tej konkretnej formie amerykańskiego kapitalizmu. Tylko w kraju wolnym od koncentracyjnego efektu pierworództwa i równającego efektu *égalité* możliwa była sytuacja, w której piąte pokolenie rodziny nadal czerpało z fortuny zrobionej zasadniczo w latach trzydziestych dziewiętnastego wieku. Przyjemność i dezaprobatę współlistniały w nim pokojowo, kiedy wszedł do ciemnego i pachnącego hotelu przypominającego plan filmowy udający hiszpański burdel, z wyhaftowanymi na dywanie numerami pokoiów, jak gdyby spodziewano się, że goście będą się poruszać na czworakach, w ciężkim narkotykowym zamroczeniu, i mogą mieć kłopoty z odnalezieniem swoich drzwi.

W pluszowej szkatule jego pokoju, skąpanej w mętym, żółtym jak mocz świetle pergaminowych abażurów i antycypowanego kaca, dzwonił telefon. Patrick po omacku zbliżył się do stolika przy łóżku, zaczepiając gołenią o pałkowate nogi krzesła, które, ze swoimi ogromnymi pagonami sterczącymi dumnie na szczycie sztywnego oparcia, miało nasuwać skojarzenie z męską zniewieściałością bojerka matadora.

– Kurwa – zaklął, odbierając telefon.

– Wszystko w porządku? – odezwała się Mary.

– O, cześć, przepraszam, to ty. Właśnie nadziałem się na pieprzone krzesło matadora. W tym hotelu nic nie widać. Na dole w recepcji powinni rozdawać kaski górnicze.

– Słuchaj, mam złe wieści.

Zamilkła na chwilę. Patrick oparł się na poduszkach z jasnym przecuciem tego, co zaraz usłyszy.

– Eleanor zmarła zeszłej nocy. Przykro mi.

– Co za ulga – odrzekł zuchwale. – I jeszcze parę innych rzeczy...

– Tak, jeszcze inne rzeczy – odparła Mary, jakby godząc się z góry na wszystko.

Umówili się, że porozmawiają rano. Patrick odczuwał palące pragnienie bycia samemu, któremu dorównywało jedynie palące pragnienie niebycia samemu. Otworzył minibar i usiadł po turecku na podłodze, wpatrując się w galerię miniaturek po wewnętrznej stronie drzwiczek, błyszczącą w oślepiającym świetle małej białej lodówki. Na półkach obok szklanek i kieliszków znajdowały się czekoladki, żelki, solone orzeszki, nagrody i łapówki dla zmęczonych ciał i marudnych dzieci. Zamknął lodówkę i drzwi szafki, po czym ostrożnie omijając matadora, wgramolił się na czerwoną aksamitną sofę.

Musi stale mieć w pamięci, że ledwie rok temu halucynacje zasypywały jego bezbronny umysł jak pociski oblężone miasto. Położył się na sofie, przycisnął bogato haftowaną poduszkę do brzucha, który zaczął go już boleć, i pogrążył się bez wysiłku w delirycznej atmosferze małej salki w Priory. Pamiętał zgrzytanie stalówki, trzepot ćmy na siatkowych drzwiach, szelest ostrzonego noża do mięsa, kamienisty stukot cofającej się fali, jak gdyby te rzeczy były razem z nim w pokoju, a właściwie jakby on był tam, gdzie one. Pamiętał skrzący się niespokojnym kwarcowym połyskiem fragment pękniętej skały, który często leżał u stóp jego łóżka. Niebieskie homary czułymi antenami badały krawędzie przypodłogowych listew. Czasem stawał się częścią większej sceny. Wyobrażał sobie, na przykład, światła hamowania na mokrej drodze, zadymione wnętrze samochodu, pulsowanie znajomej muzyki, nabrzmiałą kroplę wody pędzącą w dół po przedniej szybie, i aura tej chwili wydawała mu się najgłębszą rzeczą, jakiej kiedykolwiek doświadczył. Brak fabuły w tych mimowolnych snach na jawie rodził poczucie jakiegoś bardziej sekretnego związku. Zamiast wlec się z mozołem przez pustynię zwykłego następstwa, Patrick zagłębiał się w oceaniczny mrok rozświetlany pojedynczymi błyskami bioluminescencji. Wynurzał się z tych stanów stęskniony za poranną dawką oxazepamu, nie mając pojęcia, jak opiszcie ich przejmującą siłę kolegom i koleżankom z grupy wsparcia.

Kilka miesięcy ostrego picia i mógłby mieć to wszystko z powrotem, nie tylko ruchome bagno wczesnej abstynencji z jego trującymi, ulotnymi, druzgocącymi refleksjami, nie tylko dyskretne delirium następnych dwóch tygodni, ale również całą terapię grupową. Pamiętał, jak trzeciego dnia pobytu w grupie nałogowców miał ochotę wyskoczyć przez okno, kiedy przyszedł do nich stary wyga, żeby podzielić się doświadczeniem, siłą i nadzieją z rozdygotanymi żrebakami pierwszej fazy odwyku. Schludny niegdysiejszy amator denaturatu, o białych włosach i pomarańczowych palcach palacza, cytował mądrości jeszcze starszego wygi, którego spotkał w szpitalu na początku swojej drogi do wyzdrowienia:

– Strach zapukał do drzwi! – Pauza. – Odwaga poszła otworzyć! – Pauza. – I nikogo tam nie było! – Długa pauza.

W Priory czekał też na Patricka szkocki moderator grupy chorych na depresję ze swoim wpadającym w ucho hasłem o potędze projekcji: „widzisz to, co masz, i masz to, co widzisz”. Czekały pouczające historie innych pacjentów o „sięganiu dna”: mężczyzny, który obudził się obok dziewczyny i nie pamiętał, że poprzedniego wieczora ciął ją kuchennym nożem; weekendowego gościa w pokoju z ręcznie malowaną tapetą, którą ktoś – chyba nie on? – umazał ekskrementami; kobiety, której amputowano ramię po tym, jak się okazało, że strzykawka podniesiona z betonowej posadzki w mieszkaniu przyjaciółki była zainfekowana przez żarłoczną superbakterię; matki, która zostawiła swoje przerażone dzieci w odludnym domku letniskowym, żeby wrócić do Londynu i spotkać się z dilerem; oraz niezliczone inne o mniej rozpaczliwej wymowie – o chwilach hańby, które przyspieszały nadejście chwili olśnienia w długiej wędrówce pielgrzyma ku zdrowiu.

Podsumowując, minibar odpadał. Miesiąc w Priory przyniósł skutek. Patrick doskonale wiedział, że znieczulenie jest wstępem do niepokoju, pobudzenie wstępem do wyczerpania, a pocieszenie wstępem do rozczarowania, i dlatego leżał na czerwonej aksamitnej sofie, nie robiąc nic, by odwrócić uwagę od wiadomości o śmierci matki. Przeleżał tak całą noc w stanie niezbyt przekonującego odrętwienia. O piątej rano policzył, że Mary odwiozła już dzieci do szkoły i przedszkola, zadzwonił na jej domowy numer i uzgodnili, że to ona zajmie się przygotowaniami do pogrzebu.

Organy ucichły, wrywając Patricka z jego rozmyślań. Znow sięgnął po leżącą na wąskiej półce broszurkę, lecz zanim zdążył zajrzeć do środka, z głośników w narożnikach sali popłynęła muzyka. Rozpoznał tę piosenkę na sekundę przed tym, jak powietrze w krematorium wypełnił głęboki, czarny, radosny głos.

*Mam tylko tyle co nic
I tylko tyle mi trzeba.
Nie mam auta, nie mam osła, o nic się nie gniewam.
Ci, co mają tyle, że hej,
Zamykają drzwi na klucz.
Okropnie się boją, że ktoś ich okradnie,
Kiedy w pracy się bogacą.
I na co?*

Patrick obrócił głowę i uśmiechnął się szelmowsko do Mary. Odwzajemniła uśmiech. Poczuł nagle irracjonalne wyrzuty sumienia, że wciąż nie powiedział jej o funduszu, jak gdyby nie miał już prawa czerpać przyjemności ze słuchania tej piosenki, teraz, kiedy miał sporo więcej niż nic. *Bogacą / I na co?* – ten rym zasługiwał, aby używać go częściej.

*Mam tylko tyle co nic
I tylko tyle mi trzeba.
Mam słońce, księżyc, błękit morza, wiatru szum i drzewa.
Ci, co mają tyle, że hej,
Muszą modlić się dzień i noc,
Bo kto dużo ma, tego dręczy strach,
Że mu wyrwie to czarcia moc.
Czarcia moc!*

Patricka bawiło to, jak Porgy uparcie łączył bogactwo z grzechem. Przyszło mu do głowy, że Eleanor i ciotka Virginia podpisałyby się pod tym obiema rękami. Przecież lichwiarzy, zanim stali się władcami świata, zsyłano do siódmego kręgu piekła. Padał tam ognisty deszcz, a ich ręce były w ciągłym ruchu – taka była kara za to, że nie czyniły dobra w życiu doczesnym, tylko wyzyskiwały cudzą pracę. Nawet będąc w mniej komfortowej sytuacji tych, co mają tyle, że hej – i za cenę złudzenia, że ci, co mają tyle co nic, nie muszą się przejmować diabłem – Eleanor i tak podzieliłaby pogląd Porgy’ego. Patrick przerwał te dywagacje, by skupić się na finale piosenki.

*Po co silić się,
By żyć tak, albo siak.
Pal to sześć! Jestem żyw,
Jestem rad.
Mam tylko tyle co nic
I tylko tyle mi trzeba.*

*Dziewczyne mam i piosnkę mam,
I całe mnóstwo nieba.
(Po co narzekać!)
Mam dziewczynę, Boga mam, piosnkę mam!*

– Świetny wybór – szepnął do Mary i skinął głową z wdzięcznością. Znow podniósł broszurkę z programem, wreszcie gotów, by zajrzeć do środka.

Zaraz się porzygam, pomyślał Nicholas, Żyd rozczulający się nad Murzynem: ach, tylko wam pozazdrościć, że macie tyle co nic, bo nas przytłacza cały ten międzynarodowy kapitał i przekłete szlagiery z broadwayowskich musicali. Kiedy koncept kuleje, pomyślał Nicholas, ćwicząc zawczasu, tekściarze zawsze chowają się za ciałami niebieskimi. „Bo to, co sobie cenię / Jak gwiazdy na niebie / Nie kosztuje nic”. Jasna sprawa – trudno by się ściągało czynsz z bomby wodorowej oddalonej od ziemi o kilka milionów lat świetlnych. Miał dość kłopotu z wyciśnięciem od dyrektora banku inwestycyjnego przyzwoitych pieniędzy za wynajem zabytkowej wdowiej rezydencji z epoki królowej Anny w Shropshire, a co dopiero, gdyby jeszcze musiał w weekendy latać na księżyc. To się nazywa „za daleko od Londynu”! W dodatku na miejscu nie ma co robić, można tylko podskakiwać, dopóki nie zabraknie tlenu. Istniało coś takiego jak naturalna kolej rzeczy. Z katastrofy Titanica uratowało się sześćdziesiąt procent pasażerów pierwszej klasy, jedna czwarta pasażerów drugiej klasy i żaden podróżujący trzecią klasą. Naturalna kolej rzeczy.

– Nic mi więcej nie trzeba, szefie – wymamrotał przesłodzonym tonem. – Mam błękit morza.

Boże, co tu się dzieje? Duchowa Skrzynka z Narzędziami podeszła do mównicy. To już przesada. Co on tutaj robi? Prawda była taka, że był równie czułostkowy jak ten stary głupiec Ira Gershwin. Przyszedł dla Davida Melrose’a. Jego przyjaciel był pod wieloma względami nieudacznikiem, ale roztaczał wokół siebie coś rzadkiego i cennego: czystą pogardę. Górował nad moralnością klasy średniej niczym kolos. Podczas gdy innym nawet sporadyczna reakcyjna uwaga z trudem przechodziła przez gardło, David ucieleśniał absolutną obojętność na to, co pomyślą ludzie. Była to tradycja ze wszech miar godna podtrzymywania.

Z punktu widzenia Erazma zdecydowanie najciekawszy był fragment: „Po co silić się / By żyć tak, albo siak / Pał to sześć! / Jestem żyw, jestem rad!”. Był tu, oczywiście, Nietzsche, no i, jakżeby inaczej, Rousseau, ale również Sutra Diamentowa. Porgy raczej nie znał tej literatury. Mimo wszystko można było myśleć w kategoriach dominującego wpływu pewnej rodziny idei, niesilenia się i stanu naturalnego, który poprzedzał moralność opartą na zasadach i poniekąd czynił ją zbędną. Może uda mu się spotkać z Mary po pogrzebie. Ona zawsze była taka otwarta. Czasem sobie o tym przypominał.

Jak to dobrze, pomyślała Julia, że istnieją ludzie, którzy zadowolają się niczym, dzięki czemu ludzie tacy jak ona (i wszyscy inni, których znała) mogą mieć *więcej*. Trudno było wymyślić pozytywnie brzmiące zdanie z tym okropnym słowem „dość”, a co dopiero takie, które zachwalałoby „nic”. Z drugiej strony to była idealna piosenka dla stukniętej matki Patricka i zarazem optymistyczny hymn wydziedziczonych. Czapki z głów przed Mary, jak zwykle. Julia westchnęła z uznaniem. Domyślała się, że Patrick „nie miał głowy” do kwestii praktycznych i poprosił Boską Matkę, żeby go wyręczyła.

Naprawdę, pomyślała Nancy, co za niedorzeczny pomysł, żeby puszczać Gershwinów, skoro jej chrzestnym był boski Cole Porter! Dlaczego mamusia zmarnowała go na obojętną Eleanor, skoro

Nancy, która naprawdę doceniała jego splendor i błyskotliwość, mogłaby go mieć tylko dla siebie? Nie żeby *Porgy'emu i Bess* można było odmówić splendoru. Nancy była na wielkiej nowojorskiej premierze z Hansie i Dinkie Guttenburg i bawiła się przednio, a po spektaklu poszła za kulisy, żeby wszystkim pogratulować. Prawdziwe gwiazdy w ogóle nie czuły się onieśmiałe spotkaniem z szaleńczo przystojnym niemieckim księciem, ale niektóre dziewczynki z chóru wyraźnie nie wiedziały, czy mają dygnąć, wzniecić rewolucję czy otruć jego żonę. Tamten wieczór z pewnością znajdzie się w jej książce: łączył w sobie wszystko, co najlepsze, w przeciwieństwie do tego ponurego pogrzebu. Eleanor naprawdę sprawiła zawód rodzinie – sprawiła zawód samej sobie.

Idąc między rzędami ławek w kierunku mównicy, Anette zachwycała się w duszy stosownością, trafnością i synchronicznością tej wspaniałej, uduchowionej piosenki. Zaledwie wczoraj siedziała z Seamusem w ich ulubionym miejscu mocy na tarasie w Saint-Nazaire (jakiś czas temu doszli nawet do wniosku, że to główny czakram całej posiadłości, co miało głęboki sens, jeżeli się nad tym zastanowić), uczcili niezwykle dary Eleanor lampką czerwonego wina i Seamus wspomniał o jej niesamowicie silnej więzi z ludem afroamerykańskim. Miał szczęście być świadkiem kilku regresji Eleanor do poprzednich wcieleń i okazało się, że podczas wojny secesyjnej była zbiegłą niewolnicą, uciekającą z maleństwem w ramionach do abolicjonistycznych stanów Północy. Przeszła wtedy gehennę, wędrowała tylko po zmroku, w środku zimy, chowała się po rowach, bez przerwy obawiając się o swoje życie. I oto na drugi dzień, na jej pogrzebie, człowiek będący z całą pewnością potomkiem niewolników śpiewa ten cudny tekst. Kto wie – Anette aż prawie się zatrzymała porażona otwartym przed nią horyzontem magicznej koincydencji – kto wie, czy to nie on był tym dzieciątkiem, które Eleanor uratowała przed niewolą, niosąc je przez rowy i ciemności nocy, a które wyrosło na wspaniałego mężczyznę o głębokim i dźwięcznym głosie. Trudno było wytrzymać taki ogrom piękna, ale miała zadanie do wykonania, toteż, z żalem, bo z żalem, wyrwała się z tego cudownego wymiaru, do którego przeniósł ją tok własnych myśli. Stała na mównicy i rozpostarła kartki wyjęte z kieszeni sukienki. Pogładziła palcami bursztynowy naszyjnik, który kupiła w sklepie z pamiątkami Matki Meery po tym, jak odbyła darśaną z awatarą w Talheim. Czując w sobie tajemny wpływ tej milczącej Hinduski, której spojrzenie, pełne bezwarunkowej miłości, prześwieciło jej duszę i wskazało ścieżkę uzdrowienia, po której kroczyła po dziś dzień, Anette zwróciła się do żałobników głosem rozdartym pomiędzy bolesną tkliwością a wymogami akustyki.

– Na początek przeczytam wiersz, który był bliski sercu Eleanor. Sama go jej podsunęłam i wiem, jak silnie do niej przemawiał. Wielu z was na pewno dobrze go zna. To *Innisfree*, wyspa na jeziorze Williama Butlera Yeatsa.

Zacząła czytać głośnym, śpiewnym szeptem:

*Wstanę teraz, by pójść ku wyspie Inisfree,
Chatka z gliny i łóz na środku wyspy stanie:
W dziewięciu rzędach groch i ul, i pszczoły, i
Mieszkanie będę miał na pełnej pszczoł polanie.*

O ile zamówienie dziewięciu ostryg mogło uchodzić za oznakę wyrafinowania, myślał

Nicholas, o tyle dziewięć rzędów grochu wydało mu się czymś kompletnie absurdalnym. Ostryg zawsze było sześć lub dwanaście – nie zdziwiłby się, gdyby żyły szóstkami albo dwunastkami na dnie morza – toteż było coś eleganckiego w zamawianiu dziewięciu. Grochu natomiast były całe pola i wielkie sterty, które drwiły sobie z pedantycznej precyzji liczby dziewięć. W najlepszym razie przywodziła ona na myśl nieadekwatny obraz miejskiej działki, na której trudno byłoby zmieścić chatkę z gliny i łóz i polanę pełną pszczoł. Duchowa Skrzynka na pewno uważała, że *Innisfree* to szczytowe osiągnięcie poetyckie Yeatsa, nie wątpił zresztą, że celtyckie odrodzenie ze swoją upartą naiwnością i tandetnymi sztuczkami pasowało idealnie do światopoglądu Eleanor, który był nie z tego świata, lecz prawda była taka, że irlandzki bard wyłonił się z nic niewartej fioletowej mgły, dopiero gdy stał się rzecznikiem ideałów arystokracji. „Zapewne pośród bujnych łąk możnego pana, / Wśród zbóż szelestu na uprawnych wzgórzach / Życie przepływa bez ambitnych trudów / Aż się wypełni jak w czas dżdżu kałuża”. Oto jedyne wersy Yeatsa godne zapamiętania – i jedyne, które pamiętał. Tak się zaczynała medytacja o „gwałtownych i „zgorzkniałych” ludziach, którzy dokonywali wielkich czynów i stawiali wielkie domy, i o tym, co się dzieje z tą wielkością, gdy z biegiem czasu zmienia się w zwykłe uprzywilejowanie: „I może nawet prawnuk tego domu / To tylko mysz wśród brązów i kolumn ogromu”. Pomyślałby, że to ryzykowny wers, gdyby nie te wszystkie rojące się od myszy wielkie domy, w których bywał. Dlatego tak ważne było, jak sugerował Yeats, aby pozostać zgorzkniałym i gniewnym, żeby uchronić się przed destrukcyjnym efektem dziedzicznej świetności.

W drugiej strofie głos Anette zabrzmiał jeszcze boleśniej i delikatniej.

*I znajdę spokój tam, gdzie świerszczy śpiewny gwar,
Spokój z poranka mgieł powoli spłynie w końcu;
Północ tam zawsze łśni, błyszczą południa żar,
A purpurowy zmierzch pełen jest skrzydeł dzwońców.*

Spokój powoli spłynie, pomyślał Henry, jakie to piękne. Wersy wydłużają się w coraz głębszej ciszy, w coraz cięższym jet lagu, a głowa powoli spływa, powoli spływa na pierś. Potrzebował espresso, inaczej mgła poranka spowije go bez reszty. Przyjechał tu dla Eleanor, dla Eleanor z jeziora w Fairley; wypłynęła na nie sama łódką i nie chciała wrócić, wszyscy stali na brzegu i krzyczeli: „Wracaj! Przyjechała twoja mama!”. Jak na nieśmiałą dziewczynę, unikającą spojrzeń w oczy, potrafiła być uparta jak muł.

Gdzie świerszczy śpiewny gwar, pomyślał Patrick, czyli w moim starym domu, w którym zamieszkałaś z Seamusem. Wyobraził sobie przenikliwe zgrzytanie wśród traw, hałas narastający pulsującymi falami, cykada po cykadzie, jak słyszalny rozedrgany upał nad suchą ziemią.

Mary cieszyła się w duchu: wyglądało na to, że piosenka z *Porgy’ego i Bess* przypadła Patrickowi do gustu. Co do *Innisfree*, uważała, że marzycielska prostota tego wiersza wdzięcznie nawiązuje do tęsknoty Eleanor, by za wszelką cenę pozbawić życie jego mrocznej złożoności. Stresowało ją tylko przemówienie, o które poprosiła Anette. Lecz jakie miała inne wyjście? Nie było sensu chować tej części życia Eleanor pod dywan, a jeśli ktoś spośród zebranych miał o niej

pojęcie, to właśnie Anette. Przynajmniej Patrick przez kilka dni będzie miał na co się wściekać. Mary z rosnącym niepokojem wysłuchiwała ostatniej strofy, którą Anette recytowała w taki sposób, jakby kołysała dziecko do snu.

*Wstanę teraz, by pójść, bo słyszę fali głos,
Choć plusk, gdy liże brzeg, ledwie się wsącza w ciszę;
Jezdni pod stopą bruk, chodnik czy asfalt szos,
Słyszę go w dzień i noc, na serca dnie go słyszę⁵.*

Anette zamknęła oczy i znów dotknęła bursztynowego naszyjnika.

– *Om namo Matta Meera* – zamruczała, by dodać sobie sił przed wygłoszeniem przemowy. – Wszyscy, jak tu siedzicie, znaliście Eleanor na różne sposoby, wielu z was znacznie dłużej niż ja – zaczęła z uśmiechem zrozumienia. – Ja mogę mówić tylko o tej Eleanor, którą sama znałam, i choć postaram się oddać sprawiedliwość wspaniałej kobiecie, którą była, to mam nadzieję, że zachowacie Eleanor, jaką wy znaliście, na dnie serca, jak to określił Yeats. Ale jeśli pokażę wam ją od nieznaney strony, proszę was, abyście otworzyli dla niej serca, otworzyli serca dla tej części Eleanor i pozwolili jej dołączyć do tej Eleanor, którą każde z was nosi w sobie.

Jezu, pomyślał Patrick, ratuj się kto może. Wyobraził sobie, że znika pod podłogą z łopata i kilkoma deskami wyrwanymi z pryczy przy dźwiękach muzyki z *Wielkiej ucieczki*. Pełznąąc niebezpiecznym tunelem pod krematorium, poczuł nagle, że irytujący głos Anette wyciąga go z powrotem na powierzchnię.

– Poznałam Eleanor, kiedy nasza grupa szamańskich bębniarek z Dublina dostała zaproszenie do Saint-Nazaire, do jej wspaniałego domu w Prowansji, który wielu z was na pewno zna. Kiedy nasz minibus zjechał na miejsce, zobaczyłam Eleanor siedzącą na murku nad stawem, z dłońmi pod udami; wyglądała zupełnie jak samotna mała dziewczynka zapatrzona w swoje dyndające buty. Kiedy podeszliśmy, przywitała nas dosłownie z otwartymi ramionami, ale tamto pierwsze wrażenie pozostało ze mną na zawsze, tak jak w niej pozostało coś z dziecka, co pozwalało jej gorąco wierzyć, że świat może być sprawiedliwy, a świadomość da się przekształcić, i że w każdym człowieku, w każdej sytuacji można znaleźć dobro, choćby nawet na pierwszy rzut oka wydawało się ono głęboko ukryte.

Oczywiście, że świadomość można przekształcić, myślał Erazm, ale czym ona jest? Jeśli potraktuję swoje ciało prądem elektrycznym albo zanurzę nos w miękkich płatkach róży, albo zacznę się wczuwać w Gretę Garbo, przekształcam swoją świadomość; w rzeczy samej to się dzieje bez przerwy, czy tego chcemy, czy nie. Nie mogę jednak opisać, czym ona jest *sama w sobie*: jest zbyt blisko, żebym ją zobaczył, zbyt wszechobecna, żebym ją uchwycił, zbyt przezroczysta, żebym ją wskazał palcem.

– Eleanor należała do najszlachetniejszych osób, jakie miałam zaszczyt poznać. Wystarczyło tylko napomknąć, że czegoś się potrzebuje, a jeśli mogła pomóc, robiła to natychmiast z wielką ochotą, jak gdyby to ona doznawała w ten sposób ulgi, a nie osoba potrzebująca pomocy.

Patrick wyobraził sobie uroczą prostotę takiej rozmowy.

Seamus: Tak sobie myślę, że byłoby, hm, z wielkim pożytkiem dla świadomości mieć, dajmy na to, niedużą posiadłość z winoroślami i gajem oliwnym, w jakimś słonecznym miejscu.

Eleanor: Och, wspaniale! Mam taką. Chciałbyś ją przejąć?

Seamus: O, chętnie, bardzo ci dziękuję. Podpisz tu, tu i tu.

Eleanor: Co za ulga. Teraz nie mam nic.

– Nic – mówiła dalej Anette – nie było dla niej zbyt dużym kłopotem. Służba innym nadawała sens jej życiu i trudno było jej nie podziwiać, widząc, ile zadaje sobie trudu, żeby pomóc ludziom w realizowaniu ich marzeń. Z całego świata przychodziły do Fundacji tony listów i pocztówek z podziękowaniami. Młody chorwacki naukowiec pracujący nad „zeroenergetycznym ogniwem paliwowym” – nie pytajcie mnie, co to, ale podobno uratuje naszą planetę – to jeden przykład. Albo peruwiański archeolog, którego zdumiewające odkrycia wskazują na to, że Inkowie pochodzili z Egiptu i że komunikowali się ze swoją rodzimą cywilizacją za pomocą „języka solarnego”. Albo starsza pani, która przez czterdzieści lat pracowała nad uniwersalnym słownikiem świętych symboli i potrzebowała odrobiny wsparcia, żeby dokończyć to niezwykle cenne dzieło. Do nich wszystkich Eleanor wyciągnęła pomocną dłoń. Ale niech wam się nie wydaje, że Eleanor zaprzętały tylko wyższe sfery nauki i duchowości: była również cudownie praktyczną osobą, rozumiejącą, ile znaczy nowa kuchnia dla powiększającej się rodziny albo nowy samochód dla przyjaciela mieszkającego na głębokiej wsi.

A co z siostrą, która niedługo zostanie bez środków do życia? – zachnęła się w duchu Nancy. Najpierw zabrali jej karty kredytowe, a później książeczkę czekową, i teraz musiała osobiście chodzić po swoją groszową miesięczną rentę do Morgan Guaranty przy Piątej Alei. Powiedzieli, że to jedyny sposób na wydostanie się ze spirali zadłużenia, a przecież gdyby naprawdę chcieli ją wydostać ze spirali zadłużenia, daliby jej więcej pieniędzy.

– Pamiętam jednego jezuitę, wspaniałego dżentelmena – ciągnęła Anette – właściwie to byłego jezuitę, chociaż i tak mówiliśmy na niego ojciec Tim. Doszedł do wniosku, że dogmat katolicki jest zbyt wąski, że należy się otworzyć na wszystkie tradycje religijne świata. Później jako pierwszy Anglik w historii został przyjęty w poczet *ayahuasqueros*, brazylijskich szamanów, w jednym z najbardziej autentycznych plemion amazońskich. W każdym razie ojciec Tim napisał do Eleanor, którą znał jeszcze z duszpasterskich czasów na Farm Street, że jego wioska potrzebuje motorówki, żeby móc pływać do factorii, a Eleanor oczywiście bez wahania wysłała mu czek odwrotną pocztą. Nigdy nie zapomnę jej miny, kiedy otrzymała odpowiedź od ojca Tima. W kopercie były trzy jaskrawe pióra tukana i równie barwny list, z którego wynikało, że w podzięce za jej dar dla ludu Ayoreo mieszkańcy odległej wioski ojca Tima odprawili rytuał przyjęcia Eleanor do plemienia i nadania jej imienia „Tęczowy Wojownik”. Ojciec Tim napisał, że przemilczał fakt, iż Eleanor jest kobietą, ponieważ Ayoreo mają „nieco wsteczny pogląd na słabszą płęć, nie tak znowu odległy od tego wyznawanego przez stary Kościół Matkę”, a gdyby przyznał się przed nimi do swojego fortelu, niechybnie „podzieliłby los świętego Sebastiana”. Zamierzał wyznać prawdę na łożu śmierci, aby pomóc plemieniu wkroczyć w nową erę harmonii między pierwiastkami męskim i kobiecym, tak potrzebnej dla ocalenia świata. W każdym razie –

westchnęła Anette, zdając sobie sprawę, że odeszła od swojego tekstu, lecz biorąc to za oznakę natchnienia – podziałało to na Eleanor w sposób dosłownie magiczny. Nosila pióra tukana na szyi, dopóki się nie rozpadły, i przez kilka tygodni mówiła wszystkim, że jest Tęczowym Wojownikiem plemienia Ayoreo. Była zupełnie jak dziewczynka, która idzie do nowej szkoły i pewnego dnia wraca odmieniona, bo znalazła sobie nową najlepszą przyjaciółkę.

Choć zatrzymany rozwój był jego specjalnością zawodową – a wykształcił w sobie zwyczaj zamykania swojego ucha psychoanalityka poza godzinami pracy – Johnny nie mógł nie zwrócić uwagi na zacięty upór, z jakim Eleanor broniła się przed dorosłością. Zbyt często, jak wszyscy zresztą, powtarzał za starym dobrym Eliotem, że „gatunek ludzki źle znosi duże dawki rzeczywistości”, lecz w tym przypadku można było chyba mówić o jednym nieprzerwanym unikaniu prawdy. Pamiętał swoje pierwsze zetknięcie z Eleanor, kiedy Patrick zaprosił go na wakacje do Saint-Nazaire. Już wtedy miała zwyczaj popadania w dziecinną mowę, dość ambarasujący dla nastolatków, którzy dystansują się od dzieciństwa. Cały tragizm polegał na tym, że pięć, może dziesięć lat porządnej analizy pięć dni w tygodniu mogłoby istotnie zmniejszyć skalę problemu.

– Myślę, że to dobrze pokazuje, ile Eleanor miała w sobie otwartości i życzliwości dla innych – rzekła Anette, czując, że powinna się już pomału zbliżać do zakończenia. Odłożyła parę kartek, których nie udało jej się przeczytać podczas improwizowanej części amazońskiej, i spojrzała na ostatnią stronę, żeby przypomnieć sobie, co napisała. Teraz, kiedy przemówienie nabrało bardziej swobodnego tonu, ostatni akapit wydał się jej nieco zbyt oficjalny, lecz było w nim parę rzeczy, których nie mogła pominąć.

Błagam, ile można, pomyślał Patrick. Charles Bronson panikował w osypującym się tunelu, wilczury warczały za kolczastym drutem, reflektory omiatały ziemię, ale już niedługo pobiegnie przez las, przebrany za niemieckiego urzędnika bankowego, zmierzając w stronę stacji kolejowej, z dokumentami podrobionymi kosztem wzroku Donalda Pleasance’a. Niedługo to wszystko się skończy, musi jeszcze tylko parę minut wpatrywać się w swoje kolana.

– Chciałabym wam teraz przeczytać krótki fragment *Rygwedy* – oznajmiła Anette. – Szukałam w bibliotece Fundacji czegoś, co dawałoby wyobrażenie o niezwykłej duchowej głębi Eleanor, i ta książka dosłownie sama wpadła mi w ręce.

Znów zaczęła śpiewnie recytować:

Dąży do celu tych, które idą za nią, pierwsza w nieskończonej procesji nadchodzących świtów. Zorza rośnie, odsłania to, co żyje, budzi tego, który był martwy... Jak daleko sięga, gdy zestrza się ze świtami, które jaśniały przed nią, i z tymi, które muszą dopiero zajaśnieć? Łaknie dawnych poranków i spełnia ich blask; wysyłając światło naprzód, wchodzi w komuniję z tymi, które jeszcze nie nadeszły.

– Eleanor mocno wierzyła w reinkarnację i nie tylko uważała cierpienie za uszlachetniający ogień, który spala przeszkody na drodze do jeszcze wyższej ewolucji duchowej, ale posiadała też

bardzo rzadki dar: konkretną wizję tego, jak i gdzie się odrodzi. Mamy w Fundacji coś, co nazywamy „pudełkiem aha”, na te wszystkie małe odkrycia i chwile olśnienia, kiedy myślimy: „Aha!”. Wszyscy je miewamy, prawda? Kłopot w tym, że wypadają nam z głowy w natłoku codziennych zajęć, i dlatego Seamus, naczelny facylitator Fundacji, wymyślił „pudełko aha”, żeby można było zanotować myśl, wrzucić ją do środka i wieczorem podzielić się nią z innymi.

Anette poczuła pokusę anegdoty i dygresji, opierała się przez kilka sekund, lecz w końcu jej uległa.

– Był kiedyś u nas początkujący szaman z, jak by to powiedzieć, wymagającym charakterem, który codziennie miewał po kilkanaście takich olśnień. Wiele z nich okazywało się mniej lub bardziej zawołowanymi atakami na inne osoby z Fundacji. Pewnego wieczora przebrnęliśmy przez co najmniej dziesięć jego tak zwanych epifanii, aż wreszcie Seamus powiedział z tym swoim niezrównanym humorem: „Wiesz, Dennisie, dla jednego «Aha», dla innych «cha cha»”. I pamiętam, że Eleanor wybuchnęła wtedy śmiechem. Widzę to wyraźnie, jakby to było wczoraj. Zakryła usta, bo nie chciała być niegrzeczna, ale nie mogła się powstrzymać. Myślę, że żaden portret Eleanor nie byłby kompletny bez tego szelmowskiego śmiechu i bez jej spontanicznego ufnego uśmiechu. W każdym razie – rzekła, odzyskując poczucie kierunku przed ostatecznym natarciem – wracając do tego, o czym mówiłam wcześniej: pewnego dnia po pierwszym udarze, ale zanim przeniosła się do francuskiego domu opieki, Eleanor wrzuciła do pudełka niezwykle liścik. Napisała w nim, że odbyła wędrówkę w poszukiwaniu wizji i dowiedziała się, że powróci do Saint-Nazaire w kolejnym życiu jako młoda szamanka, kiedy Seamus i ja będziemy już bardzo starzy, i przekazemy jej Fundację, tak jak wcześniej ona przekazała ją nam, dzięki czemu zostanie zachowana „nieprzerwana ciągłość”. Chciałabym na koniec poprosić was, abyśmy przez chwilę pomyśleli o tym określeniu, „nieprzerwana ciągłość”, siedząc w ciszy i modląc się o rychły powrót Eleanor.

Anette opuściła głowę i westchnąwszy uroczyście, zamknęła oczy.

Mary miała wrażenie, że „rychły powrót” to już lekka przesada. Spojrzała niespokojnie na trumnę, jakby Eleanor mogła lada moment odemknąć wieko i wyskoczyć, biorąc świat w otwarte ramiona z tą niezręczną teatralnością z fotografii na broszurce. Wyczuwając bijące od Patricka zażenowanie, pożałowała, że poprosiła Anette o wygłoszenie mowy, choć zarazem nie przychodził jej do głowy nikt, kto mógłby ją zastąpić. Pełne dramatycznych zwrotów życie towarzyskie Eleanor niszczyło ciągłość i głęboką przyjaźń, zwłaszcza po samotnych latach demencji i po schizmie z Seamusem. Mary poprosiła też Johnny’ego, żeby przeczytał wiersz, a nawet, w desperacji, namówiła Erazma do przeczytania jednego fragmentu. Nancy, jedyna inna kandydatka do tej roli, histerycznie użalała się nad sobą i nie umiała precyzyjnie określić, kiedy przyleci z Nowego Jorku. Ten nieco sztuczny dobór przemawiających Mary zrównoważyła (a może uwydatniła) swojskością wybranych przez siebie fragmentów. Następne w kolejności były dwa popularne passusy biblijne i doszła teraz do wniosku, że wybrała najnudniej, jak się dało. Z drugiej zaś strony, nikt nie wiedział o śmierci nic ponad to, że jest nieunikniona, więc skoro wszyscy boją się tej wiadomej niewiadomej, to może mglisty majestat Biblii, a nawet preferowane przez Anette ogólnikowe ogromy Azji, będą lepsze niż samowolny pokaz oryginalności. Tym bardziej że Eleanor była, między innymi, chrześcijanką.

Anette zmierzała już na swoje miejsce. Mary była następna. Czowała, prawdę mówiąc, że wpada w lekki obłąd. Wstała z miejsca z niechęcią chytrze udającą niecierpliwość, przycisnęła się obok Patricka, nie patrząc mu w oczy, i podeszła do mównicy. Kiedy opowiadała ludziom o swojej tremie przed publicznymi wystąpieniami, dawano jej irytujące rady w rodzaju: „Nie zapomnij oddychać”. Teraz już wiedziała dlaczego. Najpierw zdawało się jej, że zemdleje, a potem, czytając fragment, który sto razy ćwiczyła na głos, poczuła ściskanie w gardle.

*Gdybym mówił językami ludzi i aniołów,
a miłości bym nie miał,
stałbym się jak miedź brzęcząca
albo cymbał brzęiący.
Gdybym też miał dar prorokowania
i znał wszystkie tajemnice,
i posiadał wszelką wiedzę,
i wszelką wiarę, tak iżbym góry przenosił,
a miłości bym nie miał,
byłbym niczym.
I gdybym rozdał na jałmużnę całą majątność moją,
a ciało wystawił na spalenie,
lecz miłości bym nie miał,
nic bym nie zyskał.*

Poczuła drapanie w gardle, próbowała jednak czytać dalej bez odkasływania.

*Miłość cierpliwa jest,
łaskawa jest.
Miłość nie zazdrości,
nie szuka poklasku,
nie unosi się pychą;
nie dopuszcza się bezwstydu,
nie szuka swego,
nie unosi się gniewem,
nie pamięta złego;
nie cieszy się z niesprawiedliwości,
lecz współweseli się z prawdą.
Wszystko znosi,
wszystkiemu wierzy,
we wszystkim pokłada nadzieję,
wszystko przetrzyma.
Miłość nigdy nie ustaje...*

Mary odchrząknęła i odwróciła głowę, żeby kaszlnąć. Wszystko na nic. Nie mogła się oprzeć wrażeniu, że istnieje pewien związek psychologiczny między tym fragmentem a jej atakiem kaszlu. Kiedy czytała go po raz kolejny dziś rano, wydał jej się szczytem fałszywej skromności: miłość pyszniąca się brakiem pychy, wielce rada z siebie, że się nie puszy. Przedtem wydawało się jej, że to wyraz najwyższych ideałów, teraz jednak, zmęczona i zdenerwowana, nie mogła się pozbyć uczucia, że to jedna z najbardziej pretensjonalnych rzeczy, jakie kiedykolwiek napisano. W którym miejscu skończyła? Spojrzała na kartkę i zaczęła po niej wodzić spanikowanym wzrokiem. Wreszcie znalazła to miejsce i ruszyła dalej, mając wrażenie, że jej głos nie należy do niej.

*jak proroctwa, które się skończą,
albo jak dar języków, który zniknie,
lub jak wiedza, której zabraknie.
Po części bowiem tylko poznajemy,
po części prorokujemy.
Gdy zaś przyjdzie to, co jest doskonałe,
zniknie to, co jest tylko częściowe.
Gdy byłem dzieckiem,
mówiłem jak dziecko,
czułem jak dziecko,
myślałem jak dziecko.
Kiedy zaś stałem się mężem,
wyzbyłem się tego, co dziecięce.
Teraz widzimy jakby w zwierciadle, niejasno;
wtedy zaś zobaczymy twarzą w twarz:
Teraz poznaję po części,
wtedy zaś poznam tak, jak i zostałem poznany.*

*Tak więc trwają wiara, nadzieja, miłość – te trzy:
z nich zaś największa jest miłość.*

Erazm nie słuchał, jak Mary czyta list świętego Pawła Apostoła do Koryntian. Od czasu przemówienia Anette był pogrążony w spekulacjach na temat doktryny reinkarnacji i tego, czy zasługuje ona na miano „literalnego nonsensu”. Było to określenie, które kojarzyło mu się z Victorem Eisenem, filozofem i przyjacielem Melrose’ów z lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych. W dyskusjach filozoficznych, po serii energicznych dowodów, słowa „literalny nonsens” wypadały z niego nagle jak sól z solniczki, z której wyleciała zakrętka. Dziś mało kto pamiętał o Eisenie i jego książkach, ale w czasach młodości Erazma był to elokwentny i zarozumiwały intelektualista publiczny. W swoim zapale do deprecjonowania, który zapewne przyczynił się w końcu do deprecjacji jego własnej osoby, z pewnością uznałby reinkarnację za „literalny nonsens”: taka odcieleśniona narracja, bez dowodów i bez pamięci, nie spełniała Parfitowskich kryteriów tożsamości osobowej. Kto się odradza? Oto miażdżące pytanie, chyba że osoba, której się je zadało, była buddystą. Wówczas odpowiedź brzmiała: nikt. Nikt się nie odrodził, bo też nikt się przedtem nie urodził. Coś dużo bardziej luźnego, jakby strumień myśli, przybrało ludzką postać. Życie ludzkie, aby zaistnieć, nie potrzebowało ani duszy, ani tożsamości osobowej, wystarczył zlepek zwyczajów uczepony płytkiego konceptu samodzielnego istnienia, niczym gromada rozpaczliwie ratujących się pasażerów zatapiająca szalupę, w której widzą szansę ocalenia. Gdzieś w tle zawsze była okazja, by zanurzyć się po cichu w lśniący ocean prawdziwej natury, która również nie jest osobowa. Z tego punktu widzenia to stanowisko Parfita i Eisena było „literalnym nonsensem”. Mimo to Erazm nie miał problemu z odrzuceniem reinkarnacji z uwagi na brak powodów, aby w nią wierzyć – pod warunkiem że implicytnie zawarty w tym odrzuceniu fizykalizm także zostanie odrzucony. Współzależność między aktywnością mózgu a świadomością mogła przecież wskazywać na to, że mózg jest odbiornikiem świadomości, jak radio tranzystorowe albo transponder, a nie zamkniętym w czaszce generatorem prywatnych obrazów. Ten...

Czyjaś ręka przerwała mu rozmyślania, potrząsając go delikatnie za ramię. Zwróciwszy w ten sposób jego uwagę, sąsiadka wskazała na Mary, która stała między rzędami ławek i spoglądała znacząco w jego stronę. Nieco szorstkim, jak mu się zdawało, skinieniem głowy przypomniawszy, że teraz jego kolej. Podniósł się z przepaszającym uśmiechem i miażdżąc palce u stopy kobiecie, która nim potrząsnęła, wygramolił się z ławki. Miał do przeczytania fragment z Księgi Objawienia – albo Zaciemnienia, jak wolał ją nazywać. Czytając ją w pociągu z Cambridge, miał wielką ochotę zbudować wehikuł czasu, żeby móc sprezentować jej autorowi egzemplarz *Krytyki czystego rozumu* Kanta.

Erazm włożył okulary i rozprostował kartkę na pochyłym blacie mównicy, powstrzymując się, żeby nie zacząć wymieniać wszystkich niesprawdzonych założeń, od których dosłownie roilo się w leżącym przed nim słynnym fragmencie. Wątpił, czy zdoła nadać swojemu głosowi stosowny odcień egzaltowanego podziwu, ale może przynajmniej uda mu się zamaskować wszelkie ślady sceptycyzmu i oburzenia. Z wewnętrznym westchnieniem człowieka, który umywa ręce od tego, co się zaraz stanie, Erazm przystąpił do rzeczy.

*I ujrzałem niebo nowe i ziemię nową,
bo pierwsze niebo i pierwsza ziemia przeminęły,*

i morza już nie ma.

Nancy wciąż nie ochłonęła ze złości na tego fajtlapę, który nadepnął jej na stopę, a teraz jeszcze chciał jej zabrać morze. Bez morza nie byłoby wybrzeża, nie byłoby Cap d'Antibes (dziś co prawda i tak zrujnowanego), nie byłoby Portofino (latem nie do zniesienia), nie byłoby Palm Beach (choć to już nie to samo miejsce co kiedyś).

I Miasto Świąte – Jeruzalem Nowe ujrzałem

O nie, kolejne Jeruzalem, pomyślała Nancy. Jedno nie wystarczy?

*zstępujące z nieba od Boga,
przystrojone jak oblubienica zdobna w klejnoty dla swego męża.
I usłyszałem donośny głos mówiący od tronu:
«Oto przybytek Boga z ludźmi:
i zamieszka wraz z nimi,
i będą oni Jego ludem,
a On będzie „BOGIEM Z NIMI”.
I otrze z ich oczu wszelką łzę,
a śmierci już odtąd nie będzie.
Ani żałoby, ni krzyku, ni trudu
już odtąd nie będzie,
bo pierwsze rzeczy przeminęły».*

Całe to czytanie fragmentów Biblii działało jej na nerwy. Nie chciała myśleć o śmierci – myślenie o śmierci ją przygnębiało. Na porządnym pogrzebach śpiewały wspaniałe chóry, które zwykle nie występują na prywatnych uroczystościach, i wzięci tenorzy, których wynajęcie graniczy z cudem, a fragmenty czytali znani aktorzy lub ważne osobistości. Dzięki temu robiło się jakoś lżej i człowiek prawie w ogóle nie myślał o śmierci, nawet jeśli to były te same fragmenty, bo próbował sobie przypomnieć, kiedy jakaś osoba o zmęczonej twarzy pełniła funkcję ministra skarbu albo jak się nazywał ostatni film, w którym wystąpiła. To był właśnie cud sławy. Im dłużej się nad tym zastanawiała, tym bardziej złościł ją smętny pogrzeb Eleanor. Dlaczego w ogóle zdecydowała się na kremację? Ogień to nieszczęście. Coś, od czego człowiek się ubezpiecza. Egipcjanie mieli rację z piramidami. Oto ideał przytulnej siedziby: ogromna i trwała, można przechowywać wszystkie swoje rzeczy (ale również cudze! mnóstwo różnych rzeczy!), zbudowana przez tysiące niewolników, którzy sekrety budowli zabrali ze sobą do nieoznaczonych grobów. Dziś brygady zorganizowanych w związki zawodowe budowniczych domagałyby się zaporowych kwot na ubezpieczenia społeczne. Taki to był ten współczesny świat. Co nie zmieniało faktu, że jakiś rodzaj okazałego pomnika był nieskończenie bardziej pożądany od urny z garścią prochu.

*I rzekł Zasiadający na tronie:
«Oto czynię wszystko nowe».*

*I mówi: «Napisz:
Słowa te wiarygodne są i prawdziwe».
I rzekł mi: «Stało się.
Jam Alfa i Omega,
Początek i Koniec.
Ja pragnącemu
dam darmo pić ze źródła wody życia.
Zwycięzca to odziedziczy
i będę Bogiem dla niego,
a on dla mnie będzie synem».*

Johnny'emu wszystkie te fragmenty przywodziły na myśl artykuł, który napisał w latach zuchwałej młodości, zatytułowany *Omnipotencja i zaprzeczenie. Pokusa wiary religijnej*. Stawiał w nim prostą tezę, iż religia odwraca wszystko, co nas przeraża w ludzkiej egzystencji: wszyscy umrzemy (wszyscy będziemy żyć wiecznie); życie jest okropnie niesprawiedliwe (nastanie absolutna i doskonała sprawiedliwość); strasznie jest być poniewieranym i bezsilnym (cisi posiadają ziemię na własność) i tak dalej. Inwersja musiała być całkowita; nie wystarczy powiedzieć, że życie jest raczej niesprawiedliwe, ale nie tak bardzo, jak się czasem wydaje. Kto wie, czy zgubą Hadesu nie była jego bladeść: kiedy już się uwierzyło, że świadomość nie kończy się w chwili śmierci, kraina niespokojnych cieni tęskniących za krwią, krzepą, bojem i winem mogła się wydać lichą nagrodą. Achilles powiedział, że lepiej być wyrobnikiem na ziemi niż królem w podziemiu. Przy takim podejściu życie pozagrobowe było skazane na wymarcie. Jedynie coś absolutnie kontrfaktycznego mogło uratować pobożność w skali globu. W swoim artykule Johnny kreślił analogie między owym spektakularnym zaprzeczeniem smutnych i strasznych aspektów rzeczywistości a funkcjonowaniem nieświadomości indywidualnego pacjenta. Dalej przeprowadzał bardziej szczegółowe porównania między różnymi formami chorób umysłowych a, jak twierdził, ich odpowiednikami w dyskursie religijnym, nie mając pojęcia o religijnej stronie tych równań. Przekonany, że jest w stanie rozwiązać wszystkie problemy świata w dwunastu tysiącach słów, łączył represje polityczne z represją psychologiczną, robiąc przy tym standardowe uwagi o kontroli społecznej. Cały tekst opierał się na hipotezie, iż jedynym istotnym projektem jest autentyczność, a wiara religijna siłą rzeczy stoi jej na przeszkodzie. Dziś trochę go zawstydział ten brak subtelności i autosceptycyzmu jego dwudziestodzieciolatniego umysłu. Dopiero się wtedy uczył i nie miał jeszcze pacjenta, a co za tym idzie, był o wiele pewniejszy mechanizmów ludzkiej psychiki.

Mary poprosiła go, żeby przeczytał wiersz Henry'ego Vaughana, z którym nigdy wcześniej się nie zetknął. Uważała, że pasował idealnie do światopoglądu Eleanor, dla której życie było wygnaniem od Boga, a śmierć – powrotem do domu. W porównaniu z tym wierszem inne, przyjemniejsze, wydawały się zbyt konwencjonalne albo pozbawione związku, Mary postanowiła więc, że pozostanie wierna metafizycznej nostalgii zmarłej. Johnny uważał, że nadawanie rangi religijnej tym tęsknotom jest kolejnym przejawem oporu. Niezależnie od tego, skąd przybywamy i dokąd zmierzamy (i czy te pojęcia w ogóle cokolwiek znaczą), liczy się to, co pomiędzy. Jak stwierdził Wittgenstein: „Śmierć nie jest wydarzeniem w życiu. Śmierci się nie doznaje”.

Mijając się z Erazmem, Johnny lekko się do niego uśmiechnął. Oparł egzemplarz *Poetów*

metafizycznych na blacie mównicy i otworzył na stronie, którą założył wcześniej paragonem z taksówki. Zaczął czytać mocnym i pewnym głosem:

*Szczęśliwe dni, gdy jako dziecię
W anielsko jasnym żyłem świecie:
Zanim pojąłem, że świat służy
Tylko powtórnej mej podróży,
Gdy duszę jeszcze wypełniała
Myśl prosta i niebiańsko biała,
Gdym od Miłości Pierwszej tyle
Odchodził, co na jedną milę,
I, patrząc wstecz, blask Jego twarzy
Widziałem, jak się z dala jarzy;
Gdy w róż purpurze i chmur złocie
Dusza się kryła jak w namiocie,
Pragnąc w ich blaskach choć przez mgnienie
Dostrzec wieczności blade cienie;
Nim język, grzesznie rozgadany,
Sumieniu memu zadał rany,
Gdym nie znał, co to sztuka czarna,
W zmysłach siejąca grzechów ziarna,
I całym ciałem czułem jeszcze
Nieśmiertelności jasne dreszcze.*

Nicholasa zaczęło ogarniać to szczególne uczucie klaustrofobii, które kojarzył z przymusowym pobytem w szkolnej kaplicy. Fala za falą chrześcijańskich uczuć, i to bez pociechy w postaci wetkniętego ukradkiem do kancjonału spóźnionego łacińskiego przekładu. Poprawił sobie humor własną wersją chrześcijańskiej opowieści: „Bóg wysłał swojego syna jedynego na ziemię, aby zbawił biednych, ale skończyło się to całkowitą klapą, jak wszystkie niewydarzone projekty socjalistyczne; wtedy Najwyższa Istota poszła po rozum do głowy i wysłała Nicholasa, aby zbawił bogatych, i był to absolutny sukces”. Oczywiście Kościół katolicki, ze swoją pożałowania godną tradycją tortur, inkwizycji, wojen religijnych i miażdżącego dogmatu, a także o niebo bardziej wybaczną tradycją skandali seksualnych i ogólnego doczesnego rozpasania, uzna ten dziejowy zwrot za herezję; lecz herezja stanowi jedynie preludium do nowego protestanckiego ładu religijnego. „Nicholizm” podbiłby szturmem świat „osób o wysokiej wartości netto”, jak mawiał jego straszny amerykański doradca inwestycyjny. Oczywiście jak zwykle pojawiało się pytanie, w co się ubrać. Arcyplutokrata Kościoła Odkupienia Bogactw w Dniach Ostatnich powinien zadawać szyku. Nicholas wy dobył z pamięci strój pafia, w którym jako dziesięcioletek paradował na bardzo wystawnym weselu członka rodziny królewskiej – jedwabne spodnie za kolano, srebrne guziki, buty z klamrami... nigdy potem nie czuł się tak pewien swojej ważności jak tamtego dnia.

Johnny w ostatniej strofie podwoił swoje wysiłki intonacyjne.

O, jakże w tę krainę błogą

*Chcę wrócić, kroczyć dawną drogą!
Obym równinę tę znów zoczył,
Gdziem pierwszy raz ze szlaku zboczył
I skąd duch światły dojrzyć może
W cieniu palm skryte Miasto Boże!
Lecz dusza moja, ze zwlekania
Pijana, chwieje się i ślania.
Wolą zazwyczaj ludzkie dusze
Iść naprzód; ja zaś wspak wyruszę
I gdy mój proch się znajdzie w urnie,
W tym kształcie zjawię się powtórnie⁶.*

Wierutna bzdura, pomyślał Nicholas – to, że człowiek wraca tam, skąd przybył. Jak gdyby po tak niezwykle barwnym życiu cokolwiek mogło być takie samo jak przedtem. A zresztą jak można pozostać niezmiennym po przejściu przez Padół Zaproszeń i Sardonicznego Śmiechu? Spojrzał na broszurę z programem. Wyglądało na to, że wiersz Vaughana jest ostatnim jego punktem. Na dole strony widniało zaproszenie do Onslow Club na poczęstunek. Chętnie by się wykpił, ale w przystępie lekkomyślnej wielkoduszności obiecał Nancy, że dotrzyma jej towarzystwa. Był jeszcze umówiony na czwartą na odwiedzin u umierającego przyjaciela w szpitalu Chelsea and Westminster, więc może to i lepiej, będzie miał rzut beretem. Całe szczęście, że wynajął samochód na cały dzień; przy takich odległościach (około sześciuset jardów) człowiek narażał się na fochy taksówkarzy marzących o kursie do Gatwick albo Penzance. Trzeba tylko pilnować auta, bo inaczej Nancy mu je zarekwiruje do własnych celów. On wyjdzie chwiejnym krokiem ze szpitala, cierpiąc na zanik współczucia, który dotyka czasem najbardziej heroiczne pielęgniarki, a tu niespodzianka, jego samochód jest na Berkeley Square, gdzie Nancy próbuje wyciągnąć gotówkę od pracownika Morgan Guaranty. Jej kuzyn Henry, który niespodziewanie zjawiał się na pogrzebie, powiedział mu kiedyś, że w dzieciństwie mówiono na nią Kleptomanka. Znikały różne drobiazgi – ukochane szczotki do włosów, dziecięca biżuteria, cenne skarbonki – i odnajdywały się w sroczym gnieździe pokoju Nancy. Rodzice i nianie wyjaśniali jej, z początku cierpliwie, później z coraz większą złością, że nie wolno kraść, ale Nancy nie umiała się oprzeć pokusie i kilkakrotnie wyrzucano ją ze szkół z internatem za kradzieże i kłamstwa. Odkąd Nicholas pamiętał, zawsze była niewolnicą swojej zachłanności, poczucia, że bardziej niż oni zasługuje na bogactwa swoich przyjaciół i krewnych i że lepiej by z nich korzystała. Nieznajomym nie zazdrościła tylko dlatego, że chciała się zdystansować od swojej służącej, która wypełniała kuchnię chorobliwym trajkotem o życiu gwiazd oper mydlanych. Jej relacje o spotykających je banalnych tragediach uśmierzały wzburzenie wywołane poprzednimi historiami o niezasłużonych nagrodach i absurdalnych luksusach.

Celebryci byli dobrzy dla mas, ale dla Nicholasa liczył się tak zwany „wielki świat”, czyli garstka ludzi, których pochodzenie, wygląd lub dowcip sprawiały, że warto było ich zaprosić na kolację. Nancy należała do tego świata z urodzenia i nawet absolutnie potworna osobowość nie mogła jej z niego wykluczyć. Człowiek musiał być czemuś wierny, a ponieważ wielki świat dawał więcej okazji do zdrady niż jakikolwiek inny, z wyjątkiem świata polityki, Nicholas był wierny wielkiemu światu.

Obserwował Patricka czujnie jak drapieżnik, wypatrując znaku, że uroczystość wreszcie dobiegła końca. Wtem z głośników popłynęły energiczne pierwsze dźwięki *Fly Me to the Moon*.

*Zabierz mnie na Księżyc, chcę pobawić się wśród gwiazd;
Spójrzeć, jak wygląda wiosną Jowisz, a jak Mars.*

No fantastycznie, pomyślał Nicholas, teraz jeszcze na Księżyc. Głos Franka Sinatry, pełen nieskrępowanej pewności siebie, doprowadzał go do szaleństwa. Kojarzył mu się z uciechami, których nie zaznał w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych. Eleanor pewnie się zdawało, że jest szczęśliwa, kiedy opuszczała igłę gramofonu na singiel Sinatry, kręcący się z zawrotną prędkością czterdziestu pięciu obrotów na minutę, i rzucała między przepełnione popielniczki i umazane szminką szklanki z ginem pustą okładkę z fotografią tej chytrej, pospolitej twarzy, uśmiechającej się promiennie znad błękitnego garnituru.

Dalej wpatrywał się w Patricka i Mary z nadzieją, że ruszą do wyjścia. Lecz ku jego zgrozie to nie syn Eleanor się poruszył, ale jej trumna: przesuwała się na metalowych wałkach ku zasłonom z fioletowego aksamitu.

*A mówiąc wprost: daj mi dłoń
A mówiąc wprost: pocałuj mnie czule.*

Trumna wjechała między zasuwane zasłony i zniknęła z oczu. Mary w końcu wstała i ruszyła przejściem między ławkami, Patrick tuż za nią.

*Niech mi gra muzyka w sercu aż po koniec dni
Ciebie tylko pragnę, śnię o tobie piękne sny!
A mówiąc wprost: nie zrań mnie!
A mówiąc wprost: kocham cię.*

Niespodziewanie wytrącony z równowagi widokiem mechanicznie poźartej trumny, Nicholas rzucił się ku przejściu, rozdzielając Mary i Patricka. Pomagając sobie dalekimi wyrzutami laski, kuśtykał spiesznie ku drzwiom i po chwili owiało go chłodne powietrze londyńskiej wiosny.

Patrick wyszedł na blade światło dnia. Czuł ulgę, że pogrzeb się skończył, lecz myślał z przykrością o czekającym go przyjęciu. Zbliżył się do Mary i Johnny'ego, stojących pod czereśnią, która dopiero zaczynała kwitnąć.

- Wolałbym przez chwilę z nikim nie rozmawiać, poza wami, rzecz jasna – dodał uprzejmie.
- Z nami też nie musisz – zapewnił go Johnny.
- Doskonale – rzekł Patrick.
- Może nie czekaj, tylko jedź z Johnnym? – zasugerowała Mary.
- To nie będzie kłopot? Czy mogłabyś...
- Zając się wszystkim – dokończyła za niego.
- Właśnie.

Uśmiechnęli się oboje, rozbawieni tym, jak typowo się zachowują.

Kiedy Patrick szedł z Johnnym do jego samochodu, w górze z hukiem i gwizdem przeleciał samolot. Obejrzał się na budynek w stylu włoskim, z którego przed chwilą wyszedł. Kampanila skrywająca komin krematorium, niskie łuki ceglano-krużganku, śpiący zimowym snem ogród różany, płacząca wierzba i omszałe ławki – wszystko to razem stanowiło arcydzieło porządnej nijakości.

- Chyba sam skorzystam z ich usług.
- Nie ma co się spieszyć.
- Zamierzałem poczekać, aż umrę.
- I bardzo słusznie.

Kolejny samolot rozpruł ciszę. Przyspieszyli kroku i schowali się w wytłumionym wnętrzu samochodu. Za barierkami, brzegiem Tamizy, sunęli biegacze i rowerzyści, z uporem przedłużający sobie życie.

- Myślę, że śmierć matki to najlepsze, co mi się przytrafiło od czasu... od czasu śmierci ojca.
- To chyba nie jest takie proste – odparł Johnny. – Inaczej po ulicach biegałyby wesołe gromadki sierot.

Nastało milczenie. Patrick nie był w nastroju do przekomarzań. Wyczuwał w sobie jakąś nową witalność, którą można było łatwo zaprzepaścić, ulegając nawykowi, w tym nawykowi udawania mądrzejszego, niż jest. Tak jak wszyscy żył w świecie, w którym na ścianach dusznej komnaty ukazywały się wciąż te same wzory emocji, teraz jednak na chwilę uzmysłowił sobie, jaką nedorzecznnością było branie tego migoczącego obrazu za rzeczywistość. Jakie znaczenie miało uczucie, którego doświadczył czterdzieści lat temu, a co dopiero takie, które w sobie stłumił? Kryzys nie wynikał z przeszłości, ale z kurczowego trzymania się jej; uwięziony w podupadłej rezydencji przy Bulwarze Zachodzącego Słońca, Patrick musiał oglądać amatorskie filmy zranionego narcyza. W tej krótkiej chwili potrafił sobie wyobrazić, że wymyka się Glorii Swanson, przekrada na palcach obok jej straszego kamerdynera i zanurza w zgiełku współczesnych ulic; wyobrażał sobie rozpad całego systemu, nie wiedząc, co by się działo dalej.

Na malutkim rondzie za bramą krematorium spostrzegł znaki prowadzące do Centrum Odzysku i Recyklingu przy Townmead Road. Zaczął się zastanawiać, czy Eleanor jest w tej chwili recyklingowana. Biedaczka i tak już miała niezły mętlik w głowie, czy naprawdę trzeba ją było jeszcze przeciągać przez mętne światła i oślepiające światła i kolorowe mandale bardzo,

konfrontować ją z tabunami rozgniewanych bóstw i głodnych duchów, aby osiągnęła transcendencję, od której uciekała za życia?

Droga biegła wzdłuż obsadzonego żywopłotem ogrodzenia cmentarza Mortlake, obok cmentarzy Hammersmith i Fulham, przez most Chiswick aż do cmentarza o tej samej nazwie po drugiej stronie rzeki. Całe akry nagrobków krzyżujących plany londyńskim deweloperom. Dlaczego śmierć, to wielkie nic, zajmuje tyle miejsca? Lepiej spłonąć w pustym błękitnym powietrzu niż grodzić się na tej bezsłonecznej plaży, jeden przy drugim w ziemi pełnej kości, licząc, że łącznywie korzenie drzew i kwiatów dadzą namiastkę zmartwychwstania. Może tych, którzy zaznali prawdziwej matczynej troski, pociąga gościnne łono Ziemi, a ci, których porzucono i zdradzono, wolą być rzućeni w zimne i obojętne niebo. Johnny jako terapeuta pewnie miał własne zdanie na ten temat. Represja była innego rodzaju pogrzebaniem, chowało się traumę w głębinach nieświadomości, niczym posąg zakopany w piaskach pustyni, które chronią jego rysy przed erozyjnym działaniem zwykłego doświadczenia. Johnny pewnie i o tym mógłby coś powiedzieć, ale Patrick wołał trwać w milczeniu. Czym w ogóle jest nieświadomość, w odróżnieniu od innych form pamięci, i czemu zawdzięcza swoją suwerenność, wyrażoną rodzajnikiem określonym⁷, który czyni z niej rzecz i miejsce, podczas gdy reszta pamięci jest zdolnością i procesem.

Samochód wspiął się na zniszczony wąski wiadukt nad rondem Hogartha. Odkąd pamiętał, ta wiecznie tymczasowa konstrukcja domagała się wymiany. Może to był komunikacyjny odpowiednik palenia papierosów: nigdy nie jest dobry dzień, żeby powiedzieć „stop” – jutro rano będą korki... zbliża się weekend... weźmy się za to po olimpiadzie... dwa tysiące dwadzieścia to taka ładna okrągła liczba, w sam raz, by zacząć od nowa.

– Ten sypiący się wiadukt – powiedział Patrick.

– Prawda? – odparł Johnny. – Zawsze się boję, że się zawali.

Patrick wcale nie chciał się odezwać. To jego wewnętrzny monolog wypłynął na powierzchnię. Lepiej się zanurzyć i zacząć od nowa.

Zaczynanie od nowa nie miało w sobie nic nowego. Nie było czego zaczynać, były tylko pozory wyłaniające się z potencjalnych pozorów, jak mowa z wewnętrznego monologu. Być na równi z tą artykulacją: to była nowość. Czuł to w swoim ciele, jak gdyby w każdej chwili miał do wyboru: istnieć albo przestać, a istniejąc, odnawiał się.

– Zastanawiałem się właśnie nad represją – powiedział. – Nie uważam, że trauma ulega wyparciu, a ty?

– Myślę, że w świetle najnowszej wiedzy to słuszny pogląd – odparł Johnny. – Trauma jest zbyt silna i zbyt natrętna, żeby dało się o niej zapomnieć. Trauma prowadzi do dysocjacji i rozszczepienia.

– To co ulega wyparciu?

– Wszystko to, co podważa akomodacje fałszywego ja.

– To mnóstwo roboty.

– Owszem.

– Ale może być też tak, że w ogóle nie ma represji, niczego nie chowamy w ukryciu; życie po prostu przez nas prześwieca.

– Teoretycznie.

Patrick dojrzał znajomą betonową fasadę i akwariowo niebieskie okna szpitala Cromwell.

– Pamiętam, jak spędziłem tam miesiąc z wypadniętym dyskiem, tuż po śmierci ojca.

– A ja pamiętam, jak dowoziłem ci leki przeciwbólowe.

– Mają moją dozgonną wdzięczność za ambitną kartę win i arabskie kanały telewizyjne z mnóstwem filmów akcji – rzekł Patrick z majestatycznym gestem w stronę arcydzieła architektury postbrutalistycznej.

Ruch przez Gloucester Road w kierunku Muzeum Historii Naturalnej odbywał się płynnie. Patrick ponownie nakazał sobie milczenie. Przez całe życie, a przynajmniej odkąd nauczył się mówić, odczuwał pokusę zalewania trudnych sytuacji falą słów. Kiedy Eleanor straciła mowę, a Thomas jeszcze jej nie posiadał, Patrick odkrył w sobie niewyraźalny rdzeń, który opierał się powodzi słów, próbował więc zalać go alkoholem. Może w ciszy zdoła dostrzec, czym było to coś, co usiłował zatrzeć gadulstwem i pijaństwem. Co to było, co nie dało się wymówić? Mógł tylko szukać tego po omacku w ciemnościach świata sprzed słów.

Jego ciało było cmentarzyskiem pogrzebanych emocji; symptomy skupiały się wokół jednego fundamentalnego lęku, tak jak cmentarze, które niedawno minęli, wysypały się dookoła Tamizy. Nerwowy pęcherz, drażliwe jelito, bóle w krzyżu, skoki ciśnienia – od normalnego do niebezpiecznie wysokiego w parę sekund – na dźwięk skrzypiącej podłogi albo na myśl o innej myśli, wreszcie panująca nad nimi despotka bezsenność, wszystko to wskazywało na niepokój tak głęboki, że zaburzający instynkty i przejmujący kontrolę nad automatycznymi procesami organizmu. Zachowanie można było zmienić, nastawienie zmodyfikować, mentalność przekształcić, ale trudno było prowadzić dialog z somatycznymi odruchami z wczesnego dzieciństwa. Małe dziecko nie miało jak się wyrazić i nie miało czego wyrażać. Znało tylko niemy język choroby i krzywdy. Mogło też, oczywiście, krzyczeć, o ile mu na to pozwalano.

Pamiętał, jak mając trzy lata, stał na brzegu basenu we Francji i wpatrywał się z pełną ostrożności tęsknotą w wodę, żałując, że nie umie jeszcze pływać. Nagle coś go uniosło i wyrzuciło wysoko w powietrze. W powolnej grozie, kiedy czas gęstnieje od mnogości wrażeń rejestrowanych przez wystraszony mózg, całą siłą niedowierzania i przerażenia, jakie go wtedy ogarnęły, próbował zdystansować się od tej niebezpiecznej cieczy, przed wpadnięciem do której tak często go przestrzegano, lecz mimo to runął do basenu. Wywijał rękami i nogami, wychynął z wody, złapał trochę powietrza i znów się zanurzył. Walczył o życie, miotając się bezładnie, czasem nabierając tchu, a czasem wody, a kiedy w końcu musnął palcami szorstką kamienną krawędź basenu, rozplakał się najciszej, jak potrafił, dusząc w sobie rozpacz, bo wiedział, że jeśli zaszlocha zbyt głośno, ojciec zrobi coś brutalnego i bezlitosnego.

David w ciemnych okularach siedział bokiem do Patricka przy stole z żółtym obłoczkiem pastis, palił cygaro i zachwalał swoje metody wychowawcze Nicholasowi Prattowi: stymulacja instynktu przetrwania; rozwój samodzielności; antidotum na matczyne rozpieszczanie; w ostatecznym rozrachunku korzyści były tak oczywiste, że tylko stadna głupota tłumaczyła, dlaczego nie wszystkie trzylatki są rzucane na głęboką wodę, zanim nauczą się pływać.

Ponieważ Robert był ciekaw swojego dziadka, Patrick opowiedział mu jakiś czas temu o swojej pierwszej lekcji pływania. Uznał, że opowieść o biciu i molestowaniu byłaby dla niego zbyt ciężka, chciał jednak dać synowi pewne wyobrażenie o surowości Davida. Robert był absolutnie wstrząśnięty.

– To straszne – powiedział. – Przecież trzylatek w takiej sytuacji myśli, że umiera. Zresztą mogłeś naprawdę umrzeć – dodał, po czym objął Patricka, jakby wyczuwał, że niebezpieczeństwo niezupełnie minęło.

Empatyczna reakcja Roberta sprawiła, że Patrick sam poczuł się przytłoczony realnością tego, co w zamyśle miało być raczej niewinną anegdotą. W nocy nie mógł spać, a kiedy udało mu się zasnąć, zaraz budził go łomot własnego serca. Chodził głodny, ale nie mógł niczego strawić. Nie

mógł też przetrwać fakt, że miał za ojca człowieka, który chciał go zabić, który prędzej by go utopił, niż nauczył pływać, człowieka, który chwalił się, że strzelił w głowę komuś, kto zbyt głośno krzyczał, i mógłby zrobić to samo jemu, Patrickowi, gdyby był za głośno.

Oczywiście w wieku trzech lat Patrick potrafił już mówić, nawet jeśli nie wolno mu było powiedzieć, co go trapi. Wcześniej jego czynna pamięć, niepodtrzymywana przez opowiadanie, rozpadała się i znikła. Jedyne klucze do tamtych mroczniejszych krain tkwiły w jego ciele i w paru historiach na temat jego wczesnych dni opowiedzianych mu przez matkę. Również w nich ważną rolę odgrywał wstręt ojca do wrzasków, z którego to powodu Patrick spędził pierwszą zimę życia z matką na chłodnym strychu domu w Kornwalii.

Wcisnął się głębiej w fotel pasażera. W chwili, gdy sobie uzmysłowił, że nadal spodziewa się uduszenia albo upuszczenia, poczuł duszność i zawroty głowy od samego oczekiwania, a kiedy zadawał sobie pytanie, czy dzieciństwo jest przeznaczeniem, ono także dusiło go i przyprawiało o zawroty. Czuł ciężar swojego ciała i ciężar na swoim ciele. To było jak mur oporowy uginający się pod naciskiem zbroczy; jedyne połączenie i zarazem twarda osłona przed bezkształtnymi zmorami wczesnego dzieciństwa. Coś, co Johnny mógłby chcieć nazwać konfliktem preedypalnym, lecz jakkolwiek by nazwano ten bezimienny niepokój, Patrick czuł, że budząca się w nim powoli nowa witalność zależy od gotowości do odkopania pogrzebanych emocji, tak by mogły się połączyć ze strumieniem bieżących uczuć. Musi zwracać baczniejszą uwagę na skąpe znaki, które mu się ukazywały. Zeszłej nocy zbudził go dziwny i niepokojący sen, który jednak bezpowrotnie wyleciał mu z głowy.

Rozumiał intuicyjnie, że śmierć matki jest wystarczająco potężnym kryzysem, by wstrząsnąć jego mechanizmami obronnymi. Nagłe zniknięcie kobiety, która go urodziła, stanowiło ulotną okazję do tego, by się wewnętrznie odrodzić. Należało oczywiście zachować realizm: terażniejszość była wierzchnią warstwą przeszłości, a nie żadnym eldorado nowości, jak usiłowali wszystkim wmawiać ludzie pokroju Seamusa i Anette; lecz nawet coś nieznacznie nowego mogło się stać warstwą ukrytą pod czymś nieznacznie nowszym. Nie wolno mu zaprzepaścić tej szansy, inaczej za sprawą swojego ciała będzie dalej wiódł życie pełne daremnego heroizmu, niczym japoński żołnierz, który nie dowiedział się o kapitulacji i wciąż minuje swój skrawek dżungli, szykując się na szaszczytną, własnoręcznie zadaną śmierć.

Przesiadka ojca na miejsce z przodu samolotu w klasie psychopatycznej przyprawiała Patricka o mdłości, ale jeszcze większą niechęć budziła w nim myśl, że miałby zrezygnować ze swojego dziecięcego wyobrażenia o matce jako współofiarze gwałtownego okrucieństwa Davida. Głębsza prawda, że był zabawką w sadomasochistycznym związku rodziców, długo nie była czymś, co byłby gotów rozważyć. Trzymał się kurczowo wątej pociechy, że matka była kochającą kobietą, która próbowała zaspokoić jego potrzeby, nie dostrzegając, że traktuje go jak przedłużenie swojej żądz upokorzenia. Ile było autokreacji w historii o zimnym poddaszu? Z pewnością wzmacniała obraz Eleanor jako towarzyszkę jego niedoli, uchodźczyni uciekającej z poparzeniami na plecach i dzieckiem na rękach przed zapalającymi bombami gniewu i samodestrukcji Davida. Nawet gdy Patrick zdobył się na to, by jej powiedzieć, że ojciec go zgwałcił, odparła pośpiesznie: „Mnie też”. W swoim pragnieniu bycia ofiarą zdawała się w ogóle nie brać pod uwagę, że jej opowieści mogą oddziaływać także na innych płaszczyznach. Duszony, upuszczany, zrodzony z gwałtu i dla gwałtu – jakie to wszystko miało znaczenie, grunt, że Patrick rozumiał, jak bardzo było jej ciężko i jak daleka była od kolaboracji z ich oprawcą. Kiedy ją spytał, dlaczego nie odeszła, powiedziała, że bała się, że David ją zabije, ale skoro usiłował to zrobić dwukrotnie, żyjąc z nią pod jednym dachem, trudno było doprawdy

zrozumieć, dlaczego mieszkanie osobno miałyby ją narazić na większe niebezpieczeństwo. Prawda, od której, kiedy ją sobie wyznał, skoczyło mu ciśnienie, była taka, że Eleanor pragnęła brutalności, którą znajdowała w towarzystwie Davida, i wciągnęła w ten układ swojego syna. Patrick miał ochotę zatrzymać samochód, wysiąść i pójść pieszo; miał ochotę strzelić sobie whisky, strzelić sobie w żyłę, strzelić sobie w łeb – uciąć te wrzaski, skończyć z tym, zapanować nad sytuacją. Pozwalał, by te impulsy wzbierały w nim i opadały, nie przywiązując zbyt dużej wagi do żadnego z nich.

Samochód skręcił w ulicę Queensbury Place, obok Lycée Français de Londres, gdzie Patrick, mając siedem lat, zaliczył rok dwujęzycznego łobuzerstwa. Na uroczystości rozdania nagród w Royal Albert Hall znalazł na swoim pluszowym czerwonym fotelu bajkę *La chèvre de Monsieur Seguin*. Wkrótce opowieść o bohaterskim koziołku, zwabionym w wysokie góry przez wysyp alpejskich kwiatów („*Je me languis, je me languis, je veux aller à la montagne*”), zawładnęła jego wyobraźnią. Monsieur Seguin, któremu wilk zjadł już sześć kóz, nie zamierza stracić kolejnej i zamyka bohatera w szopie, lecz koziołek wydostaje się z niej przez okno i spędza rozkoszny dzień na stokach umajonych czerwonymi, niebieskimi, żółtymi i pomarańczowymi kwiatami. O zachodzie słońca wśród wydłużających się cieni spostrzega nagle smukłą sylwetkę głodnego wilka: siedzi zadowolony w wysokiej trawie i obserwuje swoją ofiarę. Wiedząc, że czeka go śmierć, koziołek mimo wszystko postanawia walczyć aż do świtu („*pourvu que je tienne jusqu'à l'aube*”), opuszcza głowę i rusza do ataku. Walczy całą noc, atakując wytrwale, aż w końcu, gdy słońce wyłania się znad szarej grani przeciwległej góry, pada na ziemię i zostaje zgłodzony. Czytając tę bajkę wieczorami w swoim pokoju przy Victoria Road, Patrick za każdym razem wzruszał się do łez.

To był ten dziwny sen zesłej nocy! Zakapturzona postać krocząca wśród stada kóz, odciągająca im głowy do tyłu i podrzynająca gardła. Patrick był jedną z kóz na obrzeżach stada; dumny i pogodzony ze swoim losem jak bohater z jego dzieciństwa, sam rozerwał sobie krtań, by morderca nie miał satysfakcji z jego krzyków. Oto kolejny rodzaj brutalnej ciszy. Gdyby tylko miał trochę czasu, żeby to wszystko rozwikłać! Gdyby pobył przez chwilę sam, gmatwanina wrażeń i skojarzeń rozplątałaby się u jego stóp. Coś drgnęło w jego psychice; rzeczy, które wcześniej wołały pozostać ukryte, teraz chciały wyjść na jaw. Rację miał Wallace Stevens: „Wolność jest jak człowiek, który się zabija / Każdego wieczora, niestrudzony rzeźnik ostrzący / Nóż we krwi”. Tęsknił za urokami ciszy i samotności, ale jechał na przyjęcie.

Johnny skręcił w Onslow Gardens i przyspieszył na opustoszałej ulicy.

– Jesteśmy – oznajmił, zwalniając, by poszukać miejsca parkingowego w pobliżu klubu.

Kettle przed kilkoma dniami wyjaśniła Mary, dlaczego nie było mowy, żeby poszła na pogrzeb Eleanor.

– To by była czysta hipokryzja. Nie znoszę wydziedziczenia, a uważam, że człowiek nie powinien iść na pogrzeb, kipiąc ze złości. Co innego przyjęcie: będę tam dla ciebie i dla Patricka. Poza tym nie ukrywam, że jest mi bardzo na rękę, że to dwa kroki stąd.

– Skoro tak, to mogłabyś zaopiekować się chłopcami – zasugerowała Mary. – Nie uśmiecha nam się, żeby jechali do krematorium, tak jak tobie nie uśmiecha się tam jechać. Dla Roberta Eleanor dawno już przestała być kimś bliskim, a Thomas praktycznie w ogóle jej nie znał, ale chcemy, żeby przyszli na przyjęcie, uczcili tę okazję w mniej przygnębiający sposób.

– Ach, no dobrze, z przyjemnością pomogę, oczywiście – rzekła Kettle, natychmiast obiecując sobie w duchu zemstę za obarczenie jej obowiązkiem jeszcze przykrzejszym niż ten, od którego usiłowała się wymigać.

Gdy tylko Mary podrzuciła jej chłopców, Kettle wzięła się za Roberta.

– Jeżeli o mnie chodzi – rzekła – to nigdy nie wybaczę twojej *drugiej* babci, że oddała ten wasz piękny dom we Francji. Na pewno strasznie za nim tęsknisz. I za wakacjami, które tam spędzaliście. Dom na wsi to prawdziwy dom, nie to co Londyn.

Robert posmutniał bardziej, niż chciała.

– Jak możesz tak mówić? To okropne, co mówisz – oznajmił.

– Staram się tylko być współczująca – odparła.

Robert przeszedł z kuchni do salonu, żeby posiedzieć tam w samotności. Nienawidził Kettle za to, że mu wmówiła, że powinien nadal mieć dom w Saint-Nazaire. Nie płakał już za nim, ale wciąż pamiętał każdy szczegół. Zabrali mu to miejsce, ale nie mogli mu odebrać obrazów, które miał w głowie. Zamknął oczy i przypomniał sobie, jak pewnego wieczora wracał z ojcem przez Las Motyli w czasie wichury. Porywane przez wiatr dźwięki skrzypiących konarów i śpiew ptaków rozpląwały się w szumie sosen. Kiedy wyszli z lasu, była już prawie noc, ale wciąż widział lśniące, węzowate pędy winorośli wyrastające spod spulchnionej ziemi, a potem zobaczył swoją pierwszą spadającą gwiazdę, jak płonie na obrzeżach czystego czarnego nieba.

Kettle miała rację: tamten dom był prawdziwszy niż Londyn. Był jego pierwszym domem, jedynym w swoim rodzaju, a teraz, przechowywany w wyobraźni, wydawał mu się piękniejszy niż kiedykolwiek. Nie chciał tam wracać, nie chciał go odzyskać, bo wiedział, że byłby rozczarowany.

W chwili, gdy zaczął płakać, do salonu weszła Kettle, a za nią Thomas.

– Poprosiłam Amparo, żeby przyniosła wam jakiś film. Jeżeli skończyłeś dąsy, możesz go obejrzeć z Thomasem; Amparo mówi, że jej wnuki go uwielbiają.

– Zobacz, Bobby – zawołał Thomas, podbiegając, by pokazać bratu pudełko z płytą DVD. – Latający dywan.

Roberta złościło krzywdzące słowo „dąsy”, ale miał wielką ochotę obejrzeć film.

– Nie wolno nam oglądać filmów rano – powiedział.

– Hm – odparła Kettle. – W takim razie powiemy waszemu ojcu, że graliście w scrabble, albo wymyślimy jakieś inne strasznie intelektualne zajęcie, które mu się spodoba.

– Ale to nieprawda – rzekł Thomas – bo będziemy oglądać film.

– Och, cokolwiek powiem, zawsze jest źle. Na pewno was ucieszy, że głupia stara babcia zaraz wychodzi. Jeśli dojdziecie do wniosku, że jednak możecie skorzystać z rozrywki, którą wam zorganizowałam, powiedzcie Amparo, to wam włączy. A jeśli nie, to w kuchni jest „The Telegraph”, na pewno uda wam się rozwiązać krzyżówkę, zanim wrócę.

Po tej sarkastycznej uwadze Kettle, ofiara swoich rozpieszczonych i nadwrażliwych wnuków, triumfalnie opuściła mieszkanie. Umówiła się na kawę w Pâtisserie Valerie z wdową po naszym byłym ambasadorze w Rzymie. Prawdę mówiąc, Natasha była straszliwą nudziarą, wiecznie rozprawiała o tym, co by powiedział, co by pomyślał James, jak gdyby kogoś to teraz obchodziło. No, ale trzeba podtrzymywać kontakty ze starymi znajomymi.

Transport limuzyną Forda zawierał się w cenie wybranego przez Mary pakietu Brązowego. Ani cztery zabytkowe rolls-royce’y z pakietu Platynowego, ani przeszklony powóz wchodzący w skład pakietu Wiktoriańskiego nie stanowiły poważnej konkurencji. W limuzynie było miejsce jeszcze dla trzech osób. Mary w pierwszej kolejności sumiennie wskazała Nancy, lecz Nicholas Pratt, który miał własny samochód z szoferem, już się jej zaoferował. W końcu zabrała ze sobą Julię, była kochankę Patricka, Erazma, własnego byłego kochanka, oraz Anette, była kochankę Seamusa. Wszyscy milczeli, dopóki toczący się w żałobnym tempie samochód nie wyjechał na główną drogę.

– Nie znoszę pogrzebów – oznajmiła Julia, spoglądając w lusterko puderniczki. – Zawsze mam rozmazany tusz.

– Lubiłaś Eleanor? – spytała Mary, wiedząc, że Julia miała do niej cokolwiek obojętny stosunek.

– Nie chodzi o Eleanor – odparła Julia tonem, jakim stwierdza się oczywistość. – Wiesz, jak to jest: nagle zachciewa ci się płakać na głupim filmie, na pogrzebie albo kiedy przeczytasz coś w gazecie, ale płaczesz nawet nie z powodu tej konkretnej rzeczy, tylko jakby przez nagromadzony smutek i przez to, że życie ogólnie jest nie do wytrzymania.

– Oczywiście – zgodziła się Mary – ale czasem istnieje związek między smutkiem a tym, co go wyzwała.

Odwróciła głowę, chcąc się zdystansować od nonszalanckiej rutyny, z jaką Julia podchodziła do żałoby. Za oknem mignęły jej różowe kwiaty magnolii; odcinały się stanowczo od czarnobiałej szachulcowej fasady bocznej uliczki naśladowującej epokę Tudorów. Dlaczego kierowca jechał okrężną drogą przez Kew Bridge? Czy tak jest dostojniej?

– Ja się dzisiaj nie umalowałam – odezwał się Erazm z wystudiowaną żartobliwością akademika.

– Mogę ci pożyczyć mój eyeliner – włączyła się Anette.

– Dziękuję ci za to, co powiedziałaś o Eleanor – z uśmiechem zwróciła się do niej Mary.

– Mam tylko nadzieję, że udało mi się oddać sprawiedliwość wyjątkowej osobie.

– O tak – orzekła Julia, pieczołowicie poprawiając makijaż. – Ach, gdyby ten samochód mógł się na chwilę zatrzymać.

– Na pewno starała się być dobrym człowiekiem – powiedziała Mary – co samo w sobie jest rzadkością.

– Ach, intencjonalność – rzucił Erazm, jak gdyby wskazywał słynny wodospad za oknem.

– Przedsiónek piekła – mruknęła Julia, zbliżając tłustą czarną kredkę do drugiego oka.

– Tomasz z Akwinu twierdzi, że miłość to „pragnienie dobra drugiej osoby” – zaczął Erazm.

– Mnie tam wystarczy samo pragnienie drugiej osoby – wtrąciła Julia. – Pewnie, że nie chcę, żeby ta osoba wpadła pod samochód albo została zastrzelona. W każdym razie bardzo rzadko. Wydaje mi się, że Tomasz z Akwinu stwierdza oczywistość. Wszystko jest zakorzenione w pragnieniu.

– Wszystko poza konformizmem, konwencją, kompulsją, ukrytą motywacją, koniecznością, konfuzją, perwersją, zasadami. – Erazm podsumował to bogactwo alternatyw smutnym uśmiechem.

– Ale te rzeczy po prostu rodzą pragnienia innego rodzaju.

– Przypisując wszystkie możliwe znaczenia jednemu słowu, tak naprawdę pozbawiamy je znaczenia – zauważył Erazm.

– No dobrze, nawet jeśli twoim zdaniem Tomasz z Akwinu jest geniuszem, że to powiedział – odparła Julia – i tak będę się upierać, że „pragnienie dobra drugiej osoby” i pragnienie bycia uważaną za dobrą osobę to dwie różne rzeczy.

– Eleanor nie tylko chciała być dobra, ale naprawdę taka była – rzekła Anette. – Nie była tylko marzycielką, jak wielu wizjonerów, była kobietą czynu, która wywarła realny wpływ na życie wielu ludzi.

– Bez wątpienia wywarła realny wpływ na życie Patricka. – Julia zatrzasnęła puderniczkę.

Mary do szaleństwa doprowadzało to zuchwałe przeświadczenie Julii, że nikt nie jest tak lojalny wobec Patricka jak ona. Jej wierność jego niewierności stanowiła akt agresji wobec Mary, na który Julia nigdy by sobie nie pozwoliła, gdyby nie obecność Erazma i nieobecność Patricka. Mary postanowiła zachować zimne milczenie. Miała w sobie wystarczająco dużo złości, by wytrwać w nim aż do Chelsea.

Kiedy Nancy zaproponowała Henry’emu zabranie się razem z nią samochodem Nicholasa, Henry odparł, że ma swój.

– Powiedz kierowcy, żeby jechał za nami – rzekł Nicholas.

W ten oto sposób pusty samochód Henry’ego ruszył w drogę z krematorium do klubu w ślad za pełnym samochodem Nicholasa.

– Człowiek zna tylu więcej zmarłych niż żywych – powiedział Nicholas, odchylając się na rozległą połąć czarnej skórzanej tapicerki, jednocześnie obniżając przyciskiem oparcie, by wygodniej mu się przemawiało do siedzących z tyłu gości. – Chociaż w liczbach bezwzględnych wszyscy ludzie, którzy kiedykolwiek istnieli, nie mogą się równać z tą nieprawdopodobną chmarą, która obsiada teraz naszą niegdyś piękną planetę.

– To jeden z problemów z reinkarnacją – zauważył Henry. – Kto się odradza, skoro liczba osób żyjących dzisiaj przewyższa sumę wszystkich poprzednich istnień? To się nie trzyma kupy.

– Chyba że pada na nas deszcz surowych ludzkich brył, dla których jest to pierwszy kontakt z cywilizacją. Co wydaje mi się, niestety, dość prawdopodobne. – Nicholas spojrział znacząco w stronę szofera, po czym rzucił ostrzegawcze spojrzenie Henry’emu. – Jesteś tu pierwszy raz, prawda, Miguelu?

– Tak, proszę pana – odparł Miguel z wesołym śmiechem człowieka, który przywykł, że jego chlebobawca kilka razy dziennie znieważa go na różne osobliwe sposoby.

– Nie dasz sobie wmówić, że w poprzednim życiu byłeś królową Kleopatry, co?

– Nie, proszę pana. – Miguel nie był w stanie ukryć rozbawienia.

– A mnie się w reinkarnacji nie podoba to, że wszystko zapominamy – poskarżyła się Nancy.

– Czy nie byłoby ciekawiej, gdybyśmy spotykając się po raz pierwszy, mówili sobie rzeczy w rodzaju: „Jak się masz? Nie widziałam cię od czasu tamtego straszego przyjęcia u Marii Antoniny w Petit Trianon!”? Inaczej cała ta reinkarnacja, o ile istnieje, ma w sobie coś z ciężkiego alzheimera: każde życie jest jak krótki przeblysłk silnego niepokoju. Wiem, że moja siostra wierzyła w reinkarnację, ale zanim zdążyłam ją spytać, dlaczego zapominamy, zachorowała na prawdziwego alzheimera i już nie wypadało mi pytać, rozumiecie.

– Ponowne narodziny to sentymentalna plotka rodem z królestwa warzyw – orzekł Nicholas tonem mędrca. – Wszyscy jesteśmy pod wrażeniem wiosennego przebudzenia, ale pamiętajmy, że drzewo ani przez chwilę nie było martwe.

– Można się odrodzić za życia – powiedział cicho Henry. – Umrzeć symbolicznie i wkroczyć w nową fazę.

– Wiosna to nie dla mnie – odparł Nicholas. – Od małego cieszę się pełnią lata, czyli byciem sobą, i zamierzam gonić motyle na łące aż do nagłego i bezbolesnego końca. Z drugiej strony jestem w stanie zrozumieć, że niektórzy ludzie, tacy jak Miguel, pragną radykalnej zmiany.

Miguel chichotał i kręcił głową z niedowierzaniem.

– Ach, Miguelu, czy on nie jest okropny?

– Tak, proszę pani.

– Nie powinieneś przyznawać jej racji, durniu – zganiał go Nicholas.

– Myślałem, że Eleanor była chrześcijanką – powiedział Henry, któremu nie podobało się to, jak Nicholas dokucza służącemu. – Skąd się u niej wzięły te wschodnie naleciałości?

– Była religijna w ogólnym sensie – rzekła Nancy.

– Większość chrześcijan ma przynajmniej tę zaletę, że nie są hindusami ani sufistami – wywodził Nicholas – podobnie jak sufiści mają tę zaletę, że nie są chrześcijanami. Eleanor natomiast, w sensie religijnym, była jak jeden z tych dziwnych koktajli, o których człowiek myśli, że musiały powstać w wyniku zderzenia na autostradzie, bo kto by wpadł na pomysł, żeby połączyć gin, brandy, sok pomidorowy, likier miętowy i cointreau w jeden drink?

– Tak czy inaczej, była z niej dobra dziewczyna – powiedział stanowczo Henry. – Zawsze troszczyła się o innych.

– To może być zaleta – przyznał Nicholas – naturalnie w zależności od tego, kim są ci inni.

Nancy zerknęła w stronę kuzyna i lekko przewróciła oczami. Uważała, że krewni mają prawo mówić sobie okropne rzeczy, ale ludzie spoza rodziny powinni się bardziej pilnować. Henry obejrzał się tęsknie na swój pusty samochód. Nawet Nicholas musiał chwilę odpocząć od siebie. Wszyscy zgodnie zamilkli, a kiedy samochód przemykał obok szpitala Cromwell, Nicholas zamknął oczy, zbierając siły przed czekającą go towarzyską mordęgą.

Kiedy film się skończył, Thomas usiadł na poduszce i udawał, że to latający dywan. Najpierw poleciał do rodziców, którzy byli na pogrzebie babci. Oglądał ją nieraz na zdjęciach i dlatego wydawało mu się, że ją pamięta, ale mama powiedziała, że ostatni raz widział się z nią, mając dwa lata, kiedy mieszkała we Francji, i wtedy zrozumiał, że zmyślił sobie to wspomnienie. No, chyba że faktycznie miał jakieś bardzo odległe wspomnienie, które zdjęcia pomogły ożywić, tak jak węgielek, gdy się podmucha, jarzy się słabym pomarańczowym blaskiem w kupie szarego popiołu, i przez chwilę naprawdę pamiętał, jak siedział u niej na kolanach, uśmiechał się do niej i dotykał jej pomarszczonej twarzy – mama powiedziała, że się do niej uśmiechnął i że babcia bardzo się ucieszyła.

Latający dywan poszybował do Bagdadu, gdzie Thomas zeskoczył na mury twierdzy i celnym kopniakiem rzucił do fosy złego czarnoksiężnika Dżafara. Wdzięczna księżniczka podarowała mu lamparta, turban z rubinem i lampę zamieszkaną przez bardzo potężnego i zabawnego dżina. Dżin właśnie się rozsnuwał w powietrzu nad jego głową, kiedy z przedpokoju dobiegł szcęk otwieranych drzwi i głos Kettle.

– Chłopcy byli grzeczni?

– O tak, film bardzo im się podobał, tak jak moim wnuczkom.

– Przynajmniej to mi się udało – westchnęła Kettle. – Musimy się pospieszyć, taksówka czeka. Byłam tak wykończona narzekaniami mojej przyjaciółki, że jak tylko wyszłam z cukierni, od razu zatrzymałam taksówkę.

– Ojej – powiedziała Amparo. – Tak mi przykro.

– Taki los – rzekła stoicko Kettle.

W salonie zastała Thomasa siedzącego po turecku na poduszce obok ławy; Robert leżał wyciągnięty na sofie i gapił się w sufit.

– Latam na latającym dywanie – wyjaśnił Thomas.

– W takim razie nie potrzebujesz starej głupiej taksówki, którą zamierzałam cię zawieźć na przyjęcie.

– Nie – odparł ze spokojem. – Sam trafię.

Pochylił się do przodu i chwytając rogi poduszki, przegiął się na bok, ostro skręcając latającym dywanem w lewo.

– No, ruszcie się – rzuciła Kettle, klaszcząc niecierpliwie w dłonie. – Taksówka stoi na liczniku, zapłacę majątek. A ty co się gapisz w sufit?

– Myślę.

– Nie wygłupiaj się.

Chłopcy podążyli za Kettle do starej okratowanej windy, która zwiozła ich na parter. Wydawszy kierowcy dyspozycję, Kettle trochę się odprężyła, lecz Robert i Thomas nie byli w nastroju do rozmowy. Wyczuwając tę niechęć, Kettle zaczęła ich wypytywać o szkołę. Rzuciła parę nudnych pytań, które rozbiły się o dumne milczenie chłopców, po czym zanurzyła się z lubością we wspomnieniach własnych lat szkolnych: nieodparty czar siostry Bridget w stosunku do rodziców, zwłaszcza tych zamożniejszych, i szlachetna surowość wobec dziewcząt; zabawny raport siostry Anne, która napisała, że uczynienie z Kettle matematyki wymagałoby „boskiej interwencji”.

Kettle oddawała się tej podszytej samozadowoleniem autoironii przez całą Fulham Road. Bracia zamknęli się w swoich wnętrzach, z których wyłonili się dopiero, gdy taksówka zajęła pod klub.

– O, jest tata – powiedział Robert i wysiadł z taksówki przed babcią.

– Nie czekajcie na mnie – rzekła dumnie Kettle.

– Dobra – rzucił Thomas, podążając za bratem. – Cześć, tato – zawołał, podbiegając do ojca i skacząc mu w ramiona. – Zgadnij, co robiłem! Oglądałem *Aladyna*! Nie bin Ladyna, tylko Aladyna. – Z łobuzerskim chichotem klepnął Patricka naraz w oba policzki.

Patrick roześmiał się i pocałował go w czoło.

Przystanąwszy, z Thomasem na rękach i Robertem u boku, przed wejściem do Onslow Club, Patrick usłyszał daleki, lecz donośny głos Nicholasa, który wyrzucał z siebie kolejne opinie.

– Dziś sławny człowiek to taki, o którym nigdy nie słyszałaś – grzmiał. – To tak jak z kelnerem w paryskim bistro, który mówi do ciebie „j’arrive” i jednocześnie się oddala. Margot jest sławna w starym znaczeniu tego słowa: słyszysz jej nazwisko i wiesz, o kogo chodzi! Aczkolwiek pięć autobiografii to już przesada. Życie to życie, a pisanie to pisanie, a jeśli ktoś pisze tak jak Margot, której styl przypomina szklankę wody w deszczowy dzień, może co najwyżej rozcieńczyć dobre wrażenie, jakie zostawił, robiąc to, co umie robić dobrze.

– Jesteś okropny – odpowiedział mu pełen podziwu głos Nancy.

Patrick obejrzał się i zobaczył ją; szła pod rękę z Nicholasem, a po jej drugiej stronie kroczył nieco znużony Henry.

– Kto to jest ten śmieszny człowiek? – spytał Thomas.

– Nazywa się Nicholas Pratt – odparł Patrick.

– Wygląda jak Toadie w bardzo marudnym humorze.

Patrick i Robert zaśmiali się tak głośno, jak na to pozwalała bliskość Nicholasa.

– Powiedziała mi – tu Nicholas przybrał kokieteryjny ton – „Wiem, że to moja piąta książka, ale za każdym razem dochodzę do wniosku, że można powiedzieć coś więcej”. Oczywiście, że można, skoro nic się nie powiedziało! O, Patrick. – Nicholas się zmitygował. – To wielka frajda dla człowieka w moim podeszłym wieku: postawić stopę w nowym klubie. – Popatrzył z przesadnym zaciekawieniem na mosiężną tabliczkę na białej gipsowej kolumnie. – Onslow Club. Pierwszy raz słyszę.

On jest ostatni, pomyślał Patrick, przyglądając się z chłodną obojętnością temu widowisku, ostatni żyjący przyjaciel rodziców, ostatni z gości, którzy odwiedzali Saint-Nazaire, kiedy byłem dzieckiem. George Watford, Victor Eisen, Anne Eisen nie żyją, nawet Bridget, o tyle młodsza od Nicholasa, nie żyje. Niech on też już umrze.

Leniwie cofnął to mordercze życzenie. Śmierć, ta przebojowa egomaniaczka, to nie jest ktoś, kogo trzeba poganiać. Zresztą jego wyzwolenie, cokolwiek miałyby się za nim kryć, nie mogło przecież zależeć od śmierci Nicholasa – ani nawet od śmierci Eleanor.

A jednak jej śmierć była zapowiedzią świata bez rodziców, a obecność Nicholasa – ostatnią przeszkodą. Jego starannie wyćwiczona pogarda była jak poszarpany kabel łączący Patricka z towarzyską atmosferą dzieciństwa. Jedyna wielka sojuszniczka Patricka z jego trudnej młodości nie cierpiała Nicholasa. Anne, żona Victora Eisena, uważała, że otaczająca Davida Melrose’a aura szaleństwa nadaje jego zepsuciu odcień nieuchronności, podczas gdy dekadencja Nicholasa jawi się bardziej jako wybór stylistyczny.

Nicholas wyprostował się i omiół wzrokiem dzieci.

– To twoi synowie?

– Robert i Thomas – przedstawił ich Patrick. Thomas coraz bardziej mu ciążył, ale jakiś wewnętrzny opór nie pozwalał mu postawić syna na chodniku obok ostatniego żyjącego przyjaciela jego dziadka.

– Jaka szkoda, że David nie może się cieszyć wnukami – rzekł Nicholas. – Na pewno by dopilnował, żeby przynajmniej nie spędzały całych dni przed telewizorem. Był mocno

zaniepokojony tyranią kineskopu. Pamiętam, jak raz na widok paru dzieciaków dosłownie przyspawanych do ekranu powiedział do mnie: „Boję się myśleć, co te promienie robią ich małym genitaliom”.

Patricka zamurowało.

– Wejźmy – rzekł stanowczo Henry. Uśmiechnął się do chłopców i wprowadził ich do środka.

– Jestem wujek Henry – zwrócił się do Roberta. – Parę lat temu byliście u mnie w Maine.

– Na wyspie – podchwycił Robert. – Pamiętam. Było super.

– Musicie znów mnie odwiedzić.

Patrick z Thomasem wysforował się przed resztę. Nicholas, niczym kulawy pointer tropiący rannego ptaka, kuśtykał za nim przez czarno-białą szachownicę holu. Czuł, że zirytował Patricka, i nie chciał stracić okazji do pójścia za ciosem.

– Nie mogę się oprzeć wrażeniu, że twój ojciec byłby szczęśliwy, mogąc być tu z nami – wysapał. – Może nie był idealnym rodzicem, ale musisz przyznać, że do końca nie stracił poczucia humoru.

– Trudno stracić coś, czego się nie ma – odparł Patrick, zbyt ucieszony odzyskaną mową, by uniknąć błędu wdania się w dialog z Nicholasem.

– Och, nie zgadzam się. On dostrzegał humor *wszędzie*.

– Dostrzegał humor tam, gdzie go nie było – stwierdził Patrick. – To nie jest poczucie humoru, tylko rodzaj okrucieństwa.

– Cóż – odparł Nicholas, szamocąc się z płaszczem obok rzędu mosiężnych wieszaków na końcu holu – śmiech i okrucieństwo od zawsze są ze sobą blisko związane.

– Ale nie zawsze jest to związek kazirodczy – powiedział Patrick. – Rozumiem, że bardzo ci brakuje mojego niezwykłego ojca, ale wybaczone, muszę iść zająć się ludźmi, którzy przyszli pożegnać moją matkę.

Korzystając z tego, że wywrócony na lewą stronę płaszcz Nicholas'a zmienił się na chwilę w kaftan bezpieczeństwa, Patrick zawrócił prędko w stronę drzwi wejściowych.

– O, patrz, jest mama – powiedział, wreszcie opuszczając Thomasa na czarno-białą posadzkę. Ruszył za synem, który pobiegł do matki.

– Przepraszam, że mówię jak Greta Garbo, ale „chcę być sam” – oznajmił Patrick z komediowym szwedzkim akcentem.

– Znowu! – zawołała Mary. – Dlaczego nigdy tak nie masz, kiedy jesteś sam? Wtedy dzwonisz się poskarżyć, że nie dostajesz już zaproszeń na przyjęcia.

– To prawda, ale nie chodzi mi wtedy o stypę z kanapkami po śmierci matki. Słuchaj, przejdę się tylko kawałek, jakbym wyskoczył na papierosa, i zaraz wrócę, i będę już całkiem obecny, słowo.

– Słowa, słowa – odparła Mary z wyrozumiałym uśmiechem.

Widząc za plecami Mary zbliżających się Julię, Erazma i Anette, Patrick poczuł żelazny ucisk towarzyskiej etykiety. Jeszcze bardziej pragnął teraz uciec, lecz wiedział, że mu się to nie uda. Anette wypatrzyła Nicholas'a w drugim końcu holu.

– Biedny Nick, strasznie się zamotał w płaszcz – powiedziała, ruszając z odsieczą. – Pozwól, że ci pomogę. – Pociągnęła go za rękaw, uwalniając wykręcony bark.

– Dziękuję – rzekł Nicholas. – Ten diabeł Patrick widział, że jestem oplątany jak indyk, i zwyczajnie sobie poszedł.

– Och, na pewno nie zrobił tego umyślnie.

Johnny, zaparkowawszy samochód, wszedł do środka i powiększył gromadę gości, która spychała Patricka z powrotem do holu. Cofając się pod ich zbiorowym naporem, Patrick spostrzegł znajomo wyglądającą siwowłosą kobietę; weszła do klubu bardzo zdecydowanym krokiem i spytała portiera o stypę po Eleanor Melrose.

Nagle przypomniał sobie, skąd ją zna. Była razem z nim w Priory. Dopadła go przy drzwiach, kiedy wychodził ze szpitala, by pojechać do Becky; ubrana w ciemnozielony sweter i tweedową spódniczkę, zastąpiła mu wtedy drogę i zaczęła z nim rozmawiać przejętym i trochę zbyt poufałym tonem.

– Wychodzisz? – spytała, lecz nie dała mu czasu na odpowiedź. – Muszę powiedzieć, że ci nie zazdroszczę. Uwielbiam to miejsce. Przyjeżdżam tu na miesiąc raz do roku, świetnie mi to robi, mogę odpocząć od domu. Chodzi o to, że nie znoszę swoich dzieci. Są potworami. Ich ojciec, którego szczerze nienawidzę, nie nauczył ich dyscypliny, więc możesz sobie wyobrazić, co ja z nimi mam. Oczywiście sama też nie jestem bez winy. Przez dziesięć miesięcy leżałam w łóżku, nie odzywając się ani słowem, a jak w końcu zaczęłam mówić, to nie mogłam przestać, tyle się we mnie zebrało przez te dziesięć miesięcy. Nie wiem, jaki jest oficjalny powód, dla którego tu jesteś, ale mam swoje przeczucie. Nie, posłuchaj. Jedna krótka rada: amitryptylina. Coś wspaniałego. Tylko na niej byłam kiedykolwiek szczęśliwa. Od tamtej pory próbuję ją zdobyć, ale te sukinsyny nie chcą mi jej dać.

– Ale ja właśnie próbuję nic nie brać – wyjaśnił Patrick.

– Nie bądź głupi; to najcudowniejsze lekarstwo.

Kiedy podjechała jego taksówka, wyszła za nim na schody.

– Amitryptylina! – zawołała, jakby właśnie dowiedziała się o jej istnieniu. – Ty szczęściarzu!

Nie posłuchał jej natarczywej rady i nie spróbował amitryptyliny; w rzeczy samej w ciągu następnych paru miesięcy odstawił oxazepam i antydepresanty, a także całkiem przestał pić.

– Dziwna sprawa – powiedział Patrick do Johnny'ego, idąc po schodach do sali, w której miało się odbyć przyjęcie. – Przed chwilą zjawiała się kobieta, która w zeszłym roku była ze mną w Priory. Ma nierówno pod sufitem.

– W takich miejscach to dość powszechne – zauważył Johnny.

– Skąd miałem wiedzieć, skoro sam jestem całkiem normalny.

– Może zbyt normalny.

– Przekłęta normalność – rzekł Patrick, uderzając pięścią w otwartą dłoń.

– Na szczęście jest na to sposób – powiedział Johnny paternalistycznym tonem amerykańskiego lekarza. – Xywyz, przełomowy lek wykorzystujący jedynie ostatnie cztery litery alfabetu.

– Niesamowite! – zachwycił się Patrick.

Johnny wyrecytował jednym tchem:

– Przeciwwskazania: spożywanie wody lub innych substancji nawadniających. Możliwe skutki uboczne: ślepotą, nietrzymanie moczu, tętniaki, niewydolność wątroby, zawroty głowy, wysypka, depresja, krwotok wewnętrzny, nagła śmierć.

– Nieważne – jęknął Patrick. – I tak muszę to mieć.

Zamilkli obaj. Improvizowali takie skecze od wielu lat, zaczynali w szkole na przerwach, paląc najpierw papierosy, a potem jointy na schodach pożarowych.

– Pytała o przyjęcie – rzekł Patrick, gdy weszli na piętro.

– Może znała twoją matkę.

– Czasem najprostsze wytłumaczenie jest najlepsze – przyznał Patrick – ale nie wykluczam, że to fanatyczka pogrzebów przeżywająca epizod maniackalny.

Odgłos odkorkowywania butelek uświadomił Patrickowi, że minął zaledwie rok od jego rozmowy wstępnej z Gordonem, doświadczonym szkockim moderatorem grupy wsparcia dla cierpiących na depresję. Gordon zwrócił jego uwagę na „alkoholika za alkoholem”.

– Możesz wyciągnąć brandy z popaprańca, ale i tak zostanie ci popapraniec.

Patrick, któremu poprzednia noc upłynęła pod znakiem burzliwych halucynacji i kosmicznego niepokoju, nie był w nastroju do zgadzania się z czymkolwiek.

– Nie wydaje mi się, żeby można było wyciągnąć brandy z ciasta – rzekł – ani jajka z sufletu, ani sól z morza.

– To tylko metafora.

– *Tylko* metafora! – oburzył się Patrick. – Metafora to istota problemu, rozpuszczalnik sennych koszmarów. W płynnym sednie rzeczy wszystko przypomina wszystko inne: właśnie to jest najstraszniejsze.

Gordon zerknął na jego kartę, upewniając się, że Patrick nie pominął żadnej dawki oxazepamu.

– Staram się tylko dowiedzieć – próbował dalej – z czego, koniec końców, próbowałeś sam się wyleczyć, jeżeli nie z depresji?

Patrick wymienił kilka możliwości:

– Osobowość borderline, napady szału na tle narcystycznym, skłonności schizoidalne...

Gordon ryknął terapeutycznym śmiechem.

– Doskonale! Widzę, że przychodzisz uzbrojony w pewną samowiedzę.

Patrick spojrział w dół schodów, czy nie ma tam kobiety od amitryptyliny.

– Widziałem ją dwa razy – powiedział Johnny’emu. – Raz na początku pobytu i drugi raz jakoś w połowie, kiedy zaczęło mi się polepszać. Za pierwszym razem zrobiła mi wykład o rozkoszach amitryptyliny, ale za drugim razem nawet ze sobą nie rozmawialiśmy, widziałem tylko, jak mówi dokładnie to samo komuś z mojej grupy wsparcia.

– Można powiedzieć, że była kimś w rodzaju sędziwego marynarza amitryptyliny.

– Owszem.

Patrick bardzo wyraźnie pamiętał tamto drugie spotkanie, ponieważ doszło do niego w przełomowym dniu jego pobytu w szpitalu. Deliryczne objawy abstynencji pierwszych dwóch tygodni zaczęły ustępować surowej jasności. Coraz częściej przebywał sam w ogrodzie, nie chcąc tonąć w gwarze stołówki ani zamykać się w swoim pokoju, w którym spędził już wystarczająco dużo czasu. Któregoś dnia, siedząc na najbardziej odosobnionej ławce, nagle się rozplakał. Ani w skrawku bladego nieba, ani w częściowo zasłoniętym widoku na drzewo nie było niczego, co by tłumaczyło ten przypływ estetycznej rozkoszy; żadne grzywacze nie gruchały na gałęzi, z oddali nie dolatywały dźwięki opery, u podnóża pnia nie drżały krokusy. Coś niewidzialnego wniknęło znienacka w jego ponure spojrzenie i rozeszło się złocistą falą po ruinach zmęczonego mózgu. Patrick nie miał żadnej kontroli nad źródłem swojego ocalenia. Nie przeformułował swojej depresji ani się od niej nie zdystansował; sama ustąpiła miejsca czemuś innemu. Płakał z ulgi, ale i z frustracji, że nie może się uzbroić w zapas tego nowego cennego dobra. Uzmysłowił sobie głębię swojego psychologicznego materializmu i zrozumiał mgliście,

że stanowi on przeszkodę, lecz nawyk chwytania się wszystkiego, co mogło ukoić jego cierpienie, był zbyt silny i poczucie bezprzyczynowego piękna, które przed momentem przez niego przepłynęło, prysło, kiedy zaczął się zastanawiać, jak je schwycić i wykorzystać.

I wtedy znów ujrzał kobietę od amitryptyliny, w tym samym zielonym swetrze i tweedowej spódnicy, które miała na sobie, kiedy spotkał ją po raz pierwszy. Pamiętał, że pomyślał, że musiała się spakować w bardzo małą walizkę.

– Ale te sukinsyny nie chcą mi jej dać... – skarżyła się w rozmowie z Jill, płaczącą członkinią grupy wsparcia depresantów.

Tamtego dnia Jill wybiegła ze łzami w oczach z porannej sesji po tym, jak zgorzkniały i szorstki Terry skwitował jej sugestię, aby traktowali słowo Bóg jako skrót od „Błogosławieństwo Umysłowej Golgoty”, słowami: „Przepraszam, ale muszę iść się wyrzygać”.

Chcąc uniknąć rozmowy z obiema kobietami, Patrick dał nura za ciemne, rozłożyste gałęzie cedru.

– Ty szczęściaro... – Wykład o amitryptylinie toczył się ustalonym torem.

– Ale przecież ja nic nie dostałam – zaprotestowała Jill i chyba znów poczuła obecność Boga, bo jej oczy zaszkliły się łzami.

– Ostatnim razem, kiedy ją widziałem, musiałem się przez dwadzieścia minut chować za drzewem – wyjaśnił Patrick, wchodząc z Johnnym do bladoniebieskiej sali o wysokich balkonowych oknach z widokiem na spokojny współdzielony ogród. – Czmychnąłem za cedr, a one zajęły ławkę, na której siedziałem.

– Należało ci się za porzucenie towarzyszki w depresji.

– Miałem epifanię.

– Ach, skoro tak...

– Teraz to wszystko wydaje się takie odległe.

– Epifania czy Priory?

– Jedno i drugie. Przynajmniej wydawało się, dopóki nie zobaczyłem tutaj tej kobiety.

– Może zrozumienie pojawia się wtedy, kiedy człowiek potrzebuje się wydostać z domu wariatów. Może ta wariatka na dole jest katalizatorem.

– Wszystko może być katalizatorem – odparł Patrick. – Wszystko może być dowodem, wszystko może być wskazówką. Musimy cały czas trwać w najwyższej czujności.

– Na szczęście jest na to sposób. – Johnny znów przybrał ton amerykańskiego lekarza. – Czujnosan. Wartościowy suplement wartownika, niezawodny przyjaciel zawiadowcy, wyborny dla strzelców wyborowych, polecany bez mrugnięcia okiem przez lekarzy i latarników. Czujnosan: „Kiedy zapałki w oczach nie wystarczają”. – Po czym szybko wymamrotał: – Przeciwwskazania: wysokie ciśnienie, niskie ciśnienie, normalne ciśnienie. W razie wystąpienia bólów w klatce piersiowej, puchnięcia powiek lub wydłużenia się uszu skonsultuj się z lekarzem...

Patrick wyłączył się i rozglądał po niemal pustej sali. Nancy wisiała już nad półmiskiem kanapek na końcu długiego stołu zastawionego zbyt dużą jak na garstkę żałobników ilością jedzenia. Stojący obok niej Henry rozmawiał z Robertem. Za stołem Patrick dojrzał wyjątkowo ładną kelnerkę o długiej szyi, wysokich kościach policzkowych i krótkich czarnych włosach. Uśmiechnęła się do niego z przyjazną otwartością. Pewnie jakaś początkująca aktorka między przesłuchaniami. Była nieprawdopodobnie atrakcyjna. Miał ochotę natychmiast z nią wyjść.

Skąd się brał ten jej nieodparty urok? Czy stół pełen nietkniętego jedzenia sprawiał, że wydawała mu się nie tylko śliczna, ale również szczodra? Jak wypadało postępować w takich okolicznościach? Właśnie zmarła moja matka i szukam pocieszenia? Matka nie dawała mi jeść, ale ty się mną lepiej zaopiekujesz? Patrick chrząknął pod nosem, śmiejąc się w duchu z absurdalności tych tyrańskich impulsów, głębi swojego uzależnienia, fantazji o byciu ratowanym, fantazji o byciu karmionym. Przeszłość była wszędzie, obciążała jego uwagę, wciągała ją pod wodę, zalewała go powodzią prymitywnych, przedwerbalnych pragnień. Wyobraził sobie, że otrząsa się ze swojej nieświadomości jak pies po kąpieli w morzu. Podszedł do stołu, poprosił o szklankę wody gazowanej i uśmiechnął się do kelnerki prostym uśmiechem bez przyszłości. Podziękował jej i gładko się odwrócił. Było w tym coś nieszczerego; wciąż uważał, że jest prześliczna, lecz widział swój pociąg do niej takim, jakim był: widział głód pozbawiony jakichkolwiek implikacji międzyludzkich.

Przypomniała mu się Jill z grupy wsparcia w Priory, która pewnego razu poskarżyła się na „problem w związku – to znaczy, problem polega na tym, że osoba, z którą jestem w związku, nie wie, że jesteśmy w związku”. Terry zareagował na to wyznanie salwą szyderczego śmiechu.

– Nic dziwnego, że jesteś tu dziewiąty raz!

Jill wybiegła z płaczem.

– Będziesz ją musiał przeprosić – oznajmił Gordon.

– Ale ja nie żartowałem.

– Właśnie dlatego musisz przeprosić.

– Ale to by były nieszczerze przeprosiny.

– Udawaj tego, kim chcesz się stać – rzucił Gary, Amerykanin, którego matka, oportunistyczna turystka, wywołała takie poruszenie na pierwszym spotkaniu z udziałem Patricka.

Patrick zastanawiał się, czy udaje kogoś, kim chce się stać – zawsze się brzydził tym hasłem – odchodząc tak stanowczo od kobiety, którą wolałby uwieść? Nie, to właśnie uwiedzenie jej byłoby udawaniem, kompleksem Casanovy zmuszającym go do ukrycia swoich infantylnych tęsknot pod maską dorosłego zachowania: konwenanse, konwersacja, kopulacja, komentarz; wyszukane narzędzia do oddalania się od bezsilnego niemowlaka, którego wrzasków nie mógł znieść. Wspaniałe w śmierci matki było to, że Eleanor ze swoją hipotetyczną matczynością przestanie wchodzić w paradę jego własnym odruchom macierzyńskim i Patrick będzie mógł sam utulić tę nieszczęsną istotę, którą wydała na świat.

Gdy sala zaczęła się zapełniać, Patrick wynurzył się ze swoich rozmyślań i wrócił do roli gospodarza. Nicholas minął go z wyniosłą obojętnością i dołączył do Nancy na końcu stołu. Chwilę później podeszła Mary z kobietą od amitryptyliny, a za nimi Thomas i Erazm.

– Patrick, chciałam ci przedstawić Fleur, starą znajomą Eleanor.

Patrick, nie mogąc się w duchu nadziwić temu fikuśnemu francuskiemu imieniu, grzecznie uściśnął jej dłoń. Nie miała już na sobie płaszcz i była ubrana w ten sam zielony sweter i tweedową spódniczkę, które pamiętał z Priory. Pociągnięty jaskrawą szminką kontur ust, o pół cala w prawo w stosunku do prawdziwych ust Fleur, nadawał jej wygląd cyrkowego klauna, który nie zdążył zdjąć całej charakterystyki.

– Skąd pani wiedziała...

– Tato! – zawołał Thomas, zbyt podekscytowany, żeby czekać na swoją kolej. – Erazm jest prawdziwym filozofem!

– Wiem, skarbie. – Patrick poczochnął mu włosy. Najwyraźniej przez ostatnie półtora roku, bo tyle czasu Thomas nie widział Erazma, kategoria filozofa stała się dla niego istotna.

– No bo na przykład ja – mówił Thomas z bardzo filozoficzną miną – mam jeden problem z istnieniem Boga: kto go stworzył? No i – poszedł od razu za ciosem – kto stworzył tego, który stworzył Boga?

– Ach, regres w nieskończoność – westchnął Erazm.

– No dobrze – podchwycił Thomas – to kto stworzył regres w nieskończoność? – Zerknął na ojca, żeby się upewnić, czy jego argumenty są filozoficzne.

Patrick uśmiechnął się aprobująco.

– Ależ on jest mądry! – powiedziała Fleur. – Nie to co moja hałastra: mają po kilkanaście lat, a jeszcze niedawno nie potrafili sklecić zdania. W końcu się nauczyli, ale tylko po to, żeby mnie obrażać. I swojego ojca, który oczywiście na to zasłużył. Istne potwory.

Mary dyskretnie się ulotniła, zabierając ze sobą Thomasa i Erazma. Patrick został sam na sam z Fleur.

– Nastolatki takie już są – stwierdził bezbarwnym tonem. – Dobrze znała pani moją matkę?

– Uwielbiałam ją. Myślę, że to jedna z niewielu dobrych osób, jakie poznałam. Dosłownie uratowała mi życie – to musiało być ze trzydzieści lat temu – zatrudniając mnie w jednym ze sklepów charytatywnych, które prowadziła dla fundacji Save the Children.

– Pamiętam te sklepy – wtrącił Patrick, nie zauważywszy, że Fleur zaczyna się rozkręcać i wcale nie zamierza dopuścić go do głosu.

– Niektórzy, a właściwie wszyscy z wyjątkiem pańskiej matki, uważali, że nie nadają się na pracownicę ze względu na moje epizody – tokowała zawzięcie – ale ja musiałam wychodzić z domu i coś robić, więc pańska matka dosłownie spadła mi z nieba. Ani się obejrzałam, a pakowałam dla niej używane ubrania. Wysyłaliśmy je do miejsca, w którym naszym zdaniem najprędzej się sprzedadzą, a najlepsze trzymałyśmy dla sklepu na Launceston Place niedaleko waszego domu.

– Tak – potwierdził szybko Patrick.

– Ależ miałyśmy frajdę! – wspominała Fleur. – Byłyśmy jak dwie uczennice, pokazywałyśmy sobie te ubrania i mówiłyśmy: „To chyba do Richmond”, albo: „W sam raz do Cheltenham”.

Czasem obie naraz wołałyśmy: „Rochdale!” albo „Hemel Hempstead!”. Ach, ileż było przy tym śmiechu. Pańska matka nabrała do mnie zaufania, któregoś razu posadziła mnie przy kasie i zostawiła w sklepie na cały dzień; i wtedy, obawiam się, przydarzył mi się jeden z moich epizodów. Tamtego dnia rano mieliśmy dostawę i było w niej futro – to było w czasach, kiedy ludzi w futrach zaczynano oblewać farbą – wspaniałe sobolowe futro, i chyba właśnie ono sprawiło, że straciłam panowanie nad sobą. Ogarnęło mnie pragnienie, żeby zadać szyku na całego, więc zamknęłam sklep, wzięłam utarg i włożyłam to futro – co prawda był środek czerwca, ale *musiałam*. Wyszłam na ulicę, złapałam taksówkę i powiedziałam kierowcy: „Poproszę do Ritza!”.

Patrick rozglądał się nerwowo i zastanawiał, czy kiedykolwiek się od niej uwolni.

– W hotelu chcieli mnie rozebrać z futra – przyspieszyła Fleur – ale powiedziałam, że mowy nie ma, usiadłam na patio z palmami, cała w sobolach, piłam koktajle z szampanem i mówiłam do wszystkich, którzy chcieli słuchać, aż w końcu jakiś potwornie nadęty *maitre d’hôtel* kazał mi wyjść, ponieważ „naprzykrzam się innym gościom”! To się nazywa bezczelność! Potem się okazało, że pieniądze, które zabrałam z kasy, nie wystarczą na opłacenie rachunku, i przekłety hotelarz uparł się, że mam im zostawić futro, co przysporzyło nam dużych kłopotów, bo kobieta, która je podarowała, rozmyśliła się i przysłała je odebrać...

Fleur z coraz większym trudem doganiała własne myśli. Patrick próbował złowić spojrzenie Mary, lecz zdawała się specjalnie go ignorować.

– Pańska matka, co tu dużo mówić, zachowała się wspaniale. Uregulowała rachunek i odzyskała futro. Powiedziała, że to dla niej nic nowego, bo zawsze spłaca barowe długi ojca w różnych wytwornych miejscach, i że nic się nie stało. Święta kobieta! Pozwoliła mi dalej kierować sklepem pod swoją nieobecność, mówiła, że jest pewna, że to się więcej nie powtórzy, choć muszę z przykrością przyznać, że powtórzyło się jeszcze nieraz.

– Napije się pani? – Patrick jeszcze tęskniej niż przedtem obrócił się w stronę kelnerki. Może jednak powinien z nią uciec. Pragnął całować puls na jej długiej szyi.

– Naprawdę nie powinnam, ale wezmę gin z tonikiem – odparła Fleur i prawie nie robiąc przerwy, mówiła dalej: – Musi pan być bardzo dumny z matki. Uczyniła mnóstwo konkretnego dobra, a tylko takie dobro naprawdę się liczy: pomogła setkom ludzi, wkładała w te sklepy ogromną energię, jestem przekonana, że gdyby potrzebowała pieniędzy, byłaby świetną przedsiębiorczynią. Pamiętam, z jaką werwą ruszała na targi rękodzielnicze w Harrogate.

Patrick uśmiechnął się do kelnerki i wstydliwie spuścił wzrok na obrus. Kiedy znów na nią spojrział, uśmiechała się do niego ze współczuciem i wesołością w oczach. W mig zrozumiała całą sytuację. Nie dość, że była niewiarygodnie śliczna, to jeszcze cudownie bystra. Im dłużej Fleur mówiła o Eleanor, tym bardziej chciał zacząć swoje życie od nowa z tą kelnerką. Delikatnie wziął od niej gin z tonikiem i wręczył go rozgadanej Fleur, która z niejasnych dla niego powodów pytała:

– Jest pan?

– Czy co jestem?

– Dumny z matki.

– Chyba tak.

– Jak to „chyba”? Pan jest gorszy niż moje dzieci. Istne potwory.

– Bardzo miło było panią poznać – rzekł Patrick – i pewnie jeszcze będzie okazja, żeby porozmawiać, ale chyba powinienem trochę pokrążyć wśród gości.

Zostawił ją bezceremonialnie; pozorując stanowczy zamiar, podszedł do Julii, która stała sama

przy oknie z kieliszkiem białego wina.

– Pomocy! – zawołał cicho.

– O, cześć. Zapatrzyłam się w okno, ale nie aż tak, żeby nie zauważyć, jak flirtujesz z tą ładną kelnerką.

– Flirtuję? Nawet nie otworzyłem do niej ust.

– Nie musiałeś, kotku. Pies nie musi nic mówić, kiedy siada obok nas w jadalni z wywieszonym jęczorem, z którego spływają na dywan nitki śliny. I tak wiemy, czego od nas chce.

– Przyznaję, że od razu zwróciłem na nią uwagę, ale dopiero kiedy ta siwa wariatka zaczęła mnie dręczyć rozmową, zacząłem w niej widzieć ostatnią nisko zwieszoną gałąź nad ryczącym wodospadem.

– Jak poetycko. Nadal próbujesz być uratowany.

– Bynajmniej; próbuję nie chcieć być uratowany.

– Postęp.

– Nieustępliwe parcie naprzód – odparł.

– To kim jest ta wariatka, która zmusiła cię do flirtu z kelnerką?

– Pracowała dawno temu w sklepie charytatywnym u mojej matki. Jej doświadczenia z Eleanor były tak różne od moich, że dotarło do mnie, że nie ja decyduję o tym, jaki sens miało życie mojej matki, i że okłamuję się, myśląc, że jestem w stanie dojść do jakichkolwiek stanowczych konkluzji na ten temat.

– Na pewno możesz dojść do konkluzji w sprawie własnych uczuć.

– Nawet tego nie jestem pewien. Dziś co chwila uzmysławiam sobie, jak bardzo nieostateczne są moje uczucia wobec rodziców. Nie ma jednej definitywnej prawdy; bardziej przypomina to wysiadanie na różnych piętach tego samego budynku.

– Ogarnia mnie zmęczenie od samego słuchania – oznajmiła Julia. – Nie prościej byłoby po prostu serdecznie ich nienawidzić?

Patrick roześmiał się na głos.

– Kiedyś myślałem, że osiągnąłem stan chłodnej obojętności wobec ojca. Obojętność wydawała mi się największą cnotą, pozbawioną moralnej wyższości wpisanej w przebaczenie, ale prawda jest taka, że czuję wszystko: pogardę, gniew, litość, strach, rozczulenie i obojętność.

– Rozczulenie?

– Kiedy myślę, jaki był nieszczęśliwy. Kiedy sam zostałem ojcem i przekonałem się, jak silny jest instynkt chronienia własnych synów, na nowo mną wstrząsnęło, że David umyślnie krzywdził własne dziecko, i znów poczułem nienawiść.

– Czyli jednak minął ci ten chłodny dystans.

– Przeciwnie, dotarło do mnie, jak wiele jest rzeczy, do których trzeba nabrać dystansu. Żarliwa nienawiść i dojmujący strach nie unieważniają obojętności, tylko pozwalają jej się rozrosnąć.

– Są jak sprzęt do ćwiczeń na siłowni – skwitowała Julia.

– Właśnie tak.

– Ciekawe, czy tu wolno palić. – Julia otworzyła drzwi balkonowe i wyszła na zewnątrz. Patrick wyszedł za nią na wąski balkon i oparł się o brzeg białej gipsowej balustrady. Kiedy wyjmowała paczkę niebieskich cameli, prześlizgnął się wzrokiem po jej kształtnym profilu, któremu nieraz przyglądał się z sąsiedniej poduszki, teraz mającemu za tło cichą obietnicę wciąż bezlistnych drzew. Patrzył, jak Julia całuje filtr papierosa i wsysa chwiejny płomyk zapalniczki

w ciasno ubity tytoń. Po pierwszym obfitym zaciągnięciu dym spowił jej górną wargę, zaraz jednak wciągnęła go nosem do rozdymających się płuc, by po chwili go wypuścić, najpierw jako gęsty strumień, a potem w małych obłoczkach, zdeformowanych kólkach i ulotnych ścianach towarzyszących jej nikotynowym słowom.

– Ciężko dzisiaj pracowałeś na swojej wewnętrznej siłowni?

– Czuję od jakiegoś czasu dziwną mieszaninę euforii i spadania w przepaść. Śmierć ma w sobie coś chłodnego i obiektywnego w porównaniu z okrutną prywatnością umierania, którą sobie wyobrażałem, chcąc nie chcąc, przez ostatnie cztery lata z powodu choroby matki. W pewnym sensie dopiero teraz mogę spojrzeć na nią trzeźwo, uwolniony od wiru empatii, która nie była ani współczująca, ani ozdrowieńcza, raczej tylko dublowała jej grozę.

– A czy nie lepiej byłoby po prostu w ogóle o niej nie myśleć? – zasugerowała Julia, po raz drugi leniwie wciągając dym.

– Nie, nie dzisiaj – odparł Patrick, nagle zbrzydzonej jej lakierowaną powłoką.

– Pewnie, że nie dzisiaj – powiedziała, wyczuwając, że Patrick jej ucieka. – Ale prędzej lub później.

– Ludzie, którzy nam radzą, żebyśmy „przestali żyć przeszłością”, sami są niezdolni do bezpośredniego doświadczenia, którego ich zdaniem unikają osoby zapatrzone we własny pępek – stwierdził Patrick tonem adwokata, po który sięgał, kiedy się bronił. – Są dumni z tego, że ślepo trwają w swoich nieuświadomionych nawykach. Niemyślenie o czymś to najpewniejszy sposób, żeby pozostać pod wpływem tego czegoś.

– Okej, masz mnie – odparła Julia zakłopotana jego szczerością.

– Jak by to było zachowywać się spontanicznie, mieć bezwarunkowe reakcje na różne rzeczy – na wszystko? Nikt z nas tego nie wie, ale chciałbym się przekonać, zanim umrę.

– Hmm. – Mglisty projekt Patricka wydał się Julii mało interesujący.

– Przepraszam – odezwał się ktoś za ich plecami.

Patrick obejrzał się i zobaczył piękną kelnerkę. Zdążył zapomnieć, że się w niej zakochał, ale teraz to uczucie powróciło.

– Przepraszam, ale nie wolno tutaj palić – powiedziała.

– Ojej – rzekła Julia, zaciągając się papierosem. – Nie wiedziałam. To dziwne, bo przecież jesteśmy na zewnątrz.

– Formalnie rzecz biorąc, balkon jest częścią klubu, a zakaz palenia obowiązuje w całym klubie.

– Rozumiem – odparła Julia, wciąż paląc. – No dobrze, w takim razie lepiej zgaszę. – Ostatni raz długo zaciągnęła się prawie wypalonym papierosem, upuściła go na balkon, zgmiotła butem i weszła do środka.

Patrick czekał, aż kelnerka popatrzy na niego z figlarnym konspiratorskim błyskiem w oku, ona jednak wróciła na swoje stanowisko za długim stołem, w ogóle na niego nie spojrzawszy.

Kelnerka była do niczego. Julia była do niczego. Eleanor była do niczego. Nawet Mary była do niczego, bo nie uchroni go przed samotnym powrotem do pustej kawalerki, bez pocieszenia.

To nie one były winne, lecz jego złudzenie omnipotencji: wiara, że istnieją po to, by mu się do czegoś przydać. Musi o tym pamiętać, kiedy następnym razem zawiedzie się na jednej z tych głupich franc. Zaśmiał się nerwowo. Był w lekko obłąkańczym nastroju. Casanova, mizogin; Casanova, głodne dziecko. Niedoskonałość w zgniłym jądrze hiperboli. Patrzył, jak cienki płaszczyk wstrętu do siebie przykrywa temat jego relacji z kobietami, próbując zapobiec jego zgłębieniu. Wstręt do siebie był najłatwiejszym wyjściem, musi się przez niego przebić

i pozwolić sobie na bycie niepokieszonym. Pomyślał z tęsknotą o surowych wyrzeczeniach narzucanych przez to słowo jak o chłodnym napoju po suchej oazie pocieszania. Samotność i niepokieszanie w kawalerce – nie mógł się już doczekać.

Robiło mu się zimno na balkonie i chciał wrócić do środka, lecz powstrzymywała go niechęć do rozmowy z Kettle i Mary, które stały po drugiej stronie drzwi.

– Widzę, że ty i Thomas nadal jesteście nierozłączni – zauważyła Kettle, obrzucając zazdrosnym spojrzeniem wnuka uwieszonego na matczynej szyi.

– Nawet się nie łudzę, że zdołam ci kiedyś dorównać w ignorowaniu własnych dzieci – westchnęła Mary.

– O czym ty mówisz? Przecież my zawsze... miałyśmy dobry kontakt.

– Dobry kontakt! Pamiętasz, co mi powiedziałaś, kiedy zadzwoniłaś do mnie do szkoły, jak umarł tata?

– Pewnie mówiłam, jakie to straszne.

– Nie mogłam z siebie wydusić ani słowa, tak mną to wstrząsnęło, a ty kazałaś mi się rozchmurzyć. *Rozchmurzyć!* Nigdy nie miałaś pojęcia, kim jestem, i nadal nie masz.

Mary aż chrząknęła z oburzenia, odwróciła się i ruszyła na drugi koniec sali. Reakcją Kettle na ten łatwy do przewidzenia rezultat jej złośliwości był wyraz bezmiernego zdumienia. Patrick wciąż sterczał na balkonie, czekając, aż teściowa sobie pójdzie, lecz stało się inaczej: podeszła do niej Anette i ją zagadnęła.

– Cześć, kochana, jak się masz?

– No cóż – odparła Kettle – właśnie dostałam po głowie od własnej córki, więc chwilowo jestem w szoku.

– Matki i dzieci – rzekła sentencjonalnie Anette. – Może powinniśmy zorganizować warsztaty na ten temat, żeby cię przyciągnąć z powrotem do Fundacji.

– Warsztat o matkach i dzieciach raczej by mnie odstraszył. A zresztą i tak już raczej skończyłam z szamanizmem.

– Obyś była szczęśliwa – powiedziała Anette. – Ja wiem, że nie skończę, dopóki nie osiągnę pełnej łączności ze źródłem bezwarunkowej miłości, która mieszka w każdej duszy na tej planecie.

– No cóż, ja doszłam do wniosku, że mam skromniejsze oczekiwania – przyznała Kettle. – Wystarczy mi, że nie muszę wymachiwać grzechotką i że oczy mi nie łzawią od tego przekłętą dymu.

Anette skwitowała to kaskadą wyrozumiałego śmiechu.

– Jak uważasz, ale wiem, że Seamus bardzo by się ucieszył na twój widok i że jego zdaniem świetnie by ci zrobił zwłaszcza nasz warsztat „Spacer z boginią – odkryj w sobie moc kobiecości”. Sama zamierzam w nich uczestniczyć.

– Co słyhać u Seamusa? Pewnie wprowadził się do głównego domu.

– O tak, zajął dawną sypialnię Eleanor i stamtąd rozstawia nas po kątach.

– Tę sypialnię, w której zawsze byli Patrick i Mary, z widokiem na drzewa oliwne?

– Wspaniały widok, prawda? Chociaż ja uwielbiam swój pokój z oknem wychodzącym na kaplicę.

– To mój – powiedziała Kettle. – Zawsze go dostawałam.

– Czy to nie dziwne, jak człowiek się do wszystkiego przywiązuje? – zaśmiała się Anette. – A przecież, koniec końców, nawet nasze ciała nie są tak naprawdę nasze; należą do Ziemi. Do Bogini.

– Jeszcze nie – odparła stanowczo Kettle.

– Wiesz co – rzekła Anette – jeśli przyjedziesz na warsztaty, odstąpię ci twój pokój. Mnie to nie robi różnicy; wszędzie czuję się szczęśliwa. Poza tym Seamus dużo mówi o przechodzeniu „od paradygmatu własności do paradygmatu partycypacji”, a kto ma dawać przykład, jeżeli nie facylitatorzy Fundacji?

Ponieważ głównym celem Patricka było wydostanie się z balkonu bez zwracania na siebie uwagi, powstrzymał się od komentarza, że Seamus przeszedł odwrotną drogę: od partycypacji w charytatywnej działalności Eleanor do zajęcia jej nieruchomości.

Kettle była wyraźnie zbita z tropu uprzejmą propozycją Anette. Nie zamierzała zbyt łatwo wyrzekać się swojego złego humoru, lecz nie widziała innego wyjścia, niż jej podziękować.

– To nadzwyczaj miło z twojej strony – rzuciła zdawkowo.

Patrick skorzystał z szansy i smyrgnął do środka, przemykając za plecami teściowej z takim zdecydowaniem, że aż ją potrącił. Kettle wpadła z brzękiem na filiżankę herbaty Anette.

– Uważaj! – warknęła, zanim spojrzała, kto ją staranował. – No nie, Patrick!

– Ojej, cała jesteś w herbacie – stwierdziła Anette.

Patrick tylko rzucił przez ramię krótkie „przepraszam” i nie zatrzymując się, szybkim krokiem przeciął salę. Wyszedł na klatkę schodową i sam nie wiedząc, dokąd zmierza, muskając poręcz dłonią, zbiegł po schodach jak ktoś, kogo nagle wezwały pilne obowiązki.

Mary z daleka uśmiechnęła się do Henry'ego i ruszyła w jego stronę, gdy nagle jak spod ziemi wyrosła przed nią Fleur.

– Mam nadzieję, że nie uraziłam pani męża – powiedziała. – Poszedł sobie tak nagle, a przed chwilą widziałam, jak wychodzi.

– To dla niego trudny dzień – rzekła Mary, zafascynowana jej szminką, którą Fleur nałożyła ponownie, częściowo po starym, krzywym śladzie, a częściowo na przednie zęby.

– Czy on ma problemy psychiczne? Pytam tylko dlatego, że sama, Bóg mi świadkiem, niejedno w życiu przeszłam i mam wprawę w rozpoznawaniu takich ludzi.

– Wydaje się pani całkiem zdrowa – uprzejmie skłamała Mary.

– Ciekawe, że mi to pani mówi – odparła Fleur. – Akurat dziś rano pomyślałam sobie: „Nie ma sensu dłużej brać tabletek, skoro tak dobrze się czuję”. Bo czuję się bardzo, bardzo dobrze.

Mary instynktownie się cofnęła.

– O, to wspaniale.

– Mam przeczucie, że dziś przydarzy mi się coś niezwykłego – kontynuowała Fleur. – Wydaje mi się, że jeszcze nigdy nie osiągnęłam swojego pełnego potencjału. Mam wrażenie, że mogłabym wszystko, że mogłabym wskrzeszać zmarłych!

– To ostatnia rzecz, której nasi goście by się spodziewali – zauważyła Mary z wesołym śmiechem. – Jeżeli zamierza pani wskrzesić Eleanor, proszę to najpierw skonsultować z Patrickiem.

– Och, z przyjemnością bym się z nią zobaczyła – odparła Fleur, jakby akceptując zasugerowaną przez Mary kandydatkę do zmartwychwstania i szykując się do wykonania niezbędnych czynności.

– Przepraszę panią – powiedziała Mary – ale muszę porozmawiać z kuzynem Patricka. Przyleciał z Ameryki, nawet nie wiedzieliśmy, że będzie.

– Bardzo bym chciała polecieć do Ameryki – oświadczyła Fleur. – Właściwie to może polecę jeszcze dzisiaj po południu.

– Samolotem?

– Ma się rozumieć... Ach! – Fleur sama sobie przerwała. – Wiem, o co pani chodzi.

Rozpostarła szeroko ramiona, wysunęła głowę do przodu i zaczęła się kołysać na boki, wybuchając śmiechem tak głośnym, aż Mary poczuła, że wszyscy goście spoglądają w ich stronę.

Dotknęła dłonią wyciągniętej ręki Fleur i uśmiechnęła się, by pokazać, jak bardzo przypadł jej do gustu ten wspaniały żart, po czym odwróciła się stanowczo i podeszła do Henry'ego, który stał samotnie w kącie.

– Ta kobieta ma dość ekspansywny śmiech – zauważył.

– Cała jest dość ekspansywna – odparła Mary. – Boję się, że zrobi coś szalonego, zanim zdążymy się rozejść do domów.

– Kim ona jest? Niezły z niej oryginał.

Mary zwróciła uwagę na rzęsy Henry'ego, odcinające się wyraźnie od bladej półprzejrystości jego oczu.

– Nikt jej nie zna. Zjawiała się nieoczekiwanie.

– Tak jak ja – rzekł Henry z egalitarną galanterią.

– Ale ciebie znamy i bardzo się cieszymy z twojej obecności, tym bardziej że nie przyszło nie wiadomo ile osób. Eleanor straciła kontakt z ludźmi; jej życie towarzyskie rozpadło się na kawałki. Pojedyncze grupki znajomych były przekonane o istnieniu czegoś bardziej centralnego, a tymczasem pośrodku nie było nic. Przez ostatnie dwa lata nie odwiedzał jej nikt poza mną.

– A Patrick?

– Też nie. Była nieszczęśliwa w jego towarzystwie. Bardzo chciała coś powiedzieć, ale nie potrafiła. Nie tylko w sensie mechanicznym. Nawet gdyby wysławiała się najlepiej na świecie, nie byłaby w stanie mu powiedzieć tego, co chciała, bo nie wiedziała, co to jest, ale kiedy zachorowała, zaczęło ją to dręczyć.

– Straszne – powiedział Henry. – Wszyscy się tego boimy.

– I dlatego powinniśmy obniżyć zapory w naszych głowach, dopóki mamy na to wpływ – odparła Mary – bo inaczej zostaną zniszczone i zaleje nas nienazwana groza.

– Biedna Eleanor, bardzo mi jej żal – rzekł Henry.

Przez chwilę oboje milczeli.

– W takich chwilach Anglicy zwykle mówią: „Ależ wesoły temat!”, żeby ukryć swoje zażenowanie własną powagą.

– Zostanemy jednak przy smutku – powiedział Henry z dobrodusznym uśmiechem.

– Naprawdę się cieszę, że przyjechałeś. Twoje uczucie do Eleanor było takie nieskomplikowane, czego nie da się powiedzieć o nikim innym.

– Gołąbku – powiedziała Nancy, chwytając ramię Henry’ego z nadgorliwością rozbitka, który odkrył, że nie wszyscy jego bliscy zginęli w katastrofie. – Dzięki Bogu! Uratuj mnie od tej okropnej kobiety w zielonym swetrze! Nie mogę uwierzyć, że moja siostra ją znała – towarzysko! Doprawdy zdumiewające jest to przyjęcie. Jakby wcale nie umarł ktoś z Jonsonów. Kiedy pomyślę o pogrzebie mamusi albo ciotki Edith... Mamusię żegnało osiemset osób, połowa francuskiego rządu, Aga Khan i Windsorowie; nie zabrakło *nikogo*.

– Eleanor poszła w życiu inną drogą – stwierdził Henry.

– Chyba bezdrożem – skwitowała Nancy, przewracając oczami.

– Mnie osobiście jest wszystko jedno, kto przyjdzie na mój pogrzeb.

– Bo wiesz, że przyjdzie tłum senatorów, sławnych ludzi i płaczących kobiet! Problem z pogrzebami polega na tym, że wszystko robi się na ostatnią chwilę. Dlatego, oczywiście, mamy też spotkania wspomnieniowe, ale to nie to samo. Pogrzeb ma w sobie jakiś dramatyzm, chociaż ja nie znoszę tych otwartych trumien. Pamiętasz wujka Vlada? Do dziś miewam o nim koszmary, śni mi się, jak leży w tym biało-złotym mundurze, chudy jak szkielet. O Boże, prędko, szyk taborowy! – zawołała Nancy. – Zielony goblin znów się na mnie gapi.

Fleur z poczuciem mocy i nieposkromioną przyjemnością toczyła wzrokiem po sali w poszukiwaniu osób, którym dotychczas nie dane było z nią porozmawiać. Czytała wszystkie prądy przepływające między zgromadzonymi; jednym spojrzeniem wnikała w głąb ich duszy. Dzięki Patrickowi Melrose’owi, który zagadywał kelnerkę, wyciągając od niej numer telefonu, mogła sama przyrządzić sobie drinka: szklanka ginu z odrobiną toniku, a nie na odwrót. Jakie to miało znaczenie? Alkohol nie był w stanie zmącić jej olśniewająco jasnych myśli. Upiwszy łyk z umazanej szminki szklanki, podeszła do Nicholasa Pratta, pragnąc pomóc mu zrozumieć siebie.

– Czy miewasz problemy ze zdrowiem psychicznym? – spytała, patrząc mu w oczy nieustraszoną wzrokiem.

- Czy my się znamy? – Nicholas spojrział lodowato na nieznajomą, która zastąpiła mu drogę.
- Pytam tylko dlatego, że wyczuwam takie rzeczy – wyjaśniła Fleur.

Nicholas zawahał się, rozdarty między impulsem, by zmiażdżyć starą wariatkę w swetrze zjedzonym przez mole, a pokusą popisania się swoją tężyzną psychiczną.

- A więc? – nie odpuszczała Fleur.

Nicholas na chwilę uniósł laskę, jakby zamierzał odsunąć Fleur na bok, po czym wparł koniec mocno w ziemię, przenosząc na niego cały swój ciężar. Wciągnął mroźne, ożywcze powietrze pogardy wdzierające się przez okno, które Fleur rozbiła swoim impertynenckim pytaniem; pogardy, która zawsze czyniła go, wedle jego własnych słów, jeszcze bardziej elokwentnym.

– Nie, nie wiem „problemów ze zdrowiem psychicznym” – zagrzmiał. – Nawet w tej zdegenerowanej epoce uzalania się i wyżalania nie zdołaliśmy jeszcze całkiem postawić wszystkiego na głowie. W czasach, kiedy każdą rozmowę skrapia się obficie freudowskim bełkotem, jak zawinięte w gazetę tłuste frytki octem, niektórzy z nas wolą chodzić *głodni* – wypuść jej to słowo w twarz. – Ludzie wyrafinowani pielęgnują swoje „syndromy” – ciągnął dalej – i nawet byle prostak wmawia sobie, że cierpi na jakiś „kompleks”. I już nie wystarczy, że każde dziecko ma „wrodzone zdolności”, co samo w sobie jest bzdurą; teraz jeszcze musi koniecznie mieć jakieś schorzenie: lekki asperger, delikatny autyzm; zaraza dysleksji zbiera obfite żniwo na placach zabaw; małe zdolne biedaczyska są „dręczone” przez większych i silniejszych; kto się nie przyzna, że się nad nim znęcano, musi się przyznać, że sam się znęcał. A zatem, moja droga – Nicholas zaśmiał się złowieszczo – to, że tak cię nazwałem, złóżmy na karb mojego zespołu *deficytu szczerości*, no, chyba że jakiś ambitny szarlatan, lądując na parzących, sarkastycznych plażach wielkiego kontynentu ironii, ochrzcił inwersję powierzchniowego sensu mianem „choroby Pottera” albo „dżumy Jonesa”... otóż nie, moja droga, nie mam w sobie ani krzty choroby psychicznej. Współczesne zamiłowanie do patologii to lawina, która jednakże musiała się zatrzymać w pewnej odległości od moich zupełnie zdrowych stóp. Kiedy się zbliżam do tej kupy śmieci, natychmiast się przede mną rozstępuje, robi miejsce dla człowieka niemożliwego, człowieka, któremu nic nie dolega; psychoterapeuci pierzchają na mój widok, wstydząc się swojej załganej profesji!

– Jesteś kompletnie stuknięty – orzekła przenikliwie Fleur. – Tak jak przypuszczałam. Przez lata wykształciłam w sobie coś, co nazywam swoim małym radarem. Daj mi pomieszczenie pełne ludzi, a bez trudu wskażę tych, którzy mają *te* problemy.

Nicholas z pewną rozpaczą uzmysłowił sobie, że jego popis miażdżącej elokwencji nie zdał się na nic; zaraz jednak, niczym wprawny tancerz tanga, który zawraca zniecka ze skraju parkietu, zmienił taktykę i wykrzyknął na całe gardło:

- Pierdol się!

Fleur zaglądała mu coraz głębiej w oczy.

– Misiąc w Priory postawiłby cię na nogi – orzekła – i przyodział w prawy umysł, jak w tym hymnie. Znasz? – Fleur zamknęła oczy i zaczęła żarliwie śpiewać: – „Panie nasz, ojciec ludzkości / Nasze błędy wybaczone nam / I przyodziej nas w umysł prawy”. Coś pięknego. Porozmawiam z doktorem Pagazzim, to najlepszy fachowiec. Bywa nieco surowy, ale to wszystko dla dobra pacjenta. Spójrz na mnie: miałam kompletnego bzika, a teraz jestem okazem szczęścia. – Nachyliła się i szepnęła Nicholasowi do ucha: – Czuję się bardzo, ale to bardzo dobrze.

Johnny wiedział, że jako psychoterapeuta jego córki powinien unikać interakcji z Nicholasem Pratem, ale kiedy zobaczył, że ten potworny człowiek wydziera się na potarganą starszą kobietę, jego powściągliwość przekroczyła granicę, którą sobie wyznaczył. Podszedł do Fleur i stając

plecami do Nicholasa, spytał ją cicho, czy wszystko w porządku.

– Czy w porządku? – roześmiała się. – Jest cudownie, lepiej niż kiedykolwiek. – Fleur miała kłopot z wyrażeniem uczucia duchowego bogactwa. – Jeżeli można czuć się zbyt dobrze, to właśnie tak się czuję. Próbowалаm pomóc temu biedakowi, który nie radzi sobie ze swoimi licznymi problemami.

Uspokojony, że nie dzieje się jej żadna krzywda, Johnny uśmiechnął się i rozpoczął taktowny odwrót, lecz Nicholas, teraz już mocno rozeźlony, nie zamierzał przepuścić takiej okazji.

– Ach! – zawołał. – Oto i on! Niczym dowód rzeczowy w dramacie sądowym, pojawia się w samą porę: praktykujący znachor, apostoł *psychoparalizy*, przewodnik po katakumbach, przewodnik po kanałach; obiecuje zamianę snów w koszmary i zawsze dotrzymuje słowa – cedził z wypiekami na twarzy i śliną w kącikach ust. – Przewoźnik przez drugą rzekę Piekła nie zadowolili się skromną monetą jak jego proletariacki kolega ze Styksu. Żeby przedostać się przez Lete do zapomnianej podziemnej krainy niebezpiecznego bełkotu, w której bezzębne niemowlęta wyrrywają sutki z bezmlecznych piersi matek, trzeba wypisać pokaźny czek.

Nicholas z coraz większym wysiłkiem rozwijał swoje zaperzone zdania.

– Żadne nasze urojenia – ciągnął zdyszany – nie są tak odrażające jak urojenie, na którym opiera się mroczna sztuka tego człowieka, zatruwająca ludzką wyobraźnię małymi dziećmi o morderczych i kazirodczych instynktach...

Nagle urwał, choć jego usta nadal się poruszały, chwytając powietrze. Przez chwilę, wsparty na lasce, kołysał się na boki, potem zatoczył się kilka kroków do tyłu i wpadł na stół. Upadając na ziemię, chwycił się obrusa i pociągnął za sobą pół tuzina szklanek. Butelka czerwonego wina przewróciła się, a jej zawartość chlusnęła ze stołu wprost na jego czarny garnitur. Kelnerka rzuciła się do przodu i złapała wiaderko z nadtopionym lodem, które sunęło w stronę leżącego na wznak ciała.

– Ojej – powiedziała Fleur – za bardzo się rozzłościł. Wysadził się własnym prochem, jak to mówią. Taki los spotyka tych, którzy nie szukają pomocy – dodała, jakby omawiała jego przypadek z doktorem Pagazzim.

Mary z otwartym telefonem komórkowym pochyliła się nad kelnerką.

– Zadzwoń po karetkę.

– Dziękuję – odparła kelnerka. – Zejdę na dół do recepcji.

Goście zgromadzili się wokół leżącego i patrzyli z mieszaniną ciekawości i zaniepokojenia.

Patrick uklęknął przy Nicholasie i zaczął rozluźniać mu krawat. Luzował węzeł, nawet gdy nie miało to już sensu, aż całkiem go rozwiązał. Dopiero wtedy rozpiął guzik u kołnierzyka koszuli. Nicholas próbował coś powiedzieć, lecz tylko skrzywił się z wysiłku; zamknął oczy, zdegustowany własną słabością.

Johnny przyznał się przed sobą do pewnej satysfakcji, że nie odegrał czynnej roli w upadku Nicholasa. A potem spojrzął na swojego przeciwnika, rozciągniętego na wykładzinie, i nie wiedzieć czemu widok jego starej szyi, już nie przystrojonej drogim czarnym jedwabnym krawatem, lecz pomarszczonej i odsłoniętej, jakby czekającej na śmiertelny cios sztyletem, wzbudził jego litość i nowy szacunek dla potęgi konserwatywnej jaźni, która prędzej zabije swojego właściciela, niż pozwoli mu się zmienić.

– Johnny? – odezwał się Robert.

– Tak? – spytał Johnny, widząc, że Robert i Thomas przyglądają mu się z wielkim zaciekawieniem.

– Dlaczego ten pan tak się na ciebie zezłościł?

- Długo by opowiadać – odparł Johnny – a zresztą i tak mi nie wolno.
- Czy on dostał psychoparalizy? – chciał wiedzieć Thomas. – Bo paraliza to znaczy, że człowiek nie może się ruszać.
- Mimo że otaczał go pełen powagi szmer, Johnny cicho parsknął.
- Bardzo mi się podoba ta diagnoza; obawiam się jednak, że Nicholas Pratt wymyślił to słowo, żeby zadrwić z psychoanalizy, czyli z mojego zawodu.
- A na czym on polega? – spytał Thomas.
- Na docieraniu do ukrytej prawdy o własnych uczuciach.
- To jak zabawa w chowanego?
- Tak, tylko że prawda zamiast w szafach, za firanką i pod łóżkiem kryje się w symptomach, snach i nawykach.
- A czy możemy się w to pobawić?
- A czy można w ogóle przestać? – powiedział Johnny bardziej do siebie niż do chłopców.
- W dalszej rozmowie przeszkodziła im Julia.
- Czy to koniec? – spytała. – Po czymś takim człowiekowi raz na zawsze odechciewa się napadów złości. Boże, ta religijna fanatyczka obejmuje go za głowę. To by mnie wykończyło.
- Anette siedziała na piętach obok Nicholasa i trzymała jego głowę w dłoniach, oczy miała zamknięte, a jej usta delikatnie się poruszały.
- Czy ona się modli? – zastanawiała się Julia z osłupiałą miną.
- To miło z jej strony – rzekł Thomas.
- Podobno nie należy źle mówić o zmarłych – powiedziała Julia – więc lepiej się pospieszę. Zawsze uważałam, że Nicholas Pratt jest absolutnie okropny. Nie przyjaźnię się jakoś blisko z Amandą, ale mam wrażenie, że ten człowiek zrujnował życie swojej córce. No, ale ty pewnie wiesz na ten temat więcej niż ja.
- Johnny bez trudu zachował milczenie.
- Może przestań być taka wredna? – uniósł się Robert. – To stary człowiek, jest z nim naprawdę niedobrze i może cię usłyszeć, i nawet nie jest w stanie odpowiedzieć.
- Tak – przyszedł mu w sukurs Thomas – to nie fair, bo nie może odpowiedzieć.
- Julia w pierwszej chwili wydawała się bardziej zaskoczona niż poirytowana. W końcu odparła z urażonym westchnieniem:
- Wiadomo, że pora wyjść z przyjęcia, kiedy dzieci przypuszczają zmasowany atak na twój charakter. Pożegnasz ode mnie Patricka? – zwróciła się do Johnny'ego, całując go zniecka w oba policzki, a chłopców ignorując. – To ponad moje siły po tym, co się stało. Znaczy z Nicholasem.
- Mam nadzieję, że jej nie rozzłościł się – rzekł Robert.
- Sama się rozzłościła, bo łatwiej było jej się rozzłościć niż zmartwić.
- Ledwie Julia wyszła z sali, musiała się do niej cofnąć, by przepuścić kelnerkę i dwóch sanitariuszy ze sprzętem ratowniczym.
- Patrzcie! – zawołał Thomas. – Butla z tlenem i nosze! Chciałbym, żeby mnie zabrali!
- Tam leży – powiedziała niepotrzebnie kelnerka.

Nicholas poczuł, że ktoś unosi jego nadgarstek. Wiedział, że badają mu puls. Wiedział, że jest podwyższony, obniżony, za słaby, za mocny, wszystko nie tak. Dziura w sercu, szpikulec w piersi. Trzeba im powiedzieć, że nie jest dawcą organów, bo inaczej mu je ukradną, zanim

umrze. Musi ich powstrzymać! Zadzwoń do prawników! Niech *interweniują natychmiast*. Nie może mówić. Tylko nie mowa, zostawcie mi mowę. Myśli bez języka są jak wykolejony pociąg, wyginają się i przewracają, niszcząc wszystko dookoła. Ktoś każe mu otworzyć oczy. Otwiera. Niech zobaczą, że wciąż jest *compos mentis*, kompost mentis, surowce wtórne. Nie! Tylko nie mózg, tylko nie genitalia, tylko nie serce, niegotowe do przeszczepu, wciąż szamoczące się z umysłem w obcym ciele. Świecą mu w oczy, nie, tylko nie oczy, zostawcie oczy. Ile strachu. Zniknęły pułki słów, pędzą barbarzyńcy, płoną dachy, końskie kopyta miażdżą kruche czaszki. Nie jest już sobą; wpadł pod kopyta. Nie może być bezsilny; nie może dać się upokorzyć; za późno, by stał się kimś, kogo nie zna – groza, najwewnętrzniejsza groza.

– Nie martw się, Nick, pojedę z tobą karetką – szepnął mu ktoś do ucha.

To ta Irlandka. Pojedzie z nim karetką! Wydłubie mu oczy, zwinnymi palcami wyłowi nerki, wyjmie ze swojej duchowej skrzynki na narzędzia piłę do metalu. Chciał zostać uratowany. Chciał usłyszeć głos matki; nie tej, która się za nią podawała, lecz tej prawdziwej, której nigdy nie poznał. Poczul, że czyjeś ręce chwytają go za stopy, a jeszcze inne wsuwają mu się pod ramiona. Włóczenie końmi, powieszenie i poćwiartowanie: publiczna egzekucja za wszystkie przewiny. Zasłużył sobie. Panie, miej litość nad jego duszą. Panie, miej litość.

Sanitariusze porozumieli się spojrzeniami i na skinienie unieśli jednocześnie oba końce Nicholasa, po czym umieścili go na rozłożonych obok noszach.

– Pojadę z nim karetką – oznajmiła Anette.

– Dziękuję – rzekł Patrick. – Zadzwońisz do mnie ze szpitala, jak będzie wiadomo coś więcej?

– Pewnie – odparła. – Och, to dla ciebie okropny wstrząs – dodała, ściskając go zniemacka. – Biegnę.

– Czy ta kobieta jedzie z nim? – spytała Nancy.

– Tak, czy to nie miło z jej strony?

– Przecież ona w ogóle go nie zna. Ja znam Nicholasa od zawsze. Najpierw moja siostra, a teraz praktycznie mój najstarszy znajomy. Nie do wiary.

– Dlaczego sama nie pojedziesz?

– Jedno mogę dla niego zrobić – odparła z nutą oburzenia, jak gdyby nietaktem było oczekiwać, że ona jedna okaże szczerą troskę. – Jego kierowca Miguel, biedaczyna, czeka na zewnątrz, niczego nie podejrzewając. Zejdę na dół, powiem mu, co się stało, i pojedę z nim pod szpital, w razie gdyby Nicholas potrzebował samochodu.

Nancy na szybko przyszyły do głowy co najmniej trzy miejsca, o które chętnie zahaczyłaby po drodze. Badania z pewnością potrwają, zresztą kto wie, czy Nicholas nie jest już martwy, a wożąc ją po mieście, biedny Miguel będzie mógł oderwać myśli od tej okropnej sytuacji. Nancy nie miała pieniędzy na taksówki, a wycięcia morderczo eleganckich butów za dwa tysiące dolarów zaczynały jej się wrzynać w spuchnięte stopy. Ludzie wytykali jej niepoprawną rozrzutność, a przecież zaoszczędziła drugie tyle, kupując tę parę na wyprzedazy. W tym miesiącu nie mogła już liczyć na zastrzyk gotówki, bo wredni bankierzy karali ją za jej „historię kredytową”. Według Nancy ta historia wyglądała następująco: mamusia spisała byle jaki testament, który pozwolił złemu ojczymowi okraść ją ze wszystkich pieniędzy. Od tamtej pory Nancy heroicznie szastała dolarami, jak gdyby dokonała się sprawiedliwość, jakby przywracała światu naturalny ład, oszukując sklepikarzy, właścicieli nieruchomości, dekoratorów, florystów, fryzjerów, rzeźników i jubilerów, żałując napiwków szatniarcom i prowokując spory ze służbą, tak by móc zwalniać ludzi, nie płacąc im za pracę.

Podczas comiesięcznej wizyty w oddziale Morgan Guaranty – gdzie mamusia założyła jej

konto w dniu dwunastych urodzin – podejmowała piętnaście tysięcy dolarów w gotówce. W jej pogorszonej sytuacji spacer na Sześćdziesiątą Dziewiątą Ulicę był jak intensywnie wybarwiona, połyskująca lepkiem nektarem muchołówka. Często po drodze do domu wydawała połowę swojego miesięcznego przydziału; nieraz, odliczając jakąś kwotę przy kasie, odkrywała ze zdumieniem, że brakuje jej dwóch, trzech tysięcy, po czym opuszczała sklep z różowym marmurowym obeliskiem albo portretem małpy w aksamitnej marynarce, obiecawszy, że doniesie brakującą sumę po południu, znacząc kolejny czarny punkt w skomplikowanym labiryncie swoich długów, kolejny niewygodny zawijas na mapie swoich spacerów. Zawsze podawała prawdziwy numer telefonu, ale z przekreśloną jedną cyfrą, prawdziwy adres, ale przesunięty o jedną przecznicę, no i, ma się rozumieć, zupełnie zmyślane nazwisko. Czasem nazywała się Edith Jonson albo Mary de Valençay, aby sobie przypomnieć, że nie ma się czego wstydzić i że kiedyś byłoby ją stać na cały kwartał miasta, a co dopiero bibelot w jednym ze sklepów.

W połowie miesiąca była już całkowicie splukana. Uciekała się wtedy do serdecznych przyjaciół. Jedni ją gościli, drudzy pozwalali jej dopisywać swoje lunche i kolacje do ich rachunków w Jimmy's czy Le Jardin, a jeszcze inni zwyczajnie wypisywali jej duży czek, konstatując w duchu, że Nancy znów wepchnęła się do kolejki, przez co ofiary powodzi, tsunami oraz trzęsień ziemi będą musiały poczekać jeszcze jeden rok. Od czasu do czasu wywoływała jakiś kryzys, zmuszając zarządców do uwolnienia większych środków, żeby nie trafiła do więzienia, co skutkowało dalszym spadkiem jej dochodu. Przyjechawszy na pogrzeb Eleanor, zatrzymała się u swoich świętych przyjaciół Tesców w ich boskiej rezydencji przy Belgrave Square, zajmującej dwa piętra w pięciu sąsiadujących ze sobą budynkach. Harry Tesco opłacił jej przelot – pierwszą klasą – ale zanim wyjdą wieczorem do opery, będzie musiała jeszcze rozplakać się przed Cynthią w jej saloniku, opowiedzieć, jak bardzo jest jej ciężko. Tescowie byli nieziemsko bogaci, strasznie ją denerwowało, że musi tak się poniżać, żeby wyciągnąć od nich parę groszy więcej.

– Nie podrzuciłabyś mnie po drodze? – spytała Kettle.

– To prywatny samochód Nicholasa, skarbie, a nie limuzyna – odparła Nancy zbulwersowana niestosownością tej prośby. – W tych okolicznościach to naprawdę nie przystoi.

Pocałowała Patricka i Mary na pożegnanie i ruszyła śpiesznie do wyjścia.

– Szpital Świętego Tomasza, tak w ogóle – zawołał za nią Patrick. – Sanitariusz powiedział, że tam najlepiej rozpuszczają skrzepy.

– Czy to udar? – spytała Nancy.

– Atak serca, poznali po zimnym nosie: krew słabiej krąży.

– Och, przestań – rzuciła Nancy. – Nie mogę o tym myśleć.

Ruszyła w dół po schodach. Nie miała czasu do stracenia, Cynthia umówiła ją do fryzjera za pomocą magicznej formuły: „Proszę dopisać do mojego rachunku”.

Kiedy Nancy zniknęła, Henry zaproponował rozżalonej Kettle, że ją podwiezie. Zgodziła się po kilku minutach narzekania na gburowatość ciotki Patricka i pożegnała się z Mary i z dziećmi. Henry obiecał zadzwonić do Patricka jutro i zszedł z Kettle na dół. Na zewnątrz, przed wejściem do klubu niespodziewanie wpadli na Nancy.

– Och, gołąbku – jęknęła tonem sfrustrowanego dziecka. – Samochód Nicholasa odjechał.

– Możesz się zabrać z nami – odrzekł zwyczajnie Henry.

Kettle i Nancy usiadły z tyłu w lodowatej ciszy. Siedzący z przodu Henry kazał kierowcy jechać najpierw do Princes Gate, potem do Szpitala Świętego Tomasza i na koniec do hotelu.

Nancy nagle zrozumiała, na co się zgodziła, przyjmując propozycję Henry'ego. Na śmierć zapomniała o Nicholasie. Teraz będzie musiała pożyczyć od Henry'ego pieniądze na taksówkę do fryzjera z jakiegoś przekłętego szpitala gdzieś na odludziu. Chciało jej się krzyczeć.

Upadek Nicholasa i spowodowane nim zamieszanie, przyjazd ratowników i rozejście się części gości umknęły uwadze Erazma. Kiedy chwilę wcześniej Fleur w środku rozmowy z Nicholasem zaczęła nagle śpiewać, słowa „przyodziej nas w prawy umysł” przeszły go lekkim prądem, jak przenikliwy psi gwizdek, niesłyszalny dla innych, lecz dostrojony idealnie do jego upodobań, przywołując go z powrotem do jego prawdziwego pana, rozkazując mu, by porzucił grząskie łąki intersubiektywności oraz intrygujące ślady innych umysłów na rzecz chłodnej półki balkonu, gdzie będzie mógł, choć przez kilka chwil, pomyśleć o myśleniu. Życie towarzyskie miało tendencję do zderzania go z jego fundamentalnym sprzeciwem wobec twierdzenia, iż indywidualną tożsamość określa się poprzez układanie doświadczeń w coraz bardziej spójną i uporządkowaną opowieść. On znajdował autentyzm nie w narracji, ale w refleksji. Presja, by przedstawiać swoją przeszłość w formie anegdoty albo kreślić obraz przyszłości za pomocą żarliwych ambicji, sprawiała, że czuł się niezręcznie i fałszywie. Wiedział, że jego niezdolność do ekscytowania się wspomnieniem pierwszego dnia w szkole, do projekcji skumulowanego, coraz bardziej zwartego ja, które pragnęłoby nauczyć się gry na harfie, marzyło o domu na wzgórzach Chilterns albo oczekiwało, że firmament spłynie krwią Chrystusa – że ta niezdolność czyni jego osobowość nierzeczywistą z perspektywy innych ludzi, lecz właśnie ta nierzeczywistość osobowości była dla niego czymś zupełnie jasnym. Jego prawdziwe ja było uważnym odbiorcą różnorodnych i zmiennych impresji, które nie mogły, same w sobie, wzmocnić ani osłabić jego tożsamości.

Nie dość, że miał problem ontologiczny z niekwestionowanymi dla większości ludzi narracyjnymi założeniami zwyczajnego życia towarzyskiego, to jeszcze, na tym konkretnym przyjęciu, zaczął kwestionować założenie etyczne podzielane przez wszystkich poza Anette (której powody, aby go nie podzielać, same w sobie były problematyczne), iż Eleanor Melrose źle uczyniła, wydziedziczając syna. Abstrahując na chwilę od trudności, jakich nastęrcząca ocena użyteczności ustanowionej przez nią fundacji, szersza dystrybucja jej zasobów miała niewątpliwie potencjał utylitarny. Pani Melrose mogła przynajmniej liczyć na przychyłność Johna Stuarta Milla, Jeremy'ego Benthama, Petera Singera i R.M. Hare'a. Jeżeli w dłuższej perspektywie tysiąc ludzi zyska dzięki fundacji, choćby i za sprawą najbardziej ezoterycznych działań, poczucie celu, które uczyni ich bardziej altruistycznymi i sumiennymi obywatelami, czy pożytek, jaki będzie z tego miało społeczeństwo, nie przeważą nad goryczą czteroosobowej rodziny (minus nieświadomy straty Thomas), która liczyła na to, że będzie miała dom we Francji? Czy w tym wirze perspektyw możliwa jest trzeźwa ocena moralna z innej pozycji niż pozycja zupełnej bezstronności? Inna sprawa, czy taka pozycja jest w ogóle osiągalna; odpowiedź na to pytanie prawie na pewno była przecząca. Niemniej nawet gdyby odrzucić opartą na nieosiągalnej bezstronności arytmetykę utylitarystyczną, argumentując za Hume'em, że motywacja bierze się z pragnienia, moralna autonomia jednostki dającej jednemu rodzajowi dobra pierwszeństwo przed innym stanowiła równie mocny argument etyczny za filantropijnym wyborem Eleanor.

Zniknięcie Fleur, która podążyła na dół za noszami z Nicholasem, zostało przyjęte z ulgą, lecz dziesięć minut później znów stanęła dziarsko w drzwiach. Widząc, że Erazm pochyla się nad

balustradą i patrzy w zamyśleniu na żwirową ścieżkę, natychmiast wyraziła swoje zaniepokojenie.

– Co ten człowiek robi na balkonie? – spytała ostro, niczym niania, która wyrzuca sobie, że na chwilę opuściła pokój dziecięcy. – Czy on zamierza skoczyć?

– Nie sądzę – odparł Patrick – ale jestem pewien, że mogłaby go pani do tego przekonać.

– Ostatnie, czego nam trzeba, to jeszcze jedna śmierć – stwierdziła.

– Pójdę spytać – zaoferował się Robert.

– Ja też – powiedział Thomas i czmychnął na balkon.

– Nie możesz skoczyć – wyjaśnił Erazmowi. – Ostatnie, czego nam trzeba, to jeszcze jedna śmierć.

– W ogóle nie myślałem o tym, żeby skoczyć.

– A o czym? – chciał wiedzieć Robert.

– O tym, czy lepiej wyświadczyć trochę dobra wielu osobom niż mnóstwo dobra niewielu osobom – odparł Erazm.

– Potrzeby wielu przewyższają potrzeby niewielu albo jednego – oznajmił uroczyście Robert, wykonując dziwny gest prawą dłonią.

Thomas rozpoznał nawiązanie do filozofii Wolkan z drugiej części *Star Treka* i wykonał taki sam gest.

– Żyj długo i pomyślnie – powiedział, uśmiechając się pod nosem na myśl, że wyrastają mu spiczaste uszy.

Fleur wkroczyła na balkon i bez czczych wstępów zwróciła się do Erazma:

– Znasz amitryptylinę?

– Nigdy o niej nie słyszałem – odparł Erazm. – Co napisała?

Fleur zrozumiała, że Erazm ma pomieszaną w głowie dużo bardziej, niż sądziła.

– Lepiej wejdź do środka – rzekła tonem łagodnej perswazji.

Erazm dopiero teraz spojrzał w głąb sali i zauważył, że większość gości już sobie poszła. Stwierdził, że Fleur taktownie daje mu do zrozumienia, że nic tu po nim.

– Tak, racja – powiedział.

Fleur uznała w duchu, że ma prawdziwy talent do ciężkich przypadków i że powinna kierować oddziałem depresyjnym w szpitalu psychiatrycznym, a może nawet przewodzić jakiemuś komitetowi doradców na szczeblu rządowym.

Wracając do środka, Erazm postanowił, że nie da się znowu wplątać w chaos życia towarzyskiego, pożegna tylko Mary i niezwłocznie wyjdzie. Nachylając się do pocałunku, zastanawiał się, czy mężczyzna o przewadze typu narracyjnego pragnąłby Mary dlatego, że pragnął jej w przeszłości, i czy wyobrażałby sobie, że niejako transportuje w ten sposób fragment przeszłości w wehikule czasu do chwili obecnej. Pod wpływem tej fantazji przypomniał sobie doniosłą myśl Wittgensteina, że kluczem do zrozumienia pojęć, które posiadamy, jest konstruowanie pojęć fikcyjnych. W jego wypadku pragnienie, jakiegokolwiek by ono było, miało charakter pozbawionego większego znaczenia terażniejszego faktu, jak zapach kwiatu.

– Dziękuję, że przyszedłeś – powiedziała Mary.

– Nie ma za co – wymamrotał i uściśnawszy delikatnie jej ramię, wyszedł, nie zegnając się z nikim więcej.

– Bez obaw – rzekła Fleur do Patricka. – Będę go dyskretnie śledziła.

– Jest pani jego aniołem stróżem – skwitował Patrick, z trudem kryjąc ulgę, że tak łatwo się

jej pozbywa.

Mary uprzejmie odprowadziła Fleur do schodów.

– Przepraszam, muszę lecieć – powiedziała Fleur. – Życie tego biedaka wisi na włosku.

Mary wiedziała, że lepiej nie dyskutować z kobietą o tak silnych przekonaniach.

– Cieszę się, że mogłam poznać starą znajomą Eleanor – oznajmiła.

– Ona mnie prowadzi – szepnęła Fleur. – Czuję łączność z nią. To była święta kobieta; pokaże mi, jak mu pomóc.

– Wspaniale – odparła Mary.

– Niech cię Bóg błogosławi, skarbie – powiedziała Fleur, ruszając rażno w dół po schodach, by nie stracić z oczu Erazma i jego samobójczej wędrowni ulicami Londynu.

– Co za kobieta! – rzekł Johnny, spoglądając z głębi sali. – Coś mi mówi, że to za nią powinien ktoś chodzić, a nie na odwrót.

– Ja się na to nie piszę – odparł Patrick. – Przedawkowałam Fleur. Dziwne, że w ogóle wypuścili ją z Priory.

– Mnie to wygląda na sam początek epizodu maniackalnego – stwierdził Johnny. – Przypuszczam, że poczuła się zbyt dobrze i postanowiła odstawić tabletki.

– Miejmy nadzieję, że jej się odwidzi, zanim spróbuje „uratować” Erazma – powiedział Patrick. – Strach pomyśleć, jak to się dla niego skończy, jeśli chwyci go za nogi na moście albo rzuci się na niego, kiedy będzie przechodził przez ulicę.

– Boże! – Mary śmiała się z ulgą i niedowierzaniem. – Zastanawiałam się, czy kiedykolwiek sobie pójdzie. Mam nadzieję, że Erazm zdążył zniknąć za rogiem.

– Ja też muszę lecieć – powiedział Johnny. – Mam pacjenta o czwartej.

Pożegnał wszystkich, pocałował Mary, uściskał chłopców i obiecał Patrickowi, że do niego zadzwoni.

Nagle rodzina została sama, nie licząc kelnerki, która sprzątała kieliszki i chowała nieotwarte butelki do tekturowych pudeł w kącie.

Patrick poczuł znajomą mieszaninę bliskości i osamotnienia, bycia razem i rychłego rozstania.

– Pójdiesz z nami? – spytał go Thomas.

– Nie, muszę pracować.

– Proszę, chodź z nami, chcę, żebyś mi coś opowiedział, tak jak kiedyś.

– Zobaczymy się w weekend.

Robert stał z boku; wiedział więcej niż jego brat, ale za mało, żeby zrozumieć.

– Możesz zjeść z nami kolację – zaproponowała Mary.

Patrick chciał się zgodzić i chciał odmówić, chciał być sam i chciał mieć towarzystwo, chciał być blisko Mary i uwolnić się od niej, chciał, żeby śliczna kelnerka myślała, że jest wolny, i żeby jego dzieci miały poczucie rodzinnej harmonii.

– Chyba jednak... kiedy indziej – odrzekł, przysypany lawiną sprzeczności, skazany na żal z powodu każdej decyzji. – To był długi dzień.

– Zawsze możesz zmienić zdanie – powiedziała Mary.

– Powinieneś zmienić zdanie – podchwycił Thomas – bo po to ono jest!

Włokąc się stopień po stopniu do swojej kawalerki o skośnych ścianach na poddaszu wąskiej pięciopiętrowej wiktoriańskiej kamienicy w Kensington, Patrick cofał się jakby w rozwoju gatunkowym, wchodził po schodach coraz bardziej pochylony, a na samej górze dotknął kłykciami dywanu, niczym wczesny hominid, który nie nauczył się jeszcze stać prosto wśród afrykańskiej sawanny i tylko z rzadka schodzi na ziemię z bezpiecznej kryjówki w koronach drzew.

– Szlag. – Nabrał tchu i uniósł głowę na wysokość dziurki od klucza.

Nie było mowy, żeby zaprosił tę cudowną kelnerkę do swojej nory, mimo że jej numer tkwił w jego kieszeni, tuż przy niepokojąco rozłomotanym sercu. Była zbyt młoda, by musieć się wyslizgiwać spod ciała mężczyzny w średnim wieku, który zmarł, usiłując wynagrodzić jej ciężką wspinaczkę do swojej ciasnej klitki. Runął na łóżko i objął poduszkę, wyobrażając sobie zamiast starego pierza w pożątkłej poszewce ciepłą i gładką szyję kelnerki. Ponury afrodyzjak świeżego zgonu; długa galeria substytutów zastępujących substytuty; niezaspokojone pragnienie pociechy: znał to wszystko aż nazbyt dobrze, lecz przypomniał sobie surowo, że wrócił do swojego nie-domu po to, aby teraz, kiedy wreszcie został sam, być niepokieszonym. Towarzyszące mu przez całe życie napięcie pomiędzy zależnością i niezależnością, domem a przygodą, można było rozwiązać tylko w jeden sposób: czując się wszędzie jak w domu, ucząc się patrzeć jednakowym wzrokiem na ważniacką pychę każdego nastroju czy zdarzenia. Wiedział, że droga do tego jest daleka. Wystarczyło, że skończył mu się ulubiony olejek do kąpieli, a już miał ochotę potraktować wannę młotem i błagać lekarza o receptę na valium.

Ale to nic; leżał na łóżku i myślał o tym, jak bardzo jest zdeterminowany: tomahawk leci ze świstem przez las i uderza głucho w cel, atomowy błysk rozpuszcza kolistą chmurę w promieniu kilku mil. Z jękiem stoczył się powoli z łóżka i usiadł głęboko w czarnym fotelu przy kominku. Za oknem na drugim końcu mieszkania widział opadające w dół zbocza łupkowe dachy, obrotowe nasady metalowych kominów wentylacyjnych lśniące w popołudniowym słońcu, a w oddali – drzewa Holland Park, jeszcze niezazielenione, z liśćmi zaciśniętymi w pięści. Zanim zadzwoni do kelnerki – wyjął karteczkę z kieszeni, podpisała się na niej Helene – zanim zadzwoni do Mary, zanim wyjdzie z domu na długą wyciszającą kolację i spróbuje poczytać, w półmroku i przy denerwującej muzyce, poważną książkę, zanim sobie wmówi, że trzeba być na bieżąco z wydarzeniami na świecie, i włączy telewizor, zanim wypożyczy brutalny film albo zacznie się masturbować w wannie, bo jednak nie będzie mu się chciało dzwonić do Helene, posiedzi sobie przez chwilę w fotelu i okaże trochę szacunku stresom i przeczuciom tego długiego dnia.

Co dokładnie opłakiwał? Nie śmierć matki, bo ta przyniosła mu przede wszystkim ulgę. Nie jej życie, bo opłakał jej cierpienie i frustrację przed laty, kiedy zaczęła się pogrążyć w demencji. I nie swoją relację z nią; od dawna myślał o niej jak o czynniku warunkującym jego osobowość, a nie jak o transakcji z drugim człowiekiem. Stres, który dzisiaj odczuwał, był jakby obecnością dzieciństwa, czymś znacznie głębszym i bardziej bezradnym niż jego mordercza relacja z ojcem. Mimo wybuchów i skalpeli ojca, mimo ginu i wyczerpania matki, to doświadczenie nie dawało się przedstawić w formie opowieści ani zestawu relacji, istniało tylko jako głęboki, niewyraźalny rdzeń. Dla człowieka, który próbował wymówić się od wszystkiego, co myślał i czuł, szokiem

było odkrycie, że całkiem przemilczał coś tak dużego. Może właśnie to miał wspólnego z matką, ten niewyraźny rdzeń, w jej przypadku spotęgowany przez chorobę, w jego przypadku bardzo długo ukryty, aż do chwili, kiedy dotarła do niego wiadomość o jej śmierci. To było jak zderzenie po ciemku w obcym pokoju; omijanie po omacku czegoś, czego tam nie było, kiedy zgasło światło. Żal nie był odpowiednim słowem na to, czego doświadczał. Czuł strach, ale i podniecenie. Być może w świecie bez rodziców uda mu się ujrzeć w swoim uwarunkowaniu prosty fakt, bez wnikania w jego genealogię, nie dlatego, że perspektywa historyczna jest nieprawdziwa, ale dlatego, że się jej wyrzekł. Niejeden zdołałby pewnie osiągnąć podobny rozejm jeszcze za życia rodziców, ale rodzice Patricka byli tak dużymi przeszkodami, że musiał się od nich uwolnić w całkiem dosłownym znaczeniu, aby móc w ogóle marzyć o tym, że jego osobowość stanie się transparentnym medium, tak jak sobie tego życzył.

Idea wolnego życia zawsze wydawała mu się ekstrawagancka. Wszystko było uwarunkowane tym, co się zdarzyło wcześniej; nawet jego fanatyczna tęsknota za jakimś marginesem wolności była uwarunkowana drastycznym brakiem wolności w dzieciństwie. Może najlepszym, co go mogło spotkać, był rodzaj ułomnej wolności: godząc się z nieuniknionym następstwem przyczyn i skutków, uwalniał się przynajmniej od złudzeń. Tak naprawdę nie miał pojęcia. W każdym razie musiał zacząć od uznania swojej częściowej niewolności, wyrastającej z tego niewyraźnego rdzenia, do którego w końcu się przed sobą przyznał, musiał na nią spojrzeć z czymś w rodzaju życzliwej grozy. Do tej pory większość czasu upływała mu na automatycznych, wcześniej uwarunkowanych reakcjach, które pozostawiały niewiele miejsca na świadome odpowiadanie na to, co niosło życie. Jak by to było na nic nie reagować automatycznie, na wszystko świadomie odpowiadać? Niech przynajmniej zmierza małymi kroczkami w tym kierunku. Jak próbował wyjaśnić mało otwartej Julii, coraz mniej go przekonywały ostateczne sądy i konkluzje. Od dawna cierpiał na Niezdolność Negatywną, odwrotność słynnej Keatsowskiej cnoty pozwalającej obcować z tym, co niepewne, tajemnicze, wątpliwe, bez odwoływania się do faktów i wyjaśnień – czy jakoś tak – ale teraz był gotów otworzyć umysł na pytania, które wymykały się odpowiedzi, zamiast chwytać się odpowiedzi, których nie testował pytaniami. Może aby móc świadomie odpowiadać na rzeczywistość, powinien traktować świat jako pytanie; może wciąż reagował automatycznie, bo zakładał, że natura świata jest raz na zawsze ustalona.

Zadzwoił telefon na stoliku. Zamyślony Patrick patrzył na niego, jakby pierwszy raz w życiu widział coś podobnego. Wahał się chwilę, zanim w końcu po niego sięgnął. Odebrał tuż przed włączeniem się poczty głosowej.

– Halo – powiedział zmęczonym głosem.

– Tu Anette.

– O, cześć. Jak tam? Jak Nicholas?

– Obawiam się, że mam okropne wieści – odparła. – Nicholas nie przeżył. Tak mi przykro, Patricku. Wiem, że był starym przyjacielem twojej rodziny. Przestał oddychać jeszcze w karetce. W szpitalu próbowali go reanimować, ale się nie udało. Te wszystkie elektrody i zastrzyki adrenaliny są dość straszne. Myślę, że kiedy dusza jest gotowa do drogi, powinna móc odejść w spokoju.

– Trudno byłoby znaleźć podstawę prawną – zauważył Patrick. – Lekarze muszą udawać, że każde życie jest warte przedłużenia.

– Z prawnego punktu widzenia pewnie masz rację – westchnęła Anette. – Tak czy owak, to musi być dla ciebie bardzo bolesne, i to jeszcze w dniu pogrzebu twojej matki.

– Nie widziałem Nicholasa całe lata – rzekł Patrick. – Chyba mogę mówić o szczęściu, że zdążyłem go jeszcze zobaczyć w najwyższej formie.

– Och, był niezwykłym człowiekiem – powiedziała Anette. – Nie znam drugiej takiej osoby.

– Był wyjątkowy – zgodził się Patrick. – Przynajmniej taką mam nadzieję. To by było dość straszne, odkryć miasteczko pełne Nicholasów Prattów. W każdym razie – dodał prędko, zdając sobie sprawę ze swojego nieodpowiedniego tonu – dobrze zrobiłaś, że z nim pojechałaś. Miał szczęście, że w ostatnich chwilach był przy nim ktoś zdolny do spontanicznej dobroci.

– Och, zaraz się rozpłaczę – powiedziała Anette.

– I dziękuję za to, co powiedziałaś na uroczystości. Przypomniałaś mi, że Eleanor, poza byciem niedoskonałą matką, była też dobrym człowiekiem. Dobrze jest spojrzeć na nią z innego punktu widzenia niż ten, w którym jestem uwięziony.

– Nie ma za co. Wiesz, że ją kochałam.

– Wiem. Dziękuję.

Zakończyli wątpliwą obietnicą, że wkrótce porozmawiają znowu. Anette na drugi dzień wracała samolotem do Francji, a Patrick z całą pewnością nie zamierzał dzwonić do niej do Saint-Nazaire. Mimo to pożegnał ją czule. Czy naprawdę uważał Eleanor za dobrego człowieka? Anette skierowała jego uwagę na pytanie, co to znaczy być dobrym – i za to był jej wdzięczny.

Zaczął do niego docierać, że Nicholas nie żyje. Cofnął się na moment do lat sześćdziesiątych, ujrzał go w koszuli od Mr Fisha, wyłożliwiającego się pod platanami w Saint-Nazaire. Zobaczył siebie, małego chłopca, zdruzgotanego i oszalałego z bólu, ale obdarzonego bohaterską wolą walki, która w końcu jednym stanowczym „nie” położyła kres molestowaniu przez ojca. Wiedział, że jeśli chce zrozumieć zalewający go chaos, będzie się musiał wyrzec ochrony tamtego kruchego bohatera, tak jak musiał się wyrzec złudzenia, że chroni go matka, przynajmniej przed sobą, że rodzice byli nie tylko antagonistami, ale także współnikami.

Zagłębił się w fotelu. Ile jeszcze zniesie tego wszystkiego? Jak bardzo niepokieszony był gotów się poczuć? Przykrył brzuch poduszką, jakby spodziewał się ciosu. Chciał wyjść, pić, skoczyć z okna w kałużę własnej krwi, raz na zawsze przestać czuć cokolwiek, ale zapanował nad paniką i usiadł prosto, upuszczając poduszkę na podłogę.

Może to, czego myślał, że nie może znieść, składa się po części albo w całości z myśli, że nie może tego znieść. Nie był pewien, ale musiał się dowiedzieć, otworzył się więc na uczucie całkowitej bezradności i niespójności, którego chyba przez całe życie próbował uniknąć, i czekał, aż rozpadnie się na kawałki. Stało się jednak inaczej. Zamiast poczuć bezradność, poczuł równocześnie bezradność i współczucie dla tej bezradności. Jedno po drugim, błyskawicznie, tak jak ręka instynktownie sięga w dół, by potrzebę uderzoną goleń albo rozmasować bolący bark. W końcu nie był już niemowlęciem, ale mężczyzną doświadczającym chaosu wczesnego dzieciństwa za pośrednictwem świadomości, do której ten chaos się wdzierał. Współczucie rozlewało się coraz szerzej, aż ujrzał siebie na równi ze swoimi domniemanymi prześladowcami, zobaczył w rodzicach, którzy wydawali się przyczyną jego cierpienia, nieszczęśliwe dzieci rodziców, którzy wydawali się przyczyną ich cierpienia: nikt nie był winien i wszyscy byli winni, a ci, którzy zdawali się ponosić największą winę, najbardziej potrzebowali pomocy. Zatrzymał się chwilę na poziomie czystej nieuchronności takiego, a nie innego kształtu rzeczy, na tej zerowej płaszczyźnie zdarzeń, na której wyrastały wieżowce psychologicznego doświadczenia, i kiedy sobie wyobraził, że nie bierze życia tak bardzo do siebie, ciężki nieprzenikniony mrok niewyraźności zmienił się w doskonale przejrzystą ciszę, a on dostrzegł w niej margines wolności, zawieszenie reakcji.

Osunął się znowu w głąb fotela i siedział rozparty na wprost okna z widokiem. Zauważył, że jego łzy, spływając po twarzy, stygną. Wypłukane oczy, uczucie zmęczonej pustki. Czy właśnie to ludzie rozumieli przez „spokój”? Na pewno było coś jeszcze, ale nie uważał się za eksperta. Nagle zapragnął zobaczyć swoje dzieci, prawdziwe dzieci, nie duchy dzieciństwa przodków, prawdziwe dzieci ze sporymi szansami na szczęśliwe życie. Sięgnął po telefon i wybrał numer Mary. Postanowił zmienić zdanie. W końcu, jak powiedział Thomas, po to ono jest.

¹ Ang. *Round 'em up! Bring 'em in! Raw-w hi-de!*

² Spaceruję plażą / Patrę na brzoskwinie.

³ Por. „Czas przetrwonilem, teraz czas mnie trwoni”, W. Shakespeare, *Tragedia Króla Ryszarda II*, tłum. Maciej Słomczyński, akt V, scena 5.

⁴ Ang. *Lady of the Lake*.

⁵ Przeł. Leszek Engelking.

⁶ Przeł. Stanisław Barańczak.

⁷ Ang. *the unconsciousness*.

W polskim przekładzie wykorzystano fragmenty następujących utworów:
Mleko matki: *Hamlet* Williama Shakespeare'a w przekładach Józefa Paszkowskiego i Macieja Słomczyńskiego; *Z tamtego brzegu* Aleksandra Hercena w przekładzie Janiny Walickiej; *Król Lear* Williama Shakespeare'a w przekładzie Leona Ulricha; *O czym szumią wierzby* w przekładzie Marii Godlewskiej; *Oda do słowika* Johna Keatsa w przekładzie Ludwika Dorna
W końcu: *Antoniusz i Kleopatra* Williama Shakespeare'a w przekładzie Leona Ulricha; *Tybetańska księga umarłych* w przekładzie Ireneusza Kani; *Ostatnia taśma* Samuela Becketta w przekładzie Antoniego Libery; *Innisfree, wyspa na jeziorze* Williama Butlera Yeatsa w przekładzie Leszka Engelkinga; *Tractatus logico-philosophicus* Ludwiga Wittgensteina w przekładzie Bogusława Wolniewicza; *Odwrót* Henry'ego Vaughana w przekładzie Stanisława Barańczaka; List Johna Keatsa do braci w przekładzie Piotra Marcuszuka, Joanny Bujek i Wiesława Kruszki

Przekład: Łukasz Witczak
Redakcja: Ewa Rojewska-Olejarczuk
Korekta: Piotr Królak

Projekt okładki: Anna Pol
Zdjęcia wykorzystane na I stronie okładki: © Bregalis, www.flickr.com/photos/bregalis

Skład i łamanie: Dariusz Ziach

Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.
00-391 Warszawa, al. 3 Maja 12
tel./faks (22) 646 05 10, 828 98 08
biuro@gwfoksal.pl
www.gwfoksal.pl

ISBN 978-83-280-4946-8

Skład wersji elektronicznej: Michał Olewnik / [Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.](http://GrupaWydawniczaFoksalSp.zo.o)
i Michał Latusek / [Virtualo Sp. z o.o.](http://VirtualoSp.zo.o)

virtualo